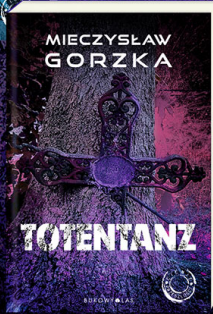
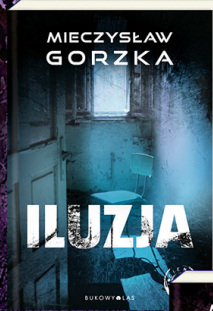
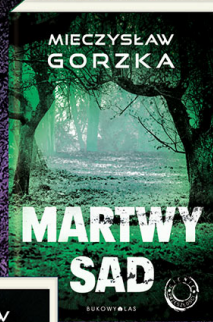


MIECZYSLAW
GORZKA

TOTENTANZ

BUKOWY LAS





Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Część pierwsza SUICIDE CLUB

34 lata wcześniej

Początek

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

33 lata wcześniej

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

32 lata wcześniej

Część druga ŚMIERCIOR

29 lat wcześniej

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

29 lat wcześniej

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

29 lat wcześniej

Część trzecia TOTENTANZ

29 lat wcześniej

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Rozdział 70

Rozdział 71

Rozdział 72

Rozdział 73

Rozdział 74

Rozdział 75

Rozdział 76

Koniec

MIECZYŚŁAW
GORZKA

TOTENTANZ

BUKOWY LAS

Copyright © by Mieczysław Tomasz Gorzka, Wrocław 2020

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem do reprodukcji w całości lub we fragmencie w jakiegokolwiek formie.

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2020

ISBN 978-83-8074-269-7

PROJEKT OKŁADKI: Paweł Cesarz

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE: Mieczysław Gorzka

REDAKCJA: Olga Gitkiewicz

KOREKTA: Iwona Gawryś, Urszula Włodarska

REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

ADRES DO KORESPONDENCJI:

ul. Sokolnicza 5/21, 53-676 Wrocław

www.bukowylas.pl



WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:

Dressler Dublin Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+ 48 22) 725 19 31/32

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

www.dressler.com.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

Część pierwsza

SUICIDE CLUB

34 lata wcześniej

Ból nagle znika. Cudowne orgiastyczne uczucie ciepła rozlewa się po zdrętwiałych, skurczonych mięśniach.

Nagle słyszy głosy. Pod przymkniętymi powiekami widzi prześliczne miasto, które mieni się w słońcu wszystkimi kolorami tęczy i złotem. W mieście bawią się dzieci. Roześmiane twarze, szczęście w oczach, radosne okrzyki, ubrania lśniąca czystością w słonecznym blasku.

Naraz go zauważają. Dziewczynki i chłopcy w jego wieku stają na skraju miasta i wołają:

- Chodź do nas!*
- Baw się z nami!*
- Jak masz na imię?*

Nie pamięta, kim jest. Nie pamięta, gdzie jest. Nic go to nie obchodzi.

Zaczyna biec, ale nogi grzęzną w wysokiej trawie porastającej równinę. Zostało jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów. Biegnie, lecz zamiast się zbliżyć, oddala się od miasta. Chce krzyknąć, żeby poczekali, ale już go nie słyszą. Dzieci rozchodzą się zawiedzione.

Złote miasto się oddala, blednie, po chwili ginie w białej mgłę.

Nie ma już nic. Tylko ta mgła.

Mózg powoli przestaje funkcjonować.

To pierwsza faza agonii.

Jak w pozbawionej zasilania maszynie wyłączają się kolejne obwody: pamięć, myślenie, ból, uczucia, strach. Kiedy jednak

uświadamia sobie, że za chwilę umrze, szarpie się rozpaczliwie ostatni raz.

Ostatnia próba ratunku. Szanse bliskie zera.

W ułamku sekundy, w procedurze nigdy jeszcze nieużywanej, lecz zakodowanej w genach, tworzą się dziesiątki milionów nowych połączeń neuronów. W tej samej chwili w układzie zaczyna krążyć prąd. Budzi się najbardziej pierwotny instynkt przetrwania, system bezpieczeństwa przejęty po praprzodkach, którzy musieli bronić się przed dziką i bezwzględną przyrodą praświata. Instynkt budzący się w chwili, kiedy wszystko inne ginie, kiedy wyłącza się myślenie i świadomość.

Najpierw poruszają się palce. Powoli, wytrwale, jednostajnymi ruchami przypominającymi przedśmiertne drgawki robią dla dłoni małą niszę w miękkiej ziemi. Zaraz jednak ziemia się zapada i palce nieruchomieją.

To nic. Ten eksperyment pozwala nowej sile zarządzającej ciałem opanować sytuację. Stabilizuje się tętno, serce zaczyna uderzać miarowo, oddech staje się głębszy.

Pojawia się nowy problem. Zaczyna brakować tlenu. Głębszy oddech wciąga do gardła i płuc drobinki ziemi i grozi uduszeniem w ciągu kilkadziesiąt sekund. Obie dłonie zaczynają rozpaczliwie rozgarniać ziemię. Na szczęście ciało jest przysypane cienką warstwą czarnej gleby i już po kilku sekundach nadludzkiego wysiłku dłonie wydostają się na powierzchnię.

Twarz! Trzeba odstąpić twarz!

Ziemia się obsypuje, szerzej rozwierają się usta zalepione krwią i płuca łapczywie chwytają hausty rześkiego powietrza wrześniowej nocy. Na moment siły wracają. Ręce zrzucają kamienie leżące na piersiach i podbrzuszu, ciało wydostaje się z płytkiego grobu, przewraca się na brzuch i odpełza dwa metry w bok, na trawę. Tu zastyga w bezruchu. Płuca i krtań oczyszczają się z ziemi w gwałtownym ataku kaszlu, żołądek w nagłym skurczu pozbywa się żółci powstałej w chwili agonii.

Dalej! To jeszcze nie koniec.

Popychane przez ślepy instynkt przetrwania ciało przesuwają się wytrwale, centymetr po centymetrze, przez ciemność w kierunku światła. Jak wielki, czarny, oślizgły robak, który wypełza spod ziemi tylko pod osłoną nocy.

Nagle trawa się kończy i ludzki robak oblepiony czarną ziemią i krwią trafia na brukowaną ścieżkę. Tutaj zamiera na dłużej.

Gdyby to widowisko obserwował ktoś z boku, mógłby nabrać podejrzeń, że ludzki czerw jest już martwy. Jednak w tamtym czasie i miejscu nie było nikogo. Obserwatorem dramatycznej walki dziecka o życie mógł być co najwyżej Bóg.

Albo Diabeł.

Okaleczony mózg budzi się z chwilowego letargu i znowu daje sygnał do walki. Ciało drga i mozolnie zbliża się do uchylonej bramy, w stronę nikłej poświaty, która dociera w to miejsce z oddalonej o kilkadziesiąt metrów ulicznej latarni.

Niespodziewanie na wysypanej żwirem drodze słysząc kroki. Zbliżają się szybko i pewnie.

Mózg rejestruje dźwięk i próbuje wezwać pomoc. Stłuczone, spuchnięte wargi poruszają się w niemym wołaniu o ratunek, lecz ciszy nocy nie zakłóca żaden dźwięk. Słysząc tylko te kroki.

Coraz bliżej i bliżej.

A jeśli wcale nie oznaczają ocalenia? Jeśli teraz nastąpi dalszy ciąg kaźni?

Ta podprogowa myśl przemyka przez wszystkie komórki kory mózgowej i sprawia, że w jednej chwili wszystko gaśnie i zapada ciemność.

Prawdziwa ciemność pełna błogiej ciszy i nieistnienia.

Początek

Koniec czerwca 2015

Film miał mieć co najmniej dziesięć milionów wyświetleń.

Apacz wybrał miejsce, zorganizował przebrania, stojaki i oświetlenie. Pożyczył od kogoś profesjonalną kamerę umożliwiającą nocne zdjęcia dobrej jakości.

Swoim optymizmem zaraził resztę.

W pierwszy weekend lata, w ciepłą i gwiazdzistą noc dwa samochody osobowe wyjechały z Wrocławia drogą w kierunku Smolca. Przed osiedlem domków jednorodzinnych skręciły z ulicy Żwirki i Wigury w prawo i wąską asfaltową drogą pojechały wzdłuż wysokiego ogrodzenia, za którym rozciągały się tereny należące do jednostki wojskowej przy lotnisku na Strachowicach, w kierunku Krzeptowa i dalej.

Ruch był niewielki, jechali szybko, podnieceni i rozbawieni. Lekki niepokój zabijali głośnym śmiechem, żartami i dużą ilością piwa.

Droga wiodła przez most na Bystrzycy i ginęła w gęstym lesie. Mimo księżycowej, dość jasnej nocy światła samochodów z trudem przebijały się przez mrok. Rosnące po obu stronach wielkie drzewa z rozłożystymi konarami stykającymi się w górze tworzyły tunel pogrążony w absolutnych ciemnościach. Nad drogą przelewały się fale białej mgły podnoszącej się z podmokłych terenów Parku Krajobrazowego Doliny Bystrzycy.

– Niech to cholera weźmie! – zaklął Mateusz Jastrzębski prowadzący pierwsze auto i wcisnął odrobinę zbyt mocno pedał hamulca. – Nic nie widać...

Nagle z tyłu dobiegł ich ostry pisk opon hamującego za nim auta.

Siedzący na przednim siedzeniu obok kierowcy Oskar Berton, zwany Apaczem, obejrzał się zaniepokojony i pokręcił głową.

– No, teraz pojechałeś – rzucił.

Mateusz popatrzył we wsteczne lusterko i nonszalancko wzruszył ramionami.

– Niech uważa, jak jedzie.

Nie dał po sobie poznać, że przez chwilę zrobiło mu się gorąco. Ojciec by mu nie wybaczył nawet najdrobniejszej ryski na toyocie. Tym bardziej że był w delegacji za granicą i nie wiedział, że jego nastoletni syn jeździ autem bez pozwolenia. Jadący z tyłu nową hondą civic Tymon Jagła też pewnie nie miałby pomysłu, jak wytłumaczyć starym, co robił o północy kilkanaście kilometrów za miastem i jak doszło do wypadku.

Mateusz wyjął z rąk Apacza piwo w puszcze i pociągnął dwa duże łyki dla kurażu.

– Daleko jeszcze? – zapytał zniecierpliwiony.

Mgła zgęstniała. Przed maską samochodu kotłowały się białe tumany, w których ginęło światło reflektorów.

– Za następnym zakrętem – odrzekł uspokajająco Apacz.

Rzeczywiście kilkaset metrów dalej las gwałtownie się kończył. Mgła się przeredziła, widać było szosę prowadzącą przez pola pod rozgwieżdżonym niebem. Dojechali do skrzyżowania. Droga w lewo prowadziła do Kątów Wrocławskich, a w prawo do oddalonej o półtora kilometra miejscowości, której nazwy nie można było odczytać z zamalowanej sprayem tablicy. Skręcili w prawo i chwilę później Apacz kazał Mateuszowi znowu skręcić w szutrową drogę pełną wybojów i kolein. Po przejechaniu kilkunastu metrów znaleźli się w lesie. W świetle księżycy doskonale widać było białe pnie brzoź, połyskujące zza krzewów porastających gęsto pobocze. Po kolejnych kilkuset metrach las się kończył. Po prawej stronie rozciągały się pola uprawne, a w lewo odchodziła zarośnięta wysoką trawą polna droga prowadząca do cmentarnej bramy.

Apacz wybrał doskonale miejsce. Pierwsze domostwa znajdowały się kilkaset metrów dalej. Nikt o tej porze nie mógł im przeszkodzić.

Zaparkowali i wysiedli z samochodów. Odwaga nakręcana do tej chwili przez młodzieńczą brawurę i alkohol gdzieś uleciała.

– Co jest? – Apacz spojrział na kolegów z kpiącym uśmiechem na ustach. – Strach was obleciał?

Związał długie włosy i naciągnął maskę na twarz. Ruszył przed siebie, przecisnął się przez szparę w zardzewiałym ogrodzeniu i znalazł się na cmentarzu. Przez chwilę szarpał bramę, wydając z siebie potępieńcze jęki, jakby był nieboszczykiem desperacko próbującym wydostać się na zewnątrz. Ten pokaz wywołał u reszty mimowolne salwy śmiechu. Apacz, podobnie jak pozostali chłopcy, ubrany był w obcisły czarny kostium, na którym białą fosforyzującą farbą nadrukowano ludzki szkielet. W ciemnościach odznaczały się tylko jasne wzory kości.

– Muszę w krzaki – powiedział nagle Michał Rudnik.

Jagoda Chmielnik prychnęła pogardliwie.

– Kwasu, może ty masz jakiś problem z pęcherzem? – zadrwiła.

Miała długie, prawie białe włosy i uchodziła za klasową piękność. Nie na darmo nazywano ją Daenerys – była bardzo podobna do królowej Daenerys Targaryen z *Gry o tron*. Przebrała się zresztą odpowiednio. Nosiła spływającą do ziemi jasną suknię, na ramiona zarzuciła czerwony szal, białe włosy spięła z tyłu w koński ogon. Czubek jej głowy zdobiła korona wycięta z kartonu i oklejona złotą folią.

Kwasu popatrzył na nią z wyższością.

– Po prostu wypilem najwięcej. – Wzruszył ramionami i skręcił w stronę czerniejących z boku krzewów.

Pozostali chłopcy skorzystali z okazji i bez słowa poszli w jego ślady.

Dziewczyny zostały w miejscu.

– Jak dzieci – powiedziała Fiolka, czyli Ania Wiśniewska.

Była przebrana za biskupa. Miała na sobie pończacaną tunikę imitującą szaty liturgiczne, na głowie srebrną infułę, a w rękę trzymała własnoręcznie zrobiony pastorał zakończony efektowną spiralą. Nie mogła pochwalić się talentem plastycznym, ale spirala wyszła jej doskonale.

– Cóż, przynajmniej można zapalić – westchnęła Dominika Skrucha. Zawsze miała przy sobie co najmniej dwie paczki cienkich mentolowych papierosów. Z racji nazwiska od wczesnej podstawówki nosiła ksywę Skucha – wszyscy, łącznie z nauczycielami, notorycznie przekręcali jej nazwisko. Dominika przebrała się za rycerza. Jej piersi okrywała plastikowa zbroja z herbem Ślepowron, na plecy zarzuciła pelerynę, a do szerokiego wojskowego pasa przymocowała miecz. Na głowie miała hełm. Przyłbica ciągle opadała jej na oczy i Dominika musiała ją poprawiać.

Ostatnią dziewczyną była Weronika Kaczuk, wysoka, ciemnowłosa, o zadziornym spojrzeniu. Przebrana w czarny habit mniszki wyglądała bardziej na postać z horroru klasy B niż na siostrę zakonną.

Zanim zdążyły się porządnie zaciągnąć dymem, wrócili chłopcy. Wszyscy naciągnęli już maski i nie mogli ich rozpoznać.

– Siostry, rzućcie to świństwo! – wykrzyknął pierwszy szkielet głosem Apacza. – Mam coś o wiele lepszego...

Pogrzebał chwilę w tylnych kieszeniach spodni, wyciągnął kartonowe pudełko po papierosach i triumfalnie pokazał wszystkim zawartość.

– Świeży towar – odezwał się Tymon Jagła. Miał ksywę Don Pedro. – Ty zawsze masz genialne pomysły, Apacz.

– Przestańcie! Mamy kręcić film, a wy się najaracie i nic z tego nie będzie – mruknęła Dominika.

– Przestań, Skucha, będzie lepsza zabawa. – Apacz puścił dwa skręty w obieg.

Palili w milczeniu.

– Niezłe zioło – szepnął Kwasu.

Dziewczyny śmiały się głupkowato. Mateusz Jastrzębski nagle zaczął podskakiwać, jakby stał bosymi stopami na gorącym żelazie. Powtarzał bez przerwy:

– Czujecie to? Czujecie? Czujecie wibracje?

Daenerys co chwilę trącała rycerski hełm Dominiki. Przyłbica raz po raz opadała z trzaskiem, ale Dominika się nie denerwowała, tylko cierpliwie ją podnosiła, zanosząc się śmiechem.

W pewnej chwili Apacz klasnął w dłonie.

– Dość zabawy! Przecież mamy nakręcić film – przypomniał.

Jak na komendę rzucili się do bagażników i zaczęli wyciągać oświetlenie, przewody do akumulatorów, kamerę i statywę.

*

Jan Kamiński wracał do domu rowerem. Było już dobrze po północy. W lesie za mostem na Bystrzycy zalegała biała jak mleko, wilgotna, zimna mgła. Czuł, jak lodowate drobinki osiadają mu na twarzy, jego rzadkie siwe włosy zrobiły się zupełnie mokre. Na szczęście grzała go jeszcze wódka, którą wypił z kolegą. Dużo wódki. Tak dużo, że na początku nie mógł wsiąść na rower i złapać równowagi. Skończyło się na upadku na asfalt i stłuczonym boleśnie kolanie.

– Szlag by trafił, cholerne kolano – mruzczał pod nosem.

Oczy mu się trochę kleiły, kiedy wyjechał wreszcie z lasu. Chciał skręcić w prawo do wioski i wtedy wywrócił się ponownie. Koła poślizgnęły się na cienkiej warstwie piasku przykrywającego asfalt na poboczu jezdni. Był na tyle pijany, że nie zdążył prawidłowo zareagować.

Klnąc, pozbierał się z ziemi, ale jechać dalej już nie mógł. Kolano bolało okropnie. Postanowił pójść piechotą. Do wioski nie było daleko. Nie bardzo pamiętał, jak przeszedł kilkaset metrów, prowadząc rower. Minęło go auto i wtedy trochę otrzeźwiał. Zauważył, że znajduje się na wysokości polnej drogi odchodzącej

w prawo. Nie zastanawiając się długo, skręcił. Tędy miał bliżej do domu, choć nie chodził tu po zmroku. Przy drodze znajdował się stary cmentarz, ludzie różne rzeczy gadali. Teraz jednak Kamiński był na tyle otumaniony wódką, że nawet o tym nie pomyślał.

Przeszedł już spory kawałek drogi, gdy nagle przystanął zaniepokojony. Od strony cmentarza, od którego oddzielał go teraz tylko wąski skrawek brzoźowego lasu, dochodziły śmiechy i pokrzykiwania. Między drzewami migotały światła, a kiedy przyjrzał się uważniej, dostrzegł kilka postaci tańczących między nagrobkami.

– Co do diabła? – mruknął do siebie na głos i się przeżegnał.

Nawet się nie przestraszył, alkohol dziwnie dodawał mu odwagi. Ruszył dalej, ale już po kilku krokach gwałtownie się zatrzymał.

Na skraju drogi dojrzał zarys ciemnej sylwetki. Kamiński głośno przełknął ślinę i zawołał drżącym głosem:

– Kto tam jest?!

Postać odwróciła się wolno i wtedy pod Janem ugięły się nogi z przerażenia. Prawie upuścił rower.

Przed nim stał kościotrup. Wyraźnie rysująca się w ciemnościach czaszka z pustymi oczodołami i równymi rzędami zębów sprawiała wrażenie, jakby szkielet się uśmiechał. Jan po chwili zaczął myśleć logiczniej. Chodzące nocą po polnych drogach szkielety nie istnieją. Domyślił się, że ktoś stojący nieopodal jest przebrany.

– Co tu robisz? – powtórzył o wiele pewniejszym głosem.

Postać zbliżyła się do niego zaskakująco szybko. Teraz w świetle księżyca Kamiński widział błysk oczu w ziejących czernią oczodołach.

– Przyszedłem na bal – odezwał się nieznajomy.

To był szept człowieka ogarniętego szaleństwem i przez to przechodzący w chrapliwy syk. Takie przynajmniej wrażenie odniósł Kamiński.

– Jaki bal? – zdołał wyszeptać, czując nieznośną suchość w ustach.

– Na cmentarzu jest dzisiaj bal. Nie wiedziałeś? – Przebieraniec nachylił się jeszcze bardziej. – Prawdziwy Taniec Śmierci. Szalony Totentanz. Zabawa do białego rana!

– Kim, do cholery, jesteś?

– Nie widzisz? Kościotrupem. Już dawno jestem martwy. Ty też będziesz. To nic straszego.

– Co ty...

Nieznajomy mu przerwał.

– Niestety, nie mogę cię zaprosić na bal – powiedział jakby z żalem. – Brak miejsc.

Nagle Kamiński poczuł piekący ból, jak gdyby ktoś przyłożył mu do brzucha rozpalone do białości żelazo. Zdziwiony spojrzał w dół i dopiero po pewnej chwili zrozumiał, co się stało. Nieznajomy wbił mu w brzuch nóż. Po koszuli szybko rozlewała się czarna plama. Kamiński wiedział, że to jego krew. W panice próbował sięgnąć rękami do noża, ale tamten zdążył zadać serię ciosów, kalecząc mu przy tym palce i nadgarstki. Rower wpadł z brzękiem do przydrożnego rowu, Kamińskiemu nagle zmieniła się perspektywa widzenia – miał przed oczami tylko ziemię i stopy napastnika. Stopy szybko się oddaliły.

– Czas na Totentanz – usłyszał jeszcze.

Robiło się coraz zimniej i ciemniej. Świat oddalał się nieubłaganie.

*

Kamera włączona! Cztery ledowe lampy oświetlały środek cmentarza, gdzie zaczęło się widowisko.

Przez cmentarz między nagrobkami sunął przedziwny pochód. Cztery pary podążały jedna za drugą w pozagrobowym polonezie. Pierwszy kościotrup prowadził za rękę biskupa, kolejny wiódł na zatracenie królową, następny ciągnął rycerza. W ostatniej parze pod rękę ze szkieletem szła mniszka w czarnym habicie.

Całe przedstawienie być może odbyłoby się w atmosferze śmiertelnej powagi, ale samozwańczy artyści nie przewidzieli kilku szczegółów. Nikt nie pomyślał, że ścieżki między nagrobkami będą bardzo wąskie, do tego porośnięte trawą i cmentarną roślinnością. Poza tym stare nagrobki się zapadły, inne rozplynęły się i zniknęły pod warstwą trawy. Przy słabej widoczności trudno było przewidzieć, gdzie się znajdują. Dodatkowo piwo i marihuana mocno wpłynęły na koncentrację i koordynację ruchową odgrywających przedstawienie. Co chwilę ktoś się potykał i przewracał, prowokując głośne wybuchy śmiechu. Rycerzowi opadała przyłbica i musiał ciągle ją podnosić. Królowej zjeżdżała korona, szal raz po raz zaczepiał o kolczaste gałęzie krzewów. Biskup zgubił infułę. Jakby tego było mało, ktoś stanął na upuszczony pastorał, łamiąc go w połowie.

Pary się wymieszały, każdy tańczył z każdym, zmieniały się taneczne style. Okazało się, że kościotrupy bardzo dobrze radzą sobie z tańcami naśladującymi breakdance, mniszka z biskupem próbowali salsy. Zupełnie nieoczekiwanie jeden ze szkieletów zaczął się popisywać bardzo dobrą znajomością kroków tanga. Po kolei tańczyli z nim biskup, mniszka i królowa.

Nie wiadomo, kto zawołał, że nadjeżdża jakiś samochód. Towarzystwo rzuciło się do aut zaparkowanych przed bramą, zapominając o oświetleniu i rejestrującej wszystko kamerze. Apacz był na tyle przytomny, by krzyknąć, że trzeba złożyć sprzęt.

Opamiętali się. Wrócili, zdjęli lampy i włożyli je do bagażnika, Apacz zajął się statywem i kamerą.

Ruszyli, jakby ich ktoś gonił. Pierwsza na polną drogę wyjechała toyota i buksując oponami w piasku, wolno nabierała prędkości. Wyrwała do przodu dopiero, kiedy niezbyt przytomny kierowca odjął trochę gazu. Tymon Jagła miał mniej szczęścia z trafieniem na drogę. Za późno skręcił i honda wjechała lewym kołem do rowu. Jednak w porę wcisnął hamulec, samochód zawisł na podwoziu i silnik zgasł. Pasażerom auta udało się wypchnąć je z powrotem na

drogę i chwilę później honda mknęła w ślad za toyotą w kierunku Wrocławia.

Rozdział 1

Początek sierpnia 2015 roku

Na burzę zbierało się od kilku dni. Wreszcie nadeszła ulewa, krótka i bardzo gwałtowna. Na ulicy Rogowskiej na Nowym Dworze studzienki kanalizacyjne od razu się zapchały i wielka kałuża rozlała się na zakręcie między pętlą autobusową a Biedronką. Aspirant Karina Buczko i jej kolega z patrolu, starszy aspirant Jacek Felman, ukryci przed deszczem w policyjnym radiowozie obserwowali, jak samochody pokonują to jezioro, efektownie rozbryzgując wodę.

- Będzie z tego jakiś wypadek – zrzędził jak zwykle Felman.
- Niby dlaczego? – zdziwiła się Buczko.

Felman był od niej dziesięć lat starszy, od dawna jeździł w patrolach, dlatego chętnie udzielał rad młodszej koleżance. Na początku się denerwowała, potem przestała zwracać uwagę. Felman narzekał i marudził, pchał się tam, gdzie nie trzeba, sprowadzał sobie na głowę kłopoty, ale w sumie był dobrym kolegą i policjantem.

– Jeden drugiemu zaleje przednią szybę, nie zachowają ostrożności i stłuczka gotowa – stwierdził. – Nie wspominając o akwaplaningu.

Uśmiechnęła się pod nosem, nie skomentowała jednak. Dokończyli kanapki, popili kawą z termosu, Jacek uruchomił silnik i wyjechali z parkingu w prawo, w kierunku Strzegomskiej. Podrasowany silnik policyjnego passata ryknął, kiedy Felman wcisnął gaz. Miał o wiele więcej koni mechanicznych niż taki sam model z salonu.

Była dwudziesta czterdzieści pięć. Ich patrol miał trwać jeszcze całą noc, do szóstej rano.

*

Budowę biurowca przy ulicy Granicznej rozpoczęto wiosną poprzedniego roku. W dwa miesiące zakończono prace ziemne i wylano fundamenty, potem szybko powstały jeszcze dwa piętra i nagle budowa z niewiadomych przyczyn stanęła. Od roku ludzi jeżdżących na lotnisko straszyla betonowa konstrukcja bez okien.

Lubił tutaj przychodzić. Był przecież Obserwatorem.

Wewnątrz niedokończonego budynku znalazł zbitą z desek prowizoryczną drabinę prowadzącą na najwyższy poziom. Początkowo z wysiłkiem się tam wdrapywał, a jeszcze trudniej mu było schodzić – miał niesprawne dłonie. Plastikowe protezy do niczego się nie nadawały, mógł co najwyżej podrapać się nimi po tyłku. Czasem się zastanawiał, czy ich zakładanie ma sens. Wielokrotnie chciał je zostawić w domu, lecz zawsze w ostatniej chwili zmieniał decyzję. Dziwnie się czuł, wychodząc z domu bez rąk. Wstydził się swojego kalectwa. Kiedy miał protezy, wydawało mu się, że kikuty mniej bolą.

Ból.

Nie opuszczał go ani na sekundę. Czy do bólu można się przyzwyczaić? Chyba tak. Inaczej przecież nie spałby po nocach i nie prowadził w miarę normalnego życia.

Przychodził tu tylko wtedy, kiedy nie było ciecia. Po zachodzie słońca trzy mocne światła umieszczone na szczycie stróżówki oświetlały budynek, ale budka strażnicza najczęściej była pusta.

Uwielbiał stawać przy prowizorycznej barierce zbitej z desek na krawędzi dachu od strony ulicy. Z tego miejsca nawet w nocy rozciągały się wspaniałe widoki. Na wschodzie, zaraz za zabudowaniami Comexu i polem kukurydzy, widać było autostradową obwodnicę Wrocławia, a dalej ciemne szczyty drzew

parku Milenijnego, zza których wyłaniały się bloki Nowego Dworu. Kiedy patrzył na zachód, w niewielkiej odległości widział wieżę z czerwonym napisem „Hotel” i mrugającą białą literę H ponad oświetlonym terenem hotelu Orle Gniazdo i przyległej do niego stacji benzynowej Bisek. Lubił obserwować migające światło. Wyobrażał sobie, że jest na drewnianym, skrzypiącym żaglowcu widmie, który zbliża się do skalistych wybrzeży. Latarnia morska na skale mrugała ostrzegawczo.

Jakieś cztery kilometry dalej znajdowało się lotnisko. Za każdym razem, kiedy patrzył w tamtym kierunku, widział światła lądujących lub startujących samolotów. Czasem słyszał huk silników.

Uwielbiał to miejsce. Potrafił tak stać do wczesnych godzin porannych.

– Hej, człowieku!

Pogrążony w myślach, nie zareagował na pierwsze okrzyki. Nawet nie przyszło mu do głowy, że mogą być skierowane do niego. Czyżby strażnik jednak był w budce? Ocknął się z niechęcią z marzeń i spojrzał w dół.

Na podjeździe przed bramą zaparkowany był policyjny radiowóz. Nie zauważył go wcześniej. Jeden z policjantów stał w otwartych drzwiach pojazdu, drugi zbliżył się do bramy. Obaj patrzyli na niego. To wołał ten drugi.

– Hej, złaź stamtąd!

Nie zareagował.

*

Felman pierwszy zauważył człowieka stojącego na dachu. Zaklął i chciał wcisnąć pedał hamulca, lecz zrezygnował. Radiowóz jechał zbyt szybko. Ulica była jeszcze wilgotna po deszczu i Jacek przestraszył się poślizgu.

– Co się dzieje? – zapytała zdziwiona Karina, widząc jego nerwowe manewry.

– Jakiś świr stoi na dachu. – Jacek wskazał kciukiem za siebie.

Policyjne auto zawróciło na rondzie i wolno ruszyło przeciwnym pasem z powrotem w kierunku wiaduktu nad AOW. Karina i Jacek pochylili głowy, uważnie patrząc na szkielet budowanego przy Granicznej biurowca. Zdążyli przyjrzeć się postaci stojącej na dachu.

– Samobójca? – mruknęła Karina Buczko.

Jej partner się roześmiał.

– Za nisko. Co najwyżej połamałby sobie kulasy. – I wdusił nagle gaz do dechy.

Przemknęli nad autostradą i zawrócili na następnym rondzie. Kiedy parkowali na podjeździe przy bramie, człowiek wciąż tam był. Oboje wysiedli z samochodu i spoglądali na niego, zadzierając głowy w górę.

Karina poczuła nagle nieokreślony niepokój. Postać wydała jej się dziwna. Za długie ręce w stosunku do ciała, zgarbiona sylwetka, nienaturalny bezruch. Przez chwilę zastanawiała się, czy jest żywy, czy może ktoś dla kawału postawił tam manekina. Ale postać poruszyła głowę. Najpierw patrzyła w kierunku autostrady, potem w drugą stronę. Policjantów chyba nie widziała. Jak Quasimodo – przemknęło Karinie przez głowę i struchlała jeszcze bardziej.

– Hej, człowieku!

Wydawało się, że ten na dachu dopiero teraz ich zauważył. Wyraźnie widać było, że drgnął.

– Hej, złaż stamtąd! – krzyknął znowu starszy aspirant Jacek Felman. Był w swoim żywiole.

Karina na moment odwróciła wzrok i nagle postać na dachu zniknęła.

– I tak cię dopadnę, pomyleńcu! – Felman wyszarpnął policyjną pałkę, precyzyjnie się przemieszczając przez szparę w ogrodzeniu i zniknął w szkielecie budynku.

– Cholera jasna! – zaklęła Karina.

Nie wiedziała, co robić. Poszła dwa kroki za Jackiem, ale przystanąła niepewnie. Odwróciła się i spojrzała na otwarte drzwi do

radiowozu. Potem znowu przeniosła wzrok na ciemny szkielet budowanego biurowca. Trzy kondygnacje wylane z betonu, podparte jeszcze w wielu miejscach stemplami. Żadnego światła, tylko lampy nad pustą budką strażnika.

Zapanowała przeraźliwa cisza. Graniczną nie jechał akurat żaden samochód, od autostrady dobiegał szum ciągnących tamtędy pojazdów.

– Jacek! – krzyknęła Karina.

Nie odpowiedział. Przez chwilę wydawało jej się, że usłyszała od strony budynku jakiś głuchy łomot, lecz mogło to być złudzenie. W tej samej chwili dwa auta przemknęły za jej plecami. Ich koła wyjątkowo głośno szumiały na mokrym asfalcie. Wydobyła z kabury pistolet i ruszyła tą samą drogą, którą parę minut temu pobiegł Felman – przez szparę w ogrodzeniu, a potem po drewnianych schodkach do środka.

Wewnątrz było ciemno i cicho. Słyszała wyraźnie, jak chrzęści piasek pod podeszwami butów i jak ten dźwięk odbija się echem od betonowych sufitów. Po kilku krokach zatrzymała się, zgasiła latarkę i poczekała, aż oczy przyzwyczają się do półmroku. Nie było wcale ciemno – lampy na ulicy i przy budce strażnika dawały sporo światła. Uspokoila oddech i ruszyła dalej z wyciągniętym przed siebie pistoletem.

Po drugiej stronie budynku natknęła się na drabinę prowadzącą wyżej. Ostrożnie wspięła się na czwarty szczebel, wystawiła głowę nad podłogę i rozejrzała się uważnie. Nie dostrzegła nic podejrzanego, więc weszła na pierwszy poziom. Obeszła wszystkie pomieszczenia. Nikogo. Czuła krople potu spływające po karku. Koszula nieprzyjemnie lepiała się do ciała.

– Co jest, do cholery? – szepnęła do siebie bezgłośnie.

Stała przy krawędzi piętra i spojrzała w dół. Plac budowy pusty, żadnego ruchu, radiowóz stał tak, jak go zostawiła, z otwartymi drzwiami od strony pasażera. Ani śladu Felmana.

Na najwyższym poziomie, na którym zauważyli dziwną postać, też nie było nikogo. Co się w takim razie stało? Gdzie zniknął Jacek?

– Niech cię tylko dorwę, palancie – powiedziała już głośniejszym głosem.

Obchodziła dach budynku wzdłuż prowizorycznej bariery z desek, patrząc w dół. Najpierw obejrzała oświetlony plac przed bramą, potem dłuższą część budynku od strony pola i w końcu tę położoną najdalej od ulicy. Tu było najciemniej, ale i tak od razu zobaczyła ciało leżące w trawie.

– Jacek!

Felman nie poruszył się ani nie zareagował.

Prawie zbiegała w dół. Znalazła wyjście na zewnątrz. Zatrzymała się, uspokoiła oddech i wysunęła się z budynku z pistoletem gotowym do strzału. Felman leżał na brzuchu, z rozrzuconymi rękami. Podbiegła do niego i przyłożyła palce do tętnicy szyjnej. Gigantyczna ulga. Serce biło normalnie, oddychał płytko, po uchu i lewym policzku spływała krew z rozbitej głowy.

Karina sięgnęła po krótkofalówkę i wezwała pomoc.

Rozdział 2

Anka Wiśniewska wróciła tego dnia do domu o wiele później, niż obiecała matce. Przecież, do cholery, jest sobota i mam prawo się pobawić dłużej niż zwykle – tłumaczyła sobie w duchu. Nie mogła jednak pozbyć się wyrzutów sumienia.

Jedenaście lat temu jej ojciec zginął w wypadku samochodowym. To była głupia i niepotrzebna śmierć. Sąsiad kupił samochód i ojciec Anki zszedł z nim na parking przed blok, żeby obejrzeć nabytek. Nawet nie włożył butów – wyszedł w kapciach. Żonie powiedział, że będzie za kwadrans. Nie wracał przez kilka godzin. Dopiero w nocy skontaktowała się z nimi policja. Ojciec Anki pojechał z sąsiadem wypróbować samochód. Za Wrocławiem, w drodze na Trzebnicę, zderzyli się czołowo z tirem i obaj zginęli na miejscu. Od tego czasu matka miała obsesję na punkcie jej punktualnych powrotów do domu. Nawet pięciominutowe spóźnienie wywoływało u niej napady paniki.

– Spóźniłaś się czterdzieści trzy minuty – powiedziała zachrypniętym głosem, kiedy Fiolka weszła do mieszkania i zdejmowała wolno buty.

Matka stała w drzwiach do kuchni, blada, z drżącą dolną wargą i papierosem w pożółkłych od tytoniu palcach. Była kiedyś bardzo ładną kobietą. Śmierć męża wszystko zmieniła. Pani Wiśniewska przestała o sobie dbać, spotykać się z ludźmi, unikała sąsiadów. Ostatnio doszło nawet do tego, że trudno było ją przekonać do wyjścia do sklepu po drugiej stronie ulicy. Miała dopiero czterdzieści pięć lat, a wyglądała na sześćdziesiąt.

– Przestań, mam, jestem prawie dorosła – rzuciła Anka, mijając ją w drzwiach do kuchni.

Wypiła z chłopakami dwa piwa i nie chciała, żeby matka poczuła od niej alkohol. Podeszła do okna i otworzyła jedno skrzydło na całą szerokość.

– Nadymałaś tu tak, że można się uwędzić – powiedziała z wyrzutem w głosie.

– Spóźniłaś się...

– Wiem, ile się spóźniłam! – mruknęła opryskliwie. – Musisz się do tego przyzwyczać! Nie możesz mnie pilnować kolejne piętnaście lat!

– Nie lubię...

Zanim matka dokończyła zdanie, Anka poszła do swojego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. Cisnęła torebkę na łóżko i zła na matkę usiadła przy komputerze. Miała już dość tłumaczenia się ze wszystkiego. A jeśli kiedyś nie wróci na noc? Ciekawe, co wtedy matka powie. Nagle złość jej minęła, poczuła się głupio. Zareagowała jak rozkapryszone dziecko. Zamiast wspierać matkę, przysparzała jej kolejnych zmartwień. Wstała i otworzyła drzwi.

Mama stała w tej samej pozycji co przed minutą. Tylko papieros zgasł jej w palcach, a w oczach szklily się łzy.

Fiolka podeszła do niej i objęła ją ramionami.

– Przepraszam – szepnęła jej do ucha.

– To ja cię przepraszam, Aniu. Wiem, że masz ze mną ciężko.

– Daj spokój. – Wyjęła jej z dłoni peta i wrzuciła do popielniczki stojącej na kuchennym stole. – Nie pal już i idź spać. Jest późno.

– Dobrze.

– Pomóc ci w czymś?

– Nie. Dziękuję, kochanie.

Matka wolnym krokiem poszła w kierunku łazienki.

Kwadrans później Anka usłyszała skrzypienie łóżka w sąsiednim pokoju, wreszcie zapadła cisza. Usiadła jeszcze przy komputerze, żeby sprawdzić pocztę. Nic ciekawego – kilka reklam,

powiadomienia z Facebooka, dowcipy przysłane przez jednego z kolegów z klasy. Naraz jej wzrok padł na wiadomość, którą wcześniej wzięła za spam. Nieznany adres, w treści krótka rymowanka: *Dzisiaj masz szczęścia pełen trzos – wylosowałaś pusty los.* Bez podpisu.

– Co to ma być? – powiedziała do siebie cicho.

Chciała wykasować wiadomość, ale się zawahała.

Rozdział 3

Grażyna Tomczyk paliła papierosa na tarasie, zastanawiając się nad swoim życiem. Nie pierwszy raz dochodziła do wniosku, że wpakowali się w niezłe gównno.

Wcześniej Grażyna i jej mąż mieszkali w centrum miasta, na dziewiątym piętrze wieżowca z lat siedemdziesiątych. Średnia wieku ich zdziwaczałych i wiecznie niezadowolonych sąsiadów wynosiła sześćdziesiąt parę lat. Pretensje mieli o wszystko: że Tomczykowie trzaskają drzwiami, za głośno słuchają muzyki, puszczają w łazience wodę po dwudziestej drugiej, za często przychodzą do nich znajomi. Do tego za ścianą sypialni znajdował się szyb windy, która przez całą dobę wydawała potępieńcze odgłosy. Tomczykowie postanowili się wyprowadzić.

Spodobał im się niezbyt drogi dom na osiedlu Malowniczym w Leśnicy. Boczna ulica, niedaleko las, wymarzone miejsce. Wzięli kredyt, sprzedali mieszkanie na dziewiątym piętrze i zamieszkali za miastem.

Wkrótce wokół ich domu deweloper wybudował sto takich samych. Przestało być sielsko, znowu zrobiło się ciasno, znowu trzeba było się liczyć z widzimisię pieprzniętymi sąsiadami. Dojazdy do pracy stały się koszmarem. Godzina w korku w jedną stronę i godzina z powrotem, do tego fatalna komunikacja miejska. Musieli kupić drugi samochód.

Potem zbankrutował cholerny bank o nazwie Lehman Brothers, a kurs franka szwajcarskiego wystrzelił w górę. Rata kredytu – i tak niemiała – wzrosła o połowę. Do tego Grażyna straciła pracę, a jej

mąż został przeniesiony na inne stanowisko z niższym uposażeniem.

Wtedy zdecydował się wyjechać do Anglii, szukać lepszych zarobków.

W teorii to miało być rozwiązanie tylko na kilka miesięcy, tymczasem Tomczyk zaczął przeciągać pobyt na Wyspach. Ona została sama z małym dzieckiem, z dala od żłobka, lekarza, w miejscu, które przestało być malownicze – najzwyczajniej w świecie zrobiło się paskudne. Dobrze, że przynajmniej w wychowaniu córki pomagała jej matka.

Ale Grażyna czuła, że nie da rady tak żyć. Może sprzedać ten cholerny dom i wrócić do miasta? Albo całą rodziną wyjechać do Londynu?

Ocknęła się z rozmyślań, kiedy zrobiło się ciemniej. Wielka chmura zasłoniła zachodzące słońce, dlatego Grażyna postanowiła poszukać Lenki.

Czterolatka bawiła się jak zwykle za domem, w kącie posesji, nieopodal wielkich krzaków leszczyny. Grażynie przez chwilę wydawało się, że Lenka z kimś rozmawia. Pewnie znowu z tym swoim wyimaginowanym kolegą – pomyślała nie bez dumy. Córka jedynaczka wymyśliła przyjaciela i potrafiła godzinami bawić się sama, nie absorbując matki czy babci. Dobrze było mieć takie inteligentne nad wiek dziecko.

– Lena, do domu! – zawołała Grażyna. – Burza idzie!

Dziewczynka odwróciła się i niechętnie, ale grzecznie powiedziała:

– Już idę, mamusiu!

Potem jeszcze raz odwróciła się w kierunku krzaków. Grażyna dałaby głowę, że usłyszała, jak mała żegna się z kimś i umawia na jutro. Potem Lenka przybiegła do niej i razem poszły do kuchni przygotować kolację.

– Nie boisz się burzy? – zapytała Grażyna.

– Nie. Dawidek powiedział, że z nim nic mi się nie stanie.

Grażyna uśmiechnęła się pod nosem. Skąd ona wymyśliła takie imię? I nagle sobie o czymś przypomniała. W miejscu, gdzie bawiła się Lena, leżała w trawie betonowa płyta. Wystawały z niej zardzewiałe pręty zbrojeniowe, łatwo można się o nie skaleczyć. Oczywiście mąż obiecywał, że uprzętnie płytę, ale nigdy nie miał na to czasu.

Zmarszczyła brwi.

– Lenko, prosiłam cię, żebyś nie zbliżała się do krzaków. Możesz się skaleczyć o te zardzewiałe druty.

– Nie bój się, mamó. Już nie wystają – odpowiedziała dziewczynka, siadając przy kuchennym stole.

Grażyna pogroziła jej palcem.

– Nie wolno kłamać.

– Nie kłamię – oburzyła się Lena. – Dawidek wygiął te druty i już nie są groźne.

Grażyna Tomczyk zastanawiała się przez moment, czy zabawa z wymyślonym przyjacielem nie za bardzo miesza się córce z rzeczywistością.

– Lenko, nie da się wygiąć tych drutów. Są grube i twarde.

– Dawidek umie – padła zdecydowana odpowiedź. – Dawidek jest duży i silny!

– Dobrze, dobrze – roześmiała się matka. – Teraz kolacja.

*

Kiedy Lena już spała w swoim pokoju na piętrze, Grażyna znowu wyszła na taras zapalić. Powietrze było gęste i lepkie. Chmury przykrywały niebo, na zachodzie raz po raz błyskało, ale tutaj pod lasem nie zanosilo się na deszcz.

Przypomniała sobie słowa córki. Wróciła do kuchni, wyjęła z szuflady latarkę i poszła na tyły domu. Krzaki leszczyny za płotem wyglądały jak złowrogi potwór. Poczowała się dziwnie. Dreszcz na karku był niczym sopel lodu. Dodała sobie pewności, zapalając

latarkę. Nagle krzaki znowu były krzakami i niczym więcej. Poświeciła na leżącą w trawie płytę i znieruchomiła zaskoczona. Musiała podejść bliżej, aby upewnić się, że widzi wyraźnie. Wszystkie pręty zbrojeniowe, które dotąd sterczały z trawy, były zagięte w dół, tak jak powiedziała Lenka. Grażyna zastanowiła się chwilę. Może jej mąż zabezpieczył je podczas ostatniego pobytu w domu i zapomniał jej powiedzieć? Na pewno tak było. No bo kto?

Naraz usłyszała jakiś trzask w krzakach. Podskoczyła przestraszona i skierowała w to miejsce światło latarki. Nic, tylko płot i krzaki.

Przypomniała sobie nagle słowa córki: „Dawidek wygiął te druty... Dawidek jest duży i silny”. Odwróciła się na pięcie i biegiem wróciła do domu. Zamknęła starannie drzwi na taras, sprawdziła drzwi wejściowe i poszła na górę sprawdzić, czy Lena śpi. Spała.

Potem jeszcze długo siedziała w kuchni. Wypiła dwa drinki, ale uczucie niepokoju nie ustępowało.

Rozdział 4

Koniec sierpnia

– Kto sobie robi jaja? – Fiolka wyglądała na naprawdę zdenerwowaną.

Było parno jak w tropikach. Na boisku za ogrodzeniem grupa chłopców grała w piłkę. Nagle krzyki z boiska umilkły. Biało-czerwona, mocno zużyta piłka z logo Euro 2012 rozgrywanego w Polsce i na Ukrainie skakała przez chwilę wesoło, po czym wolno potoczyła się im pod nogi. Nikomu nie chciało się schylić, żeby oddać ją grającym na orliku chłopcom. Wreszcie zjawił się jakiś przestraszony gimbus, podniósł piłkę z ziemi i uciekł, jakby ktoś miał zamiar go gonić.

Skucha jak zwykle paliła papierosa. Też była zdenerwowana, ale starała się tego nie okazywać.

– Daj spokój, Fiolka, to pewnie głupi dowcip Apacza – powiedziała z nieszczerą pewnością siebie w głosie.

Tymon postanowił ją poprzeć.

– Tak, pewnie chciał cię nastraszyć.

Z paczki, która pod koniec czerwca kręciła film na starym cmentarzu, brakowało właśnie tylko Oskara.

– A wy nie dostaliście żadnych maili? – Fiolka drażyła temat.

Michał Rudnik podrapał się po policzku.

– Ja też dostałem taką kretyńską rymowanekę – wyznał. – Ania ma rację, to już dawno przestało być śmieszne.

– Ja też. – Mateusz Jastrzębski wyciągnął z kieszeni spodni swój smartfon. – *Raz, dwa, trzy, dziś na pewno nie będziesz to ty* –

przeczytał. – Nawet śmieszne. Nie wiem, o co wam chodzi, przecież tak się umówiliśmy. Raz na miesiąc Apacz kręci Kołem Fortuny i losuje straceńca. Swoją drogą, skąd on ma pomysły na te rymowanki?

– Ale potem stwierdziliśmy, że to głupie, i Apacz obiecał zniszczyć to cholerne koło – rzuciła Anka.

– Najwidoczniej dalej losuje.

– To mi się przestało podobać.

Zapadła cisza. Skucha znowu zapaliła. Tym razem wszyscy poczęstowali się z jej paczki, w której został ostatni cienki papieros.

– Cholera, a wy się dziwicie, że zawsze mam przy sobie dwie paczki? – westchnęła, puszczając w obieg zapalniczkę.

Jagoda Chmielnik też nie była zadowolona z tego, że Apacz samowolnie kontynuuje ich zabawę sprzed kilku miesięcy.

– Tak mogliśmy się bawić w gimnazjum. Teraz chyba mamy więcej oleju w głowie, co nie? – powiedziała.

Werka roześmiała się.

– My może mamy, ale nie Apacz!

Fiolka popatrzyła na nich z niechęcią. Apacz od dawna był jej cichą sympatią. Teraz była na niego wściekła, ale nie podobało jej się, jak oceniają go inni.

W tej chwili zobaczyła Oskara zbliżającego się od strony osiedla i złość jej trochę przeszła. Apacz był wysoki, przystojny, długie włosy nosił starannie związane nisko z tyłu głowy, a na twarzy miał jak zwykle szeroki uśmiech. Przybił piątkę chłopakom i cmoknął dziewczyny w policzek. Fiolka miała wrażenie, że z nią witał się trochę inaczej, że jego pocałunek był o pół sekundy dłuższy. Serce zabiło jej mocniej.

– Zdenerwowałaś Fiolkę – oznajmił Don Pedro prosto z mostu.

Apacz spojrzał na Ankę zaniepokojony, a ona poczuła się trochę głupio.

– Chodzi o Koło Fortuny – wyjaśniła.

– Jakie... – zaczął Oskar i zamilkł.

Fiolka dałaby głowę, że przez moment zobaczyła na jego twarzy lęk. Zaraz jednak zareagował jak zwykle – beztroskim, zaraźliwym uśmiechem.

– A co wam się nie podoba? – zapytał.

– Nie mów, że to nie ty – prychnął Kwasu. – Tylko ty masz takie pomysły.

Uśmiech na twarzy Apacza stał się bardziej sztuczny.

– Wy też dostaliście rymowanki?

– No właśnie – powiedziała Fiolka. – To już nie jest przyjemne.

Obserwowała jego reakcję i była pewna, że jest przestraszony. Do tego pytanie: „Wy też dostaliście rymowanki?” sugerowało, że Apacz był zdziwiony. Inni chyba tego nie dostrzegli. Oskar zdążył się opanować. Znowu kipiał humorem.

– No dobrze, drodzy państwo! – wykrzyknął. – To był ostatni raz.

Podszedł do Anki, objął ją ramieniem i spojrzał jej w oczy.

– Obiecuję, że więcej nie będzie żadnych głupich maili.

Nachylił się i musnął wargami jej usta.

– No proszę, jaka niespodzianka! – parsknęła Daenerys.

Fiolka nie mogła uwierzyć w to, co się właśnie stało. Wodziła za Oskarem rozmarzonym spojrzeniem od pierwszej klasy gimnazjum. Śniła o takiej chwili. Całe jej zdenerwowanie zmieniło się w euforię.

– Halo! – zaprotestował Don Pedro. – Umawialiśmy się: żadnych romansów! To koniec naszego klubu!

Apacz zmierzył go kpiącym spojrzeniem.

– To było w podstawówce, Tymuś! Teraz trochę wydorosleliśmy, prawda?

Ostatnie słowa skierował do Fiolki wtulonej w jego ramię. Uśmiechnęła się jak idiotka, kiwając głową.

– Przestań, Pedro – rzuciła Werka. – Nie można stawać na drodze prawdziwego uczucia!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Potem siedzieli w cieniu drzewa przy trzepaku i rozmawiali jak zwykle. Mateusz i Tymon skoczyli do sklepu, przynieśli kilka puszek

zimnego tyskiego i atmosfera znacznie się polepszyła. Oczywiście stawał Tymon, który zawsze miał jakieś pieniądze w przepastnych kieszeniach spodni. Wreszcie rozeszli się do domów.

Fiolka została z Apaczem. Pocałował ją znowu, tym razem śmieiej.

– I co teraz? – zapytała.

– Żyli długo i szczęśliwie – zażartował i pociągnął ją za rękę.

Poszli przez Kuźniki.

– Muszę coś załatwić na Popowicach, a potem zabieram cię na lody do Tralalala – powiedział.

– Masz tyle kasy?

Apacz raczej nie śmierział gotówką.

– Mam fundusz na szczególne okazje. – Puścił do niej oko.

Pojechali autobusem 122 na Kwiską, dalej poszli pieszo, rozmawiając. Anka czuła, że jest inaczej niż zwykle. Oskar ją rozśmieszał, czasem obejmował ramieniem, szeptał do ucha miłe słowa.

Nawet nie wiedziała, kiedy doszli na Białowieską, pod bramę dziesięciopiętrowego bloku oznaczoną numerem 42. Apacz zatrzymał się i znowu ją pocałował.

– Poczekaj tu chwilę. Muszę coś załatwić.

Nacisnął przycisk na domofonie i rzucił jeszcze w jej kierunku:

– Pięć minut!

Fiolka przystanęła w cieniu rzucanym przez wielki blok.

Pięć minut zmieniło się w dziesięć. Anka wpatrywała się w niebo. Właśnie nadlatywał helikopter, po barwach poznała, że to śmigłowiec medyczny. Zapatrzyła się na niego.

Nagle jakiś cień na ułamek sekundy przysłonił światło. Zaraz potem rozległ się huk, kiedy coś spadło na ulicę dwa metry przed nią. Chmura drobinek jakiejś cieczy uderzyła ją w twarz. Anka odruchowo zacisnęła powieki. Po chwili otworzyła oczy i spojrzała na swoje ręce i ubranie. Były czerwone, jakby ktoś pochlapał ją farbą.

Rozejrzała się zdezorientowana. W jednej sekundzie poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

Tam leżał człowiek.

A właściwie to, co z niego zostało po upadku z dużej wysokości. Pod leżącym rosła szybko kałuża krwi. Anka jak nieprzytomna popatrzyła jeszcze raz na ręce i ubranie. Jej zszokowany umysł zaczynał z wolna pracować normalnie. Słyszała krzyki i odgłos kroków biegnących w jej kierunku ludzi. Jakiś samochód zatrzymał się z piskiem metr od leżącego.

Przyjrzała się uważniej. Zmasakrowane i zakrwawione ciało zatraciło ludzkie kształty. Wyraźnie jednak dostrzegła długie czarne włosy.

W jednej chwili z nieba trafiła na dno piekła. Zaczęła krzyczeć.

Rozdział 5

Najgorsze były robaki.

Widział wyraźnie, jak przesuwają się pod skórą na przedramionach. Niektóre długie, bladożółte, inne trochę mniejsze, fioletowe i bardzo ruchliwe. Najgorsze jednak były te małe, czarne. Próbowaly przegryźć wierzchnią warstwę skóry i wydostać się na zewnątrz. Wtedy skóra się naprężała, wybrzuszała nienaturalnie i wydawało się, że w każdej chwili może pęknąć, a fala wszelkiego robactwa, które rozwijało się w jego martwym ciele, chluśnie na podłogę wraz z resztkami jego zgniłych trzewi.

Ale to jeszcze nie dzisiaj – pomyślał zadowolony. Dzisiaj ten chłopak dał mu siłę i moc do przetrwania jeszcze kilku dni. Będzie mógł utrzymać w równowadze gnijące ciało.

Ilu umierających ludzi błaga Boga o „jeszcze kilka dni”? Zazwyczaj ich prośby trafiają w pustkę. Tymczasem na niego sphywała niezwykła łaska. Był już od dawna martwy, a ciągle udawało mu się opóźnić rozpad ciała i kompletną dezintegrację.

Usiadł przy starym biurku z wypaczonym przez wilgoć blatem i włączył komputer. Podczas gdy ładował się system operacyjny, obejrzał swoje przedramiona i obmacał dokładnie brzuch. Wciskał palcami wszystkie wypukłości, na które natrafił. Nie, to nie był jeszcze czas czarnych robaków.

Zanim położył palce na klawiaturze komputera, stwierdził, że smród jego gnijącego ciała będzie go rozpraszał. Sięgnął do szuflady biurka, gdzie zgromadził spory zapas dezodorantów, i spryskał się obficie jednym z nich. Poczł się lepiej.

Zaczął pisać.

Śmierciór nie zmienia zdania

Na kogo wypadnie, na tego bęc! Raz, dwa, trzy, umierasz ty!

Śmierciór stał na dachu bloku, patrząc na miasto. Był zafascynowany. Życie miasta gnało na złamanie karku do kresu czasu, tam gdzie rzeczywistość spada na krawędź świata. A nad tym wszystkim unosił się pył. Szary pył czasu, który później opadał na dachy domów, na korony drzew, na chodniki i ulice, na ludzi spieszących donikąd, na skrzypiące tramwaje, na sunące w obłądnym ciągu samochody. Pył istnienia, pył śmierci, pył zatracenia.

Śmierciór wiedział, że wszystko kiedyś zgnije, przykryte pyłem, zmienione w proch. Chciał to zobaczyć. Wiedział, że to kiedyś zobaczy. Był cierpliwy.

Drgnął na odgłos kroków z tyłu. Chłopak śmierdział strachem, a na jego twarzy gościła niepewność. Śmierciór łaskawie pozwolił mu mówić.

– To się musi skończyć. Nie może być już żadnych losowań. Przestań wysyłać te pierdolone rymowanki do moich przyjaciół. Przecież się umawialiśmy, że to koniec.

Nic nie zatrzyma Koła Fortuny, kiedy ktoś nim zakręci. Nie ma na ziemi takiej mocy, która byłaby w stanie zmienić los, dopomóc szczęściu, sprowadzić zgubę.

– Śmierciór z nikim się nie umawiał. Koło Fortuny się kręci.

– Jak to? Sam mówiłeś...

– Śmierciór nigdy nie zmienia zdania. Muszę zabić robaki, które mnie zżerają od środka. Podaruj mi swoje życie.

Chłopak cofnął się o krok. Był przerażony, kiedy Śmierciór pokazał mu swoje prawdziwe oblicze. Cuchnął przerażeniem. Ale nie było już odwrotu.

– O czym ty mówisz?

- *Świat jest brudny i zły, choćbyś nie chciał, wygrywasz ty!*
- *Co?*
- *Taką wiadomość wczoraj dostałeś, prawda? Śmierciór nie zmienia zdania i musi czynić swoją powinność.*
- Kiedy chłopak upadał, Śmierciór pomyślał, że to, co robi, jest dobre i miłosierne.*
- Świat pewnie by chciał, żeby zniknął na wieki. Śmierciór jednak wiedział, że niedługo powróci.*

Zapisał swoje dzieło, po czym odszukał w Internecie właściwą stronę i opublikował opowiadanie.

Odetchnął z ulgą. Robaki w jego ciele zadrżały i nagle przestały się ruszać.

Rozdział 6

Stara drukarka atramentowa HP zazgrzytała, wciągając kartkę papieru. Głowica z tuszem przesuwiała się po przewodnicy, cierpliwie drukując linijkę po linii. Poszedł do kuchni i nalał sobie kawy z ekspresu. Gdy wrócił, na drukarce czekały już na niego dwie zadrukowane kartki. Zaczął czytać w skupieniu.

Śmierciór na dworcu kolejowym

Ding-dong!

Śmiercióra fascynowały dworce kolejowe. Zarówno te małe, położone gdzieś przy bocznych trasach żelaznej kolei, na zadupiu, w zabitych dechami dziurach bez nazwy, jak i te ogromne w wielkich miastach, gdzie przewalały się tłumy ludzi.

Ding-dong!

„Pociąg osobowy z Pierdołowa przez Wygwizdów do Czarnej Dupy wjeżdża na tor fyfdziesiąty przy peronie fyfnastym! Proszę zachować ostrożność!”

Ding-dong!

Chwilę później było słychać huk wtaczającej się na peron kupy żelastwa, przeraźliwy gwizd zardzewiałych hamulców, które wydawały z siebie najgłośniejsze jęki na sekundę, zanim skład zatrzymał się na peronie. Potem trzask drzwi i szara ludzka masa tocząca się do schodów podziemnego przejścia. Blade, jednakowe twarze bez wyrazu. Teczki, walizki, plecaki, torby na laptopy. Ubrania zlewające się w bezgustowny nieład i kurz. Kurz unoszący się spod

nóg pędzącej tłuszczy, który z wolna podnosił się nad głowy ludzi, a później opadał na puste perony, ławki i schody, kiedy tylko ostatni podróżny zniknął, spiesząc do swojego życia. Kurz czasu.

Ale tylko Śmierciór widział ten kurz.

Małe, zżarte przez czas dworce kolejowe, śmierdzące moczem, były zupełnie inne. Nosiły na sobie nieubłagane piętno czasu. Tutaj kurz był jeszcze większy niż na dużych dworcach. Drapieżnie pokrywał wszystko grubą warstwą, bezwzględnie ciągnąc budynki i perony na kres czasu, tam gdzie rzeczywistość spada na krawędź świata.

Mężczyzna miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Śmierciór wypatrzył go pośród kurzu, kiedy już śmierdząca potem szara ludzka masa zniknęła w podziemnym przejściu prowadzącym do holu dworca. Tamten był ludzkim wrakiem. Jego dłonie pokryte były plamami przewlekłej śmiertelnej choroby, gdzieś na dnie oczu jarzyła się tęsknota za kresem cierpień. Kres miał przynieść wybawienie. Później nie będzie już zimno, nie będą bolały wrzody na dupie, z których sączyła się cały czas cuchnąca nieprzyjemnie ciecz, zjedzone przez próchnicę zęby nie będą ćmić bólem przenikającym aż do wnętrza głowy. Może nawet nie będzie głodu.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. A może nie chciał zwracać? Śmierciór przykucnął obok i powiedział:

– Chodź ze mną. Pomóż mi. Jesteś moją wielką nadzieją.

– Pierdol się, zboczeńcu...

Wtedy Śmierciór rozpostarł ręce i pokazał mu swoje chore ciało.

– I tak jesteś gnijącym trupem. Sczeźniesz i rozsypiesz się w proch. Ja daję ci szansę, żeby twoja śmierdząca i zaszczana egzystencja na tym padole trupów miała jakiś sens. Daj mi swoje życie.

– Ja cierpię...

– Chodź ze mną, a przestanieś cierpieć. Pomóż mi zabić robaki, które zżerają mnie od środka. Podaruj mi swoje życie.

Poszli razem, coraz bardziej oddalając się od ludzkiego zgiełku i ulicznych świateł zakłócających naturalną czerń nocy. Poszli przez czas i przestrzeń na spotkanie z przeznaczeniem. A Śmierciór wiedział, że to, co robi, jest dobre i miłosierne.

W parku Śmierciór pokazał mężczyźnie sznur i pętlę zwisającą z gałęzi drzewa. Potem czynił swoją powinność. Zadumał się nad niesprawiedliwością świata i poszedł przed siebie, aż zniknął w ciemnościach nocy.

Świat pewnie by chciał, żeby zniknął na wieki. Śmierciór jednak wiedział, że niedługo powróci.

*

Przeczytał tekst kilkakrotnie i zamyślił się, patrząc w okno. Najpierw myślał o nieznanym autorze opowiadania, potem już tylko błędził wzrokiem po dachu kamienicy sąsiadującej z jego budynkiem i obserwował dwa gołębie. Ocknął się z rozmyślań, kiedy zerwały się i odleciały spłoszone.

Kawa wystygła.

Odłożył kartki z opowiadaniem i sięgnął po gruby segregator z wycinkami prasowymi i wydrukami ze stron internetowych. Wszystkie były poukładane chronologicznie. Przerzucał je, zerkając tylko na nagłówki. *Samobójstwo czy morderstwo?, Tragedia we wsi Lutomierz – ojciec morduje rodzinę i sam popełnia samobójstwo, Nieznajomy mężczyzna rzucił się z mostu, Samobójstwo dwójki nastolatków.* W końcu znalazł interesujący go wycinek. Kilka zdań pośród innych wiadomości miejskich wydrukowanych w „Gazecie Wrocławskiej” 21 lipca zeszłego roku.

Makabrycznego odkrycia dokonał mieszkaniec ulicy Suchej w piątkowy poranek. Będąc na porannym spacerze z psem w pobliskim parku, natknął się na wiszącą na gałęzi jednego z drzew zwłoki młodego mężczyzny. Wezwany na miejsce zdarzenia lekarz

pogotowia ratunkowego orzekł zgon. Przyczyną zgonu było prawdopodobnie powieszenie. Z nieoficjalnych informacji wynika, że mężczyzna był bezdomnym, widywano go często w okolicach Dworca Głównego PKP. Nie są znane przyczyny samobójstwa. Policja prowadzi w tej sprawie czynności wyjaśniające.

Treść informacji doskonale pasowała do znalezionego w Internecie opowiadania. Włożył oba teksty do foliowej koszulki i czarnym flamastrem nadał jej kolejny numer wypisany starannie w prawym górnym rogu – 16.

Rozdział 7

Bożena Wysocka nie spała. Wsłuchiwała się w odgłosy nocy i czekała na uderzenia starego ściennego zegara wiszącego w salonie. W nocy bicie słychać było bardzo wyraźnie.

Do jej uszu dobiegł dźwięk dwóch uderzeń. Druga w nocy. „Czas tajemnic” – szepnęła bezgłośnie i zaśmiała się w duchu. Jej mąż, prokurator Dariusz Wysocki, spał obok. Słyszała jego miarowy oddech, czasem z gardła wydobywało mu się pochrapywanie.

Cicho wstała i przez chwilę obserwowała męża. Upewniwszy się, że mocno śpi, ruszyła bosą w kierunku schodów prowadzących z sypialni na parter. Drewniane stopnie skrzypiały, Bożena jednak znała je doskonale, wiedziała, gdzie stanąć. Jak duch w białej nocnej koszuli spłynęła na dół. Nie zapalała światła. Podczas nocnych rozmyślań nie zamykała oczu, dlatego były przyzwyczajone do ciemności.

Na dole przeszukała dokładnie torbę męża, potem kieszenie jego spodni i marynarki. Często to robiła. Wysocki notorycznie ją zdradzał i oszukiwał, traktował jak głupią kurę domową. A ona była bardzo przebiegła. Przecież gdyby nie zaszła w ciążę, też zostałaby prokuratorem.

Wiedziała o wszystkich jego romansach. Na początku się nimi przejmowała, wreszcie jej zobojeźniały. Z wyjątkiem jednego.

Tym razem w kieszeni marynarki zabręczały klucze. Bożenie szybciej zabiło serce. Jej mąż miał jedną tajemnicę, której jeszcze nie zdołała rozwikłać.

Do ich domu przylegały dwa garaże. W pierwszym parkowali terenowego nissana, drugi nie był używany. Chociaż właściwie Bożena nie miała co do tego pewności. Przed rokiem jej mąż nagle zmienił zamki do tego garażu. Nawet jej nie wytłumaczył dlaczego. Długo ignorował pytania, potem zbywał ją głupimi żartami, wreszcie oświadczył, żeby się tym nie interesowała, bo on potrzebuje miejsca, gdzie nikt nie ma dostępu i gdzie może realizować swoje męskie hobby. Bożena była zdziwiona. Nigdy nie zaobserwowała, żeby Wysocki miał jakieś hobby. Może z wyjątkiem kobiet. Ale kobiet na pewno tam nie zapraszał.

Czasem zamykał się w garażu na kilka godzin, a ona podsłuchiwała pod drzwiami. Słyszała odgłosy stukania, chyba przecinarkę do metalu, coś jakby odgłos palnika acetylenowego.

Od miesięcy starała się znaleźć klucze do garażu. Nie była pewna, czy chodzi o te, ale prawdopodobieństwo było duże. Prokurator Dariusz Wysocki stracił czujność.

Wyjęła klucze i nie zapalając nigdzie światła, poszła do garażu. Przeszła przez pierwsze pomieszczenie, w którym majaczył cień czarnego nissana. Nie lubiła nowego auta. Wcześniej mieli hondę, ale zeszłego lata ktoś ją ukradł i już się nie znalazła, mimo że Darek postawił na nogi połowę policji w mieście. Pewnie pojechała na wschód.

Stała przed drzwiami do drugiego garażu. Klucze nie pasowały. Wróciła na górę. Rozczarowanie zmieniło się w złość.

Mąż spał w takiej samej pozycji, w jakiej go zostawiła. Cicho sięgnęła do skrytki pod parapetem okna. Dotyk chłodnej stali przyprawił ją o zawrót głowy. Poczowała, jak ogarnia ją dziwna euforia. Wyprostowała się i mocno zacisnęła palce na rękojeści pistoletu CZ 75 kaliber 9 milimetrów. Ona też ma swoje skrytki i tajemnice.

Stała w nogach łóżka, podniosła broń i wycelowała w głowę męża. Ze zdziwieniem zarejestrowała, że czuje mrowienie w podbrzuszu. Cudowne uczucie. Jakby wstęp do potężnego orgazmu. Pewnie dlatego niektórzy mężczyźni tak kochają broń.

Zastanowiła się, co by się stało, gdyby teraz strzeliła. Za daleko, mogłaby nie trafić. Zbliżyła się do śpiącego i jeszcze raz wycelowała mu w głowę. Wystarczyło tylko z wyczuciem nacisnąć spust i nie zerwać strzału. Właściwie jego wszystkie zdrady przestały ją interesować. Z wyjątkiem jednej.

Ta cholerna policjantka Paulina. Darek miał czelność się w niej zakochać. Za to należała mu się kula w łeb. Za to, że obdarzył tę pierdoloną dziwkę uczuciem, jakim nigdy nie obdarzył własnej żony. Druga kula należy się dziwce.

Cały czas czuła narastające ciepło w podbrzuszu.

Nacisnęła mocniej palcem wskazującym spust i poczuła, że sprężyna powoli ustępuje.

Rozdział 8

Początek września

W ułamku sekundy koszmar powrócił. Poczuli się, jakby dostała pałką w głowę. Oszołomiona i zszokowana, patrzyła w ekran komputera, czując wszechogarniające zimno.

Nie była gotowa na taki widok. Wiadomość z nieznanego adresu otworzyła odruchowo, myśląc, że to spam. Duże, czarne litery tworzyły zdanie, które wbiło się w jej duszę niby lodowy sztylet:

Szepce ci do ucha miły głos – znowu wylosowałaś pusty los.

Ciągle jeszcze śniły jej się w nocy zmasakrowane zwłoki Apacza leżące w kałuży krwi. Przez pierwsze dni non stop myła twarz i dłonie, ciągle czując na nich jego krew. Jak Lady Makbet. Ale miała nadzieję, że to już mija.

Ten mail wszystko zmienił.

Pierwszego tygodnia po śmierci Apacza Anka Wiśniewska nie pamiętała. Czasem wracały do niej jakieś obrazy: policja, koledzy niosący trumnę, zapłakani rodzice, pochylający się nad nią ratownik medyczny z pytaniem, czy go słyszy. Obrazy były jednak nienaturalnie zniekształcone jak u Goi w ostatnim okresie jego twórczości. Ciąg ciemnych twarzy porażających szpetotą.

Potem bardzo pomogła jej matka – ta sama matka, która od lat żyła w koszmarach po tragicznej śmierci ojca Anki. Z dnia na dzień rzuciła palenie, zaczęła się lepiej ubierać, dbać o siebie. I co najważniejsze, każdą chwilę poświęcała córce. Pomagała jej wrócić do normalnego życia. I kiedy się już prawie udało, przyszedł ten mail. Bezmyślny, brutalny żart... albo i nie...

Fiolka siedziała przed jarzącym się ekranem i wstrząsana dreszczami kiwała się w przód i w tył. Nie miała siły sięgnąć po myszkę i zamknąć okna. Co to, kurwa, jest?! Wreszcie zrozumiała, że nie jest zziębnięta, tylko przerażona.

– Co to, kurwa, jest?! – wypowiedziała głośno swoją ostatnią myśl. Wróciła do rzeczywistości.

Odetchnęła głośno i odważyła się spojrzeć w ekran. Nic się nie zmieniło. Wielkie litery nadal układały się w tę samą upiorną rymowanekę. Sięgnęła po myszkę. Dłoń jej tak drżała, że nie mogła najechać kursorem na krzyżyk zamykający okno w poczcie. Wreszcie trafiła. Opr3495ssh@tlen.pl. Nie знаła takiego adresu. Pocieszyła się, że przecież w Internecie nic nie ginie. Zawsze można namierzyć nadawcę wiadomości po kodzie IP. Poczowała się lepiej.

Nagle pomyślała, że powinna zatelefonować do innych. Może też dostali kretyńskie wiadomości z tego samego adresu? Zanim jednak zdążyła wybrać pierwszy numer, aparat zawibrował jej w dłoni. Na wyświetlaczu zobaczyła, że dzwoni Don Pedro.

– Fiolka, musimy się spotkać. – Tymon Jagla był zdenerwowany. – To nie na telefon. Za kwadrans przy szkole, jak zwykle.

Kiedy się zjawiała, już na nią czekał. Chodził niespokojnie tam i z powrotem. Trzy kroki w jedną stronę, trzy kroki w drugą. Dłonie zacisnął w pięści. Domyśliła się, dlaczego jest wzburzony.

Bez słowa podał jej kartkę złożoną na czworo. Rozwinęła ją. To był wydruk z maila.

Niestety, stary, otrzyj łzy – w tej kolejce wygrywasz TY.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Znowu dopadł ją strach.

– Dostałaś rymowanekę? – zapytał Tymon.

Skinęła głową. Wyrwał jej kartkę z dłoni, zmiął i wyrzucił do pobliskiego kosza.

– Dzwoniłem do reszty – powiedział przytłumionym głosem. – Daenerys dostała coś podobnego, Skucha tak samo, Kwasu i Mateusz też. Nie dodzwoniłem się do Werki, ale ona jest jeszcze na dodatkowych zajęciach w szkole i pewnie nie sprawdzała poczty.

Fiolka zaczynała powoli rozumieć.

– Wszyscy mają rymowanki o pustym losie. Tylko ja... – zawahał się – wygrałem.

Fiolka milczała. Przed oczami znowu miała Apacza. Kiedy powiedziała mu wtedy o mailu, strasznie się zdenerwował, choć starał się to ukryć. A potem ją pocałował i objął. Nagle zrozumiała dlaczego i spojrzała na Pedra jeszcze bardziej przestraszona.

– Posłuchaj, Anka – zaczął, przestępując z nogi na nogę. – Jesteś z nas najrozsądniejsza, dlatego zadzwoniłem do ciebie. Poza tym lubiłaś Apacza i on ciebie też. Przecież nie był typem samobójcy. Nie wierzę, że skoczył z tego cholernego dachu. Nie znałem drugiego tak wesołego i pozytywnego gościa. A przyjaźniliśmy się przecież od przedszkola.

Anka pamiętała, że od kiedy poznała chłopaków, Tymon nie odstępował Apacza. Wyglądało, jakby był jego młodszym bratem – Oskar tak właśnie go traktował. Kiedyś trzech chłopaków ze starszej klasy popychało Tymona na korytarzu. Wtedy zjawił się Apacz – zawsze był wyrosnięty ponad swój wiek – i najzwyczajniej w świecie ich pobił.

– Poza tym miał straszny fart. Nawet kiedy wpadał w kłopoty, zawsze mu się udawało z tego wyleźć obronną ręką. No i podkochiwała się w nim najfajniejsza dziewczyna w szkole.

Na zdziwione spojrzenie Anki Pedro zareagował niecierpliwym machnięciem ręki.

– No przecież o tobie mówię. I on też cię bardzo lubił. Anka, im dłużej o tym myślę, tym większe mam wątpliwości. On nie mógł popełnić samobójstwa. To, kurwa, niemożliwe!

Fiolka poczuła, że po policzkach spływają jej dwie duże łzy.

– On... – Głos jej się załamał. – Myślę... że on wtedy dostał takiego samego maila jak ty.

Tymon zamilkł i poszarzał na twarzy.

– Kiedy mu powiedziałam o swoim mailu, przestraszył się. Wydaje mi się, że pojechaliśmy na Białowieską, bo chciał nas chronić.

– Przed czym?

– Nie wiem.

Znowu te cholerne łzy i ściśnięte gardło. Przełknęła ślinę i otarła policzki.

– Wiem, kto może wysyłać te wiadomości – ciągnęła pewniejszym głosem. – Ktoś, kto wiedział o naszym Klubie Samobójców i o Kole Fortuny.

– Czyli kto?

– Nie wiem. Może któreś z nas się wygadało? Może nawet sam Oskar? Miał przecież mnóstwo znajomych.

Tymon uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– Nigdy mi się ten pomysł z Kołem Fortuny nie podobał – mruknął.

– Tylko jak zwykle uległem Apaczowi. Poza tym zakrzyczeliście mnie.

Na chwilę zamilkł, a potem wreszcie wypowiedział to na głos:

– Posłuchaj... Jeśli ktoś zrzucił Apacza z tego dachu, to znaczy, że ja będę następny? Dostałem przecież ten cholerny wierszyk.

– Jezu, niemożliwe. – Pokręciła głową. – Myślisz, że ktoś Oskara zamordował i teraz... twoja kolej? To jakiś nonsens! – wykrzyknęła. – Nie, to nie może być prawda. Ktoś sobie z nas po prostu robi debilne żarty.

– Ale kto? Po co? – przerwał jej Tymon.

– Chyba nikt z naszej paczki – rzuciła niepewnie.

Tymon jak gdyby się skurczył. Spojrzał jej ze strachem w oczy.

– Fiolka, co ja mam robić? Boję się.

Anka Wiśniewska miała zupełną pustkę w głowie.

– Musimy to zgłosić na policję – wypaliła po chwili.

– Zwariowałaś? Stary mnie zabije, kiedy się dowie, że bez jego wiedzy poszedłem do psiarni.

– To ja pójdę – rzuciła.

– Nie ma mowy. Co za różnica, kto pójdzie?

– W takim razie powiedz o wszystkim ojcu.

Tymon się zawahał. Wszyscy w ich paczce wiedzieli, że miał fatalne relacje ze swoim ojcem, prawnikiem. Kiedyś Mateusz powiedział jej w tajemnicy, że Tymon boi się swojego starego.

– Musisz mu powiedzieć – nalegała. – Mogę pójść z tobą.

– Przestań, Fiolka! Tylko byś zaszkodziła.

Chwyła go mocno za ramię.

– Jeśli mu nie powiesz, jutro idę na policję.

– Powiem.

Uścisnęli się na pożegnanie.

– Uważaj na siebie – szepnęła mu do ucha.

Uśmiechnął się blado i poszedł ścieżką między blokami w kierunku domków jednorodzinnych na Świnoujskiej. Anka odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zniknął za zakrętem.

Bała się. Strasznie się bała.

Rozdział 9

Bożena Wysocka próbowała oglądać wiadomości na TVN24, ale tylko patrzyła w ekran na zmieniające się obrazy. Jej myśli krążyły zupełnie gdzie indziej. Coraz częściej wracały do tamtej nocy, kiedy wycelowała pistolet w głowę śpiącego męża i nacisnęła spust. Wyobrażała sobie, co by się stało, gdyby pistolet był odbezpieczony. Huk. Krwawa wyrwa w skroni i szybko powiększająca się plama krwi na poduszce. Prokurator Wysocki umarłby we śnie. Może śnił o swojej policjantce. Może śniło mu się, że pieprzą się jak króliki w tanim hostelu z pokojami na godziny. Uśmiechnęła się na tę myśl i znowu poczuła, jak w podbrzuszu robi jej się ciepło i przyjemnie. Ciekawe, co powiedziała by ta suka policjantka. „Prokurator Wysocki zginął we własnym łóżku od strzału w głowę. Policja podejrzewa porachunki w świecie przestępczym” – taki mógłby być napis na pasku w TVN24.

– Kochanie, muszę wyjść na godzinkę. – Głos męża dobiegł ją z daleka.

Ocknęła się gwałtownie z rozmyślań. Mąż usiadł przy niej, objął ją ramieniem i pocałował w policzek.

– Wyglądasz jakoś dziwnie – zaniepokoił się. – Źle się czujesz?

W życiu się, kurwa, tak dobrze nie czułam – chciała powiedzieć mu w twarz, ale tylko uśmiechnęła się blado.

– Ostatnio jestem jakaś osłabiona – odpowiedziała. – Chyba za dużo siedzę w domu.

– Może umów się z koleżankami gdzieś na mieście – zaproponował. – Słyszałem, że Agata Słowak i Jolka, narzeczona

prokuratora Romańskiego, co chwilę wychodzą na piwo. Nie dzwoniły do ciebie?

– Dzwoniły, odmówiłam. Ale masz rację – dodała zaraz. – Następnym razem się z nimi wybiorę. Dobrze mi to zrobi.

– Bardzo mądra decyzja – pochwalił ją. – Nie można się ciągle zajmować domem. Jest jeszcze inny świat.

Świat dziwek i takich skurwieli jak ty, zdradzających żony – pomyślała.

Wysocki cmoknął ją jeszcze raz i wyszedł z domu.

Samochód stał na podjeździe. Wysocki wsiadł do nagrzanego wnętrza, uruchomił silnik, poczekał, aż brama się automatycznie otworzy, i wyjechał na drogę. Do parku Brochowskiego dojechał w trzy minuty. Zaparkował na skrzyżowaniu Wiaduktowej i Konduktorskiej, obok boiska piłkarskiego, i zgasił silnik. Był kilka minut spóźniony, ale nawet go to cieszyło. Niech tamten trochę poczeka, niech wie, kto tu rozdaje karty. Przeszedł na drugą stronę ulicy i wreszcie znalazł się na miejscu spotkania. Żar lejący się z nieba był nie do wytrzymania.

Zielony labirynt powstał w ramach projektu rewitalizacji parku na Brochowie w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, na tyłach hotelu Brochów. Tworzące labirynt graby miały około dwóch metrów wysokości i śmiałkowie zapuszczający się do środka musieli się nieźle nachodzić, zanim udało im się znaleźć wyjście. Wysocki przeżył taką przygodę na własnej skórze, kiedy córki zaciągnęły go tu na spacer. Weszli razem, ale potem dziewczynki uciekły, zostawiając go samego. Trafienie do wyjścia zajęło mu dobre kilka minut. Na szczęście zasada skręcania tylko w prawo świetnie się tu sprawdziła. Córki śmiały się z tego dowcipu kilka miesięcy.

Mężczyzna już czekał. Miał koło pięćdziesiątki, ale ubierał się na sportowo, żeby wyglądać młodziej. Starannie przystrzyżone włosy zafarbował na czarno, może by ukryć siwiznę. Wąsy i hiszpańska bródka dopełniały całości. Pewnie dlatego tak podobał się kobietom. Według policyjnej kartoteki, którą Wysocki dokładnie przestudiował

przed spotkaniem, facet dawno temu się rozwiódł, miał dziecko z kobietą, którą też już zdążył zostawić, a potem był w jeszcze kilku nieformalnych związkach.

Stanęli naprzeciw siebie.

Wysocki wyciągnął otwartą dłoń i powiedział krótko:

– Telefon.

Jednym takim gestem zyskał przewagę psychologiczną i wiedział, że nie straci jej do końca rozmowy.

– Wyłącz telefon.

Facet posłusznie wyłączył swój smartfon.

– Pokaż, co masz w kieszeniach.

Mężczyzna wyjął dokumenty, kluczyki od auta i papierosy.

– Rozepnij i rozchyl koszulę.

Wysocki nie patrzył długo. Nie interesowała go męska owłosiona pierś, tylko ewentualny podsłuch.

– Idziemy – rzucił i wszedł do labiryntu.

Mężczyzna bez słowa poszedł za nim. Doświadczenie zdobyte dzięki dowcipowi córek pozwoliło Wysockiemu szybko dotrzeć do centrum labiryntu, o tej porze na szczęście całkiem pustego.

– Wiesz, dlaczego chciałem się z tobą spotkać? – zapytał bez żadnych wstępów.

– Nie mam pojęcia.

– Ponieważ jesteś byłym mężem Pauliny Czerny. Wyświadczysz mi przysługę. – Prokurator patrzył na tamtego nieruchomym wzrokiem.

– Jaką? – padło ostrożne pytanie.

– Paulina ma w domu kompromitujące mnie fotografie. Zdobędziesz je i mi oddasz. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz.

– Co to za zdjęcia?

– Jestem na nich z dwiema dziewczynami w sytuacji, powiedzmy... *in flagranti*.

Mężczyzna pokiwał ze zrozumieniem głową. Szybko przeszedł do konkretów, co bardzo Wysockiego ucieszyło.

– Co będę z tego miał?

– Raczej czego z tego nie będziesz miał.

– Jaśniej, proszę.

– Jesteś zadłużony po uszy, ściga cię czterech komorników. Ale to nie jest twoje największe zmartwienie. Wspólnicy spółki Extres, której prezesem byłeś przez ostatnie dwa lata, złożyli zawiadomienie do prokuratury. Oskarżają cię o działanie na szkodę spółki i sprzeniewierzenie kilku milionów złotych. Ja prowadzę to postępowanie. Jeśli się nie zgodzisz, wsadzę cię do więzienia na co najmniej dwa lata. Do tego dołożę zakaz prowadzenia działalności gospodarczej, a sąd zasądzi odszkodowanie na grube miliony. Będziesz w czarnej dupie.

– A jeśli się zgodzę?

– Maksymalnie przeciągnę postępowanie. Być może uda się przedawnić oskarżenie. W najgorszym razie dostaniesz wyrok w zawiasach i kilkadziesiąt tysięcy nawiązki. Wspólnicy Extresu będą musieli założyć sprawę cywilną o zwrot zdefraudowanych pieniędzy. A to potrwa. Sądy są strasznie przeładowane. Żeby nie było, że chcę cię wykorzystać, dołożę pięćdziesiąt tysięcy gotówką jako zwrot kosztów odzyskania zdjęć. To chyba uczciwa propozycja?

– Bardzo ci zależy na tych fotkach.

– Gównu cię to obchodzi! – Wysocki podniósł głos. – Wszystkie zdjęcia mają trafić do mnie, jasne? Nie próbuj się ze mną kontaktować. Niedługo się odezwę.

Prokurator Wysocki odwrócił się i ruszył najbliższą ścieżką porośniętą z obu stron wyższymi od niego drzewami.

– Poczekaj pięć minut, zanim za mną pójdziesz – rzucił na odchodne. – Lepiej, żeby nikt nas nie widział razem.

Kiedy zniknął za zieloną ścianą, usłyszał jeszcze pełne niepokoju pytanie:

– Hej! Jak ja, do cholery, mam stąd wyjść?!

Wysocki uśmiechnął się i powiedział do siebie:

– To nie jest twój największy problem.

Rozdział 10

Zdjęcie na nagrobku przedstawiało roześmianą ciemnowłosą dziewczynę patrzącą prosto w obiektyw. Jego ukochana siostra. Wciąż nie mógł uwierzyć, że minęły już cztery lata. Pewnej deszczowej niedzieli w listopadzie uszczelniła okna i szpary w drzwiach watą, zrobiła sobie kawę w ekspresie i usiadła przy kuchennym stole.

„Odkręciła gaz, nie zapukał nikt na czas...” – śpiewał Grzegorz Markowski w *Autobiografii*. Tak samo było z Kasią.

Ale czy na pewno sama odkręciła kurki?

Na początku miał do siebie pretensje, że nie zauważył, kiedy zaczęło się z nią dziać coś dziwnego. Przygasała, robiła się apatyczna, rzadziej do niego dzwoniła, spotykali się też nie tak często, jak dawniej. Jej zachowanie wytłumaczył sobie zmęczeniem pracą i jesienną chandrą. Później miał do niej żal. Byli sobie bardzo bliscy, zwierzali się z najskrytszych tajemnic, a ona mu nie powiedziała, że dzieje się coś niedobrego.

Przez minione cztery lata jego myślenie o ostatnich chwilach Kasi uległo diametralnej zmianie. A jeśli to nie była depresja, tylko... strach? Może ktoś ją przeraził? Może dłoń, która przekręciła kurki i zamknęła drzwi do kuchni, nie była jej dłonią?

Pamiętał wszystko ze szczegółami, jakby przeżywał to wielokrotnie. Może zresztą tak było. Śnił koszmary, które zawsze zaczynały się od momentu, kiedy wchodził do pokoju Kasi i siadał przy jej biurku.

*

Pamiętał jak dziś. Był 29 listopada. Od trzech dni padał deszcz ze śniegiem, temperatura utrzymywała się w granicach zera, niebo pokrywały ciemnoszare, ciężkie chmury. Rodzice zaprosili go na obiad. Po obiedzie ojciec poszedł do kuchni, wyjął z lodówki zmrożoną butelkę wódki i rozlał do dwóch kieliszków. Wódka była gęsta jak olej i zimna jak Antarktyda.

Pół godziny później mama podała kawę i karpatkę, a on, trzymając talerzyk z ciastem w jednej ręce i szklankę z kawą w drugiej, ośmielony wypitym alkoholem, poszedł do pokoju Kasi i usiadł przy jej biurku. Nic tu się nie zmieniło, nie było nawet drobinki kurzu. Na obudowie monitora komputerowego wciąż przyklejone były żółte karteczki post-it. Tylko tusz trochę wyblakł.

Zadzwoń do Joaśki.

W czwartek ciuchy z pralni!

Projekt na piątek – deadline!

Zapomnieć o tym świrze.

Kim był świr?

Upił kawy ze szklanki, wziął do ust kawałek karpatki i sięgnął po papiery leżące na kupce z boku biurka. Przeglądał je machinalnie i nagle zamarł. Później nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego niebieska karteczka zrobiła na nim takie wrażenie.

*

Zapalił lampkę i postawił na płycie nagrobka.

– Muszę już iść, Kasiu – powiedział.

Zapalił e-papierosa i odszedł. Pod jego stopami chrzęściły kamienie, którymi wysypana była ścieżka. Po chwili wyszedł na wyasfaltowaną główną aleję cmentarza Osobowickiego, największej nekropolii w mieście, i ruszył w kierunku kaplicy. Minął dobry

kwadrans, zanim znalazł się na parkingu. Jechał wolno do domu, cały czas błądząc myślami w przeszłości.

Na niebieskiej kwadratowej kartce wyrwanej z biurowego notatnika w kształcie kostki ktoś napisał rozchwianymi literami:

Śmierciór o Tobie pamięta.

Tamtego wieczoru tak długo wpatrywał się w ten napis, aż wreszcie wypity alkohol zwyciężył jego umysł, przywołując sen. Potem zapomniał na całe trzy miesiące.

Karteczka wpadła mu ponownie w ręce podczas robienia porządków. Właśnie skończył cykl artykułów o przemoc seksualnej w rodzinie. Część materiałów wpinał do segregatorów, ale większość łądowała w koszu na śmieci.

Przerwał wtedy sprzątanie i odruchowo w Google wpisał hasło „*Śmierciór*”. W ten sposób znalazł cztery opowiadania opublikowane na jakimś nędznym blogu literackim. Zamieszczano tam wszystkie śmieci, które przysyłali marzący o Literackiej Nagrodzie Nobla grafomani. Traf chciał, że pierwszy tekst, który znalazł, nosił tytuł *Śmierciór dotrzymuje obietnic*. Przeczytał opowiadanie i natychmiast skojarzył treść z prawdziwym zdarzeniem: we wsi Lutomierz ojciec zamordował żonę i dwójkę dzieci, a potem powiesił się w stodole.

*

Od tego czasu upłynęło prawie trzy i pół roku.

Szesnaście opowiadań o Śmierciórze w większym lub mniejszym stopniu nawiązywało do prawdziwych wydarzeń.

W domu usiadł w fotelu i popadł w ponurą zadumę.

A jeśli się myli? Może to tylko kolejna faza paranoi, w którą pogrąża się z wolna, nieświadomy własnego obłądzenia?

– Nie – odpowiedział głośno sam sobie.

Jest zdrowy i w pełni świadomy tego, co robi. Wariat nie przyzna się do swojej choroby, ponieważ jej sobie nie uświadamia. Dopóki dopadają go wątpliwości, na pewno jest normalny.

Miał w komputerze jeszcze sześć opowiadań o Śmierciorze, których nie potrafił powiązać z tragediami opisanymi w mediach.

Coś powinien zrobić. Nie mógł siedzieć beczynn timer i godzinami wpatrywać się w gołębier za oknem.

Odstawił kawę na biurko, sięgnął po telefon i wybrał znajomy numer. Po chwili w słuchawce usłyszał głos swojego szefa:

- Co jest, Krzysiek?
- Mam temat.

Rozdział 11

Odkąd sięgał pamięcią, sprowadzał na siebie kłopoty.

Zaczął się w szkole podstawowej. Koledzy robili złośliwe żarty nauczycielom albo koleżankom z klasy, a na gorącym uczynku łapano tylko jego. Zawsze znajdował się w nieodpowiednim czasie w jeszcze mniej odpowiednim miejscu. To jego nauczyciele przyłapywali w szkolnej toalecie na fajce, to na niego spadały przewiny kolegów.

Przez lata się przyzwyczał. Taka karma. Miał nawet własną teorię tłumaczącą życiowe niepowodzenia. Matka dała mu na imię Gotard. Nie można było mieć gorszego imienia. Przy Gotardzie bladły nawet takie obciachowe imiona, jak Izydor, Franciszek, Eustachy czy Zenon.

W podstawówce każda odmienność była karana wykluczeniem z grupy „normalnych” i izolacją. Poza tym można było dorobić się głupiej ksywy. Sionek, Łysy, Blady, Smrodek, Milord – te nie były jeszcze najgorsze. Z takim imieniem mógłby spokojnie dostać gorszą ksywkę. Na szczęście dość wcześnie wpadł na genialny pomysł. Nie przedstawiał się własnym imieniem, tylko od razu podawał ksywkę, którą sam wymyślił – Parol. Pomysł był prosty i genialny. Został Parolem. Nikt go inaczej nie nazywał, niektórzy jego znajomi nawet nie wiedzieli, jak naprawdę ma na imię.

Fatum miało się skończyć, gdy zaczął pracować w policji kryminalnej. Młodszy aspirant „Parol” Szawczak – długo rozpierała go duma, kiedy wymawiał te słowa codziennie rano, patrząc sobie w oczy w lustrze w łazience.

Ale nagle fatum wróciło. Oczywiście w gorszym momencie. Stracił czujność, dał się zaskoczyć. Był na siebie za to wściekły.

Wszystko przez zmęczenie i pośpiech. Od czterdziestu ośmiu godzin niemal nie spał. Marzył tylko o tym, żeby położyć się do łóżka, zawinąć w koc i zniknąć dla świata na cały weekend. Ale wcześniej musiał kupić działkę.

Był piątkowy wieczór. W klubie, jak zawsze po długim tygodniu pracy, w rytm ogłuszającego techno, przy mrugających hipnotyzująco światłach, bawiło się na parkiecie kilkaset osób. Przecisnął się do baru. Tutaj też wszystkie miejsca były zajęte. Na szczęście kojarzył jednego z barmanów. Nie znał jego imienia, tylko ksywkę z sieci – Jurand. Poznali się dwa lata wcześniej na mistrzostwach świata w Counter-Strike’u. Potem zdarzyło im się parę razy współpracować. Zastępowali się w nielegalnych sieciowych turniejach, dzieląc się po połowie kasą z wygranych. Niestety, rynek szybko się skiepscił i musieli sobie radzić na własną rękę.

Jurand bez słowa postawił przed nim butelkę piwa i odszedł obsługiwać innych klientów. Parol się napił. Nagle głowa zaciężała mu w ramionach, a powieki same zaczęły się zamykać.

Ostatnie dwie noce spędził w wirtualnym świecie. Najpierw na zlecenie klienta z Nowej Zelandii zastępował go w jakimś lokalnym sieciowym turnieju w League of Legends. Nawet nieźle mu poszło, przegrał dopiero w finale i zleceniodawca był bardzo zadowolony. Na konto Parola wpadło kilka setek dolarów. Co prawda australijskich, ale i tak opłacało się zarwać noc. Druga przeleciała na mniej opłacalnym zajęciu. Odezwał się znajomy z Warszawy, zawodowo zajmujący się biznesem gier w wirtualnym świecie. Akurat pilnie potrzebował kogoś do pewnego zlecenia, więc stawka była o kilka procent większa niż zwykle.

Po dwóch nieprzespanych nocach z rzędu w pracy dopadła go totalna śpiączka. Przez cały dzień wypił chyba ze dwa litry czarnej kawy i kilka puszek napojów energetycznych. Niewiele pomogło.

Siedział wpatrzony w ekran komputera i oczy same mu się zamykały. Nie potrafił logicznie myśleć. Co chwilę wpadał w letarg, a raz nawet przysnął na parę minut. Jak na złość, szef ciągle do niego przychodził i pytał o postępy – Parol przeglądał bazę Interpolu, poszukując osób pasujących do profilu sporządzonego przez policyjnego psychologa. Współpracowali z londyńską policją przy wyjaśnieniu zabójstwa wśród tamtejszej Polonii.

Właśnie w takich okolicznościach wpakował się w kłopoty.

Dopił piwo i znużonym wzrokiem rozglądał się za dilerem. Nazywali go Tinky Winky, nie wiadomo dlaczego – nie miał w sobie nic z oryginału. To był kawał skurwysyna, który bez mrugnięcia okiem sprzedałby towar nieletniej córce swojego najlepszego przyjaciela. Nigdzie go nie dostrzegł. Czuł, że nie jest w stanie dłużej czekać przy barze, bo za kilka minut po prostu zaśnie. Zapłacił za drinka i obijając się o gości klubu, ruszył w kierunku uchylonych drzwi prowadzących na zaplecze. Goście nie mogli tam wchodzić, drzwi pilnował wielki ochroniarz o twarzy wkurzonego mutanta. Tinky Winky zabierał czasem Parola za te drzwi i zapowiedział ochroniarzowi, żeby go wpuszczał. Teraz goryl tylko spojrzał na niego z góry i skinął głową.

Parol wszedł na zaplecze klubu i już nie miał odwrotu.

Krótki, słabo oświetlony korytarzyk z drzwiami po obu stronach prowadził do pomieszczenia, w którym urzędował Tinky Winky. Potem zakręcał w prawo i biegł na zaplecze do kuchni i magazynów. Zza uchylonych drzwi dochodziły głosy. Jeden z nich na pewno należał do dilera.

Dopiero tuż przed drzwiami Parol zrozumiał, o czym mówią mężczyźni. Targowali się. Zawahał się i zastygł w bezruchu. Już chciał się bezszelestnie wycofać, kiedy drzwi gwałtownie się uchyliły i stanął w nich Tinky Winky. Jeden rzut oka za jego plecy wystarczył, żeby prawidłowo ocenić sytuację. Na stoliku stała torba z pieniędzmi, a obok leżało kilka woreczków z białym proszkiem. Dwóch facetów

w skórach patrzyło na niego z zaskoczeniem. Stojący bliżej wejścia wysoki brunet sięgał po coś za połę skórzanej kurtki.

Pistolet!

– Parol, co ty tu, kurwa, robisz?! – zapytał ostro Tinky Winky.

W jego mętnych oczach malowała się złość.

– Chciałem tylko... – zaczął Szawczak, czując strach zaciskający mu się jak pętla na szyi, ale nie dokończył.

Tinky Winky wyraźnie się rozluźnił.

– Ja pierdołę, ten przygłup przy drzwiach cię wpuścił? Ja go kiedyś zajebię! Mówiłem mu jasno, żeby nikogo nie wpuszczał. W porządku. – Machnął do mężczyzn z tyłu.

Brunet wyciągnął dłoń spod kurtki, lecz obaj pozostali czujni i nieufni.

– Chciałem tylko kupić działkę – powiedział Parol.

Tinky Winky wyciągnął z kieszeni dwie paczuszki.

– Zapłacisz później, a teraz spierdalaj, bo mam ważnych klientów.

Parol odwrócił się na pięcie i prawie biegiem ruszył z powrotem na salę, skąd dochodziło głucho dudnienie muzyki. Po kilku krokach się zatrzymał, rejestrując jakiś ruch za plecami. Odwrócił się wolno i zastygł jak sparaliżowany.

Mężczyzna ubrany był na czarno. Poruszał się jak drapieżne zwierzę – szybko, pewnie i cicho. Wyszedł z drugiego końca korytarza i stanął przed niedomkniętymi drzwiami, za którymi handlarze dobijali właśnie targu. Może Parol nie zwróciłby na mężczyznę uwagi, gdyby nie dostrzegł w jego dłoni pistoletu z tłumikiem.

Patrzył, jak stojący do niego tyłem nieznajomy w czerni popycha lekko drzwi. Niczym na zwolnionym filmie drzwi się uchylają, a on pewnie robi krok naprzód i unosi broń do strzału.

Tylko w filmach kryminalnych odgłos wystrzału z pistoletu z tłumikiem przypomina trzask. W rzeczywistości wystrzał jest o wiele głośniejszy – jednak nie na tyle głośny, żeby zagłuszyć dudnienie basów wydobywające się z głośników. Parol wiedział, jak

brzmi pistolet z tłumikiem. Usłyszał pierwszy strzał. Do jego uszu wyraźnie doleciały też kolejne odgłosy.

Pierwszy zginął Tinky Winky, który zareagował na ruch otwieranych drzwi. Pewnie myślał, że Parol wraca po jeszcze jedną działkę. Pierwszy pocisk trafił go w klatkę piersiową, drugi w tętnicę szyjną, trzeci w twarz. Fontanna krwi trysnęła na ścianę. Zanim Tinky Winky upadł, umarł jeden z jego kontrahentów, trafiony w brzuch i w twarz. Drugi nie zdążył sięgnąć po broń. Dosięgły go trzy kule.

Parolowi wydawało się, że w jednej sekundzie rzeczywistość stanęła.

Zabójca odwrócił głowę i ich spojrzenia się skrzyżowały. Przez ułamek sekundy Parol dostrzegł twarz. Od razu wiedział, że nie zapomni jej do końca życia. Tymczasem zabójca bez chwili wahania uniósł broń i wycelował w jego kierunku.

Szawczak zareagował odruchowo. Pomimo zmęczenia strach zadziałał jak dobry dopalacz. Zanim padł strzał, Parol z impetem uderzył barkiem w drzwi po prawej stronie. Później sam nie potrafił zrozumieć, skąd miał tyle siły. Wpadł razem z drzwiami do środka, ale nie zatrzymał się nawet na sekundę. Biegł na oślep przez kolejne pomieszczenia. Korytarz, kuchnia, magazyn. Wpadł do składziku zastawionego skrzynkami po piwie i napojach. Na wprost pod sufitem zobaczył uchylone okno prowadzące na ulicę. Poczłł chłodniejszy podmuch wiatru, usłyszał kroki ludzi na chodniku i przejeżdżające w oddali samochody. Chciał rzucić się do okna i wydostać na zewnątrz, lecz coś kazało mu przystanąć. Schował się za piętrzącą się pod sam sufit stertę skrzynek po piwie.

Teraz dopadł go prawdziwy strach. Nogi miał jak z waty, drżały pod jego ciężarem, serce tłukło się o żebra. Jeszcze bardziej wcisnął się w kąt między skrzynki.

Z oddali słyhać było rytm muzyki techno i jakieś krzyki.

Nagle drzwi się otworzyły i Parol już widział, że wszystko stracone. Pech prześladowający go od czasów szkolnych wcale nie

zniknął.

Ktoś wszedł do pomieszczenia. Skrzypnęły drzwi, potem zapadła cisza. Szawczak wstrzymał oddech. Zobaczył pistolet z tłumikiem wyłaniający się zza skrzynek. Ostatnia myśl – o matce. I jeszcze jedna, rozpaczliwa. Dlaczego nie wziął ze sobą służbowej broni?

Przymknął oczy i czekał.

Minęło pięć sekund, potem piętnaście, trzydzieści i... nic się nie stało. Otworzył oczy. Był sam. Zabójca zniknął.

Wyszedł na korytarz – pusto.

Aspirant Gotard „Parol” Szawczak drżącymi rękami wyjął telefon i ledwo udało mu się wykręcić numer do dyżurnego.

Rozdział 12

Minęło równo dziesięć dni. Przez ten czas Tymon Jagla nie zrobił nic. No, prawie nic. Następnego dnia po spotkaniu koło szkoły Fiolka zadzwoniła do niego i zapytała, czy powiedział o wszystkim ojcu. Skłamał. Dodał nawet, że jego ojciec obiecał zająć się sprawą. W głosie Fiolki usłyszał wyraźną ulgę. Poprosiła, żeby na siebie uważał, i się rozłączyła.

Tymon długo siedział na tarasie swojego pokoju, w tajemnicy przed matką paląc jednego papierosa za drugim.

Pewnie gdyby w jego rodzinie panowały normalne stosunki, poszedłby do ojca po pomoc. Ale Tymon panicznie się go bał.

Stefan Jagla był prawnikiem, a konkretniej prawnikiem mafii narkotykowej. Od wczesnego dzieciństwa Tymon oglądał go w telewizji w newsach z procesów znanych gangsterów. Później czytał w internetowej prasie komentarze dotyczące prawdziwej profesji swego ojca. Wtedy zaczął przypominać sobie różne fakty z dzieciństwa i wczesnej podstawówki. Pamiętał nocne wizyty ponurych mężczyzn w garniturach, kłótnie, czarne walizki przekazywane z rąk do rąk. Już jako dziecko wiedział, jak wyglądają banknoty o nominale sto euro.

Pieniądzy nigdy im nie brakowało. Matka Tymona wydawała grube tysiące na najmodniejsze ciuchy i wizyty w salonach piękności. Mieli nowoczesny wielki dom. Tymon nosił w kieszeni tyle pieniędzy, ile niektórzy jego przyjaciele z paczki nie widzieli przez pół roku, zawsze miał wypasiony komputer i najnowsze gry. Stefan Jagla wyjeżdżał w interesach nie wiadomo dokąd, a kiedy wracał do

domu, pił. Po alkoholu robił się agresywny, zdarzało się, że bił żonę. Kiedyś pobił ją do nieprzytomności i trzeba było wezwać pogotowie, ale policja pewnie się o niczym nie dowiedziała. Raz Tymon stanął w obronie matki i oberwał tak, że przez tydzień nie chodził do szkoły. Potem mówił, że miał wypadek na rowerze.

Dlatego Tymon Jagla nie mógł o niczym powiedzieć ojcu. Już wyobrażał sobie jego minę, kiedy opowiada mu o Klubie Samobójców i Kole Fortuny. Nie mógł też pójść na policję ani pozwolić, żeby Fiolka to zrobiła. Policja od lat szukała haków na jego ojca. Gdyby się dowiedzieli, że Tymon jest synem TEGO Jagli... Zresztą gdyby ojciec dowiedział się, że syn poszedł na policję – w obojętnie jakiej sprawie – też pewnie wpadłby we wściekłość.

Dlatego skłamał.

Na początku się bał. Przez jakiś czas nie wychodził z domu, ale od pierwszego września musiał zacząć chodzić do szkoły. Był między ludźmi, zmieniła mu się perspektywa myślenia. Wciągnięty w szkolny wir przestał się bać. Dni mijały, nic złego się nie działo, nie dostał kolejnych maili, nikt za nim nie chodził. Zaczął myśleć, że rymowanki nie mają nic wspólnego z ich idiotycznym klubem i ze śmiercią Apacza. Może ktoś wysyłał je dla zgrywy, może to spam, który trafił do nich w niewłaściwym czasie?

A jednak nadal był ostrożny. Rano szedł na przystanek komunikacji miejskiej, gdzie na autobus zawsze czekało kilka osób. Wśród ludzi czuł się bezpiecznie. Popołudniami starał się nie wychodzić z domu, a po zmroku rzadko wystawiał nos choćby za próg.

W sobotę 6 września, zaraz po kolacji usiadł do komputera i włączył się do sieciowej rozgrywki Counter-Strike'a. Od śmierci Apacza, czyli od kiedy ich paczka przestała się regularnie spotykać, spędzał każdą wolną chwilę, grając.

Jego pokój z małym tarasem, na którym można było spokojnie w tajemnicy przed starymi zapalić papierosa albo wypić piwo przed snem, znajdował się na poddaszu. Tymon mógł grać do późna i nikt

mu nie przeszkadzał. Na poddasze prowadziły drewniane schody, które pod ciężarem idącego skrzypiały przeraźliwie. Nawet ze słuchawkami na uszach Tymon słyszał, gdy ktoś wchodził. Zresztą dźwięk miał zawsze ściszony do minimum.

Rozłączył się na kilka minut i wyszedł na taras zapalić. Wrześniowa noc była parna i gorąca. Zaciągał się papierosem i patrzył w niebo. Miasto rzucało na niebo łunę, ale rozpogodziło się na tyle, że widać było wyraźnie jaśniejsze gwiazdy. Potrafił rozróżnić tylko dwa gwiazdozbiory: Kasjopeję i Wielką Niedźwiedzicę. Wiedział, że częścią Wielkiej Niedźwiedzicy jest Wielki Wóz i że dwie gwiazdy na zgięciu „dyszla” nazywają się z języka arabskiego Alkor i Mizar. Niby drobiazg, ale dziewczyny patrzyły na niego jakoś poważniej, kiedy o tym opowiadał.

Spojrzał w dół i zamarł. W rogu podwórka, przy wysokim żywopłocie oddzielającym dom od ulicy dostrzegł ciemną postać. Wytężył wzrok, próbując zobaczyć coś więcej. Postać się nie poruszyła. Wyglądała jak odlana z ołowiu.

I wtedy sobie przypomniał. Dwa dni temu matka oczyszczała klombik, na którym hodowała róże, i obok krzaków zostawiła agrowłókninę. W ciemnościach zwój materiału wyglądał dokładnie jak stojący człowiek. Tymon z ulgą wypuścił powietrze. Zaciągnął się końcówką papierosa i zgasił go nerwowym gestem. Przyszło mu do głowy, że w ciemnościach ognek z czubka papierosa widać z bardzo daleka. Po co kusić los.

Wrócił do komputera i dołączył do zespołu, w którym wszyscy porozumiewali się nienaganną angielszczyzną. W pierwszej rundzie jego ekipa komandosów miała za zadanie zabić wszystkich terrorystów na planszy albo rozbroić podłożoną przez nich bombę. Przed drugą rundą, w której miała nastąpić zmiana ról, Tymon przeciągnął się, żeby rozprostować zdrętwiałe ramiona. Wtedy zauważył falującą zasłonę w otwartych drzwiach na taras. Pomyślał, że wreszcie powiał wiatr i zrobi się trochę chłodniej.

Nagle poczuł, że ktoś za nim stoi. Krew w jego żyłach w ułamku sekundy zmieniła się w ciekły azot.

Odwrócił wolno głowę i spojrzał tamtemu prosto w oczy.

Rozdział 13

Na progu stał mężczyzna wyglądający na nie więcej niż trzydzieści lat. Miał na sobie czapkę z daszkiem z logo koszykarskiego klubu Chicago Bulls, koszulkę na ramiączkach i dresowe spodnie. Uwielbiał koszykarzy z Chicago, dlatego nosił ksywę Jordan. Stał przed drzwiami i sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego. Postawny blondyn obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

– Wejść – rzucił krótko i odsunął się na bok.

Na zewnątrz doskwierał nieznośny upał, ale tutaj panował przyjemny chłód, korytarz pogrążony był w półmroku. Jordan wszedł i niepewnie spojrzał na gospodarza. Był w tym domu pierwszy raz.

– Prosto.

Jordan ruszył więc przodem. Szedł, szeroko rozstawiając nogi, a jego kolana wydawały się zginać na boki.

Gospodarz starał się, żeby nikt nie wiedział, kim jest i gdzie mieszka. Dla bezpieczeństwa. Teraz sytuacja była nadzwyczajna. Sprzątał po sobie i zamierzał zniknąć. Dlatego zaprosił tu Jordana.

Korytarz prowadził do urządzonego po spartańsku salonu. Gołe ściany, na środku stół i cztery krzesła, w rogu sofa, na której można było się zdrzemnąć. Nic więcej. Okna z odsłoniętymi żaluzjami wychodziły na tył domu, odgradzony od sąsiedniej posesji grubym żywopłotem.

– *Priwiet*, Jordan! – Basowy głos rozszedł się echem po pustym pomieszczeniu.

Na widok podnoszącego się z sofy Mykoły Jordan stanął jak wryty. Ukrainiec zbliżył się do niego z szerokim uśmiechem i wyciągnął

dłoń. Był wyższy i dużo starszy, miał siwe włosy i pomarszczoną, kwadratową twarz, w której błyszczały błękitne oczy. Mówił po polsku ze śpiewnym akcentem, wtrącając rosyjskie lub ukraińskie słowa.

– Ja *tiebia* dawno nie widział.

– Pracuję w klubach, wieczorami – wyjaśnił Jordan.

– *Da, da. Oczen'* dobrze.

Gospodarz pchnął Jordana do pokoju i bez słowa wskazał jedno z krzesel. Mężczyzna przysiadł na brzegu najbliższego. Na jego górnej wardze pojawiły się kropelki potu.

– Napijesz się czegoś?

Na głos gospodarza drgnął, ale przytaknął.

Po chwili stanęła przed nim szklanka wody z lodem. Tylko umoczył usta i zaraz ją odstawił, jakby woda była zatruta.

Gospodarz podszedł do stołu i usiadł po drugiej stronie. W jego twarzy było coś dziwnego. Kompletny brak wyrazu, żadnych uczuć, grymasów, zimne, puste błękitne oczy. Jak gdyby ich właściciel nie był człowiekiem, tylko zaprogramowanym robotem. W Jordanie budził większy strach niż potężny i znany z brutalności Ukrainiec.

– No dobrze, powiedz, czego się dowiedziałeś.

– Mój bliski kolega pracuje w komendzie wojewódzkiej. – Jordan zaczął wyrzucać z siebie słowa. – Nie jest policjantem. Jest informatykiem. Pomaga glinom odzyskiwać dane, grzebać w komputerach i tak dalej. Ma dostęp do wielu informacji.

– Wiesz czy nie?

– Jasne, wiem. Ten policjant, który zawiadomił o strzelaninie w klubie Tester, nazywa się Szawczak. Jakoś ma dziwnie na imię. Nie zapamiętałem. Chyba Gotfryd. – Zawahał się, spojrzał przestraszony na gospodarza i dorzucił: – Ale mam jego adres!

Mykoła uśmiechnął się i założył nogę na nogę tak gwałtownie, że aż sofa przesunęła się ze zgrzytem. Odgłos rozszedł się nieprzyjemnym echem. Ale to gospodarz się odezwał:

– Świetnie się spisałeś, Jordan. Mówiłem, że dobrze zapłacę za tę informację. Nie interesują cię pieniądze?

Jordan poczuł nagłe podniecenie. Bał się, kiedy tu szedł. Był kapusiem i sprzedawał informacje grupom handlującym narkotykami, gangsterom, policji. Wszystko jedno komu – ważny był zysk.

Gospodarz patrzył na niego tym swoim zimnym i pustym spojrzeniem. Jordan pomyślał, że kto raz zobaczy taką twarz, nie zapomni jej do końca życia.

– Tak, jak najbardziej. – Starał się mówić poważnie i pewnie.

Gospodarz wstał.

– W takim razie chodź – powiedział. – Coś ci pokażę.

Jordan ruszył za nim do dużej łazienki. Tu też nie było zbędnych sprzętów – tylko wanna, kabina prysznicowa, lustro i półka, a na niej pasta do zębów i szczoteczka. Żadnego mydła, żadnego ręcznika. Jordan zatrzymał się zbity z tropu.

– Tam. – Gospodarz pchnął go w kierunku otwartej kabiny prysznicowej, a potem wyciągnął z za pleców pistolet z tłumikiem. Puste pomieszczenie zwielokrotniło odgłos wystrzału. Kula przebiła czaszkę, bezwładne ciało runęło do kabiny. W ostatniej chwili gospodarz podtrzymał je tak sprawnie, że dziura w skroni, z której obficie płynęła krew, znalazła się nad kratką ściekową. Mężczyzna włączył prysznic i splukał krew oraz fragmenty mózgu ze ścian kabiny.

Stojący w drzwiach Mykoła pokręcił z uznaniem głową.

– Szybko, sprawnie i czysto. Mógłbyś *rabotať* w KGB, Satyr – powiedział.

Gospodarz spojrzał na niego uważnie.

– Co to jest KGB? – zapytał.

– Jak to? Nie wiesz?! Przecież Putin *rabotał* kiedyś w KGB. – Ukrainiec z niedowierzaniem pokręcił głową.

– A kto to jest Putin?

Mykoła zaśmiał się, lecz zaraz zamilkł. To raczej nie był żart.

– Naprawdę nie wiesz?

– Lubię swoją pracę, Mykoła. Świat mnie nie interesuje.

– *Oczen'* dziwny z ciebie *czetowiek*, Satyr.

Poszli w kierunku drugiego wyjścia z budynku i znaleźli się na niewielkim trawniku na tyłach. Rosnące wzdłuż ogrodzenia ponaddwumetrowe tuje skutecznie odgradzały posesję od sąsiednich domów. Naprzeciw stał drewniany budynek gospodarczy z zasłoniętymi oknami. Weszli do środka. Gospodarz zapalił żółte światło, wziął jeden ze szpadli stojących obok drzwi i rzucił Ukraińcowi.

– Tu kopimy. – Wskazał miejsce po prawej stronie.

– *Poczemu zdies*’?

Po raz pierwszy na twarzy gospodarza pojawił się grymas, który mógł trochę przypominać uśmiech.

– Inne miejsca są już zajęte, Mykoła – odpowiedział.

Mykoła omiół spojrzeniem duże pomieszczenie i mimowolnie się wzdrygnął.

– Dziwny z ciebie *czetowiek*, Satyr – powtórzył i chwycił szpadel.

Kopali w milczeniu, na zmianę. Ziemia nie była twarda, więc szło im sprawnie. Gospodarz pracował w ciszy, Mykoła sapał, klął w swoim ojczystym języku i pocił się obficie. Oparł się na wbitym w ziemię szpadlu i zapalił papierosa.

– *Poczemu* tak głęboko? – zapytał.

– Żeby się nie odkopali. – Ta odpowiedź też nie brzmiała jak żart.

Ukrainiec ze złością rzucił niedopalonego papierosa i z jękiem wrócił do pracy. Długo nie wytrzymał w milczeniu.

– *Poczemu* Satyr? – odezwał się. – *Czto eto* Satyr?

Tym razem gospodarz oparł się o trzonek szpadla.

– Satyr to w mitologii greckiej członek orszaku boga Dionizosa. Demon leśny, bóstwo płodności, istota nieprzyjazna ludziom – odparł. – Górną część ciała miał ludzką, na głowie szpiczaste uszy. Dolna część ciała była zwierzęca: krzywe, obrośnięte futrem nogi, kozi ogon i wielki penis.

– I ty jesteś do niego podobny? – zakpił Mykoła.

– W pewnym sensie. Wystarczy już.

Mykoła chwycił gospodarza za ramię.

– Co będziesz teraz robił, Satyr?

Satyr nagle znieruchomiał, jakby dotyk Mykoły sprawił mu ból. Spojrzał na Ukraińca w taki sposób, że ten zabrał rękę i cofnął się o krok. Wyraźnie zmarkotniał.

– O co ci chodzi? – zapytał Satyr głosem wyciętym z wszelkich uczuć.

– Ty *bolszoy specialist* – odpowiedział Mykoła. – Jak się będę z tobą kontaktować? Mój *komandir* na pewno będzie miał dla ciebie rabotu. W tej branży zawsze trafiają się oszuści, jak ten Tinky Winky.

Gospodarz pokręcił głową.

– To było moje ostatnie zlecenie.

– Mało ci zapłaciliśmy?

– Zapłaciliście bardzo dobrze, ale to już koniec.

– *Choroszo*.

Dół miał już ponad metr głębokości. Wrócili do łazienki, gdzie leżały zwłoki. Krew przestała płynąć, ciało było jeszcze wiotkie. Na głowę i barki Jordana wciągnęli czarny worek na śmieci. Satyr okleił go taśmą samoprzylepną, żeby krew nie wypływała na zewnątrz. Razem przenieśli ciało do budynku gospodarczego, stanęli bokiem do wykopu, rozhuścili i wrzucili do środka.

– No, to do roboty – sapnął Ukrainiec, odwrócił się i sięgnął po szpadel wbity we wzgórek ziemi.

Zaczął zasypywać ciało w dole. Gospodarz nie ruszył się z miejsca, więc Mykoła wyprostował się, odwrócił i spojrzał w lufę pistoletu. Nie zdążył się przestraszyć. Powiedział tylko zdziwiony:

– No co ty?... – Ale nie dokończył.

– Muszę posprzątać.

Satyr schował pistolet za pasek od spodni, podszedł do leżącego na wznak martwego Mykoły i trącił go butem. To wystarczyło, żeby zwłoki zsunęły się z przyzmy ziemi wprost do dołu, na leżącego tam już Jordana.

Pół godziny później ciała były zasypane. Satyr ubił ziemię szpadlem, potem pochodził po niej, a resztę rozrzucił równo po całej

powierzchni pomieszczenia.

Nie musiał się spieszyć. Był w tym domu ostatni raz. Przez minione dni usuwał ślady swojego pobytu. Znał się na tym i wiedział, że nie zostało ich wiele. Nawet gdyby trafiła tu policja i coś znalazła, mogła co najwyżej powiązać je z kilkoma zabójstwami na terenie kraju, ale nie z nim konkretnie. Był bardzo ostrożny. Nie figurował w żadnych policyjnych kartotekach.

Rozejrzał się i po raz pierwszy tego wieczoru na jego twarzy pojawił się prawdziwy uśmiech. Nie skłamał, kiedy powiedział Mykole, że nie ma już wiele miejsc, w których można kopać. W ogrodzie było jeszcze kilka anonimowych grobów. Wszystkie ofiary doskonale pamiętał.

Zaczął krążyć po pomieszczeniu. Co dwa kroki jego buty zapadały się trochę głębiej w miękką ziemię. Deptał zakopane zwłoki i czuł rozkoszne dreszcze rozchodzące się po ciele. Wreszcie zatrzymał się na środku przy filarze podtrzymującym dach. Oddychał wolno, w podbrzuszu czuł mrowienie, mięśnie pod skórą napięły się, aż koszula zatrzęszczała w szwach. Gdyby był wilkiem, zawyłby, ogłaszając światu, że tu jest jego królestwo. Ale on był czymś więcej niż tylko drapieżnikiem.

Drapieżniki w naturze nie zabijają dla przyjemności, tylko dla zaspokojenia podstawowych potrzeb życiowych. On był ludzkim drapieżnikiem. Najgroźniejszą bestią, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi. Superdrapieżnikiem.

Był groźniejszy, ponieważ posiadał inteligencję i mózg o nieograniczonych możliwościach.

Zabijał dla przyjemności zabijania.

Zadowolony wyszedł z budynku. Dokładnie wytarł podeszwy butów z ziemi, szmatę wrzucił do plastikowego worka, szpadle zaniósł do garażu. Do tego samego worka włożył jeszcze trzy szklanki i opróżnioną do połowy półtoralitrową butelkę z wodą mineralną. Wyszedł na ulicę i worek umieścił w bagażniku auta

stojącego na podjeździe przed garażem. W bezpiecznym miejscu się go pozbędzie.

Wrócił jeszcze do domu, splukał ostatnie ślady krwi w łazience, a potem zamknął starannie drzwi. Pęk kluczy schował pod wycieraczkę, wyjął telefon komórkowy, napisał do właściciela domu SMS, w którym poinformował, że wypowieda umowę najmu ze skutkiem natychmiastowym. Po krótkim wahaniu dodał, że wyjeżdża służbowo do Ameryki Południowej. Potem wyłączył aparat, wyciągnął baterię i kartę SIM. Kartę połamał, wszystkie trzy elementy wrzucił do kanalizacji przez kratkę odpływową na skraju drogi. Wreszcie wsiadł do samochodu, odpalił silnik i wolno wyjechał przez bramę na osiedlową drogę. Po raz kolejny zostawiał za sobą część swojego życia. Bez żalu. Ile razy zaczynał od nowa? Już nie pamiętał.

Jeszcze tylko wizyta u tego policjanta.

Rozdział 14

Paulina Czerny sięgnęła w bok, namacała stojący tam kubek i dopiła kawę.

Przeglądała opasły tom dokumentów zgromadzonych w śledztwie dotyczącym zaginięcia dwudziestojednoletniej dziewczyny w okolicach osiedla Brochów. Teczkę dał jej Grabski. Z tego co jej zdążył opowiedzieć, zanim wyszedł do sądu na rozprawę, od prawie roku prokuratura nie miała pojęcia, co zrobić z tą sprawą. Prowadziło ją kolejno trzech prokuratorów, bez szczególnych rezultatów. Ostatnim był doskonale Paulinie znany prokurator Dariusz Wysocki. Odkąd przejął sprawę, postępowanie nie posunęło się ani o krok. Naczelnik prokuratury rejonowej mógłby podpisać kolejny wniosek o przedłużenie śledztwa na kolejne trzy miesiące, nie interesując się tym, co podpisuje. Ale musiał się zainteresować.

Sprawa zaginięcia Anny Kowal nagle stała się głośna na cały kraj dzięki jednemu z dziennikarzy śledczych, Krzysztofowi Salitrze. Kilka miesięcy temu zgłosili się do niego zrozpaczeni rodzice i od tego momentu prokuratura i policja zaczęły mieć kłopoty. Redaktor Salitra przeprowadził własne śledztwo i udowodnił szereg nieprawidłowości w postępowaniu policji, kilka głupich błędów i zaniechań. Napisał parę artykułów do lokalnej prasy, a jeden z nich ukazał się nawet na pierwszej stronie w ogólnopolskim wydaniu „Gazety Wyborczej”. Paulina właśnie go przeczytała i była pełna podziwu dla dziennikarza. Sama by się podpisała pod większością jego uwag. Facet byłby niezłym śledczym w wydziale kryminalnym.

Potem Salitra wystąpił jeszcze w programie *Uwaga* w TVN24 i dopiero wtedy zrobił się prawdziwy szum. Naczelnik prokuratury rejonowej przedłużył postępowanie na trzy miesiące, ale zażądał od Wysockiego akt sprawy do wglądu. Akta w tajemnicy trafiły do prokuratora Marka Grabskiego, który dostał polecenie przeprowadzenia niezależnego postępowania, zwłaszcza sprawdzenia prawidłowości działań Wysockiego.

Dlatego dokumenty znalazły się na biurku Pauliny Czerny. Grabski doskonale wiedział, jakie stosunki łączą Paulinę i Wysockiego. Domyślał się też, że Wysocki będzie chciał się na niej zemścić po tym, jak szantażem zmusił go do zostawienia w spokoju komisarza Marcina Zakrzewskiego.

Paulina po przeczytaniu akt postanowiła natychmiast wdrożyć w życie działania wyprzedzające. Była zdana na siebie. Nie mogła wtajemniczyć nikogo z policji. Po chwili namysłu zdecydowała się zaproponować współpracę jedynej osobie, której mogła zaufać.

W Internecie znalazła numer telefonu do redakcji „Gazety Wrocławskiej”. W sekretariacie ustaliła bezpośredni numer do redaktora Krzysztofa Salitry. Zadzwoiła od razu.

*

Krzysztof był na obiedzie u rodziców. Właśnie siedział objedzony w fotelu i wpadał w bógostan. Nie chciało mu się ruszać, przymknął oczy i jego myśli odpływały w inną, o wiele przyjemniejszą rzeczywistość. Głos w słuchawce sprawił, że w mgnieniu oka wrócił do realu.

Pół godziny później wsiadł do samochodu, włączył się do ruchu na Powstańców Śląskich przy parku Południowym i jechał wolno w sznurze aut w kierunku centrum. Na wysokości hotelu Wrocław skręcił w Suchą. Zgodnie ze wskazówkami, które otrzymał przez telefon, zaparkował obok marketu EPI, na najbardziej oddalonym od budynku miejscu parkingowym. Czekał, nie wyłączając silnika. Auto

stało na słońcu, na zewnątrz temperatura przekraczała trzydzieści stopni. Wyłączenie klimatyzacji w tych warunkach było jednoznaczne z samobójstwem.

Ktoś zastukał w szybę od strony pasażera. Salitra odblokował drzwi i z zainteresowaniem spojrzął na komisarz Paulinę Czerny.

– Cieszę się, że znalazłeś w sobotę czas, żeby się ze mną spotkać – powiedziała.

– Ciekawość nie pozwoliłaby mi odmówić. – Krzysiek wzruszył ramionami. – Słynna komisarz Paulina Czerny chce się spotkać z dziennikarzem piszącym krytycznie o działaniach prokuratury i policji. Do tego na neutralnym gruncie. Umieram z zaciekawienia.

Paulina obrzuciła go badawczym spojrzeniem, jakby chciała się upewnić, czy może mu zaufać.

– Czytałam twoje artykuły na temat zaginięcia Anny Kowal i muszę przyznać, że w większości zgadzam się z twoją opinią. Prokuratura i policja dały dupy na całej linii. Poszukiwania prowadzone były niestarannie i bez należytej koordynacji. Śledczy i prokuratorzy zbyt często się zmieniali, nie potraktowali sprawy poważnie od samego początku i dlatego niektóre wątki nie zostały sprawdzone.

– I co w związku z tym, pani komisarz? – zapytał Salitra z ironicznym uśmiechem. – Chcesz mnie uciszyć?

– Coś w tym stylu.

Dziennikarz zamilkł na moment z tym samym uśmiechem, który zaraz zmienił się w złośliwy grymas.

– Zastraszysz mnie? – odezwał się. – Wyciągniesz na mnie jakieś kompromitujące kwity?

– Bynajmniej – odpowiedziała. – Chciałabym ci zaproponować umowę.

Widząc uniesione ze zdziwienia brwi Salitry, Paulina kontynuowała:

– Tydzień temu w I Wydziale Śledczym Prokuratury Okręgowej we Wrocławiu doszło do drobnej awantury. Prokurator Wysocki, który

nadzorował sprawę zaginięcia Anny Kowal, zwrócił się do naczelnika z kolejnym wnioskiem o przedłużenie śledztwa. Naczelnik podpisał wnioski, ale dokładnie zapoznał się z aktami. Ty byłeś przyczyną tego zainteresowania. Nagłośniłeś zaginięcie dziewczyny w mediach lokalnych i ogólnopolskich, a że prokuratura nie ma ostatnio dobrej prasy, naczelnik postanowił w tajemnicy przeprowadzić audyt śledztwa i działań prokuratorów. Koniec końców, sprawa trafiła do prokuratora Grabskiego.

– Prokurator Grabski. – Salitra wzruszył ramionami. – To ma jakieś znaczenie?

– Spore. Jeśli ktoś ma rozwiązać tę sprawę, to tylko Grabski.

– Trochę wątpię.

– Grabski zlecił mi czynności operacyjne.

Salitra poczekał, aż do samochodu obok wsiądzie małżeństwo z dwójką wrzeszczących dzieci.

– I to ma mnie uspokoić? – mruknął, kiedy w pobliskim aucie zatrzasnęły się wszystkie drzwi.

– Nie. Chcę ci zaproponować umowę. – Paulina wyciągnęła z torebki złożoną na pół szarą kopertę i podała Salitrze. Ten spojrzał na nią podejrzliwie.

– To notatka sporządzona przez pierwszego prokuratora, który się tym zajmował. Znajomi Anny Kowal wspomnieli, że kilka tygodni przed zaginięciem poznała w jednym z barów w okolicach Rynku dużo starszego od siebie mężczyznę.

– Wiem, policja nigdy nie ustaliła jego tożsamości. Mnie też się nie udało. Anna nikomu go nie przedstawiła, raz tylko pochwaliła się koleżance. Mówiła, że jest dużo starszy i że boi się powiedzieć o nim rodzicom. Przed znajomymi chyba też się wstydziła. Możliwe, że spotykała się z nim do dnia zaginięcia. Ale nie wykluczam też, że gość nie istniał, a koleżanka konfabulowała.

– Facet istnieje – oznajmiła Paulina. – Policja znalazła go prawie od razu, tylko śledczy i prokurator uznali, że nie ma związku z zaginięciem, i zajęli się czymś innym. Nazywa się Rafał Derec, ma

trzydzieści sześć lat, pracuje w komendzie wojewódzkiej policji. Ma żonę i dwójkę dzieci.

– Jasna cholera! – Dziennikarz szybko otworzył kopertę i przebiegł wzrokiem ksero notatki.

– Wygląda ciekawie?

Teraz Krzysiek był naprawdę zainteresowany.

– O jakiej umowie mówisz?

– Potrzebujemy trochę czasu, żeby bez zbytniego rozgłosu i nagonki w mediach zapoznać się z tematem i przeświecić tego Rafała Dereca.

– A co ja będę z tego miał?

Komisarz kontynuowała, jakby nie dosłyszała pytania.

– Znaczący jest jeden fakt. Ta notatka o podkomisarzu Derecu zniknęła z akt, kiedy sprawę przejął prokurator Dariusz Wysocki. Wiemy o niej tylko dlatego, że poprzednik Wysockiego był niezwykle skrupulatnym człowiekiem i lubił kserować. Na pierwszy rzut oka nie ma żadnego powiązania pomiędzy Derecem a Wysockim, ale może nie znamy prawdy. Tak się dziwnie składa, że podkomisarz pracuje w wydziale do walki z przestępczością zorganizowaną. Może on i Wysocki mają kontakty z kolesiami z miasta albo w policji działa grupa interesu, która chroni sobie wzajemnie tyłki i tuszuje ciemne sprawy? Posłuchaj, redaktorze. Jeśli tylko potwierdzi się któraś z wersji, będę twoim osobowym źródłem informacji z pierwszej linii dochodzenia. Będiesz miał materiał życia. Napiszesz teksty do czołowych dzienników w kraju. Zrobisz z tego największą aferę w policji od czasu Olewnika. I jeszcze jedna ważna sprawa. Zagwarantujesz, że ewentualne nadużycia zostaną nagłośnione w mediach, gdyby ktoś chciał po cichu ukręcić sprawie łeb. No i będziesz zabezpieczeniem, na wypadek gdyby mnie albo Grabskiemu coś się stało.

– Rozumiem. – Salitra pokiwał głową.

– To co, mamy umowę?

– Tak.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Dlaczego mi się tak przyglądasz? – zapytała.

– Przywróciłaś mi wiarę. Może jeszcze istnieją porządni gliniarze.

– Porządni gliniarze na pewno występują w przyrodzie częściej niż uczciwi dziennikarze – odcięła się Paulina.

Salitra się zaśmiał. Policjantka sięgnęła dłonią do klamki, ale zatrzymała się jeszcze na chwilę.

– Powiedz mi, dlaczego ta Kowal tak cię zainteresowała? Czy dlatego, że była podobna do twojej siostry?

Krzysztof drgnął i spojrzał jej w oczy.

– Bardzo możliwe – mruknął wymijająco, ale on też miał coś w zanadrzu. – Tak naprawdę chcesz znaleźć coś na Wysockiego, prawda? Dlatego, że kiedyś miałaś z nim romans, a on nie zdecydował się odejść od żony?

Nawet jeśli zaskoczył Paulinę, nie dała po sobie nic poznać.

– Pan redaktor jest świetnie poinformowany. Ale to nie do końca prawda. Kiedyś może ci opowiem przy wódce. – Wysiadając, dorzuciła na pożegnanie: – Nie dzwoń do mnie. Sama się odezwę.

– Cześć! – krzyknął za nią Krzysztof, ale policjantka zdążyła już zatrzaskać drzwi i pewnie nie usłyszała.

*

Paulina pojechała prosto do domu. Była zmęczona i marzyła o zimnym prysznicu. Prowadząc swoją wysłużoną toyotę rav4, kilkakrotnie spojrzała na wypchaną torebkę leżącą na miejscu pasażera. Miała jeszcze jedną bardzo ważną sprawę do załatwienia, ale już chyba nie dzisiaj.

Zastanowiła się, co teraz robi Zakrzewski. Pewnie siedzi w domu, słucha muzyki, popija piwo i śmiertelnie się nudzi. Nigdy na urlopie nie potrafił zorganizować sobie wolnego czasu. Zaplanowanie wyjazdu na kilka dni przekraczało jego możliwości. Zresztą pewnie nawet nie pomyślał, żeby gdzieś pojechać. Jego życie ograniczało

się do pracy. Sprawa zabójcy ze zdjęcia, która zakończyła się kilka tygodni temu, miała być jego ostatnią. Miał odejść z policji i zająć się czymś innym. Nie dał rady.

Czy ona też jest już taka jak on? Nie, chyba nie. Przecież spotyka się ze znajomymi, ma swoją wielką pasję. No dobrze, ale kiedy ostatnio coś fotografowała?

Otworzyła na całą szerokość okna, wyłączyła klimatyzację i zapaliła papierosa.

Dawno, przyznała w duchu, ale zaraz się usprawiedliwiła. Są przecież wakacje. Dopiero na koniec września ma umówione dwie sesje do jakiejś kampanii reklamowej. Jej bliski przyjaciel z dzieciństwa Marcel Kruk był właścicielem wielkiej agencji reklamowej w Warszawie. Czasem angażował Paulinę do sesji zdjęciowych. Uważał, że jak na policjantkę ma wyjątkową wyobraźnię. Pewnie dlatego, że widziała w życiu tyle krwi i okrucieństwa. Często powtarzał, że gdyby nie był gejem, chciałby mieć taką żonę. Na wspomnienie tego nietypowego wyznania miłości uśmiechnęła się pod nosem.

Zaraz jednak uśmiech spętał jej z twarzy.

Cholerny twardogłowy Zakrzewski! Od dawna był jedynym facetem, który ją pociągał i za którym mogłaby skoczyć w ogień. Problem polegał na tym, że razem stanowili mieszankę wybuchową. Każdy ich dłuższy związek kończył się katastrofą. Próbowali już dwa razy, ale Zakrzewski nie potrafił oddzielić życia prywatnego od pracy. Tak naprawdę nie miał życia prywatnego.

Z Krzemienieckiej zamiast w lewo skrzyła w prawo w Trawową i po chwili była już na ulicy Kossak-Szczuckiej pod blokiem, w którym mieszkał Zakrzewski. Przejechała wolno, zaglądając w okna mieszkania na drugim piętrze. Okna były otwarte na oścież. Motocykl stał jak zwykle na małym parkingu po drugiej stronie ulicy, przykryty brezentem, podobnie jak kilka dni temu, kiedy też tędy przejeżdżała. Oczywiście, tak jak przypuszczała, Marcin nigdzie nie pojechał. Męczył się w upały w mieszkaniu bez klimatyzacji.

Przez Hłaski wyjechała na ulicę Tyrmanda, potem skręciła w lewo w Mińską i po niecałym kilometrze parkowała już auto pod swoim mieszkaniem na Buczackiej.

Wysiadła z samochodu i zapaliła jeszcze jednego papierosa.

– Cześć, Paulina. – Głos za plecami zupełnie ją zaskoczył.

Odwróciła się. Dwa kroki przed nią, uśmiechając się nieśmiało, stał Cezary, jej eksmałżonek.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała szorstko.

– Chciałem cię zobaczyć.

– Po co?

– No wiesz, od naszego rozstania minęło kilka lat. Pomyślałem sobie, że jesteśmy dorośli, pewne stare nieporozumienia możemy puścić w niepamięć. Nie wyszło nam w małżeństwie, ale możemy chyba zostać przyjaciółmi.

Paulina patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Co ty pieprzysz? – Pokręciła głową. – Dlaczego nagle miałbyś zostać moim przyjacielem?

– Paulina, nie oszukuj sama siebie. Przecież kiedyś wiele nas łączyło... Seks był rewelacyjny... Możemy puścić w niepamięć dawne konflikty i nie żywić do siebie urazy.

Paulina Czerny paliła papierosa i kręciła głową.

– O co ci chodzi, Cezary? Potrzebujesz kasy?

Obruszył się.

– Dlaczego tak nisko mnie oceniasz? Od lat gryzło mnie sumienie, że tak się między nami ułożyło. Chcę to naprawić.

Jej wzrok pozostał zimny i niewzruszony.

– Posłuchaj mnie uważnie, człowieku – powiedziała, wolno cedząc słowa. – Prawie już o tobie zapomniałam. Nie mam najmniejszego zamiaru wracać do przeszłości. Muszę cię rozczarować, nie zostaniemy przyjaciółmi. Ani nawet dobrymi znajomymi.

– Poczęstujesz mnie papierosem?

Przyjrzała się byłemu mężowi. Zafarbowane na czarno włosy wyglądały wyjątkowo nienaturalnie, a hiszpańska bródka – po prostu idiotycznie.

– Nie – odparła. – Po tym niefortunnym epizodzie, którym było małżeństwo z tobą, pozostawiłam sobie tylko nazwisko. Nie miałam siły zmieniać dokumentów. Poza tym podoba mi się.

Widać było, że ostatnia uwaga trafiła w jego czuły punkt.

– Zostawiłaś sobie też moje nowe mieszkanie i samochód – rzucił.

– Kwestionujesz wyrok niezawisłego sądu w sprawie podziału majątku, jakiego dorobiliśmy się przez okres prowadzenia wspólnego gospodarstwa domowego? – W jej oczach zalśniły iskierki rozbawienia.

Opanował nerwy.

– Nie. Zresztą, tyle lat minęło. Nie wracajmy do tego.

Paulina nagle zmarszczyła brwi i spojrzała mu w oczy. Miała dość tej rozmowy.

– Zawsze traktowałeś mnie jak idiotkę. Widzę, że to się nie zmieniło. Nie zapominaj, że pracuję w psiarni. Rozumiesz, co to znaczy?

Wytrzymał jej spojrzenie, ale nic nie odpowiedział.

– Wtedy tylko dwa dni zajęło mi ustalenie adresu laski, z którą mnie zdradzałeś. Myślisz, że nic o tobie nie wiem? Zdziwisz się. Wiem, że jesteś zadłużony po uszy, ścigają cię komornicy, nie płacisz alimentów, masz trzy sprawy sądowe za długi, a teraz doszedł ci problem z prokuratorem za zdefraudowane pieniądze w jakiejś spółce. Kurwa, Cezary, ja nie jestem głupia!

– Nigdy tak nie twierdziłem. – Z trudem przywołał słaby uśmiech na pobladłą twarz.

– Wydaje ci się, że pomogę ci z tą sprawą w prokuraturze? Mylisz się. Gównu mnie to obchodzi. Twoje życie, twój problem.

Spojrzał przelotnie na wejście do budynku.

– Może chociaż zaprosisz mnie na kawę? – zapytał. – Naprawdę jestem innym człowiekiem.

– Pierdol się!

Pstryknęła w niego niedopałkiem papierosa. Nie zdążył się uchylić i papieros odbił się od rękawa jego jasnej koszuli.

Paulina już tego nie widziała. Poszła energicznym krokiem w kierunku drzwi, otworzyła je i zniknęła mu z oczu.

Rozdział 15

Poniedziałek, 14 września

Po dziesięciu dniach doszedł do wniosku, że nienawidzi urlopu.

Na początku nawet się cieszył, że szef wysłała go na przymusowe wolne. Ostatnia sprawa naprawdę go wyczerpała. Drobne rany i stłuczenia goiły się wolno, ale i tak szybciej niż te psychiczne. Zdawał sobie sprawę, że do niczego się nie nadaje, dlatego nie protestował, kiedy szef wezwał go do swojego gabinetu, podał mu kartkę i kazał pisać wniosek o urlop.

Bez słowa napisał, co było trzeba, i wyszedł bez pożegnania. Szef coś jeszcze do niego mówił, Zakrzewski był jednak tak zmęczony, że nie zareagował. Kiedy pakował torbę, aspirant Szawczak patrzył na niego pytającym wzrokiem. W pierwszej chwili Marcin zamierzał go zignorować. Przypomniawszy sobie jednak, że mieli tworzyć zespół.

– Wysłali mnie na urlop – powiedział i wyszedł.

Lato tego roku było koszmarne. Nawet najwięksi zwolennicy słońca zaczęli już narzekać na upał, z utęsknieniem wypatrywali deszczowych chmur i z nadzieją oglądali prognozę pogody. Niestety, był początek września, ale nie zanosilo się na spadek temperatury.

W pierwszy wolny dzień próbował się upić. W tym upale nie miał ochoty na mocne alkohole, pił więc zimne piwo, co spowodowało potężne łupanie w głowie i lekki ból gardła następnego poranka.

Później postanowił wyjechać za miasto, ale nie miał pomysłu dokąd. Skończyło się na tym, że wsiadł na motor i pojechał odwiedzić rodziców. Wiosną zmarli jego dziadkowie mieszkający w Szczepanowie koło Środy Śląskiej. Został po nich pusty dom.

Rodzice długo się wahali, ale w końcu wynieśli się z Wrocławia, żeby zamieszkać na wsi. Zabrali psa – Tinę, którą Zakrzewski uratował przed schroniskiem. Ojciec stwierdził, że Tinie lepiej będzie, gdy pobiega po podwórzu, i to była prawda. Mieszkając z Marcinem, pies całymi dniami siedział sam w domu.

Zakrzewski wytrzymał u rodziców trzy dni. Chodził z Tiną na długie spacerunki, pomagał trochę w remoncie, ale dziwny niepokój kazał mu uciekać ze Szczepanowa. Zbyt blisko stał dom, w którym przez prawie trzydzieści lat mordowano dzieci, za blisko był przykościelny sad. Martwy sad.

Marcin oznajmił, że wraca do Wrocławia, rodzice zrozumieli.

Kolejne dni spędził na słuchaniu muzyki i oglądaniu filmów kryminalnych ze swojej przepastnej kolekcji. Szybko zaczęły go irytować.

Potem słuchał już tylko muzyki i nudził się coraz bardziej. Nie chciał dopuścić do siebie myśli, że kiedyś skończy jak Lynyrd. Bez domu i bez przyjaciół. Bo właściwie czy miał jakichś przyjaciół? Może kiedyś. Teraz nie był tego taki pewien. Kiedy angażował się w śledztwo, nie potrafił myśleć o niczym innym. Do nikogo nie dzwonił i z nikim się nie spotykał. W końcu ludzie też przestawali do niego dzwonić i się z nim umawiać.

Przez ten cały czas nie zadzwonił do niego nikt z pracy. Jakby nie istniał.

Z kobietami też mu nie wychodziło, żadnej nie potrafił przy sobie utrzymać. Trudny charakter? Możliwe. Brak zaufania? Na pewno. I jeszcze jedno – zawsze trafiał na niewłaściwe kobiety.

Always the summers are slipping away, find me a way for making it stay – śpiewał akurat Steven Wilson z Porcupine Tree w utworze Trains. Komisarz Marcin Zakrzewski, funkcjonariusz wydziału kryminalnego komendy wojewódzkiej policji, siedział w fotelu, w samych bokserkach, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Było kilka minut po siedemnastej.

Wyłączył odtwarzacz CD, włożył koszulkę i poszedł otworzyć. Uchylił drzwi, nie patrząc w wizjer, i spojrzał wprost w brązowe oczy Pauliny Czerny.

- Cześć! – odezwała się z kpiącym uśmiechem na wargach.
- Cześć – odpowiedział machinalnie.

Miała na sobie białą bluzkę bez rękawów, płócienne luźne spodnie i sandały. Niesforny kosmyk włosów, który zwykle opadał jej na oczy, teraz był przyklejony do spoconego czoła.

- Będziemy tak stać, czy wpuścisz mnie do środka?
- J-jasne. Wchodź.

W przedpokoju zrzuciła sandały, weszła do kuchni, usiadła na krześle przy oknie, gdzie w dawnych czasach lubiła siadać, i otaksowała go rozbawionym spojrzeniem.

- Seksownie wyglądasz.

Nie skomentował. Nalał jej wody gazowanej, wcisnął do szklanki trochę soku z cytryny i wrzucił kilka kostek lodu. Tak jak lubiła. Od razu upiła kilka łyków.

- Ale upał, na mieście nie można wytrzymać.
- Może chcesz zimnego piwa? – zaproponował.
- Przyjechałam autem, musiałabym u ciebie zostać.
- To zostań.

Popatrzyli sobie w oczy i Paulina pierwsza uciekła wzrokiem.

- Jak tam na urlopie? – zapytała.
- Do dupy. – Wzruszył ramionami.
- Mogłeś gdzieś pojechać.
- Próbowałem.
- Ale jesteś rozmowny.

– Przez dwa tygodnie nikt nawet do mnie nie zadzwonił. Wiesz coś o tym?

Znowu umoczyła wargi w szklance z zimną wodą. Po jej twarzy przemknął uśmiech.

- Był oficjalny zakaz.

Milczał, czekając na ciąg dalszy. Chyba ją to wkurzyło.

– Nie oskarżaj wszystkich wokoło. Szef podjął decyzję o wyrzuceniu cię na urlop dla twojego zdrowia psychicznego. Ty nie potrafisz wyjść z pracy, zatrzasnąć za sobą drzwi i zrobić miejsca dla życia prywatnego. Prowadzisz śledztwo dwadzieścia cztery godziny na dobę, zarywasz noce, chodzisz jak zombie i stajesz się upierdliwy. Nikt nie jest w stanie dłużej z tobą współpracować. Urlop to terapia szokowa.

– J-jasne. Podejrzywałem coś takiego. – Pokiwał głową.

– Musimy pogadać – odezwała się trochę innym tonem. – Mam dwie sprawy: służbową i prywatną.

Usiadł na krześle i zrobił zachęcający gest ręką.

– Słyszałeś o strzelaninie w klubie Tester na Więziennej dziesięć dni temu?

– Przeczytałem tylko nagłówki w serwisach internetowych – odpowiedział. – Wtedy jeszcze myślałem, że na urlopie będę odpoczywał, a nie się męczył. Jakaś nowa wojna narkotykowa?

Dopiła wodę do końca i odstawiła energicznie szklankę. Zabrzęczały nieroztopione kostki lodu.

– Sytuacja wygląda tak: po dwudziestej drugiej na zapleczu klubu jeden z właścicieli spotyka się z kurierami z Ukrainy, negocjują cenę. Na stole leży kilka paczek białego proszku, są warte kilkaset tysięcy złotych. Niespodziewanie ktoś wyciąga broń. Ginie dwóch Ukraińców, właściciel klubu i ochroniarz, który stał na czatach. Ktoś zgarnia torbę z narkotykami i prawdopodobnie całą kasę. Chłopcy z narkotyków są przekonani, że zaczyna się nowa wojna w mieście. Po tym zdarzeniu wszyscy dilerzy gdzie się ulotnili, na rynku nie ma towaru, bossowie się przyczaili i czekają na rozwój wypadków. Jeden z informatorów doniósł, że wszyscy są w szoku. Podziemie narkotykowe nie ma pojęcia, co się stało i kto za tym stoi.

– Ktoś na gościnnych występach?

– Możliwe. Ale nie z tym problemem do ciebie przychodzę.

Paulina spojrzała na niego z powagą. Znał ten wyraz jej oczu, żarty się skończyły.

– O strzelaninie zawiadomił policję twój nowy partner, aspirant Szawczak. Akurat tak się złożyło, że był w tym klubie. Trochę dziwne, nie?

– Do czego zmierzasz?

– Według mnie to, co mówi Parol, trochę się nie trzyma kupy. Podobno zobaczył, jak ten zabity ochroniarz wyciągnął pistolet i wbiegł na zaplecze. To skłoniło Szawczaka do tego, aby pójść za nim. Tam znalazł już tylko zwłoki ochroniarza pod drzwiami pokoju, w którym dobijano targu. Drzwi były zamknięte, zajrzał do środka i znalazł trzy ciała. Wezwał policję, nikogo więcej nie widział.

Marcin milczał.

– Nasi od narkotyków łyknęli tę historię, ale mnie się ona nie podoba. Za dużo zbiegów okoliczności. Parol nie potrafił sensownie wytłumaczyć, co robił w tym klubie. Nie miał przy sobie broni. Jeśli widział, jak ochroniarz wyciąga gnata i znika w drzwiach, nie powinien tam wchodzić nieuzbrojony i bez wsparcia. To było szaleństwo. Marcin, za długo jestem w zawodzie, żeby wierzyć w bajki. Poza tym raport z balistyki był bardzo interesujący. Zabójca używał pistoletu Smith & Wesson kaliber dziewięć milimetrów, z tłumikiem. Oddał osiem strzałów. Siedem kul utkwilo w ciałach ofiar, a jedna w futrynie drzwi na zaplecze. Kilka centymetrów w bok i mogła wlecieć na salę, gdzie bawiły się setki osób. Ten chybiony strzał nie daje mi, cholera, spokoju.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Zanim komukolwiek powiem o swoich wątpliwościach, chciałam porozmawiać z tobą. Co wiesz o Szawczaku? Może być umoczony?

– Dobrze, że przyszłaś najpierw do mnie. – Marcin westchnął. – Parol jest czysty.

Uśmiechnęła się ironicznie jednym z tych złośliwych uśmiechów, które tak lubił.

– Jesteś pewien? – zapytała. – Zadałam sobie trochę trudu i dotarłam do policyjnego informatora kręcącego się po klubie Tester.

Pokazałam mu zdjęcie Szawczaka. Jest pewien, że widział, jak Szawczak kupuje narkotyki.

– Matka Parola jest zaawansowaną narkomanką – wyjaśnił Marcin. – Mieszkają razem. Jak pojechaliśmy do Łeby, przy whisky o wszystkim mi opowiedział. Odwyk mógłby ją zabić, więc sam kupuje jej narkotyki.

Paulina pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Cholera, nie wiedziałam. Skąd ma kasę na narkotyki? Chyba nie z policyjnej pensji?

– Jest graczem komputerowym – mruknął Marcin. – W sieci ludzie grają nie tylko dla przyjemności. Istnieje spory rynek, na którym gra się o duże pieniądze. Szawczak podobno jest dobry. Ma stałych klientów, którzy wynajmują go na sieciowe turnieje. Sami nie grają, bo są za słabi, ale chcą wygrać. Za każdą wygraną płacą procent od wygranej w twardej walucie. Poza tym sprzedaje gotowe postacie do gier.

– To jest legalne? – zapytała.

– Pewnie mógłby się nim zainteresować urząd skarbowy. – Marcin wzruszył ramionami.

– Nie wiedziałam, że jego matka jest narkomanką.

– Ja też dowiedziałem się niedawno. Dopiero jak się porządnie zalał, opowiedział mi o swoim dzieciństwie. Facet nie miał lekko. Kiedyś może ci powiem.

Marcin nachylił się w jej kierunku.

– Paulina, Parol to uczciwy facet i dobry gliniarz. Pogadam z nim, ale wydaje mi się, że naprawdę znalazł się w złym czasie i miejscu. Nie ciągnij tego.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

– Okej. Postaram się, żeby nikt nie drażył tego tematu. Ale muszę wiedzieć, co tam się stało naprawdę. Nie mamy nawet pojęcia, czy strzelał ktoś z zewnątrz, czy może jeden z uczestników transakcji.

– Dzisiaj do niego zadzwonię. A drugi temat?

– Jaki temat? – zdziwiła się.

– Powiedziałaś, że masz do mnie dwie sprawy: służbową i prywatną.

Milczała. Kiedy mu się przyglądała, jej oczy nagle zabłyśły. Jak zwykle była szczera i bezpośrednia.

– Chciałabym pójść z tobą do łóżka – rzuciła szybko.

– Ale... – zaczął.

– Zamknij się, dobrze? – przerwała stanowczo.

Patrząc mu prowokująco w oczy, rozpięła guziki białej bluzki i ściągnęła ją jednym ruchem. Potem odpięła zamek spodni, które zsunęły się natychmiast na podłogę.

– Posłuchaj... – próbował jeszcze coś powiedzieć, ale mu nie pozwoliła.

Usiadła mu okrakiem na kolanach i zamknęła usta pocałunkiem. Po chwili jej dłonie wślizgnęły się za gumkę bokserek. To była Paulina Czerny, dla niego ciągle najważniejsza kobieta w życiu. Zareagował natychmiast. Czując jego podniecenie, oderwała wargi od jego ust i spojrzała mu w oczy z kpiącym uśmiechem.

Kochali się w łóżku, ale szybko uznali, że jest za gorąco. Przenieśli się na chłodne kafelki kuchni, tam z kolei było zbyt twardo. Skończyli w pokoju na dywanie, przed otwartymi drzwiami balkonowymi, gdzie przeciąg delikatnie chłodził ich spocone ciała.

Potem leżeli jeszcze chwilę obok siebie. Wreszcie Paulina wstała i zapaliła papierosa, siedząc nago tyłem do niego na progu drzwi balkonowych.

– A jak zobaczą cię sąsiedzi? – zapytał.

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion i cisza. Marcin zaniepokoił się nagle, że Paulina żałuje. To było tak piękne i niespodziewane, że nie mogło być prawdą. On również się nie odzywał. Patrzył, jak po karku spływa jej kropla potu i zatrzymuje się gdzieś w okolicach kręgosłupa. Pod lewym ramieniem dostrzegł fragment blizny po operacji. Cztery lata wcześniej Paulina została postrzelona i lekarze ledwo ją uratowali.

W końcu zgasila papierosa i objęła kolana rękami.

– Marcin?... Musimy ustalić pewne zasady.

– Zasady?

– Nie możemy być razem. Próbowaliśmy dwa razy i kończyło się katastrofą. Nie mam zamiaru więcej cierpieć z twojego powodu. Nieważne, czy mnie kochasz, czy ja ciebie Kocham. Jesteśmy jak woda i oliwa. Tych składników nie da się połączyć. Nawet jak zamieszasz, po pewnym czasie oddzielają się od siebie.

Marcin milczał. Paulina mówiła dalej:

– Jak każda kobieta czasem potrzebuję czułości. A czasem męskiego ciała, dzikiego seksu i orgazmu. Z tobą jest mi w łóżku bosko. Nie chcę szukać gdzie indziej, skoro ty możesz mi to dać.

Marcin patrzył w sufit.

– Mam być twoim facetem tylko do łóżka? Na każde skinienie? Kiedy będziesz miała ochotę na seks, zadzwonisz, a ja przyjadę zwarty i gotowy? Tak to sobie wyobrażasz?

Zapaliła kolejnego papierosa.

– Mniej więcej – odpowiedziała między jednym zaciągnięciem się a drugim. – Tylko w ten sposób możemy być razem. Zostaniemy przyjaciółmi i kochankami.

Złożył ręce za głowę i roześmiał się bezgłośnie.

– To takie zabawne? – zapytała.

– Raczej tragikomiczne. Paulina, ja cały czas mam nadzieję, że w końcu spotkam kobietę, z którą uda mi się poukładać życie.

– Wtedy nasza umowa przestanie obowiązywać. Nie będę ci przeszkadzać.

Zgasła papierosa, przeciągnęła się i zaczęła szukać swoich rzeczy. On też wstał, włożył bokserki i koszulkę.

Starła się nie patrzeć mu w oczy, kiedy odprowadzał ją do drzwi.

– Może jednak zostaniesz? – spytał.

Pokręciła szybko głową. W otwartych drzwiach wspięła się na palce i pocałowała go namiętnie w usta.

– Było cudownie – szepnęła mu do ucha.

– Mnie również.

– Marcin?

Z torby zarzuconej na ramię wyciągnęła grubą kopertę formatu A4 i podała mu bez słowa.

– Co to jest? – spytał ostrożnie.

– Akta. Masz się z tym szybko zapoznać. Jutro wracasz do pracy. Prokurator Grabski chce, żebyś poprowadził śledztwo.

Odwróciła się i po chwili już jej nie było. Zakrzewski wolno zamknął drzwi i poszedł do kuchni. Zanim wyciągnął dokumenty z koperty, nalał sobie gazowanej wody i wrzucił do niej kilka kostek lodu.

Rozdział 16

Podczas pogrzebu Fiolka patrzyła na twarze przyjaciół – przestraszone, wykrzywione w bólu, zapłakane. Wiedziała, że to koniec ich paczki. Trzymali się ze sobą od wczesnej podstawówki. Żadne konflikty, kłótnie, kłopoty w szkole ani w domu nie rozbiły ich przyjaźni. Do teraz.

Podczas ceremonii pogrzebowej Anka Wiśniewska chyba jako jedyna nie uroniła ani jednej łzy. Nie dlatego, że nie przeżywała straty przyjaciela. Po prostu działa się z nią coś dziwnego, jakby znalazła się w świecie równoległym, dokąd głosy docierają stłumione, wszystko dzieje się z sekundowym poślizgiem i człowiek staje się niewidzialny.

Ochłonęła dopiero, kiedy jeden z ubranych na czarno pracowników domu pogrzebowego włączył jakieś urządzenie i trumna z cichym szumem zjechała na dół w akompaniamencie rozpaczliwych szlochów gości pogrzebowych.

Daenerys i Werkę udało jej się złapać obok wyjścia z cmentarza. Jagoda potrząsnęła tylko głową i odeszła w milczeniu, Weronika powiedziała, że ma to gdzieś i nigdzie nie przyjdzie. Ale przyszła. Siedziała teraz naprzeciw Anki i wpatrywała się w piasek pod nogami.

Pozostałych Fiolka zawiadomiła o spotkaniu telefonicznie. Mateusz długo się opierał i musiała pójść po niego do domu. Dlatego spóźnili się kilka minut.

Nieprzypadkowo wybrała miejsce. Piaskownica na terenie osiedlowego przedszkola. Tutaj odbywały się pierwsze spotkania ich

paczki. Miejsce było idealne, od strony chodnika ukryte za wielką kępą leszczyny. Koło dwudziestej w budynku przedszkola nie było już nawet sprzątaczek. Wystarczyło pokonać niski płot i zniknęło się przed światem. Tutaj palili pierwsze papierosy, tu pierwszy raz pili piwo, potem próbowali, jak smakuje wino, wreszcie pierwszy raz palili skręty.

Kiedy Anka i Mateusz przeskoczyli przez płot, reszta już była. W zapadających wolno ciemnościach jarzyły się tylko ogniki papierosów. Bez słowa usiedli obok siebie na drewnianej osłonie piaskownicy z nogami w środku. Dominika rzuciła im papierosy i zapalili.

Po prawej stronie siedziała Daenerys. Białe włosy splotła w warkocz, miała zaczerwienione od płaczu oczy i obejmowała się ramionami, jakby było jej zimno. Dominika zajmująca miejsce obok niej wyglądała niewiele lepiej. Werka skuliła się naprzeciw, patrząc gdzieś nieobecny wzrokiem. Kwasu był widocznie zdenerwowany. Palce, w których trzymał papierosa, drżały, a jego prawe kolano podskakiwało w niekontrolowanym nerwowym tiku.

Ankę ścisnął nagle za gardło żal. Z trudem stłumiła płacz. Nie płakała na cmentarzu, ale teraz ledwo się opanowała. Ci ludzie wciąż byli jej najlepszymi przyjaciółmi. Możliwe, że już nigdy nie będzie miała lepszych.

Musiała odezwać się pierwsza. Pstryknęła niedopałkiem w bok i nabrała głęboko powietrza.

– Słuchajcie, Tymon nie popełnił samobójstwa – powiedziała cicho.

Nieoczekiwanie zaatakowała ją Skucha.

– A skąd ty to możesz wiedzieć? Czy ktoś, kto nie jest samobójcą, zdejmuje lampę w pokoju i wiesz się na haku za pomocą własnego paska do spodni?

– Dominika, przestań – odezwał się Mateusz.

– Skąd Anka może to wiedzieć? – Skucha nie ustępowała. – O Apaczu też tak mówiła i co? Cholera, skoczył z dachu i...

– Zamknij się, Skucha! – Głos Mateusza zabrzmiał inaczej niż zwykle.

Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni. Nigdy go takiego nie widzieli.

– U Tymona policjanci nie znaleźli niczego podejrzanego – dodała jeszcze Dominika z rozpędu.

– A jesteś pewna, że szukali?

Zapadła cisza. Anka ze zdumieniem pojęła, że to ona sama wypowiedziała te słowa.

Skucha nie chciała już walczyć, w ułamku sekundy zmieniła się w przestraszoną i bezradną dziewczynę. Zamilkła. Anka wyciągnęła jej z dłoni paczkę papierosów i zapaliła następnego.

– Pod koniec sierpnia znowu dostaliśmy maile z tymi kretyńskimi rymowankami – zaczęła pewniej. – Tymon dostał inną. To nie był pusty los, tylko wygrana z tego naszego cholernego Koła Fortuny. Umówił się wtedy ze mną przy orliku. To było dokładnie dziesięć dni przed jego śmiercią. Był przerażony i nie wiedział, co robić.

– Dlaczego umówił się właśnie z tobą? – zapytała Daenerys.

– Nie wiem. – Pokręciła głową. – Może miał do mnie zaufanie.

Ostatnie niefortunne zdanie zawisło na dłużej w powietrzu. Patrzyli po sobie ponuro.

– Na pewno nie wyglądał na kogoś, kto ma zamiar odebrać sobie życie.

– Co mu powiedziałaś? – Kwasu odezwał się po raz pierwszy i jakby na usprawiedliwienie dodał: – Do mnie też wtedy dzwonił, ale starzy nie chcieli mnie puścić, bo miałem szlaban za imprezę na koniec wakacji.

Anka streściła krótko rozmowę z Tymonem.

– Obiecał ci, że pogada ze starym? – zapytał Kwasu z krzywym uśmiechem. – Wszyscy w mieście wiedzą, że ojciec Pedra jest prawnikiem mafii narkotykowej. Pedro z nim nie rozmawiał, odkąd stary po pijanemu pobił matkę i jego. Cholernie się go bał. Niemożliwe, żeby cokolwiek powiedział ojcu. Okłamał cię, Anka.

– Nie wiedziałam... – powiedziała cicho.

Była naiwna. Niepotrzebnie tak szybko mu uwierzyła.

– Poczekajcie. – Jagoda nachyliła się nagle do przodu, aż jasne włosy opadły jej na twarz. – Czy ja jestem głupia, czy wy mówicie o tym, że ktoś ich zamordował?

Znowu zapadła cisza. Od strony chodnika zza krzaków dobiegły ich kroki i rozbawione głosy nastolatków. Poczekali, aż kroki się oddalą.

– Anka, czy ty twierdzisz, że ktoś ma nasze Koło Fortuny i zgodnie z naszą dawną umową co miesiąc losuje spośród nas jedną osobę? Po to, by ją zamordować?

Anka podniosła głowę i spojrzała jej w oczy.

– Tak uważam.

– Jezu Chryste – jęknęła Daenerys. – Uszczypnijcie mnie. To się nie dzieje naprawdę...

Nieoczekiwanie Mateusz przysunął się do niej i otoczył ją ramieniem. Nie zaprotestowała. Położyła mu głowę na ramieniu i szeptała ciągle cicho:

– To nie może być prawda... nie może...

– Musimy z tym pójść na policję – powiedziała twardo Fiolka. – Mamy już połowę września. Zgodnie z zasadami za chwilę będzie kolejne losowanie. Nie wiadomo, na kogo wypadnie. Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie.

– Zaraz. – Werka powstrzymała ją gestem. – Zanim znowu zrobimy coś głupiego, zastanówmy się przez chwilę.

– Nad czym tu się zastanawiać? – wybuchła Daenerys, podrywając głowę z ramienia Mateusza. – Powinniśmy iść na policję od razu. Nawet teraz!

Chciała wstać, ale Mateusz ją przytrzymał. Spojrzała na niego z wrogością, jeszcze raz się szarpnęła, ale on nie puścił. Usiadła, opuściła głowę i tylko po drżeniu ramion poznali, że płacze. Mateusz uspokajająco głaskał ją po białych włosach.

Koło Fortuny wycięli z płyty OSB. Wzorowali się na kole z kultowego teleturnieju. Tarczę podzielili na sześćdziesiąt cztery pola, na niektórych z nich znalazły się ich nazwiska. Poruszone koło obracało się, dopóki plastikowa zapadka nie wyhamowała jego ruchu i nie zatrzymała się na losowo wskazanym polu.

– Oskar powiedział, że je zniszczył – odezwała się Anka.

– Nieprawda. Tylko je zdemontował i schował do szafy. Widziałem je u Apacza...

– Kiedy ostatni raz? – zapytała Werka.

– W długi majowy weekend. Apacz miał tam schowane piwo i często do tej szafy zaglądał.

– A kiedy dostaliśmy pierwsze maile?

– Pod koniec czerwca – odpowiedziała Anka.

– Co się mogło stać z tym kołem? – spytała Skucha.

– Nie wiem. – Michał wzruszył ramionami. – Może Apacz komuś je prehandlował. Wiecie, u niego zawsze było krucho z kasą. Handlował, czym się dało. Jakoś musiał sobie radzić. Koniecznie chciał skończyć szkołę, a jego starzy przepijali wszystko, co wpadło im w ręce. Apacz miał z nimi nielekkko.

– Przecież jego ojciec był inżynierem, a mama nauczycielką – mruknęła Anka, coraz bardziej zdziwiona.

– Może kiedyś byli. Ale od kilku lat zajmowali się głównie piciem i domowymi awanturami o flaszkę. Oskar nie chciał, żeby w szkole się dowiedzieli.

Weronika zaciągnęła się kolejnym tego wieczoru papierosem.

– I mu się udało. Skoro nawet ukochana nic o nim nie wiedziała – powiedziała uszczypliwie.

Anka spojrzała na nią z niechęcią.

– Apacz był facetem, który znał pół miasta. A drugie pół miasta znało jego – ciągnął Kwasu. – Jak nic opchnął komuś nasze Koło Fortuny za kilka złotych.

– Ale komu? – zapytał Mateusz. – Mordercy i psychopacie?

– On znał takich walniętych gości. – Jagoda pociągnęła nosem. – Kiedyś Pedro i ja widzieliśmy go z takim jednym... Nieźle się przestraszyłam. Wyglądał jak pieprzone monstrum z horroru. Zgarbiony, ubrany w jakieś szmaty, ale najgorsze były te ręce. Jak u szympansa. O wiele za długie, sięgały mu prawie za kolana. Jak nas zobaczył, zaraz uciekł. Apacz śmiał się ze mnie potem i dziwił się, że nie znam Jasia Rączki. Tak nazywał tego dziwnego typu. Mówił, że on ma protezy zamiast rąk.

– A co z filmem z naszego Totentanzu? – Skucha zmieniła nagle temat. – Ktoś go widział?

– Nie – odparł Mateusz.

Widać było, że podoba mu się sytuacja, w której obejmuje Jagodę ramieniem, a ona nie tylko nie protestuje, ale mocno się do niego przytula.

– Nie wydaje wam się to dziwne? Apacz miał sporo czasu, żeby zająć się filmem.

– Przecież na tym też chciał zarobić – wyjaśnił Kwasu.

– Jak to? – Anka znowu się zdziwiła i zaczęła się czuć jak idiotka.

– A jak zarabiają youtuberzy? – Kwasu odpowiedział jej pytaniem na pytanie. – Przy odpowiedniej liczbie wyświetleń dostajesz kasę za reklamy.

Anka wbrew zdrowemu rozsądkowi i obawie przed matką zapaliła jeszcze jednego papierosa. Zaraz zrobiło jej się niedobrze.

– Więc nie chodziło o drakę? – zapytała. – O zrobienie czegoś szalonego, czego nikt wcześniej nie próbował? Tylko o kasę?

– O zabawę oczywiście też, a że przy okazji można było zarobić... – Kwasu wzruszył ramionami.

– Apacz się denerwował, jak się go pytało o film – odezwał się Mateusz.

– Mnie powiedział, że było za ciemno i na filmie nic nie widać – dorzuciła Daenerys.

– Bzdura – skwitował Michał, wyciągając z paczki Skuchy ostatniego papierosa. – Jak wtedy wracaliśmy do domu, przeglądałem pobieżnie film na ekranie kamery. Obraz był rewelacyjny.

– Słyszałam, jak Oskar kilka razy mówił Tymonowi, że oddał film do zmontowania jakiemuś koledze, a on akurat wyjechał na zdjęcia do serialu i długo nie wróci – powiedziała Skucha.

– Też znam taką wersję – potwierdziła Werka.

Anka starała się zebrać myśli, ale w głowie miała mętlik. Nieprzyjemny posmak papierosa w ustach nie pomagał.

– Nie uważacie, że coś tu jest nie tak? – rzuciła cicho.

– To co robimy? – Mateusz spojrzał na nią ponurym wzrokiem.

Fiolka nie zastanawiała się nad odpowiedzią nawet sekundę.

– Idziemy na policję – zdecydowała.

– Może zagłosujemy?

– Głosujcie. – Wzruszyła ramionami. – Moje zdanie znacie.

Byli jednomyślni. Kiedy podnosili kolejno ręce, Anka miała wrażenie, że znowu są paczką dobrych przyjaciół. Z drugiej strony dręczyła ją uporczywa myśl, że to już ostatni raz. Śmierć stanęła między nimi i nic nie będzie takie samo.

Rozdział 17

Stał nieruchomo na balkonie, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w brukowaną ścieżkę biegnącą przez środek kwadratowego podwórza otoczonego ze wszystkich stron blokami. Słońce schowało się już za przeciwległy budynek.

Skończył przeglądać zawartość szarej koperty.

Pierwsza fotografia najbardziej zapadła mu w pamięć. Zbliżenie twarzy zamordowanej kobiety. Miała dwadzieścia trzy lata, krótkie ciemne włosy, zadarty nos, proste usta. Po kilku dniach od śmierci skóra na jej policzkach przybrała szarą barwę, oczy się zapadły, wystający spomiędzy warg czubek języka szerniał. Twarz przypominała woskową maskę. Prawa powieka była częściowo naderwana i widać było wysychającą gałkę oczną. Medyk sądowy wyraził opinię, że ktoś próbował otworzyć denatce oko trzy do czterech dni po śmierci.

Druga fotografia. Zbliżenie nagiego torsu zamordowanej dziewczyny. Rozdarte ubranie, wybroczyny na brzuchu, wyglądające, według opisu medyka sądowego, na ślady po dłoniach napastnika. Skaleczony prawy sutek. Rana zdążyła poczernieć i ściągnęła się, marszcząc skórę. Na zewnętrznej stronie piersi widniał wyraźny ślad po zębach zabójcy.

Kolejna fotografia. Zbliżenie podbrzusza zamordowanej kobiety. Podarte czarne majtki odsłaniające ciemne, krótko przystrzyżone włosy łonowe. Na udach sine wybroczyny, które lekarz zidentyfikował jako ślady po silnych dłoniach mordercy – zabójca brutalnie rozchyłał jej nogi na chwilę przed gwałtem. Czarna krew

zastygła na wargach sromowych. Gwałt był wyjątkowo brutalny i spowodował liczne obrażenia wewnętrzne. Medyk sądowy wyraził przypuszczenie, że sprawca musiał mieć członek rzadko spotykanych rozmiarów.

Zakrzewski po raz kolejny pomyślał, że nienawidzi swojej pracy. A równocześnie bez niej nie potrafi normalnie funkcjonować. Uwielbia dreszcz podniecenia, kiedy wpada na trop sprawcy, jest uzależniony od adrenaliny, gdy próbuje wniknąć w chory umysł zabójcy i odkrywa motywy jego postępowania.

Może też jest psychopatą?

Kolejne zdjęcie.

Zbliżenie szyi ofiary. Sine wybroczyny – wyraźnie odcisnięte palce zabójcy. Musiał mieć duże dłonie i grube palce odbiegające od średniej. Lekarz znowu przedstawił długą listę obrażeń i na koniec po raz kolejny wyraził przypuszczenie, że sprawca musiał być bardzo silny. Prawdziwy potwór. Ofiara walczyła, świadczyły o tym połamane paznokcie, fragmenty skóry i krwi mordercy pod paznokciami. Kiedy jednak zacisnął dłonie na jej szyi, nie miała szans.

Zakrzewski wrócił do mieszkania i krążył niespokojnie po pokoju. Nie pamiętał już o Paulinie, nie zwracał uwagi na pot spływający mu po karku. Myślał o zamordowanej dziewczynie.

Inna fotografia przedstawiała całą postać denatki. Leżała na skraju lasu, odgradzona od ścieżki szerokim pasem krzewów. Miejsce było oddalone o jakieś sto metrów od grobli Pilczycko-Prackiej biegnącej waleń Odry, obok ujścia Bystrzycy do Odry, do tego przysłonięte wysokimi trawami, dlatego ciało mogło tam przeleżeć kilka dni przez nikogo niezauważone. Dopiero biegający luzem owczarek niemiecki Atos wywęszył coś na porannym spacerze i zboczył z grobli. Jego właściciel był emerytem i kiedy zobaczył, co pies znalazł w krzakach, omal nie dostał zawału. Gdy jego serce zaniechało dzikiej galopady, zaczął myśleć rozsądnie i natychmiast zatelefonował pod numer 112.

Nazywała się Wiktoria Nowak i miała dwadzieścia trzy lata. Mieszkała z rodzicami na ulicy Kozanowskiej, w bloku stojącym blisko wału Odry.

We wtorek 25 sierpnia Wiktoria Nowak wyszła z domu około osiemnastej. Według zeznań rodziców i siostry była umówiona z dwiema koleżankami na przystanku tramwajowym na Pilczyckiej. We trzy wybierały się do Rynku na kawę i plotki. Nie dotarła na przystanek. Koleżanki czekały na nią około kwadransa. W tym czasie próbowały się do niej dodzwonić, ale najpierw nikt nie odbierał, potem włączała się poczta głosowa. Pojechały same.

Policja próbowała odtworzyć ostatnią drogę Wiktorii Nowak. Śledczym udało się dotrzeć do kilku świadków, którzy znali dziewczynę i nie mieli wątpliwości, że tego dnia widzieli właśnie ją. Dwóch świadków zauważyło ją na wysokości pizzerii Lido, trzeci – jej kolega – nawet do niej zagadnął, ale Wiktoria się spieszyła, więc nie rozmawiali długo. Na skrzyżowaniu Kozanowskiej z Wiślańską i Setną widziało ją kolejnych dwóch świadków – w tym jej sąsiadka z piętra. Ostatni świadek mijał Wiktorię, kiedy dochodził do skrzyżowania z Pałucką. Tutaj ślad się urywał, jakby Wiktoria Nowak zapadła się pod ziemię. Policjanci dzielnicowi wraz z funkcjonariuszami z komisariatu policji Wrocław Fabryczna przez tydzień odwiedzali mieszkańców okolicznych bloków, pokazując fotografie zaginionej. Bezskutecznie. Nie bardzo było wiadomo, jak dziewczyna znalazła się w mało uczęszczanym miejscu nad Odrą, trzy kilometry dalej na zachód.

Najbardziej prawdopodobna hipoteza zakładała, że Wiktoria wsiadła do niezidentyfikowanego samochodu na skrzyżowaniu z Pałucką lub trochę dalej. Czy zrobiła to z własnej woli, czy została do tego w jakiś sposób zmuszona, pozostaje tajemnicą. Jeżeli wsiadła sama, można by zakładać, że znała sprawcę. Oczywiście kierowca lub pasażerowie nie musieli być zabójcami. Wiktoria mogła nagle zmienić plany i pojechać w inne miejsce. Było kilka wariantów

zdarzeń. Wstępnie przyjęto wersję, że wsiadła do auta sprawcy, ponieważ go znała.

Według policyjnych statystyk większość sprawców przestępstw na tle seksualnym zna swoje ofiary – mieszka w pobliżu, widuje je w windzie, na ulicy, w sklepie, chodzi na imprezy do wspólnych znajomych, pracuje w jednej firmie albo uczęszcza na niedzielne msze na tę samą godzinę.

Rodzice Wiktorii Nowak zgłosili zaginięcie córki już następnego dnia, jednak pierwsze czynności operacyjne policja podjęła później. Cały czas zakładano, że dziewczyna jest u znajomych i niedługo wróci do domu. Poszukiwania rozpoczęły się w czwartek 27 sierpnia. Wiktoria z nikim się nie kontaktowała, a jej telefon był niedostępny. Rodzice i znajomi poszukiwali jej też na własną rękę – bez efektów.

Ciało Wiktorii Nowak zostało odnalezione we wtorek 1 września.

Pierwsze oględziny miejsca znalezienia zwłok przeprowadzone przez pracowników wydziału techniki kryminalistycznej wyglądały obiecująco. Na ciele ofiary i w jego najbliższym otoczeniu znaleziono bardzo wiele śladów: odciski palców zabójcy na pasku do spodni, torebce i leżącym w pobliżu plastikowym kubku, włosy z głowy i włosy łonowe, zaschnięte krople krwi na brzuchu ofiary, fragmenty naskórka i krew mordercy pod paznokciami denatki. Później, podczas sekcji zwłok, lekarz patolog znalazł też nasienie sprawcy w pochwie ofiary. Doskonały materiał genetyczny do identyfikacji, a później niezbity dowód w sądzie.

Na miejscu zbrodni zabezpieczono też liczne ślady butów. Wielkich butów. Technicy ze zdziwieniem określili ich rozmiar na 52. Ziemia była miękka, sprawca ważył na pewno ponad sto kilogramów. Ślady były doskonale widoczne. Dwa szczególnie dobre odciski zachowały się w miękkiej ziemi tuż za głową dziewczyny. Wyszły z tego dwa prawie idealne odlewy podeszwy.

Bardzo ciekawe, a zarazem makabryczne wnioski znalazły się w końcowym raporcie z oględzin miejsca zbrodni, który następnego dnia trafił na biurko prokuratora Marka Grabskiego

Po przeanalizowaniu śladów szef techników opisał postępowanie zabójcy już po dokonaniu zbrodni. Najpierw ciało zostało zakopane w ziemi. Zabójca musiał posłużyć się ostrym narzędziem do usunięcia warstwy trawy i później do wykopania płytkiego zagłębienia w ziemi. Raczej nie był to szpadel ani łopata. Narzędzie określono jako rodzaj ostrej saperki, jaką posługują się harcerze, żołnierze lub grupy paramilitarne. Usunięcie darni musiało zająć minimum godzinę, chociaż możliwe, że trwało krócej, bo wiele wskazywało na to, że sprawca dysponował ponadprzeciętną siłą fizyczną. Po wykopaniu dołu ciało zostało niezbyt starannie przysypane ziemią, jakby zabójcy nie zależało na dokładnym ukryciu zwłok. Szef techników twierdził, że sprawca wracał na miejsce ukrycia ciała co najmniej dwa albo i trzy razy. Za pierwszym razem wykopał zwłoki i wyczyścił je z resztek ziemi, za drugim oraz potencjalnie trzecim razem zachowywał się jeszcze bardziej irracjonalnie. Przyniósł ze sobą wodę w butelce, plastikowy kubeczek i chusteczki higieniczne. Wodą dokładnie obmył twarz ofiary, szyję i dłonie. Próbował też czesać jej włosy grzebieniem, który się złamał – część została we włosach. Potem nieudolnie pomalował jej usta czerwoną szminką. Szminka została znaleziona obok zwłok. Były na niej tylko odciski palców sprawcy, a w torebce Wiktorii Nowak znajdowała się droga, markowa szminka, choć zgodnie z zeznaniami rodziców i koleżanek dziewczyna nie używała jaskrawej czerwieni.

Następnie sprawca zerwał polne kwiaty i obłożył nimi zwłoki. Kilkanaście stokrotek włożył dziewczynie we włosy, prawdopodobnie jeden bukietek wsunął jej w dłoń. Później kwiaty wyschły i rozwiął je wiatr.

Próbował też otworzyć denatce oko, nadrywając przy tym powiekę.

Raport z sekcji nie wspominał o pośmiertnym bezczeszczeniu zwłok. Wiktoria została brutalnie zgwałcona, a następnie uduszona gołymi rękami. Na ciele nie było obrażeń powstałych po śmierci.

Lekarz określił datę zgonu na wieczór 25 sierpnia, czyli dzień zaginięcia. Kiedy znaleziono ciało, Wiktoria Nowak nie żyła od sześciu dni. Medyk sądowy podczas sekcji zwłok dokonał jeszcze jednego odkrycia: w ustach ofiary znalazł małą papierową kulkę. Nie była nasączona śliną, musiała więc trafić tam już po śmierci i wyschnięciu śluzówek – minimum po dwudziestu czterech godzinach. Po rozwinięciu kulki okazało się, że na skrawku papieru ktoś napisał niestarannie miękkim ołówkiem – technik kryminalistyki określił jego twardość na B5 – dwa słowa: „Za Żyletę”.

Papier poddano analizie. Okazało się, że musi mieć co najmniej trzydzieści lat. Był pożółkły, zaatakowany przez grzyby i inne drobnoustroje, co mogło wskazywać na to, że przechowywano go w zawilgoconym pomieszczeniu, może w piwnicy albo na poddaszu. Znaleziono też drobinki kurzu, ale żadnych odcisków palców. Laboratorium techniki kryminalistycznej doszło do wniosku, że papier pochodzi ze zwykłej papeterii, jakie można było kupić w każdym kiosku Ruchu w latach osiemdziesiątych poprzedniego stulecia.

Zdarza się, że nadmiar śladów zebranych w miejscu popełnienia przestępstwa wcale nie pomaga śledczym. Tak było w tym przypadku. W policyjnych bazach danych niczego nie znaleziono. Morderca miał czystą kartotekę i dla policji był na razie nieuchwytnym widmem. To widmo posiadało już wstępny zarys postaci, konkretne linie papilarne, znaną grupę krwi, jedyną w swoim rodzaju, niepowtarzalną kombinację genów, ale nadal było tylko nocnym koszmarem prowadzących śledztwo.

Bardzo trudne okazało się określenie motywu zbrodni. Co prawda ofiara została zgwałcona i prawdopodobnie podczas tego aktu uduszona, jednak skrawek papieru w ustach zmieniał wszystko. Użycie dużej litery w słowie „Żyleta” sugerowało, że to pseudonim konkretnej osoby. Słowa „Za Żyletę” sugerowały zemstę.

Do tego dochodziło jeszcze niespotykane postępowanie zabójcy. Zazwyczaj nikt nie wraca na miejsce zbrodni, nie odkopuje ofiary, nie

myje jej, nie czesze, nie maluje jej ust szminką i nie zrywa jej kwiatów.

Mieli więc trudną do zrozumienia, wykluczającą się mieszankę motywów i typów osobowości sprawcy. Chęć uzyskania seksualnego zaspokojenia, kompletne szaleństwo z seksualnym podtekstem czy zemsta? Wyrachowany psychopata, szaleniec czy mściciel?

W ciągu sześciu dni od znalezienia zwłok prokurator Grabski i wydział kryminalny wykonali tytaniczną pracę. Policjanci rozmawiali z rodziną Wiktorii Nowak, prześwietlili jej sąsiadów, koleżanki i kolegów z podwórka, kumpi ze studiów, znajomych, personel i gości baru, w którym dorabiała – bez rezultatu. Nikt nie kojarzył osoby o ksywie „Żyleta”. Nie znaleziono świadków porwania i morderstwa. Wiktoria miała wielki siniak z tyłu głowy. Lekarz sądził, że uderzono ją tępym narzędziem, które na jakiś czas pozbawiło ją przytomności. Nie wiadomo było tylko, czy została ogłuszona już w chwili porwania, czy może później.

Miejsce odkrycia zwłok było odludne. Samochodem nie było szansy tam dojechać, kilkaset metrów trzeba przejść pieszo. Niedaleko wznosi się nad okolicą nieczynne już wysypisko śmieci, po drugiej stronie Bystrzycy znajduje się oczyszczalnia ścieków, domy mieszkalne stoją w znacznym oddaleniu. Z tego powodu groblą Pilczycko-Pracką w tym miejscu spaceruje niewiele osób. Trasa jest uczęszczana przez rowerzystów, ale wśród nich też nie udało się znaleźć żadnych świadków.

Na policję zgłosiła się jednak starsza kobieta. Twierdziła, że między 25 a 30 czerwca dwa razy widziała tam dziwnego mężczyznę, choć nie potrafiła wytłumaczyć owej „dziwności”. Chodził nienormalnie, wyglądał nienaturalnie, zachowywał się podejrzanie. Ale takie stwierdzenia niczego do śledztwa nie wносиły. Dopiero po pewnym czasie udało się ze świadka wyciągnąć coś więcej. Miał dziwną twarz. Taką, której nie zapomina się do końca życia. I co najmniej dwa metry wzrostu.

Technikowi udało się stworzyć portret pamięciowy, ale wyszła z tego istota przypominająca dowódcę orków oblegających Gondor. Portret znalazł się w aktach, lecz uznano go za mało pomocny.

Około dwudziestej pierwszej zadzwonił telefon. Zakrzewski odebrał po drugim dzwonku. Wiedział, że to prokurator Grabski.

– Marek Grabski z tej strony, nie obudziłem cię? – zapytał zmęczony głos.

– Czekałem na twój telefon.

Grabski nie odpowiedział od razu. Marcinowi wydawało się, że coś przetykał. W tle słyhać było dźwięki transmisji sportowej w telewizji.

– Masz jakieś przemyślenia?

– Tak. – Głos Marcina zabrzmiał pewnie i zdecydowanie. – To nie było jego pierwsze zabójstwo.

Marcin czekał, ale Grabski się nie odzywał. Sądząc po oddechu, musiał w tym czasie co najmniej dwa razy zaciągnąć się papierosem. Cholerny, ukrywany od lat nałóg, który zrobił takie zamieszanie w ostatnim śledztwie.

– Uzasadnij – powiedział wreszcie, wypuszczając głośno dym z płuc.

– Jest zbyt pewny siebie. Na miejscu zbrodni zostawia masę śladów, nie stara się czegokolwiek ukryć ani zamaskować.

– No i?

– Uważa, że policja nie jest w stanie go złapać. Bardzo możliwe, że pierwszy raz był dla niego najtrudniejszy. Starannie wybierał ofiarę. Według statystyk w przypadku zabójstw na tle seksualnym pierwsza ofiara jest bardzo dobrze znana sprawcy. Może wywodzić się nawet z bardzo bliskiego sąsiedztwa. Dlatego zabójca długo się zastanawia, kogo wybrać, i długo się ofierze przygląda. Zazwyczaj to osoba najbliższa jego wyobrażeniu kobiety idealnej, takiej, która go najbardziej podnieca i dla zdobycia której mógłby dopuścić się ostatecznych czynów.

Zakrzewski nie mówił niczego odkrywczego. Większość seryjnych zabójców działa zgodnie z tym schematem. Pewnie prokurator dobrze o tym wiedział.

– Nadażam. – Szczęk zapalniczki powiedział mu, że Marek zapalił kolejnego papierosa.

– W przypadku pierwszego zabójstwa sprawca starał się zostawić jak najmniej śladów. Potem zaszył się w domu, śledził z niepokojem prasę i telewizję. Kiedy przez kolejne dni nie dowiedział się niczego o swojej zbrodni, a policja nie zastukała do jego drzwi, nabrał pewności siebie. Pierwsze zabójstwo zaspokoilo jego żądze seksualne, ale czuł niedosyt. Znowu chciał poczuć rozkosz, tym razem większą i pełniejszą. Pewnego wieczoru wyszedł z domu, pojeździł ulicami i wypatrzył kolejną ofiarę. Tym razem zadowolili się dziewczyną tylko trochę podobną do jego ideału. Nie miał czasu. Spieszył się.

– Zaraz, zaraz – przerwał mu Grabski. – Twierdzisz, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą?

– Owszem.

– Ryzykowna teoria.

– Ale bardzo prawdopodobna.

Marek znowu wypuścił w słuchawkę dym z papierosa.

– Mów dalej – poprosił.

– Tym razem, zabijając, nie był już tak ostrożny. Zaczyna zostawiać ślady, ponieważ czuje się bezkarny. Jeśli nie był nigdy notowany, zaczyna zdawać sobie sprawę ze swojej przewagi nad policją. Śmieje nam się w twarz. Nie wierzy, że jesteśmy dla niego zagrożeniem.

– Twierdzisz zatem, że Wiktoria Nowak nie była pierwsza – mruknął Grabski w zamyśleniu.

– Co najmniej trzecia.

– Cholera, nie pomyśleliśmy o takiej opcji. – Dźwięki meczu po drugiej stronie słuchawki nagle się urwały.

Marcin napił się wody z butelki i wygodniej ułożył w fotelu.

– Jeśli mamy pecha, zabójca może działać na terenie całego kraju – powiedział. – Na przykład pierwszy raz w Poznaniu, potem Szczecin, teraz Wrocław. Jednak to mało prawdopodobne. Raczej mieszka we Wrocławiu. Jego pierwszych ofiar jeszcze nikt nie znalazł. Powinniśmy sprawdzić rejestr zaginionych osób z ostatnich miesięcy. Kto wie, może i dwóch lat. Interesują nas kobiety w wieku od osiemnastu do trzydziestu pięciu lat, brunetki, krótkie włosy. Z terenu miasta.

– To się da szybko zrobić. I co dalej?

Marcin wiedział, że jego kolejna propozycja jest bardzo ryzykowna. Mimo to nie wahał się ani przez sekundę.

– Moglibyśmy poszukać zwłok – wypalił.

– Mamy za mało ludzi – zauważył przytomnie Grabski.

– Kadeci ze szkoły policyjnej – rzucił Marcin. – Kiedyś już nam pomagali. Można by też wykorzystać straż miejską.

– Zdajesz sobie sprawę, ile mamy w mieście miejsc idealnych do popełnienia takiej zbrodni i ukrycia zwłok? – zapytał Grabski.

– Trzeba się zastanowić nad sensownym kluczem poszukiwań. Coś mi mówi, że powinniśmy szukać na zachodnich terenach miasta wzdłuż Odry i skupić się na ujściu Ślęzy i Bystrzycy...

Prokurator milczał długą chwilę.

– Niewykluczone, że twój plan jest wykonalny. Godlecki mógłby nam zorganizować pomoc na dwa, trzy dni. Tylko oprócz niego trzeba do tego pomysłu przekonać kilka osób.

Pięć minut później komisarz Zakrzewski przerwał połączenie. Znowu ogarnęło go uczucie podniecenia. Namieszał Grabskiemu w głowie, to oczywiste. Był jednak pewien jak nigdy, że ma rację.

Znowu sięgnął po telefon i wybrał numer do Parola. Po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa.

– W co ty się, Szawczak, wpakowałeś? – powiedział do siebie cicho.

Rozdział 18

Nie spał dobrze już od kilku nocy.

Dotąd wydawało mu się, że jest w stanie panować nad stresem. Mógł nie spać dwie doby, wydzielana przez organizm adrenalina działała jak dopalacz. Zdarzało się, że przez kilkanaście godzin bez przerwy grał na komputerze, zachowując przez cały czas maksymalną koncentrację i skupienie. Musiał tylko regularnie pić kawę i mieć pod ręką kilka tabliczek czekolady.

Teraz z trudem uświadomił sobie, że tamto było tylko zabawą, grą, ekscytującą, ale niezbyt niebezpieczną pracą. Prawdziwy stres go sparaliżował.

Odkąd w klubie Tester zobaczył twarz mordercy, a później jego dłoń ściskającą pistolet z tłumikiem, i pomyślał, że za chwilę umrze, stało się coś fatalnego. Nie potrafił normalnie funkcjonować. Rozsypał się. Jakby był zbudowany z klocków Lego i nie umiał włożyć brakujących kawałków siebie na właściwe miejsca. Myślał, że kiedy porządnie się wyśpi, wszystko wróci do normy. Mylił się. Nie mógł spać. Kiedy zasypiał, męczyły go koszmary. Budził się gwałtownie w środku nocy i o dalszym śnie nie było mowy. Może jakoś udałoby mu się wreszcie pozbierać, gdyby nie atmosfera w pracy.

Koledzy potraktowali go z buta. Już dwie godziny po zajściu w klubie siedział w budynku komendy wojewódzkiej w pokoju przesłuchań po tej drugiej stronie biurka. Na miejscu przeznaczonym dla przesłuchiwanego. Poczul się nieprzyjemnie – jak przestępca. Włączona kamera patrzyła na niego martwym obiektywem,

naprzeciwko siedzieli komisarz Paulina Czerny i podkomisarz Tomaszewicz z Biura Spraw Wewnętrznych. Był niemal pewien, że zza szyby obserwuje go prokurator.

Przesłuchanie było koszmarem. Nie mógł powiedzieć prawdy, więc kluczył. Starał się mówić pewnie i przede wszystkim wiarygodnie, nie wyłożyć się na jakimś idiotycznym szczególe. Mówił półtorej godziny. Pytał głównie Tomaszewicz, Czerny tylko się przysłuchiwała, ale po jej oczach Parol widział, że ona wie. Jakby na potwierdzenie tych przypuszczeń w pewnej chwili się wtrąciła i dzięki temu Tomaszewicz szybciej zakończył przesłuchanie.

Potem jeszcze raz był przesłuchiwany jako świadek przez prokuratora i Paulinę. Znowu wydawało mu się, że ona go chroni. Kiedy zaczynał się gubić, pytała o coś innego. Może oczekiwała, że się złamie, przyjdzie do niej i powie prawdę, ale się nie zdecydował. Bał się, że kiedy prawda wyjdzie na jaw, wyleci z policji i będzie miał kłopoty. Kto by się wtedy zajął matką?

Przez cały ten czas zastanawiał się, czy nie opowiedzieć całej prawdy Zakrzewskiemu. On wiedział, że jego matka jest bardzo chora, mógłby porozmawiać z Pauliną. Pomóc. Nie przemógł się jednak.

Kompletnie stracił głowę, kiedy przed czterema dniami po raz pierwszy zobaczył ten samochód. Czerwony terenowy mercedes z napędem na cztery koła jechał za nim od placu Jana Pawła II przez całą Legnicką i część Lotniczej. Skręcił za nim w Drzewieckiego. Kiedy Parol parkował pod blokiem, w którym mieszkał, mercedes wolno pojechał dalej. Szawczak wszedł do bramy, poczekał, aż drzwi się za nim zamkną, i patrzył przez szybę na ulicę. Po chwili czerwony mercedes wolno przejechał w drugą stronę.

Od tamtej chwili gdziekolwiek spojrzał, widział czerwonego mercedesa. W końcu sprawdził jego numery w policyjnej bazie. Okazało się, że auto należy do sąsiada mieszkającego w tym samym bloku. Niepokój jednak nie zniknął.

Wtedy też po raz pierwszy tak naprawdę zastanowił się, dlaczego morderca go nie zabił. Musiał wiedzieć, że Parol ukrywa się w pomieszczeniu ze skrzynkami na napoje.

Było wpół do dziesiątej wieczorem. Parol zatankował swojego golfa na BP przy skrzyżowaniu Legnickiej z obwodnicą śródmiejską i stanął w kolejce do kasy. Przeszł pową nerwowo z nogi na nogę. Jego wzrok przykuł mężczyzna przy automacie z kawą, który wolno wyciągnął styropianowy kubek, włączył ekspres i patrzył, jak kawa dwoma strumyczkami napełnia naczynie. Nic szczególnego. Ale Parol dostrzegł w tej postaci coś niepokojąco znajomego. Przesunął się w bok i próbował dojrzeć twarz tamtego. Nie udało się. Czarna koszula z długimi rękawami, czapka z daszkiem, wytarte dżinsy. Tak mógł wyglądać każdy.

– Słucham pana?

Z letargu wyrwał go głos kasjerki. Nawet nie zauważył, że przyszła jego kolej.

– Tankowanie z piątki – powiedział, usiłując się skupić.

Kasjerka uśmiechała się do niego sympatycznie, kiedy nie mógł znaleźć w kieszeniach karty płatniczej, potem poprawiła go, gdy włożył ją odwrotnie do czytnika, i cierpliwie czekała, aż przypomni sobie PIN.

Kiedy odszedł z paragonem od kasy, mężczyzny nie było przy automacie. Parol wybiegł na zewnątrz i rozejrzał się po stacji. Wszystkie dystrybutory były zajęte, sznur aut ciągnął Legnicką w obie strony, po przeciwległej stronie skrzyżowania świeciły neony na biurowcu, a dalej reklamy na Centrum Handlowym „Astra”. Nigdzie nie zauważył podejrzanego mężczyzny.

Wpadał w paranoję. Cholera, musi wziąć się w garść.

Wsiadł do auta i sięgnął po telefon komórkowy, który zostawił na siedzeniu pasażera. Na wyświetlaczu zobaczył nieodebrane połączenie od Marcina Zakrzewskiego. To było jak impuls. Odjechał spod dystrybutora, zatrzymał się na wolnym miejscu parkingowym i oddzwonił.

*

Na sygnał telefonu Marcin aż podskoczył. Spojrzał na wyświetlacz. Parol. Głos miał zachrypnięty, jakby długo nie spał albo poprzedniego dnia dużo wypił.

– Marcin, musimy porozmawiać.

– Cześć, Parol – przywitał się spokojnie. – W co ty się wplątałeś?

Była u mnie Paulina Czerny.

Szawczak milczał chwilę.

– To był cholerny zbieg okoliczności – odparł w końcu.

– Dlaczego nie powiedziałaś prawdy?

– Nie mogłem. Słuchaj, musimy pogadać. Przyjedź do mnie.

Zakrzewski się zawahał.

W głosie Parola brzmiała jeszcze jedna nuta, którą dopiero teraz zidentyfikował. To był strach.

– Zaraz będę.

Klnąc pod nosem, wkładał spodnie i buty. W tylnej kieszeni schował dokumenty, z półki w przedpokoju zdjął kask motocyklowy i wyszedł z domu. Na zewnątrz wciąż było gorąco. Przed sklepikiem otwartym do dwudziestej drugiej stali trzej mężczyźni, rozmawiając głośno i pobrzękując pustymi butelkami po piwie w foliowych torbach. Zamilkli, kiedy odpalił silnik. Patrzyli z zazdrością w oczach, jak wyjeżdża z parkingu i skręca w Tyrmanda.

*

Szawczak odłożył telefon na stół w kuchni i sięgnął do lodówki. Wyciągnął napoczętą butelkę coca-coli i pociągnął kilka łyków. Paulina Czerny rozmawiała o nim z Marcinem. A zatem, tak jak przypuszczał, kryła go podczas przesłuchań.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Co się z tobą dzieje, Parol? – wyszeptał do siebie prawie bezgłośnie. – Dlaczego sam wcześniej wszystkiego nie powiedziałaś?

Usłyszał cichy głos zza zamkniętych drzwi sypialni matki. Wstał i zajrzał do środka.

Pomimo wysokiej temperatury matka leżała na łóżku przykryta kocem. Splecione na piersiach dłonie obciążone bladą, prawie przezroczystą skórą drżały niespokojnie. Oczy były podkrążone i zapadnięte, a jednak lśniły dziwnym wewnętrznym blaskiem.

– Mamo? – odezwał się.

Nie zareagowała. Pomyślał, że to już nie potrwa długo. Organizm wyniszczony przez heroinę nie miał siły się bronić przed złośliwym nowotworem. Lekarz powiedział mu wprost: przed leczeniem matka musiałaby przejść detoks. W innym przypadku terapia antyrakowa byłaby dla niej zabójcza. Tyle że każda próba odstawienia heroiny również zagrażała jej życiu.

Szawczak zamknął drzwi do sypialni i wrócił do kuchni. Nie rozpaczał, że matka wkrótce umrze. Czuł raczej ulgę na myśl, że niedługo koszmar się skończy. Będzie wolny, zacznie życie od nowa, będzie nareszcie mógł planować przyszłość, wyjechać gdzieś, odpocząć. Może spotka jakąś rozsądną kobietę i ułoży sobie życie?

Rozmyślania przerwał mu dzwonek do drzwi. Był pewien, że to Zakrzewski, więc otworzył, nie spoglądając w wizjer.

I to był błąd.

*

Marcin zaklął, zły na siebie. Zamiast pojechać Strzegomską i skręcić na obwodnicę śródmiejską, postanowił na krzyżówce na Nowym Dworze skręcić w lewo w Chociebuską. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że wiadukt nad torami kolejowymi jest od dawna nieczynny. Marcin dojechał do przejazdu kolejowego kilometr dalej, szlabany akurat opadły. Zgasił silnik motoru i czekał niecierpliwie. Minęły

długie minuty, zanim pociąg towarowy przetoczył się wolno po torach, stukając miarowo, i potem kolejne kilkanaście sekund, zanim automat podniósł szlabany.

Silnik hondy zawył na wyższych obrotach i maszyna wyskoczyła do przodu, w kilka sekund rozpędzając się do setki. Ulice były puste, więc Marcin mógł pozwolić sobie na odrobinę szaleństwa. Przy tej prędkości pęd powietrza chłodził ciało po upalnym dniu.

Dwie minuty później zaparkował na Drzewieckiego pod bramą numer 32.

*

Pchnięte z dużą siłą drzwi uderzyły Parola w twarz. Zaskoczony i oślepiiony nagłym bólem stracił równowagę. Przewrócił się na plecy, uderzając głową o podłogę. Co się dzieje, do diabła? – przemknęła mu przez głowę myśl i zaraz zgasła. Powrócił rozsądek. Znajomy samochód, który często za nim jeździł, mężczyzna na stacji benzynowej. Jasny gwint! Przecież już go widział. Raz, przez ułamek sekundy, lecz to wystarczyło, żeby zapamiętał go na zawsze. Takiej twarzy się nie zapomina. Poczuł na skórze lodowate macki strachu.

Trzeba się ratować.

Nie zamierzał się podnosić. Przekręcił się na brzuch, chcąc jednym susem dostać się do pokoju, gdzie w szufladzie biurka miał służbowego walthera P99. Nie zdążył, potężne kopnięcie w bok pozbawiło go oddechu. Upadł, charcząc. Po chwili przeszło. Próbował kopnąć napastnika, wyrzucając nogi do przodu, lecz stopy trafiły w pustkę. Dopiero teraz zdecydował się spojrzeć.

Błękitne oczy, lśniące jak diamenty, ale puste i zimne jak lodowa otchłań. Twarz niewyrażająca żadnych emocji, niczym plastikowa karnawałowa maska z najgorszych sennych koszmarów. Parol zrozumiał w jednej sekundzie. Z takim przeciwnikiem nie ma szans. Nawet się nie przestraszył. Poczuł za to rozczarowanie. Jego życie skończy się, zanim na dobre się rozpoczęło. Tyle lat marzył o chwili,

w której uwolni się od matki i zacznie żyć własnym życiem. I już nie zdąży. Nawet nie sprawdzi, jak to jest. Parszywy los.

Mężczyzna ruchem pistoletu pokazał mu, że ma wstać. Szawczak podniósł się wolno. Przedłużył sobie życie o dwie, trzy sekundy. Teraz zaczął się bać. Kiedy strach eksplodował w jego głowie, zrozumiał, że nie ma już nic do stracenia. Dwa kroki do tyłu, biurko, walther P99. Nie miał najmniejszych szans, żeby po niego sięgnąć. Z drugiej strony, skoro wszystko stracone, dlaczego nie miałby spróbować?

Spróbował.

Rozległ się trzask pierwszego wystrzału. Tłumik sprawił, że zabrzmiało to trochę głośniejsze niż wystrzał korka z butelki musującego wina w noc sylwestrową. Pierwszy toast na stypie.

Pocisk uderzył Parola w lewe ramię. Nie poczuł bólu, tylko szarpnięcie. Kiedyś podczas gry w tenisa dostał w ramię piłką. Dokładnie takie samo uczucie. O dziwo, wtedy bolało od razu, i to jak cholera.

Zrobił drugi krok i goście pogrzebowi otworzyli drugiego szampana. Piłka tenisowa zaserwowana z drugiego końca kortu tym razem uderzyła go w udo. Znowu nie bolało. Tylko noga załamała się pod nim nieoczekiwanie i runął na dywan.

W psychologii taki stan nazywa się syndromem wyparcia. Mózg aspiranta Gotarda Szawczaka postanowił znaleźć się w zupełnie innym miejscu i podsunął mu kuszące obrazy z innej rzeczywistości. Dopiero patrząc z perspektywy dywanu, Parol wrócił do chwili tu i teraz. Biurko nadal stało w tej samej odległości co poprzednio. Szuflada nadal była zamknięta. Walther nadal był zabezpieczony.

Nieoczekiwanie z boku rozległ się przeraźliwy wrzask. Parolowi wydawało się, że pękają mu bębniaki w uszach – i nie było to kolejne złudzenie wyprodukowane przez mózg. Zabójca drgnął przestraszony, lufa jego broni zaczęła przesuwając się w lewo, skąd dobiegał wściekły krzyk. Zanim jednak wykonał pół ruchu, spadła na niego wychudła postać w o wiele za dużej białej koszuli nocnej.

Matka Parola. Musiała się zorientować, co się dzieje, i z dziką furią zaatakowała napastnika. W pierwszej chwili uległ pod jej naporem. Parol widział, jak oboje lecą w kierunku szafki na buty. Pod wpływem uderzenia góra szafki pękła i wylądowali na podłodze. Wrzask nie ustawał.

Szawczak uświadomił sobie, że ta scena rozgrywa się przed jego oczami jakby w zwolnionym tempie. To była dla niego szansa. Musiał wykorzystać ten drobny poślizg w czasie i sięgnąć po broń. Próbował wstać, ale przestrzelona w udzie noga nie wytrzymała ciężaru i znowu runął na podłogę. Tym razem o wiele bliżej biurka. Pomyślał, że nie zdąży. Ruszał się jeszcze wolniej niż otoczenie wokół. Sięgnął do szuflady, wymacał zimną stal pistoletu, sprawnie przesunął kciukiem dźwignię zabezpieczenia i już się odwracał w kierunku dwóch walczących w przedpokoju postaci.

Rozległy się dwa stłumione wystrzały. Zobaczył, że na białej nocnej koszuli pojawiły się dwie krwawe plamy, które szybko się powiększały. Dwa pociski wystrzelone z niewielkiej odległości przeszły na wylot wychudzoną pierś jego matki i utkwily w suficie. Jeden rozbił klosz lampy i na podłogę posypały się szklane odłamki.

Morderca zepchnął z siebie martwą kobietę i uklęknął, mierząc do Szawczaka. Wtedy policjant nacisnął na spust. Był bardzo dobrym strzelcem. Co innego jednak strzelać na strzelnicy, gdzie można przyjąć optymalną pozycję i dokładnie przymierzyć, a co innego strzelać, leżąc na boku i opierając się jednym łokciem o podłogę.

Parol naciskał spust czterokrotnie, raz za razem. Pierwszy pocisk trafił najbliżej celu – utkwiał w futrynie drzwi pokoju. Potem rozdygotana przez odrzut ręka kierowała kule coraz mniej celnie.

Teraz on strzeli. Ta myśl dodała Parolowi siły. Przeczółgał się w bok dokładnie w chwili, kiedy tamten nacisnął spust.

Parol wiedział, że największą szansę na celny strzał ma w pozycji leżącej na brzuchu. Nie wziął jednak pod uwagę, że jest ranny. Bezwładne ramię i noga nie pozwoliły na szybki ruch. Zdążył wystrzelić tylko raz, na oślep. Nie trafił.

Tamten posłał mu kolejne dwie kule. Jedna zrykoszetowała od żeliwnego grzejnika i kiedy wracała podobnym torem, na jej drodze znalazła się głowa leżącego policjanta.

Szawczak zobaczył przed oczami błysk i zapadł w mrok nieświadomości.

Zabójca się wyprostował. Patrzył, jak wokół głowy Parola wolno rozlewa się kałuża krwi. Dla pewności zrobił krok w przód i raz jeszcze podniósł broń.

Nie zdążył wystrzelić. Kątem oka zobaczył, że uchylają się drzwi do mieszkania.

*

Odgłosy wystrzałów usłyszał bardzo wyraźnie. W pierwszej chwili zamarł i poczuł zimny dreszcz na plecach.

Jeden, dwa.

Ocknął się z bezruchu ułamek sekundy później. Był przecież policjantem, do licha. Adrenalina uderzyła do mózgu i pobudziła do działania.

Trzy, cztery.

Cztery wystrzały z pistoletu. Znał ten odgłos – policyjny walthers. Szarpnął za klamkę drzwi prowadzących do budynku. Zamknięte. Spojrzał przelotnie na panel domofonu i natychmiast zarzucił ten pomysł. Rozejrzał się gorączkowo. Przed bramą stał kosz na śmieci. Zakrzewski kilkoma mocnymi kopnięciami wyrwał go z chodnika razem z dwiema kostkami brukowymi, do których kosz był przytwierdzony. Szyba z hartowanego szkła pod wpływem silnych uderzeń najpierw popękkała, a potem zrobił się w niej otwór. Marcin włożył do środka rękę i nacisnął klamkę. Znowu usłyszał huk wystrzału. Wbiegał po schodach na drugie piętro, klnąc, że nie ma przy sobie broni. Zawsze powtarzał sobie, że jest policjantem z kryminalnej, musi być uzbrojony. I akurat dzisiaj pistolet zostawił w domu.

Na drugim piętrze zatrzymał się i spojrzał na drzwi numer 8. Były uchylone. W środku panowała niczym niezmacona cisza. Zbliżył się ostrożnie, przykucnął i pchnął drzwi.

Kobieta o wychudłej twarzy patrzyła na niego wytrzeszczonymi oczami. Na jej twarzy wciąż widniał wyraz wściekłości. Całą koszulę nocną miała czerwoną od krwi, która sączyła się z dwóch otworów na piersiach. Zakrzewski był tak zaskoczony, że odruchowo się cofnął, stracił równowagę i musiał oprzeć się ręką o podłogę. Jezus Maria! Co tu się stało?! Drzwi zamknęły się z cichym skrzypnięciem. Cały moment zaskoczenia szlag trafił. Zastanawiał się gorączkowo, co robić. Mógł zadzwonić po wsparcie, ale czuł, że to nie będzie dobre rozwiązanie. Musiał wejść do środka.

Jeszcze raz pchnął drzwi, zajrzał do środka i wszedł, przestępując martwe ciało matki Parola. Zablokował drzwi jednym z walających się po przedpokoju butów i wtedy usłyszał męski głos:

– Żyje! Musisz zadzwonić na pogotowie!

Odpowiedział mu głos kobiety:

– Tyle krwi, chyba zwymiotuję...

– Nie możesz teraz! Dzwon!

Marcin wszedł i ruszył do przodu z wyciągniętą przed siebie policyjną odznaką.

– Policja! Proszę się nie ruszać!

Scena, jaką ujrzał w pokoju, przyprawiła go o zawrót głowy i nerwowy skurcz żołądka. W kałuży krwi na dywanie leżał Parol. Przy nim klęczał młody brodaty mężczyzna, starając się zatamować upływ krwi z dziury w jego głowie. Udo było już ściśnięte paskiem do spodni. Dwa kroki dalej stała długowłosa blondynka i trzęsącymi się rękami usiłowała wybrać numer alarmowy na swoim smartfonie.

Mężczyzna z brodą spojrzał na Zakrzewskiego.

– Jestem lekarzem – rzucił szybko. – Proszę natychmiast wezwać karetkę! Tracimy go!

Marcin wyciągnął kobietę z pokoju do korytarzyka, zabrał jej telefon i zadzwonił do dyżurnego. Wystarczyło parę słów. Wiedział,

że na hasło „ciężko ranny policjant” dyżurny zmobilizuje w minutę połowę szpitali i całą policję w mieście.

Podczas gdy on telefonował, kobieta, najwyraźniej w stanie szoku, cały czas mówiła:

– Weszliśmy tutaj, bo słyszeliśmy huk. My nic nie zrobiliśmy, naprawdę... To tamten, ubrany na czarno, jak w filmach kryminalnych. Miał broń. Stał tutaj i patrzył na nas. Potem tak po prostu wyszedł i zamknął za sobą drzwi. To było może dwie minuty temu. Miał straszne spojrzenie...

Marcin ścisnął boleśnie jej ramię.

– Kto?! – prawie krzyknął.

Młoda kobieta popatrzyła na niego, a potem jej wzrok powędrował gdzieś za niego, w stronę otwartych drzwi na korytarz.

– On – odpowiedziała.

Marcin poczuł, że jeżą mu się wszystkie włosy na karku.

33 lata wcześniej

Nie pamięta, kim jest i skąd się tu wziął.

Czasem w nocy nawiedza go przerażający sen. Śni mu się dziura w ziemi, w której jest zagrzebany i się dusi. Brakuje mu tlenu i czuje obezwładniający strach. Wie, że wtedy się narodził. Pod powierzchnią ziemi, jak czerw. Bezkształtna poczwarka nieznanego świata pasożyta. Nikomu niepotrzebnego i brzydkiego.

Nie było niczego wcześniej, a to, co zdarzyło się później, do niego nie dociera. Widzi kolorowe obrazy, jego uszu dochodzą dźwięki, lecz rozpoznaje je z dużym opóźnieniem. Nie reaguje na bodźce i nie mówi. Wie, że potrafi mówić, ale nie widzi potrzeby wydobywania z siebie dźwięków.

Słyszy, jak inni mówią o nim – że nie tylko nie mówi, nie reaguje, ale też nie myśli. To jednak nie jest prawdą. Myśli. Jego mózg się regeneruje, walczy z uszkodzeniami, próbuje odzyskać dawną sprawność, pełną kontrolę nad ciałem.

Pięknie świeci majowe słońce.

Dziad Prokop jak zwykle siedzi na ławce przed drewnianą, rozpadającą się chatą i wygrzewa w promieniach swoje stare kości. I pije. Ze starego cynowego kubka z uchem jak co dzień popija biber. Mocny alkohol wytrawił ścianki kubka, które stały się cienkie, i tylko patrzeć, kiedy zrobi się w nim dziura. Ale Prokopa to nie interesuje. Pije biber, bo tak lubi, bo musi, bo nie zależy mu już w życiu na niczym. Swoje przeżył. Wrócił z Syberii do Polski z armią generała Berlinga, zabijał Niemców, gwałcił ich kobiety, zabijał zdrajców we własnych szeregach. Po wojnie służył ludowej władzy,

ścigał jej przeciwników, zdrajców, sprzedawczyków i agentów obcego wywiadu. Ścigał bezwzględnie. Ludzie go nienawidzili.

W epoce propagandy sukcesu odnalazła go jedna z ofiar donosów z tamtych czasów. Omal wtedy nie zginął. Pobili go, a później przejechali traktorem. Wielkie i ciężkie tylne koło traktora przejechało mu po twarzy, ściągając skalp włosów z połowy głowy. Prokop jednak przeżył. Ziemia była miękka i to go ocaliło. Ma tylko teraz krzywą twarz, jeszcze bardziej krzywy nos, bielmo na jednym oku i kępki siwych włosów na czerwonej czaszce z jednej strony głowy. Od tego czasu pije samogon z tego samego cynowego kubka.

Chłopiec, o którym wszyscy mówią, że nie myśli, lubi siadać obok Prokopa. Lubi siedzieć i wygrzewać się w słońcu przy starym. Połączyła ich miękka ziemia, z której narodzili się ponownie do życia.

Zmartwychwstali.

Prokop pije i gada, chłopiec słucha i milczy.

– Nie wiem, po co on ciebie tutaj przywiózł. Ja mówił, że tylko jakowa bieda z tego będzie. Ale on mnie nie słucha, job twoja mać sobacza. Nikt mnie już nie słucha, nawet sobaka warczy, kiedy przechodzę. Psia jucha, żeby ją... Po co on cię tutaj przywiózł? Jeszcze kto zobaczy i milicję naśle. Przecież ty dawno do szkoły powinien chodzić. A nie chodzisz, złydniu. No co tak patrzysz, rozumiesz ty coś z tej mojej paplaniny, co? Pewnie nie rozumiesz. Ech, nie wiem, co ci kto zrobił, ale bardzo zły człowiek to był.

Stary pije do dna, po czym dolewa sobie mlecznobiałego płynu i gada dalej:

– Łeb to ty miał jak rozbity garnek. Szczęście nie pogubiłeś skorupek, bobyś teraz miał dziury na głowie. Dobrze, że Nastia zmyślna kobita jest i umiała te skorupy poskładać. Ja jeszcze z czasów wojny szyć rany umiem, to ci ten łeb igłą i nitką pozszywałem, żeby skóra kości trzymała.

Nalewa kolejną porcję, pije i się krzywi.

– Tak, tak. Ja to dobry był wracz, job twoja mat'. Na froncie to niejednego takiego, co to flaki w garści trzymał, pozszywałem, że i później tańczył, pił i dzieci miał. Zwykłą nitką i starą igłą. Jak nie było nici, to jednego ruskiego dratwą zszyliśmy. Trzech go trzymało, krzyczał z bólu, więc mu wódki wlewali do gardła. A ja szyłem. Faszysty pruty z haubic, nad nami śmigały pociski z cekaemów, a my tego ruskiego szyli. Cały bok mu zszyłem. Tą dratwą. Ale za dwa dni diabli go wzięli. Skurwysyn, czekista, a miękki był.

Chrapliwy śmiech przechodzi w kaszel. Dziad Prokop wyciąga machorkę ze szmacianego woreczka upstrzonego ciemnymi żółtymi plamami, nabija okopconą fajkę i opowiada dalej.

Chłopiec już go nie słucha. Zna te opowieści na pamięć. Na niebie widzi czarną chmurę zbliżającą się z zachodu. Bez słowa wstaje z ławki i idzie w kierunku drabiny. Stary nawet tego nie zauważa i dalej gada do siebie, pykając z fajki. Teraz słychać tylko strzępki słów, głośniejsze przekleństwa, ale i to z czasem milknie.

Nastaje cisza.

Chłopiec, który nie myśli, wspina się po drabinie przystawionej do ściany i opartej o dach domu. Nawet jeśli zwykle porusza się niezgrabnie, często traci równowagę, przewraca się, a czasem ma napady drgawek, teraz wspina się po skrzypiących szczęblach wyjątkowo szybko i sprawnie, już jest na samym szczycie drabiny. Zgrabnie schodzi z ostatniego szczębla i jak mała pnie się w górę po stromym dachu. Dach jest pokryty starą słomą rozpiętą na drewnianym rusztowaniu. Wystarczy mocniej wbić w nią dłonie i stopy, żeby się szybko wspinać. Po chwili chłopiec jest na szczycie. Prostuje się i idzie po chybotliwej krawędzi na sam skraj domu.

Nie czuje strachu. Właściwie nic nie czuje. Nie zdaje sobie sprawy, że może mu się coś stać. Nie ma aż takiej wyobraźni.

Stoi na szczycie domu pierwszy raz. Nagle ogarnia go euforia. Nigdy nie czuł się tak dobrze. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że można czuć się tak dobrze. Jakby coś się w nim obudziło.

Patrzy z góry na dachy budynków leżącej w dolinie wioski. Ich dom stoi w pewnym oddaleniu, pod lasem, na małym wzgórzu. Nikt tu nie zagląda. Zastanawia się, czy tam też żyją tacy sami ludzie jak tu. Czy jest więcej Prokopów pijących samogon na ławce przed domem? Nastii krzątających się w kuchni z oczami przepętlionymi strachem i pokornie pozwalających mężom dotykać swoich piersi, podwijać w górę spódnice w szopie i robić ze sobą wszystko? Czy są jeszcze takie dziewczynki jak Marysia, które truchleją na jedno groźne spojrzenie swojego ojca i moczą się ze strachu, słysząc jego krzyk?

Czy wreszcie są jeszcze tacy chłopcy jak on? Może też stoją teraz na dachu i patrzą w górę na niego? Jest prawie pewien, że widzi małe figurki machające do niego przyjaźnie.

Jest mu dobrze. Niewyobrażalnie dobrze.

Zmartwychwstał z czarnej ziemi, żeby obserwować. Na pewno taki jest cel jego życia.

Przemyka oczy, odpływa.

Budzi go grzmot, błysk i pchnięcie w plecy. Burza wisi tuż nad domem, zrywa się wiatr i o mało co nie zrzuca go z dachu. Chłopiec chwieje się, lecz szybko łapie równowagę. Po chwili wokół rozpętuje się piekło. Wiatr niesie ze sobą połamane drobne gałęzie znad lasu, pioruny raz po raz przemykają po niebie, leje ulewny deszcz.

Chłopiec słyszy krzyki i spogląda w dół.

Prokop, Wasyl, Nastia i Marysia, nie zważając na ulewę, stoją z zadartymi w górę głowami. To oni krzyczą. Nastia ma przerażenie wypisane na twarzy, Prokop dziwny grymas na ustach, a Wasyl jest wściekły. Tylko mała Marysia ma kamienną twarz. Może czeka, żeby spaść i się zabić. Albo zazdrości, że sama tam z nim nie poszła.

Wtedy wiatr uderza ze zdwojoną siłą, stopa traci oparcie na zgnitej, śliskiej słomie i chłopiec zaczyna zsuwać się w dół, na plecach, nogami do przodu. Krzyki nasilają się i milkną.

Jego nogi zahaczają o poziomą belkę, ciało zmienia pozycję i leci głową w dół. Cudowne uczucie nieważkości zmienia się w dziwny ucisk, kiedy pod wpływem siły ciężenia żołądek podchodzi mu do gardła.

Zamyka oczy i leci.

Chciałby, żeby ten lot trwał całą wieczność. Już zawsze.

Mocne dłonie nie dają mu się rozbić o ziemię. Wasyl chwyta go w ostatniej chwili. O dziwo, nie wybucha niekontrolowaną złością, jak ma to w zwyczaju. Ktoś z boku mógłby nawet powiedzieć, że Wasyl ma w oczach przestrah. Nagle chwyta chłopaka za ramię i ciągnie do izby. W progu odwraca się i krzyczy do pozostałych, jego głos doskonale słyhać nawet poprzez burzę i ulewę:

– Do chałupy, wy kurwy! Co tak stoicie?!

Marysia natychmiast sika w majtki ze strachu i ucieka do psiej budy. Wielki, wiecznie liniejący stary owczarek niemiecki zawsze przyjmuje ją z radością. Warczy na Wasyla, więc dziewczynka jest tam bezpieczna. Dopóki nie wyjdzie.

Dziad Prokop nic sobie nie robi z wrzasku wielkiego, zarośniętego mężczyzny z wiecznie wykrzywioną z wściekłości twarzą. Idzie do stodoły zdrzemnąć się na suchym sianie. Pewnie wyjdzie dopiero nazajutrz.

Tylko Nastia – drobna, blada kobieta o twarzy dziewczynki – kuli się i wykonuje polecenie męża.

W izbie Wasyl popycha chłopca, który zatacza się i siada na ławie pod oknem. Mężczyzna podnosi na niego rękę, lecz nagle zamiera. Chłopiec patrzy na niego, a w jego oczach nie ma nawet cienia strachu. Nieruchome spojrzenie błękitnych oczu. Bez wyrazu, jakby były martwe.

Mężczyzna odwraca się i zaczyna bić Nastię, nie zważając na jej krzyki i błagania. Potem zdziera z niej ubranie, ze spodni wyciąga nabrzmiałego penisa. Gwałci Nastię, przyciskając ją wielkimi, brudnymi rękami do stołu. Kobieta krzyczy z bólu, macha rękami, ale

nie może się uwolnić ze stalowego uścisku. Wasyl krzyczy do chłopca:

– Patrz!

Niepotrzebnie. On patrzy.

Oczy ma obłądnie błękitne, nieruchome i... puste.

Jego spojrzenie doprowadza Wasylą do szału. Jego ruchy stają się jeszcze bardziej gwałtowne i nagle dochodzi. Zastyga na moment, potem puszcza kobietę, zapina spodnie i rusza do drzwi.

Na progu zatrzymuje się i krzyczy w kierunku opartej wciąż o stół, ciężko oddychającej Nastii:

– Miałaś pilnować chłopaka! Żebyś go znowu nie zgubiła jak tego pierwszego! Zobaczysz, kurwo, jutro przyprowadzę parobków ze wsi i cię tak zerzną, że przez tydzień na dupie nie usiądziesz. Suka jebana!

Trzaskają drzwi.

Chłopiec nadal siedzi nieruchomo.

Nastia podnosi się z trudem. Pod wpływem jego wzroku zasłania piersi i podbrzusze. Ma siniaka na prawej kości policzkowej i rozbity nos. Krew spływa jej po górnej wardze i barwi na czerwono białe zęby. Ubiera się wolno, pochlipując.

Naraz podchodzi do szafki, wyjmuje z niej nóż z długim ostrzem, którym dziad Prokop oprawia zabite prosiaki, i z niezwykłą siłą rzuca nim za Wasylem.

Nóż wbija się głęboko w drzwi wejściowe.

Rozdział 19

Redaktor Krzysztof Salitra starannie przygotował się do poszukiwań. Najpierw przez dwa dni analizował wszystkie opowiadania Śmierciora i porównywał je z prawdziwymi zdarzeniami, o których pisały media. Z szesnastu wcześniej powiązanych ze sobą opowiadań i prawdziwych zdarzeń wyeliminował dwa najmniej pewne. Zostało czternaście. Potem czytał je i starał się wyciągnąć z tekstu coś więcej. Śmiercior nie był utalentowany literacko – jego teksty były chaotyczne, powtarzał ciągle te same zdania.

Kres czasu, tam gdzie rzeczywistość spada na krawędź świata. Pomóż mi zabić robaki, które mnie zżerają od środka. Podaruj mi swoje życie. A Śmiercior wiedział, że to, co robi, jest dobre i miłosierne. Potem czynił swoją powinność. Świat pewnie by chciał, żeby zniknął na wieki. Śmiercior jednak wiedział, że niedługo powróci. Jak po nocy przychodzi dzień...

Powtarzające się frazy szybko rzucały się w oczy i były jego znakiem rozpoznawczym. Jeśli byli inni czytelnicy prócz Salitry, na pewno te właśnie słowa od razu zapadały im w pamięć – patetyczne, pretensjonalne, nawiązujące do Biblii. Czy na pewno do Biblii?

Wreszcie Salitra wybrał jedno zdarzenie i pasujący do niego tekst Śmierciora. W zeszłym roku, przed samymi świętami Bożego Narodzenia, policja dostała anonimowe zgłoszenie o narkomanie, który podciął sobie żyły kawałkiem szkła. Sekcja zwłok wykazała, że był martwy od około siedemdziesięciu dwóch godzin. Nazywał się Artur Jaros, miał dziewiętnaście lat i od roku zażywał heroinę. Dwa

miesiące przed śmiercią trafił na przymusowy odwyk, z którego uciekł. Pewnie nikt go nawet specjalnie nie szukał.

W styczniu zeszłego roku Salitra robił duży materiał o narkotykach we Wrocławiu. Sprawdzał, gdzie można kupić towar, rozmawiał z dilerami i narkomanami. Poznał wtedy Artura Jarosa osobiście. Zapamiętał go jako nieufnego i zbuntowanego fana muzyki blackmetalowej. Jaros miał ksywę Azachel i nawet grał na gitarze w jednym z niszowych zespołów tego nurtu. Kiedy ostatni raz rozmawiali, Azachel chwalił się, że niedługo wchodzi do studia na pierwszą profesjonalną sesję nagraniową. Nic nie wskazywało na to, że podetnie sobie żyły.

Przez pół dnia Salitra jeździł po mieście, szukając kolegi Azachela, którego też wtedy poznał. Nazywali go Uwe. Dopiero wieczorem dowiedział się, że Uwe często dorabia, myjąc szyby w samochodach stojących na światłach na ulicy Hallera. I tam go znalazł.

Za sto złotych Uwe opowiedział mu, że Azachel po ucieczce z odwyku skumał się z dziwnym towarzystwem zbierającym się w starym elewatorze zbożowym na Rychtalskiej. Powiedział jeszcze, żeby szukał chłopaka o ksywce Fiedor. On podobno był najlepszym kumplem Azachela w ostatnich tygodniach jego życia. Być może to nie była najgorzej wydana stowa w życiu redaktora Salitry.

Salitra zaparkował z dala od zabudowań. Ostatnie sto metrów pokonał pieszo. Dawno minęła dwudziesta druga, terenu nic nie oświetlało, ale dzięki łunie od strony miasta widoczność była doskonała. Uzbrojony w latarkę i gaz stanął przed wejściem do elewatora. Za budynkiem płonęło ognisko, wokół którego kilka osób popijało piwo. Już miał pójść w tamtym kierunku, kiedy nagle drzwi skrzypnęły, stanął w nich młody chłopak i popatrzył na niego mętym wzrokiem.

– Gdzie znajdę Fiedora? – zapytał Salitra.

Chłopak wskazał za siebie i odszedł chwiejnym krokiem. Krzysztof zapalił latarkę, wszedł do środka. Chwilę błądził w płątaniu

korytarzy, wreszcie usłyszał głosy, które dochodziły z małego pomieszczenia po lewej stronie. Ruszył tam ostrożnie.

Dwa cmentarne znicze rozświetlały mrok. W pomieszczeniu siedziało dwóch chłopaków w wieku Uwego, na zniszczonej pryczy pod ścianą spała dziewczyna. Na jego widok chłopcy zamilkli.

– Szukam Fiedora – odezwał się.

– Tu nie ma żadnego Fiedora. – Chłopak ostrzyżony na irokeza patrzył na niego nieufnie.

Drugi obrzucił Krzysztofa wyzwiskami.

– Jestem dziennikarzem „Gazety Wrocławskiej”. Chciałem pogadać o Azachelu.

Przekleństwa się urwały, kiedy irokez szturchnął kolegę w ramię.

– Zamknij mordę na chwilę – rzucił, po czym zwrócił się do Salitry:
– Skąd mam wiedzieć, czy nie jesteś gliną?

– Gliniarze przychodzą tu sami?

Irokez się zawahał. Salitra pokazał mu zdjęcie.

– To Azachel, prawda? – zapytał. – Ty jesteś Fiedor? Płacę stówę za informację.

– To ja.

Mierzyli się chwilę wzrokiem, w końcu Krzysztof uznał, że chłopak może mówić prawdę. Drugi wciąż był poirytowany.

– Nie gadaj z nim, to pewnie glina.

– Przymknij się, Krótki! – warknął na niego Fiedor. – Jaką informację?

– Z kim Azachel spotykał się przed śmiercią?

– Z nami – odpowiedział szybko Krótki i zaśmiał się rehotliwie. – To już wiesz, dawaj stówę!

Fiedor milczał, jakby ciągle się wahał.

– Jest taki jeden – odezwał się w końcu. – Pojawia się czasem w różnych miejscach w mieście. Mało mówi, tylko patrzy.

– Kto to jest?

– Nie wiem, człowieku! Jakiś popapraniec. Widziałem, że kręcił się przy Azachelu, zanim on... No wiesz.

Dziewczyna na pryczy otworzyła oczy, usiadła i rozejrzała się nieprzytomnym wzrokiem. Chciała wstać, ale zatoczyła się i znowu usiadła. Ruch powietrza sprawił, że zadrgały płomyki zniczy. Ciemności dookoła nich jakby zafalowały.

– Kto to jest? – wyszeptała bełkotliwie.

– Znajomy Fiedora. – Krótki natychmiast przysiadł obok niej i objął ją ramieniem.

– Chyba zaraz puszczę pawia – jęknęła.

Fiedor przestał zwracać na nich uwagę.

– Zanim podciął sobie żyły – dokończył Krzysztof. – Jak wygląda ten gość?

– Jest cholernie dziwny... – zaczął irokez.

– Ma plastikowe dłonie – wpadła mu w słowo dziewczyna.

Salitra w pierwszej chwili nie zrozumiał. Uplłynęło kilka sekund, zanim zaskoczył.

– Ma protezy zamiast rąk? – zapytał.

– Dokładnie – mówił dalej Fiedor. – Ale takie dziwne, jakby za długie. Ma ręce po kolana i wygląda jak szympan.

– Pierdolony gibbon! – Krótki znowu zaśmiał się zgrzytliwie.

– I jeszcze tak dziwnie chodzi – dodała dziewczyna. – Wygląda jak pokraka.

– Ma jakieś imię?

– Pewnie ma, ale nikt go nie zna. Nazywają go Obserwator. Gdzie się zjawi, tam zaraz jest jakieś nieszczęście.

– Nieszczęście? – Salitra znowu nie nadązał.

– Jak z Azachelem.

– Jak go znaleźć?

Fiedor zbliżył się nagle do Salitry i zajrzał mu w oczy. Dziennikarz poczuł mdły zapach potu, przetrawionego alkoholu i wołał nie wiedzieć, czego jeszcze.

– Jak nie chcesz mieć kłopotów, to go nie szukaj – poradził cicho chłopak. – Kilku już szukało i źle się to dla nich skończyło.

– Obserwator ma kumpla – dodała dziewczyna i ziewnęła.

– To raczej jego ochroniarz – poprawił ją Krótki. – Jakoś dziwnie go nazywają. Truposz?

– Nie, jakoś inaczej. – Fiedor pokręcił głową. – Śmierciór!

Krótki chwycił Fiedora za ramię. Na jego twarzy malował się wyraz strachu i wściekłości.

– Po co mu to mówisz?! – krzyknął.

– Podpuścił mnie...

– Spierdalamy stąd!

Krótki rzucił się w kierunku pryczy i pomógł dziewczynie wstać. Razem zaprowadzili ją do wyjścia. Po drodze zgasili znicze.

– Wasza stówa – powiedział w ciemności Krzysztof.

– W dupę ją sobie wsadź! Nie chcemy kłopotów.

Po chwili zapanowała zupełna cisza.

Salitra wyjął latarkę i poświecił nią wokoło. Z trudem znalazł drogę do drzwi i ruszył w kierunku swojego samochodu. Z różnych stron miasta dobiegało go wściekłe wycie syren w policyjnych samochodach.

Odpalił auto, zawrócił, pociągnął elektronicznego papierosa. Był na dobrym tropie.

Rozdział 20

Zakrzewski odwrócił się wolno i spojrzał w jasnoblękitne, nieruchome oczy.

Mężczyzna był ubrany na czarno. W opuszczonej wzdłuż tułowia prawej ręce ścisnął pistolet z długim tłumikiem.

Marcin zrozumiał. Morderca nie uciekał schodami na dół, ponieważ wtedy mogliby się spotkać, tylko wbiegł piętro wyżej i czekał, kiedy korytarz zrobi się pusty. Pewnie udałoby mu się niepostrzeżenie zejść, gdyby Marcin nie zablokował drzwi wejściowych i nie wyciągnął kobiety do przedpokoju.

W ułamku sekundy przez głowę Zakrzewskiego przeleciało sto myśli. Jak się zachować? Wystarczy, żeby zabójca podniósł broń i strzelił. Marcin będzie martwy. Może uda mu się ocalić kobietę. Musi tylko zasłonić ją własnym ciałem. Już się przesunął, kiedy nagle tamten odwrócił się i zaczął zbiegać w dół. Dopiero teraz Marcin poczuł strach, a głucho uderzenia, które słyszał w uszach, były odgłosami jego serca pompującego krew z prędkością pendolina.

I znowu chwila zawahania. Co robić? Odetchnął głęboko.

Olśnienie. W dłoni Parola widział jego służbowego walthera P99. Wrócił do pokoju, wyszarpnął pistolet z bezwładnej dłoni i rzucił się w pogoń. Na schodach sprawdził magazynek. Dziesięć pocisków.

Na dole przy wybitej szybie zebrało się kilku mieszkańców. Roztrącił ich, omal nie przewracając starszej kobiety, która wydała z siebie okrzyk przestrawu. Zatrzymał się przed blokiem i rozejrzył gorączkowo.

W tym miejscu ulica Drzewieckiego rozchodziła się na dwie jednokierunkowe jezdnie, oddzielone szerokim pasem zieleni. Po lewej pięła się pod górkę na mały mostek nad parkingiem i dalej prowadziła do ulicy Bystrzyckiej. Po prawej, po około dwustu metrach, znowu łączyła się w dwukierunkową jezdnię, którą można było dojechać do Lotniczej. Zapadła już ciemność, ale rozświetlały ją uliczne latarnie.

Marcin zobaczył, jak kilkadziesiąt metrów od niego ubrana na czarno postać wsiada do czerwonego mercedesa. Ruszył sprintem w tamtą stronę.

– Stój, policja! – wrzasnął i oddał strzał ostrzegawczy w powietrze.

Mercedes wyrwał do przodu z piskiem opon. Kierowca skierował auto wprost na niego. Zakrzewski przebiegł przez jezdnię, stanął na środku pasa zieleni, złożył się do strzału i dwa razy pociągnął za spust. Pierwszym strzałem miał szansę trafić w kierowcę, ale mercedes akurat podskoczył do góry, kiedy przednie koła napotkały wysoki krawężnik przy pasie zieleni. Przy drugim strzale zabrakło mu czasu, żeby przymierzyć. Maską czerwonego samochodu jadącego po trawniku wprost na niego była coraz bliżej.

W ostatnim momencie uskoczył. Mignęła mu twarz kierowcy. Takiej twarzy się nie zapomina – przeleciała mu przez głowę idiotyczna myśl. Ruszył biegiem za mercedesem, ale po kilkunastu krokach zatrzymał się, uklęknął i złożył się do strzału. Wstrzymał oddech, uspokoił drżenie ręki i trzy razy pewnie nacisnął spust. Mercedesem rzuciło w lewo, wjechał na przeciwny pas ruchu wprost na białego dostawczego busa. Obaj kierowcy próbowali odbić, ale udało im się tylko uniknąć czołowego zderzenia. Samochody otarły się bokami. Uderzenie było jednak na tyle silne, że kierowca busa stracił panowanie nad kierownicą, wjechał na chodnik i zatrzymał się z hukiem na ulicznej latarni, która skrzywiła się niebezpiecznie. Z góry spadł klosz lampy i roztrzaskał się na krawędzi jezdni.

Przez moment wydawało się, że mercedes po zderzeniu z większym autem zdoła utrzymać się na drodze. Zakołysał się tylko i przez kilkanaście metrów jechał prosto. Ale brak tylnej opony uniemożliwił dalszą jazdę. Samochód wpadł w boczny poślizg, uderzył w barierę ochronną, przebił ją i spadł w dół na znajdujący się trzy metry niżej parking.

Zapanowała dziwna cisza. Marcin biegł w kierunku rozbitego mercedesa, przecinając jezdnię. Pół minuty później był na miejscu. Auto leżało na boku od strony pasażera, przednia szyba wypadła, spod podniesionej maski unosiły się kłęby pary. Marcin ostrożnie zbliżył się z pistoletem gotowym do strzału, ale od razu zauważył, że w środku nikogo nie ma. Rozejrzył się. Czarna sylwetka oddalała się w kierunku ulicy Bystrzyckiej.

– Kurwa mać! – krzyknął i ruszył w pościg.

Po kilkudziesięciu metrach zaczęło mu brakować oddechu, zmuszone do nagłego wysiłku mięśnie nóg paliły żywym ogniem. Dystans między nim a uciekającym cały czas się powiększał. Zrozumiał, że nie ma szans, i zaczął kląć w myślach swoje lenistwo. Ostatnie dwa tygodnie spędził w fotelu z butelką piwa w dłoni.

Trotuary były rozgrzane po tygodniach upałów, powietrze wilgotne jak w tropikach. Zaczął się pocić.

Nagle coś się zmieniło. Czarna sylwetka zaczęła się gwałtownie przybliżać. Zrozumiał, co się dzieje, kiedy tuż przed nim o płytę chodnika zrykoszetował pocisk. Tamten miał tłumik, z takiej odległości nie było słychać wystrzału. Marcin rzucił się w bok. Poczuł gorący podmuch kolejnej kuli, która przemknęła milimetry od jego lewego ucha. Z wyciągniętymi do przodu rękami padł na trawnik i dwa razy pociągnął za spust. Mężczyzna w czerni znowu zaczął uciekać. Marcin zerwał się i rzucił się w pogoń.

Słabł z każdym krokiem, jednak odległość między nimi ani nie rosła, ani nie malała. Pewnie tamten też odczuwał braki kondycyjne.

Za ostatnim blokiem przed Bystrzycką uciekający skręcił w lewo i ruszył wąską drogą obok budynku, lawirując między

zaparkowanymi autami. Po stu metrach dobiegli do skrzyżowania Hynka i Balonowej, przebiegli na drugą stronę na parking pod Lidlem i dalej.

Po drugiej stronie Bystrzyckiej były tory kolejowe, a za nimi ogródki działkowe. Marcin zaklął. W ciemnościach, w labiryncie ścieżek między ogrodami, na pewno nie będzie miał szans na doścignięcie napastnika.

Dzieliło ich teraz kilkanaście metrów. Kiedy Marcin wbiegał na tory, przeciwnik przeskakiwał akurat ogrodzenie działek. Na oświetlonych torach Zakrzewski stanowił doskonały cel, ale zacisnął tylko zęby i biegł dalej. Nic się nie stało. Przeskoczył siatkę w tym samym miejscu i usłyszał zbliżające się wycie syren. Trzymaj się, Parol – pomyślał. To jeszcze nie jest twój czas.

Po drugiej stronie zatrzymał się na chwilę. Znalazł się w zupełnie innym świecie. Wszystkie dźwięki dochodziły tutaj stłumione przez rosnące dookoła drzewa i krzewy. Ciemności nie rozpraszało żadne światło, ale Marcin wiedział, że wzrok zaraz się przyzwyczai.

Ruszył do przodu ze świadomością, że pościg prawdopodobnie się zakończył. Morderca pewnie jest już po drugiej stronie, na Chociebuskiej albo Nowodworskiej. Marcin miał nadzieję, że wypatrzy go policyjny patrol. Pewnie wszystkie wozy z całego miasta już tu ściągają na sygnale.

Mimo to Zakrzewski zrobił kilka kroków. Podeptał jakieś grządki, zaplątał się w krzaki malin i podrapał sobie nogi kolcami, minął altankę i przeskoczył niski płotek. Jedna ze sztachet załamała się z trzaskiem, więc zamarł na chwilę w bezruchu. Kiedy kilka metrów dalej przechodził obok wielkiego krzewu róży, zrozumiał, że popełnił kardynalny błąd.

Poczuł silne szturchnięcie lufą w tył głowy.

– Rzuć broń. – Głos tuż przy jego uchu brzmiał beznamiętnie i zimno.

Zakrzewski wypuścił pistolet z dłoni i usłyszał, jak broń miękko ląduje w trawie. „Cholerny, twardogłowy Zakrzewski” – usłyszał

w myślach głos Pauliny Czerny. Miała co do niego rację. Przez głupi upór jego życie skończy się tu i teraz. Marcin czuł zimne dreszcze pełzające po karku i schodzące na plecy. Jakby ktoś, kto za nim stał, promieniował mrozem. Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale kolejne uderzenie w tył głowy zatrzymało słowa w gardle. Pośród chłodu na karku poczuł nagle ciepły strumień. Krew.

– Kim ty jesteś, gliniarzu? – W głosie dało się wyczuć nutę zaciekawienia. – Nie spotkałem cię dotąd. Zaimponowała mi twoja odwaga i determinacja. Dlatego pozwoliłem się dogonić. Chciałem cię bliżej poznać.

Marcin wciąż jeszcze dyszał po biegu. Tamten oddychał spokojnie, jakby ostatnie kilkanaście minut odpoczywał w fotelu. A więc to była pułapka? On po prostu świadomie dał się dogonić. Jasna cholera, ty idioto – pomyślał gorączkowo. Co robić?

Znowu rozległ się beznamiętny głos. Tym razem jakby bliżej. Marcin miał wrażenie, że tamten obwąchuje go jak pies.

– Nie śmierdzisz strachem jak inni. Nie pachniesz jak zwierzyna, tylko jak... łowca.

Jeszcze dwa wyraźne pociągnięcia nosem. Co to za psychol?

– Odkąd cię zobaczyłem, czuję coś dziwnego w środku głowy. Czy to możliwe, że jesteś taki sam jak ja, gliniarzu?

– Nie, ty jesteś pierdolonym psycholem – wyszeptał z trudem.

Napastnik zaczął oddychać jakoś inaczej. Czyżby się zaśmiał?

– Tak, jesteś łowcą. Czuję w tobie instynkt drapieżnika. Chyba naprawdę jesteście podobni. Ciekawe.

Nagle przed oczami Zakrzewskiego eksplodowało oślepiające światło, świat zawirował i w następnej chwili perspektywa jego widzenia się zmieniła. Ujrzał trawę, leżący nieopodal pistolet Parola i nogi w masywnych butach. Zanim stracił przytomność, zobaczył, że napastnik nachyla się nad nim.

Rozdział 21

Grażyna Tomczyk jak co wieczór wyszła zapalić papierosa na taras swojego domu na osiedlu Malowniczym w Leśnicy. Zwykle w tym czasie dzwoniła do Grzegorza do Londynu i zamieniali kilka słów. Mąż relacjonował jej, jak minął mu dzień w pracy, ona opowiadała, co robiła Lena, mówili sobie kilka miłych słów i kończyli. Taki wieczorny rytuał, żeby zupełnie nie stracić ze sobą kontaktu i podtrzymać wspólne tematy rozmów.

Tyle tylko że dzisiaj Grzegorz nie odebrał komórki. Od pół godziny co kilka minut wybierała jego numer i za każdym razem włączała się poczta. Coś się stało? Grażyna zdenerwowała się i zapaliła drugiego papierosa dla uspokojenia nerwów. Im dłużej to trwało, tym bardziej z gąszczu myśli na powierzchnię przebijała się ta jedna, której starała się nie zauważać. Nie mogła jej już ignorować. Może on kogoś tam ma? Zastanowiła się, kiedy ostatnio się kochali, i rachunek nie wypadł najlepiej. Dawno. Nawet kiedy Grzegorz przyjeżdżał na weekend, ona była tak zmęczona mijającym tygodniem, że nie miała ochoty na seks. Codzienne dojazdy do miasta tam i z powrotem, korki, stres w pracy, wieczna gonitwa nie wiadomo za czym. Miała prawo być zmęczona. Sama prowadziła dom, wszystko było na jej głowie – od koszenia trawnika, przez opłacanie rachunków, po cieknący kran w kuchni. Na pewno – przyznała w myślach. Ale i tak jestem głupia. Wystarczyło się trochę zmusić i wszystko byłoby w porządku. Grzegorz byłby zadowolony i nie szukałby zaspokojenia na boku. Czy to dlatego ciągle przekładał decyzję o powrocie? Kredytu zostało już niewiele. Daliby

sobie radę, gdyby tylko znalazł jakąś pracę. Ostatnio czytała, że gospodarka ma się bardzo dobrze, bezrobocie spada. Szczególnie w takich miastach jak Wrocław pracę mógł bez trudu znaleźć ten, kto chciał. Mówiła o tym Grzegorzowi, a on za każdym razem zmieniał temat. Czyżby nie chciał wracać, bo kogoś tam miał?

Przestraszyła się, kiedy telefon zawibrował jej w dłoni. Odebrała szybko.

– Cześć, kochanie – usłyszała tak dobrze znany baryton. – Przepraszam, że nie odebrałem, ale zapomniałem zabrać ze sobą komórkę.

Grażyna od razu wyczuła w jego głosie dziwną nutę.

– Dlaczego jesteś taki zasapany? – zapytała.

– Wróciłem z joggingu – wyjaśnił. – Przecież wiesz, że wieczorami biegam. Dzisiaj zrobiłem sobie mocniejszy trening niż zwykle.

Grażyna natychmiast wyobraziła sobie jeszcze inny powód jego zmęczenia i zaraz zganiała się w myślach. Jednak obraz nagich ciał splecionych w miłosnym uścisku nie chciał zniknąć z jej wyobraźni.

– No tak – starała się, żeby jej głos brzmiał tak jak zwykle. – Tylko że dzisiaj słyszeć cię jakoś inaczej...

– Inaczej? – zaśmiał się.

– Jakbyś był bardzo blisko mnie. Za rogiem.

– Skarbie, chciałbym być tak blisko. Niestety, to tylko złudzenie. Jestem bardzo daleko.

– Grzegorz, ja już dłużej nie wytrzymam sama. Potrzebuję pomocy. Wszystko jest na mojej głowie.

Mężczyzna po drugiej stronie linii się zasepił. Słyszeć było też coś innego. Dźwięki policyjnych syren. Pewnie zza okna. Grażyna wyobrażała sobie, jak mąż marszczy brwi nad tymi swoimi dziwnymi błękitnymi oczami. Kiedy go pierwszy raz zobaczyła, przestraszyła się tych oczu. Wydawały się zimne, puste w środku, jakby ich posiadacz nie miał w sobie uczuć. Dopiero kiedy bliżej go poznała, okazało się, że to tylko zasłona, za którą kryją się normalne ludzkie emocje. Czasem nawet ich nadmiar. Grzegorz nie miał rodziców,

całe dzieciństwo spędził w domu dziecka i pewnie dlatego miał kłopot z okazywaniem uczuć.

– Kochanie, to dobrze płatna praca, kredytu zostało nam już niewiele. Głupio by było teraz rezygnować. Wytrzymaj jeszcze kilka miesięcy.

– Grzegorz, ja... – zawahała się. – Ja się boję.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się.

– No wiesz... jesteśmy same z Lenką w domu przy lesie. Czasem robi się tutaj tak... ponuro...

– Skarbie, nic ci nie grozi. Mieszkasz w bezpiecznym miejscu. Zaproś czasem swoich rodziców, niech zostaną na sobotę i niedzielę. Poczujesz się bezpieczniej.

Zapaliła jeszcze jednego papierosa. Spojrzała w kierunku krzaków na tyłach domu i mimowolnie zadrżała. Kolejna konsekwencja wychowania w domu dziecka: Grzegorz zupełnie nie łapał pewnych niuansów w stosunkach dzieci – rodzice. Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego jej ojciec raczej nie będzie chciał zostać u nich na noc.

Zmieniła temat.

– Grzegorz, pamiętasz tę betonową płytę z wystającymi prętami, w kącie ogrodu? – zapytała.

– Tak, prosiłaś mnie, żebym coś z nimi zrobił.

– No właśnie, zrobiłeś?

Usłyszała wyraźne westchnienie do słuchawki.

– Przepraszam, zapomniałem – odpowiedział z ociąganiem. – Zajmę się nią w przyszłym tygodniu. Może zamówię jakiś transport, żeby ją zabrali...

– Bo widzisz – przerwała mu – te pręty są już niegroźne. Ktoś je powyginał i już tak nie wystają. Myślałam, że to ty...

– No, nie ja... Może twój ojciec.

– Może.

Jeszcze raz spojrzała w kierunku krzaków leszczyny i po raz kolejny w ciągu ostatnich dni wydawało jej się, że widzi potężną

postać ukrytą w ich cieniu. To tylko krzaki – pomyślała uspokajająco.
– Grzesiu, wracaj szybko.

Rozdział 22

Miarowe, metaliczne stukanie, które w jego uszach brzmiało niczym dzwon Zygmunt kołyszący się nad głową, przywróciło go do rzeczywistości. Z początku nie wiedział, gdzie jest. Otworzył wolno oczy i zobaczył nad sobą ciemną postać. W jednej chwili odzyskał świadomość.

Zabójca, pościg, cios, prawdopodobnie rękojeścią pistoletu. A może to był strzał w tył głowy? Nie, niemożliwe. Po takim strzale nikt nie otwiera oczu. Czuł ból w skroniach, pulsujący w rytm przejeżdżającego nieopodal pociągu towarowego.

Żył, tylko to się teraz liczyło. Musiał coś zrobić.

Poruszył nieznacznie palcami u rąk. Sprawne. Spojrzał przez przymrużone powieki i zauważył, że waltherski Parola leży w tym samym miejscu. Jeden szybki wyrzut ramienia, potem ruch do góry i strzał. Może się udać. Pod warunkiem że tamten nie przystawia mu właśnie tłumika do skroni. Skoncentrował się. Odgłosy towarowego milkły w oddali. Wtedy do jego uszu dobiegł głos:

– Panie komisarzu! Jest pan ranny? Panie komisarzu...

Szerzej otworzył oczy. Zerknął na buty pochylającego się nad nim mężczyzny. To były inne buty. Spojrzał dalej. Kilka osób z latarkami kręciło się, zaglądając we wszystkie kąty ogrodu.

– Nic mi nie jest... – wychrypiął Zakrzewski przez zaciśnięte gardło.

– Dobry Boże! Myślałem, że pan nie żyje.

– Pomóż mi się podnieść.

Mundurowy policjant dźwignął Marcina do góry i przytrzymał, dopóki nie minęła koszmarne fala bólu i zawrotów głowy.

Zakrzewski przypatrzył się policjantowi. Znał go z komendy wojewódzkiej i kilku akcji na mieście.

– Walczak, to ty? – zapytał.

– Ja – potwierdził tamten i zaraz dodał: – Strasznie pan wygląda.

Dwóch innych funkcjonariuszy zbliżyło się do nich z latarkami. Marcin przetarł twarz, po czym podniósł dłoń do światła. Była cała czerwona.

– To tylko rozbita głowa – powiedział. – Złapaliście go?

– Kogo, panie komisarzu?

– Mordercę.

Walczak się skrzywił.

– Przepadł – skwitował krótko.

– Przed chwilą tu był. Musimy go gonić.

Zakrzewski zrobił taki ruch, jakby chciał biec dalej, ale mundurowy go powstrzymał.

– Strzelanina była dwie godziny temu. Przez ten czas pana szukaliśmy. Na szczęście trafiliśmy na świadka, który widział, jak przebiegaliście w tym miejscu przez tory kolejowe. Inaczej byśmy pana nie znaleźli.

– Dwie godziny temu? – Marcin zacisnął powieki. – Która jest teraz?

– Kwadrans po północy. – Po raz pierwszy odezwał się drugi policjant, który przystanął obok, wyciągając przed siebie paczkę papierosów.

– Ogłuszył mnie. – Zakrzewski jęknął.

Przyjął papierosa i zaciągał się łapczywie jak nałogowy palacz. Nikotyna podziałała przeciwbólowo i trzeźwiąco.

– Co z Parolem? – zapytał.

– Nic nie wiemy. Podobno zawieźli go do szpitala. – Walczak wzruszył ramionami.

– Cała policja w mieście jest na nogach – dodał ten drugi. – Złapiemy zabójcę. To tylko kwestia czasu.

Zakrzewski nie był tego taki pewien, ale się nie odezwał. Patrzył na dwóch ratowników z noszami, którzy przeskoczyli przez płot i biegli w jego kierunku.

*

Była szósta trzydzieści rano, kiedy Paulina Czerny znalazła wreszcie blok operacyjny w Dolnośląskim Szpitalu Specjalistycznym imienia Tadeusza Marciniaka przy ulicy Fieldorfa. Marcin Zakrzewski siedział samotnie na krześle przed mlecznobiałymi szklanymi drzwiami. Odchylił głowę do tyłu, nogi wyciągnął przed siebie. Wyglądał, jakby drzemał. Paulina przystanęła na szczycie schodów i przyglądała mu się kilka sekund. Pasemka siwizny w przydługich jasnych włosach były coraz bardziej widoczne, wokół oczu miał więcej zmarszczek. Proste usta, kształtny nos, równe brwi, policzki pokryte dwudniowym zarostem. Pewnie wciąż podobał się kobietom. Szczególnie kiedy patrzył tymi intensywnie niebieskimi oczami. Tak jak na nią teraz.

Podeszła bliżej i podała mu kubek z gorącą kawą z automatu.

– Myślałam, że śpisz – powiedziała.

– Nie mogę spać. – Łapczywie wypił dwa łyki.

Kawa wciąż była gorąca, więc skrzywił się, przetykając orzeźwiający płyn. Wskazała wzrokiem na białe drzwi.

– Jak z nim? – zapytała. – Coś wiadomo?

– Przed północą trafił na stół – wyjaśnił cicho. – Cały czas trwa operacja. Gdyby coś poszło nie tak, już by się zakończyła.

– No tak... Parol ma jakąś rodzinę?

– Wspominał kiedyś o siostrze. Chyba mieszka za granicą.

Paulina nie skomentowała.

Marcin wypił swoją kawę i spojrzał pytająco na jej kubek. Oddała mu bez słowa i dotknęła ostrożnie opatrunku na jego głowie. Wzruszył ramionami.

– Nic poważnego. Założyli mi cztery szwy. Będę żył.

Włosy z tyłu głowy miał pozlepiane w strąki, a na czarnej koszulce z logo zespołu Motörhead wyraźnie widać było zakrzepłe, sztywne plamy krwi. Na szyi, tak jak ona, zawieszoną miał policyjną blachę.

– Powinieneś pójść do domu. Ja tu posiedzę – zaproponowała.

– Nie. Tu jest cisza i spokój. Muszę przemyśleć pewne rzeczy.

– Nie powinieneś się obwiniać.

Wykrzywił usta w grymasie, który prawdopodobnie miał być uśmiechem.

– Spóźniłem się o dwie minuty – powiedział. – Gdybym pojechał inną drogą...

– Być może leżałbyś już w kostnicy albo na miejscu Parola – dokończyła za niego. – Nie miałeś broni.

– On by wtedy nie przyszedł.

– Nie możesz tak myśleć, Marcin. Zwariujesz.

Westchnął głęboko.

– Masz rację, ale nie umiem sobie darować, że dałem dupy na całej linii i pozwoliłem mu uciec.

Przez całą noc trwała policyjna obława i blokada wszystkich dróg wyjazdowych z miasta, ale Marcin wiedział, że takie standardowe działania nie mogą przynieść efektów. Nie w walce z tak inteligentnym i groźnym przeciwnikiem.

– Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Nawet więcej.

– J-jasne.

Zamilkli. Korytarzem przeszła pielęgniarka, rzucając im obojętne spojrzenie.

– Marcin, musisz mi opowiedzieć, co tam się naprawdę zdarzyło.

Spojrzał na nią przekrwionymi, zmęczonymi oczami.

– Cały czas się nad tym zastanawiam – odparł. – Skąd zabójca wziął się u Parola?

Nie przerywała. Wiedziała, że zdążył ułożyć sobie w głowie znane elementy układanki i wyciągnąć pewne wnioski co do tych nieznanych.

– Mówiłaś mi o tej strzelaninie w klubie. Parol kupował tam narkotyki dla matki. Znał dilerów i oni dobrze znali jego, choć nie mieli pojęcia, że jest gliniarzem. Pozwalali mu wchodzić na zaplecze albo znalazł się tam przypadkowo. Podejrzewam, że ten strzał, który prawie wpadł na salę pełną bawiących się ludzi, mógł być przeznaczony dla Szawczaka.

– Myślisz, że ten facet przyszedł go zabić, bo Parol widział jego twarz?

– Tak.

– Ale dlaczego? Uważasz, że Parol mógł wiedzieć, kim on jest?

– Nie można tego wykluczyć.

Marcin po raz setny wrócił myślami do chwili, gdy morderca stał za nim z pistoletem przy jego głowie. Za każdym razem miał bolesne uczucie déjà vu. Już raz znalazł się w takiej sytuacji. Morderstwo na osiedlu Marszowice. Przez lata, które minęły od tamtego zdarzenia, Marcin wciąż słyszał, jak gdyby to było wczoraj: „Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”. Teraz doszły do tego inne niepokojące słowa: „Kim ty jesteś, gliniarzu?... Nie pachniesz jak zwierzyna, tylko jak... łowca... Chyba naprawdę jesteśmy podobni”. Zdania w głowie zaczęły się niepokojąco ze sobą przeplatać. „Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach... Tak, jesteś łowcą... Kim ty jesteś, gliniarzu?... Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach... Chyba naprawdę jesteśmy podobni... pachniesz... jak łowca”. Pochylił głowę i ścisnął dłońmi skronie.

– Wszystko w porządku? – Słowa Pauliny dobiegły go przytłumione, ale głosy w głowie natychmiast ucichły.

Spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem.

– Rozmawiałem z nim – powiedział.

– Z kim? – zapytała i zaraz zrozumiała, a oczy jej się rozszerzyły.

– Jak to?

– Przyłożył mi pistolet do głowy. Mógł mnie zabić, a jednak... zwyciężyła ciekawość.

– Marcin, co ty pieprzysz? – Nie wytrzymała.

– Powiedział, że jest łowcą – ciągnął Marcin. – Poluje, rozumiesz? Z jego słów wynikało, że poluje na ludzi. To musi być niezły popapraniec. Mamy problem.

Zaczął jej relacjonować pościg i nieoczekiwany finał.

Paulina odruchowo wyciągnęła z torebki paczkę papierosów, spojrzała na drzwi z napisem „Blok operacyjny” i zaraz je schowała.

Zakrzewski, nie wiedzieć czemu, przyciągał psychopatów. Tak jakby chcieli ogrzać się w jego świetle albo próbowali się z nim zmierzyć. Swoim postępowaniem zdawali się mówić: „Popatrz, jestem tak blisko ciebie, jestem twoim przyjacielem. Morduję, a ty tego nie widzisz”. Najpierw zabójca ze Szczepanowa, potem morderca ze zdjęcia. Minęło kilka tygodni i znowu stanął twarzą w twarz z psychopatą, a jednak po raz kolejny wyszedł z takiego spotkania bez szwanku. Szczęście? A może Marcin na swój sposób też był psychopatą i oni o tym wiedzieli?

Patrzyła na niego i przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl. Psychopaci i niewłaściwe kobiety. Marcin wybierał nieodpowiednie kobiety, zawsze kręciły się w pobliżu. Czy ona była jedną z nich? Skarciła się w myślach, to nie był czas na takie rozważania.

– Paulina, świat znowu zatoczył koło i ze mnie kpi.

Przyjrzała mu się z uwagą. Nie zrozumiała.

– Najpierw spotkanie z mordercą, potem szpital. Ja już raz siedziałem tak w szpitalu. Wtedy na stole operacyjnym leżałaś ty.

Na wspomnienie tamtych wydarzeń Paulina zacisnęła szczękę w bezwarunkowym odruchu. Powrót do normalnego życia i do pracy był poprzedzony walką z samą sobą, ze swoimi słabościami i z traumą. Wygrała. Jednak blizny pozostały. Nie tylko te fizyczne.

– Takie przypadki się zdarzają – rzuciła.

Pokręcił gwałtownie głową, ale nic nie powiedział. Chciała koniecznie zmienić temat.

– Ty też go widziałeś – odezwała się po chwili.

– Tak, pamiętam dokładnie jego twarz.

– Do ciebie też może przyjść.

– Bardzo na to liczę.
Ton jego głosu sprawił, że zadrżała.

*

Dom położony był w samym środku osiedla identycznych domów, w labiryncie takich samych wąskich uliczek. Najlepsze miejsce, żeby ukryć się przed światem. W środku szarej ludzkiej masy, w miejscu, gdzie wszystko wygląda jak skserowane. Trzeba było tylko założyć maskę, upodobnić się do sąsiadów prowadzących beztroskie życie, kilka razy na powitanie powiedzieć „dzień dobry”, zamienić dwa słowa o pogodzie, zapytać, co słyhać. Wtedy otoczenie uważa cię za sympatyczną osobę i przestaje zwracać na ciebie uwagę. Mimikra od milionów lat znana w naturze.

Była szósta czterdzieści pięć rano.

Satyr poczekał, aż automatyczna brama się zatrzyma, dopiero wtedy wrzucił jedynekę i wolno wjechał na podwórze. Zaparkował na podejździe. Nigdy nie wjeżdżał do garażu. Obserwował nawyki sąsiadów z pobliskich domów i się dostosowywał. Każde odstępstwo od normy mogło być niebezpieczne.

Zawsze miał co najmniej dwa zapasowe auta na mieście. Zniszczył mercedesa, więc po wyjściu z ogródków działkowych w okolicach ulicy Nowodworskiej najnormalniej w świecie poszedł na przystanek autobusowy. Ostatnim autobusem pojechał w kierunku lotniska. Jeszcze przez kilkanaście minut był bezpieczny. Wiedział, że cała policja będzie kręcić się w okolicach osiedla Kosmonautów i minie trochę czasu, zanim rozpełzną się jak zaraza po całym mieście. Ale nie czuł z ich strony zagrożenia. Nic mu nie mogli zrobić. To on przecież był drapieżnikiem.

Wysiadł. Od dwóch tygodni na parkingu Pod Żyrafą czekał na niego fiat punto, idealny samochód, żeby zniknąć w tłumie innych aut na drodze. Czy ktoś ogląda się za fiatem punto?

Zanim Satyr otworzył drzwi wejściowe, rzucił okiem na zabezpieczenia. Kropka białej kredy na klamce, zeschnięty liść wciśnięty w szparę między drzwiami a futryną, jakby przywiał go tu przypadkowo podmuch wiatru. Wszystko było w porządku.

Wszedł do środka i nie zdejmując butów, poszedł do salonu. Panele zaskrzypiały pod jego stopami. Dom wynajmował od kilku miesięcy. Jak w każdym poprzednim miejscu, nie miał tu żadnych rzeczy osobistych, jedynie laptopa, który służył mu do łączenia z Darknetem, trochę ubrań, w łazience przybory toaletowe, w lodówce jakieś jedzenie. To mu wystarczało. Nie produkował dużej ilości śmieci, brudne ubrania, ręczniki, szczoteczkę do zębów i grzebień utylizował co najmniej raz w tygodniu. W domu nie zdejmował rękawiczek, żeby nie zostawić odcisków palców. Oczywiście wiedział, że pomimo takich środków ostrożności zostawia ślady biologiczne, które w razie wpadki policja na pewno odnajdzie, ale tym się nie przejmował. Nie było go w żadnych kartotekach. Miejsca zbrodni pozostawiał czyste. Ostrożność była jego drugą naturą.

Otworzył laptopa, poczekał, aż załaduje się system operacyjny, włączył wyszukiwarkę Tor i Darknet stanął przed nim otworem. Nigdy nie korzystał z normalnego Internetu, kody IP były zbyt łatwe do namierzenia. Właściwie każda wizyta w sieci zostawiała niemożliwe do usunięcia ślady. Darknet był inny. Przede wszystkim zapewniał anonimowość. Operatorzy skutecznie ukrywali dane użytkowników przez adresy IP znajdujące się poza granicami kraju. Adresom darknetowym system cały czas nadawał maskujące IP, dzięki czemu ich właściciele byli trudni do namierzenia. Policja i inne służby bezpieczeństwa pozostawały ciągle o krok albo o dwa kroki z tyłu za operatorami Darknetu. Poza tym był legalny. Używali go ludzie, którzy tęsknili za prawdziwą wolnością. Mogli tu publikować teksty bez żadnych ograniczeń, prezentować anonimowo swoje poglądy na forach, kupować i sprzedawać, oglądać filmy pornograficzne, umawiać się z prostytutkami. Dokładnie to samo co w normalnym

Internecie, tylko w warunkach totalnej swobody, bez pozostawiania śladów. Zresztą, takie sprawy policji zazwyczaj nie interesowały.

Istniał jeszcze inny rodzaj Darknetu, bardziej mroczny i dokładniej ukryty.

Darknet przestępców.

Tutaj można było kupić narkotyki i dopalacze, alfonsi proponowali usługi swoich pańienek klientom, którzy chcieli zrealizować fantazje daleko wykraczające poza definicję normy, pedofile wymieniali się zdjęciami i filmami, paserzy oferowali skradzione fanty, można było kupić broń. Chodziły plotki, że w tym mroczniejszym Darknecie kwitnie handel ludźmi, ludzkimi organami do przeszczepów i że można tu wynająć płatnego mordercę. Policja w oficjalnych komunikatach dementowała te plotki. Władze starały się utrzymywać przeciętnego obywatela w przekonaniu, że nad wszystkim panują.

Satyr wiedział, czym są mroczniejsze strony Darknetu. Stąd pozyskiwał klientów.

Szybko znalazł dobrze sobie znany czat, na którym poglądy wymieniali antyglobaliści i ekolodzy o skrajnych poglądach. Odszukał jeden z wątków dyskusji zatytułowany Do you know my name?. I napisał: You are Satyr, my friend. Czekał około minuty na odpowiedź. Był to skomplikowany adres jednej z witryn w Darknecie. Przepisał go dokładnie w nowym oknie wyszukiwarki Tor i zaraz wyświetlił mu się blue screen z migającą kropką kursora.

Pisał wolno. Każde słowo lśniło na ekranie kilkanaście sekund, po czym gasło, odchodząc w niebyt.

Polish police commissioner

Marcin Zakrzewski

Police Headquarters, Wrocław

All info

200 euro

Now.

Kiedy policjant leżał ogłuszony na trawie, Satyr dokładnie przetrząsnął mu kieszenie. Zapamiętał dane z dowodu osobistego

i z legitymacji policyjnej. Teraz chciał się dowiedzieć czegoś więcej. Informacja daje przewagę. Szczególnie gdy do walki stają drapieżniki.

Z zamyślenia wyrwały go odgłosy stukania z piwnicy. Zamknął okno przeglądarki Tor, na którym zresztą widniał już tylko błękitny ekran, i wyłączył laptopa. Mimowolnie uśmiechnął się pod nosem. Czas nakarmić bestię. Dzisiaj chyba jest szczególnie podniecona.

*

– Ja będę gotowy – oznajmił pewnie Zakrzewski.

Paulina otwierała już usta, żeby zaprotestować, ale nic nie powiedziała. Wiedziała, że protesty nie przyniosą żadnego efektu, Marcin i tak zrobi, co będzie chciał. Cholerny Zakrzewski! – pomyślała ze złością.

– Nie odbierałeś telefonu – zmieniła temat.

– Wyłądował się.

– Szef kazał mi cię znaleźć. Chce mieć szczegółowy raport na biurku. O strzelaninie we Wrocławiu mówili w ogólnopolskim radiu. Internet huczy od plotek i relacji świadków. Za chwilę ruszą pierwsze telewizyjne serwisy informacyjne. To może być temat dnia.

– J-jasne – odpowiedział w swoim stylu. – A szef boi się o swój tyłek.

– Nie bardzo wiadomo, co się stało.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Musimy ustalić wersje? – domyślił się.

Zawsze potrafił ją przejrzeć.

– Ani słowa o powiązaniu Szawczaka ze strzelaniną w klubie Tester.

– A jak ja się tam znalazłem?

– Przypadek.

– Ktoś to kupi? – zadrwił.

– Nie nasz problem. – Wzruszyła ramionami. – W pierwszej wersji miało cię tam w ogóle nie być, tylko trudno byłoby wytłumaczyć, kto strzelał i dlaczego.

Złapał ją delikatnie za ramię i spojrzał jej w oczy w ten szczególny sposób, w jaki zawsze na nią patrzył. Poczowała ciepło w dole brzucha. Minęło dopiero dwanaście godzin, odkąd się kochali, jej ciało wciąż pamiętało jego pieczyoty.

– Paulina, co się dzieje? – zapytał łagodnie.

– Grubszy temat. Opowiem ci, ale nie teraz. Zaufaj mi.

– Okej.

– Teraz pojedziesz do firmy, napiszesz raport, wrócisz do domu i się prześpisz.

– Nie. – Pokręcił głową. – Pojadę do mieszkania Szawczaka, potem napiszę raport, a spać pójdę, kiedy mi się zachce.

– Marcin, zginęła osoba cywilna, policjant walczy o życie, była regularna strzelanina w miejscu publicznym. Biuro Spraw Wewnętrznych też się tym zainteresuje. Szef musi mieć raport, inaczej zrobi się niezła chryja.

– Będzie go miał – mruknął.

Pocałowała go nagle. Oddał pocałunek.

– Dobrze, że nic ci się nie stało – szepnęła.

– Jak zwykle. – Chciał się uśmiechnąć, ale wyszło nieśmiesznie. –

On wróci.

– Co? – Spojrzała na niego zdezorientowana.

– On tu wróci, żeby dokończyć robotę. Parol wciąż żyje, musimy go pilnować.

Milczała, patrząc mu w oczy. Zobaczyła pewność i determinację.

– Trudno będzie...

– Paulina! – przerwał jej stanowczo. – Zadzwoń do szefa. Jak chce mieć szybko raport, ma tu zaraz posadzić uzbrojonego policjanta.

O siódmej dziesiąt drzwi z mlecznobiałej szyby z napisem „Blok operacyjny” otworzyły się i stanął w nich lekarz w jasnoniebieskim kitlu. Wciąż miał maskę, którą tylko zsunął z ust. Podszedł do nich zdecydowanym krokiem. Znużenie malujące się na jego twarzy na chwilę ustąpiło miejsca nikłemu uśmiechowi.

Uścisnął dłoń Paulinie, potem Marcinowi.

– Patryk Hajzeruk, chirurg. Tak, dobrze mnie pan poznaje – powiedział. – Razem z żoną pierwsi byliśmy przy rannym. Tak się złożyło, że jestem chirurgiem i specjalizuję się w urazach czaszki.

– Co z nim? – zapytał Marcin.

– To pana przyjaciel?

Marcin wahał się o ułamek sekundy za długo i lekarz zarejestrował tę chwilę niepewności.

– Tak. To mój partner.

– Stracił dużo krwi. Poza tym postrzał w głowę był naprawdę groźny. Pocisk uszkodził czaszkę i mózg. Usunąłem sześć odłamków kości. Nie mogę zagwarantować, że znalazłem wszystkie. Na razie w obawie przed obrzękiem mózgu pacjent utrzymywany jest w stanie śpiączki farmakologicznej. Jeszcze długo nie będziemy potrafili ocenić, jak poważne są uszkodzenia mózgu. Przy odrobinie szczęścia nie został naruszony żaden obszar kluczowy dla normalnego funkcjonowania. W najgorszym razie... no cóż...

– Może zostać rośliną? – Zakrzewski dokończył za lekarza.

– Można tak to ująć. Pozostaje nam tylko czekać – odrzekł lekarz i zaraz się zainteresował: – Złapaliście go?

– Nie.

– To proszę nie tracić czasu, komisarzu. Koledze pan nie pomoże, więc lepiej niech pan idzie szukać tego skurwysyna, który mu to zrobił.

Marcin uparł się, że zanim wyjdą ze szpitala, przed drzwiami sali, w której leży Parol, ma się pojawić policyjna ochrona. Ciężko było kogoś zorganizować o tak wczesnej porze, więc na początek na szpitalnym korytarzu zasiadł ściągnięty naprędce patrol.

Paulina podwiozła Marcina na Bajana od strony ulicy Bystrzyckiej. Zakrzewski musiał pokonać dwieście metrów, zanim doszedł do pierwszych policyjnych taśm zagrażających chodnik wzdłuż mostka, poniżej którego leżał rozbity czerwony mercedes 4matic. Policjant stojący za taśmami skinął tylko Zakrzewskiemu głową i przepuścił go dalej. Marcin zatrzymał się i spojrzał z góry na rozbite auto. Dwóch techników w białych skafandrach zbierało ślady z wnętrza samochodu. Wyglądali jak kosmonauci naprawiający Międzynarodową Stację Kosmiczną.

Poszedł dalej. Biały samochód transportowy marki Peugeot też stał w tym samym miejscu. Skrzywiona uliczna lampa rozbiła przednią szybę i wgniotła przód od strony pasażera.

Zbliżył się do bramy numer 32.

Tutaj sytuacja była bardziej dynamiczna. Pojawiły się ekipy trzech stacji telewizyjnych, a tłum gapiów kręcił się tuż obok policyjnych barier, za którymi sześciu policjantów pilnowało, żeby nikt nie próbował przedostać się do środka. Kiedy Marcin był już blisko, poznała go reporterka TVN24. Kamery skierowały się w jego stronę.

– Złoży pan krótkie oświadczenie dla Faktów?

Szybko dołączyło do niej jeszcze dwóch reporterów.

– Czy to prawda, że zastrzelony został policjant?

– Czy to była egzekucja?

– Czy uczestniczył pan w nocnym pościgu za mordercą?

– Panie komisarzu! Chociaż dwa słowa!

– Bez komentarza! – rzucił i z pomocą dwóch mundurowych przepchnął się przez tłumek. Wolno poszedł schodami w górę. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest znużony.

Przed otwartymi drzwiami do mieszkania Szawczaka kręcili się policjanci z kryminalnej i technicy. Szef techników, Robert Rajcza,

stał na szczycie schodów i palił papierosa. Wciąż był ubrany w biały kombinezon, ale ściągnął już rękawiczki, kaptur i maskę. Z ponurą miną skinął głową nadchodzącemu Marcinowi.

– Co z Parolem?

– Jest po operacji. Walczy.

Rajcza popatrzył na niego ze zrozumieniem.

– Mogę tam zajrzeć?

Technik poszedł pierwszy. Zatrzymał się w korytarzyku.

– Tu leży twój kask. Możesz go już zabrać. – Wskazał poobcierany motocyklowy kask ozdobiony namalowaną trupią czaszką z zardzewiałym gwoździem wbitym w czerep. Był tylko jeden taki kask w mieście, a może i w całym kraju.

Marcin bez słowa podniósł kask z podłogi. Rajcza poprowadził go dalej.

– Była niezła jatka – odezwał się. – Wyciągnęliśmy kilka kul ze ścian i z mebli. W przedpokoju leżała matka Parola. Dostała dwa razy w pierś z bardzo bliskiej odległości.

Marcin patrzył jednak na wielką plamę krwi na dywanie.

– Z tego, co wiem, Parol miał postrzał w tył głowy – powiedział.

– To był cholerny rykoszet – wyjaśnił technik i wskazał palcem na kaloryfer pod oknem. – Pocisk tak pechowo zrykoszetował, że trafił Parola z tyłu. Mam nadzieję, że po odbiciu stracił trochę energii i wyrządził mniej szkód niż przy bezpośrednim uderzeniu w czaszkę. Balistyka będzie miała co robić.

Marcin przypomniał sobie słowa chirurga. Mniejsze szkody? Mogły być większe? Pewnie tak. Z konsekwencją śmierci na miejscu.

Kwadrans później wyszedł na korytarz z kaskiem założonym na zgięte ramię. Rajcza stał w tym samym miejscu co poprzednio, paląc papierosa. Marcin stanął obok i sięgnął do wyciągniętej w jego stronę paczki cameli.

Rozdział 23

Telefon leżący na nocnym stoliku zasygnalizował nadejście wiadomości tekstowej. Karina Buczko sięgnęła po omacku po aparat i spojrzała na wyświetlacz, przecierając drugą ręką oczy. „Mogę zabrać swoje rzeczy?” Krótkie pytanie z numeru, który znała na pamięć, choć kontakt wykasowała już ze swojej książki telefonicznej.

– Wal się! – warknęła, odłożyła telefon i odwróciła się na drugi bok.

Fatalnie znosiła rozstanie. Nigdy by nie przypuszczała, że będzie aż tak źle. Szerokie łóżko stało się za wielkie dla jednej osoby. Nie potrafiła się w nim odnaleźć.

Nie sądziła, że jej związek zakończy się taką katastrofą. I to przez inną kobietę! Sześć lat wspólnego życia poszło się pieprzyć z dziwkami na mieście. A teraz okazuje się, że z mieszkania Kariny trzeba odebrać swoje rzeczy. Nie da się żyć samą miłością. Trzeba też w coś się ubierać, czymś wycierać po wyjściu spod prysznic, czesać włosy i myć zęby.

– Wal się – powtórzyła ciszej z twarzą w poduszce, ale wiedziała, że już nie zaśnie.

Oczywiście odda te rzeczy. Już nawet większość spakowała. Ale odda je na swoich zasadach, kiedy uzna, że nadszedł właściwy moment.

Zwlekła się z łóżka, przez chwilę bezskutecznie starała się ogarnąć potargane włosy, wreszcie zrezygnowała. Spojrzała na zegarek i jęknęła. Piętnaście po jedenastej. Idąc do łazienki, pomyślała, że w jej stanie ducha urlop nie był najlepszym pomysłem.

Mogła zostać w pracy. Przynajmniej coś by się działo i nie wspominałaby bez przerwy minionych lepszych dni.

Mieszkanie na czwartym piętrze kamienicy przy ulicy Roosevelta odziedziczyła po babci ze strony ojca. Nie bardzo ją nawet pamiętała. Babcia była niezłą imprezowiczką. Bardziej od rodziny i wnuków interesowały ją dansingi i wyjazdy do sanatoriów. Tak przynajmniej powtarzał Karinie ojciec.

Pewnego dnia babcia weszła na krzesło, żeby powiesić firanki, zakręciło jej się w głowie, spadła i skręciła kark. Po tygodniu znalazła ją sąsiadka. Wtedy okazało się, że w testamencie babcia zapisała mieszkanie Karinie.

Właściwie miało same wady. Mały pokój, mała sypialnia, krótki korytarzyk, ciasna kuchnia z oknem wychodzącym na korytarz i wspólna toaleta na półpiętrze. Karina przypuszczała, że po wojnie jeden wielki apartament położony na czwartym piętrze dziewiętnastowiecznej kamienicy podzielono na cztery mieszkania, żeby wcisnąć jak najwięcej ludzi. Wzięła małą pożyczkę w banku i zrobiła sobie własną toaletę i łazienkę kosztem kawałka pokoju, sypialni i korytarzyka. Zrobiło się jeszcze ciaśniej, ale wszystkie wady przykrywała jedna wielka zaleta. Mieszkanie należało do niej.

Lato nie ustępowało, wciąż było gorąco. Okna wychodziły na jedną stronę, przez co pokoje trudno było przewietrzyć. Otwieranie ich niewiele dawało, może oprócz potężnej dawki decybeli z pobliskiej ciągle zakorkowanej ulicy Jedności Narodowej.

Karina długo stała pod prysznicem. Potem, nie wycierając się, stanęła przed lustrem. Zaczesała ciemne włosy sięgające do ramion i spojrzała sobie krytycznie w oczy.

– Nie jesteś już najmłodsza, kochanie – powiedziała. – Musisz się przyzwyczaić do coraz większych worków pod oczami o poranku. Na szczęście są cudowne maści i kremy odmładzające.

Po chwili dodała ciszej:

– Szkoda, że nie wynaleźli jeszcze kremów na samotność.

Myła zęby, kiedy usłyszała sygnał telefonu dochodzący z sypialni. Pobiegnęła odebrać. Nawet ucieszyła się, kiedy szef zakomunikował, że z powodu nadzwyczajnych okoliczności jej urlop właśnie się skończył.

*

Kilka minut przed czternastą aspirant Karina Buczko zmieniła dwóch wyraźnie znudzonych policjantów z patrolu. Wcześniej dowiedziała się o nocnych zdarzeniach. Najchętniej włączyłaby się do pracy operacyjnej, dostała jednak inne rozkazy. Dlatego tu siedziała. W mundurze, z pistoletem w rozpiętej kaburze i z kamizelką kuloodporną ukrytą pod koszulą. Gdyby nie klimatyzacja, umarłaby z gorąca.

Pamiętała Szawczaka z akcji w terenie i z korytarzy komendy wojewódzkiej. Raz czy dwa zamienili nawet parę zdań i okazał się bardzo miłym facetem. Wiedziała, że koledzy podśmiewają się z niego za plecami. Parol miał okrągłą twarz, a w chwilach podekscytowania pojawiały się na niej nieregularne czerwone plamy. Koledzy szybko zaczęli go porównywać do porucznika Waldemara Jaszczuka ze słynnego serialu 07 zgłoś się.

Wstała z niewygodnego krzesła i zajrzała do Szawczaka. Leżał teraz podłączony do całej baterii urządzeń. Zaintubowany, głowa w bandażach, blada twarz przypominająca bardziej pośmiertną maskę niż oblicze żyjącego człowieka, kroplówki w obu rękach. Bez tej całej maszyneryi pewnie nie przeżyłby ani minuty. Przyglądała mu się przez chwilę, czując niespodziewany ucisk w gardle.

Wróciła na swoje miejsce na korytarzu. Czekala. Piła kawę z automatu stojącego za rogiem i obserwowała lekarzy i pielęgniarki, którzy co kilka minut zaglądali do pacjenta. Widziała, jakimi spojrzeniami ją obrzucają – pełnymi strachu, ale i ciekawości. Po godzinie personel pracujący w tej części szpitala znała już z widzenia.

Przed szesnastą zaszumiała winda na końcu korytarza i wysiadł z niej wysoki mężczyzna. Ubrany w przybrudzone trawą spodnie, w czarnej koszulce z logo zespołu heavymetalowego, z przydługimi, lekko siwiejącymi włosami kojarzył się z podstarzałym muzykiem rockowym. Ewentualnie z członkiem gangu motocyklowego – jeśli ktoś zwróciłby uwagę na wygląd kasku, który trzymał w ręce. Niby nic szczególnego. Facet jak setki innych – pociągła twarz, proste usta i nos, ale za to oczy miał niesamowite. Zniwielający błękit, a w środku żar, jakby ktoś wyciągnął z ogniska dwa rozżarzone węgle. Delikatne brwi dodawały oczom wyrazu. Karina wiedziała, że nie tylko na niej robi wrażenie. Większość policjantek wodziła za nim rozmarzonym spojrzeniem.

Kiedy się zbliżył, wstała z krzesła. Karina wiedziała o nocnym pościgu, w którym uczestniczył. Teraz oceniła, że wygląda na strasznie zmęczonego. Pewnie w ogóle nie spał.

- Cześć – rzucił z wyraźną chrypą w głosie i lekko się uśmiechnął.
- Spotkaliśmy się już parę razy, prawda?
- Tak.
- Marcin.
- Karina Buczko.

Uścisnęli sobie ręce. Jego dłoń była ciepła i delikatna. Cholera, żaden facet tak na nią nie działał!

Zakrzewski obrzucił ją uważnym spojrzeniem, jakby oceniał, czy nadaje się do tego zadania. Nie czekała na krytyczne uwagi. Przed minutą zrobiła sobie kawę w automacie i nie zdążyła jeszcze nawet umoczyć ust. Sięgnęła do stolika i podała mu tekturowy kubek.

- Tobie bardziej się przyda – stwierdziła. – Wyglądasz koszmarnie. Spałeś w ogóle?

Jej bezpośredniość najwyraźniej go zaskoczyła. Przyjął kawę i zwałił się ciężko na jedno z krzesel na korytarzu. Kask stuknął głucho o podłogę. Zakrzewski wypił od razu pół kubka i dopiero potem odpowiedział:

- Pójdę spać, jak mi się zachce.

Usiadła obok.

– Jak z nim? – Zakrzewski wskazał kciukiem za siebie.

– Bez zmian. Co chwilę zagląдают do niego pielęgniarki i jeden lekarz. Taki młody chirurg z brodą.

– Porządny facet. To on operował. Parol będzie musiał postawić mu dużą butelkę wódki, jeśli przeżyje. – Dopił kawę i jednym ruchem zmiął kubek. – Posłuchaj, Karina. Do Parola strzelał bardzo groźny psychopata. Prawdopodobnie Parol widział jego twarz. Dlatego przyszedł do niego do domu. Żeby zlikwidować niebezpiecznego świadka. Nie udało mu się.

Popatrzył jej w oczy. Miał nabiegłe krwią białka.

– Myślę, że on może tu wrócić, żeby naprawić błąd. Ja na jego miejscu nie czekałbym długo. Im dłużej będzie zwlekał, tym bardziej będziemy gotowi na jego przyjście. Na razie nie ogarnęliśmy jeszcze zamieszania. To najlepszy czas, jeśli chce raz na zawsze pozbyć się świadka.

Karinie zaciążyła nagle kamizelka kuloodporna.

– Szef obiecał, że za dwie, góra trzy godziny dostaniesz wsparcie. Na razie bądź bardzo ostrożna. Nie oddalaj się stąd ani na krok, nawet po kawę. Automat jest za rogiem, za daleko i nie widać stamtąd drzwi do sali Szawczaka. Zwracaj uwagę na kręcących się tu ludzi. Bądź czujna i nie ufaj nikomu. Zrozumiałaś?

– Tak. – Skinęła głową.

Podał jej swoją wizytówkę.

– Jeśli będziesz miała jakiegokolwiek podejrzenia albo uznasz, że coś jest nie tak, dzwoń.

Wzięła wizytówkę, zapisała jego numer w swoim telefonie i oddała.

– Pewnie masz tylko jedną – powiedziała.

Ta uwaga nieoczekiwanie go rozbawiła. Na jego ustach pojawił się szczery uśmiech.

Klepnął ją w ramię i poszedł. Obserwowała, jak znika za rogiem.

Po minucie wrócił i podał jej kubek z gorącą kawą z automatu.

– Dziękuję za kawę – mruknął. – Jest koszmar.

Potem zostawił ją samą. Kiedy drzwi windy zasunęły się za nim, Karina wstała i uważnie się rozejrzała.

*

Zaparkował na osiedlu sąsiadującym ze szpitalem, przodem do głównej ulicy Starogajowej. Wystarczyło uruchomić silnik, żeby włączyć się do ruchu. Gdyby miał ruszyć za nim pościg ze Starogajowej, zostawało mu kilka dróg ucieczki. Ale nie zakładał utrudnień, policja pewnie jeszcze nie zdążyła się zorganizować.

Włożył na głowę czapkę, daszek opuścił głęboko na oczy, na ramię zarzucił torbę i poszedł w kierunku Kosmonautów. Nigdy nie nosił okularów przeciwsłonecznych. Jego oczy doskonale znosiły jaskrawe światło, za to w ciemnych szklach zaczynał mieć kłopot z oceną odległości. Na przystanku przy Kosmonautów wsiadł w dziesiątkę, przejechał jeden przystanek i wysiadł. Kilka osób, których celem też był szpital, wyprzedziło go o kilkanaście kroków. On się nie spieszył. Poprawił torbę na ramieniu i spojrzał na nowoczesny budynek szpitala.

Kiedy znalazł się na wprost głównego wejścia, z parkingu po lewej stronie wyjechał motocyklista. Satyr obserwował go kątem oka. W oczy rzucało się niezwykle malowanie kasku. Niewiele osób miało odwagę upodobnić się do śmierci, Satyr wiedział o tym doskonale.

Przed automatycznymi drzwiami wejściowymi wyciągnął z torby bukiet kwiatów i nieco zasłonił nim twarz. Z boku wyglądało to zupełnie naturalnie, wiązanka dla chorego. Od razu skierował się w stronę wind. Stał, wachając kwiaty i obserwując zapalające się strzałki. Do pierwszej kabiny wsiedli ludzie, on poczekał na następną. Zjechał na poziom minus jeden i pewnym krokiem skierował się w prawo. Strzałki szybko zaprowadziły go na miejsce: WC dla personelu. Drzwi były zamknięte, ale otwarcie prostego zamka zajęło mu dziesięć sekund.

Przebrał się w jednej z kabin. W lekarskim kitlu, czepku i w drucianych okularach nie różnił się od szpitalnego personelu. Do piersi przypiął jeszcze identyfikator ze zdjęciem i mógł swobodnie przemieszczać się po budynku. Zdjęcie nie było jego, identyfikator pochodził z innego szpitala, ale przecież w tak wielkim obiekcie nie wszyscy się znali. Nikt nie zwróci uwagi.

Z planem szpitala zapoznał się dwie godziny wcześniej. Wiedział, gdzie jest OIOM, i ze szczegółami zaplanował potencjalne drogi ucieczki.

Przez ostatnie lata nie opuszczała go dobra passa. Zlecenia wykonywał bez wahania, nie zostawiał śladów ani świadków. Był jak duch, jak cień czający się w półmroku. I niespodziewanie w tym perfekcyjnym mechanizmie coś się zacięło. Najpierw robota w klubie. Oczywiście mógł wtedy zabić policjanta, przecież dokładnie wiedział, gdzie tamten się ukrył, zresztą pewnie nie miał przy sobie broni. Ale to byłoby za proste. Z kolei w mieszkaniu tego policjanta znowu coś poszło nie tak i zjawił się ten drugi, Zakrzewski. To nazwisko wzbudzało w nim dziwny dreszcz. Od razu poznał w nim drapieżnika. Różniło ich tylko to, że stali po dwóch stronach barykady. Już się cieszył na ponowne spotkanie, pojedynek równych sobie. Musiało do niego dojść. Cierpliwości – pomyślał. Najpierw trzeba po sobie posprzątać.

Wysiadł z windy na trzecim piętrze. Oddział intensywnej opieki medycznej znajdował się kilka korytarzy dalej.

– Panie doktorze, czekamy już tak długo!

Głos zabrzmiał w jego uszach jak zgrzyt metalu o metal. Skrzywił się, ale kiedy się odwrócił, na jego twarzy gościł już wyraz spokoju i odpowiedzialności. Nie wiedział, czego od niego chce ta kobieta w średnim wieku. Nie interesowało go to. Czuł w nozdrzach zapach jej strachu.

– Proszę o cierpliwość – odpowiedział łagodnie. – Za kilka minut przyjdzie pielęgniarka, która zajmie się pani mężem.

– Dziękuję, panie doktorze. – Spojrzała na niego z wdzięcznością.

Odchodząc, zerknął na mężczyznę pod ścianą. Dobrze ocenił, że to jej mąż. Bił od niego nieprzyjemny odór choroby i zbliżającej się śmierci. Drapieżniki to czują, dlatego z taką łatwością wyławiają ze stada słabsze, chore osobniki.

Obszedł oddział i ją zobaczył.

Uzbrojona policjantka w mundurze siedziała na krześle przy sali oznaczonej dwójką. Tam musiał leżeć ranny policjant.

Była nawet ładna. Ciemna karnacja, czarne włosy spięte w koński ogon, delikatny makijaż podkreślający naturalne rysy twarzy, pełne usta. Gdyby Satyr interesował się kobietami, pewnie mógłby obejrzeć się za nią na ulicy. Zanim ją minął, zdążył już ocenić sytuację i ułożyć plan działania.

Tym razem nie powinno być kłopotów. Policjantka nie wydawała się trudnym przeciwnikiem.

Kiedy przechodził obok niej, podniosła wzrok znad smartfona, obrzuciła go obojętnym spojrzeniem i znowu wróciła do serfowania po Internecie. Bardzo dobrze.

Dalej korytarz się rozwidłał. W prawo prowadził do bloku operacyjnego, w lewo do północnej klatki schodowej. Przed schodami znajdowało się pomieszczenie dla pielęgniarek i lekarzy, obok magazyn sprzętaczek. Pusty. Wyjął pistolet z tłumikiem zza paska z tyłu spodni. Dłoń z pistoletem ukrył pod lewą pachą. Zasłonił fartuchem.

Zawrócił, wyszedł zza rogu i się zawahał. W pracy zawsze koncentrował się na czekającym go zadaniu. Potrafił wyciszyć inne myśli, w ułamku sekundy oceniać, analizować i podejmować decyzje. Teraz nagle w głowie eksplodowało mu kilka myśli naraz. Znowu coś poszło nie tak.

Policjantki nie było. Omiótł wzrokiem korytarz i nigdzie jej nie dostrzegł. Może poszła po kawę? Za zakrętem korytarza widział automat. Nie. Jej kubek z niedopitą kawą stał na stoliku. Weszła na chwilę do sali, gdzie leżał ranny. Ruszył ostrożnie naprzód i skupił się na docierających do jego uszu odgłosach. Nakładające się na

siebie dźwięki aparatury medycznej kontrolującej i podtrzymującej procesy życiowe pacjentów w ciężkim stanie. Słyszał je wyraźnie, ale nie potrafił ich rozdzielić, zlewały się w jedno.

Stanął przed salą numer dwa, wyciągnął przed siebie pistolet, pchnął drzwi i zdecydowanym krokiem wszedł do środka. Natychmiast zrozumiał swoją pomyłkę. Słyszał odgłosy, ale żaden nie dochodził z tego pokoju. Aparatura medyczna patrzyła na niego martwymi, pozbawionymi zasilania ekranami, łóżko było puste.

Wtedy za plecami usłyszał kobiecy głos:

– Policja! Rzuć broń!

Głos brzmiał pewnie i stanowczo. Zupełnie nie współgrał z policjantką, którą widział przed kilkunastoma sekundami. Znowu źle ocenił sytuację. Chyba jednak dobra passa się skończyła.

*

Karina Buczko bardzo poważnie potraktowała słowa Zakrzewskiego. Dlatego kiedy ujrzała tego lekarza, od razu zrozumiała, że coś z nim jest nie tak. Nadchodził od strony wind, ale nie przyjechał windą. Szedł wolno korytarzem, jakby był członkiem szpitalnego personelu. Nie podniosła głowy znad telefonu, ale obserwowała go kątem oka. Na początku jej uwagę zwróciły buty. Ciężkie, sportowe, przeznaczone do górskich biegów długodystansowych. Lekarze nie nosili takiego obuwia. Przez tych kilka godzin spędzonych na korytarzu miała czas, żeby zaobserwować, jak ubierają się lekarze. Chodzili w drewniakach albo sandałach, wygodnych i przewiewnych. Zwróciła też uwagę na spodnie nadchodzącego. Kończyły się przed kostką i sprawiały wrażenie o kilka centymetrów za krótkich. Miały trochę inny odcień niż spodnie reszty personelu.

Z trudem powstrzymała się przed spojrzeniem mu w twarz. Jeszcze nie teraz.

Potem zobaczyła jego ręce. Dłonie w lateksowych rękawiczkach. Lekarze nie chodzili w rękawiczkach po korytarzach.

Przez ułamek sekundy zobaczyła coś jeszcze. Między rękawiczkami a brzegiem rękawów zobaczyła skórę. Było w niej coś dziwnego. Zapamiętała ten obraz, ale nie miała czasu go przeanalizować. Mężczyzna znalazł się już prawie obok niej. Wtedy się zdecydowała i podniosła na chwilę wzrok. Starła się wyglądać na niezainteresowaną i znudzoną, lecz to krótkie spojrzenie było jak błysk flesza. Jej skoncentrowany do granic możliwości mózg zarejestrował wszystkie szczegóły. Szare włosy zaczesane na bok, blada twarz, drucziane okulary, prosty nos. Największe wrażenie robiły jednak oczy. Jasnobłękitne, lśniąco, bez wyrazu. Jakby ten człowiek nie myślał albo był pozbawiony ludzkich uczuć.

Karina odnalazła w swoim telefonie numer Zakrzewskiego i napisała mu wiadomość. Strzałkę Wyślij nacisnęła dokładnie w chwili, kiedy mężczyzna przechodził obok niej.

*

Zakrzewski odkręcił gaz i jego honda wystrzeliła do przodu, rozpędzając się gwałtownie. Zaraz jednak zwolnił. Na luzie dotoczył się do świateł na skrzyżowaniu Fieldorfa z Kosmonautów.

Po skręcie w lewo włókł się w korku w kierunku zjazdu na autostradę. Cały czas przed oczami migały mu obrazy z ostatniej doby. Do tego ciągle widział Szawczaka leżącego w kałuży krwi. Kiedy lekarz zapytał, czy Parol jest jego przyjacielem, Zakrzewski skłamał. Nie uważał Szawczaka za przyjaciela. Kiedyś byli razem na wyjeździe i wypili morze whisky, Parol się przed nim otworzył, ale to za mało, by mówić o przyjaźni. Facet po prostu musiał wyrzucić z siebie zmartwienia. Marcin był wtedy tylko przypadkowym świadkiem jego psychicznej wiwisekcji. Przez to nie stali się przyjaciółmi. Kumplami – tak, ale się nie przyjaźnili. Marcin uważał, że będzie z niego doskonały śledczy. Brakowało mu tylko pewności siebie i doświadczenia.

Ocknął się z rozmyślań i zobaczył, że przejechał zjazd na AOW. Musiał pojechać prosto. Przyspieszył trochę i wyprzedził jadące przed nim auta. Minął stadion, potem pętlę tramwajową po prawej i wtedy poczuł wibracje telefonu w kieszeni. Natychmiast pomyślał o Karinie Buczko i o szpitalu. Nie mógł na razie odebrać. Zjechał na pas do skrętu w ulicę Metalowców i zatrzymał się na czerwonym świetle. Przy wjeździe na teren dawnego Pilmetu zjechał na chodnik, zdjął kask i wyciągnął telefon, żeby oddzwonić. Spojrzał na wyświetlacz. Ojciec. Zanim zdążył wybrać numer, ojciec zadzwonił ponownie.

– Z matką jest źle – oznajmił bez żadnych wstępów.

Marcin zeszywniał. Od wielu lat nie słyszał, żeby ojciec był zdenerwowany.

– Co się dzieje?

– Znowu wpadła w depresję, tylko teraz... – Wyraźnie słyszał wahanie. – Jest jakby inaczej.

– Tato, opowiedz wszystko powoli i dokładnie.

Michał Zakrzewski zaczął mówić.

Okolo tygodnia wcześniej Zofia Zakrzewska zaczęła gasnąć. Wieczorami wyszywała obrazy – na płótnie, kolorowymi nićmi, to było jej hobby. Ale teraz siedziała tylko z igłą i patrzyła na swoje ręce. Potem przestała jeść. Tylko leżała w łóżku, to przysypiała, to budziła się. Na pytania odpowiadała półsłówkami. Wezwane pogotowie niczego nie stwierdziło, lekarz, który przyszedł na domową wizytę, doradził, że psycholog mógłby pomóc.

– Miała już nawroty depresji – przypomniał ojciec. – Ale teraz jest inaczej. Ona nie śpi w nocy, tylko czuwa.

– Coś mówi?

– Pytałem, dlaczego nie śpi. Powiedziała, że czeka na ciebie i na... – Głos ojca się załamał. – Na Ryśka. Powiedziała, że chciałaby was jeszcze zobaczyć, zanim odejdzie.

Marcin miał brata bliźniaka, który zaginął w wieku dwunastu lat. Po trzydziestu latach Marcin prowadził śledztwo w sprawie seryjnych

zabójstw dzieci i odkrył straszną prawdę. Jego brat prawdopodobnie został zamordowany. Prawdopodobnie, bo zabójca wskazał miejsce ukrycia zwłok, ale ciała tam nie znaleziono. W kartotece Ryszarda Zakrzewskiego nadal widniała adnotacja „Zaginiony”.

– Co mam zrobić? – zapytał Marcin.

W tej samej chwili usłyszał piknięcie w słuchawce i aparat zawibrował mu w dłoni. Przyszedł SMS.

– Po prostu przyjedź. Może tobie uda się z nią porozmawiać.

– Dobrze, tato. Przyjadę, jak tylko będę mógł. Teraz muszę kończyć...

Marcin oderwał telefon od ucha i spojrzał na wyświetlacz. Poczuł nagły przyptyw adrenaliny. Wiadomość od Kariny Buczko. Trzy słowa: „on tu jest”. Marcin poczuł, jak opada z niego wszelkie zmęczenie. Wybrał szybko numer do dyżurnego i piętnaście sekund później pędził z powrotem do szpitala, nie zwracając uwagi na sygnalizację na skrzyżowaniach.

*

Kiedy dziwny lekarz zniknął za rogiem, Karina zaczęła się gorączkowo zastanawiać, co robić. Zadzwoić po pomoc? Trzeba było wybrać numer i poczekać, aż zgłosi się dyżurny. Za długo. Miała nadzieję, że Zakrzewski odebrał wiadomość i że będzie wiedział, jak postępować dalej. Wstała i jeszcze raz rozejrzała się po korytarzu. Nikogo. Wyszarpnęła z kabury pistolet i odbezpieczyła go. Było tylko jedno miejsce, gdzie mogła się teraz schować.

Wiedziała, w którą stronę otwierają się drzwi. Stała nieco z boku, po przeciwnej stronie. Kiedy drzwi się uchylą, nie będzie jej widać, a ona od razu zobaczy, kto wchodzi. W gruncie rzeczy liczyła na to, że nikt tu nie wejdzie. Rzuciła okiem za siebie. Parol leżał w takiej samej pozycji, urządzenia jarzyły się bladym światłem, pompa tlenu poruszała się jednostajnie.

Karina skupiła się na drzwiach.

Światło wpadające z korytarza do pogrążonego w półmroku pokoju, w którym leżał Parol, przesłoniła ciemna postać. Karina wstrzymała oddech. Czyżby się nie myliła?

Odczekała trzy sekundy, po czym pewnie pociągnęła za drzwi, wyszła na korytarz i złożyła się do strzału. Mierzyła do mężczyzny w lekarskim kitlu, który stał do niej tyłem na progu pustej sali.

Starła się, żeby jej głos zabrzmiał stanowczo i pewnie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że wyszło doskonale.

– Policja! Rzuć broń!

Napastnik znieruchomiał.

– Ręce do góry! Rzuć broń!

Kątem oka zobaczyła, że od strony wind nadchodzą dwie pielęgniarki, pchając przed sobą wózek. Na widok Kariny i słysząc wyraźnie jej słowa, znieruchomiały przerażone. Zignorowała je. Teraz skupiona była tylko na plecach tamtego.

– Ręce do góry, bo będę strzelać!

Jej głos trochę stracił na pewności. Na szczęście fałszywy lekarz wolno podniósł ręce nad głowę. W prawej dłoni trzymał pistolet z długim tłumikiem.

– Broń na podłogę! Na podłogę!!!

Jej krzyki niosły się korytarzem. W holu pojawiło się kilka osób, lekarze i pielęgniarze. Karina nawet na nich nie spojrzała.

Napastnik schylił się i położył pistolet na podłodze.

– Dwa kroki do tyłu! – wrzasnęła.

Kiedy wykonał polecenie, kazała mu się odwrócić. Wtedy krzyknęła do zgromadzonych po prawej stronie:

– Nie stójcie tak, sprowadźcie pomoc!

Przez chwilę nikt nie reagował. Wreszcie jakiś bardziej roztropny pielęgniarz odwrócił się i gdzieś pobiegł. Miała nadzieję, że zadzwoni na policję. Reszta jednak stała w tych samych miejscach. Rzuciła okiem w drugą stronę, na skamieniałe pielęgniarki.

– Uciekajcie stąd!

Dopiero teraz spojrzała napastnikowi w twarz. Plastikowa maska pozbawiona uczuć. Niebieskie oczy ziały pustką. Nawet nie można było powiedzieć, że facet jest spokojny. On wyglądał, jakby nic nie czuł, jak gdyby nic nie mogło go powstrzymać przed wykonaniem zadania. Karina była tylko kamyczkiem na jego drodze, nic nieznaczącym i sprawiającym przejściowe kłopoty. Nagle poczuła, że ogarnia ją strach. Z trudem zapanowała nad drżeniem dłoni obejmujących rękojeść walthera P99.

– A teraz... – zaczęła, ale w tym samym momencie drzwi do pomieszczenia, gdzie stał mężczyzna, samoczynnie zaczęły się zamykać.

*

Zakrzewski gnał na złamanie karku. Przejechał wiadukt, minął stadion i wyprzedził stojące w korku do Leśnicy auta. Nie pojechał do głównego wejścia szpitala, tylko skręcił w prawo. Objechał szlaban i znalazł się na drodze, którą wyjeżdżały ze szpitala karetki.

Był już blisko. Widział wyraźnie wielki napis „SOR” z boku szpitala.

*

Drzwi zamykały się coraz szybciej. Karina Buczko wpadła w panikę. Co robić? Jakiś głos w jej głowie krzychał: „Strzelaj, idiotko! Strzel mu w kolano! Najlepiej w dwa kolana!”. Jednak palec na spuście ani drgnął. Jeszcze nigdy do nikogo nie strzelała.

I nie strzeliła tym razem.

Na pół sekundy przed zamknięciem drzwi spojrzała tamtemu w oczy. Wydawało jej się, że coś w nich dostrzega – uśmiech, lekką kpinę i niewypowiedziane pytanie: „No i co teraz zrobisz?”. Nic nie zrobiła.

Na szczęście, kiedy tylko zamek w drzwiach się zatrzasnął, zrobiła dwa kroki w bok i zeszła z linii strzału. Nawet nie zdążyła zareagować, kiedy nagle szkło w drzwiach rozpękło się na tysiąc kawałków. Dopiero po jakimś czasie zrozumiała, że nie usłyszała strzałów, ponieważ były wytłumione. Rozległ się pisk pielęgniarek, wśród lekarzy po drugiej stronie zapanowało poruszenie. Dlaczego oni stoją jak idioci? – pomyślała zirytowana. To nie jest kino akcji. Chciała krzyknąć, żeby uciekali, ale nie była w stanie. Skoczyła tylko pod ścianę i przykucnęła z bronią gotową do strzału, ale od razu zrozumiała, że nie może strzelać. Za dużo gapiów, ktoś mógłby oberwać.

– Niech to jasna cholera! – warknęła pod nosem.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły, wyjechało z nich szpitalne łóżko i z impetem uderzyło w przeciwległą ścianę. Karina nie zdążyła zarejestrować, kiedy napastnik znalazł się na korytarzu, łóżko odwróciło jej uwagę. Teraz leżał na plecach na środku korytarza i celował do niej. Zanim padły trzy strzały, rzuciła się na podłogę. Kule uderzyły w ścianę dziesięć centymetrów powyżej jej głowy. Jedna odbiła się rykoszetem od metalowej listwy i trafiła w pielęgniarkę. Kobieta dostała w udo, upadła i leżała w powiększającej się kałuży krwi. Koleżanka, zamiast jej pomóc, krzyczała zszokowana.

Tym razem Karina już się nie zawahała. Pociągnęła za spust. Huk wystrzału potoczył się echem po korytarzu. Lekarze po drugiej stronie rzucili się do ucieczki. Pocisk utkwił w ścianie daleko od celu. Strzeliła jeszcze raz, nie celując, ale napastnika już w tym miejscu nie było. Przeturlał się metr w bok i złożył do strzału. Karina pomyślała z przerażeniem, że teraz musi trafić. Dzielili ich przecież nie więcej niż pięć metrów. Ona również przeturlała się po podłodze i ukryła za przewróconym łóżkiem. Dwa kolejne pociski odbiły się od podłogi, nie czyniąc jej krzywdy. Na chwilę schowała odruchowo głowę w ramionach i zrozumiała, że to był błąd.

Napastnik już nad nią stał i celował w głowę.

Paniczna myśl – to już koniec. Nie ma szans na ratunek. Kliknął spust i... nic się nie stało. Pistolet się zablokował. Po twarzy tamtego przemknął wyraz rozczarowania. Przynajmniej tak się jej wydawało.

Karina sama się dziwiła, że w tak ekstremalnej sytuacji zachowuje zimną krew i działa racjonalnie. Podniosła broń, wymierzyła mu prosto w twarz i strzeliła. Z takiej odległości musiała trafić. A jednak. Tamten zareagował instynktownie jak dzikie zwierzę w walce na śmierć i życie. Zanim strzeliła, kopnął leżące łóżko, które trąciło ją w ramię i lufa odchyliła się na milimetr. Rozcięła mu tylko skórę na kości policzkowej i trafiła w świetlówkę na suficie. Lampa eksplodowała efektownie, sypiąc wokół kawałkami szkła.

Zabójca odrzucił własny pistolet i skoczył. Był silny i zręczny, ale Karina wiele lat trenowała wschodnie sztuki walki. Napastnik chciał jej wyrwać z ręki broń, dlatego musiała chwycić ją oburącz, żeby mu to uniemożliwić. Dzięki sprawnej pracy nóg znalazła się na nim. On jednak również musiał być doświadczony w walce wręcz, bo błyskawicznie ją z siebie zrzucił. Poleciała na bok, po sekundzie ten straszny facet znowu był na niej, ale zerwali się i zaczęli się siłować o pistolet. Poczwała, że w tej pozycji nie ma szans. Był bardzo silny, miażdżył jej dłonie zaciśnięte na rękojeści walthera. Z przerażeniem zrozumiała, że to już koniec. Nie wytrzyma.

Wtedy rozległy się krzyki za ich plecami. Dwaj pracownicy szpitala, którzy obserwowali rozwój sytuacji, a później ukryli się za rogiem, teraz biegli Karinie na pomoc. Morderca szarpnął dłońmi Kariny i skierował lufę na nadbiegających. Karina nawet nie zarejestrowała, jak to się stało, że pistolet wystrzelił. Młody chłopak dostał w obojczyk tuż obok szyi. Krew trysnęła na białą ścianę, a on zwałił się na podłogę. Drugi zdążył dobiec i skoczył napastnikowi na plecy. Ten zatoczył się na leżące w poprzek korytarza łóżko. Upadli wszyscy troje, ale zabójca natychmiast się poderwał, ciągnąc za sobą Karinę, która wciąż rozpaczliwie ścisnęła pistolet. Znowu nie dała rady oprzeć się jego sile. Lufa powędrowała w kierunku leżącego i znowu padł strzał. Pielęgniarski dostał w brzuch.

Karina wiedziała, że za chwilę pistolet znajdzie się obok jej skroni i wypali. Sprawnym ruchem podcięła napastnikowi nogi. Upadł na plecy, jęknął i otworzył szeroko usta, nie mogąc złapać oddechu. Pistolet zatrzymał się półtora metra dalej, poczołgała się w tamtym kierunku, chwyciła broń i odwróciła się gwałtownie.

W miejscu, gdzie powinien leżeć, nie było już nikogo. Zobaczyła tylko, jak tamten, utykając, znika za zakrętem korytarza. Rozejrzała się. Trzy postronne osoby ciężko ranne, podłoga i ściany we krwi, zdemolowane łóżko, drzwi i oświetlenie.

Stała, jakby zamieniła się w słup soli. Nie widziała lekarzy udzielających pomocy rannym i odwożących ich na salę operacyjną, nie zwróciła uwagi, kiedy ktoś ocierał jej krew z twarzy i opatrywał głębokie rozcięcie na czole.

Słyszała wyraźnie pikanie aparatury kontrolującej pracę serca i miarowy odgłos respiratora. Parol żył.

Rozdział 24

Anka Wiśniewska szła chodnikiem wzdłuż ulicy Grabiszyńskiej do najbliższego przystanku tramwajowego. Nic nie widziała, łązy ją oślepiły. Hałas samochodów w szczycie docierał do niej przytłumiony, jakby zza grubej ściany. Gardło miała ściśnięte.

Nie mogła uwierzyć, że została potraktowana w ten sposób. Czuła wściekłość i żal, ale przede wszystkim totalną bezsilność.

Posterunek policji Wrocław Grabiszyn znajdował się w dwupiętrowym budynku między siedzibą straży pożarnej a Lidlem i na pierwszy rzut oka niczym nie różnił się od bloków mieszkalnych z wielkiej płyty stojących po drugiej stronie ulicy.

Już kiedy weszła do środka, pomyślała, że może nie być tak prosto, jak sobie wyobrażała. Znalazła się w pustej poczekalni. Drzwi na klatkę schodową były oddzielone kratą, w dyżurce obok schodów siedział policjant, jednak nie zwracał na nią uwagi. Kiedy już łaskawie się odwrócił, wskazał wiszący na ścianie telefon i kazał jej zadzwonić. Nie zrozumiała, o co mu chodzi, ale on już przestał się nią interesować i wrócił do papierkowej roboty.

Musiła zapukać w szybkę. Spojrzał na nią niechętnie. Długo tłumaczyła, że nie chce do nikogo dzwonić. Przyszła złożyć wyjaśnienia i chciała porozmawiać z kimś kompetentnym. Kiedy dowiedział się, że chce złożyć zawiadomienie o możliwym popełnieniu przestępstwa, tylko się krzywo uśmiechnął. Fiolka nie dała się jednak tak łatwo spławić. Kilkakrotnie powtórzyła, że może chodzić o morderstwo. Dopiero wtedy dyżurny się poddał i zadzwonił po kogoś. Potem kazał jej czekać.

Czekała prawie pół godziny. Z każdą upływającą minutą była bardziej zdenerwowana i zagubiona. Może źle robiła? Nigdy nie była na policji. Myślała, że będzie łatwiej.

Kiedy wreszcie na schodach pojawił się ktoś po Fiolkę, czuła się już kompletnie rozbita i pełna wątpliwości.

Policjantka miała nie więcej niż dwadzieścia pięć lat i była w zaawansowanej ciąży. Nosiła wąskie dżinsy, które uwydatniały jej brzuch, i szarą koszulkę, która nie do końca ten brzuch przykrywała.

Weszły do pokoju detektywów. Tak przynajmniej wynikało z tabliczki zawieszanej przy drzwiach. Pokoik był malutki, stały w nim dwa złączone ze sobą biurka. Przy jednym siedzieli młody policjant i starszy mężczyzna wyglądający na drobnego pijaczka. Policjantka usiadła za swoim biurkiem i wskazała Fiolce krzesło. Anka zajęła miejsce w odległości metra od starszego mężczyzny.

A potem przeżyła najgorsze czterdzieści pięć minut w swoim życiu. Wcześniej wszystko ułożyła sobie w głowie, żeby nie pominąć żadnych szczegółów, kiedy jednak zaczęła wreszcie nieskładnie mówić, co chwilę rozpraszały ją zeznania przy biurku obok. Mężczyzna mówił głośno zachrypniętym od alkoholu głosem. Chcąc nie chcąc, Fiolka słyszała każde jego słowo.

W takich warunkach nie mogła się skupić. Plątała się, opisywała te same fakty, tylko trochę innymi słowami, co policjantka wykorzystywała do zadawania podchwytliwych pytań. Pewnie chciała znaleźć niekonsekwencje w jej opowiadaniu. Oczywiście udało się jej to raz czy dwa i Anka musiała korygować wcześniejsze słowa. Pociła się i coraz bardziej denerwowała, plątał jej się język. Czuła, że policjantka nie traktuje jej poważnie. Zresztą od jakiegoś momentu przestała pisać i tylko wpatrywała się w Ankę z dziwnym grymasem na ustach. Potem długo sprawdzała w komputerze policyjne akta obu samobójstw. Wreszcie powiedziała Ance, że jej opowiadanie jest nieprawdopodobne. Oba przypadki samobójstw były objęte drobiazgowym śledztwem prokuratorskim, postępowanie zakończyło się umorzeniem, udziału osób trzecich nie stwierdzono.

W końcu poradziła, żeby Anka jeszcze raz przemyślała to, co ma do powiedzenia. Odprowadziła ją do wyjścia.

Po drodze już nieoficjalnie i bez świadków powiedziała, żeby Anka nie zawracała głowy policji swoimi fantastycznymi teoriami spiskowymi, bo służby mają ważniejsze problemy. Na przykład przed kilkoma godzinami ciężko postrzelono funkcjonariusza i teraz trwa pościg za podejrzanym.

Kiedy Fiolka wyszła z budynku komisariatu, nie mogła powstrzymać łez, same płynęły jej po policzkach.

Już w tramwaju otarła oczy i pomyślała, że musi być twardsza. Znajdzie jakiś sposób, żeby dotrzeć w policji do kogoś rozsądnego, kto potraktuje ją poważnie.

Rozdział 25

Aspirant Karina Buczko siedziała na szpitalnym korytarzu, wpatrując się w kubek z kawą, który ktoś wcisnął jej w pokrwawione dłonie. Kawa zdążyła wystygnać, a Karina nie wypła ani łyku. Starszy lekarz o smutnym wyrazie twarzy zapytał, czy podać jej coś na uspokojenie. Odmówiła. Teraz po prostu trzymała kubek i starała się zapanować nad drżeniem palców, żeby nie wylać zawartości na podłogę. Nie piła, ponieważ bała się, że mimo wszystko lekarz wrzucił jej coś do kawy. Poza tym czuła mdłości na samą myśl o wzięciu czegoś do ust.

Nie odpowiadała na pytania przybyłych na miejsce policjantów, chciała wrócić do domu, położyć się do łóżka i przytulić do ukochanej osoby. Pozbyć się sprzed oczu obrazów krwi, spokojnie zasnąć i długo się nie budzić. Ale w domu nikt na nią nie czekał. Przełknęła kolejną falę mdłości. Niech ten cholerny dzień już się skończy.

Pierwszy na miejscu dramatycznych zdarzeń w szpitalu zjawił się Marcin Zakrzewski. Wpadł z pistoletem gotowym do strzału, kiedy jeszcze panował tu straszny zamęt. Ekipy lekarzy i pielęgniarek opatrywały rannych kolegów. Karina słyszała wszystkie komentarze. Pielęgniarz postrzelony w brzuch był w ciężkim stanie. Pozostałe ranne osoby straciły sporo krwi. Zakrzewski szybko ocenił sytuację, zajrzał do Parola i zapytał Karinę, którędy uciekł zabójca. Potem pobiegł w ślad za nim.

Kilka minut później zjawił się oddział antyterrorystów z jednostki specjalnej policji, kilku mundurowych i prawie cały wydział

kryminalny komendy wojewódzkiej, z inspektorem Godleckim na czele. Zaraz za nim do akcji wkroczyli technicy policyjni i zaczęli zbierać ślady. Dostęp do tej części korytarza zabezpieczyli taśmami i nikogo nie chcieli wpuścić. Oczywiście skończyło się awanturą. Ordynator szpitala w ostrych słowach przypomniał, że są na oddziale intensywnej terapii, gdzie przebywają ludzie walczący o życie. Chorzy muszą mieć spokój, a pielęgniarki i lekarze swobodny do nich dostęp. Skutek był taki, że zostało tylko trzech techników, a reszta funkcjonariuszy musiała wyjść z oddziału. Karina siedziała na krześle pod ścianą. Nikt nie miał odwagi, żeby ją wyprosić. Zresztą może coś do niej mówili, ale nie reagowała.

Ktoś usiadł obok niej. Zakrzewski.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

– Nie – odparła słabo.

– Świetnie się spisałaś.

– Gówno prawda. – Wskazała głową zakrwawiony korytarz. – Omal nie zginęli niewinni ludzie.

– To nie twoja wina. Wykonywałaś rozkaz.

– Mogłam zachować się inaczej. Mogłam strzelić wcześniej.

– Strzelałaś kiedyś do człowieka?

Spojrzała mu w oczy. Było w nich coś takiego, że spuściła wzrok.

– Nie.

– Wierz mi, nie jest łatwo nacisnąć spust. Bardzo dobrze się spisałaś. Zabójca nie dopadł Szawczaka.

Obróciła w dłoniach kubek z zimną kawą. Przyszła jej nagle do głowy pewna myśl.

– Zawieszają mnie – powiedziała.

– Ci z wydziału wewnętrznego już tu są. Przesłuchali pierwszych świadków, obejrzel i zabezpieczyli zapis z kamer monitoringu. Na pewno będą chcieli z tobą porozmawiać, ale nie mają zamiaru cię zawiesić.

– Jak to?

– Sprawą zajmuje się podkomisarz Tomaszewicz – wyjaśnił Marcin. – Znamy się, rozmawiałem z nim. Skończy się na wizycie u policyjnego psychologa. Mam dla ciebie inną informację.

Spojrzała na niego pytająco. Marcin nie po raz pierwszy pomyślał, że Karina jest bardzo ładna. Była też o wiele twardsza, niż sądził.

– Rozmawiałem ze swoim szefem, Godleckim. Poprosiłem, żeby przeniósł cię do wydziału kryminalnego. Zgodził się, od teraz pracujemy razem.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Żartujesz?

– Mówię jak najbardziej poważnie. Ostatnio pracowałem z Parolem... – Zamilkł na chwilę. – Wygląda na to, że na długo straciłem partnera. Zdaje się, że zawieszony ostatnio podkomisarz Ruciński odejdzie na wcześniejszą emeryturę, więc są wolne etaty. Mam pozycję w wydziale i mogę sobie pozwolić na to, żeby od czasu do czasu postawić szefa pod ścianą. Nie miał wyboru, musiał się zgodzić. Jest tylko jedno ale.

– Tak?

– Ty musisz się zgodzić.

*

Do budynku komendy wojewódzkiej pojechali hondą Zakrzewskiego. Karina siedziała bez kasku z tyłu i wystawiała twarz na orzeźwiające podmuchy powietrza. Zanim dojechali na miejsce, czuła się znacznie lepiej.

Policyjny grafik już na nich czekał. Karina zaczęła pracować z nim nad portretem pamięciowym mordercy, Marcin siedział obok, walcząc ze znużeniem. Kiedy wreszcie kolorowa drukarka wypluła portret mężczyzny, musiał przyznać, że wygląda to doskonale. Znowu miał wrażenie, że patrzy w oczy replikanta z filmu Ridleya Scotta z Harrisonem Fordem w roli głównej.

Grafik zeskanował podobiznę i umieścił ją w bazie danych, żeby system rozesłał obraz do wszystkich jednostek w kraju. Przeszukali też wyszukiwarkę twarzy stworzoną przez Interpol. Brak trafień ich nie zdziwił. Taki sam wynik uzyskali w krajowej bazie osób poszukiwanych.

Marcin siedział na swoim skrzypiącym obrotowym krześle, a Karina przysunęła sobie krzesło dla gości. Wpatrywali się w kolorowy portret leżący między nimi na biurku. Spojrzała na Zakrzewskiego. Wyglądał okropnie. Był blady, miał podkrążone oczy, przekrwione białka i widać było, że walczy ze snem.

– Będziesz ze mną szczerzy? – zapytała.

Popatrzył jej w oczy, jakby nie zrozumiał.

– J-jasne.

– Dlaczego chcesz, żebym z tobą pracowała? Nie chodzi tylko o brak ludzi, prawda?

Odchylił się na krześle, założył ręce za głowę i zamknął czy. Przez chwilę myślała, że zasnął. Wreszcie z trudem podniósł powieki. Kiedy jednak się odezwał, był w pełni przytomny. Miał tylko nienaturalnie zachrypnięty głos.

– On zabija tych, którzy go widzieli – powiedział wolno, patrząc jej w oczy. – Oczywiście nie wszystkich. Nie interesują go przerażone osoby postronne, które i tak później nie potrafią zeznać niczego sensownego. Skupia się na tych, których uznaje za potencjalne zagrożenie. Szawczak widział go prawdopodobnie podczas strzelaniny w klubie dwa tygodnie temu. Nie wiem, jak zabójca znalazł Parola, ale nie odpuścił nawet w szpitalu.

– Ty też go widziałeś.

– Tak. – Uśmiechnął się pod nosem, ale był to grymas bez śladu radości. – Nawet z bardzo bliska.

– Ale dlaczego... – zaczęła Karina i nagle zrozumiała. – Ja też go widziałam.

Marcin nie odpowiedział, tylko głęboko westchnął. Poczwała rozczarowanie.

– Załatwiłeś mi przeniesienie do wydziału kryminalnego, żeby mnie chronić?

– Dlaczego zabójca w szpitalu się pomylił i wszedł do pustego pomieszczenia? – odpowiedział pytaniem.

– Był nieostrożny. Uderzył bez rozpoznania. Wyciągnął pochopne wnioski, bo siedziałam po drugiej stronie korytarza.

– Dlaczego właśnie tam?

– Pomyślałam, że tak będzie lepiej.

– Skąd wiedziałaś, że przyszedł morderca?

– Wyglądał inaczej niż lekarze.

Marcin pokiwał głową.

– Masz instynkt rasowego gliny – mruknął. – Dlatego chcę z tobą pracować.

Karina uważnie się w niego wpatrywała. Jeśli udawał w tym stanie fizycznym i psychicznym, musiałby mieć talent aktorski na miarę Oscara. Dlatego uznała, że mówi prawdę.

– Coś dziwnego było z jego rękami – stwierdziła.

W przekrwionych oczach Zakrzewskiego pojawił się błysk zainteresowania.

– Na dłoniach miał lateksowe rękawiczki, od razu to zauważyłam. Już wtedy pomyślałam, że jego nadgarstki są jakieś dziwne. Myślałam, że to tatuaże. Kiedy podniósł ręce, rękawy odsłoniły więcej. Tylko wtedy te cholerne drzwi zaczęły się zamykać. Miałam najwyżej ułamek sekundy.

– Co widziałaś?

– Teraz myślę, że nie chodzi o tatuaże, ale o... blizny.

Zakrzewski zmarszczył czoło.

– Blizny? Po oparzeniach?

– Nie. Wyglądały inaczej. Podłużne, postrzępione, ze śladami szycia. Jak po głębokich cięciach nożem.

– To może być bardzo ważne. Niewiele osób ma blizny.

– Szczególnie takie, w życiu nie widziałam tak strasznych blizn.

Musieli przerwać rozmowę. Drzwi się uchyliły i do pokoju wsadził głowę dyżurny.

– Zakrzewski, szef cię wzywa.

– Nie mogę teraz – odpowiedział niechętnie Marcin.

– Godlecki powiedział, że masz się u niego stawić natychmiast. W tajemnicy powiem ci tylko, że jest u niego jakiś facet. Nikt z naszych.

Marcin wstał ociężale.

– Poczekaj na mnie – rzucił do Kariny i wyszedł za dyżurnym na korytarz.

*

Dobrze zbudowany mężczyzna po czterdziestce, blondyn o masywnej szczęce boksera, już na pierwszy rzut oka nie wzbudzał zaufania. Kiedy Marcin wszedł do pokoju, tamten nie przedstawił się ani nie odezwał. Stał oparty o parapet znajdującego się po prawej stronie okna i z ciekawością patrzył na wchodzącego. Marcin obrzucił go szybkim spojrzeniem i usiadł przed biurkiem Godleckiego. Szef wydziału kryminalnego komendy wojewódzkiej policji wyglądał na zdenerwowanego. Perlisty pot zbierał się na jego łycej czaszce. Inspektor Godlecki miał sporą nadwagę, a jednak zawsze chodził w koszulach z zapiętym kołnierzykiem. Patrząc na guzik pod jego brodą, Marcin zaniepokoił się, czy nitka nagle nie pęknie, a guzik nie wystrzeli z impetem i nie trafi go w oko.

Spodziewał się, że rozmowa będzie dotyczyła przyspieszenia śledztwa. Być może blondyn miał pomóc. Lecz takich słów szefa się nie spodziewał.

– Odbieram ci sprawę.

– Słucham? – Zakrzewski w pierwszej chwili nie zrozumiał.

– Odbieram ci sprawę – powtórzył Godlecki. – Nie jest w naszej jurysdykcji.

Marcin był bardzo znużony. Musiało minąć kilka sekund, zanim dotarło to do niego.

– Nie możesz mi tego zrobić – powiedział twardo. – Wczoraj morderca strzelał do policjanta, a dzisiaj chciał go zabić w szpitalu. Ten policjant jest moim partnerem i walczy o życie.

– To nieistotne – uciął oschle Godlecki. – Od tej chwili ani ty, ani ta nowa koleżanka, aspirant Buczko, nie zajmujecie się tą sprawą. Przejmujesz śledztwo dotyczące zabójstwa Wiktorii Nowak.

– Nie możesz mi wydać takiego rozkazu.

– Właśnie go wydaję. Jeśli się nie zastosujesz, zawieszę cię.

Zakrzewski poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Z trudem opanował wściekłość.

– No to możesz mnie od razu zwolnić – wycedził przez zęby. – To będzie jeden z ciekawszych newsów w mediach, oczywiście zaraz po postępach w śledztwie dotyczącym zabójcy ze szpitala.

Wyraźnie widać było, że Godlecki blednie, a mięśnie jego szczęki i szyi napinają się niebezpiecznie. Marcin odruchowo usunął się z linii strzału guzika od koszuli. Na szczęście inspektor opanował nerwy. Ruchem głowy wskazał stojącego w bezruchu blondyna.

– To jest major Sochacki z Centralnego Biura Śledczego Policji. Właśnie przyleciał śmigłowcem z Warszawy. To śledztwo CBŚ prowadzi wspólnie z ABW.

Dopiero teraz Sochacki się poruszył. Opuścił ręce i Marcin wyraźnie zobaczył na jego czarnej koszulce zarys umięśnionej klatki piersiowej – na pewno efekt wieloletniej pracy na siłowni.

– Przepraszam, że się wtrączę, panie inspektorze. – Miał miły, miękki głos niepasujący do potężnej postaci. – Chyba trochę źle zaczęliśmy tę rozmowę, prawda, komisarzu? Marcin skrzyżował z nim spojrzenie. Niebieskie oczy patrzyły spokojnie i wzbudzały zaufanie. Mimo to zachował czujność.

– J-jasne – burknął.

– Może spróbujemy od początku. Kamil Sochacki, CBŚ.

Marcin z ociąganiem uścisnął jego wyciągniętą dłoń.

– Zakrzewski, policja.

– Panie inspektorze, czy mogę z komisarzem porozmawiać na osobności?

Godlecki zrobił taki gest, jakby zamierzał wstać i wyjść z gabinetu, ale Sochacki skierował się do drzwi. Marcin poszedł za nim w kierunku schodów. Zeszli kilkanaście stopni i stanęli na półpiętrze.

– Sporo o tobie słyszałem, Zakrzewski – zaczął major.

– Ja o tobie wcale.

Blondyn się roześmiał.

– To dobrze, nie lubię być na pierwszym planie.

– Czego chcesz? – zapytał Marcin nieszczerólnie przyjaźnie.

– Ten skurwysyn, który postrzelił ci kolegę, to Satyr – wyjaśnił Sochacki. – Wspólnie z ABW ścigamy go od dziesięciu lat. To najbardziej nieuchwytny zabójca, z jakim kiedykolwiek mieliśmy do czynienia. Nie wiemy, jak się naprawdę nazywa, nie wiemy, skąd się wziął. Mamy kilka filmów z kamer monitoringu z miejsc, w których dokonywał egzekucji, do tego kilka portretów pamięciowych – niektóre nawet niezłe. Trochę materiału DNA z miejsc zbrodni, ale nie mamy go z czym porównać. Facet nie figuruje w żadnej bazie danych. Odciski palców fragmentaryczne.

– Niewiele jak na tyle lat śledztwa – zauważył Marcin.

– Gość jest niesamowity. Potrafi zniknąć na kilka lub kilkanaście miesięcy, potem nagle pojawia się w innym miejscu w kraju, tak jak teraz tutaj. Za każdym razem zachowuje skrajną ostrożność i nie zostawia śladów. Człowiek widmo.

– Skąd wiecie, że teraz to też on?

– Nikt inny w ten sposób nie działa.

Marcin milczał, więc Sochacki mówił dalej:

– Ścigam go już trzy lata. Śledztwo trafiło do mnie, kiedy pojawiły się przecieki, że jest zlecenie na jednego z ministrów. Okazało się, że grupa przestępcza z Gdańska oferuje spore pieniądze i prawdopodobnie znalazła wykonawcę. Mieliśmy tam informatora. Wystarczyło jedno słowo, żeby postawić wszystkie służby na nogi –

Satyr. Wtedy połączyliśmy siły z Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Włączył się nawet kontrwywiad wojskowy. Poszła plotka, że Satyr był w rosyjskim specnazie, że ma ścisłe powiązania z ich FSB i cholera wie z kim. Jedno ze źródeł w kontrwywiadzie twierdzi, że Satyr walczył w specjalnym oddziale likwidacyjnym specnazu podczas pierwszej i drugiej wojny w Czeczenii. Podobno wstawił się wyjątkowym okrucieństwem. Czytałem notatkę, nie była zweryfikowana, ale osobiście uważam, że w każdej plotce jest ziarno prawdy. Satyr mógł się szkolić w specnazie na Wschodzie. Być może im się potem urwał albo nadal jest ich człowiekiem do zadań specjalnych. Czasem mam wrażenie, że nie jest możliwe, by działał w pojedynkę. Musi mu pomagać ktoś potężny.

– I co z tym zleceniem na członka rządu?

– Po kilku dniach Satyr się wycofał, a oni nie zdążyli już znaleźć nikogo nowego. Zwinęliśmy ich. Głównie ze względu na kontakt z Satyrem.

– I co?

Sochacki uśmiechnął się niewesoło.

– Niewiele. – Pokręcił głową. – Znaleźli go w głębokim Darknecie, nikt go nie widział, nikt z nim nie rozmawiał. Właściwie on ich znalazł.

– Dlaczego się wycofał?

– Nie jest szalony – odrzekł major. – Zabicie ministra w rządzie średniej wielkości europejskiego kraju wiąże się z grubą aferą.

– Jeśli w ogóle jest możliwe.

Sochacki popatrzył na Marcina z krzywym uśmiechem.

– Satyr byłby do tego zdolny – powiedział. – Osobiście uważam, że uznał zlecenie za zbyt niebezpieczne. Koledzy z ABW twierdzą, iż akurat wtedy służbom ze Wschodu zależało na zachowaniu równowagi politycznej w naszym kraju i dostał zakaz. Już wiesz, dlaczego nie możesz zająć się tą sprawą?

– Jestem za mały?

Oficer CBS pokiwał głową.

– Można tak powiedzieć. Rozumiesz, że wszelkie uzyskane ode mnie w tej chwili informacje są ściśle tajne i musisz zachować je dla siebie.

– J-jasne – powtórzył Marcin w zamyśleniu. – Ciągle nie chce mi się wierzyć, że przez tyle lat go nie złapaliście.

– Sprząta po sobie – odpowiedział krótko Sochacki.

– Świadców też?

Major spoważniał. Zastanawiał się przez moment.

– Tak, świadków też.

Zakrzewski uśmiechnął się ironicznie.

– Policjantka ze szpitala widziała tego waszego Satyra. Potencjalnie jest dla zawodowego mordercy bardzo łatwym celem. Ja też go widziałem. Mam się czuć zagrożony?

– Posłuchaj, Zakrzewski. Satyr nie działa nieracjonalnie. W przeszłości zniknął, kiedy tylko coś poszło nie po jego myśli albo kiedy czuł, że jesteśmy blisko. Po takiej spektakularnej strzelaninie w szpitalu zniknie na długo. Możesz mi zaufać.

– Jakoś ci nie ufam. Po strzelaninie na Drzewieckiego nie zniknął, tylko kilka godzin później pojawił się w szpitalu, żeby dokończyć robotę.

– Ściganie tej policjantki byłoby czystym szaleństwem. Satyr jest wyjątkowo ostrożny i nie działa nieracjonalnie.

Marcin słuchał go, kręcąc głową.

– Gównu wiesz – podsumował.

Sochacki popatrzył na niego niechętnie.

– Przecież nie możemy wam dać zbrojnej obstawy. Tego się nie da tak szybko załatwić. Poza tym niepotrzebny szum zaszkodziłby śledztwu.

Marcin zająrzył mu głęboko w oczy i nagle zrozumiał.

– Dacie nam ogon. – Raczej stwierdził, niż zapytał.

Major nie odpowiedział.

– Od kilku minut opowiadasz mi, jaki ten Satyr jest niezwykły i piekielnie niebezpieczny, a teraz chcesz objąć nas obserwacją.

Satyr ma się przestraszyć tajniaków, którzy będą za nami łazili krok w krok?

– Moi ludzie są profesjonalistami.

– J-jasne. W tym, co mówisz, nic się nie trzyma kupy.

Sochacki chwycił go za ramię.

– Zakrzewski, słyszałem, że jesteś zajebistym śledczym. Lubię cię. Dlatego proszę, żebyś trzymał się od Satyra z daleka. Wiem, że prawie zabił ci kolegę, ale zostaw to nam. Jak będziesz się mieszał, kilka lat pracy wielu osób może pójść w diabły.

Marcin odsunął się pół kroku do tyłu. Ręka Sochackiego zawisła w powietrzu. Minęli ich dwaj funkcjonariusze prowadzący skazanego skutego łańcuchem. Dopiero kiedy konwój się oddalił, Marcin odezwał się cicho:

– Nie będę się mieszał.

Major Sochacki wyszczerzył w uśmiechu białe zęby.

– Wiedziałem, że się dogadamy jak gliniarz z gliniarzem. Aha, usunęliśmy ten portret pamięciowy Satyra z policyjnych baz danych.

– Skinął mu głową i ruszył w kierunku schodów na górę.

– Sochacki!

Major odwrócił się i spojrzał pytająco.

– Wiecie o bliznach? – spytał Marcin.

Twarz tamtego stężała, w głosie pojawiła się nuta ostrożności.

– O czym ty mówisz?

– Satyr ma na rękach paskudne blizny. Policjantka widziała je tylko na nadgarstkach, ale niewykluczone, że są większe.

– Poparzenia?

– Wyglądają na głębokie cięcia nożem zszyte chałupniczym sposobem.

Sochacki pokiwał głową.

– Dziękuję, to cenne informacje. – Wyjął z kieszeni kartonik i wcisnął go Marcinowi do ręki. – To moja wizytówka z numerem telefonu. Zadzwoń, jak sobie przypomnisz coś jeszcze.

Odwrócił się i już go nie było.

Rozdział 26

Komisarz Marcin Zakrzewski uciekał, gonił, oglądał słoiki z obciętymi dłońmi zakonserwowanymi w formalinie, kopał dół koło kościoła w Szczepanowie. Wreszcie otworzył oczy.

Nie wiedział, gdzie jest. Nienawidził takich przebudzeń. Czarna dziura w pamięci, wszystkie sposoby na zmuszenie umysłu do pracy spełzają na niczym. Jego nozdrza łechtał cudowny aromat kawy dochodzący z sąsiedniego pomieszczenia. Właśnie ten aromat wyciągnął go z krainy sennych koszmarów. Zakrzewski potrzebował solidnej dawki kofeiny.

Spojrzał w bok i natychmiast skrzywił się z bólu. Mięśnie karku miał tak zdrętwiałe, że każdy ruch powodował ostry ból. Spał w fotelu, w koszmarnej niewygodnej pozycji. Obok stało duże łóżko z rozgrzebaną pościelą. Przez otwarte okna wraz z odgłosami ulicy wpadało do środka ostre światło słoneczne. Nie poznawał tego pokoju.

Usiadł z westchnieniem, rozmasowując bolący kark.

– Nalać ci kawy? – dobiegł go kobiecy głos z kuchni.

– Tak, poproszę – odpowiedział ochrypłym głosem.

Zaczynał sobie coś przypominać. Odwiózł motorem Karinę Buczko do jej mieszkania w kamienicy na Roosevelta. Poprosiła, żeby ją odprowadził. Dalej miał lukę w pamięci.

Wstał, przeciągnął się i poczłapał do kuchni.

Karina ugotowała kawę i właśnie precedzała ją przez papierowy filtr do dwóch wielkich kubków. Na jego pytające spojrzenie ruchem głowy wskazała drzwi do łazienki.

Po dwóch minutach wrócił i usiadł naprzeciw niej przy stole. Sięgnął po kubek i pociągnął spory łyk, parząc sobie wargi. Kawa była wyśmienita. Dawno nie pił tak dobrej.

– Co się właściwie stało? – zapytał.

– Odwiozłeś mnie, poprosiłam, żebyś na chwilę wszedł. Powiedziałeś, że chyba nareszcie zachciało ci się spać, i w dwie sekundy usnąłeś w fotelu – wyjaśniła.

– Przepraszam. Zazwyczaj kontroluję, gdzie kładę się spać.

Uśmiechnęła się jakby smutno.

– Nie ma sprawy. Dzięki temu czułam się trochę bezpieczniej.

– Naprawdę? W tym stanie nie zbudziłaby mnie nawet salwa armatnia.

– Wiesz, o co mi chodzi.

Przyjrzał się jej uważnie.

Ubrana była w obszerną koszulkę i obciste legginsy. Włosy miała rozpuszczone, na czole ten sam plaster z opatrunkiem. Siedziała na krześle z podkurczonymi nogami, obejmując ramionami kolana. Na stole przed nią, obok kubka z kawą, leżał odbezpieczony walther P99.

– Spałaś tej nocy? – rzucił.

– Niewiele.

– Tak chrapałem?

Uśmiechnęła się lekko, ale jej uśmiech zaraz zgasł.

– Za dużo się wczoraj stało. Musiałam sobie pewne rzeczy poukładać w głowie.

Sięgnął po pistolet i zabezpieczył go.

– Tak będzie lepiej – powiedział.

Milczała.

Marcin napił się kawy i poczuł, jak ciepło dociera do żołądka. Z każdą chwilą jego umysł pracował sprawniej.

– Która godzina? – Rozejrzał się po kuchni w poszukiwaniu zegara.

– Kwadrans po dziewiątej. Dzwoniłam już do firmy, że będziemy później.

Marcin przypomniał sobie o telefonie. Leżał rozładowany na stoliku w pokoju. Karina pożyczyła mu ładowarkę i kiedy tylko aparat załogował się w sieci, natychmiast zaczęły przychodzić wiadomości o nieodebranych połączeniach i SMS-y.

– Twoja kobieta musi się o ciebie strasznie niepokoić – zażartowała.

– Nie mam kobiety.

– A pani komisarz Czerny? Różne plotki o was chodzą.

– Na przykład jakie?

– Że nie możecie bez siebie żyć.

– Prawda jest bardziej banalna niż plotki. Próbowaliśmy i nam nie wyszło.

Zamyśliła się nad kawą. Marcin po raz kolejny stwierdził, że jest bardzo ładna. Ile mogła mieć lat? Trzydzieści dwa, trzydzieści pięć?

– A ty masz kogoś? – zapytał i już wiedział, że trafił w sedno.

– Mój wieloletni związek właśnie się zakończył – odpowiedziała z kpiącym uśmiechem na ustach. – To dopiero banał!

Zakrzewski spojrzał w jej zielone oczy.

– To była kobieta, prawda?

– Przed słynnym komisarzem Zakrzewskim nic się nie ukryje. – Popatrzyła na niego prawie wyzywająco. – Tak, to była kobieta. Przeszkadza ci to?

– Nie.

Wytrzymał jej prowokujące spojrzenie i po chwili Karina oklapła.

– Nie mów w firmie, proszę. Ukrywam się. Policja to głównie szowinistyczni faceci. Nie wiem, jak by zareagowali, gdyby się dowiedzieli. Pewnie byłabym skończona.

– Nie powiem.

Pili w milczeniu kawę. Marcin patrzył na okno za jej plecami. Było jakieś dziwne. Miało mlecznobiałe szyby i staroświeckie zasłonki.

Parę razy zdawało mu się, że widział, jak z drugiej strony porusza się jakiś cień.

– Dokąd prowadzi to okno? – zainteresował się.

– Na korytarz – wyjaśniła i dodała, widząc jego zaskoczone spojrzenie: – Wszyscy się dziwią.

– Jak ona ma na imię? – zmienił temat.

Znieruchomiła na chwilę.

– Andżelika.

Nie wiedziała, jak to się stało, ale zaczęła się zwierzać facetowi, którego znała dotąd tylko z widzenia. Na dodatek policjantowi.

– Odkąd pamiętam, bardziej podobały mi się kobiety. Lubie przystojnych mężczyzn, ale nigdy nie pociągali mnie fizycznie. Pierwszy raz zakochałam się w liceum w koleżance z równoległej klasy. Szybko też nauczyłam się ukrywać takie uczucia. Wiesz, o co chodzi... Potem miałam kilka przelotnych romansów. – Dołała kawy do kubków i znowu usiadła na krześle w takiej samej pozycji jak poprzednio. – Nie przypuszczałam, że będę z kimś w dłuższym związku. Dopóki nie poznałam Andżeliki. Ona przede mną miała samych facetów. Potem się w sobie zakochałyśmy. Zawsze podejrzewałam, że to nie potrwa długo i Andżelika zatęskni za mężczyzną, ale lata mijały i nic się nie działo.

– I straciłaś czujność – wtrącił.

– Nigdy tak o tym nie myślałam, ale masz rację. Straciłam czujność. Andżela zostawiła mnie dla innej kobiety. Cholerna ironia losu.

– I to cię najbardziej zabolalo?

Milczała, ale wiedział, że znowu trafił. Nagle Karina wyprostowała się na krześle.

– On wróci, prawda? – zapytała.

– Nie wiem. Sochacki ściga go od dawna, zdążył poznać jego nawyki i zwyczaje. Twierdzi, że po tych dwóch porażkach Satyr zniknie na dłuższy czas. Tak przynajmniej działo się do tej pory. Kiedy tylko policja była zbyt blisko, przepadał jak kamień w wodę.

– A teraz policja jest blisko?

Popatrzył jej w oczy znad kubka.

– Nie wiem. Nie mam powodów, żeby kwestionować słowa Sochackiego, ale...

Zawiesił głos i się zamyślił. Przy stole zapanowała cisza. Po korytarzu za oknem ktoś przeszedł, prowadząc na smyczy głośno szczekającego psa.

Wreszcie Marcin przerwał milczenie i opowiedział jej o swoim spotkaniu z zabójcą. Karina słuchała, wpatrując się w niego w napięciu.

– Powiedział coś, co mocno wryło mi się w pamięć. Że jesteśmy tacy sami, mamy naturę łowców. Od tej chwili nie daje mi spokoju jedna myśl: a jeśli miał rację? Może ja też jestem socjopatą, tylko ustawiłem się po drugiej stronie barykady? On poluje na ludzi, ja poluję na takich jak on.

– Musisz być od nich lepszy. Inaczej żadnego byś nie złapał.

– No właśnie. Czyli psychicznie jesteśmy tak samo skrzywieni. On czerpie satysfakcję z polowania na ludzi, a mnie podnieca polowanie na tych, którzy polują na ludzi. Po tamtym spotkaniu postanowiłem spróbować myśleć jak on. I wiesz, co jest najbardziej niepokojące?

Pokręciła głową.

– To nie jest takie trudne. On stawia się w pozycji myśliwego i zabijanie go kręci. Jest uzależniony od adrenaliny towarzyszącej polowaniu. Nie ma innego życia, jest tylko myśl o kolejnych, jeszcze bardziej efektywnych i niebezpiecznych łowach. To jak wielokrotna jazda na kolejce górskiej. Za pierwszym razem dostajesz potężnego emocjonalnego kopa, po dziesiątym emocje są coraz słabsze. Przychodzi rozczarowanie i pragnienie przeżycia czegoś tak ekscytującego, jak za pierwszym razem. Wtedy zaczyna się szukać innej górskiej kolejki – bardziej ekstremalnej i szybszej. Człowiek się zapętla i trudno się z tego wyrwać. Wiesz, co się dzieje ze mną, kiedy prowadzę śledztwo?

Znowu przeczący ruch głową.

– Przestaję mieć prywatne życie. Nie dzwonię do rodziców, nie spotykam się ze znajomymi, nie oglądam telewizji, nie słucham muzyki. Myślę o pracy. Kiedy jestem pod prysznicem, kiedy myję zęby, kiedy kładę się spać, kiedy piję kawę o poranku. Jeśli w ogóle uda mi się przespać kilka godzin. Nienawidzę tego, a jednocześnie to kocham. Napędza mnie adrenalina. Kiedy śledztwo się kończy, jestem na głodzie. Miotam się i nie mogę znaleźć sobie miejsca. Wiesz, o czym wtedy marzę? Oczywiście nie przyznaję się do tego, ale marzę o kolejnym, jeszcze bardziej skomplikowanym śledztwie. O śledztwie, które przyniesie mi jeszcze większą dawkę rozkoszy i na samym końcu euforię, kiedy złapię sprawcę. Czym się od niego różnię? – Uśmiechnął się ponuro i dopił resztkę kawy.

– To dlatego wam nie wyszło – odezwała się.

– Słucham? – Nie zrozumiał.

– Z Pauliną Czerny. Kiedy zaczynałeś pracować, nie było dla niej miejsca w twoim życiu?

– Chyba tak.

Milczeli pogrążeni we własnych myślach.

– Już raz spotkałem się z seryjnym zabójcą oko w oko. Podobnie jak teraz. Wtedy też mnie puścił.

– Dlaczego?

– Nie opłaca się zabijać głównego śledczego. – Roześmiał się. – Zabawa robi się mniej podniecająca. Przecież trzeba pokazać tępym glinom, kto tu jest bardziej inteligentny i przebiegły. Zasada stara jak świat.

Znowu ktoś przeszedł korytarzem za białą szybą.

– I co teraz robi Satyr? – zapytała. – Jest za dużo świadków, żeby czuł się bezpiecznie. Nie zniknie, prawda?

– Tak.

– Ciekawe, o czym on teraz myśli.

Zakrzewski podrapał się po karku. Mocna kawa rozjaśniła mu umysł.

– Jest zdziwiony – stwierdził.

Patrzyła na niego w milczeniu. W jej oczach dostrzegł strach.

– Jest zdziwiony i zły. Przez szereg niesprzyjających zbiegów okoliczności zawalił dwie akcje. Moim zdaniem on nie odpuści. Myślę, że likwidacja świadków zeszła na drugi plan. Teraz chodzi o przełamanie złej passy. On musi sprawdzić, czy los mu jeszcze sprzyja, i to szybko. Tak jak poprzednio, zadziała z zaskoczenia. Nie da policji nawet chwili do namysłu.

– Ty wymogłeś na szefie ochronę Parola w szpitalu – zauważyła.

– Gdyby sprawa poszła normalnym trybem, mogłoby minąć kilka godzin, zanim policja zjawiałaby się pod jego drzwiami.

– Owszem.

Sięgnęła do leżącego na stole walthera, ale cofnęła rękę.

– Nie mogę się czuć bezpieczna – mruknęła. – Kurwa, w co ja się wpakowałam!

Wstała gwałtownie, poszła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Marcin został sam. Był na siebie zły za tę szczerą do bólu. Ale naprawdę tak myślał. Karina znalazła się w niebezpieczeństwie. Powinna być tego świadoma i ostrożna.

Wróciła z łazienki i Marcin od razu zauważył zmianę. Opanowała zdenerwowanie i wyglądała na zdecydowaną. Popatrzyła na niego śmiało.

– Nie mogę się wечно ukrywać – oświadczyła. – Chcę być przynętą. Zastawimy na niego pułapkę.

– Gdzie?

– Tu, w moim mieszkaniu.

Pokręcił głową.

– Według słów Sochackiego Satyr był w rosyjskim specnazie, walczył w oddziale specjalnym na wojnie w Czeczenii – rzucił. – To doskonale wyszkolony i śmiertelnie niebezpieczny przeciwnik. Nie możemy cię narażać. To się nie uda.

– Zaproponujemy układ Sochackiemu. On ma odpowiednich ludzi.

Marcin milczał. Najpierw pojawiła się pokusa. Już nawet planował, gdzie rozstawić ekipę, jak zorganizować ochronę, kogo ściągnąć do

pomocy. Potem przyszło otrzeźwienie.

– Nie mogę się na to zgodzić.

– Marcin, jeśli powiesz mi teraz, że Satyr do mnie nie przyjdzie, zapomnimy o tym pomysle.

Nie mógł jej tego zagwarantować. Wzruszył ramionami.

– W takim razie chcę być przynętą.

Marcin sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął z niej plik pomiętych banknotów pomieszanych z paragonami ze sklepów. Pomiędzy tym wszystkim tkwiła wizytówka, którą dostał od Sochackiego. Chwilę się w nią wpatrywał, wreszcie wstał i poszedł po telefon.

*

Spotkali się w Bema Café. O tej porze lokal był pusty. Usiedli przy stoliku w najdalszym kącie i rozmawiali przytłumionymi głosami. Zza okien dochodził jednostajny szum przejeżdżających ulicą Drobnera samochodów. Sochacki zamówił kawę i kawałek ciasta czekoladowego, ale nawet go nie tknął, z taką uwagą słuchał Zakrzewskiego. Marcin pił kawę, a Karina siedziała obok, wyglądała na nieobecna duchem.

Kiedy Marcin skończył, Sochacki odchrząknął.

– To szaleństwo, nie mogę się na to zgodzić – powiedział.

– Dostajesz Satyra na tacy – mruknął Marcin. – Drugiej takiej szansy możesz nie mieć.

– Moi przełożeni się nie zgodzą.

– W raporcie napiszesz, że działałeś w stanie wyższej konieczności.

Sochacki prychnął.

– Zakrzewski, takiej akcji nie mogę przeprowadzić bez akceptacji zwierzchników. Jeśli coś pójdzie nie tak, mogę pożegnać się z pracą i jeszcze będę miał zarzuty prokuratorskie. To nie jest cholerna partyzantka.

– Istnieje zagrożenie życia dwójki policjantów. – Marcin nie odpuszczał. – Musisz dać im na kilka dni ochronę. Bardzo dobry pretekst. Nikt ci nie powie złego słowa. Zadzwoń do kolegów z ABW i ściągniesz ich do pomocy. Jeśli wszystko się uda, nikt nie będzie pytał, dlaczego byliście na miejscu tak liczną ekipą.

Sochacki zaczął się wahać. Spojrzał na milczącą Karinę.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – zapytał.

– A mam inne wyjście? – odpowiedziała pytaniem. – Nie mogę wiecznie oglądać się za siebie.

– Moim zdaniem Satyr nie będzie już próbował.

– Będzie – rzuciła z przekonaniem. – Choćby dlatego, że ty myślisz inaczej.

– Nie wie, kim jesteś i gdzie mieszkasz.

– Parola znalazł.

– Ale zajęło mu to kilka dni. A teraz każdy dzień zwłoki to dla niego coraz większe ryzyko wpadki.

– Jakie ryzyko? – Marcin się roześmiał. – Przecież i tak nie wiecie, gdzie go szukać.

– Prowadzimy intensywne śledztwo, w każdej chwili może być przełom.

– Takie teksty możesz wciskać dziennikarzom, ale nie kolegom po fachu.

Major pogrzebał widelczykiem w cieście. Zastanawiał się.

– Nie mogę na długo angażować dużej liczby ludzi i sprzętu – stwierdził wreszcie.

– Maksymalnie cztery dni – powiedział Zakrzewski.

– Pojawi się tak szybko? – Major spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– Pomożemy mu.

– O czym ty mówisz?

– Damy ogłoszenie w telewizji ogólnopolskiej.

Na początku Sochacki wziął te słowa za żart, jednak uśmiech szybko zamarł mu na wargach.

Rozdział 27

W pokoju panował półmrok rozświetlony jedynie przez blady ekran włączonego laptopa. W fotografii na ekranie było coś magicznego. Mężczyzna na zdjęciu zsiadał z motocykla. To była sportowa honda, model sprzed dwóch albo trzech lat. Trochę ponad sto kilogramów masy i liczba koni mechanicznych, która maszynę wraz z kierującym rozpędzała do stu kilometrów w trzy sekundy. Ktoś, kto jeździł takim smokiem, musiał mieć w duszy pierwotną dzikość, która napędza każdego drapieżnika. Superdrapieżnika.

Fotograf złapał motocyklistę w ruchu, dlatego zdjęcie nie było ostre. Dawało się jednak uchwycić szczegóły: wytarte dżinsy, czarna koszulka z napisami, nieco przydługie, jasne włosy, kask motocyklowy stylizowany na trupa czaszkę.

Satyr stał przy oknie wpatrzony w burzowe chmury, ale przed oczami cały czas miał tę fotografię. Był coraz bardziej zafascynowany komisarzem Marcinem Zakrzewskim. Kiedy od anonimowego researchera dostał materiały o Zakrzewskim, najpierw przejrzał zdjęcia. Był wstrząśnięty. Jakby oglądał swoje fotografie zrobione w świecie równoległym, gdzie żyje innym życiem i nie ma pojęcia, że istnieje inny Satyr, Satyr – zabójca na zlecenie. Długo układał sobie wszystko w głowie, zanim usiadł do krótkiej notki sporządzonej przez researchera i załączonych do niej plików zawierających wycinki z gazet i zrzuty z internetowych portali informacyjnych.

I znowu przeżył szok. Znowu wydawało mu się, że czyta o sobie. Czy tak właśnie jest, kiedy drapieżnik spotyka na swojej drodze

drugiego drapieżnika, równego sobie?

Potem przyszedł niepokój, który przerodził się w nieznane dotąd Satyrowi uczucie. Strach. Po raz pierwszy zrozumiał, co czują jego ofiary, patrząc w zimną i bezlitosną lufę pistoletu wycelowanego w twarz. To było dla niego jak porażenie prądem.

W pierwszych godzinach po ucieczce ze szpitala chciał zniknąć. Kiedy jednak przejrzał materiały o Zakrzewskim, zmienił zdanie. Musiał bliżej poznać swoje alter ego żyjące w równoległym świecie. Musiał się z nim zmierzyć. Napędzała go jedna obsesyjna myśl. Co będzie, jeśli pokona innego drapieżnika? Czy posiada jego moc i stanie się jeszcze silniejszy? Nie mógł przepuścić takiej okazji.

Po kilku godzinach, kiedy otrząsnął się z dziwnych myśli, uznał, że jest jeszcze jeden powód, dla którego pozostanie tu jakiś czas. Musiał się przekonać, czy ostatnie dwa niepowodzenia były tylko nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, czy może zmieniały się w stałą tendencję.

Z rozmyślań wyrwały go odgłosy dochodzące z piwnicy. Niechętnie poszedł w kierunku schodów i ruszył w dół. Kiedy stanął przed drzwiami zabezpieczonymi metalową sztabą i wielką kłódką, uderzył w nie pięścią, aż echo poniosło się po całym domu. Po drugiej stronie nagle zapanowała cisza. Jakby ktoś tam się przyczaił i czekał.

– Zamknij się! – warknął głucho Satyr.

Po chwili usłyszał kroki i skrzypnięcie łożka.

Wrócił na górę, usiadł przed komputerem, zamknął zdjęcie na ekranie i jeszcze raz przeczytał notatkę o Zakrzewskim. Znów z jakiegoś powodu poczuł dziwny dreszcz. Jakieś wspomnienie próbowało się przebić na światło dzienne. Pochodziło z miejsca, do którego stracił je po długiej walce z samym sobą. Z piekła wspomnień.

I jeszcze jedno zaskakujące uczucie. Ból. Ale nie ten fizyczny. Z tym przez lata samookaleczania umiał sobie doskonale poradzić.

Ten inny ból rodził się gdzieś w środku głowy i promieniował na całe ciało.

Co się z nim działo? Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć. Może oni będą umieli, kiedy się znowu pojawią.

– Kim ty jesteś, Zakrzewski? – powiedział głośno.

Najpierw jego głos rozszedł się echem po pokoju, w którym stały tylko stół, krzesło i polowe łóżko. Potem ze wszystkich ciemnych zakamarków pokoju do jego uszu zaczęły napływać odpowiedzi:

Diabłem!

Aniołem!

Tobą!

Nim!

Sumieniem!

Grzechem!

Wyrzutem!

Karą!

Śmiercią!

– Dość! – wrzasnęła, żeby zagłuszyć głosy z ciemności.

Znowu zapanowała cisza przerywana tylko odległymi pomrukami burzy dochodzącymi zza uchylonego okna.

Musiał wyrównać oddech i wyciszyć nerwy. Chyba nawet w piwnicy słychać było jego krzyk, bo najpierw dobiegł go zduszony skowyt, a później płacz.

Usiadł na jedynym krześle w pomieszczeniu, ciągle jeszcze zszokowany. Stracił panowanie nad sobą!

Sięgnął do laptopa i otworzył wyszukiwarkę internetową. Dawno nie zaglądał do normalnego Internetu. Nie interesowało go, co się dzieje na świecie, czy aktualnie toczą się wojny, czy ludzie głodują, czy żyją w dobrobycie, jakie mają problemy, jakie są preferencje wyborcze. Nie był obywatelem żadnego kraju, chociaż miał wiele paszportów. Wszystkie doskonale podrobione. Nie był obywatelem Polski. Nawet nie wiedział, jak się naprawdę nazywa. Czy

kiedykolwiek wiedział? Być może. Może jeden z paszportów wciąż jest tym właściwym, tylko on już zapomniał, który.

W wyszukiwarce wpisał imię i nazwisko. W ułamku sekundy na ekranie wyświetliło się kilkanaście trafień. Głównie artykuły z prasy lokalnej, właściwie dokładnie te same materiały, które przygotował mu researcher. Tylko że wyglądały trochę inaczej, kiedy sam wyświetlił je na ekranie.

Satyr przebiegał wzrokiem teksty i czuł się coraz dziwniej. Jakby już gdzieś o tym słyszał, wieki temu. Ale to mogło być tylko złudzenie.

Szybko zdał sobie sprawę z tego, że Internet powiela ciągle te same informacje, klonuje je w dziesiątkach egzemplarzy, stając się największym śmietniskiem utworzonym kiedykolwiek przez ludzi.

Kliknął link na dole strony. Nigdy w życiu nie oglądał w takim skupieniu żadnego filmu. Potem długo patrzył w końcowe napisy, na których zatrzymał obraz. Zaginiony brat Zakrzewskiego, seryjny morderca, opuszczony dom w Szczepanowie, w którym rozegrał się ostatni akt dramatu – pojedynek policjanta z mordercą. Pojedynek dwóch śmiertelnie niebezpiecznych drapieżników. Wygrał ten lepszy – policjant. Dzięki temu stał się jeszcze groźniejszy i jeszcze silniejszy. Satyr poczuł dreszcz na myśl o nieuniknionym starciu.

Potem jeszcze raz spojrzął na ekran laptopa i nazwisko twórcy filmu. Justyna Kordas, TVN. Nie wiedział, dlaczego to nazwisko również go zainteresowało. Wpisał je w wyszukiwarkę. Pośród dziesiątków nieistotnych linków szybko znalazł ten właściwy: materiał o strzelaniu w szpitalu imienia Marciniaka na ulicy Fieldorfa. Niecałe cztery minuty. Zdziwiająca cztery minuty. Według niego niepasujące do niczego. Można by nawet powiedzieć, że zbędne.

Redaktorka rozmawia z policjantką. Oczywiście twarz policjantki jest rozmyta, głos trochę zniekształcony, ale Satyr od razu wie, że to policjantka ze szpitala, która stanęła mu na drodze i – nie chciał się

do tego długo przyznać przed samym sobą – pokonała go. Jego. Słynnego w kilku krajach zawodowego zabójcę.

Nagle w dole ekranu pojawił się podpis i zaraz znikł. „Aspirant Karina Buczko”. Satyr cofnął. Podpis znowu błysnął pod obrazem, jakby ktoś umieścił go przypadkowo i zaraz wykasował. Po kilku sekundach nagranie urywało się w pół zdania, sprawiając wrażenie nieobrobionego. Czyżby do Internetu wyciekły robocze telewizyjne materiały?

Satyr zamknął laptopa. Zastanawiał się nad ciągiem powiązań. Czy naprawdę można zastawić tak wyrafinowaną pułapkę? Był tylko jeden człowiek, który mógł wpaść na tak niekonwencjonalny pomysł.

Rozdział 28

Mężczyzna w zaparkowanym na ulicy Buczackiej audi a4 od dłuższego czasu wpatrywał się w ciemne okna na pierwszym piętrze i poddaszu mieszkania położonego w środku szeregowej willi. Dom miał pięć bram, w każdej znajdowały się po dwa mieszkania. Jedno, mniejsze, na parterze i drugie, dwupoziomowe. Mężczyzna doskonale znał rozkład tych mieszkań.

Teraz palił kolejnego papierosa i zastanawiał się, czy to dla niego dobrze, że w oknach nie palą się światła. Najwidoczniej Pauliny Czerny nie było w domu. Obserwował ją od dłuższego czasu i zdążył trochę poznać jej nawyki. Tego wieczoru powinna wyjść pobiegać. Miałyby wtedy około czterdziestu pięciu minut. Wystarczająco. Na pewno by sobie poradził.

Robiło się coraz później, ulica cichła, ostatni mieszkańcy wrócili już do domu z wieczornych spacerów z psami, powoli gasły światła w niektórych oknach. W innych migały niespokojne cienie rzucane przez ekrany wielkich telewizorów.

Nieobecność Pauliny to dla niego wyjątkowa okazja. Przecież nie mogło ułożyć się lepiej. Ale obleciał go strach. Czy mieszkanie na pewno jest puste? Dwa razy wysiadał z auta, obchodził cały budynek i zaglądał od drugiej strony. Tam też okna były ciemne, a drzwi na taras zamknięte. Za każdym razem wracał do samochodu.

Wreszcie wyrzucił niedopałek papierosa za okno i podjął decyzję.

Poszedł tą samą drogą co poprzednio. Obszedł budynek, wspiął się na ogrodzenie i przeskoczył na wewnętrzny dziedziniec. Pod osłoną krzaków przeszedł kilka metrów i przystanął. W tym miejscu

do ściany przykręcony był drewniany stelaż, po którym piął się bluszcz. Przez lata roślina bardzo się rozrosła i swoimi gałęziami wzmocniła konstrukcję. Mężczyzna ostrożnie, ale szybko i pewnie wspiął się po bluszczu na taras mieszkania na pierwszej kondygnacji. Tu przykucnął przy barierce i długo nasłuchiwał. Cisza. Słychać było tylko wystrzały i wybuchy dochodzące z głośników telewizora u sąsiadów. Te dwie minuty w bezruchu dodały mu pewności. Nikt go nie zauważył.

Wspiął się jeszcze wyżej, na balkonik prowadzący do dużego pokoju na poddaszu. Drzwi miały pewien feler. Doskonale o tym wiedział, ponieważ kilkakrotnie próbował je reperować, kiedy nie chciały się zamknąć. Paulina mogła w końcu naprawić drzwi, ale musiał spróbować. Wyciągnął śrubokręt i wcisnął jego koniec w szparę między drzwiami a futryną na wysokości klamki. Rozległ się trzask i zamek puścił. Znowu kilkanaście sekund nasłuchiwał. W domu panowała niczym niezmacona cisza.

Pchnął drzwi i wszedł do ciemnego pokoju. Wyjął zza paska do spodni punktową latarkę i omiółł pomieszczenie wąskim strumieniem światła. Nadal była tu pracownia fotograficzna Pauliny. Statywy, aparaty, lampy błyskowe, ekrany odblaskowe – wszystkie przedmioty sprawiały wrażenie nieużywanych. Przestała fotografować? Świat odzyskałby spokój. Może była dobrym policjantem, ale fotografikiem żadnym. Ten facet z agencji reklamowej ze stolicy, który często zlecał jej sesje i kupował od niej fotografie, był albo zdrowo walnięty, albo chciał ją przelecieć. Zresztą może już to zrobił.

Mężczyzna wiedział, że jeśli ukryła gdzieś jakieś zdjęcia, to na pewno nie tutaj. To miejsce było zbyt oczywiste i łatwe do splądrowania. Paulina zrobiła gruntowny remont mieszkania, mogła sobie przygotować wiele różnych skrytek.

Ostatnia myśl trochę go zaniepokoiła. Cholera, gdzie szukać?

Zaczął przeglądać szuflady w biurku, bez przekonania zajrzał do stojącej obok szafki.

Przełożył latarkę z ręki do ręki. Dłonie w lateksowych rękawiczkach się pocily. Nie był złodziejem, denerwował się. Może w łazience? Albo gdzieś w kuchni?

Zdażył zrobić cztery kroki.

Kopnięcie w lewe udo kompletnie go sparaliżowało. Ból był potężny. Mięsień czworogłowy uda to najcięższy mięsień w ludzkim ciele, bardzo dobrze ukrwiony. Mocne uderzenie powoduje jego natychmiastowy, piekielnie silny skurcz.

Cezary Czerny stracił orientację. Upadając, zrobił krok w tył i runął w dół. Kiedy był mniej więcej w połowie schodów, wydawało mu się, że słyszy gdzieś w górze siarczyste przekleństwa. Zdażył jeszcze tylko pomyśleć, że wpakował się w gówno po same uszy. Kiedy rąbnął głową o parkiet w pokoju, wszelkie obrazy i głosy zgasły, jakby ktoś nagle wyciągnął wtyczkę z kontaktu.

*

Granatowy passat zaparkował na niewielkim placu przy przystanku autobusowym, na skrzyżowaniu Lipnickiej i Średzkiej w Szczepanowie koło Środy Śląskiej.

Było po pierwszej w nocy. Ciemność rozpraszały uliczne latarnie, w dali słyhać było szczekanie psów. Trójka nastolatków przeszła obok, nie zwracając uwagi na samochód. Odeszli w kierunku kościoła z czerwonej cegły, efektownie oświetlonego przez odpowiednio ustawione lampy.

Dopiero po kwadransie drzwi passata się uchylily. Satyr wysiadł, rozejrzał się. Nikogo. Zamknął auto, zarzucił na ramię plecak i ruszył chodnikiem wzdłuż brukowanej ulicy Lipnickiej. Teraz nie interesowało go, czy ktoś go zobaczy. Zanim doszedł do miejsca, w którym ulica skręcała w prawo, minęły go dwa samochody. Ich opony wydawały jednostajny, drażniący odgłos, kiedy podskakiwały na kocich łbach. Satyr zwalczył chęć zatkania sobie uszu. Nerwy

miął napięte do granic wytrzymałości. Nie wiedział, dlaczego jest tak rozdrażniony.

Za zakrętem stał domek mający czasy świetności dawno za sobą. Nad gankiem świeciła żółta żarówka, okna były ciemne. Najwidoczniej domownicy położyli się już spać. Przystanął na chwilę przed furtką. Zamknięta była tylko na zasuwę, która poddała się bezszelestnie, kiedy pociągnął. Wszedł na podwórko, skręcił w prawo i skrył się w ciemnościach za rogiem budynku. Począł, aż oczy przywykną do mroku, po czym wolno poszedł na tyły. Podeszwy butów lekko zachrząściły na żwirowej ścieżce.

Znowu się zatrzymał. Obejrzał uważnie ciemne kształty odcinające się wyraźnie na tle rozgwieżdżonego nieba. Drewniana stodoła przylegająca do drugiego boku domu, mały budynek gospodarczy i zgromadzone pod ścianą drewno na opał, dalej zbita z desek drewnitnia, obok pompa i... buda dla psa.

Satyr był wdzięczny nieznanemu researcherowi za tę bardzo istotną wiadomość. Rodzice komisarza Zakrzewskiego mieli psa. Skąd facet o tym wiedział?

Wyciągnął z plecaka kawałek kiełbasy i ostrożnie ruszył przed siebie. Obszedł całe podwórze na tyłach domu, ale na psa się nie natknął. Może ta informacja była już nieaktualna.

Zatoczył koło i wrócił do tego samego miejsca, w którym zaczął obchód. Mimo późnej pory było gorąco. Domownicy zostawili na noc otwarte okno, żeby wpuścić do środka trochę świeżego powietrza.

Satyr wolno zbliżył się do okna, odchylił firankę i spojrzał psu prosto w oczy. Owczarek niemiecki patrzył na niego nieufnie, a z jego gardła wydobywało się ostrzegawcze ciche warczenie. Mężczyzna znieruchomiał na moment, a później, starając się nie robić gwałtownych ruchów, wyciągnął dłoń z kiełbasą. Pies przestał warczeć.

– Dobry piesek – szepnął Satyr prawie bezgłośnie. – Dobry. Spokojnie. Lubisz kiełbasę? Może zostaniemy przyjaciółmi?

Pies patrzył to na niego, to na kielbasę. Zaczął się oblizywać, wreszcie ostrożnie wyjął smakowity kąsek z ręki człowieka. Kiedy zjadł kielbasę, pomachał przyjaźnie ogonem.

Satyr pogłaskał zwierzę po głowie i wszedł przez okno do środka. Po drugiej stronie przysiadł na parapecie i nasłuchiwał. Wolno mijały minuty. Pies miał chyba nadzieję na kolejny smakołyk. Pokręcił się w kółko, przysiadł na tylnych łapach i patrzył nocnemu gościowi w oczy. Wreszcie po kwadransie znudził się. Poszedł na swoje posłanie w korytarzyku, cały czas jednak patrzył spod oka na Satyra. Ale on już nie zwracał na psa uwagi. Tkwił w bezruchu oparty o parapet, jak drapieżnik oczekujący na ofiarę.

Przymknął oczy i skupił się na dochodzących do jego uszu odgłosach nocy. Pierwszy dźwięk wyłaniający się z mroku był tykaniem starego ściennego zegara z wahadłem. Nie lubił takich zegarów, rozpraszały go. Z trudem przestał zwracać na niego uwagę. Dopiero wtedy usłyszał oddechy śpiących domowników. W pokoju po lewej stronie, niecałe dwa metry od niego, spał mężczyzna. Czasem pochrapywał, potem na chwilę przestawał oddychać i kiedy taka cisza i bezruch stawały się niepokojące, płuca znowu podejmowały pracę i pośród ciemności słychać było równy oddech, który zaraz przechodził w chrapanie. Bezdech senny. Niebezpieczna przypadłość.

Dopiero po chwili, gdzieś z oddali, usłyszał oddech śpiącej kobiety, delikatny, ale regularny, świadczący o spokojnym śnie. Długo wsłuchiwał się w ten oddech. Czasem gubił go, kiedy w oddali głośniejsz szcekały psy albo ulicą przejeżdżał samochód. Potem znowu go słyszał. Skupił się tylko na nim i ponownie stało się coś dziwnego.

Satyr poczuł nagły niepokój.

Niepokój przerodził się w irracjonalny strach.

Wreszcie Satyr się wyprostował. Musiał się opanować.

Poszedł do kuchni. Minał psa, usiadł na kuchennym stołku i się rozejrzał.

Drzwi do sypialni starszej kobiety były otwarte. Łóżko stało na wprost drzwi. Leżała z zamkniętymi oczami w poświacie księżycowej wpadającej przez uchylone zasłony w oknie. Z trudem przełknął ślinę i patrzył. Patrzył jak nigdy dotąd, aż do bólu. Przestraszył się, że kobieta nie żyje. Zaraz jednak usłyszał jej delikatny oddech i się uspokoił.

Przestraszył się, że nie żyje? Dlaczego? Co go obchodziła obca stara kobieta? Była całkowicie na jego łasce. W każdej chwili mógł wyciągnąć pistolet i strzelić jej w głowę albo najzwyczajniej w świecie udusić ją we śnie jej własną poduszką.

Nagle zdał sobie sprawę, że kobieta się obudziła i teraz wpatruje się w niego szeroko otwartymi, błyszczącymi w ciemnościach oczami.

*

Cezary Czerny z wolna odzyskiwał świadomość. Najpierw poczuł promieniujący ból w udzie, potem ćmiący ból z tyłu głowy i na koniec stłuczone plecy. Jęknął i chciał dotknąć bolącego miejsca na głowie, ale mu się nie udało. Zdziwiony szarpnął rękami raz i drugi. Usłyszał tylko brzęk metalu o metal. Otworzył oczy i zaraz je zamknął, oślepiony jasnym światłem.

– Na szczęście tylko się potłukłeś – z bardzo bliska usłyszał znajomy głos. – Po jaką cholere uciekałeś na te schody? Już myślałam, że skręciłeś kark.

Jego oczy z wolna przyzwyczyły się do światła. Ocenił sytuację i jęknął jeszcze raz. Pótleżał na podłodze przykuty kajdankami do rurki kaloryfera. Paulina siedziała na barowym stołku przy kuchennym blacie, piła czerwone wino z wielkiego kieliszka i paliła papierosa.

- Cholera, co ty mi zrobiłaś? – wychrypiał.
- Masz szczęście, że tylko tak się skończyło.
- Mogłem się zabić...

– Owszem.

Cezary szarpnął rękami, aż zadygotała rura.

– Co tu się, kurwa, dzieje?! Rozkuj mnie!

– Nie tak szybko. – Uśmiechnęła się krzywo.

– Ja pierdzielę, co ty zamierzasz ze mną zrobić? – Poczł nagłe ukłucie niepokoju.

– Właśnie się zastanawiam. – Napła się wina. – Chyba zdajesz sobie sprawę, w jak marnym położeniu się znalazłeś?

Znowu spróbował skutymi rękami sięgnąć do stłuczonego miejsca na głowie.

– Rozkuj mnie, do jasnej cholery!

Patrzyła na niego z uwagą. Wyglądał żałośnie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że wcale jej go nie żal. Nawet odczuwała coś w rodzaju złośliwej satysfakcji.

– Złapałam cię w swoim domu na gorącym uczynku – powiedziała. – Włamałeś się. Wiesz, że za to idzie się do pierdla? Wprawdzie, jeśli nie jesteś recydywistą, trafisz do garowni na krótko, a jak będziesz miał dobrego papugę, dostaniesz wyrok w zawiasach. Gorzej, jeśli powiem, że jesteś stalkerem. Od dłuższego czasu jeździłeś za mną, zaczepiałeś na ulicy, groziłeś, wreszcie włamałeś się do mojego domu. Co chciałeś zrobić? Nie wiadomo. Stalkerzy są popierdolonymi popaprańcami, których stać na wszystko. A jeśli zeznam, że chciałeś mnie zabić? Wiesz, ile za to jest lat?

Cezary z trudem przełknął ślinę.

– Co ty pierdolisz? – wyszeptał.

Paulina nagle walnęła otwartą dłonią w blat, aż echo poniosło się po mieszkaniu.

– Uświadamiam ci twoje marne położenie! – krzyknęła. – Coraz bardziej mnie rozczarowujesz, człowieku. Ciągłe traktujesz mnie jak idiotkę. Po co tu przyszedłeś? Chciałeś ukraść kasę?

– Nie jestem złodziejem. – Gwałtownie pokręcił głową. – Co ty możesz mieć z policyjnej pensji...

Paulina nagle znieruchomiła i na jej twarzy pojawił się wyraz triumfu.

– Zdjęcia – mruknęła. – Przyszedłeś po zdjęcia kompromitujące Wysockiego, prawda? Że też od razu na to nie wpadłam. Wysocki prowadzi śledztwo w sprawie defraudacji w twojej spółce. Co ci obiecał za te zdjęcia?

Cezary milczał. Paulina od razu poznała, że trafiła w dziesiątkę. Postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

– Proponuję układ. Wyjdiesz stąd wolny, jeśli powiesz mi prawdę. Nie odpowiedział.

– Masz ostatnią szansę. Pięć sekund do namysłu.

– Możesz dać mi papierosa?

Paulina zapaliła dwa. Jednego wsadziła mu między wargi i wróciła na swoje miejsce na barowym stołku.

– Tylko nie zapaskudź mi popiołem podłogi – ostrzegła. – Wiesz, jak nie lubię sprzątać.

Jej eksmąż zaciągnął się dwa razy i opowiedział o spotkaniu z prokuratorem Wysockim. Paulina przez chwilę się zastanawiała, wreszcie pewnym ruchem sięgnęła do jednej z kuchennych szuflad, wyjęła szarą kopertę i cisnęła ją Cezaremu pod nogi.

– Co to jest? – Chyba nie bardzo zrozumiał.

– Zdjęcia, na których Wysockiemu tak zależy – wyjaśniła.

– Dlaczego mi je dajesz? Tak po prostu?

– Nie mam zamiaru zniżać się do poziomu Wysockiego. Nigdy bym tych zdjęć nie upubliczniła.

Podeszła do byłego męża i uwolniła go z kajdanek. Cezary roztarł nadgarstki.

– Co ty robisz? – zapytał coraz bardziej zdziwiony.

– Zabieraj te zdjęcia i spierdalaj – warknęła. – Dzisiaj ci się udało. Ale jak jeszcze raz cię zobaczę gdzieś blisko, wniosę sprawę o stalking. Masz to jak w banku.

Dźwignął się z wysiłkiem na nogi, zabrał kopertę i utykając mocno, ruszył w kierunku drzwi.

- Nie zobaczysz mnie więcej – rzucił w połowie drogi.
- Kiedy był przy drzwiach, usłyszał głos Pauliny:
 - Dam ci jedną dobrą radę.
- Spojrzał na nią pytająco.
 - Nie bądź frajerem i nie daj się wydymać Wysockiemu.
 - Jak tylko dostanę od niego kasę, wyjeżdżam z kraju – oznajmił.
- Nikt mnie tu już nigdy nie zobaczy.
 - Nawet jak ci zapłaci, pewnie naśle na ciebie jakichś zbirów i zakopią cię w lesie – powiedziała.
- Cezary patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.
 - Uważaj na siebie – dodała. – Wiesz, że żona Wysockiego jest o niego chorobliwie zazdrosna? Pochodzi z bardzo zamożnej rodziny. Jej ojciec był esbkiem. W wolnej Polsce nieźle się urządził. Wybudował córce dom i kupił im drogie autka. Myślisz, że Wysocki dałby radę z prokuratorowskiej pensji? Jest niewiele wyższa od tej policyjnej.
- Cezary pokiwał głową na znak, że zrozumiał, i wyszedł, z rozmachem zamykając za sobą drzwi.

*

Zofia Zakrzewska zawsze miała bardzo płytki sen, a ostatnio jeszcze się to nasiliło. Czuła się coraz gorzej. Właściwie postanowiła już nie walczyć. Leżała całymi dniami w łóżku, podnosiła się tylko czasami, coraz mniej jadła. Nawet modliła się rzadziej. Świat przestawał ją interesować, przysłonięty przez coraz ciemniejszy całun choroby. Mąż opiekował się nią troskliwie, pilnował, by zażywała zapisane przez lekarza leki, poprawy jednak nie było. Żeby się wyleczyć z depresji, trzeba mieć świadomość choroby i chcieć się z niej wyrwać. Zofia Zakrzewska nie chciała zrozumieć, że jest chora. Dla niej było to śmiertelne zmęczenie życiem i godziła się na nie.

Tego wieczoru zasnęła dopiero około północy. Obudził ją pies, który nagle zaczął chodzić niespokojnie po domu. Nie było w tym nic

niezwykłego, więc nie zareagowała. Zresztą Tina uspokoiła się po pewnym czasie. Jeszcze później Zofia prawie fizycznie poczuła czyjąś obecność. Badawczy wzrok skierowany wprost na nią.

Otworzyła powieki i spojrzała w oczy tamtego.

Ubrany w czarne spodnie, czarny cienki sweter z długimi rękawami i czapkę z daszkiem, siedział nieruchomo na kuchennym stołku na wprost niej. Obok na podłodze leżał plecak. Nocny gość trzymał w dłoni pistolet z długim tłumikiem.

Nie przestraszyła się. Poczuła nawet ulgę.

– Wiedziałam, że kiedyś przyjdiesz – powiedziała cicho.

Na dźwięk tych słów Satyr mimowolnie drgnął. Jakby trafiły go prosto w pierś i rozlały się bólem po całym ciele. Nie potrafił się ruszyć przygwożdżony jej spojrzeniem. Milczał.

– Zawsze wierzyłam, że wrócisz – ciągnęła stara kobieta. – Modliłam się o to przez całe życie.

Umilkła i patrzyła w jego nieruchome oczy, zagłębiła się w pustkę uczuć po ich drugiej stronie. Tyle tylko że tam już nie było pusto.

– Jestem – odezwał się.

Sam był zdziwiony, kiedy usłyszał swój głos. Był całkowicie pod jej wpływem. Nie ruszając się z łóżka, starsza kobieta zyskała nad nim kontrolę. Patrzyła teraz na jego nieruchomą twarz, na pozbawione grama tłuszczu, wyrzeźbione na siłowni ciało i pistolet w ręce.

– Stałeś się zły, prawda? Jeśli jesteś zły, nie wiem, czy wysłuchał mnie Bóg, czy diabeł. – Westchnęła jakby z rezygnacją. – Obu błagałam – dodała ciszej.

Nagle wściekłość zalała go czerwoną falą. Wstał, odbezpieczył broń i wycelował w leżącą kobietę.

Widząc pistolet, Zofia Zakrzewska zacisnęła mocno powieki. Nie bała się. Przecież już dawno pogodziła się ze śmiercią. Czekala, ale nic się nie zdarzyło.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, już go nie było.

Potem przez długie godziny nocnej bezsenności zastanawiała się, czy to się zdarzyło naprawdę, czy było tylko wytworem jej wyobraźni.

Satyr wracał do samochodu tą samą drogą. Popęłnił błąd. Wizyta u rodziców Zakrzewskiego tylko pogorszyła sytuację. Podjął decyzję wbrew sobie i zdrowemu rozsądkowi.

Postanowił wyjść przeciwnikowi na spotkanie. Nawet jeśli była to pułapka.

Rozdział 29

Paulina Czerny wyjechała z firmy na umówione spotkanie później, niż zamierzała. Tego dnia czas wyjątkowo szybko przelatywał jej między palcami. Zdarzenie z eksmężem wytrąciło ją z równowagi. Właściwie nawet nie chodziło o włamanie, jego kłamstwa, zdjęcia i Wysockiego. Wstrząsnęło nią to, co zrobiła na sam koniec. Powiedziała kilka słów za dużo. Czy aż tak bardzo chciała się zemścić na prokuratorze Wysockim?

Stała w korku na światłach do skrętu z Bardzkiej w Morwową. Otworzyła okna na całą szerokość i zapaliła cienkiego papierosa. Kiedy ostatnio był tak gorący wrzesień? Może rzeczywiście klimat się ociepla?

Jej myśli powędrowały do zaginionej Anny Kowal.

10 lipca dziewczyna wyszła od znajomych przed pierwszą w nocy. Jeszcze około pierwszej piętnaście była widziana przez mężczyznę, który wyprowadzał psa na ostatni spacer. Potem ślad po Annie Kowal zaginął. Żadnych świadków, żadnych rozsądnych hipotez, do tego prokurator, który miał w dupie śledztwo i dawno by je umorzył, gdyby tylko mógł. Fatalna sytuacja.

Paulina jechała wolno, rozglądając się ciekawie. Rzadko bywała w tej części miasta. Przejechała wąskim przesmykiem pod torami kolejowymi i po kilkuset metrach skręciła w prawo w ulicę Ziemniaczaną. Przyhamowała na chwilę i odszukała wzrokiem tabliczkę z nazwą ulicy. Dobrze trafiła. Jechała teraz wąską drogą, która najpierw prowadziła przez tereny zielone, dopiero po stu metrach pojawiały się pierwsze domy mieszkalne. Krajobraz

przypominał wieś. Na wysokości pierwszego domu musiała zwolnić, ponieważ z naprzeciwka nadjechał autobus linii 114. Z trudem się wyminęli.

Ford s-max zaparkowany był dwieście metrów dalej na poboczu. Redaktor Krzysztof Salitra stał kilka kroków od swojego auta, schowany w cieniu drzewa.

Paulina zaparkowała, wysiadła i podeszła do niego.

– Punktualność jest rzadką cechą w dzisiejszym świecie – powiedział na powitanie Salitra z lekką kpiną w głosie.

– W kulturach wschodnich wypada się spóźnić – odgryzła się.

– Dobrze, że to tylko dziesięć minut. Umarłbym w tym upale.

Wyciągnął elektronicznego papierosa z kieszeni spodni i pociągnął. Paulina wyjęła swoje papierosy.

– Może wolisz prawdziwego? – rzuciła.

– Pozostanę przy nieprawdziwym.

Przez chwilę w milczeniu zaciągali się dymem.

– Dawno rzuciłeś palenie?

Roześmiał się.

– Nigdy nie paliłem!

– To na cholerę ci to gówno? – zapytała zdziwiona.

– Cóż, nałóg jak każdy inny. – Wzruszył ramionami i schował e-papierosa do kieszeni. – Kolejna zaleta mojego palenia – dorzucił. – Możesz skończyć, kiedy chcesz.

– No i nie potrzebujesz zapalniczki – dodała szybko Paulina.

Uśmiechnął się i zaraz spoważniał.

– W tym miejscu świadek ostatni raz widział Annę Kowal. Skręcała w tamtą boczną ulicę.

Paulina знала już akta tej sprawy na pamięć.

– Janusz Czyż. Mieszka cztery domy dalej. Policja rozmawiała z nim cztery razy.

– Ja też z nim rozmawiałem. Porządny facet. Zapomnij o nim. Ale jest coś, czego policji nie powiedział.

Paulina rzuciła niedopałek na ziemię.

– To mało uczęszczana ulica – ciągnął dziennikarz – zwłaszcza o tak późnej porze. Kiedy Czyż wchodził do domu, widział samochód nadjeżdżający z tej strony, z której dzisiaj ty przyjechałaś.

– Rozpoznał markę?

– W nocy zazwyczaj widzi się tylko światła.

– To trochę słabe, nie uważasz? – Uśmiechnęła się krzywo.

– Dlatego nie powiedział policji. Chodź.

Ruszyli polną drogą. Wyjeżdżone były tylko dwie koleiny, resztę porastała wyschnięta od upałów trawa. Z lewej strony minęli krzaki i drzewa, z prawej, zaraz za ostatnią posesją, rozpoczęły się ogródki działkowe. Paulina wiedziała z raportów, że policja niezbyt dokładnie sprawdziła ten teren, w dodatku zbyt późno. Okoliczni mieszkańcy wspominali o dwóch bezdomnych mężczyznach śpiących czasem w jednej z altanek, ale policja ich spłoszyła i nie pojawili się więcej.

– Rozmawiałem z tym Derecem – odezwał się Salitra. – Miał przelotny romans z Anną Kowal.

– Jak go oceniasz? – rzuciła.

– Na mojego nosa jego też możemy wykluczyć.

– Tylko dlatego, że jest gliniarzem?

Krzysztof przystanął w cieniu drzewa.

– Widzisz, na podstawie rozmów z różnymi ludźmi wyrobiłem sobie pewien pogląd na zaginioną. Ona wcale nie była grzeczną osobą. Była raczej typem manipulantki, lubiła stawiać na swoim, znajdować się w centrum zainteresowania. Derec chyba nawet nie wiedział, że stał się po części jej ofiarą. Moim zdaniem Anna chciała zaimponować koleżankom, że ma starszego faceta, do tego żonatego i policjanta. Tylko że chyba coś poszło nie po jej myśli.

– Zaangażowała się?

Ruszyli wolno dalej.

– Być może. A może po prostu Derec okazał się za poważny i zbyt ostrożny. Kiedy to zrozumiała, zaczęła się wycofywać z tej znajomości. Zresztą on też poszedł po rozum do głowy i zrobił to samo.

Paulina odgarnęła kosmyk włosów.

– Nie za łatwo go skreślasz? – zapytała.

– Nie pasuje mi.

Z tyłu nadjechał samochód. Dróżka była tak wąska, że musieli się zatrzymać, żeby swobodnie przejechać.

– To jest skrót. – Salitra zmienił temat.

Paulina popatrzyła na niego pytająco.

– Okoliczni mieszkańcy jeżdżą tędy do Alei Róż. Oszczędzają ponad kilometr. Tak samo robią piesi i rowerzyści. Anna Kowal też często tędy wracała do domu. Podobnie jak feralnego wieczoru ponad rok temu.

Paulina przypomniała sobie akta. Anna wracała od koleżanki. Pierwotnie miał ją odwieźć kolega, ale zapomniał się i wypił kilka drinków. Anna powiedziała, że nie ma sprawy, pójdzie pieszo. Kolega chciał ją odprowadzić, ale wymknęła się z mieszkania ukradkiem i dopiero po kilkunastu minutach uczestnicy imprezy zorientowali się, że jej nie ma. Tyle że wtedy jej telefon był już wyłączony i nigdy nie udało się go namierzyć. Zaniepokojona koleżanka zadzwoniła do domu Anny, ale tam też jej nie było. Od jej wyjścia z imprezy minęły dwie godziny. Koleżanka spanikowała i narobiła zamieszania. Wszyscy goście, którzy nie byli mocno pijani, ruszyli na poszukiwania. Dołączyło do nich kilka osób, które bawiły się na imieninach u sąsiada.

Salitra stanął i wskazał miejsce na poboczu.

– Mniej więcej tu leżały jej okulary – powiedział. – W nocy nie chodzi się w ciemnych okularach.

– Czyli co? – Paulina spojrzała na niego z ukosa. – Wypadły jej, kiedy została napadnięta?

– Albo sama je upuściła.

Paulina popatrzyła dalej. Polna droga zakręcała i po dwustu metrach docierała do Alei Róż. Policjantka zamyśliła się na moment.

– Derec mówił coś o Wysockim?

– Nie zna go dobrze – odparł Salitra. – Kojarzy go głównie z zamieszania, jakiego Wysocki narobił, kiedy ukradli mu auto.

– No tak, pamiętam. – Paulina pokiwała głową. – To trochę taki chichot losu.

– Nie rozumiem.

– Wysocki mieszka niedaleko, na skrzyżowaniu Woskowej z Iracką – wyjaśniła, patrząc uważnie na krzaki i drzewa po jednej stronie drogi. Policyjni technicy przeszukali je dopiero dwa tygodnie po zgłoszeniu zaginięcia dziewczyny. Oczywiście bez rezultatu.

Ruszyli z powrotem. Stali chwilę na słońcu i Paulina była już cała spocona. Na łysinie Salitry też pojawiły się wielkie krople potu, które otarł chusteczką. Paulina zapaliła papierosa.

– I co sądzisz o Wysockim? – zapytała.

– Fałszywy trop. Moim zdaniem nie ma powiązania między Derecem a naszym prokuratorem – odezwał się po krótkim milczeniu. – Myślę, że Wysocki po prostu zlekceważył i zaniedbał tę sprawę. Pewnie nawet nie zrobił tego celowo. Bo jeśli nie kryje kolegów, to o co może chodzić?

– Właśnie, o co?

Pytanie Pauliny na dłużej zawisło w powietrzu. Przy swoim samochodzie Salitra zatrzymał się na moment.

– Paulina, dlaczego chciałaś się ze mną spotkać akurat w tym miejscu?

Skrzywiła się i rozejrzała raz jeszcze.

– Słynny komisarz Marcin Zakrzewski zawsze wraca na miejsce zdarzenia. To jego podstawowa metoda. Mówi, że po takiej wizycie często miewa dobre pomysły – odpowiedziała.

– I co, masz jakiś pomysł? – zainteresował się.

Znowu się skrzywiła i pokręciła głową.

– Nie bardzo.

– Słyszałaś kiedyś ksywkę Śmierciór? – Nieoczekiwanie zmienił temat.

– Jeszcze raz, jaką? – Paulina nie dosłyszała.

– Śmierciór. Albo Obserwator.

– Pierwsze słyszę. – Patrzyła na niego zdumiona. – To coś ważnego?

– Nie. – Machnął ręką. – Zapomnij o tym.

Pożegnali się i Salitra odjechał, wzniecając z pobocza chmurę pyłu.

Paulina zamyślona kończyła palić papierosa. Jeśli Wysocki nie kryje kolegów, to kogo? Nagle coś przyszło jej do głowy. Wyciągnęła telefon i w książce telefonicznej znalazła numer. Andrzej Szmidt zgłosił się po dwóch sygnałach. Kiedy wyjaśniła, o co chodzi, ponarzekał chwilę, że zawsze zawraca mu głowę właśnie wtedy, kiedy on ma najwięcej papierkowej roboty, ale obiecał, że sprawdzi.

Oddzwonił po kwadransie. Paulina przez cały ten czas stała w cieniu pod drzewem, paląc papierosy. Właśnie kończyła trzeciego.

– No więc tak... – zaczął flegmatycznie Szmidt. – Wysocki zgłosił kradzież swojego samochodu koło południa dwunastego lipca dwa tysiące czternastego roku.

– Dzięki! Jesteś wielki.

– Oczywiście nie powiesz mi...

– Nie – ucięła. – I nie było tej rozmowy.

Rozłączyła się i jeszcze chwilę patrzyła na gasnący ekran swojego smartfona.

Anna Kowal zaginęła w nocy z 10 na 11 lipca. Paulina wyjęła jeszcze jednego papierosa, ale go nie odpaliła. Zastygła z zapalniczką w dłoni. Może metoda Zakrzewskiego z wracaniem na miejsce zdarzenia nie była wcale taka pozbawiona sensu?

Rozdział 30

W nocy się ochłodziło.

Dwa dni wcześniej w kamienicy na Roosevelta pod pretekstem usuwania awarii zjawili się mężczyźni ubrani w kombinezony z logo jednego z operatorów telewizji kablowej i w kluczowych miejscach na klatce schodowej, na korytarzu oraz w mieszkaniu Kariny Buczko zamontowali dyskretne kamery. Sygnał docierał do furgonetki zaparkowanej po drugiej stronie ulicy, gdzie dwaj technicy z CBS bez przerwy monitorowali obraz z kamer. Dwaj funkcjonariusze operacyjni siedzieli w samochodzie z przyciemnianymi szybami zaparkowanym nieco dalej, w ciągu aut po drugiej stronie ulicy. Na dachu kamienicy naprzeciw bramy pozycję obserwacyjną zajął snajper z oddziału specjalnego. Major Kamil Sochacki z Centralnego Biura Śledczego Policji zorganizował obserwację mieszkania Kariny w niecałą godzinę.

Marcin Zakrzewski pojawił się na Roosevelta po dziewiętnastej. Zaparkował motocykl dalej, w bocznej uliczce, i ostatecznie kilkaset metrów pokonał piechotą. Kask schował do plecaka, na głowę wcisnął czapkę z daszkiem, pod którą starannie upchnął przydługie włosy. Z Sochackim spotkał się na rogu Roosevelta i Jedności Narodowej. Major podsunął mu paczkę z papierosami.

– Myślałem, że bardziej cenisz sobie siłownię niż fajki – zakpił Marcin, kiedy już zaciągnęli się dymem.

– Zawsze się denerwuję podczas akcji.

– Jak sytuacja?

– Cisza i spokój. A Karina?

– Nie daje po sobie poznać, ale jest już chyba na skraju załamania nerwowego.

Sochacki pokręcił głową.

– I tak jest twarda – powiedział, a potem popatrzył Marcinowi w oczy. – Posłuchaj mnie, Zakrzewski. Nie mogę tego dłużej ciągnąć. Jutro rano się zwijamy. Satyr tu nie przyjdzie.

– Gównu wiesz – warknął Marcin. – I co? Zostawicie ją samą?

– Mogę załatwić jej ochronę.

– Dwóch nierozgarniętych mundurowych przed bramą? Nie fatyguj się.

– I tak będę miał nieprzyjemności przez tę samowolkę. – Sochacki podrapał się po napakowanym ramieniu. – Na razie szef mnie chroni przed tymi wyżej, ale nie mogę narażać swoich ludzi na konsekwencje. Przecież sam jesteś gliniarzem. Wiesz, jak to działa.

Właściwie miał rację. I tak wykazał się sporą odwagą i bezczelnością, działając półoficjalnie. Zakrzewski poczuł, że złość mu przechodzi.

– J-jasne – rzucił. – Znam ten pieprzony mechanizm.

Odwrócił się i ruszył dalej wolnym krokiem.

– Zakrzewski!

Odwrócił się. Sochacki szczerzył do niego w uśmiechu swoje równe zęby.

– Jesteś w porządku gość. Po wszystkim musimy się napić wódki.

– Ale ty stawiasz.

– Okej!

Marcin minął lombard po prawej stronie, przed szkołą z czerwonej cegły skręcił w wąskie przejście między kamienicami i znalazł się na tyłach budynków. Na szkolnym boisku grupa chłopców grała w piłkę, nieco dalej na ławce dwaj starsi mężczyźni palili papierosy i pili tanie wino z butelki ukrytej w papierowej torbie.

Za szkołą wszedł od tyłu do bramy numer 17. Rzucił jeszcze okiem w bok. Jeden z ludzi Sochackiego siedział na ławce za żywopłotem. Miał stamtąd doskonały widok na podwórze i wejście

do kamienicy. Między trzecim a czwartym piętrem Marcin machnął do kamery. Ostatnie stopnie pokonał w dwóch skokach i zadzwonił do drzwi. Długi, krótki, długi – umówiony sygnał.

Karina wpuściła go do środka.

– Mam kawę – oznajmiła, idąc do kuchni.

Była ubrana, jakby dopiero wróciła z pracy. Nawet nie zdjęła szelek z kaburą zawieszoną pod pachą. Pistolet wciąż tam tkwił, w każdej chwili gotowy do użycia.

Kiedy pili kawę, Zakrzewski ciągle niespokojnie zerkał na szybę za jej plecami. Zauważyła jego niepokój.

– Jeśli Satyr zdoła tu dojść, i tak nie będę już miała wielkich szans – mruknęła.

Uwaga była wyjątkowo celna. Marcin musiał być z nią szczery.

– Jutro rano ekipa się zwija – powiedział.

Wydawało mu się, że pobladła.

– I co dalej? – zapytała.

Starła się trzymać fason, chociaż wyraźnie była u kresu wytrzymałości.

– Dadzą ci ochronę.

– To żart?

– Znasz procedury.

Równocześnie napili się kawy.

– Może nie oglądał? – odezwała się.

– Jeśli chciał cię znaleźć, to na pewno oglądał.

Kiedy Marcin powiedział Sochackiemu, że nadadzą reklamę w telewizji, nie żartował. Poprosił o pomoc swoją przyjaciółkę Justynę Kordas. Justyna od lat pracowała w TVN. To ona wszystko zorganizowała. W kilka godzin zjawiała się we Wrocławiu z kamerzystą i specem od montażu. Nakręcili krótki materiał z Kariną w roli głównej i wrzucili go do sieci. Informatyk od Sochackiego spozycjonował materiał tak, żeby wideo pojawiała się, kiedy w wyszukiwarce internetowej wpisze się hasło związane z Zakrzewskim, seryjnym mordercą albo strzelaniną w szpitalu

Marciniaka. Materiał celowo był tak zmontowany, żeby wyglądał na roboczy i przypadkowo umieszczony w sieci. Marcin był pewny, że jeśli Satyr szukał Kariny albo jego w Internecie, musiał na ten filmik trafić.

– Przeprowadzisz się do mnie – powiedział nagle. – Z nami dwojgiem będzie miał większy problem.

Zaśmiała się.

– Może ty do mnie?

– U ciebie jest za ciasno. I denerwuje mnie to okno na korytarz. Dlaczego go jeszcze nie замуrowałaś?

– Nie wiem. Tak jakoś... – Spojrzała w kierunku oka kamery w górnym rogu pokoju. – Z drugiej strony mam już dość tej inwigilacji. Kurczę, to moje mieszkanie, a nie *Big Brother*. Słuchaj, a co z Parolem?

– Bez zmian – odpowiedział krótko.

Wypił resztkę kawy.

– Jutro wracasz do pracy – stwierdził. – Potrzebuję cię. Mamy zwłoki dziewczyny, mnóstwo śladów i jeszcze więcej pytań i wątpliwości. Przyda się inne spojrzenie.

– Słyszałam o tej metodzie. – Uśmiechnęła się pod nosem.

– Jakiej? – zdziwił się.

– Prowadząc śledztwo, starasz się patrzeć na zdarzenia niestandardowo. Nie wiedziałeś, że twoje „inne spojrzenie” jest już znane w całym Wrocławiu?

– Jutro rano po ciebie przyjadę. – Wstał i ruszył w kierunku wyjścia. – Wyśpij się.

– Chyba żartujesz!

– Nie sprowadzaj żadnych koleżanek.

– Zastanowię się. Wielki Brat miałby niezłe widowisko.

Marcin powoli zaczynał dochodzić do wniosku, że się pomylił. Chyba jednak nie potrafi myśleć tak jak Satyr. Może są do siebie podobni, ale tylko trochę. Drapieżniki też się między sobą różnią, gdyby było inaczej, w bezpośrednim starciu żaden z nich nie

potrafiłby wypracować przewagi. Jeszcze jedna myśl poprawiła mu podły humor – może nie był psychopata, skoro nie myślał jak psychopata.

Był już na parterze, kiedy zaniepokoił go jakiś dźwięk. Przystanął, nasłuchując. Z tylnego wyjścia na podwórze dobiegały go przytłumione krzyki chłopców kopiących piłkę, ulicą przejechał samochód. Nic szczególnego. Zrobił krok i znowu się zatrzymał.

Od ulicy było słyhać jednostajny warkot silnika dużego samochodu ciężarowego. Marcin wyszedł na chodnik. Od strony Słowiańskiej wolno nadjeżdżała betoniarka. Zbiornik w kształcie gruszki obracał się wolno. Marcin stanął, patrząc, co kierowca ma zamiar zrobić. Wyglądało, jakby się zgubił i nie wiedział, gdzie ma jechać. Ulica Roosevelta była dość wąska. Do tego z obu stron, prostopadle do jezdni, zaparkowane były auta mieszkańców. Potężny pojazd z trudem minął się z nadjeżdżającym z naprzeciwka oplem corsa.

Nagle ciężarówka zahamowała gwałtownie, aż zakołysała się w przód i w tył. Potem silnik zawył na wysokich obrotach. Marcin zdążył jeszcze zauważyć, że zatrzasnęły się drzwi od strony kierowcy, jakby ktoś właśnie wsiadł do szoferki. Coś było nie tak. Pojazd rozpędzał się wolno, jadąc pod dziwnym kątem, zbaczał na prawą stronę. To, co zdarzyło się kilka sekund później, Marcin obserwował nieruchomo, jak gdyby to był film akcji.

Zjeżdżająca wciąż w prawo betoniarka zaczęła zahaczać o zaparkowane auta. Pierwszy samochód stracił tylne światła, następny zderzak, ale już kolejny został brutalnie staranowany i uderzył w auto zaparkowane obok. Rozległ się huk, zgrzyt miażdżonych karoserii i trzask pękających szyb. Ważący wiele ton rozpędzony pojazd taranował kolejne auta z siłą młota pneumatycznego.

Tak naprawdę Zakrzewski zrozumiał, co się dzieje, kiedy taranowane samochody uderzyły w białą furgonetkę należącą do ekipy Sochackiego. Furgonetka przechyliła się niebezpiecznie,

przesunęła o dwa metry i oparła na ulicznej latarni. Tyle że betoniarka wciąż bezlitośnie miażdżyła auta. W furgonetce eksplodowała przednia szyba, sypiąc drobnymi kawałkami szkła. Potem tył pojazdu techników zaczął się giąć jak puszka po piwie. Kiedy już wydawało się, że ludzie w środku zostaną zupełnie zmiażdżeni, impet uderzenia osłabł, góra pchanych przed maską betoniarki aut zwolniła, silnik ciężarówki zawył, koła zaczęły kręcić się w miejscu, wzniesząc chmury niebieskiego dymu z rozgrzanej gumy trącej o asfalt, i silnik zgasł.

I wtedy z miejsca, z którego betoniarka ruszyła w swoją ostatnią niszczycielską drogę, dobiegł Zakrzewskiego dziwnie znajomy dźwięk. Zaraz potem w samochodach zaparkowanych po jego stronie rozsypały się szyby, a blacha jęknęła dziurawiona przez pociski. Marcin zareagował dopiero wtedy, kiedy kule dosięgły samochodu tuż przed nim. Upadł płasko na ziemię i zakrył głowę rękami. Obsypał go gejzer szkła z roztrzaskanych bocznych szyb auta, przy którym leżał.

Kiedy usłyszał, że kule z karabinu maszynowego uderzają gdzieś dalej, podniósł głowę i spojrzał na drugą stronę ulicy. Trójka przechodniów stała jak sparaliżowana. Machnął do nich ręką i krzyknął:

– Padnij!

Zanim zdążyli zareagować, podbiegł do nich major Sochacki i dosłownie zwałił ich z nóg. Udało się w ostatniej sekundzie. Seria z karabinu maszynowego przeleciała ponad leżącymi i stłukła okna z napisem „Biblioteka”. Marcin widział, jak Sochacki ciągnie leżące osoby do pobliskiej bramy. Udało się.

Zakrzewskiemu nagle wydało się, że rzeczywistość wokół gwałtownie przyspieszyła. W odgłosy serii z karabinu wdarł się inny dźwięk – trzy wystrzały z innej broni. Ogień do napastnika otworzył snajper przyczajony na dachu kamienicy.

Marcin wychylił głowę zza samochodu i wtedy go zobaczył.

Byli naiwni. Myśleli, że Satyr zachowa się tak samo jak dotychczas: przyjdzie do mieszkania Kariny pod osłoną nocy, uzbrojony w pistolet z tłumikiem. Tymczasem Satyr wypowiedział im wojnę totalną. I był przygotowany jak na wojnę. Czapka z daszkiem, wojskowa kamizelka kuloodporna, w rękach kałasznikow z dwoma magazynkami sklejonymi taśmą, żeby można było sprawnie je wymienić, przerywając ostrzał tylko na sekundę. Na plecach miał jeszcze inną broń, której Marcin nie potrafił teraz rozpoznać.

Kolejna krótka seria zabrzmiała inaczej. Satyr strzelał w górę. Niestety, piekielnie skutecznie. Snajper na dachu dostał w głowę, zachwiał się i runął w dół. Upadł wprost przed nadjeżdżający samochód, który zatrzymał się z piskiem opon. Satyr zaczął strzelać w jego kierunku. Wybuchła chłodnica i jedna z opon, w przedniej szybie pojawiły się dwa otwory, ale kierowcy udało się wrzucić wsteczny bieg. Wycofał, rozjeżdżając znaki na wysepce przed szkołą, ale daleko nie zajechał. Źle skręcił i uderzył tyłem w zaparkowane auta. Na szczęście miał na tyle zimnej krwi, żeby otworzyć drzwi i uciec w bok pod ich osłoną.

Marcin zerwał się ze swoim waltherem w dłoniach, złożył się i posłał cztery strzały tam, gdzie widział poprzednio Satyra. Rozległ się ogłuszający huk eksplozji. Samochód z przyciemnionymi szybami, w którym siedziało dwóch kolejnych ludzi Sochackiego, zmienił się w kulę ognia. Siła eksplozji była tak wielka, że auto poderwało się z ziemi i uniosło metr w górę. Opadło, płonąć. Ze środka wypadł człowiek. Zerwał się na nogi, zrobił trzy kroki i osunął się na ziemię. Palilo się na nim ubranie i włosy. Z jego ust wydobywał się nieludzki skowyt. Widok był przerażający.

Zakrzewski już tego nie zobaczył. Zdażył zarejestrować pierwszą fazę wybuchu auta. Kątem oka dostrzegł, że coś leci z ogromną prędkością w jego kierunku. Potem był ból głowy, ciemność i jednostajny szum w uszach. Kawalek blachy z eksplodującego samochodu uderzył go w głowę. Satyr miał na plecach ręczną

wyrzutnię raket. To była ostatnia myśl Marcina przed zapadnięciem w chwilowy niebyt.

*

Satyr naprawdę był na wojnie. Właściwie cały plan wymyślił dwa dni wcześniej, kiedy przeszedł się ulicą Roosevelta. Potem jeszcze przejechał tamtędy parę razy rowerem. Wiedział, co jest w furgonetce zaparkowanej po drugiej stronie ulicy, zauważył dwóch ludzi ukrytych w aucie za przyciemnionymi szybami, podejrzewał, że gdzieś może czaić się snajper. Był zbyt doświadczony, żeby dać się w ten sposób zaskoczyć. Oczywiście mógł rozegrać wszystko inaczej, mógł dopaść policjantkę w innym miejscu, gdzie nikt się go nie spodziewał. Mógł, ale wściekłość mu nie pozwoliła. Właściwie nie chodziło mu już o policjantkę. Musiał przełamać złą passę efektownie i bezwzględnie.

Kiedy szedł ulicą, strzelając ogniem ciągłym z kałasznikowa, czuł dziką satysfakcję. Był na wojnie. A wojny wygrywa się strategią, zaskoczeniem i przewagą militarną. Dzisiaj Satyr miał w rękach wszystkie atuty. Nikt nie był w stanie mu się przeciwstawić.

Do bramy numer 17 doskoczył zaraz po tym, jak zniszczył samochód. Zakrzewski leżał tam nieruchomo z zakrwawioną twarzą. Wystarczyło tylko podnieść broń i strzelić. W pierwszej chwili Satyr chciał tak zrobić, ale się zawahał. Nie dobija się rannego drapieżnika strzałem w głowę. Wtedy nie ma żadnej satysfakcji z polowania.

Opuścił broń i wbiegł do bramy. Miał niewiele czasu. Wiedział, że zaraz będą tu wszystkie jednostki policji z miasta.

*

Okna mieszkania Kariny wychodziły na podwórze, a jednak odgłosy betoniarki taranującej auta usłyszała natychmiast. Zesztywniała. Od

razu zrozumiała, że Satyr po nią przyszedł.

Odstawiła kubek z kawą. Pistolet wyciągnęła dokładnie tak, jak uczono ją w szkole policyjnej. Jedną ręką rozpięła kaburę, a drugą płynnym posuwistym ruchem wzdłuż ciała dobytego walthera i od razu go odbezpieczyła. Wzrok przez cały czas miała utkwiony gdzieś w przestrzeni. Bo przecież nie wzrok się w tej chwili liczył. Skupiła się na stłumionych dźwiękach dochodzących zza okna. Odgłosy miażdżonych aut ucichły nagle jak nożem uciął i na sekundę zapanowała cisza. Jak gdyby świat na moment się zatrzymał. Nie słychać było dzieci na boisku, psy przestały szczeleć, rozmowy na podwórzu ucichły. Potem do uszu Kariny doleciały jeszcze bardziej niepokojące dźwięki. Wtedy uświadomiła sobie, że jest naprawdę źle.

– Zakrzewski, gdzie jesteś? – szepnęła bezgłośnie i rozejrzała się gorączkowo po mieszkaniu. Nie miała gdzie się schować. Podobnie jak w szpitalu, decyzję musiała podjąć natychmiast.

*

Był już na pierwszym piętrze, kiedy wystrzelony bez ostrzeżenia pocisk trafił go w kamizelkę kuloodporną w okolicach barku. Ból sparaliżował mu prawą rękę, ale tylko na moment, bo do takiego bólu Satyr był przyzwyczajany od dziecka. Rzucił się na podłogę, oceniając sytuację. Jeden policjant, uzbrojony tylko w pistolet, bardzo łatwy cel. W następnej sekundzie puścił krótką serię w jego kierunku. Nie powinien chybić, a jednak nieco osłabiona ręka nie zadziałała prawidłowo, kule utkwily w ścianie. Tylko jedna uderzyła przeciwnika poniżej kolana. Policjant wydał z siebie zduszony okrzyk, zgiął się w pół i stoczył po schodach na półpiętro.

Satyr poszedł dalej. Stał przed drzwiami do mieszkania numer 5. Pojedynczym strzałem w zamek i mocnym kopnięciem otworzył drzwi na oścież. Drugą serię posłał do środka, po czym wszedł i zatrzymał się krok za progiem. Kałasznikow nie przestawał sypać

pociskami, Satyr omiółł serią cały pokój. Pociski strąciły odbiornik telewizyjny z szafki, rozbiły szyby w oknach, potrzaskały doniczki z kwiatkami na parapecie, rozpruły dwie podróżne walizki stojące obok drzwi do kuchni, wybiły dziury w ścianach, strąciły półkę z książkami. Wtedy karabin umilkł. W ciszy, jaka nagle zapanowała, wyraźnie słychać było syreny nadjeżdżających wozów policyjnych. Pewnie oddział antyterrorystyczny też był już w drodze, może nawet oddziały wojska. Czas się kończył.

Satyr znowu poczuł gigantyczne rozczarowanie, które zmieniło się w złość. Policjantki nie było. Niemożliwe, nie mogła się nigdzie ukryć. Sprawdził w łazience, przeszedł do kuchni i dopiero teraz zobaczył otwarte okno wychodzące na korytarz.

*

Zakrzewski usiadł i przetarł twarz dłonią. Poczuł lepka, ciepłą maź. Cały zalany był krwią. Czuł, że w kieszeni wibruje mu komórka, ale nie słyszał jej sygnału. Nie słyszał też odgłosów syren zbliżających się ze wszystkich stron. Karina! Ta jedna myśl poderwała go do działania. Z trudem dźwignął się na nogi i z pistoletem w dłoni, zataczając się, wbiegł do bramy. Przed schodami zachwiał się i uderzył lewym ramieniem w drewnianą poręcz. Zanim wdrapał się na pierwsze piętro, dotarł do niego niosący się echem po klatce schodowej odgłos długich serii z kałasznikowa.

Na półpiętrze zobaczył zakrwawionego policjanta z CBŚ.

– Trafił mnie skurwysyn! Wezwij pomoc!

– Zaraz tu będą!

Serie z karabinu nagle się urwały. Chwilę później Marcin wpadł do mieszkania Kariny. Wyglądało, jakby przeszło przez nie tornado. Najważniejsze jednak, że Kariny tu nie było. Nie było też Satyra. Kiedy zobaczył otwarte okno w kuchni, zrozumiał.

*

Karina wyskoczyła na korytarz dokładnie w chwili, w której Satyr wtargnął do mieszkania. Gdyby chciała uciekać w dół, musiałaby przebiec za jego plecami. Mogłoby się udać, ale wystarczyłoby, żeby się odwrócił. Dlatego stchórzyła. Jedyłą inną drogą ucieczki był dach.

Pobiegła do góry. Dwa piętra wyżej stanęła przed okratowanym wyjściem na dach, do którego prowadziły krótkie, zardzewiałe schody. Musiała strzelić cztery razy, żeby kłódka puściła. Wspięła się po schodkach i otworzyła klapę, napierając na nią barkiem. Wyszła na dach i rozejrzała się gorączkowo wokoło. Już bardzo blisko słyhać było syreny policyjnych aut, a z zachodu nadlatywał policyjny śmigłowiec. To mogła być jej szansa. Podbiegła do krawędzi dachu i rozpaczliwie zaczęła machać rękami, ale zdała sobie sprawę, że to bez sensu. Przecież śmigłowiec nie zdejmie jej z dachu tak szybko, a zabójca zaraz tu będzie. Gdyby zaczął strzelać do śmigłowca, mogłoby się to skończyć jeszcze większą katastrofą.

Ty głupia pindo – pomyślała i pobiegła po dachu w stronę ulicy Jedności Narodowej. Gdyby została koło wejścia, strzałami z pistoletu mogłaby powstrzymać Satyra od pójścia w jej ślady. Teraz było już za późno. Najpierw zobaczyła kałasznikowa, a potem mordercę.

Biegła, klucząc. Zdecydowała się. Minęła już szkołę, skręciła w lewo w kierunku podwórek i zaczęła się zbliżać do krawędzi dachu.

*

– Neeee!!!

Marcinowi wydawało się, że jego krzyk zagłuszył wszystko. Syreny policyjnych radiowozów, odgłos helikoptera i pociąg towarowy w jego czaszce. Miał kłopoty z utrzymaniem równowagi, krew sącząca się z rany na głowie zalewała lewe oko. Z trudem wspiał się po zardzewiałych schodkach do wjazdu i zabrakło mu siły, żeby wyjść na dach. Widział plecy Satyra w odległości kilku metrów od siebie i uciekającą Karinę. Satyr strzelił. Na szczęście Karina kluczyła między kominami i nie trafił. Nagle dziewczyna zbliżyła się do krawędzi dachu i skoczyła. Wtedy Zakrzewski krzyknął, właściwie zupełnie nieświadomie. Co najmniej piętnaście metrów w dół – trudno przeżyć taki upadek.

Usłyszawszy krzyk, Satyr odwrócił się do niego, ale strzelił w kierunku śmigłowca, który już prawie wisiał nad dachem kamienicy. Helikopter wykonał gwałtowny zwrot w prawo i odleciał na bezpieczną odległość. Satyr pobiegł po dachu w kierunku Jedności Narodowej.

Marcin zeskoczył z drabinki i jak szalony rzucił się po schodach w dół. Między pierwszym a drugim piętrem dwie kobiety – chyba mieszkanki kamienicy – zajmowały się rannym policjantem, który stracił przytomność.

Marcin wypadł na ulicę i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jak tragicznie to wygląda. Góra zgniecionych aut i furgonetka zawinięta wokół słupa, wszystkie auta po obu stronach ulicy podziurawione kulami, na środku jezdni zmasakrowane ciało snajpera, niedaleko tłące się jeszcze zwłoki policjanta, a obok spalony doszczętnie samochód z ciałem drugiego. Klęska.

Policyjne wozy zjeżdżały się z obu stron. Mundurowi funkcjonariusze starali się zapanować nad gromadzącymi się gapiami, kolejni rozstawili się dookoła z bronią gotową do strzału. Byli kompletnie dezorientowani. Nie wiedzieli, skąd mogą spodziewać się ataku.

Jeden z policjantów zatrzymał Marcina.

– Jest pan ranny! – krzyknął. – Zaraz będzie karetka.

– Puszczaj, do jasnej cholery!

W końcu się wyrwał i pobiegł w kierunku szkoły. Tym samym przejściem między kamienicami dostał się na podwórze. Przebiegł jeszcze kilkanaście metrów i stanął. Nie interesował go teraz Satyr, pościg ani cały świat. Musiał znaleźć Karinę. Rozglądał się gorączkowo po trawnikach, spojrzał do góry, żeby ocenić, skąd mogła skoczyć. Stracił orientację.

– Marcin!

Myślał, że się przesłyszał. Spojrzał przed siebie, nie wierząc własnym oczom. Karina szła w jego kierunku, mocno utykając. Miała zdarte łokcie, po jej policzku płynęła strużka krwi z rozciętego łuku brwiowego. Podbiegł i objął ją ramieniem. Podtrzymywali się wzajemnie.

– Jak ty to zrobiłaś? – zapytał. – Przecież to niemożliwe.

Drżała. Nawet kiedy się odezwała, jej głos zdawał się drzeć w tym samym rytmie.

– Przypomniałam sobie, że tam jest dobudówka. – Wskazała za siebie. – A obok niej szkoła postawiła dmuchańce.

Marcin popatrzył w tamtym kierunku. Dach dobudówki znajdował się jakieś cztery metry poniżej dachu kamienicy. Był stromy, ale poniżej stał wielki dmuchany zamek, który służył dzieciom jako trampolina i zjeżdżalnia. Marcin odetchnął z ulgą.

– Gdzie Satyr? – zapytała.

– Mam nadzieję, że nie zdąży uciec.

Wrócili na Roosevelta w samo serce gigantycznego zamieszania. Ekipa ratowników medycznych zajmowała się rannym w nogę policjantem. Właśnie wjeżdżał na noszach na tył jednego z pojazdów. Pozostałe ekipy opatrywały rannych techników ze zgniecionej furgonetki. Dopiero teraz Marcin dostrzegł wóz straży pożarnej i strażaków z pneumatycznymi nożycami, którymi rozcięli karoserię, żeby ich wydobyć. Mimo zamieszania jeden z ratowników natychmiast zajął się głębokim rozcięciem na czole Zakrzewskiego.

Martwe ciała na ulicy zasłonięte były czarnymi workami. Trzema czarnymi workami. Szum w uszach trochę minął, ale wciąż przeszkadzał Zakrzewskiemu w myśleniu. Powinny być dwa worki. Dlaczego były trzy?

Słońce zaszło już za budynki i na ulicy zaczął zapadać zmrok. Światła policyjnych kogutów rzucały ruchome kolorowe plamy na ściany kamienic po obu stronach. Przybywało gapiów, pojawili się też pierwsi dziennikarze lokalnych mediów i wóz transmisyjny Polsatu. Prawie wszystkie okna w budynkach były otwarte i widać w nich było głowy mieszkańców. Marcin już sobie wyobrażał, co za chwilę będzie się działo w mediach. I nie tylko. Po na wpół legalnej, zakończonej tak tragicznie akcji spadnie niejedna głowa. Być może jego również.

Ktoś szarpał go za ramię.

– Panie komisarzu! – Młody policjant nachylił się w jego kierunku.
– Kapitan Rafalski kazał pana odnaleźć.

Nie zważając na protesty ratownika medycznego, Marcin poszedł za policjantem. Na rogu wsiedli do radiowozu i pojechali w kierunku mostu Warszawskiego.

Kiedy tylko skręcili w Słowiańską, Marcin pomyślał, że wjechali na teren działań wojennych. Ruch był wstrzymany. Z zaparkowanej na poboczu ciężarówki wyskakiwali żołnierze w pełnym rynsztunku bojowym. Radiowóz jechał przeciwnym pasem, nie włączając nawet sygnałów świetlnych, jakby policjanci wiedzieli, że nic nie może nadjechać z naprzeciwka. Minęli park Słowiański z lewej strony, potem skrzyżowanie z Nowowiejską i pojechali dalej. Przeleciały nad nimi dwa wojskowe śmigłowce. Zatrzymali się za budynkami dawnego Browaru Piastowskiego. Marcin wysiadł z samochodu i szybko ocenił sytuację.

Most w obu kierunkach był zablokowany. Na pasie w kierunku miasta wielka ciężarówka zderzyła się z innymi autami i skutecznie zatarasowała przejazd. Na początku mostu policyjne auta zrobiły blokadę. Za nimi Marcin dostrzegł przyczajone czarne postacie –

członków policyjnej grupy antyterrorystycznej. Nad mostem nieruchomo wisały w powietrzu dwa policyjne śmigłowce, oświetlając jakiś punkt za rozbitą ciężarówką. Po prawej stronie, na parkingu przy stacji benzynowej Shell, wylądował wojskowy helikopter z żołnierzami. Marcin widział, że żołnierze ruszyli drugą nitką mostu z karabinami gotowymi do strzału.

Poszedł w kierunku antyterrorystów. Grupa Rafalskiego podczas ostatnich dwóch dni cały czas pozostawała w pełnej gotowości do akcji. Pewnie dlatego pojawili się tu pierwsi i udało im się zablokować Satyra na moście.

Wszyscy byli ubrani tak samo, więc Marcin nie wiedział, który to Rafalski. Na szczęście kapitan go zobaczył i przywołał gestem. Przyklęknęli obok siebie przy jednym z policyjnych aut. Karoseria podziurawiona kulami i stłuczone szyby świadczyły o tym, że doszło tu do ostrej wymiany ognia.

Rafalski popatrzył na przesiąknięty krwią opatrunek na czole Zakrzewskiego.

– W porządku? – rzucił.

– Tylko zadrapanie.

Antyterrorysta od razu przeszedł do rzeczy.

– Obiekt zszedł z dachu po drabince na końcu ciągu kamienic. Miał tam auto. Zablokował je jeden z radiowozów. Obiekt go staranował i zaczął uciekać w kierunku mostu. Przed samym mostem uszkodziliśmy mu samochód. Dalej uciekał pieszo, ostrzeliwując się. Przestrzelił ciężarówce opony i tak zablokował ruch.

– Ciągle tam jest? – zapytał Zakrzewski.

– Tak, w zasięgu świateł naszych helikopterów. Zablokowaliśmy most z drugiej strony. Myślę, że skończyła mu się amunicja, od dłuższego czasu jest cisza. Ustaliliśmy, że wojsko zajdzie go od strony drugiej nitki mostu. Poczekaj.

Przycisnął słuchawkę do ucha i chwilę słuchał.

– Okej, zaczynamy – powiedział.

Jeden z jego ludzi podał mu megafon.

– Uwaga! Mówi policja! Poddaj się, jesteś otoczony!

Odpowiedzią była cisza. Zanim jednak Rafalski ponownie przyłożył megafon do ust, ktoś krzyknął:

– Skacze!

Marcin wychylił się zza samochodu i wytrzymał wzrok. Dostrzegł sylwetkę Satyra. Wyraźnie usłyszał komendę:

– Ognia!

Rozległa się kanonada. Potem padła jeszcze jedna komenda i nagle zapanowała nienaturalna cisza. Słysząc było tylko łopot śmigieł dwóch helikopterów unoszących się w powietrzu nad mostem.

Zakrzewski przegapił chwilę, w której Satyr wykonał rozpaczliwy skok w ciemny nurt Odry. Akurat wtedy na ułamek sekundy zerknął w kierunku strzelających żołnierzy.

– Ruszamy!

Zanim Marcin zdążył zareagować, grupa Rafalskiego już biegła w miejsce, z którego Satyr skoczył do rzeki.

Rozdział 31

Dwie godziny później Zakrzewski stał na moście i patrzył na rzekę. Trwały poszukiwania. W dole pływały policyjne motorówki, zjawiała się grupa płetwonurków, którzy w czarnych wodach Odry poszukiwali ciała zabójcy, nad nimi nadal latały śmigłowce, oświetlając reflektorami miejsce poszukiwań. Miejsce, z którego Satyr skoczył, odgrodzone było taśmą.

Chmury na czarnym niebie zgęstniały i zaczęły z nich kapać drobne krople deszczu. Marcin poczuł, że robi mu się zimno.

– Komisarz Zakrzewski?

Odwrócił się niechętnie. Stał przed nim młody mężczyzna w czarnym garniturze. Był nienaturalnie wyprostowany, a na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia.

– Proszę za mną.

– Nigdzie nie idę.

– Nalegam.

Marcin wyraźnie widział, że dłoń mężczyzny drgnęła, jakby chciał sięgnąć za poję marynarki, gdzie pewnie miał kaburę z bronią. Zaraz jednak się opanował. A więc kłopoty już się zaczęły.

Poszli w kierunku zabudowań dawnego Browaru Piastowskiego. Mężczyzna poprowadził Marcina w miejsce, gdzie nie było ani gapiów, ani mediów, tylko dwóch innych ludzi w garniturach. Faceci w czerni – przemknęło Marcinowi przez myśl. Klony wzorowego funkcjonariusza.

W ich asyście doszedł, a może raczej został doprowadzony do bramy wjazdowej na podwórze browaru.

– Czeka tam na pana – powiedział mężczyzna, który przyszedł po niego na most, wskazując ciemne podwórze.

Marcin wszedł i na chwilę się zawahał. Obejrzał się. Mężczyźni stali na chodniku odwróceny do niego tyłem, z rękami założonymi na plecach. Pilnowali, żeby nikt nie przeszkadzał. Albo asystowali przy egzekucji.

Począł, aż oczy przyzwyczajają się do mroku, i kilka metrów od siebie zobaczył ciemną postać. Po chwili w czerni rozjarzył się ogień papierosa. Nieznajomy podniósł głowę i wtedy jego twarz rozjaśnił poblask światła z ulicy. Mógł być w wieku Marcina, wyglądał jednak źle. Być może jeszcze dzisiaj rano nie można byłoby tego o nim powiedzieć, ale teraz zapadnięte, podkrążone oczy, zmarszczki na czole i wokół ust mówiły wiele. Wyglądał jak człowiek na skraju załamania nerwowego.

– Moi ludzie dokładnie cię prześwietlili, Zakrzewski – odezwał się zmęczonym głosem. – Podobno jesteś doskonałym gliną. Jednym z najlepszych. Ale masz wady, które w policji powinny cię dyskwalifikować. Nie umiesz grać zespołowo. Jesteś samotnikiem najgorszego typu, nie słuchasz innych, realizujesz tylko własne pomysły, często balansujesz na tej cienkiej granicy, która odgradza dobro od zła. Parę razy zdarzyło ci się być po tej drugiej stronie i zawsze jakoś się wywinąłeś.

Marcin milczał. Nieznajomy zaciągnął się dymem i kontynuował:

– Jak ty to, kurwa, Zakrzewski, robisz? Znowu burza przejdzie bokiem, prawda? Nie żyje czterech moich najlepszych ludzi...

Marcin drgnął. Czterech?

– ...trzech kolejnych jest w szpitalu. Jutro wypierdolą ze służby kilku doświadczonych funkcjonariuszy, a ja nie mogę ci nic zrobić. Ponura ironia losu, prawda?

– Nie rozumiem.

Nieznajomy zbliżył się do niego na krok i zajrzał mu w oczy.

– Jestem prawie pewien, że to ty wymyśliłeś tę zasadzkę na Satyra. Nie wiem tylko, jak do tego przekonałeś Sochackiego. Dotąd

wykazywał się rozsądkiem.

- Sam go o to zapytaj.
- Sochacki nie żyje.

Marcin poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Trzeci czarny worek. Z trudem przełknął ślinę.

– Nie mogę ci nic zrobić, Zakrzewski, bo przecież powiesz, że znalazłeś się tam przypadkowo. Zresztą, może nie ma sensu próbować cię udupić? Sochacki był doświadczonym oficerem i to on podjął decyzję. Ale chciałem po prostu spojrzeć ci w twarz i zapytać, jak się z tym teraz czujesz.

Nie doczekał się odpowiedzi. Marcin milczał.

– Jak się, Zakrzewski, czujesz ze świadomością, że przez twój pomysł zginęło czterech ludzi? Będziesz musiał z tym żyć do końca swoich dni. Poradzisz sobie?

– Gdyby Satyr dokonał egzekucji na policjantce, ty nie miałbyś takich dylematów, prawda? – odezwał się Marcin i też nie doczekał się odpowiedzi.

Mężczyzna bez słowa odszedł. Na chodniku otoczyło go zaraz trzech jego ludzi, kilka metrów dalej wsiedli do czarnego, lśniącego w ulicznym oświetleniu audi i odjechali z piskiem opon.

Marcin tą samą drogą wrócił na most. Nic się nie zmieniło. Na rzece trwały poszukiwania, technicy w białych kombinezonach rodem z filmów science fiction zabezpieczali ślady.

Poczuł się stary i zmęczony. Nogi ugięły się pod nim, jakby na barki ktoś włożył mu stutonowy ciężar. Musiał się oprzeć obiema rękami o betonową barierę. Trzeci worek – Sochacki. Nawet nie widział, kiedy to się stało. Wściekłość i bezsilność omal nie rozsadziły mu klatki piersiowej i głowy. Chciał krzyknąć, ale zacisnął tylko dłonie na balustradzie i zamknął oczy.

Jeszcze kilka tygodni temu był zdecydowany odejść z policji. Sprawa zabójcy ze zdjęcia miała być ostatnią w jego karierze. Dlaczego nie zrezygnował? Nie przypuszczał, że tak szybko tego pożałuje.

– Ty skurwysynu – wyszeptał pod adresem nieznanego człowieka ze służb.

– Mówił pan coś, komisarzu?

Marcin spojrzał nieprzytomnym wzrokiem na mundurowego policjanta, który niepostrzeżenie stanął obok.

– Nic – mruknął. – Masz papierosa?

Po chwili obaj zaciągali się dymem.

– Nie ma szans, żeby przeżył – powiedział policjant. – Wojsko pruło do niego z kilku automatów.

Marcin spojrzał ciężkim wzrokiem i wskazał głową miejsce odgródzone taśmą.

– A widziałeś tam gdzieś krew? – zapytał.

Zanim policjant zdążył odpowiedzieć, Marcin odwrócił się i odszedł bez słowa.

32 lata wcześniej

Dziad Prokop siedzi na ławce przed przekrzywioną ze starości chatą pokrytą strzechą i pije wódkę z cynowego kubka. Klnie pod nosem. Wódka ze sklepu mu nie smakuje, a samogon już się skończył.

Chłopiec, o którym wszyscy mówią, że jest debilem, siedzi obok Prokopa i jak zwykle słucha, co stary do siebie mówi. A mówi coraz mniej, chudnie, blednie, skóra mu się marszczy, robi się jakby przezroczysta, zapada się w sobie.

Więc teraz milczy, a chłopiec zdaje się wsłuchiwać w panującą na podwórzu ciszę. Tylko owczarek niemiecki w drugim końcu podwórza od czasu do czasu pobrzękuje łańcuchem, przewracając się z boku na bok.

– Pokaż, jak się goi – odzywa się nagle Prokop.

Chwyta chłopca za ręce, podciąga do góry rękawy i ogląda uważnie świeżo zabliznione rany. Jakiś czas temu przy obiedzie, kiedy Wasyl krzyknął na Marysię, że rozlała zupę, chłopiec bez słowa sięgnął po nóż do chleba i się pociął. Najpierw przejechał ostrzem po wewnętrznej stronie lewego przedramienia od łokcia po nadgarstek, potem to samo zrobił na prawej ręce. Wszyscy patrzyli sparaliżowani, jak krew tryska na biały obrus i do rosółu w talerzach, a jemu twarz nawet nie drgnęła. Jakby nie czuł bólu. Nawet błękitne oczy pozostały puste jak zawsze.

Dziad Prokop zszywał mu później te głębokie rozcięcia igłą i białą nicią na okrętkę. Zupełnie jak w opowieściach z czasów wojny. Znał się na rzeczy. Rany szybko się zrosły i nawet później wyciągnął z nich nitkę.

– Choroszo – mówi teraz i dodaje: – Poczemu ty się pokroił tym nożem, job twoja mat’ sobacza? Ty naprawdę debil jesteś i złydeń.

Potem sięga po butelkę, nalewa do cynowego kubka i pije. Chłopiec od jakiegoś czasu obserwuje Marysię. Dziewczynka kuca przy szopie z sianem, rysuje coś patykiem na ziemi i zerka na niego co chwilę. On już wie. Marysia czegoś od niego chce. Biegnie do niej i kuca obok.

Milczą.

Wreszcie Marysia zbiera się na odwagę i mówi:

– Tak naprawdę to ty nie jesteś moim prawdziwym bratem.

Patrzy jej w oczy, czekając na dalszy ciąg. Na nią patrzy inaczej. Z jakimś błyskiem, którego dorośli nie dostrzegają. Tylko ona.

– Mój brat Stasiek bał się ojca i się schował. Teraz nie chce wyjść. Prosiłam go, żeby wyszedł, ale on nic nie mówi i nie chce. Pewnie dalej boi się ojca.

Na ziemi patykiem narysowała słońce.

– Chcesz zobaczyć Staśka? – pyta Marysia.

On kiwa energicznie głową.

– To chodź. – Dziewczynka ciągnie go za rękę i biegną za stodołę. Zaraz jednak się zatrzymują. Ona patrzy na niego ze strachem.

– Ale nikomu nie powiesz, gdzie się schował Stasiek? – upewnia się.

– Nie – odpowiada chłopiec szybko i niewyraźnie.

Od jakiegoś czasu trochę mówi. Pojedyncze słowa. Tylko Marysia o tym wie, nikt inny nie słyszał jego głosu. Biegną dalej.

Za szopą przechodzą przez dziurę w zniszczonym ogrodzeniu. Biegną po łące, która wznosi się lekko w górę i kończy na linii lasu. Tutaj znajduje się na wpół zawalona ziemianka. Wejście zagrodzone jest zbutwiałymi resztkami płotu, który dawniej ogradzał łąkę. Marysia pokazuje mu, że wystarczy tylko odrzucić kilka sztachet, żeby swobodnie dostać się do drzwi ziemianki.

Dziewczynka bierze go za rękę.

– W środku bardzo nieładnie pachnie – mówi, jakby chciała się usprawiedliwić. – I Stasiek nie chce się ruszyć i jakoś tak dziwnie wygląda. Może ciebie posłucha, też jesteś chłopcem.

Otwiera drewniane drzwi do ziemianki na całą szerokość. Też są spróchniałe. Gdyby nie żelazne okucia, pewnie dawno by się rozpadły.

Do środka wpada światło dnia, rozpraszając mrok. W ich nozdrza uderza mdlący, słodkawy odór zgnilizny. Marysia się krzywi i zasłania nos. Na chłopcu ten zapach nie robi wrażenia. Przecież bodźce ze świata zewnętrznego i tak docierają do niego mocno przytłumione.

Zafascynowany wchodzi do środka.

Marysia staje za jego plecami i mówi:

– Cześć, Stasiek. Nie gniewaj się. Siedzisz tu sam, więc postanowiłam przyprowadzić ci kolegę. On teraz mieszka w domu zamiast ciebie.

Naprzeciw wejścia, pod ścianą, znajduje się ciało chłopca w wieku około dwunastu lat. Ubrany jest w zniszczone łachmany. Wilgoć sprawiła, że odzież sparciła, a na nogawki spodni weszła sinobiała, gruba pleśń. Ciało gnije. Skóra z głowy spłynęła w dół razem z włosami i teraz wisi na jednym skrawku, zasłaniając twarz. Leżące na kolanach dłonie zmieniły się w galaretowatą fioletową masę, w której żyją białe robaki. Światło dnia płoszy stado much, które zataczają w powietrzu kilka kółek i uspokojone siadają na gnijącym ciełe.

– Stasiek, powiedz coś – prosi dziewczynka.

Ku jej rozpaczy brat nie chce jednak nic mówić.

Marysia nie widzi twarzy stojącego przed nią chłopca. Pojawia się na niej trudny do zidentyfikowania grymas. Pierwszy jakikolwiek grymas, odkąd chłopiec wstał z łóżka po wielomiesięcznej kuracji, po tym, jak Wasyl przywiózł go do domu pod lasem w stanie agonii. Po raz pierwszy w jego mózgu wybucha coś, co może być wspomnieniem z życia sprzed wygrzebania się z ziemi. Wydaje mu się, że w tych wspomnieniach widzi leżącego przed nim chłopca.

Tylko żywego. W tym wspomnieniu żywy jeszcze chłopiec mówi coś do niego i śmieje się radośnie. Wspomnienie sprawia, że w piersiach narasta rozkoszne ciepło i rozlewa się po brzuchu. Oczy zaczynają go piec i wilgotnieją. Wyciąga rękę, a jego usta poruszają się, żeby wypowiedzieć imię, które sobie niespodziewanie przypomina.

Zanim jednak z gardła wydobywa się głos, jakiś cień przystania wejście do ziemianki. Oboje się odwracają.

– Mama!

Nastia stoi w drzwiach. Światło ma za plecami, dopiero po pewnej chwili można dostrzec zarys jej twarzy. Nie patrzy na dzieci. Patrzy wprost na opartego o ścianę gnijącego trupa. Niewyraźnie widać, jak zmienia jej się twarz, oczy nagle rozbłyskują jak latarnie, lśnią złowieszczo białka. Z jej gardła wyrывa się nieludzki wrzask. Marysia drga na całym ciele przestraszona. Może jak zwykle sika ze strachu. Pod wpływem tego krzyku nawet po ciele chłopca przebiega dreszcz.

– NIE!!! STASIEK!!!

Potem dzieje się coś niezwykłego. Nastia się uspokaja jak pod wpływem czarodziejskiej różdżki. Wyciąga dzieci z ziemianki, zamyka dokładnie drzwi, przykrywa je deskami. Potem idzie do domu, trzymając Marysię i chłopca za ramiona.

Na podwórku puszcza ich i odchodzi w kierunku szopy. Dzieci stoją jak skamieniałe, kiedy wraca stamtąd z wielką, ciężką siekierą do rąbania drewna na opał.

Nastia podchodzi do dziada Prokopa siedzącego na ławce przed domem i pijącego wódkę z cynowego kubka. Teraz Prokop nie pije. Wpatruje się w Nastię szeroko otwartymi oczami. Kubek w jego dłoni drży niespokojnie.

– Wiedziłeś – mówi cicho Nastia. – Wiedziłeś, skurwysynu, że mój synek nie żyje.

Prokop próbuje coś powiedzieć, lecz przerażenie odbiera mu głos. Porusza tylko ustami i trzęsie się jeszcze bardziej.

– Wiedziłeś, że Wasyl zabił mojego Staśka. Wiedziłeś.

Nie wiadomo skąd w małej, drobnej kobiecie nagle wzięło się tyle sił. Nastia bierze szybki zamach i ostrze siekiery z nieprawdopodobną siłą wbija się w głowę dziada Prokopa. Głowa prawie rozpada się na dwie połówki. Krew tryska fontanną we wszystkie strony. Na pobieloną ścianę budynku, na ławkę, na twarz i piersi Nastii. Prokop charczy, oczy mu gasną i umiera w jednej sekundzie.

Kobieta opiera stopę o jego ramię i wyszarpuje siekiere z głowy. Ostrze jest czerwone, tylko na krawędzi tnącej wiszą jakieś białe włókna. To kawałki mózgu.

Marysia przywiera do stojącego obok niej chłopca i chowa twarz w jego ramię. On tymczasem zastanawia się, kto teraz pozszywa Prokopowi głowę. Przecież to dziad był najlepszy w szyciu ran. Zwykłą igłą i nitką, na okrętkę. Martwe ciało Prokopa wolno przechyla się na bok i spada pod ławkę. Butelka wódki Baltic przewraca się i resztką przypominającego wodę płynu leje się wprost do rozplątanej na dwoje głowy.

– Odłóż tę siekiere! – Głos jest ostry i rozkazujący, wrywa wszystkich z letargu.

Nastia patrzy na Wasyla stojącego w drzwiach do domu. Jej twarz jest szara, blada, oczy zapadły się gdzieś do wnętrza czaszki. Cała spływa krwią.

– Odłóż siekiere, głupia dziwko!

Nastia nagle wiotczeje. Ostrze siekiery z głuchym odgłosem uderza o ziemię, załamują się pod nią nogi i kobieta klęka, opierając się na trzonku. Głowa jej opada.

Wasył podchodzi do niej szybkim krokiem. Na jego twarzy wykwita dziki szal wściekłości. Staje nad nią, wyciąga rękę jak do ciosu, chce coś powiedzieć, gdy nagle kobieta podrywa się gwałtownie. Robi zamach i ostrze siekiery wbija się z boku do połowy szyi Wasyla. Z rozdartej tętnicy tryska gejzer krwi. Na twarzy mężczyzny przez sekundę maluje się bezgraniczne zdziwienie. Wtedy następuje drugi

cios. Oddzielona od tułowia głowa toczy się po ziemi i zatrzymuje dopiero w kałuży gnojówki przy gnojowniku.

Na podwórzu zapada nienaturalna cisza. Ucichł wiatr, nie słychać brzęczenia much, z lasu nie docierają do nich żadne odgłosy. Jakby świat zamarł w tej jednej chwili.

W końcu Nastia rzuca siekierę i odwraca się do dzieci. Wygląda przerażająco. Marysia drży na ramieniu chłopca, jakby dostała ataku epilepsji.

Kobieta podchodzi do nich i popycha w kierunku drzwi do stodoły. Idą przed nią jak bezwolne lalki.

– Nie bój się, Marysiu – odzywa się Nastia zaskakująco ciepłym i spokojnym głosem. – Teraz będzie nam już lepiej. Pójdziemy do Staśka.

Marysia jest pewna, że pójdą do ziemianki pod lasem, więc dziwi się, kiedy skręcają do stodoły.

Kobieta bierze sznur wiszący na kołku obok drzwi, robi pętlę, drugi koniec zarzuca na belkę pod stropem. Petlę zakłada na głowę dziewczynki.

– Teraz będzie nam już dobrze, obiecuję. – Uśmiecha się i pociąga mocno za sznur.

Marysia zachłystuje się, oczy wychodzą jej z orbit, blady język pojawia się między wargami. Wymachuje rozpaczliwie rękami i nogami, wisząc metr nad ziemią. Wreszcie nieruchomieje. Szklistymi oczami wpatruje się z przerażeniem w dal, kołysząc się lekko.

Nastia podchodzi do chłopca i patrzy mu prosto w oczy.

– Ty nie będziesz się bronił, prawda? Przecież i tak już dawno jesteś martwy. Umarłeś pogrzebany żywcem. Nikt cię nie szukał. Nie istniejesz. Nie czułeś bólu, kiedy krociłeś sobie ręce nożem. Tylko umarli nie czują bólu.

Jesteś martwy. Pod wpływem tych słów chłopiec kręci głową. Nie będzie się bronił.

Kobieta stawia obok siebie dwa stare krzesła, przygotowuje dla nich dwie liny z pętlami na końcu, zaczepione do belki stropowej. Oboje stają obok siebie na krzesłach i zakładają sobie pętle na szyje.

Nastia kopie krzesło chłopca, potem przewraca własne. Kilka minut później jest martwa.

Tymczasem chłopiec wciąż żyje. Bo jak może umrzeć ktoś, kto już dawno jest martwy? To nonsens. Nikt nie umiera dwa razy.

Tuż przed tym, jak Nastia przewróciła jego krzesło, między pętlę a szyję wsadził obie dłonie. Teraz co prawda powoli traci oddech i świadomość, ale jeszcze żyje. Dłonie mu słabną, palce zaczynają krwawić, jednak wciąż oddycha. Nie potrwa to długo, zaraz znowu umrze – jakkolwiek głupio i bezsensownie to brzmi. Nie boi się. Przecież wie już, co to śmierć. Zamyka oczy i nagle spada.

Uderza całym ciałem o ubitą, twardą podłogę stodoły. Patrzy w górę. Jego linę Nastia umocowała do zardzewiałego haka wbitego w belkę stropową i hak nie wytrzymał obciążenia. Urwał się.

Chłopiec jest podduszony, osłabiony i nie może wstać. Czołga się więc powoli do wyjścia.

Jest martwy. Od dawna jest martwy.

Część druga

ŚMIERCIOR

29 lat wcześniej

Siedzi na korytarzu i patrzy przez okno. Na ulicy świeci się tylko jedna latarnia. Po drugiej stronie rozciąga się zaniedbany park pełen niepokojących kształtów i cieni. Kiedyś była tam fosa miejska, ale została zasypana. Za linią drzew parku można dostrzec ciemne zarysy resztek średniowiecznych murów obronnych.

Dobiegają go szeptów zza zamkniętych drzwi gabinetu lekarskiego. On ma bardzo wyczulony słuch. Nie tylko słyszy treść rozmowy, ale równocześnie wsłuchuje się w szum liści drzew w parku po drugiej stronie ulicy, targanych podmuchami wiatru.

– Wiesz, że powinienem to zgłosić. – Męski głos należy do dyżurnego lekarza.

– Nie możesz. – Kobieta mówi stanowczo i zdecydowanie.

W jej głosie jest coś hipnotyzującego. Potrafi tym głosem zniewolić. A kiedy wpada w złość i zaczyna krzyczeć, wszystkich paraliżuje strach. Gdy krzyczy, staje się nieobliczalna.

Oczywiście on się nie boi. Nie zna takiego uczucia. Zresztą nie ma żadnych uczuć, nie czuje bólu, nie myśli, nic go nie obchodzi.

Przecież jest martwy.

– Ten chłopak okalecza się już drugi raz. Jak tego nie zgłoszę, mogę mieć kłopoty.

– Przecież nikt się nie dowie. Jesteśmy tu sami. Nie ma nawet pielęgniarki.

– Muszę to zapisać w jego kartotece.

Głos kobiety staje się nagle miękki i kuszący. Jak ona to robi, że potrafi się tak zmienić w jednej sekundzie?

- Nie musisz nic pisać w kartotece.
- Ale posłuchaj...
- Przestań, Zbyszek, jesteś nudny...

Kobieta wydaje z siebie głos przypominający mruczenie kotki, potem słycać odgłosy rozpinania paska do spodni lekarza, uderzenie sprzączki o podłogę, aż wreszcie coś na kształt mlaskania. W gabinecie zapada pełna napięcia cisza.

Ale jego to już nie interesuje.

Od dłuższego czasu mieszka w domu z kilkunastoma chłopcami, takimi jak on. Może nie takimi. Oni żyją, on po prostu trwa między nimi. Na początku go nie zauważali. Potem zobaczyli, że jest inny, niewiele mówi, z nikim się nie przyjaźni. Natychmiast zaczęli go prześladować.

Popychali go, nazywali śmieciem, chowali mu książki szkolne i ubrania. Bili go pod prysznicem, w toalecie wkładali mu głowę do sedesu, wreszcie ktoś nasikał mu do butów.

Znosił prześladowania w milczeniu, ale pewnego dnia przy śniadaniu chwycił nóż i zanim go powstrzymali, pociął sobie głęboko przedramiona. Krew bryzgała na blat stołu i do talerza z zupą mleczną, ale on nie zwracał na to uwagi. Przecież nie czuł bólu.

Po tym incydencie przez chwilę patrzyli na niego inaczej. Miał kilka dni spokoju. Przez cały ten czas czuł na sobie ich pełen obrzydzenia wzrok. Później prześladowania wróciły ze zdwojoną siłą. Ale z nim stało się coś dziwnego.

Zaczepiają go wieczorem, gdy jak zwykle stoi na krześle na tarasie ich domu i obserwuje okolicę. Uwielbia być obserwatorem, czuje się jak kiedyś na dachu domu Prokopów – wolny i szczęśliwy. Patrzy na pobliską wieś szykującą się do snu. Widzi światła w oknach, gospodarzy ostatni raz przed snem doglądających swojej trzody w chlewach i stajniach, słyszy krzyki i szum podniesionych głosów z baru Zacisze, gdzie jak co wieczór zbierają się mężczyźni, by pić piwo, wino i wódkę.

Nie słyszy, jak podchodzą. Ktoś kopie w krzesło i chłopiec spada na twardą podłogę tarasu. A oni się tylko śmieją.

Wtedy jakiś mrok wypełnia jego głowę. W jednej chwili się zmienia. Nie spodziewają się ataku. Pierwszego powala na ziemię ciosem w twarz, na drugiego skacze i przygniata go swoim ciężarem. Kiedy dwaj pozostali próbują go odciągnąć, pokazuje, że mimo wątłego ciała jest bardzo silny i zwinny. Wywija się im, jednego pcha na ścianę, a drugiego przewraca i tłucze jego głową o twardą posadzkę. Robi to, dopóki we trzech nie odciągają go na bok. Kiedy głowa tamtego głucho uderza o podłogę, on czuje wspaniałą falę ciepła rozchodzącą się po całym ciele.

Potem rzucają go w drugi kąt tarasu i jeden z nich wyciąga nóż sprężynowy. Ale on przecież nie zna strachu. Wstaje i atakuje ich ponownie. Wykręca tamtemu rękę i zabiera nóż.

Wtedy wszyscy nieruchomieją przerażeni. Nawet ten leżący na podłodze podnosi się i zwraca ku niemu swoją zakrwawioną twarz. Pewnie boją się, że będzie chciał ich zabić. Ale on tak nie myśli. On wcale nie myśli. Zaczyna głęboko ciąć się nożem po wewnętrznej stronie rąk, po starych ranach, które zszywał dziad Prokop. Zwykłą igłą i nitką. Na okrętkę.

Kiedy kobieta wychodzi z gabinetu, ma zaczerwienioną twarz, rozmazaną szminkę na ustach i wygląda jakoś inaczej.

Chłopiec bez słowa idzie za nią na dół do samochodu. Silnik starego fiata 125 chrobocze ostrzegawczo, potem zaskakuje i warczy nierówno, jakby miał się za chwilę rozpaść. Wyjeżdżają ze Środy Śląskiej drogą na Wrocław. Jadą w milczeniu. Chłopiec skupia się na kształtach pobocza drogi uciekających w słabych światłach samochodu. Dopiero kiedy skręcają w lewo na Miękinię, widzi, że kobieta prowadzi jedną ręką i ciągle zachowuje się dziwnie. Płytko oddycha, drugą ręką masuje sobie jedną z piersi, a na policzkach nadal ma rumieńce. Nagle zjeżdża w polną drogę prowadzącą do

lasu, gasi silnik i światła. Siedzą chwilę, zanim oczy przyzwyczajają im się do ciemności.

Wtedy ona nachyla się nad nim i patrzy mu prosto w oczy.

– Naprawdę cię nie boli? – pyta.

Kręci przecząco głową.

Kobieta chwytą go za świeży opatrunek na prawym przedramieniu i mocno ściska. Szuka na jego twarzy jednego grymasu, który świadczyłby, że on tylko udaje, a tak naprawdę w tej chwili cierpi. Ale nic nie znajduje. Chłopak patrzy na nią bez wyrazu. Jego oczy są jakby puste w środku.

Spod opatrunku wycieka strużka krwi. Toczy się po nadgarstku, przepływa wierzchem dłoni i zaczyna kapać z palców na spodnie chłopca. Kobieta nagle przestaje uciskać jego świeże rany, ale nie puszcza jego ręki, tylko przyciąga ją bliżej. Patrzy zafascynowana na jego zakrwawione palce. Potem zaczyna je oblizywać. Jej podniecenie rośnie. Rozpina bluzkę i biustonosz. W ciemnościach jej duże piersi wyglądają na zupełnie białe. Przyciska do nich dłoń chłopca i smaruje je krwią. Potem podnosi sobie piersi do ust i zaczyna je ssać. W końcu w jej oczach błyska szaleństwo.

Rozpina mu spodnie, sięga ręką i wyciąga jego penisa w pełnej erekcji. Mruczy z zadowoleniem podobnie jak wcześniej w gabinecie lekarskim. Siada na nim okrakiem i wprowadza go do środka. Chłopiec nie może się ruszyć, kiedy ona galopuje na nim coraz szybciej i mocniej. On zaczyna mieć problemy z oddychaniem. Wreszcie ona dochodzi z głośnym jękiem, puszcza go i spazmatycznie łapie oddech. Następnie wraca na miejsce dla kierowcy.

– Ubierz się.

Chłopiec posłusznie wciąga spodnie i patrzy przez przednią szybę na majaczące w ciemnościach drzewa. Mają potworne kształty, jakby pochodziły z głębin piekieł.

Kobieta pali papierosa przy uchylonym oknie. Potem jeszcze jednego. Wreszcie wyrzuca niedopałek i zapina poplamioną jego

krwią bluzkę. Patrzy we wsteczne lusterko i wyciera sobie z ust i policzków jego zastygłą krew. Wreszcie zapala silnik, wycofuje i wyjeżdża na drogę. Zanim rusza, chwyta go nagle za ramię. Patrzy mu w oczy.

– Jeśli komukolwiek o tym powiesz, zabiję cię – mówi. – Zrozumiałeś?

Chłopak nie odpowiada. Patrzy, jakby był sto kilometrów od tego miejsca w lesie przed Miękinią.

Wreszcie ruszają. Do budynku, gdzie mieści się dom dziecka, zostało jeszcze pięć kilometrów. Przez cały ten czas chłopak śledzi zmieniające się kształty pobocza w świetle słabych reflektorów samochodu.

Rozdział 32

Od 22 września 2015

We wtorek wypadła dzień treningowy.

Sebastian Styra, jak to miał w zwyczaju, wyszedł z domu po siódmej rano. Chwilę czekał na windę, a kiedy przyjechała, wprowadził do niej rower. Szczęśliwie nikogo nie spotkał. Przed bramą wpiął buty w pedały i ruszył wolnym tempem. Najpierw kwadrans rozgrzewki, potem przyspieszył. Od dziesięciu lat uczestniczył w górskich maratonach MTB. W sezonie startował co dwa tygodnie, trenował sześć dni w tygodniu.

Z Wejherowskiej wyjechał na Popowicką i ścieżką rowerową pojechał w kierunku mostu Milenijnego. Po drodze napił się izotoniku z bidonu i sprawdził dokładny czas i tętno. Za mostem Milenijnym zjechał w kierunku Lasu Osobowickiego. Przed schroniskiem dla zwierząt na Ślazowej usłyszał ujadanie psów, które gonilo go, dopóki nie skręcił w lewo w Lipską. Wtedy odgłosy szczekania gwałtownie umilkły. Objechał wokół Wzgórze Kapliczne, a potem zmienił przełożenie i wjechał na sam szczyt. Robił tak za każdym razem. To był sygnał do zwiększenia wysiłków. Ze wzgórza ruszył szybciej. Skręcił w prawo i znalazł się w Lesie Osobowickim.

Ścieżkę znał jak własną kieszeń. O tej porze było pusto, poranne rześkie powietrze owiewało mu twarz i gwizdało w uszach. Pełna wolność. Z zadowoleniem zauważył, że mięśnie nóg pracują równo i bez cienia zmęczenia. Jak tłoki w parowozie – pomyślał.

Czuł się dobrze, więc na rozwidleniu ścieżek wybrał tę najtrudniejszą. Jeździł tędy nie częściej niż raz na dwa tygodnie,

kiedy czuł się najlepiej. Ścieżka skręcała w prawo w kierunku terenów wodonośnych. Po drodze trzeba było w dwóch miejscach przejechać po wąskich, zmurszałych kładkach przerzuconych nad zarośniętymi rowami. Dodatkowe utrudnienia. Nikt tędy od lat nie chodził i ścieżka już prawie zniknęła pośród zarośli. Chyba tylko Sebastian jeszcze wiedział, że istnieje.

Pędził pośród zarośli, kiedy niespodziewanie zobaczył przed sobą zwalony pień zagrządzający drogę. Widocznie wiatr przewrócił stary spróchniały dąb. Sebastian był zbyt blisko, żeby się zatrzymać, ale zareagował instynktownie. Nacisnął oba hamulce, skręcił kierownicę, zrobił balans ciałem. Rower sunął chwilę po mokrej trawie, a koła w ostatnim momencie przed zderzeniem ze zwalonym drzewem złapały przyczepność. Zakręcił z całej siły pedałami, lecz nie miał już szans na utrzymanie równowagi. Pojechał w bok, dwa metry dalej przednie koło uderzyło w grubą gałąź odchodzącą od leżącego drzewa i Sebastian przeleciał przez kierownicę. Upadł twarzą w trawę, rower runął mu na plecy. Na szczęście buty wypięły się z pedałów. Chwilę leżał oszołomiony, wreszcie wstał ostrożnie. Odetchnął z ulgą, oprócz bolących pleców i obtartego kolana nie zidentyfikował u siebie poważniejszych obrażeń. Farciarz! Przy takim upadku mógł skręcić kark lub w najlepszym razie złamać obojczyk.

Z trudem się pozbierał, obejrzał rower, wyprostował przekrzywioną kierownicę, sprawdził, czy nie scentrowało się przednie koło, po czym rozejrzał się za bidonem. Nigdzie go nie dostrzegł. Oparł rower o pobliskie drzewo i zaczął szukać.

Dwa metry dalej zobaczył biały kształt owinięty w mokre, poszarpane szmaty. W pierwszej chwili na myśl przyszedł mu wystawowy manekin. Zaciekawiony podszedł bliżej. Rozgarnął gałęzie rosnących tu krzewów i dopiero wtedy zrozumiał, co widzi. Z gardła wydobył mu się nieartykułowany okrzyk, a żołądek skurczył się boleśnie.

Sebastian Styra odwrócił się gwałtownie, upadł na kolana i z wymiotował. Zanim oczy zaszyły mu łzami, wymiotował drugi raz.

Wierzchem prawej dłoni wytarł lepłą, ciągnącą się jak guma arabska wydzielinę z nosa, a palcami drugiej starał się otrzeć łzy płynące z oczu. Wtedy zerknął za siebie na leżące w krzakach zwłoki i z wymiotował po raz trzeci. Na zielonej trawie kawałki zjedzonego rano banana mieszały się z kawą, izotonikiem, żółcią i jeszcze czymś. Rozpoznał niestrawione resztki kolacji. Dopiero po upływie długich kilkunastu sekund pomyślał, że musi zadzwonić na policję.

*

Komisarz Marcin Zakrzewski siedział przy kuchennym stole i w obu dłoniach ścisnął kubek z kawą. Skoncentrowany był głównie na tym, żeby nie wylać zawartości, kiedy podnosił go do ust. Pił małymi łykami, nie chcąc prowokować żołądka. Czuł się paskudnie. A mogło być tylko gorzej. We krwi pewnie ciągle miał jeszcze promil alkoholu. Jeśli nie więcej.

Odstawił kubek i delikatnie dotknął opatrunku. Rozcięte czoło paliło ogniem. Potem wymacał cztery szwy we włosach z tyłu głowy. Też zabolęły, kiedy przycisnął mocniej. Ból wewnętrzny, który poprzedniego wieczoru sprowokował go do sięgnięcia po butelkę whiskey Tullamore Dew, dzisiaj został skutecznie zagłuszony przez kaca. Właśnie o to mu chodziło.

Z pokoju rozległ się dźwięk Whole Lotta Love Led Zeppelin. Marcin jęknął i nie ruszył się z miejsca. Po chwili jednak stanęła przed nim Karina, podając mu telefon.

- Odbierz za mnie – westchnął.
- Zwariowałeś? To prokurator Grabski.
- Halo?

Głos Grabskiego zabrzmiał poważnie, nawet ponuro:

– Grabski z tej strony. Dziś rano w Lesie Osobowickim znaleziono zwłoki dziewczyny. Tak jak przewidziałeś.

Marcin zmusił się do myślenia. Prawie zapomniał o zwłokach Wiktorii Nowak znalezionych na grobli Pracko-Pilczyckiej. Zaraz też

przed oczami stanęły mu obrazy z miejsca zbrodni: naderwana powieka, ślady ugryzienia na piersi, odcisk wielkich dłoni zabójcy i kartka znaleziona w ustach. Cały katalog śladów, które posłałyby sprawcę za kratki do końca życia, i żadnych konkretów.

– Nie chciałem być tak przewidujący – wymamrotał.

– Zaraz wyślę ci współrzędne na telefon. Czekamy tylko na ciebie.

– Nie wiem, czy się nadaję... – zaczął Zakrzewski, ale prokurator mu przerwał:

– Marcin, ta sprawa czeka na ciebie od tygodnia. Znaleźliśmy drugą ofiarę, a nadal nie mamy podejrzanego. Nie mogę czekać dłużej. Nie obchodzi mnie, w co wpakowałeś się w ostatnim tygodniu. Od teraz prowadzisz dla mnie to śledztwo. Przyjeżdżaj.

Marcin znał się z prokuratorem Markiem Grabskim od lat. Przyjaźnili się, Zakrzewski był nawet ojcem chrzestnym jednego z jego synów. Teraz głos prokuratora brzmiał jednak stanowczo i rozkazująco.

– J-jasne.

– Pogadamy na miejscu. Czekam.

Grabski się rozłączył. Karina patrzyła pytająco na Marcina. Dopił kawę i skrzywił się z niesmakiem.

– Niestety, potrzebują nas w innym miejscu. Zbieraj się – mruknął.

– A Satyr? – rzuciła.

– Zapomnij o nim na razie.

– Mówiłeś, że prawdopodobnie udało mu się uciec.

– Może tak, może nie. Na pewno szybko nie wróci. Zresztą Satyrem zajmują się inni. My jesteśmy tylko prostymi gliniarzami z prowincji. Powyżej pewnego poziomu nie podskoczymy.

Wstał i powlókł się do pokoju. Na szczęście środki na ból głowy, które wziął zaraz po przebudzeniu, zaczynały działać. Wrócił do kuchni z szarą kopertą formatu A4. Podał ją Karinie.

– Idę do łazienki, a ty w tym czasie przejrzyj zawartość.

Kiedy po kilku minutach wrócił, zastał Karinę studiującą z najwyższym skupieniem dokumenty związane z zabójstwem

Wiktorii Nowak. Na kuchennym stole rozłożone były fotografie z miejsca znalezienia zwłok.

– I co o tym sądzisz? – zapytał.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Ona nie mogła być pierwsza – stwierdziła.

Popatrzył na nią z uznaniem.

– Też im tak powiedziałem. Teraz prawdopodobnie znaleźli kolejną ofiarę. Jedziemy!

Pojechali autem Kariny. Jej mieszkanie było tak zrujnowane po wizycie Satyra, że nie mogła w nim zostać na noc. Nie chciała narażać znajomych, więc zaczęła szukać hotelu, w którym mogłaby się przespać. Marcin uznał, że szkoda na to pieniędzy, i zaproponował jej nocleg u siebie. Właściwie powiedział, że może u niego zostać do czasu, aż jej mieszkanie będzie nadawało się do użytku. Karina się wahała, lecz w końcu uległa jego argumentom. Tak naprawdę Marcin chciał mieć ją na oku, a ona nie czuła się bezpieczna i wolała nie być sama przez kilka najbliższych dni.

Ciała Satyra nie odnaleziono. Karina i Marcin złożyli obszernie zeznania. Pytania były tak dobrane, że Zakrzewski szybko się zorientował, do czego zmierzają śledczy. Cały gotował się w środku z wściekłości, ale popłynął z prądem pytań. Kozłem ofiarnym został major Sochacki. Marcin miał nadzieję, że szefowie CBS wykorzystali czas na przemyślenie strategii obrony i nie spełni się przepowiednia o dymisjach.

Karinie nic nie powiedział o spotkaniu na terenie browaru. A wieczorem, kiedy tylko dotarli do jego mieszkania na Kossak-Szczuckiej, sięgnął po butelkę i zaczął pić. Reset okazał się skuteczny.

– Powiesz mi coś o wczorajszym wieczorze? – zagadnął, kiedy wjeżdżali na obwodnicę śródmiejską przed Gądowianką.

– Masz aż takie luki w pamięci? – Spojrzała na niego z ukosa.

– Tak jakby – odpowiedział wymijająco.

– Piłeś whisky jak herbatę. Kiedy byłeś już nieźle zrobiony, puszczałeś w kółko Livin' on the Edge Aerosmith i powtarzałeś, że to kawałek z przesłaniem. Mętnie tłumaczyłeś to przesłanie. Niewiele zrozumiałam. Ale utwór faktycznie jest dobry. Do dziesiątego przesłuchania ciągle mi się podobał.

– J-jasne.

Zatrzymali się na światłach przy zjeździe z Gądowianki.

– Następných kilka godzin spędziłeś w łazience na rozmowie z toaletą.

– Przepraszam, żaden ze mnie gospodarz.

– Nie czekałam, aż skończysz, tylko poszłam spać. – Uśmiechnęła się.

*

Na poboczu, na małym leśnym parkingu zatrzymał się samochód techników kryminalistyki. Obok stało kilka nieoznakowanych aut i policyjny radiowóz. Karina ledwo wcisnęła się na ostatni skrawek wolnego miejsca. Dalej poprowadził ich mundurowy. Szli kilkaset metrów ścieżkami, którymi kilka godzin wcześniej jechał Sebastian Styra. Już wkrótce mieli buty i spodnie mokre od rosy. Dzień był pochmurny, zerwał się nieprzyjemny wiatr. Zanim doszli na miejsce, zaczął kropić deszcz.

Technicy zdążyli już rozłożyć namiot w miejscu, gdzie leżały zwłoki. Robert Rajcza w białym kombinezonie pochylał się nad ciałem. Asystowała mu tak samo ubrana młoda kobieta. Zakrzewski widział ją po raz pierwszy. Kiedy ich spojrzenia się na chwilę skrzyżowały, zmieszana odwróciła wzrok. Wyglądała na studentkę albo praktykantkę. Wokoło krążył fotograf, uwieczniając miejsca oznaczone przez techników tabliczkami z kolejnymi numerami.

Kilka metrów dalej, pod rozłożystym drzewem chroniącym przed kroplami wzmagającego się deszczu, stał Grabski w towarzystwie

dwóch mężczyzn i kobiety. Z tego, co kojarzył Marcin, byli nowymi pracownikami wydziału i mieli małe doświadczenie operacyjne.

Karina podeszła do kolegów z wydziału i przywitała się z nimi krótkim uściskiem dłoni. Marcin skinął im tylko głową i zbliżył się do namiotu rozstawionego nad ciałem. Przykucnął i dokładnie omiół wzrokiem otoczenie. Był przyzwyczajony do widoku zwłok w różnych stadiach rozkładu i barbarzyńsko okaleczonych. Jednak ten widok nie zostawił go obojętnym. Przełknął ślinę, czując żółć napływającą do gardła. Musiał zrobić się biały na twarzy, bo Rajcza zerknął na niego ciekawie i już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

Zwłoki były zagrzebane do połowy w ziemi. Nie miały twarzy. Pozbawionymi gałek ocznych, dziurawymi oczodołami patrzyła w niebo wyszczerzona w uśmiechu czaszka. Pokryta była poczerniałymi szczątkami tkanki na brodzie i na jednej z kości policzkowych. Resztką czarnych włosów zsunęła się na tył głowy, odsłaniając kość. Nie było też jednej z piersi. Pozostała po niej czarna plama naznaczona początkami procesów rozkładu. Wyblakła bluzka była rozerwana, miejsce rozerwania postrzępiło się na wietrze. Drugą pierś i szyję pokrywały czarne plamy – sińce, prawdopodobnie ślady dłoni zabójcy. Bardzo dużych dłoni. W podbrzuszu ofiary ziała wielka dziura. Zakrzewski musiał się dokładnie przyjrzeć, zanim zrozumiał, że stercząca w górę biała kość jest kością łonową, pozbawioną zupełnie skóry i tkanki.

Musiał nieświadomie zakląć pod nosem, ponieważ technicy spojrzeli na niego równocześnie. Rajcza przerwał na chwilę czynności i powiedział przytłumionym głosem:

– Była przysypana cienką warstwą ziemi. Ciało musiały odślonić leśne zwierzęta albo może ta nawałnica w lipcu. Pojawili się padlinożercy, to one zjadły jej twarz i dobrały się do łona i brzucha.

Nawet on wyglądał na poruszonego. Marcin wielokrotnie zastanawiał się, gdzie leży granica wytrzymałości kryminalnych na okropieństwa, z jakimi spotykają się w pracy. Zawsze, kiedy

wydawało mu się, że już nic nie jest w stanie nim wstrząsnąć, szybko okazywało się, iż jest w błędzie.

– Jak sądzisz? Długo tu leży?

– To nie serial o genialnych technikach kryminalistyki z Miami – wycedził Rajcza. – Będzie w raporcie z sekcji zwłok.

– Przecież wiesz, że mnie nie interesują daty ani godziny.

– Od początku lata.

– Dlaczego nie nastąpił rozkład?

– Słońce i brak deszczu zadziałały jak suszarka – wyjaśnił Robert.

– Sprawdzalem, nogi w ziemi są w zaawansowanym stanie rozkładu.

Marcin znowu przełknął gorzką ślinę.

– Ten sam sprawca?

– Odciski wielkich dłoni, uduszenie, takie samo ułożenie zwłok, no i to.

Z torby wyciągnął plastikowy woreczek strunowy i podał go Marcinowi. Ten rzucił tylko okiem i poczuł, jak serce zaczyna mu żwawiej pompować krew. W środku był zmięty strzęp pożółkłego papieru pokrytego brązowymi plamami, a na nim koślawe litery składające się w dwa słowa: „Brudna dziwka”.

– Ten papier miała w ustach. Jest w gorszym stanie niż poprzedni. Dłużej musiał znosić warunki atmosferyczne, no i niezbyt sprzyjające było miejsce, do którego został wciśnięty.

– Masz inne ślady?

– Uplętnęło dużo czasu. Mamy sporo tropów zwierząt. – Tym razem odezwała się młoda techniczka pracująca z Rajczą.

Zaraz zamilkła, jakby się przestraszyła, że wtrąciła się w ich rozmowę.

– Poznajcie się – powiedział Robert. – To przyszłość naszej techniki kryminalistycznej, Marta Mickiewicz. Tego komisarza znasz.

Skinęli sobie tylko głowami. Okoliczności nie pozwalały na uścisk dłoni.

– Uprzedzając twoje pytanie: nie wiemy, czy została zgwałcona – ciągnął Rajcza. – Nie mam pojęcia, czy lekarzowi uda się to

jednoznacznie stwierdzić. W tym miejscu brakuje sporego kawałka ciała. Nie ma też żadnych artefaktów w stylu szminki, grzebienia czy bukietów polnych kwiatów.

– Kto odkrył zwłoki? – Dopiero gdy Karina się odezwała, Zakrzewski zauważył, że stoi obok i podobnie jak on, dokładnie ogląda zwłoki.

– Rowerzysta – odpowiedziała Marta.

– Rowerzysta, tutaj?

– Trenuje wyścigi górskie. Gdyby się w tym miejscu nie poślizgnął i nie przewrócił, jeszcze długo nikt by jej nie znalazł.

Rajcza popatrzył na Karinę, po czym jego wzrok ostentacyjnie powędrował w dół. Ale wbrew temu, co sobie pomyślała, nie oceniał jej kobiecych kształtów.

– Tak na marginesie – rzucił – stoisz w jego wymiocinach.

– Szlag!

Odskoczyła w bok i zaczęła wycierać w trawę podeszwy butów. Na twarzach policjantów pod drzewem pojawiły się uśmiechy. Karina posłała im ponure spojrzenie i uśmiechy zgasły.

Dopiero teraz Marcin zauważył, że młodzi śledczy uważnie obserwują każdy jego gest i wsłuchują się w każde słowo. Nie zanotował, kiedy stał się autorytetem i wzorem do naśladowania. Nie był przekonany, czy taka pozycja mu odpowiada.

Prokurator Grabski odciągnął go na bok. Deszcz się nasilił. Drzewo miało rozłożystą koronę, lecz i tak zaczęły na nich kapać grube krople z liści. Marek też dostrzegł, jak patrzą na Zakrzewskiego młodzi śledczy.

– Musisz się do tego przyzwyczaić – stwierdził. – Wszyscy chcą poznać metody pracy komisarza Trupiej Czaszki.

Trupia Czaszka. W czasie urlopu Marcin zapomniał już, że przyłgnęła do niego taka ksywka. Wymyśliły ją media, kiedy opisywały zakończony kraksą na skrzyżowaniu Grabiszyńskiej i Hallera pościg dwóch motocykli. Z racji malowania na kasku nazwały go Trupią Czaszką. Życzliwi koledzy z pracy szybko to

podchwycili i został komisarzem Trupią Czaszką. Zupelne kretyństwo i żenująca dziecinada, ale gdyby próbował walczyć, prawdopodobnie tylko pogorszyłby swoją sytuację. Lekceważąc przezwisko, zwiększał szansę, że kiedyś się znudzą i zapomną.

Grabski wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował Marcina. Po chwili zaciągali się dymem.

– Jeszcze nie zacząłeś kupować fajek? – zapytał prokurator.

Zakrzewski pokręcił głową.

– Jeśli zacznę kupować swoje, szybko wpadnę w nałóg.

– Sprytnie – podsumował Marek i zaraz zmienił temat. – Od tej chwili jesteś szefem grupy śledczej. – Wskazał wzrokiem stojącą nieopodal grupkę. – To są twoi ludzie. Tylko oni, ani jednej osoby więcej. Będziecie musieli jakoś sobie poradzić.

– Marek, nie nadaję się do zarządzania zespołem. – Marcin próbował protestować. – Najlepsze efekty osiągam, kiedy pracuję sam.

– Prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie to. Ja prowadzę śledztwo w sprawie tych zabójstw, a ty i twoja grupa ze mną współpracujecie. Nie chcę słyszeć ani słowa sprzeciwu.

Marcin spojrzał jeszcze raz w kierunku techników pod namiotem i trójki funkcjonariuszy obserwujących ich ciekawie.

– Dlaczego tylko oni? – zapytał.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, policja musi dbać o wydatki, a po drugie, nikt nie może się dowiedzieć o tych zabójstwach.

– Masz do nich zaufanie? – Marcin spojrzał na młodych policjantów.

– Musimy zaryzykować.

– Media zaraz coś wywąchają. Nie da się tego utrzymać w tajemnicy.

– Spróbujemy odwlec ten moment. Sytuacja jest dla nas bardzo sprzyjająca. Mamy w kraju największą aferę policyjną od czasu strzelaniny w Magdalence.

Marcin skrzywił się, jakby bolały go zęby.

– Wiesz coś więcej?

– Możliwe, że nie będzie żadnej czystki na szczytach – odezwał się po chwili Marek. – Mieli kilka godzin, żeby uzgodnić rozsądną linię obrony. Nie czytałeś dzisiejszej prasy? Ataku dokonał islamski terrorysta, który planował w naszym kraju serię zamachów. Był od jakiegoś czasu namierzany przez służby, nie wiadomo jak się zorientował, że jest śledzony, i otworzył ogień przy próbie zatrzymania. Zanim wpadł do rzeki, został zastrzelony przez wojsko na moście. Odra to zdradliwa rzeka i może minąć kilka dni, a nawet tygodni, zanim odda ciało. Trwają intensywne czynności śledcze. Wiesz, trzeba rozpracować siatkę islamistów w Polsce.

– Woda na młyn przeciwników imigrantów.

– Kogo obchodzą jacyś głodni i bezdomni wyznawcy islamu, uciekający przed wojną domową, kiedy trzeba chronić własną dupę albo zapewnić sobie władzę?

Przez kilka minut milczeli.

– Ludzie nie mogą się zbyt szybko dowiedzieć, że oprócz terrorysty z ISIS po ulicach Wrocławia chodzi gwałciciel i morderca w jednej osobie. I jeszcze jedno.

Marcin podniósł na niego zmęczone spojrzenie.

– Musisz na jakiś czas zniknąć. – Grabski odwrócił wzrok. – Pewnie ktoś już zauważył, że na miejscu masakry był komisarz Zakrzewski. Lepiej, żeby twoje nazwisko nie pojawiało się w tym kontekście zbyt często. Najlepiej, jakby wcale się nie pojawiło.

– J-jasne.

– Masz szansę. Dostałeś swoją grupę śledczych, chowacie się w cieniu wielkiej afery terrorystycznej i robicie swoje. Z waszym szefem, Godleckim, wszystko już załatwione. Jemu też zależy, żebyście pracowali w ciszy, spokoju i nie rzucali się zbyt w oczy. Tylko że z innych powodów. Wiesz, jakich.

Zakrzewski pokiwał głową.

– I jeszcze jedna rada. – Marek chrząknął. – Pochwal ich od czasu do czasu. Uznanie w twoich oczach da im kopa do działania.

Wrócili do śledczych. Marcin jeszcze raz się z nimi przywitał, każdemu podał rękę i popatrzył w oczy.

– Od tej chwili pracujemy razem – oznajmił. – Śledztwo objęte jest klauzulą tajności. Działamy zespołowo. Jeśli ktoś ma solowe pomysły, najpierw muszą trafić do mnie. Jasne?

Odpowiedziały mu poważne spojrzenia.

– O czternastej narada u mnie w biurze. Przynieście pączki i dobrą kawę. Nie lubię, jak ktoś się spóźnia.

Zakrzewski odwrócił się na pięcie i poszedł ścieżką w kierunku głównej ulicy i parkingu. Karina ruszyła za nim. Kiedy byli już odpowiednio daleko, żeby nikt ich nie usłyszał, zapytała:

– Lubisz pączki?

Spojrzał na nią z ukosa.

– To był żart – odpowiedział.

Parsknęła śmiechem.

– Mogę się założyć, że i tak przyniosą.

Rozdział 33

Starszy aspirant Jacek Felman był na zwolnieniu lekarskim, które zaczynało się przeciągać, i na razie nie miał wielkich nadziei, że lekarze pozwolą mu na powrót do pracy. Na początku był poirytowany. Siedzenie w domu było dla niego udręką. Zawsze roznosiła go energia, stagnacja trochę go przerażała. Potem się przyzwyczył. Nareszcie miał czas wyskoczyć na ryby, pomagał córkom w lekcjach, oglądał z żoną seriale w telewizji, w końcu zaczął gotować obiady i nagle okazało się, że nie chce wracać do pracy. Zastanawiał się, co w takim razie mógłby robić. Pensja w policji była marna, gdzieś indziej Felman zarobiłby pewnie więcej. Cholerne czasy! Policjanci w najniższych grupach zaszeregowania narażali zdrowie i życie, a zarabiali tak kiepsko.

Z początku obrażenia nie wydawały się groźne. Ratownik medyczny z pogotowia ratunkowego stwierdził stłuczenie okolicy prawego ucha i krwiak po drugiej stronie głowy. Zalecił kilka dni odpoczynku i obserwację. Ale Karina się uparła, żeby wzięli Jacka do szpitala na szczegółowe badania. Zawsze była wyjątkowo ostrożna. Jacek trafił na SOR Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego przy ulicy Borowskiej. Tam zajął się nim młody lekarz, który miał w sobie to coś, co odróżnia dobrych lekarzy od zwykłych konowałów. Chciało mu się.

Po kompleksowych badaniach okazało się, że Jacek Felman ma uszkodzone bębienki w obojgu uszach. Stąd brało się to irytujące brzęczenie, które nie dawało mu spokoju, odkąd ocknął się na trawniku za biurowcem na Granicznej. Potem był ciąg

specjalistycznych badań i wizyt na szpitalnych oddziałach laryngologii. Leczenie się przeciągało, a on coraz bardziej przyzwyczajał się do myśli, że nie wróci już do policji. Na pewno nie do patroli. Mógłby pracować w biurze, ale czy ktoś przesunie go na takie stanowisko?

Zrobił sobie właśnie popołudniową kawę i miał zamiar zabrać się do obierania ziemniaków na obiad, kiedy zabrzmiał nerwowy dzwonek do drzwi.

– Kogo licho niesie? – szepnął pod nosem.

Odłożył obieraczkę do ziemniaków na kuchenny blat i poszedł otworzyć. Przed drzwiami stała dziewczyna z długimi, ciemnymi włosami. Felman przez chwilę zastanowił się, dlaczego jest taka smutna.

– Dzień dobry – odezwała się niepewnie.

– Dzień dobry. – Skinął głową, patrząc na nią pytająco.

Dziewczyna przełknęła ślinę, jakby zbierała się w sobie, wreszcie powiedziała:

– Nazywam się Anna Wiśniewska. Mieszkam cztery bloki dalej na tej samej ulicy. Czy pan Jacek Felman?

– To ja... Czy ty jesteś córką Zbyszka Wiśniewskiego? – Wreszcie sobie przypomniał.

– Tak.

– Kolegowaliśmy się kiedyś, zanim nie... – Felman nagle zamilkł, żeby nie powiedzieć tych kilku słów za dużo, i dokończył niezgrabnie: – ...no wiesz.

– To było dawno – uratowała go dziewczyna. Sprawiała wrażenie rozsądnej i poukładanej. – Czy pan jest policjantem?

– Akurat przebywam na zwolnieniu lekarskim, ale... no tak, jestem policjantem.

– Czy mogłabym z panem dziesięć minut porozmawiać? Proszę! Zaskoczony otworzył szerzej drzwi.

– Oczywiście, wejdź.

Wpuścił ją do przedpokoju, potem wskazał duży pokój i fotel przy ławie. Sam usiadł po drugiej stronie. zaproponował Ance coś do picia, ale pokręciła głową.

– Jak się czuje twoja mama? – zapytał. – Słyszałem, że chorowała.

– Po śmierci ojca wpadła w depresję, ale ostatnio jest już lepiej.

Felman postanowił, że zanim znowu się odezwie, dwa razy ugryzie się w język. Kiedyś trochę przyjaźnił się z rodziną Wiśniewskich. Do tamtego feralnego dnia, kiedy Zbyszek Wiśniewski zginął w głupim wypadku samochodowym. Nawet był wtedy z patrolem na miejscu zdarzenia. Może dlatego później nie kontaktował się z wdową po Zbyszku? Co miał jej powiedzieć? Do dzisiaj stał mu przed oczami widok zmasakrowanych ciał. Teraz dopadły go wyrzuty sumienia. Może powinien był im wtedy pomóc w ciężkich chwilach? Ale jak?

Postanowił, że chociaż w części postara się zrewanżować. Pomoże Ance bez względu na to, z czym dziewczyna przychodzi.

Fiolka przypomniała sobie dawnego znajomego jej rodziców, gdy poprzedniego wieczoru przeglądała rodzinne zdjęcia. Na jednej z fotografii zobaczyła swojego ojca na podwórzu przed blokiem w towarzystwie mężczyzny w mundurze. Uświadomiła sobie, że widuje tego policjanta w osiedlowych sklepach i w kościele na mszy. Zapytała matkę, kto to jest, i tak trafiła do mieszkania Felmanów. Nawet urwała się wcześniej ze szkoły, bo nie mogła się doczekać rozmowy. Koniec miesiąca zbliżał się nieubłaganie, ktoś musiał im pomóc.

Teraz siedziała w fotelu i poczuła, że stres jej mija. Felman zrobił na niej dobre wrażenie.

– Chciałabym pana zapytać, co mam zrobić w sytuacji, gdybym powzięła podejrzenie, że mogło zostać popełnione przestępstwo – zaczęła ostrożnie.

– Normalnie takie sprawy zgłasza się do prokuratury rejonowej – odpowiedział szybko. – Albo do najbliższego komisariatu policji.

– A jeśli w grę wchodzi podejrzenie dokonania morderstwa?

Felman zamilkł, oceniając, czy Anka mówi poważnie. Nie wyglądała, jakby żartowała.

– Procedura jest taka sama – odparł. – Tyle że w tym przypadku obywatel ma obowiązek powiadomić organy ścigania. Za niedopełnienie tego obowiązku może grozić kara pozbawienia wolności.

Myślał, że nastraszy dziewczynę, ale ona odetchnęła i wyraźnie się uspokoiła.

– Słyszał pan o tych samobójstwach na osiedlu? – zapytała. – To byli moi przyjaciele od dzieciństwa. Myślę, że zostali zamordowani.

Felman milczał. Patrzył na nią z nieokreślonym wyrazem twarzy. Anka przypomniała sobie, że musi być twarda. Nawet się nie zaczerwieniła, tylko spojrzała policjantowi prosto w oczy.

– Panie Jacku – odezwała się łagodnie. – Bardzo liczę na pana pomoc. W niebezpieczeństwie może być kilka osób. Nikt nie traktuje nas poważnie. Może dlatego, że jesteśmy w takim głupim wieku, jeszcze nie dorośli, ale już nie dzieci. Niech mnie pan wysłucha, potem sam pan oceni, czy zmyślam.

Jacek Felman pokiwał głową. Przed chwilą obiecał sobie, że w imię znajomości z jej nieżyjącym ojcem spróbuje jej pomóc. Musiał dotrzymać obietnicy.

Rozdział 34

Krajowa ósemka w kierunku Ząbkowic Śląskich prowadziła przez wioski i małe miejscowości. Wyprzedzanie przy tym natężeniu ruchu było niezbyt rozsądne, dlatego dostosował tempo do kolumny aut. Słuchał muzyki. The Allman Brothers Band w utworze *Dreams* mierzyli się akurat ze smutkiem po rozstaniu z piękną kobietą i przyrzekali, że zawsze będą o niej marzyć, kiedy dojechał wreszcie do Ząbkowic. Przed ruinami zamku skręcił w prawo na Stoszowice. Pozostało mu tylko osiem kilometrów do celu – wioski Lutomierz.

Krzysztof Salitra cieszył się, że przypomniał sobie o tej płycie. Znalazł ją na półce głęboko za innymi płytami. Kawał dobrego grania. Minął tablicę z nazwą Lutomierz i jechał wolno, rozglądając się. Przy samym końcu wioski zobaczył polną drogę odchodzącą w lewo. Po obu stronach rosły drzewa. Salitra skręcił i jeszcze bardziej zwolnił. Wybujała trawa na rozdzielającym koleiny pasie zieleni szorowała o podwozie forda. Po chwili dojechał do zamkniętej na kłódkę drewnianej bramy. Bluszcz wplótł się między sztachety i zagarnął jedno skrzydło dla siebie.

Przy bramie czekał już na niego mężczyzna w roboczym ubraniu schowany przed deszczem pod wyblakłym parasolem z kwiatowym ornamentem na rancie. To był sołtys Eugeniusz Wierzbicki, z którym Salitra się tutaj umówił. Poznali się kilka lat wcześniej, kiedy Salitra pisał artykuł o dopłatach unijnych dla rolników. Wierzbicki złożył parasol i zajął przednie siedzenie auta. Przywitali się bez słowa mocnym uściskiem dłoni.

Salitra znowu starannie wybrał opowiadanie o Śmierciorze i skojarzone z nim prawdziwe zdarzenie. Dwa lata temu w gospodarstwie, przed którym się znajdowali, mężczyzna powiesił żonę i dzieci na belce w szopie, a potem sam się powiesił na strychu domu. Pisały o tym wszystkie dzienniki na Dolnym Śląsku. Tragedia wstrząsnęła regionem. Policja szybko ustaliła, że mężczyzna pił. Stracił pracę i prawdopodobnie wpadł w depresję. Wszystkie te czynniki pewnego dnia się skumulowały i mężczyzna targnął się na życie rodziny i własne.

Deszcz bębnił o dach samochodu. Salitra włączył szybszy bieg wycieraczek i patrzył na zabudowania. Nic szczególnego: mały dom, obok w połowie drewniana, w połowie murowana stodoła. Od razu było widać, że budynki są opuszczone.

– Pamiętam, jakby to było wczoraj – zaczął sołtys monotonnym głosem, jakby po raz setny opowiadał tę samą historię. Pewnie tak było. – Ja ich tu znalazłem. Ale tylko Zośkę i dzieci. Myślałem, że ich ktoś zabił. To znaczy nie Wiesiek, tylko ktoś zupełnie inny.

– Dlaczego pan tak pomyślał?

– Nie przyszło mi do głowy, że Wiesiek Jakubowski jest w stanie zrobić swojej rodzinie takie okropieństwo. Wisieli w stodole na belce stropowej. Znaczą, Zośka wisiła i jej córka. Chłopak leżał na ziemi i wyglądało, jakby próbował sięczołgać do wyjścia, ale nie dał rady i umarł po drodze.

– Jak to? Nie został powieszony?

– Został. Tylko lina się urwała i spadł. Zresztą słyszałem później, jak policjanci mówili, że wcale się nie urwała, tylko Wiesiek ją odciął, a potem tak ułożył ciało syna. Nie wiem, może mu się szkoda zrobiło, ale było już za późno. Ja to wszystko słyszałem, jak mówili policjanci z Ząbkowic. Potem, nie wiadomo dlaczego, trzymali to w tajemnicy.

Salitra uchylił okno i pociągnął elektronicznego papierosa.

– Policja go znalazła? – zapytał.

– W domu na strychu. – Wierzbicki pokiwał głową. – Wielka tragedia dla całego Lutomerza. Tu nigdy nic straszniejszego się nie zdarzyło i daj Boże, żeby już nigdy.

– Jaki on był?

– Wiesiek? Dusza nie człowiek. Cała rodzina była bardzo dobra i zgodna. Dzieci zadbane, Zośka uśmiechnięta, co niedzielę obowiązkowo na mszy. On był rzeźnikiem, wszystkim w okolicy świnie oporządzał. Miał zlecenia od ludzi z całej gminy, a może i jeszcze dalej. Biedni byli, ale nie narzekali. Zośka zawsze gdzieś dorobiła, mieli zasiłki z pomocy społecznej, on też czasem nieźle zarobił, obrabiali kawałek pola ten z tyłu, trzymali świnie, krowę, kury. Zawsze mieli co do garnka włożyć, dzieci dobrze się uczyły.

– A jednak coś było nie tak.

Sołtys popatrzył ponuro na Salitrę, a potem na dym z papierosa, który wylatywał przez uchylone okno i zaraz zniknął w deszczu.

– Było, panie redaktorze, było. Wszyscy stawiali Wieškowi wódkę, a on nigdy nie odmawiał. No i zaczął pić. Bywało, że miesiąc nie trzeźwiał. Potem zaczynały się awantury, kiedy żona nie chciała mu dawać pieniędzy albo chowała wódkę. Po pijanemu wychodził z niego diabeł. Ot i cała historia. Pewnie policja miała rację, że w końcu nie wytrzymał i się powiesił. Ale dlaczego nie zrobił tego sam, po cichu, tylko najpierw całą rodzinę powiesił... Pewnie nikt już się tego nie dowie.

– Pewnie nikt. – Krzysztof przytaknął, a potem odwrócił się do sołtysa i spojrzał mu w oczy.

– Panie Gienku, a teraz niech mi pan powie to, czego nikt nie powiedział policji.

Wierzbicki wbił w niego przestraszone spojrzenie. Salitra trafił w dziesiątkę.

– Ale... – zaczął sołtys i nie dokończył. – Powiedzieliśmy wszystko.

– Musimy się dobrze zrozumieć. – Krzysztof mówił uspokajającym tonem. – Ja wcale nie twierdzę, że pan coś ukrył przed policją. Wiem

tylko, że są pewne rzeczy, o których ciężko jest opowiedzieć, składając zeznania. Zawsze ludzie coś gadają, ktoś coś widział, ale nie wiadomo co i kto. Tego się oficjalnie nie mówi, żeby nie skłamać.

– No tak. – Sołtys pokiwał głową uspokojony.

– Niech pan pamięta, że ja nie jestem z policji, obowiązuje mnie tajemnica dziennikarska. Nie zdradzam źródeł. Mniej więcej wiem to, co wie policja, ale chciałbym wiedzieć więcej.

Wierzbicki milczał. Patrzył przez szybę na zarastającą trawą podwórko.

– Był taki jeden. – Zdecydował się wreszcie.

– Kto?

– Nie wiem. Nietutejszy. Zdaje się, że przez kilka dni nawet mieszkał w szopie, ale nagle zniknął. Podobno Wiesiek go przyprowadził po pijanemu. Jak Zośkę pytali, to ona mówiła, że nikt u nich nie mieszka, ale ludzie tego obcego widzieli.

– Kiedy to było?

– Na początku września, jak jeszcze było ciepło.

Salitrze przyspieszył puls.

– Jak wyglądał?

– Każdy mówi co innego. – Sołtys westchnął. – Ja nigdy go nie widziałem, ale niektórzy gadali, że dziwny był. Wyglądał jak pokraka. Podobno jakiś kaleka. Proszę zrozumieć, panie redaktorze, już później nie znalazł się nikt, kto by go widział na własne oczy. Tylko plotka taka była. Dlatego pewnie nikt policji nie powiedział.

– Doskonale rozumiem. – Salitra postukał palcami w kierownicę. – Mogę tam wejść?

– Brama jest zamknięta na kłódkę. Furtka tylko na skobel. Podobno sąd szuka spadkobierców. Nikt z wioski tu nie przychodzi, baby mówią, że to złe miejsce. Wie pan, my prości ludzie jesteśmy.

Salitra wysiadł z auta. Podziękował za parasol, który podał mu sołtys. Wszedł na podwórze i zbliżył się do ganku domu. Zatrzymał się na chwilę. Wokoło panowała nienormalna cisza, słychać było

tylko jednostajny szum deszczu. Nic dziwnego, że ludzie bali się tu przychodzić.

Obszedł dom dookoła, zajrzał do okien z tyłu. W środku też panowała cisza i bezruch. Dostrzegł kształty mebli, stołu, w pokoju na szafce stał stary telewizor.

Wyszedł na podwórze z drugiej strony i wrócił prosto do samochodu.

– Z tyłu domu jest zbita szyba – powiedział.

– Pewnie jakieś dzieciaki się tu zakradły i rzucały kamieniami. – Gienek wzruszył ramionami.

W milczeniu wycofali i Salitra odwiózł sołtysa do domu położonego kilkadziesiąt metrów dalej przy głównej drodze. Podziękował za informacje, wymówił się brakiem czasu z zaproszenia na kawę i odjechał.

Wcześniej na mapach Google obejrzał dokładnie gospodarstwo Jakubowskich i teren wokół. Przypuszczał, że oprócz głównej drogi jest jeszcze ścieżka od drugiej strony. Musiał tylko tam trafić. Chciał wrócić do tego domu i wszystko zbadać.

Kilkaset metrów od domu sołtysa skręcił w wąską drogę w prawo, która urywała się za zaoranym polem. Tam zostawił samochód i dalej poszedł pieszo, wyposażony tylko w latarkę i aparat fotograficzny marki Canon. Szedł ścieżką po między, gęste krzaki skutecznie zasłaniały go przed ewentualnymi ciekawskimi spojrzeniami od strony najbliższych zabudowań. Po lewej stronie ciągnęły się pagórkowate pola uprawne, które kończyły się na linii lasu.

Po pięciu minutach marszu doszedł do zmurszałego płotu. Spojrzał za krzaki rosnące przy płocie i upewnił się, że dobrze trafił. Wyraźnie widział przed sobą tył stodoły i wyłaniający się zza niej kawałek domu. Szybko znalazł dziurę w płocie i przecisnął się na podwórze.

Wyciągnął aparat fotograficzny i zrobił kilka zdjęć. Następnie poszedł na tył domu i łokciem wybił szybę w oknie do dużego pokoju

z telewizorem. Gdyby ktoś się zainteresował tą szybą, Salitra miał już alibi. Powiedział o niej sołtysowi kilkanaście minut wcześniej.

Włożył lateksowe rękawiczki i otworzył okno, strącając na podłogę doniczkę z wyschniętym kwiatkiem, której wcześniej nie zauważył.

– Cholera! – mruknął i wskoczył do pokoju.

Tu zatrzymał się i nasłuchiwał. Cisza aż dzwoniła w uszach. W niewietrzonym i nieogrzewanym od dwóch sezonów domu powietrze zatęchło, czuć było wilgocia i grzybem. Wszystko przykryła gruba szara warstwa kurzu. Kurz czasu – pomyślał.

W każdym opowiadaniu o Śmierciorku autor wspominał o kurzu czasu, pod którym kiedyś świat nieodwołalnie zniknie. Tutaj jego ponure proroctwa już zaczęły się spełniać.

Salitra poszedł do kuchni, potem do sieni, zajrzał na schody prowadzące na poddasze, wrócił do pokoju i przyjrzał się odbiornikowi telewizyjnemu. Wszystko było dokładnie tak samo, jak w opowiadaniu.

Autor musiał być w tym domu. Bo skąd znałby układ pomieszczeń, skąd wiedziałby o telewizorze, o schodach po prawej stronie? Tylko czy był tu po tragedii, czy przed nią? A może... w trakcie?

Pokraczna postać, o której nie dowiedziała się policja, niepokojąco przypominała Obserwatora, o którym opowiadali mu młodzi ludzie w elewatorze na Rychtalskiej. A Obserwator miał swojego przyjaciela, protektora i obrońcę. Salitra nie bardzo wiedział, jak można było określić ich relację. Czy Śmierciork istniał naprawdę? Kto pisał te opowiadania? Pokraczna postać, pewnie kaleka bez rąk? Tylko niby jak pisze bez rąk? Może jednak ktoś inny? I dlaczego ten kaleka pojawia się wszędzie tam, gdzie ktoś później popełnia samobójstwo?

Salitra opanował chaotyczne myśli i ruszył w obchód po domu. Przerażającą ciszę zakłócały skrzypienie podłogowych desek i trzask migawki aparatu.

Znieruchomiał.

Wydawało mu się, że równocześnie z odgłosami własnych kroków usłyszał kogoś innego – gdzieś z boku albo może z góry. Kiedy jednak się zatrzymał, wszystko ucichło. Nasłuchiwał w napięciu. Stukot deszczu o parapet, trzask w kącie pokoju, drugi dochodzący z kuchni, skrzywienie na poddaszu. Normalne dźwięki starego domu. Odetchnął głęboko i ruszył dalej. Mózg płata mu figle.

Wszedł na poddasze. Zgodnie z opisem z opowiadania poszedł w lewo, żeby dojść do belki, na której powiesił się gospodarz. Wzdrygnął się na widok sznura, z którego odcięto ciało. Wciąż był zawiązany na belce. Ucięty kikut wyglądał makabrycznie.

Rozejrzał się, zrobił kilka zdjęć i wrócił na dół. Schody skrzypiały, jakby wytarte deski skarżyły się na swój podły los.

Salitra wyszedł z domu w taki sam sposób, jak wszedł. Na koniec zamknął okno na skobel i wzdłuż ściany budynku ruszył do stodoły. W wielkich wrotach zamkniętych na łańcuch, po lewej stronie, znajdowały się mniejsze drzwi. Pchnął je, schylił głowę i wszedł. W środku panował mrok. Światło wpadało tylko z otwartych drzwi i z kilku szczelin gdzieś w górze.

Redaktor zatrzymał się. Sołtys Wierzbicki musiał przeżyć wielki wstrząs. Dwa kikuty obciętego sznura wisiały i tutaj. Trzeciego nie było, pewnie policja wzięła go do analizy. Sołtys dosłownie wszedł na dwa wiszące metr nad ziemią ciała. Po plecach Salitry rozlał się nieprzyjemny dreszcz. Zaprzagnął jak najszybciej opuścić to miejsce. Ciągle pachniało śmiertelnym przerażeniem i śmiercią. Nic dziwnego, że nie było chętnych do objęcia spadku. Ciężko byłoby tutaj wieść beztraskie życie.

Postanowił zrobić kilka fotografii i oddalić się jak najszybciej. Najpierw skierował obiektyw na ciemne wnętrze stodoły. Flesz rozświetlił pomieszczenie na ułamki sekund. Salitra zrobił jeszcze kilka zdjęć: belka z końcówkami sznura i każdy sznur z osobna. Na koniec ponownie ujęcie całego wnętrza.

Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że to bzdura, ale kiedy odwrócił się, żeby wyjść, na plecach poczuł czyjś wzrok. Jakby ktoś

z ciemności śledził każdy jego ruch.

Zamknął drzwi na skobel. Schował aparat do futerału, postawił kołnierz kurtki i ruszył w kierunku dziury w ogrodzeniu od strony pola. Serce biło mu mocniej i dziwnie się zasapał.

*

Dotarł do domu około osiemnastej. Był jeszcze na zakupach w markecie, by uzupełnić zapasy w lodówce i barku. Zrobił sobie spaghetti z sosem z torebki i zjadł przy kuchennym stole, przeglądając internetowe serwisy informacyjne. Sprawa terrorysty z mostu Warszawskiego wciąż była informacją numer jeden. Portale cytowały wypowiedzi premiera, ministra spraw wewnętrznych, komendanta głównego policji i innych oficjeli, ale dokładny przebieg wydarzeń nadal był niejasny. Gdzieś przewinęło się nawet nazwisko komisarza Zakrzewskiego, ale ten fakt nie wydawał się Salitrze dziwny. Nawet jeśli Zakrzewskiego tam nie było, i tak okazywało się, że był. Znajdowali się świadkowie i anonimowi informatorzy, Salitra wiedział, jak to działa. Dziennikarstwo schodziło na psy.

Po późnym obiedzie nalał sobie dużą szklaneczkę irlandzkiej whisky. Konsekwencją wyprawy do opuszczonego domu było przemoczone ubranie. Wciąż czuł zimno w kościach, ale alkohol podziałał niczym doskonałe lekarstwo. Po kilku łykach od żołądka zaczęło promieniować przyjemne ciepło.

Zgrał zdjęcia do komputera i teraz przeglądał je uważnie na dużym ekranie. Parter domu, potem poddasze, sznur, schody w dół, wreszcie stodoła. Teraz dopiero wyraźnie widział wnętrze tego budynku. Lampa błyskowa oświetliła stary traktor, narzędzia rolnicze wiszące na stojaku i słupy podtrzymujące dach budynku. Nic specjalnego. Dotarł do ostatniej fotografii. Znowu wnętrze stodoły, z nieco innej perspektywy.

Znieruchomiał, a szklanka z alkoholem zawisa gdzieś w połowie drogi między blatem stołu a jego ustami.

Uspokoił oddech i skupił się na fotografii. Nie było mowy o złudzeniu.

Między traktorem a stojakiem na narzędzia wyraźnie widział zarys ciemnej postaci. Wrócił do pierwszej fotografii wnętrza stodoły. W tym samym miejscu nie było nic, w tle majaczyła niewyraźnie ściana. Wyświetlił ostatnie zdjęcie. Nie ulegało wątpliwości – ktoś tam z nim był.

Teraz Salitra naprawdę się przestraszył. Powiększył obraz. Rozpoznał wyraźnie szare ubranie, sprzączkę od paska i... nic więcej. Ten ktoś stał z tyłu, światło flesza oświetliło obiekty znajdujące się bliżej, on pozostał w cieniu.

– Jasny gwint – wycedził przez zęby Krzysztof.

Poszedł po butelkę i dolał sobie. Wrócił do komputera. To nie mógł być sołtys, ten ktoś był szczupły i wysoki. Ręce miał proporcjonalne, sylwetkę wyprostowaną, więc nie pasował do opisu tajemniczego Obserwatora. Może w opuszczonym gospodarstwie mieszkał bezdomny?

Salitra poczuł się dziwnie niekomfortowo. Jakby odkrył, że służby specjalne śledzą każdy jego krok. To wcale nie było przyjemne. Odruchowo sięgnął do dolnej szuflady biurka i wyjął gazową replikę glocka. Odbezpieczył i sprawdził naboje z gazem. Wystarczyło tylko pociągnąć za spust.

Odłożył pistolet i zaczął myśleć racjonalnie. Musiało istnieć proste rozwiązanie tej zagadki.

Rozdział 35

– Odrzucamy wszystkie proste rozwiązania.

Komisarz Marcin Zakrzewski kończył właśnie trzeciego pączka, pił drugą dolewkę kawy z termosu i słuchał coraz bardziej zmieszany.

Od godziny w jego biurze trwała narada. Trójka młodych policjantów, których zorganizował Grabski, zdawała relację z postępów dotychczasowego śledztwa, przedstawiała wnioski i hipotezy. I wszyscy „mówili Zakrzewskim”. Jakby Marcin sam prowadził spotkanie. Było o teorii, że ponowna wizyta na miejscu zbrodni może dać „inne spojrzenie” na śledztwo, była tablica z hasłami, z których potem wybierali jedno lub dwa do dalszego sprawdzenia, była teza o dokładnym przeanalizowaniu pobocznych, mało istotnych, wydawałoby się, śladów. Najpierw go to śmieszyło, potem zaczął się irytować, aż wreszcie poczuł się winny, że pod jego wpływem odchodzą daleko od standardów, których uczyli się w szkole policyjnej. Kiedy padło hasło o prostych rozwiązaniach, postanowił ich trochę zastopować.

– Dlaczego? – przerwał, przełykając resztkę pączka.

Przypuszczenia Kariny okazały się słuszne. Przed nimi na biurku leżało pudełko z pączkami, obok stał termos z kawą i plastikowe kubki. Pączki popite sporą ilością kawy podziały na Marcina mobilizująco. Kac stopniowo ustępował, myśli stawały się precyzyjne.

Młodszy aspirant Adam Wiliczkowski spojrzał na niego takim wzrokiem, jakim student patrzy na egzaminatora niespodziewanie

zadającego pytanie z innej beczki, na które zazwyczaj nie zna się poprawnej odpowiedzi. Tyle że Wiliczkowski znał odpowiedź.

– Ze względu na okoliczności. Postępowanie zabójcy daleko wykracza poza standardy i trudno stawiać tezę, że zbrodnia była przypadkowa, niezaplanowana lub popełniona pod wpływem impulsu – odpowiedział.

– Tym bardziej nie powinniśmy odrzucać żadnej możliwości. Pamiętajcie, co mówią statystyki. Większość zabójców na tle seksualnym na swoje pierwsze ofiary wybiera kobiety z bliskiego otoczenia. Z podwórka, z pracy, spośród znajomych. Nie możemy o tym zapomnieć.

– Nie wiemy dokładnie, jaki jest motyw. Być może zabójca chce, żebyśmy myśleli, że dokonuje zbrodni na tle seksualnym, a prawdziwy motyw podrzuca nam w postaci tych karteczek w ustach ofiar.

– To nie znaczy, że nie powinniśmy w pierwszej kolejności szukać blisko – podsumował Zakrzewski.

Adam Wiliczkowski na pierwszy rzut oka był całkowitym przeciwieństwem Zakrzewskiego. Czarne włosy miał idealnie przystrzyżone, policzki starannie ogolone. Marcin podejrzewał, że Adam nawet brwi modelował starannie i na pewno co jakiś czas odwiedzał manikiurzystkę. Lubił ubierać się elegancko. Szara koszula i marynarka wyglądały na markowe, tak samo jak ciemne spodnie i drogie sportowe obuwie. Po wizycie w Lesie Osobowickim buty nie wyglądały najlepiej, ale widać było, że Adam poświęcił chwilę, żeby doprowadzić je do porządku. Po sposobie, w jaki mówił, Marcin wywnioskował, że to człowiek zorganizowany, który w życiu nie pozostawia wiele przypadkowi.

– Sprawdziliśmy znajomych i sąsiadów Wiktorii Nowak – odezwał się sierżant sztabowy Mariusz Krawiec, którego ze względu na nieprzeciętny wzrost koledzy nazywali Długim. Był szczupły, miał prawie dwa metry wzrostu i burzę kręconych włosów na głowie. Nie ściągał słuchawek z uszu, czasem zerkał na ekran swojego

smartfona. Marcin miał wrażenie, że Długi uczestniczy w programie poszukiwania sygnałów życia pozaziemskiego SETI i ciągle nasłuchuje dźwięków dochodzących z kosmosu. Pomimo jego wątpliwości okazało się, że Długi przysłuchuje się naradzie ze zrozumieniem. – Wyselekcjonowaliśmy osiem potencjalnie podejrzanych osób, ale po dalszym sprawdzeniu musieliśmy je skreślić. Wszyscy mieli mniej lub bardziej mocne alibi na dzień porwania Wiktorii. No i żaden z nich nie miał łap jak bochny chleba ani butów o rozmiarze pięćdziesiąt dwa.

Dalej mówił Wiliczkowski:

– Na początku, gdy zebraliśmy dane od techników z miejsca znalezienia zwłok, byliśmy nawet optymistami. Mieliśmy całą encyklopedię śladów zostawionych przez sprawcę, łącznie z odciskami palców i materiałem genetycznym. Tylko że w bazie nic nie ma.

– Nadmiar śladów czasem przeszkadza – wtrącił Marcin.

– Opisy śladów dłoni i odcisków stóp konsultowaliśmy z Katedrą Biologii Człowieka na Uniwersytecie Wrocławskim – ciągnął Adam. – Dostaliśmy podstawowe dane o proporcjach ciała sprawcy. Najbardziej rzucającą się w oczy cechą musiałby być jego wzrost. Co najmniej dwieście pięć centymetrów, może nawet powyżej dwustu dwudziestu. Staraliśmy się dotrzeć do jak największej liczby osób o takim wzroście z terenu miasta i okolic.

– Zrobiłbym tak samo. – Zakrzewski pokiwał głową, pamiętając, co mówił o chwaleniu współpracowników Grabski. – I co?

– Generalnie nic. – Długi wzruszył ramionami. – Takich osób nie jest dużo.

– Sprawdziliśmy byłych i obecnych koszykarzy, siatkarzy, członków klubów dla wysokich. Znaleźliśmy osoby o tym wzroście na portalach randkowych. Sprawdziliśmy większość – poinformował Adam. – Zasadniczo nikogo nie potrafiliśmy powiązać z Wiktoria Nowak. Trzy osoby mieszkają w okolicach Kozanowa, ale mają alibi.

– J-jasne. Teraz będziemy mieli więcej danych. Przede wszystkim skupimy się na ludziach, których obie ofiary mogły znać, i na miejscach, w których mogły przebywać. Niekoniecznie równocześnie. Fryzjer, kosmetyczka, kościół, aerobik. Cokolwiek. Musimy tylko porównać te dane.

– Chyba wiem, kto to jest – oznajmiła Ilona Marzec.

Na początku sprawiała wrażenie niepozornej i cichej dziewczyny, kiedy jednak się odzywała, widać było, że nie ma problemów z wyrażaniem własnego zdania i stawiania na swoim. Karina Buczko zdążyła mu szepnąć do ucha, że Ilona znana jest w wydziale ze swoich hakerskich talentów.

Wszyscy spojrzeli na nią ciekawie. Ilona postawiła na stole małego notebooka, którego trzymała dotąd na kolanach, i odwróciła tak, żeby wszyscy widzieli ekran.

– Tak mi się wydaje – powiedziała. – Popatrzcie na ubranie.

Marcin zauważył, że Ilona i Adam nie darzą się zbyt dużą sympatią. Omijali się wzrokiem i starali się nie wchodzić sobie wzajemnie w słowo. Z upływem minut zaczął podejrzewać, że kiedyś łączyło ich coś więcej i teraz starają się to ukryć. Jakby widział siebie i Paulinę Czerny w dawnych czasach.

Na ekranie zestawione były dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało okaleczone przez zwierzęta zwłoki, drugie – roześmianą brunetkę z białymi jak śnieg zębami i uroczymi dołeczkami w policzkach. Ilona miała rację. To mogło być to samo ubranie.

– Zgodnie z sugestią, którą przekazałeś prokuratorowi Grabskiemu, szukaliśmy w kartotekach i okazało się, że w ostatnich sześciu miesiącach zaginęły cztery dziewczyny pasujące do wzorca. Wiek dwadzieścia do trzydziestu lat, szczupłe, brunetki. Pobawiłam się Photoshopem i ubrałam je w takie ciuchy, w jakich widziane były ostatni raz. To jest Joanna Budny zamieszkała w Wilkszynie pod Wrocławiem.

– Kiedy zaginęła? – zapytał Zakrzewski.

– Dwudziestego trzeciego czerwca – odpowiedziała Ilona.

– A pozostałe trzy?

Długi zerknął na ekran swojego telefonu.

– Piętnastego czerwca, czternastego lipca i czwartego sierpnia – przeczytał.

– Co to za daty? – wymamrotał Zakrzewski, trąc czoło.

Spojrzeni na niego zdziwieni.

– Normalne – mruknął Wiliczkowski.

Marcin milczał, wpatrując się w wiszący na ścianie kalendarz z widokiem z przełomu Dunajca ze szczytu Wysokich Skalek w Pieninach. Karina też popatrzyła na daty i zacisnęła szczęki w nerwowym odruchu. Ona już zrozumiała.

– Cholera jasna – wycedziła przez zęby.

Pozostali policjanci patrzyli na nich pytającym wzrokiem.

– Co? – Długi nie wytrzymał.

Zakrzewski wyciągnął z szuflady biurka czarny flamaster i podszedł do kalendarza.

– To jest cykl – powiedział.

Zakreślił na czarno daty: 23 czerwca, 14 lipca, 4 sierpnia i 25 sierpnia.

– Nie znaleźliśmy jeszcze dwóch ofiar, ale wydaje mi się, że on atakuje równo co trzy tygodnie.

W pokoju zapanowała pełna napięcia cisza. Wszyscy trawili jego słowa i oceniali ich prawdopodobieństwo.

– Mamy jeszcze zaginięcie z piętnastego czerwca. – Wiliczkowski wydawał się najbardziej sceptycznie nastawiony do tego pomysłu. – Poza tym to może być przypadek...

Rozejrzał się po twarzach swoich kolegów i zrozumiał, że jego uwaga zabrzmiała jeszcze mniej wiarygodnie niż teoria Marcina.

– Zapomnijmy teraz o piętnastym czerwca. – Zakrzewski machnął ręką. – Nie pasuje do schematu, być może nie ma nic wspólnego z naszą sprawą.

– Czyli nie znaleźliśmy ofiar z czternastego lipca i czwartego sierpnia. – Ilona spojrzała w swój notebook. – Ale w związku z tym

powinniśmy jeszcze sprawdzić trzy tygodnie wcześniej, drugiego czerwca, i później, piętnastego września.

– To na co czekacie? – Zakrzewski wykonał niecierpliwy gest.

Ilona usiadła przy jego biurku i zalogowała się do wewnętrznej sieci policji.

Marcin patrzył na kalendarz i znowu poczuł nieprzyjemne uczucie déjà vu. Seryjny zabójca co cztery lata na przełomie sierpnia i września porywał i zabijał jedno dziecko. Tylko czy zabójstwa młodych kobiet przypominają tamte? Może tylko wyobraźnia podsuwa Marcinowi kolejne iluzje?

– Nasza dzisiejsza ofiara, Joanna Budny, jest pierwsza. – Z zamyślenia wyrwał go głos Kariny.

Adam spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Jakby miał jej za złe, że w logicznym rozumowaniu jest znowu o krok przed nim.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytał.

Jego zachowanie w tej sytuacji mogło przesądzić, czy Wilczkowski jest dobrym śledczym, czy pozbawionym większych talentów dupkiem z wybujałym ego, jakich Marcin spotkał już w pracy niezliczone ilości. Miał nadzieję, że Grabski zna się na ludziach.

– Ciało pierwszej ofiary zakopał w ziemi – zaczęła Karina. – Miejsce ukrycia zwłok było bardzo zanieczyszczone innymi śladami i technicy nie znaleźli dowodów na to, że wracał do ofiary, tak jak do Wiktorii Nowak. Dlaczego? Za pierwszym razem się bał. Zabił, a potem ukrył się w domu i czekał na naszą reakcję. Nikt nie znalazł zwłok, więc nabrał pewności siebie. Jeśli Wiktorcia była czwartą ofiarą, już się nie bał. Wracał kilka razy w miejsce ukrycia zwłok i spędził tam co najmniej kilka godzin. Jego zdaniem policja nie stanowi zagrożenia.

Zakrzewski z ciekawością obserwował Adama. Ten pokiwał głową.

– Logiczne. Trudno się nie zgodzić.

Marcin z zadowoleniem przyznał mu jeden punkt w konkursie na dobrego śledczego – umiejętność przyznania innym racji. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, wtrąciła się Ilona Marzec:

– Sprawdziłam w bazie wszystkie zgłoszenia zaginięć kobiet od początku roku w całym województwie. Bez szczególnych założeń wstępnych. Daty nie pokrywają się z naszym schematem. Być może Karina ma rację. Od piętnastego września do dzisiaj nie było żadnych zgłoszeń.

Marcin odruchowo dotknął plastra na czole.

– Dzisiaj jest dwudziesty drugi września... – Zawiesił głos. – Albo przestał, albo...

– ...jeszcze nikt nie zgłosił zaginięcia. – Karina wpadła mu w słowo.

– Jest wiele dziewczyn, które przyjechały do Wrocławia do pracy albo na studia i mieszkają samotnie. Sporo kobiet jest z Ukrainy. Może minąć dużo czasu, zanim ktoś się zorientuje.

Mariusz Krawiec podniósł nagle głowę znad telefonu. Minę miał taką, jakby właśnie usłyszał w słuchawkach sygnał od obcej cywilizacji.

– Sprawdziłem bazę ogólnopolską. Mamy zaginięcie kobiety, tyle że w Gdańsku.

Marcin poczuł na sobie ich pytające spojrzenia. Pokręcił głową.

– Chyba za daleko. Na razie odpuszczamy.

– Co dalej, szefie? – zapytała Karina.

Cisza w pokoju zapadła tylko na chwilę.

– Adam i Ilona, chcę wiedzieć wszystko o Joannie Budny i o jej znajomych. Co jadła, jak się ubierała, co lubiła, z kim i gdzie się spotykała, czy miała chłopaków, jakie lubiła piwo. Wszystko. Poza tym chcę wiedzieć, co robiła w dniu, w którym zaginęła. Co do minuty. Jasne?

Wymienili między sobą niechętnie spojrzenia, ale skinęli głowami.

– Karina i Długi. To samo, tylko dla dziewczyn zaginionych w lipcu i sierpniu.

– Okej – rzuciła Karina.

– Jeden warunek. Kontaktujecie się ze sobą i wymieniacie informacjami. Musimy za wszelką cenę ustalić, czy ofiary są przypadkowe, czy zabójca mógł je wszystkie znać. Jeśli tak, to skąd. Trzeba tę hipotezę potwierdzić albo wykluczyć ponad wszelką wątpliwość.

– Czekają nas kupa roboty – zauważył Adam. – Możemy liczyć na jakieś wsparcie?

– Dopóki nie ucichnie afera terrorystyczna, możemy liczyć tylko na siebie – wyjaśnił Marcin i zaraz pożałował, że w jego głosie tak wyraźnie zabrzmiała nuta kpiny i lekceważenia.

Wilczkowski doskonale ją wyczuł.

– Ja odwiedzę Zakład Medycyny Sądowej – podjął po chwili Zakrzewski. – Mam tam znajomego, może sekcja będzie szybko, pocisnę techników o raport, a potem spróbuję przekonać szefa, żeby patrole w całej aglomeracji zwracały uwagę na mężczyzn ponadprzeciętnego wzrostu i potężnej budowy ciała. Jeśli się uda, chciałbym, żeby byli legitymowani. Oczywiście z zachowaniem szczególnej ostrożności. Jeśli morderca czuje się zbyt pewnie, czasem przy takim spotkaniu z policją może nieświadomie się zdradzić. Albo się spłoszy i zaszyje w jakiejś dziurze, wtedy będziemy mieli jeszcze większy problem. No i muszę przekonać prokuratora Grabskiego, że być może mamy więcej ofiar.

– Zwłok tych dziewczyn możemy nie znaleźć przez długie lata. W przypadku Joanny mieliśmy dużo szczęścia – wtrąciła Ilona.

Marcin stanął przed mapą Wrocławia zajmującą całą boczną ścianę.

– Zastanawiam się, jak możemy je znaleźć – rzucił.

– Prokurator Grabski mówił, że miałeś pomysł na przeszukanie lasów po zachodniej stronie miasta. Mieli pomóc kadeci, wojsko i straż miejska – powiedziała Ilona. – Podobno była już wstępna zgoda.

Zakrzewski pokręcił głową.

– Odwołane – mruknął. – Po strzelaninie na Roosevelta wszystko się zmieniło. Działamy po cichu, z dala od mediów i staramy się nie rzucać w oczy. Poza tym... – Zamilkł i kontynuował dopiero po chwili: – Mój pomysł z poszukiwaniami nie był chyba najlepszy. Prawdopodobieństwo sukcesu wydaje się znikome. Zabójca zakopał pierwszą ofiarę, z następnymi mógł zrobić to samo.

Patrzył teraz na mapę i zastanawiał się, jak mógł wpaść na tak irracjonalny pomysł. I dlaczego dostał wstępną zgodę przełożonych? Czyżby miał taką siłę przebicia? Teren poszukiwań był gigantyczny.

Las Osobowicki rozciągał się na prawie stu czterdziestu hektarach powierzchni. Co prawda był dobrze zagospodarowany, szczególnie w południowej części miał charakter parkowy, poprzecinany siecią ścieżek pieszych i rowerowych, a wzdłuż ulicy Osobowickiej urządzone były zadaszone parkingi leśne. Na wyznaczonych miejscach można było palić ogniska, w centralnej części lasu znajdował się plac zabaw dla dzieci, a w północno-zachodniej części, w miejscu zwanym Szańcem Szwedzkim, urządzone był stoki narciarski i tor saneczkowy. Spory obszar był jednak niedostępny i porośnięty gęstą roślinnością, szczególnie na obrzeżach przy polach irygacyjnych.

Położony po drugiej stronie Odry i tuż przy ujściu Ślęzy Las Pilczycki miał osiemdziesiąt osiem, a Las Rędziński ponad czterysta hektarów powierzchni.

– Mam szalony pomysł na ograniczenie powierzchni przeszukania – rzucił nagle Adam.

Marcin spojrzał na niego i w myślach dodał mu drugi punkt do rankingu dobrego śledczego – trzeba mieć odwagę wypowiadać na głos nawet najbardziej fantastyczne teorie.

– Żaden pomysł nie jest szalony. Poszukujemy innego spojrzenia, wyjścia poza schemat – zachęcił go.

Wilczkowski podszedł do mapy.

– Przyszło mi do głowy, że może oprócz kodu z kalendarza zabójca stosuje też inny kod. – Chrząknął. – Może miejsce ukrycia

zwłok?

Z tablicy korkowej wiszącej z boku wyciągnął cztery szpilki z czerwonymi główkami.

– Wiktorię Nowak znaleziono tu. – Wbił pierwszą szpilkę i zaraz potem następną. – Dzisiaj ciało znaleźliśmy tu.

Wszyscy wpatrywali się w mapę, czekając na dalszy ciąg.

– Jeśli Joanna była pierwsza, a jej ciało znajdowało się najbliżej miasta, można przyjąć, że Wiktoria była ukryta najdalej od centrum. Gdyby przeciągnąć między tymi punktami linię prostą, moglibyśmy tę odległość podzielić na cztery odcinki i poszukać tylko w tych miejscach.

Marcin szybko odnalazł te punkty na mapie.

– Początek Lasu Rędzińskiego przy ulicy Żużłowców i środek lasu, gdzieś przy wale Odry po północnej stronie – stwierdził.

Chyba nikt nie był zachwycony pomysłem. Ale Marcin popatrzył na swoją małą grupę śledczą z uśmiechem na ustach.

– Mam nadzieję, że macie mocne ubrania przeciwdeszczowe? W najbliższych dniach zapowiadają opady. Adam, ustal współrzędne. Ruszamy, jak tylko uda mi się załatwić psa do poszukiwania zwłok.

Odpowiedziały mu pełne rezygnacji spojrzenia.

Rozdział 36

Bożena Wysocka wcale nie czytała. Siedziała z podkulonymi nogami na fotelu, na kolanach trzymała otwartą książkę, od czasu do czasu przerzucała kartki. Patrzyła na zadrukowane białe strony i widziała tam zupełnie inne rzeczy. Wyobrażała sobie swojego męża i tę policjantkę, w której śmiał się zakochać. Zarzekał się, że z nią zerwał, a jednak spotkał się z nią w połowie lipca, w kawiarni w Rynku. Co prawda potem już nigdy nie widziała ich razem. Być może domyślał się, że żona zaczęła go śledzić, i stał się ostrożniejszy. Ale ona była cierpliwa. Poza tym zaczęła rozumieć pewne zdarzenia i gesty. Nareszcie widziała świat taki, jaki był naprawdę. A był wyjątkowo brutalny.

Na przykład kiedy jej mąż spoglądał na zegarek, ona już wiedziała, że tak naprawdę odmierza czas do następnej potajemnej schadzki. Kiedy patrzy w zamyśleniu w przestrzeń, na pewno wspomina ich ostatni seks, a w uszach ciągle słyszy jęki tamtej. Kiedy pyta Bożenę, które spinki ma założyć do białej koszuli, pewnie chce się podobać Paulinie Czerny. Kiedy zamyka się w garażu, telefonuje do niej albo gapi się na jej nagie zdjęcia. Może nakręcili sobie własny film porno i on teraz go ogląda i się onanizuje.

Bożena zorientowała się, że ktoś stoi obok niej. Podniosła głowę i uśmiechnęła się na widok starszej córki. Aneta miała już dwadzieścia lat i studiowała prawo na uniwersytecie. Bożena miała nadzieję, że kiedyś córka zostanie prokuratorem i nie skończy w pieluchach jak ona.

– Mamo, mogę cię o coś zapytać? – Aneta patrzyła na nią jakoś inaczej niż zwykle.

– Oczywiście, kochanie.

Zamknęła książkę i przesunęła się trochę, żeby córka mogła przysiąść na poręczy fotela.

– Czy między tobą i tatą jest wszystko w porządku?

Pytanie kompletnie ją zaskoczyło. Przywołała na twarz najbardziej uspokajający matczyny uśmiech.

– Oczywiście, skarbie, skąd ci to przyszło do głowy?

– Bo wiesz... – Aneta się zawahała. – Wydaje mi się, że ostatnio jakoś dziwnie się zachowujesz. Jesteś taka spięta i czasem nieobecna duchem. Tak jak przed chwilą...

Bożena objęła córkę ramieniem.

– Wyjątkowo wcześniej zaczyna się u mnie menopauza. Wtedy diametralnie zmienia się gospodarka hormonalna w organizmie kobiety. Lekarz powiedział, że to może mieć wpływ na moje zachowanie i samopoczucie. Mogę być senna albo rozdrażniona, albo... nieobecna, jak sama zauważyłaś. Pewnie niedługo czekają mnie uderzenia gorąca. Normalna kolej rzeczy.

Córka uśmiechała się do niej z wyraźną ulgą.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytała przejęta.

– Nie, biorę tabletki. Dzięki nim powinnam spokojnie przetrwać ten trudny czas.

W tej chwili na podjeździe domu zachrząściły koła samochodu. Po oknach przeleciała smuga światła z reflektorów.

– Ojciec przyjechał – powiedziała Bożena. – Muszę mu podać coś do jedzenia.

– Ja to zrobię! Odpoczywaj, mamo.

Aneta zerwała się z poręczy fotela i pobiegła do kuchni.

Bożena poczuła przyływ ciepłych uczuć. Kochała swoje córki i chciała zapewnić im spokojną, dobrą przyszłość. Dlatego musiała je chronić przed tym potworem, którego nazywały ojcem.

*

Marcin po raz kolejny nacisnął guzik dzwonka. Nikt nie otwierał. Rozejrzył się. Zapadł już zmierzch, brukowaną drogą od dłuższego czasu nic nie jechało, gdzieś w oddali czekały psy, w stojących po obu stronach ulicy domach paliły się światła. Ale nie w domu jego rodziców. Poczł dreszcz niepokoju. Z tego, co mówił ojciec, wynikało, że matka miała nawrót depresji i nie wstawała z łóżka, nie mogli więc nigdzie pójść. Zwykle na każdy dzwonek pies odpowiadał głośnym szczekaniem. Teraz wewnątrz panowała kompletna cisza. Kiedy przyłożył ucho do drzwi, wydawało mu się, że słyszy tykanie ściennego zegara.

Wyjął telefon i zadzwonił do ojca. Drgnął, kiedy w środku wyraźnie usłyszał wesołą melodyjkę. Nikt nie odebrał. Poczekał, aż włączy się poczta, i schował aparat do kieszeni motocyklowej kurtki.

Chłodny wiatr przyniósł ze sobą drobinki deszczu. Marcin zadrżał. Był zmarznięty i przemoknięty. Przez pół drogi z Wrocławia padało. Jazda motocyklem w takich warunkach nie była przyjemna. Poszedł w prawo i żwirową ścieżką obszedł dom dookoła. Po drodze zapukał w okno. Może już śpią? Może mama poczuła się lepiej i poszli do jakichś sąsiadów w odwiedzin? Albo pojechali do Środy Śląskiej na późne zakupy?

Samochód stał zaparkowany na podwórzu po drugiej stronie domu. Wtedy Marcin się spał. Rozejrzył się uważnie wokół. Cisza, spokój, nieruchome kształty zabudowań gospodarczych. Poszedł w kierunku tylnego wejścia do domu. Już sięgał do klamki, kiedy usłyszał za sobą jakiś szmer, a potem coś skoczyło mu na plecy.

*

Dariusz Wysocki uśmiechnął się do siebie pod nosem i nacisnął przycisk regulujący głośność. Bobby McFerrin w swoim wielkim

przeboju przekonywał, że nie ma się co martwić, trzeba być szczęśliwym, a Wysocki miał powody, żeby przyznać wokaliście rację. Cezary Czerny dostarczył mu kopertę ze zdjęciami i żadnego nie brakowało. Kosztowało to trochę pieniędzy, ale było warto. A Czernym niedługo się zajmie.

Było po dwudziestej, kiedy parkował na swoim podwórku. Wyłączył radio i nacisnął przycisk na pilocie. Drzwi do garażu drgnęły i zaczęły się podnosić. Począł, aż się zatrzymają, po czym wjechał do środka. Wydawało mu się, że we wstecznym lusterku zobaczył jakiś ruch. Obejrzał się. Drzwi zamykały się za nim wolno. Co u licha?

Wysiadł i przeszedł na tył auta. Nikogo. Pewnie mu się zdawało. Wzruszył ramionami i wyszedł z garażu, gasząc światło. Minęło dobrych kilka minut, kiedy zza jego nissana wyłoniła się ubrana na czarno postać, zapaliła punktową latarkę i się rozejrzała.

*

– Tina, nie wolno tak robić. Prawie dostałem zawału!

Marcin próbował opanować radość owczarka niemieckiego, który koniecznie starał się dosięgnąć do jego twarzy długim jęzorem.

Wczesną wiosną Marcin uratował psa przed schroniskiem. Szybko jednak okazało się, że z powodu obciążającej pracy nie jest w stanie zadbać o Tinę. Czasem musiała siedzieć wiele godzin sama w domu. Wreszcie rodzice Marcina, którzy sprzedali mieszkanie na Popowicach i przeprowadzili się do domu w Szczepanowie, wzięli psa do siebie. Wkrótce okazało się, że Michał Zakrzewski niemal nie rozstaje się z Tiną. Zostali najlepszymi przyjaciółmi, choć Marcin pamiętał czasy, kiedy ojciec wielokrotnie kategorycznie powtarzał, że nie lubi psów.

Po chwili od strony podwórza nadszedł Zakrzewski senior.

– Dobrze, że przyjechałeś chociaż na chwilę – powiedział.

– Nikogo nie ma w domu – odparł Marcin. – Przestraszyłem się, że coś się stało.

– Matka czasem traci kontakt ze światem.

– Pomyślałem, że z nią porozmawiam...

Pies biegał po podwórku, a ojciec zapalił lampę oświetlającą tył domu. Widać było wyraźnie, że nie chce jeszcze wchodzić do środka. Marcin nic nie mówił, tylko czekał.

– Z Zośką jest coraz gorzej. – Ojciec pokręcił głową i westchnął.

– To nie twoja wina – powiedział Marcin i tym stwierdzeniem trafił w bolesne miejsce.

Ojciec jakby się skurczył. Przez jego twarz przeleciał trudny do zidentyfikowania grymas.

– Czasem myślę, że dużo w tym mojej winy. – Znowu westchnął.

– Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym częściej dochodzę do wniosku, że gdybym kiedyś poświęcił więcej czasu rodzinie, wszystko ułożyłoby się inaczej.

Marcin wiedział, co go gryzie. Już o tym rozmawiali, ale najwidoczniej ojciec musiał do tego wrócić. Dla własnego spokoju. Albo niepokoju.

– Walczyłeś o wolną Polskę.

Na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia ojciec był mocno zaangażowany w działalność opozycyjną. Kiedy powstał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”, działał w zarządzie regionu, potem został na pół roku internowany.

– Polska wywalczyłaby wolność bez mojej pomocy.

– Nie możesz tak mówić – zaprotestował Marcin.

– Boję się, że w dużym stopniu przyczyniłem się do choroby matki. Kiedy ty i Rysiek najbardziej potrzebowaliście ojca, mnie nie było. Zamiast spędzać czas z rodziną, ja jeździłem po zebraniach, naradach albo uczestniczyłem w strajkach okupacyjnych. To Zosia was wychowywała. Wszystko było na jej głowie, a do tego bała się o mnie. Kiedy zaginał Rysiek, też nie stanąłem na wysokości zadania. Nigdy sobie tego nie wybaczę...

– Tato...

– A potem mnie internowali na pół roku i matka została zupełnie sama. W rozpaczy po zaginionym synu, bez środków do życia, bez męża, bez perspektyw. Gdybym wtedy był obok niej, teraz wszystko wyglądałoby inaczej.

Michał Zakrzewski wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił. Niedawno po trzydziestu latach wrócił do palenia. Marcin też poczęstował się papierosem. Nie wiedział, co powiedzieć. Zresztą rozumiał, że nie musi nic mówić.

– Najgorzej się z matką porobiło, kiedy ty się wyniosłeś z domu na swoje – kontynuował ojciec. – Nie wiem, co w nią wstąpiło. Miała różne fazy. Raz była gorliwą katoliczką, można powiedzieć fanatyczką i dewotką. Codziennie dwa razy chodziła do kościoła, w domu klęczała i tylko się modliła. Potem nagle wszystko się odwracało, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, i zaczynała bluźnić Bogu. I tak na okrągło. Nie mogłem tego wytrzymać. Zacząłem uciekać z domu. Każdą wolną chwilę spędzałem na rybach. Całe dni, całe noce, do domu wracałem tylko, żeby się upewnić, w jakim stanie jest Zośka. I po paru dniach znowu uciekałem. Nie było mnie przy niej, kiedy zaczynała chorować, i teraz ona nie chce, żebym przy niej był, kiedy jest chora.

Marcin słuchał w milczeniu. Pamiętał matkę zachowującą się dziwnie, nigdy jednak nie poznał całej prawdy.

– Ale czy na pewno mogłeś coś zrobić? – zapytał.

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

– Nie miej matce za złe, jeśli pomyli cię z Ryśkiem. – Michał Zakrzewski nagle zmienił temat.

– Co?

– Od kilku dni mówi, że przyszedł do niej twój brat. Nawet z nim rozmawiała. Ma już halucynacje. Nie wiem, co robić. Ściągnąłem tu wszystkich możliwych lekarzy, łącznie ze swoimi przyjaciółmi z dawnych lat. Fizycznie jest zdrowa, ale nie chce jej się żyć. Tego nie można wyleczyć.

Ojciec odrzucił niedopałek i gestem pokazał, żeby Marcin wszedł do środka.

Zofia Zakrzewska leżała w łóżku. Miała zamknięte oczy i naprawdę źle wyglądała. Wychudła, pobladła, jej dłonie przypominały ręce staruszki. Marcin usiadł na kuchennym krześle w progu pokoju, naprzeciwko łóżka matki. Nie odzywał się. Minęło kilka minut, zanim ocknęła się i spojrzała na niego nienaturalnie lśnącymi oczami.

– Marcin – szepnęła. – Cieszę się, że wreszcie przyjechałeś.

Zaprosiła go gestem bliżej. Wziął krzesło i przysunął je do łóżka. Chwyliła jego rękę i ścisnęła mocno. Miała zimne, wilgotne dłonie.

– Cześć, mamó. Jak się czujesz?

– Cudownie, nie mam już żadnych zmartwień. Wszystkie moje marzenia się spełniły.

Uśmiechnęła się do niego. To nie był uśmiech kobiety w ciężkiej depresji. Ona naprawdę wyglądała na szczęśliwą.

Nie wiedział, co powiedzieć. Otworzył usta i zaraz je zamknął.

– Ty i Rysiek byliście bliźniakami jednojajowymi – mówiła dalej. – Nie do odróżnienia, nawet ojciec czasem się mylił. Żartowałam, że założę wam opaski na ręce. Tobie czerwoną, a Ryśkowi żółtą.

– Nic by to nie dało. Rysiek zaraz wpadłby na pomysł, żeby je zamienić. – Marcin się roześmiał.

– Tak, w twojego brata często wstępował jakiś diabeł. Jego pomysły były czasem przerażające. Nie wiem, skąd mu się to brało.

– Był trochę szalony.

– Na pewno – potwierdziła, ale Marcin był niemal pewien, że nie zarejestrowała jego słów.

– Przez tyle lat chciałam się dowiedzieć, co mu się stało, jaki teraz jest, i wiesz co? Odwiedził mnie niedawno.

– Kto? – Marcin dezorientowany pokręcił głową.

– Twój brat – odpowiedziała spokojnie. – Siedział tak jak ty wcześniej na tym krześle i patrzył na mnie. Miał straszne spojrzenie. Jest złym człowiekiem. Ale przynajmniej przed śmiercią

dowiedziałam się, że żyje. To takie dziwne uczucie. Jak z bajki. – Przymknęła powieki, żeby po kilku sekundach nagle je otworzyć. – Albo z koszmaru.

Marcin słuchał tych słów i serce mu krwawiło. Tak jak mówił ojciec, matka powoli odpływała w swój własny świat. Tyle lat nie wiedziała, co się stało z jej zaginionym synem, i wreszcie jej podświadomość sobie z tym poradziła. Matka wyobraziła sobie, że Rysiek ją odwiedził.

– Mamo... – Próbował coś powiedzieć, ale ścisnęła mu dłoń.

– Jestem zmęczona. Posiedź ze mną chwilę, synku, może uda mi się spokojnie zasnąć.

Siedział przy niej kwadrans, aż wreszcie chłodne dłonie rozluźniły swój chwyt i opadły na łóżko. Marcin wsłuchiwał się chwilę w oddech śpiącej, a potem cicho wyszedł z pokoju. Pożegnał się z ojcem, potem z psem, wsiadł na motocykl i ruszył do domu.

Deszcz przestał padać, zza wolno przesuwających się po niebie chmur czasem wychylał się księżyc w pełni.

*

Wszedł do mieszkania kwadrans po dwudziestej drugiej.

– Myślałam, że już cię dzisiaj nie zobaczę – odezwała się Karina.

Siedziała w jego ulubionym fotelu ubrana jak do wyjścia, obok stała spakowana walizka.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytał zdziwiony.

– Przeprowadzam się do znajomych.

– Źle ci tu? – Za późno spróbował ukryć wyraźny ton rozczarowania w głosie.

Wstała, podeszła do niego i dotknęła jego dłoni. Miała ciepłą i miłą w dotyku skórę.

– Marcin, nie bierz tego do siebie. Dziękuję, że się mną zająłeś w trudnych dla mnie chwilach. Nigdy ci tego nie zapomnę, ale jesteś moim szefem i pracujemy razem.

– I co z tego?

– Jeśli w komendzie dowiedzą się, że mieszkam u ciebie, pomyślą, że mamy romans. To mocno skomplikuje nasze relacje i źle wpłynie na pracę. Wiem, dalej chcesz mnie chronić przed Satyrem, ale teraz muszę sobie poradzić sama.

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Ale uważaj na siebie – powiedział.

– Oczywiście. Dziękuję za wszystko.

Kiedy wyszła, ściągnął mokrą skórzaną kurtkę motocyklową i odwiesił na wieszak. Kończył się sezon na motor. Potem z barku wyciągnął butelkę whisky, której nie udało mu się opróżnić poprzedniego wieczoru. Krytycznie popatrzył na niewielką ilość złotego płynu i sięgnął po szklankę.

Siedział w fotelu i sączył alkohol, czując, jak skutecznie zaczyna grzać go od środka. W pokoju paliła się tylko mała lampka w kącie pokoju. Chciał zadzwonić do Pauliny, ale zrezygnował. Było za późno.

Przez głowę wolno przelatywały mu wspomnienia. Te dobre były z wolna zagłuszane przez te złe. Jego brat bliźniak patrzył na niego podnieconym wzrokiem i mówił: „Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”. Magda leżała naga na łóżku, uśmiechała się do niego lubieżnie i pytała, czy chce się z nią kochać. Potem przyszło wspomnienie zmumifikowanych zwłok, które patrzyły na niego szklanym wzrokiem, a ich pomalowane czerwoną szminką, wyschnięte usta uśmiechały się zachęcająco. Piękna brunetka stała pomiędzy kamiennymi skrzydłami husarskimi, deszcz spływał po jej długich, czarnych włosach, kiedy podnosiła do skroni pistolet i krzychała: „Już nie!”. Leżał w lesie. Kobieta w kominiarce na twarzy pochylała się nad nim. Widział jej język zbliżający się do jego ust, a później czuł obrzydliwe uczucie lepkości, kiedy zlizywała mu krew z policzka. Satyr biegł chodnikiem z kałasznikowem plującym ogniem. Cztery czarne worki przykrywały martwe ciała. Cztery.

„Jesteś w porządku gość. Po wszystkim musimy się napić wódki”.
„Ale ty stawiasz”. „Okej”.

Ocknął się gwałtownie z rozmyślań. Dopił drinka, lecz nie miał siły wstać z fotela.

– Musisz się wziąć w garść, komisarzy Trupia Czaszko – mruknął do siebie.

*

Fosforyzujące na zielono wskazówki zegarka pokazywały pierwszą trzydzieści w nocy. W domu już dawno zapanowała cisza. Woda w rurach odpływowych łazienki na piętrze ostatni raz szumiała dwadzieścia po jedenastej. Wszyscy domownicy powinni już spać.

Paulina Czerny zapaliła punktową latarkę, naciągnęła na głowę kominiarkę, zarzuciła na ramię mały plecak i wyszła z samochodu. Ostrożnie, żeby nie potrącić czegoś w zagraconym garażu, ruszyła do drzwi prowadzących do części mieszkalnej domu. Klamka poddała się bezszelestnie. Krótkim korytarzykiem przeszła do holu. Znała dobrze rozkład domu. Prokurator Wysocki zabrał ją tu któregoś razu, kiedy jego żona i córki wyjechały na wakacje. Wymawiając się pracą, opóźnił swój wyjazd o trzy dni. Wtedy czuła się fantastycznie. O dziwo, teraz, gdy wspominała tamte wydarzenia, czuła obrzydzenie i chyba coś na kształt wstydu.

Zajrzała do kuchni. Światło latarki prześlizgnęło się po kuchennych blatach. Na jednym z nich uprawiali wtedy seks. Odwróciła głowę z niesmakiem. Obeszła salon, zajrzała do łazienki i stanęła u podnóża schodów. Na górze znajdowały się sypialnia Wysockich, pokoje córek, duża łazienka i pokój, który Wysocki nazywał na wyrost gabinetem. Nic szczególnego: regały pełne wydawnictw prawniczych, biurko i krzesło.

Ostrożnie zaczęła wchodzić na górę. Pamiętała, że musi stawiać stopy możliwie na samym skraju stopni. Pomimo takich środków ostrożności ósmy schodek zaskrzypiał. Wydawało jej się, że pośród

ciszy panującej w domu odgłos zabrzmiał niczym strzał z pistoletu. Zgasiła latarkę i zastygła w bezruchu. Czekwała. Minęła minuta, potem dwie, a może nawet więcej. Nic się nie stało. Ruszyła dalej.

Drzwi do sypialni Wysockich były uchylone. Opadła na kolana i wsunęła głowę do środka. W ciemnościach widziała dwie nieruchome postacie zawinięte w białą pościel. Wycofała się i poszła prosto do gabinetu Wysockiego. Szuflady w biurku miały zamki, ale to nie stanowiło dla niej problemu. Dostała się do nich w dwie minuty. Kiedyś w jednej z nich znalazła fotografie z kontrowersyjnych zabaw Wysockiego z prostytutkami. Teraz musiał mieć inną skrytkę, ale nie zamierzała jej szukać. Pewnie nie pokonałaby profesjonalnego zamka. Pół godziny zajęło jej dokładne przeszukanie biurka. Zajrzała do wszystkich teczek, foliowych koszulek, przejrzała jego notes z zeszłego roku. Kilkakrotnie spotykał się ze znanymi politykami. Wcale jej to nie zdziwiło, Wysocki zawsze miał wielkie ambicje.

Spojrzała kontrolnie na drzwi wejściowe, po czym wyjęła z plecaka miniaturowy aparat fotograficzny, który dostała od pewnego francuskiego fotografa. Kiedy dowiedział się, że Paulina zajmuje się profesjonalną fotografią i do tego jest zawodową policjantką, tak go to ubawiło, że natychmiast zaczął nazywać ją Simona, na cześć słynnego oszusta z serialu Święty z Rogerem Moore'em. Potem przysłał jej ten aparat z liścikiem, w którym napisał, że jest to prawdziwe szpiegowskie urządzenie dla Simony Templar. Teraz się przydał.

Sfotografowała wszystkie strony notesu Wysockiego od czerwca do końca sierpnia. Nie znalazła nic interesującego. Wycofała się i zaczęła ostrożnie schodzić na dół. Policzyła, który schodek powinna ominąć.

Nagle usłyszała skrzypnięcie łóżka i zaraz potem kroki. Zaklęła pod nosem i jednym skokiem pokonała resztę schodów. Zgasiła latarkę ułamek sekundy przed tym, jak biała postać pojawiła się na pierwszym stopniu. Przeczłoła się do kuchni.

*

Bożenę Wysocką obudził niepokój. Jak każdej nocy. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz zdarzyło jej się zasnąć wieczorem i obudzić dopiero rano. Musiała wstać i przejść się po domu. Wsunęła stopy w kapcie i zeszła na dół. Gdy wchodziła na schody, wydawało jej się, że w korytarzu na dole coś się poruszyło. Ciemność płała głupie figle. W kuchni podeszła prosto do lodówki. Kiedy piła zimne mleko prosto z kartonu, znowu miała wrażenie, że kątem oka zobaczyła jakiś ruch, czarny cień w drzwiach na korytarz. Zamknęła lodówkę, wyszła z kuchni i zapaliła światło. Pusto. To tylko złudzenie – uspokoila się.

Zgasila światło i poczekała, aż oczy znowu zaczną widzieć w ciemnościach. Poszła do pierwszego garażu, z którego prowadziły drzwi do tego drugiego – niedostępnego dla niej. Z nadzieją nacisnęła klamkę, ale i tym razem jej mąż nie popełnił błędu. Szarpnęła za klamkę ze złością. Stała jeszcze chwilę i wróciła do łóżka.

*

O drugiej pięćdziesiąt trzy Paulina Czerna zdecydowała się opuścić swoją kryjówkę. Wyszła zza regału z narzędziami. W domu znowu panowała cisza. Ósmy schodek skrzypnął dokładnie dwadzieścia pięć minut temu. Do tego czasu Bożena Wysocka musiała już zasnąć. Tym razem Pauliny nie interesował dom. Podeszła do zamkniętych drzwi, które Wysocka starała się bezskutecznie otworzyć. Czego tu szukałaś po nocy? – zapytała w myślach.

Wyciągnęła z plecaka wytrychy. Na początku pracy w policji poważnie pokłóciła się z Zakrzewskim właśnie o te narzędzia. Po tamtej awanturze nie rozmawiali ze sobą wiele lat.

Weszła do środka i zamknęła drzwi. Poświeciła latarką. Garaż był prawie pusty, jeśli nie liczyć góry blach i jakichś części w kącie,

metalowego stołu, butli z acetylenem, palnika, kilku przecinarek i masy innych narzędzi na stojakach pod ścianami. Zaintrygowana obezła całe pomieszczenie. Dłużej zatrzymała się przy stercie w kącie. Próbowwała sobie wyobrazić, skąd się tu wzięły te rzeczy. Kiedyś pewnie musiały składać się na jakieś urządzenie. Wysocki je rozebrał na drobne części, a blachy pociął palnikiem albo przecinarką. Wyjęła z plecaka aparat i dokładnie sfotografowała wszystkie szczegóły. Kilka mniejszych części schowała do plecaka.

Nie wiedziała jeszcze, co to wszystko oznacza. Wyszła z domu przez taras, w ciemnościach dotarła do ogrodzenia i sprawnie je pokonała. Swoją starą toyotę rav4 zaparkowała kilkaset metrów dalej.

Rozdział 37

Salitra zjawił się w redakcji „Gazety Wrocławskiej” około południa. Chciał się spotkać z naczelnym, ale zamieszanie spowodowane nowymi informacjami w sprawie terrorysty z ISIS było tak wielkie, że nikt nie miał dla niego czasu. Wypił tylko kawę i posiedział trochę ze znajomą z działu sportowego. Po godzinie wyszedł na korytarz i wolno ruszył w stronę windy. Dopiero kiedy ktoś chwycił go za ramię, ocknął się z głębokiego zamyślenia. Sekretarka stała przed nim zasapana z szarą kopertą w dłoni.

- Wołam pana i wołam – powiedziała z wyrzutem.
- Przepraszam, zamyśliłem się. – Uśmiechnął się rozbrajająco.
- Przesyłka do pana.

Wręczyła mu kopertę, odwróciła się i odeszła, kręcąc biodrami i stukając obcasami. Jeśli myślała, że Salitra odprowadzi ją wzrokiem, myliła się. Redaktor siedział już przy stoliczku obok wyjścia na klatkę schodową i otwierał kopertę. Zdziwiony wyciągnął kilkanaście zdjęć i złożoną na pół kartkę z wydrukowanymi dwoma zdaniem. Szybko przebiegł tekst wzrokiem. *Nie mogę tego dać naszym technikom. Muszę wiedzieć, co to za części – pomóż. Podpisane: CP.*

Z uwagą przejrzał fotografie zrobione przez Paulinę Czerny w garażu prokuratora Wysockiego. Części od razu skojarzyły mu się z samochodem. Musiał się jednak upewnić.

Znalazł Stefana Pajera, który był w gazecie odpowiedzialny za tematy motoryzacyjne. Pokazał mu zdjęcia. Pajer przejrzał je uważnie, po czym pokiwał głową.

– Wygląda na zdemolowany samochód – orzekł.
– Zdemolowany?
– No tak, przecież blachy są pocięte, części rozkręcone do ostatniej śrubki, a w tym miejscu wyraźnie widać ślady po młotku. – Wskazał coś Krzysztofowi na jednym ze zdjęć. – A to wygląda jak tarcza hamulcowa.
– Potrafisz określić markę?
Pajer roześmiał się głośno.
– Jaja sobie ze mnie robisz? Z tej góry złomu? Ale... – Zastanowił się. – Znam pewnego mechanika, który może coś wymyśli. Wyślę mu skany zdjęć i jak odpowie, dam ci znać.
– Nie! – zaprotestował gwałtownie Salitra. – Nie mogę wysłać tych zdjęć. Daj mi jego adres, sam podjadę.
– Jak uważasz. – Stefan wzruszył ramionami.
Na żółtej samoprzylepnej kartce naskrobał numer telefonu. Salitra podziękował i już biegł do windy.

*

Paulina siedziała w swoim pokoju w komendzie wojewódzkiej przy Podwalu i starała się nie zwracać uwagi na chaos panujący w budynku. Strzelaninę, terrorystów, ofiary, oskarżające media i rozwścieczonych polityków na razie skutecznie pozostawiała z boku. Słyszała, że gdzieś w tym wszystkim przewija się nazwisko Zakrzewskiego, ale przecież mogła się tego spodziewać. Zawsze był tam, gdzie coś się działo.

Skupiła się na fotografiach. Przeglądała zdjęcia notesu Wysockiego. Była już na początku lipca zeszłego roku i jak dotąd nic szczególnego nie zwróciło jej uwagi. Same terminy służbowe, kilka notatek prywatnych dotyczących rodziny. Czyżby nie miał wtedy żadnej kochanki? To akurat nie było możliwe, ale umiała to sobie wytłumaczyć. Taki notes jest łatwym celem, żona pewnie mogłaby go znaleźć. Pewnie z kochankami umawia się w inny sposób.

Doszła do daty zaginięcia Anny Kowal i zmarszczyła czoło. 10 lipca – „Urodziny Włodka, 18.00” i dwukrotne podkreślenie.

Widziała już wcześniej taki sam wpis. Cofnęła się i znalazła. „Urodziny Włodka, 19.00”, tym razem przekreślone grubą kreską.

Pewnie rzeczony Włodek z nieznanых jej powodów przełożył świętowanie urodzin o trzy tygodnie. Niby nic szczególnego. Dlaczego w takim razie wpis rzucił jej się w oczy? Dlatego, że się powtórzył? Zastanowiła się chwilę i przewinęła zdjęcia dalej. Doszła do ostatniego i nic już nie znalazła. Wróciła do 10 lipca. „Urodziny Włodka, 18.00”.

Wydawało jej się, że słyszy kliknięcie w głowie, jakby części układanki trafiły na swoje miejsce. Tylko jakie części, do licha? Co przedstawia ta układanka?

– Cholera! – rzuciła podobnie jak wtedy.

Rozdział 38

Na poboczu drogi zaparkował czerwony seat Ibiza. Drzwi od strony pasażera uchyliły się i pies rasy foksterier, wesoło machając ogonem, podbiegł do stojącego nieopodal Zakrzewskiego. Marcin dał sobie obwąchać spodnie i dłonie, po czym schylił się, pogłaskał psa i podrapał go po uszach. Od razu stał się najlepszym kumplem wesołego zwierzaka.

– Ma na imię Fiona – powiedział kierowca, wysiadając z seata.

Zatrzasnął drzwi i zbliżył się do stojących w grupie śledczych.

Ilona Marzec rozglądała się z ponurą miną, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie spodni. Ona wydawała się najmniej zadowolona z pomysłu Wiliczekowskiego, aby przeszukać dwa miejsca w Lesie Rędzińskim. Może zirytowało ją, że na ten pomysł wpadł właśnie Adam. On zresztą, ubrany tym razem na sportowo, w grubych, mocnych górskich butach stał możliwie najdalej od niej. Mariusz Krawiec pokazywał coś Karinie na wielkim ekranie swojego telefonu. Słuchawki z białymi kabelkami bez przerwy tkwiły w jego uszach. Ciekawe, czy zdejmował je na noc. Rozmawiali tak cicho, że do Marcina dolatywały tylko strzępki słów.

Policjant opiekujący się psem do poszukiwania zwłok miał nie więcej niż trzydzieści pięć lat, lekką nadwagę i okrągłą, wiecznie uśmiechniętą twarz.

– Starszy aspirant Jurek Dudek – przedstawił się, ściskając Marcinowi dłoń.

– Komisarz Zakrzewski.

– Wiem, wiem – roześmiał się Dudek. – Dużo o tobie słyszałem.

Witał się z innymi, nie przestając mówić.

– Wasze szczęście, że akurat mieliśmy z Fioną wolne. W całej Polsce jest tylko piętnaście psów przeszkolonych do poszukiwania zwłok. Do tego Fiona jest najlepsza, cały czas jesteśmy w rozjazdach. Często się zdarza, że przychodzi rozkaz i wyjeżdżamy na kilka dni. Wszystkim się wydaje, że pies może pracować bez przerwy. A tymczasem pies też człowiek. Może szukać kilka godzin, ale przez kilka następnych musi odpoczywać.

Przerwał i spojrzał krytycznie na ich grupę.

– Mało was – zauważył.

– Chcemy sprawdzić tylko dwa miejsca, stosunkowo niewielkie – wyjaśnił Marcin.

Starszy aspirant wrócił do samochodu, otworzył bagażnik i zmienił buty na gumowce. Wszyscy od razu zerknęli w głąb lasu. Lato było tego roku wyjątkowo suche, lecz po ostatnich deszczach w lesie musiało być wilgotno. Pogoda też była niepewna.

Dudek przywołał ich gestem. Z bagażnika wyjął metalowe pręty i rozdał zdziwionym policjantom.

– Mam pełne zaufanie do mojego psa – oświadczył. – Wiecie, że Fiona potrafi wywąchać topielca znajdującego się na dnie, na głębokości kilku metrów? Tak jest, proszę państwa. Oczywiście na wodzie gorzej jest z dokładnością wskazania. Prądy wody i wiatr niosą czasem zapach w różne kierunki. Kiedy jednak Fiona da znak, że jest topielec, ciało na pewno tam będzie.

Patrzyli na wesołą suczkę z coraz większym szacunkiem.

– Ostatnio dwa dni pływaliśmy łódką po Odrze i szukaliśmy ciała tego z mostu Warszawskiego – dorzucił Dudek, a potem nagle jakby ugryzł się w język i zmienił temat. – Kiedy zwłoki zagrzebane są bardzo głęboko, ziemię trzeba trochę nakłuć. Wy ruszycie przodem, tyralierą. Co jakiś czas wbijajcie te pręty w ziemię. My z Fioną będziemy kluczyć trochę z tyłu.

Przypiął psa do długiej smyczy i nieco ją skrócił.

– Między drzewami nie mogę dać jej dużo luzu, żeby nie zahaczyła o krzaki – wyjaśnił.

Przeskoczyli płytki rów i zagłębili się w las. Adam poszedł przodem, sprawdzając na bieżąco współrzędne na GPS. Za nim ruszył Długi, potem Ilona z Dudkiem, na samym końcu Karina i Marcin. Na początku brnęli przez rzadkie, ale wysokie mokre trawy i wkrótce wszyscy z wyjątkiem Dudka mieli przemoknięte buty.

Szli w milczeniu. Marcin pograżył się w ponurych rozmyślaniach.

Cały poprzedni dzień spędzili na szukaniu powiązań między dwiema zamordowanymi i dwiema zaginionymi. Nie znaleźli niczego. Raport z sekcji zwłok potwierdził wstępne ustalenia Rajczy dotyczące daty i przyczyny zgonu. Tożsamość została potwierdzona w najprostszy możliwy sposób. Obok ciała, pod warstwą ściółki leśnej, leżała torebka z dokumentami. Autopsja nie potwierdziła ani nie wykluczyła gwałtu, ale pozwoliła dokładnie opisać ślady na ciele, analogiczne do śladów z ciała Wiktorii Nowak. Sprawca musiał być ten sam. Do późna w nocy analizowali ostatnie godziny Joanny Budny przed zaginięciem. Dzisiaj przyszedł czas poszukiwań. Marcin załatwił psa bez zbędnego rozgłosu. Zgodę podpisał inspektor Godlecki.

Zakrzewski trochę się bał, że w przypadku niepowodzenia wystawi siebie i swoją grupę na drwiny i docinki ze strony kolegów z firmy. Ich poszukiwania zaprzeczały przecieź wszelkim zasadom prowadzenia śledztwa. Sprawdzali hipotezę niepopartą żadnym dowodem. „Na czuja” – jak określił to kilkakrotnie Długi. Może dlatego Ilona była w tak podłym humorze?

– O czym myślisz? – zapytała Karina.

Trawy się skończyły. Pod stopami trzaskały pękające pod ich ciężarem gałązki.

– Martwi mnie morale naszej drużyny – powiedział.

– Nie obawiaj się. – Zerknęła na niego, ale wciąż czujnie się rozglądała. – Skoczmy za tobą w ogień.

– W piątek przyjeżdża Justyna Kordas.

– Piękna pani z telewizji?
– Obiecałem jej kolację i dobre wino w zamian za ten materiał na YouTube.

– No to szykuje ci się fajny wieczór.
– O nie! Nie wykręcisz się tak łatwo.

Zdziwiona uniosła brwi.

– Nie rozumiem.

– Idziesz ze mną na tę kolację i dzielimy się kosztami po połowie.

– Popatrzył na nią poważnie. – Pensja policjanta jest dość skromna, do wypłaty jeszcze daleko.

Poklepała go po przyjacielsku po ramieniu.

– Dobrze. Wspomogę twój portfel.

Potem szli, wsłuchując się w rozmowę Ilony Marzec i aspiranta Dudka.

– Nie, to nie jest mój pies – mówił akurat Dudek. – Fiona służy w policji jak ja czy ty. W koszarach ma kojec, zapewniony wikt, wszystkie szczepienia, dwa razy do roku weterynarza i fryzjera.

– Mówiłeś, że mieszka z twoją rodziną.

– Pracujemy ze sobą od początku, już sześć lat. Musiałbym nie mieć serca, żeby zostawiać ją w koszarach. Napisałem pismo do komendanta wojewódzkiego, specjalna komisja sprawdziła warunki u mnie w domu i dostałem zgodę, żeby Fiona u mnie zamieszkała.

– Pomyliła się kiedyś?

– Raz myślałem, że się pomyliła. Szukaliśmy ciała mężczyzny. Było podejrzenie, że zakopano go na terenie gospodarstwa rolnego. Mieliśmy koło hektara terenu i dwa psy. Ten drugi szybko złapał trop i wskazał miejsce. Tymczasem Fiona nawet nie ruszyła się z miejsca. I wiesz co? W tamtym miejscu znaleziono zwłoki, ale... konia.

– Fiona miała zlecenie na człowieka, dlatego się nie ruszyła – domyśliła się Ilona.

Wtedy Adam Wiliczkowski zatrzymał się i gestem pokazał, że doszli na miejsce.

Szybko się zorganizowali i rozstawili w dwumetrowych odstępach. Co dwa kroki, jak podczas poszukiwania ludzi pogrzebanych w lawinie śnieżnej, zatrzymywali się i nakłuwali ziemię. Pies ruszył za nimi dopiero, kiedy oddalili się o kilkanaście metrów. Marcin odwracał się parę razy. Fiona poważnie podchodziła do swojej pracy i dokładnie obwąchiwała teren.

Bardzo szybko rozszerzyli obszar, przeszli jeszcze kilkadziesiąt metrów do przodu.

Kiedy Wilczkowski z Kariną i Długim naradzali się nad kolejnym rozszerzeniem poszukiwań, Dudek podszedł do Marcina. Najwidoczniej o swoim psie mógł opowiadać godzinami.

– Fiona to najtańszy funkcjonariusz policji. W nagrodę za zakończone sukcesem poszukiwania dostaje kilka plasterków żółtego sera. Wiesz, ona uwielbia żółty ser. Wszędzie go wywącha.

Marcin jeszcze raz pogłaskał suczkę.

– Znaleźliście ciało? – zapytał.

Dudek spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Tego z mostu – wyjaśnił Marcin.

Aspirant nie odpowiedział, tylko się skrzywił.

– Zabronili ci mówić?

– Tak.

– Byłem tam tego wieczoru – powiedział Zakrzewski. – Stałem na moście. Widziałem, jak pływacie z Fioną na łódce.

– No tak – mruknął Dudek. – Pies wywąchał zwłoki.

Zakrzewski drgnął.

– Rano pletwonurkowie go wydobyli. Ale to nie był ten facet, tylko topielec sprzed kilku tygodni, który zaplątał się w krzaki przy dnie.

– Tamtego nie było?

– Widzisz, Fiona zrobiła swoje. Znalazła zwłoki topielca. Ona rozpoznaje specyficzne zapachy, które wydziela rozkładające się ciało. Była szansa, że znajdzie też świeże zwłoki tamtego. Ale jak poczuła tego topielca, to już nie podjęła innych tropów.

– Rozumiem. – Marcin pokiwał głową. – Swoje zadanie wykonała na piątkę.

– No właśnie.

– A teraz?

– Nie wiem, ale chyba jest niespokojna.

Narada się zakończyła. Zanim znowu ustawili się w jednej linii, lunęło. Z ponurymi minami spoglądali do góry i słuchali szumu deszczu w koronach drzew. Zaczęły kapać im na głowy grube krople. Szukali dalej, klnąc pod nosem. Tylko Dudek i jego foksterierka nie zwracali uwagi na aurę. Widać pracowali już w bardziej ekstremalnych warunkach.

Znowu nic nie znaleźli i zatrzymali się na kolejną naradę. Marcin ich słuchał, ale z coraz większym zaciekawieniem obserwował zachowanie Fiony. Zaczęła popiskiwać i ocierała się o nogi swojego pana.

– Dalej nie ma sensu szukać – stwierdziła Ilona Marzec. – Patrzyłeś na ściółkę leśną? Nawet nie ma śladu, żeby ktoś gdzieś kopał.

– Możemy w tym miejscu skończyć i spróbować w drugim – podsunął Adam.

Marcin zauważył, że on i Ilona po raz pierwszy ze sobą rozmawiają.

– Jeśli tu nic nie ma, bez sensu dalej szukać.

Dudek spojrział na Zakrzewskiego.

– Pies coś czuje – rzucił.

– Zwierzęta?

– Nie sądzę. Chyba ją spuszczę.

Uwolniona ze smyczy Fiona wystartowała z miejsca jak pocisk i zniknęła w pobliskich krzakach. Z oddali usłyszeli jej szczekanie. Rozmowy nagle się urwały.

Pierwszy pobiegł tam Dudek, za nim Marcin i reszta grupy. Kiedy dobiegali na miejsce, Dudek klęczał już przy Fionie. W dłoni trzymał

plastikowy pojemniczek z plastrami żółtego sera. Pies wiercił się w miejscu i merdał energicznie ogonem.

– Mówiłem, że jest najlepsza w swoim fachu – powiedział aspirant, zerkając na Zakrzewskiego. W oczach miał smutek i zniechęcenie.

Zanim Marcin zdążył o coś zapytać, Karina pociągnęła go za ramię. Spojrzał w górę, mrużąc oczy przed padającym deszczem.

Ciało dziewczyny wydawało się wisieć w powietrzu. Widok był tak surrealistyczny, że Marcin przez chwilę zastanawiał się, czy nie padli ofiarą ponurego żartu. Dopiero kiedy spojrzął jeszcze raz, zrozumiał.

Stali w miejscu otoczonym przez gęste krzewy, na środku rósł dąb z czerwonymi liśćmi. Na wysokości około czterech metrów, na jednej z gałęzi, leżała na brzuchu dziewczyna. Ciemne strąki włosów zwisały podobnie jak ramiona i nogi. Nie było widać jej twarzy. Na lewej stopie brakowało buta.

Wokoło panowała przerażająca cisza, zmącona jedynie przez szum deszczu. Marcin znowu zaczął się zastanawiać, czy jest jakaś granica makabry, za którą człowiek, w tym wypadku policjant, nie czuje już nic. Po raz kolejny ta granica się przesuwiała.

Zerknął na kolegów. On w swojej pracy zobaczył już bardzo dużo, oni mniej, i to było teraz widać jak na dłoni. Stali bladzi i przerażeni. Nie potrafił rozpoznać, czy Ilona ma w oczach łzy, czy to tylko krople deszczu. Dał im jeszcze kilkanaście sekund na okazanie ludzkich uczuć. Potem gwałtownie przerwał.

– Ilona, dzwoniś po techników i prokuratora.

Ocknęli się na dźwięk klaśnięcia w dłoń.

– Poczekasz tu na nich. Adam, wyślij Rajczy dokładne współrzędne tego miejsca. Wycofujemy się, żeby nie zdeptać ewentualnych śladów.

– A wy? – Ilona spojrzała na niego nieprzytomnie.

– Idziemy w drugie miejsce – wyjaśnił. – Adam, skoryguj współrzędne na swoim GPS.

*

Około dwudziestej pierwszej trzydzieści Marcin zrozumiał, że dalsza praca to strata czasu. Byli przemoczeni, zmarznięci, śmiertelnie zmęczeni i przybici. Wszyscy musieli się wyspać w swoich łóżkach, żeby na drugi dzień mieć energię i jasne umysły. Dlatego zarządził koniec na dziś. Jego decyzja została przyjęta z wyraźną ulgą. Rozchodzili się w milczeniu.

Zakrzewski wyszedł z gmachu komendy wojewódzkiej ostatni. Deszcz przestał padać, wiał za to nieprzyjemnie chłodny wiatr. Zakrzewski powlókł się na wewnętrzny parking, gdzie zostawił swoją hondę. Dopiero kiedy wsiadał na motor, poczuł ból mięśni w nogach – efekt całego dnia spędzonego w lesie i kilometrów, które w tym czasie przeszedł.

W domu był kilkanaście minut później.

Z trudem wdrapał się na drugie piętro, rzucił kask w przedpokoju i poszedł do kuchni, gdzie włączył swój stary ekspres przelewowy. Nieważne, która była godzina. Kawę mógł wypić o każdej porze.

Wziął gorący prysznic. Po wyjściu z łazienki rozejrzał się po pustym pokoju i pożałował, że nikogo teraz przy nim nie ma. Najchętniej przytuliłby się do kogoś w łóżku i pograżył w spokojnym, sennym niebycie. Pomyślał o Paulinie. Nie, nie taką mieli umowę, to przecież ona miała dzwonić.

Wbrew własnej woli zatopił się w ponurych myślach.

Fiona – najlepszy w kraju pies do poszukiwania zwłok – spisała się na medal. Druga dziewczyna leżała blisko wału Odry na bardzo wilgotnym terenie, przykryta gałęziami. Nawet ludzie poczuli słodkawą, mdłą odór padliny, kiedy zbliżyli się na kilka metrów. Mieli więc ciała zaginionych. Ze wstępnych oględzin wynikało, że sprawca był ten sam, w każdym przypadku zabił tak samo. W ustach znowu znaleźli strzępki papieru ze starej papeterii i kolejne słowa: „Gnij w piekle” i jeszcze: „Kurwa”. Jeśli w zamyśle mordercy kartki miały

być wskazówkami, policja ich nie zrozumiała. Nie udało się ułożyć z nich sensownego zdania.

Ciszę w pokoju przerwał nerwowy riff grany przez Jimmy'ego Page'a. Marcin odebrał, zanim Robert Plant zaczął śpiewać.

– Nie za późno? – Głos Kariny Buczko był zachrypnięty.

– Nie. Gdzie ty jesteś? – zapytał.

– W firmie.

– Miałaś iść do domu.

– Jeszcze długo nie będę miała domu. Nie pamiętasz?

– Nie czepiaj się słówek. Mam nadzieję, że nie szukasz Satyra na własną rękę?

– Nie jestem głupia.

– To o co chodzi?

Od razu przeszła do sedna.

– Dzwonił do mnie mój kolega Jacek Felman, jeździliśmy razem w patrolu. Mówi, że przyszła do niego dziewczyna z sąsiedztwa z niesamowitą historią. Ta dziewczyna twierdzi, że ktoś zabił jej dwóch kolegów, pozorując samobójstwa. Teraz w niebezpieczeństwie jest jeszcze kilkoro nastolatków. Marcin, musimy z nią porozmawiać.

Zakrzewski westchnął, nawet nie usiłując ukryć niechęci.

– Karina, mamy cztery brutalnie zamordowane kobiety. – Starał się mówić spokojnie i przekonująco. – Szkoda mi czasu na sensacyjne opowieści małych. Dlaczego nie poszła z tym na policję?

– Poszła, tylko jej zasugerowali, żeby nie zawracała policji dupy.

Marcin znowu westchnął. Karina od razu zwietrzyła swoją szansę.

– Marcin, tylko piętnaście minut.

– Karina, pomyśl rozsądnie. Trzech psychopatów grasujących po mieście w jednym czasie? Nieprawdopodobne.

– Całe życie składa się z takich nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności.

– Są jakieś dowody potwierdzające opowieść tej dziewczyny?

– Właśnie ich szukam – odpowiedziała.

– W porządku – zgodził się. – Jeśli będzie jakiś dowód, drobiazg, cokolwiek... porozmawiam z nią. Ale teraz masz wyjść z pracy i do rana porządnie się wyspać. Jesteś mi jutro potrzebna przytomna.

– Dobrze, dobrze.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale się rozłączyła.

Dopił kawę, wstał z fotela i sięgnął do stojącej obok torby po laptopa. Włączył go i sprawdził pocztę na Gmailu. Ze zdziwieniem zauważył, że nie logował się prawie od tygodnia. Jak zwykle wpadło trochę spamu, kilka reklam. Spojrzał na ostatnią wiadomość z załącznikiem. Na ogół nie otwierał załączników z nieznanymi źródłami, wiele się nasłuchiwał od policyjnych informatyków.

Tym razem zainteresowała go treść wiadomości napisana grubą czcionką.

Zakrzewski, mam nadzieję, że będziesz wiedział, co z tym zrobić.
Bez podpisu.

Marcin najechał myszką na załącznik i jeszcze się wahał. To był film. Wreszcie ciekawość wzięła górę. Kliknął dwa razy. Na początku nie bardzo wiedział, co ogląda. Obraz trochę drgał, snopy światła przesuwwały się po jakiejś stalowej konstrukcji i nagle zatrzymywały na małej postaci stojącej bez ruchu. Zakrzewski aż podskoczył. To bez wątplenia był Satyr na moście. Obraz się zmienił. Teraz było widać Satyrę w bardzo dużym powiększeniu. Miał czapkę opuszczoną na twarz, karabin zsunął mu się z ramienia. Wyglądał dziwnie. Nagle zrobił dwa szybkie kroki i skoczył. Potem ta sama scena, tylko nakręcona z prawej strony. I na końcu znowu na wprost. Mała postać na tle mostu leciała w dół i wpadała do czarnego nurtu Odry. I koniec. Dwie minuty trzydzieści trzy sekundy.

Marcin siedział jak sparaliżowany. Po pierwszym zaskoczeniu jego umysł zaczął pracować na wysokich obrotach. Wtedy nad mostem latały policyjne śmigłowce. Najwidoczniej ktoś przesłał mu krótki filmik zmontowany z obrazów z kamer obu śmigłowców.

Kamery były włączone bez przerwy i rejestrowały każdy ruch Satyra na moście. On nawet nie próbował się ukrywać, po prostu stał.

Zakrzewski powiększył obraz na cały ekran i włączył filmik jeszcze raz.

Reflektory obu helikopterów odnajdują postać Satyra. Przez kilkanaście sekund kamery nie spuszczają z niego swoich nieruchomych spojrzeń. Potem zbliżenie. Widać, że Satyr się zastanawia. Może waha. Wreszcie decyzja i błyskawiczna realizacja. Ta sama scena, tylko nakręcona ze śmigłowca wiszącego na wprost skaczącego, z większej odległości.

Przez następną godzinę bez przerwy oglądał filmik, aż w końcu poczuł kłujący ból w karku. Z trudem wyprostował plecy. Nie zauważył, że siedzi w nienaturalnej pozycji i zdrętwiały mu nie tylko mięśnie karku, ale też ramiona. Już wiedział, co było dziwnego w zachowaniu Satyra. Nagły bezruch. Ze zdecydowanego, gotowego na wszystko zabójcy, błyskawicznie podejmującego decyzję najemnika, który wydał policjantom bezwzględną wojnę, zmienił się w kukłę. Stał nieruchomo, wpatrzony w jakiś punkt pod swoimi stopami. Nawet się nie ukrywał. Można go było w tej chwili zastrzelić, może nawet zająć od tyłu i spróbować obezwładnić. Nie zwracał uwagi na to, co się wokół niego działo. Może był ranny? Raczej nie. Ubrany był w nieoznakowaną wojskową kamizelkę kuloodporną, którą dwoma ruchami ściągnął tuż przed skokiem.

Co się z nim działo?

Marcin znalazł w menu opcję powiększania fragmentu obrazu. Powiększył sylwetkę Satyra. Widział, jak nieruchomieje. Może w tej chwili trafił go pocisk wystrzelony przez żołnierzy? Nie. Przecież Marcin stał wtedy obok dowódcy oddziału antyterrorystycznego policji. Nie było żadnego wystrzału. Może wiedział, że skok będzie równoznaczny ze śmiercią? Bzdura! Zakrzewski nie miał wątpliwości. Satyr przeżył i znowu wymknął się policji. Opowiadanie starszego aspiranta Dudka o poszukiwaniu ciała tylko potwierdziło jego przypuszczenia. Mail z filmem też był dowodem na to, że Satyr

żyje. Na razie jest osłabiony, zbiera siły gdzieś w ukryciu, ale prędzej czy później wróci.

Wróci, żeby jeszcze raz stanąć z Marcinem Zakrzewskim twarzą w twarz. Wróci, żeby sprawdzić, który z nich jest lepszy.

Kolejne pytanie przyszło Marcinowi do głowy. Kto przysłał ten filmik: przyjaciel czy wróg? Może ktoś chciał go skompromitować? Przypomniał sobie spotkanie z oficerem ABW bez twarzy i nazwiska. Czy mogło chodzić o zemstę? Zakrzewski nie uczestniczył w postępowaniu w sprawie zająć na Roosevelta, a tym samym znalazł się poza podejrzeniami. Nikt nie zamierzał pociągać go do odpowiedzialności służbowej za akcję bez zezwolenia. Wszelkie konsekwencje poniósł nieżyjący Sochacki.

Zakrzewski uznał, że film niczego nie zmieni i że nie da się sprowokować. Nie będzie się tym zajmował.

Jeszcze raz go obejrzał. Na pewno nie będzie? Przecież, do cholery, ty nigdy nie odpuszczasz, prawda? – zapytał w duchu sam siebie i gwałtownie zamknął laptopa. Postanowił, że będzie cierpliwy. Poczeka, aż Satyr wróci.

Umył zęby, przyjrzał się krytycznie swojej twarzy w lustrze. Zmarszczki wokół oczu pogłębiły się, usta zaczęły się coraz częściej układać w jakiś złośliwy grymas. Nie, nie złośliwy. To była raczej gorzkość.

Pół godziny później, klnąc pod nosem, usiadł na łóżku i sięgnął do nocnego stolika po telefon. Znalazł świeżo zapisany numer. Długo czekał, zanim po drugiej stronie ktoś odbierze.

– Słucham?

Głos w słuchawce zabrzmiał, jakby właściciel został wyrwany z głębokiego snu.

– Zakrzewski z tej strony. Obudziłem cię. – To było raczej stwierdzenie niż pytanie.

– No.

– Przepraszam, ale muszę cię o coś zapytać.

– Wał śmiało, szefie. – Ilona Marzec była już przytomna.

Wyjaśnił jej, o co chodzi. Oddzwoniła dwadzieścia po trzeciej. Wyraźnie słyszał, jak bardzo była zmęczona. Poczuł wyrzuty sumienia.

– Adres, z którego otrzymałeś maila, nie istnieje.

– Jak to?

– Został założony na kilka minut przed wysłaniem wiadomości i zaraz potem usunięty.

– Podobno w Internecie nic nie ginie.

Roześmiała się.

– Oczywiście, ale można ukryć więcej, niż mówi się oficjalnie. Słyszałeś o Darknecie?

– Oaza dla płatnego seksu, paserów i handlarzy narkotyków – odpowiedział szybko.

– To oczywiście też, ale nie daj się zwieść propagandzie. Darknet powstał dla ludzi pragnących totalnej wolności. Tam anonimowo spotykają się ludzie, żeby wymienić poglądy, porozmawiać o poważnych sprawach międzynarodowych, swoje strony mają organizacje walczące o prawa kobiet, ochronę środowiska i niezależne media. Tam też spotykają się... – Zawahała się wyraźnie.

– Hakerzy i płatni zabójcy – dopowiedział.

– Właśnie. Osoba, która wysłała ci wiadomość, korzystała z wyszukiwarki Tor, która wprowadza zmienne kody IP i zapewnia użytkownikom anonimowość.

– J-jasne. Dziękuję, nie wyśpisz się dzisiaj.

– Nie tylko ja.

Połączenie zostało przerwane.

Rozdział 39

– Jak to się stało, że chce pan napisać artykuł o samobójstwach wśród młodzieży?

Kobieta mogła mieć pięćdziesiąt parę lat. Kiedyś chyba była pulchna, ale dużo straciła na wadze, świadczyły o tym zmarszczki na twarzy, obwisłe policzki i za duże ubrania. Pochyliła się nad stolikiem i postawiła przed Krzysztofem Salitrą filiżankę z czarną kawą. Kawa pachniała wybornie. Kobieta usiadła naprzeciw niego w głębokim fotelu i spojrzała pytająco. Prawda była najlepszym wyjaśnieniem.

– Moja siostra trzy lata temu popełniła samobójstwo – powiedział.

Przez twarz kobiety przemknął grymas zaskoczenia.

Stwierdzenie trafiło idealnie w cel. Już był jej przyjacielem.

Irena Tomasik z wykształcenia była psychologiem. Dwa lata temu jej szesnastoletni syn niespodziewanie popełnił samobójstwo. Postanowiła, że się nie załamie. Założyła stowarzyszenie Żyj! pomagające rodzicom w podobnej sytuacji. Jeśli miała to być terapia, sprawdziła się doskonale. Irena znalazła nowy cel w życiu, a jej małe stowarzyszenie robiło dużo dobrego dla innych. W Internecie Krzysztof nie spotkał żadnego hejtu na jej temat. Same pozytywne komentarze, co było pewnym ewenementem.

Nie powiedział tego gospodyni, ale opowiadanie ze Śmierciorem i jej synem w roli głównej było jednym z tych, które wybrał do sprawdzenia.

– Jak to się stało? – zapytała ostrożnie.

– Nieoczekiwanie. Wesoła, pełna życia, otoczona przez wielu przyjaciół młoda kobieta pewnego dnia odkręciła gaz.

– To się często zdarza. – Pokiwała głową. – Niektórzy cierpiący na chorobę dwubiegunową potrafią się doskonale ukrywać. Kiedy są w euforii, wszyscy ich lubią, królują na imprezach, przodują w pracy i nauce. Kiedy mają dół, udają niedyspozycje, złe samopoczucie. Przeczekują to stadium choroby. Niestety, czasem nie wytrzymują i zdarzają się udane próby samobójcze. Potem wszyscy się dziwią: jak to możliwe? Przecież nie on. Był taki wesoły i pełen energii.

– A zły wpływ otoczenia?

– Oczywiście jest ważny. Szczególnie u osób nastoletnich istnieje wielka potrzeba akceptacji i przynależności do grupy. Młodzi ludzie nieznajdujący zrozumienia u swoich rówieśników często się radykalizują. Zaczynają przyjaźnić się z osobami z marginesu, wstępują do gangów, wchodzą w konflikt z prawem.

– Jak było z Jackiem?

Salitra zaniepokoił się, że zadał pytanie za wcześnie, ale Irena Tomasik zaczęła opowiadać. Z jej słów wyłaniał się obraz normalnego, wątpliwego w sobie i swoje możliwości nastolatka, jeszcze na tyle zagubionego, że nie wiedział, kim będzie w przyszłości. Żadnych problemów z nauką, dobrze wychowany, nie miał dziwnych znajomych. Przynajmniej matka tego nie zauważyła.

– Jestem psychologiem – zakończyła. – Nie mogę sobie darować, że przegapiłam wszystkie sygnały zagrożenia. Nie potrafię sobie tego wybaczyć.

W jej oczach stanęły łzy. Szybko wytarła je chusteczką i uśmiechnęła się do niego przepaszająco. Może nie było żadnych symptomów? – pomyślał Salitra.

– Jeszcze czasem nie mogę opanować łez – powiedziała. – Wie pan, na miesiąc przed śmiercią Jacek zaczął przejawiać niezdrowe zainteresowanie samobójcami. Czytał statystyki, przeglądał fora internetowe. Raz zapytał mnie o coś bardzo dziwnego. Wtedy jeszcze nic o tym nie wiedziałam.

– O co?

– O Las Samobójców – wyjaśniła i widząc jego pytające spojrzenie, mówiła dalej: – W Japonii u podnóży góry Fudzi jest las zwany Aokigahara, czyli Morze Drzew. Podobno rocznie znajdują tam około stu ciał. Nie wiadomo, dlaczego samobójcy szczególnie upodobali sobie to miejsce.

– Przez telefon wspomniała pani, że Jacek świetnie rysował.

– Tak. Namawiałam go, żeby poszedł na akademię sztuk pięknych albo na architekturę, ale nie był zdecydowany.

– Rysował ten las?

– Oczywiście. – Pokiwała głową.

– Pokaże mi pani jego rysunki?

Po chwili Irena robiła mu w kuchni jeszcze jedną kawę, on w tym czasie przeglądał opasłą teczkę ze szkicami jej syna. Niektóre obrazy zrobiły na Salitrze duże wrażenie. Kilka rysunków przedstawiało posępny Las Aokigahara. To, co oglądający w pierwszej chwili brał za konary drzew, przypominało kształtem wisielców. Potem był szereg portretów przyjaciół ze szkoły. Salitra przerzucił parę kartek i poczuł, jak w jednej chwili krew odpływa mu z twarzy, a zimny dreszcz rozlewa się po karku i plecach.

Obserwator!

Pokraczna postać w długim prochowcu patrzyła na niego z zębami wyszczerzonymi w szerokim uśmiechu. Na twarz padał cień i widać było tylko ten uśmiech. Nienaturalnie długie ręce kończyły się gdzieś w okolicach kolan. Szkic był dokładny. Widać było nawet, że rękawy płaszcza są sztukowane, żeby miały odpowiednią długość.

Irena postawiła przed nim drugą filiżankę i uśmiechnęła się, widząc, któremu szkicowi się przygląda.

– Sugestywne, prawda?

– Nie wie pani, gdzie widział tę osobę? – zapytał.

– Nie sądzę, żeby ona istniała. Jacek miał bardzo rozwiniętą wyobraźnię.

– Wspominał kiedyś o Obserwatorze?

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Nie, dlaczego pan pyta?

– Coś mi przyszło do głowy. – Starał się uspokoić ją uśmiechem. – Czy mógłbym wybrać kilka szkiców lasu jako ilustrację do mojego artykułu?

– Oczywiście, będę zaszczycona.

Krzysztof rozłożył szkice na stoliku, obok niby przez przypadek położył rysunek człowieka z długimi rękami, wydobył aparat i zaczął fotografować. Udawał, że fotografuje las, ale skupił się na pokracznej postaci.

Kiedy skończył, sięgnął po filiżankę. Kawa nie smakowała mu już tak jak poprzednio.

*

Odgłos staroświeckiego dzwonka wyraźnie dobiegł zza drzwi. Szybko poprawiła włosy, na twarz przywołała najsympatyczniejszy uśmiech, na jaki było ją stać, i czekała. Niedługo potem usłyszała szuranie butów po kafelkach, zamek w drzwiach szczęknął, drzwi się uchyliły i spojrzała na nią starsza kobieta z włosami białymi jak śnieg.

– Karina Buczko, komenda wojewódzka policji. – Karina pokazała odznakę. – Czy pani Natalia Krosny?

Staruszka spojrzała niechętnie na odznakę.

– Tak. Ale proszę mnie już nie męczyć. Już wszystko wam powiedziałam.

– Pani Natalio, nie będę pani męczyć. Chciałabym tylko porozmawiać. Obiecuję, że potrwa to najwyżej pięć minut.

Gospodyni wahala się, wreszcie uległa uroczemu uśmiechowi Kariny.

– No dobrze, proszę wejść.

W mieszkaniu było duszno. Krosny zaprowadziła Karinę do pokoju i posadziła w fotelu, po czym poszła zrobić herbatę. Odkąd

policjantka przekroczyła próg mieszkania, gospodyni stała się inną osobą. Jakby zaproszenie było równoznaczne z wpisaniem na listę przyjaciół domu.

Karina rozejrzała się i w jednej chwili cofnęła się w czasie do lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Meble pamiętające wczesnego Gierka, wytarte fotele, tapczan, ciężkie zasłony na oknach i trochę pożółkłe firanki, zegar na ścianie, wyblakły dywan na podłodze – u pani Natalii czas się zatrzymał i najwidoczniej było mu z tym dobrze.

Najpierw rozmawiały o sąsiadach, potem o pogodzie. Właściwie starsza kobieta mówiła, Karina tylko kiwała głową. Wreszcie pani Natalia sama nawiązała do celu jej wizyty.

– Naprawdę bardzo chciałam wam wtedy pomóc – mówiła przejęta. – Ten policjant, który robił portret pamięciowy, trochę mnie zmylił. Bardzo szybko zadawał pytania i nie miałam czasu pomyśleć. Moja droga, w pewnym wieku nie ma się już takiego jasnego umysłu.

– Niech pani zapomni o tym portrecie. – Karina machnęła ręką.

W ustach miała mdły smak herbaty. Nie pomogły nawet dwie łyżeczki cukru, które desperacko wsypała do rudobrazowej cieczy w szklance.

– Mam wnuczkę w pani wieku – zagadnęła Krosny. – Nawet jesteście do siebie podobne. Też chciała pracować w policji, ale wszyscy w rodzinie jej to odradzali.

Karina tylko się uśmiechnęła.

– On naprawdę wyglądał dziwnie – ciągnęła staruszka. – Był wielki, tak jak mówiłam. A twarz miał taką... głupkowatą.

– Głupkowatą?

– Jak jakiś debil albo idiota. Tak mi się wydaje.

– Proszę mi spokojnie opowiedzieć.

Krosny i trzy jej koleżanki w podobnym wieku postanowiły, że od wiosny będą chodzić na wieczorne spacerunki z kijami do nordic walking. Tego dnia żadna z kobiet nie mogła pójść na spacer, więc

Krosny poszła sama, tą samą trasą co zawsze. Akurat na grobli Pilczycko-Prackiej nie było wielu osób.

– Zamyśliłam się i kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam go. Przeraził mnie. – Wzdrygnęła się na tamto wspomnienie. – Myślałam, że to jakiś gwałcieciel albo, nie daj Boże, morderca.

– Skąd przyszedł?

– Myślę, że z przeciwnej strony. Prawie zaczęłam krzyczeć, kiedy na mnie spojrział tym błędnym wzrokiem. Na szczęście pojawił się tamten drugi i chyba to mnie uratowało.

Karina zamarła.

– Tamten drugi? – zapytała ostrożnie.

– No tak, zapomniałam wam powiedzieć, bo ten policjant namieszał mi w głowie.

– Skąd wziął się ten drugi?

– Wyszedł z krzaków. Widocznie był za potrzebą. Wie pani, jak to jest z mężczyznami – zaśmiała się Natalia Krosny. – Uśmiechnął się do mnie grzecznie, uchylił czapki i poszedł. Od razu poczułam się bezpieczniej.

– Jak był ubrany?

Krosny się zawahała.

– Normalnie. Wie pani... takie spodnie, jak teraz wszyscy noszą, ciemna koszula, nawet elegancka, i czapka z daszkiem.

– Dokąd poszedł?

– Pewnie do samochodu.

– Jakiego samochodu?

– No czerwonego.

Karina otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Uspokoila oddech.

– Gdzie stał ten samochód?

– W takiej bocznej ścieżce – wyjaśniła starsza kobieta. – Nawet się dziwiłam, jak on tam dojechał, ale to był terenowy, z dużymi kołami, pewnie nie miał problemu.

Karina szybko zebrała myśli.

– A jak pani uważa... Czy oni mogli być razem?

– Nie. – Gospodyni pokręciła głową. – Taki miły pan na pewno nie chodziłby z taką pokraką. Zresztą tamten mnie minął i szybko odszedł, a ten pan skręcił do samochodu. Słyszałam później silnik.

Karina zadała jeszcze kilka pytań, ale upewniwszy się, że Natalia Krosny już niczego więcej nie powie, pożegnała się. Za drzwiami wyciągnęła telefon i wybrała numer.

*

Siłownia czynna przez całą dobę znajdowała się w budynku przy Ślężnej.

– Szukam gościa. Dobrze zbudowany, ponad dwa metry wzrostu, wielkie dłonie, buty rozmiaru co najmniej pięćdziesiąt dwa.

Facet za kontuarem niemal odpowiadał rysopisowi. Był łyсы, ubrany w koszulkę na ramiączkach, w której idealnie prezentowały się jego bicepsy. Jego drwiący uśmiech w jednej chwili doprowadził Wiliczkowskiego do nerwowego wrzenia.

– Pudzianowski tutaj nie przychodzi – zarechotał osiłek.

– Skup się. – W głosie Adama pojawiły się niebezpieczne nuty. – Dwa razy nie będę pytał.

Pracownik siłowni niczego nie zauważył. I to był jego błąd.

– Panie władzo – powiedział, przeciągając sylaby. – Tu nie przychodzą tacy goście. Oni już mają wyrzeźbioną bazę.

Adam nie wytrzymał. W mgnieniu oka przeskoczył na drugą stronę biurka. Mięśniak nie zdążył zareagować, dostał potężny cios pod żebra, a kiedy się skulił, policjant chwycił go za głowę, walnął jego twarzą o blat i wykręcił mu rękę.

– Kurwa, właśnie się zastanawiam, czy to nie była czynna napaść na policjanta – wyszeptał mięśniakowi do ucha Adam. – Jak myślisz, napadłeś na mnie?

– Tuu... est... mmmrr... – wycharczał obezwładniony koleś.

– Co tam biadolisz?

– Tu jest monitoring...

– Właśnie mam nakaz prokuratora. Zabezpieczamy monitoring w celach dowodowych w śledztwie prowadzonym w sprawie o wielokrotne zabójstwo. Chcesz być oskarżony o utrudnianie śledztwa?

– Nieeee...

Zanim mięśniak się zorientował, Adam znowu był już z drugiej strony. Zerknął na identyfikator pracownika leżący za kontuarem.

– To co, Adrian? – zapytał z całkiem miłym uśmiechem. – Dogadamy się jakoś?

Wielki, umięśniony facet stał jak bezradne dziecko z twarzą uniesioną do góry i bezskutecznie starał się zatamować krwawienie z nosa.

– Nie chcę nic utrudniać – wyjąkał. – Niech pan pyta.

Adam podał mu dwie chusteczki higieniczne.

– Nie chce mi się powtarzać.

– Jest kilku facetów, którzy mają ponad dwa metry wzrostu. – Głos Adriana był lekko zniekształcony przez spuchnięty nos. – Nooo... Marek, ma ksywkę Góra, jak ten z Gry o tron. To człowiek z miasta. Jeden z szefów kiboli. Nie radziłbym z nim zaczynać.

– Twoje porady mnie głównie interesują – uciął Wiliczkowski.

– Jest jeszcze Sołtys, ale nie wiem, jak się nazywa. I jeszcze Ryży, taki dziwny gość, co się nie odzywa, tylko pakuje kilka godzin dziennie. Świr.

Adam popukał palcem w obudowę stojącego na kontuarze monitora.

– Ich dane.

Adrian szybko zanurzył twarz w monitorze i na kartce zaczął spisywać dane wskazanych przez siebie osób. Policjant w tym czasie rozejrzał się jeszcze raz. Za szklanymi drzwiami widać było kilka ćwiczących osób. Jedni wyciskali sztangi, dwóch trenowało na ergowiosłach.

Adrian podsunął mu kartkę. Adam tylko na nią spojrzął i schował do tylnej kieszeni spodni.

- Jeszcze zapis z monitoringu. Ostatni miesiąc.
- Muszę zadzwonić do kierownika.
- To na co czekasz?

Kiedy Adrian dzwonił, Adam wszedł za szklane drzwi. Dokładnie przyjrzał się wszystkim ćwiczącym. Odpowiedziały mu zdziwione, nawet wrogie spojrzenia. Nie dostrzegł nic ciekawego i już miał wyjść, kiedy w najdalszym kącie pomieszczenia zobaczył faceta na bieżni. Właściwie nie wiedział, dlaczego zwrócił na niego uwagę. Może dlatego, że facet biegł w szybkim tempie, był ubrany w obcisły sweter z długimi rękawami i czapkę z daszkiem. Nie widać było na nim kropli potu. Nigdy nie będę w takiej formie – pomyślał Adam i wrócił do pracownika siłowni. Kierownik był już w drodze.

Niecałą godzinę później Wilczkowski wsiadał do służbowego forda z dyskiem z nagraniem z monitoringu w kieszeni. Nawet łatwo poszło – pomyślał z satysfakcją i zaraz poczuł, jak stres puszcza. Odetchnął dwa razy głęboko i zacisnął dłonie na kierownicy. Przymknął na chwilę powieki. Od razu wróciły obrazy zmasakrowanych ciał kobiet z Lasu Osobowickiego. Znowu zaczęła go przepełniać bezsilna wściekłość. Ten zwyrodnialec spaceruje po mieście. Może jest bardzo blisko i śmieje się policji w twarz. Wściekłość zmieniła się w agresję. Adam znowu odetchnął. Muszę bardziej nad sobą panować – powiedział sobie w duchu. Jeszcze chwila i Adrian skończyłby ze zmasakrowaną twarzą.

Uruchomił silnik, wrzucił bieg i ruszył z piskiem opon.

*

Młodzi ludzie, którzy siedzieli z Iloną Marzec w serwującym kebab barze o efektownej nazwie Dyktator, wyglądali na wstrząśniętych. Wiedzieli, że ich koleżanka zaginęła, jednak wiadomość o jej śmierci była zupełnie innego kalibru, odbierała całą nadzieję, była ostateczna. Chłopak o nastroszonych czarnych włosach, z dziesiątkami kolczyków w uszach, brwiach i górnej wardze, był

blady jak ściana i bezmyślnie obracał w palcach szklankę z piwem. Nazywali go Siemek. Obok niego siedziała Szpilka. Jej ksywa pasowała idealnie. Dziewczyna miała długie szare włosy i była przeraźliwie chuda. Palila nerwowo papierosa. Trzeci chłopak był ich całkowitym przeciwieństwem. Schludnie ubrany w koszulę i marynarkę, włosy starannie zaczesane na bok, torba z laptopem, którą ścisnął niczym największy skarb. Mówili na niego Marian. Nie brzmiało to jednak jak jego prawdziwe imię, tylko jak ksywka. Tak oceniła to Ilona. I miała rację. Przedstawił się jako Mirek Borek.

Przypominał jej Wiliczковского. Elegancja była u niego czymś zupełnie naturalnym. Podobali jej się tacy faceci. Zastanowiła się, ile może mieć lat. Góra dwadzieścia pięć.

Z nieba siąpił deszcz, który rozbijał się na parasolu nad ich głowami. Siedzieli na zewnątrz baru. Kilka metrów dalej przez sam środek Leśnicy ciągnął sznur aut w jedną i drugą stronę.

– To szok – powiedział wreszcie Mirek vel Marian. – Cały czas myślałem, że dała nogę.

– Dlaczego tak sądziłeś?

– Wie pani... znam ją najdłużej. Razem chodziliśmy do podstawówki, potem do liceum, chociaż nie do jednej klasy. Była trochę odjechana. Marzyła o podróżach dookoła świata. Wielokrotnie powtarzała, że jak tylko uzbiera trochę kasy, wyjedzie na Karaiby albo do Tajlandii. Tam znajdzie sobie męża milionera i resztę życia spędzi w luksusach, bo do tego jest stworzona.

– Potwierdzacie? – Ilona spojrzała na pozostałą dwójkę.

W milczeniu skinęli głowami.

– Była szalona – skwitował Siemek.

– Kiedyś w podstawówce na polskim mieliśmy napisać wypracowanie o tym, co chcielibyśmy robić w przyszłości. Aśka napisała, że poślubi milionera, będzie miała domy w różnych częściach świata, jachty, prywatne samoloty, baseny. Płakaliśmy ze śmiechu, kiedy czytała to na głos. Nie każdy zrozumiał, że ona tak na poważnie.

– Kiedy zniknęła, myśleliśmy, że w końcu wyjechała – dodała Szpilka.

Ilona wypytała ich o znajomych Joanny, o to, gdzie chodziła, z kim się spotykała, czy miała jakieś tajemnice, czy w ostatnich miesiącach opowiadała o dziwnych zdarzeniach, czy nie sprawiała wrażenia przestraszonej, czy zachowywała się normalnie. Szybko rozmowa stała się ciągiem takich samych odpowiedzi: Nie, tak, chyba nie, nie zauważyliśmy. Ilona straciła już nadzieję, że dowie się czegoś nowego, i chciała kończyć. Szpilka nagle uderzyła się w czoło.

– Telefon! – wykrzyknęła.

Wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni.

– Joanna zgubiła telefon.

– A, no tak. – Siemek pokiwał głową.

Przez całą rozmowę bawił się kolczykami w dolnej wardze, czym rozpraszał Ilonę. Wyobrażała sobie, że jeden z kolczyków się urywa, a do szklanki z piwem tryska fontanna krwi.

– Jaki telefon? – zapytała.

– Nie wiem, czy to ważne...

– Każdy szczegół może być ważny.

Szpilka opowiedziała, że dwa lub trzy tygodnie przed zaginięciem Joanna Budny zgubiła telefon. Właściwie nie zgubiła, była pewna, że ktoś jej go ukradł. Aparat miała w torebce i po wizycie w Centrum Handlowym „Magnolia Park” już go nie było, choć w tym czasie nigdzie nie dzwoniła.

– Była naprawdę rozżalona – podsumowała Szpilka, paląc kolejnego papierosa. – Sporo ją kosztował. Po paru dniach stał się cud. Do jej mamy zadzwonił jakiś facet i powiedział, że znalazł aparat na parkingu pod Magnolią. Aśka się z nim spotkała gdzieś na mieście.

– Coś o nim mówiła?

– No właśnie nic. Zawsze była gadułą, o swojej przygodzie z telefonem powinna opowiadać wszystkim znajomym przez najbliższy miesiąc. A jednak... milczała. Pytałam ją parę razy, jaki był

ten facet. Niby w żartach, wie pani. Czy był przystojny, stary, młody i takie tam.

– No i?

– Powiedziała, że był dziwny, i już nie chciała wracać do tematu.

Rozmawiali jeszcze kilka minut, aż Ilona uznała, że niczego więcej z nich nie wyciągnie. Dała im swoją wizytówkę i kazała dzwonić, jeśli tylko coś sobie przypomną. Kiedy się zbierali, policjantka wyrwała kartkę z notesu, coś na niej napisała i zawołała:

– Mirek!

Odwrócił się zdziwiony. Podeszła do niego i uściśnęła mu dłoń.

– Cieszę się, że się poznaliśmy – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy, po czym przebiegła szybko na drugą stronę ulicy, gdzie zaparkowała auto.

Nie widziała już, jak Mirek zdziwiony rozwinął kartkę, którą wcisnęła mu do ręki.

*

Z prokuratorem Markiem Grabskim spotkał się na korytarzu budynku Zakładu Medycyny Sądowej. Za drzwiami patolog Jan Musiał kończył sekcję zwłok dwóch nowych ofiar. Oszczędzili sobie tego widoku.

Na początku starali się nie rozmawiać o sprawie. Marek trochę kluczył, zanim zapytał wprost:

– Coś cię łączy z twoją nową partnerką Kariną Buczko?

Marcin Zakrzewski przez moment zwlekał z odpowiedzią. Cokolwiek by teraz powiedział, Grabski mu nie uwierzy, a on, chcąc chronić prywatność Kariny, nic więcej nie powie.

– Jesteśmy przyjaciółmi.

– Rozumiem. – Grabski pokiwał głową.

Marcin roześmiał się w duchu. No właśnie nie rozumiesz – pomyślał, ale na głos już nie mówił. Przez długie sekundy panowała niezręczna cisza.

– Masz jakiś trop? – rzucił wreszcie Marek.

– Moja mała grupa śledcza ostro pracuje w terenie, ja czekam na raport techników i wyniki sekcji, Długi i kilku mundurowych z komisariatu w Leśnicy na wszelki wypadek przeczesują jeszcze kilka miejsc w Lesie Osobowickim. Z tego, co wiem, na razie bez efektów.

– Mam nadzieję, że tak pozostanie.

– Raczej tak. Wcześniej wytypowaliśmy potencjalne ofiary i się nie pomyliliśmy. Jeśli są jakieś inne, to znaczy, że nie działa według schematu i nasze szanse maleją.

Grabski w zamyśleniu pokiwał głową.

– Wiem, że jest was za mało – odezwał się po chwili. – Jednak na razie tak musi zostać.

– Liczysz, że zanim zainteresują się nami media, odtrąbimy sukces – domyślił się Marcin. – Minimalne szanse, zdajesz sobie sprawę?

– Musimy zaryzykować. Dwóch psychopatów w mieście w jednym czasie to zbyt duży szok dla ludzi, dla mediów, polityków i licho wie kogo jeszcze.

Marcin odruchowo przyglądził plaster na czole. Rana się szybko goiła, ale lekarz poradził, żeby jeszcze przez dwa, trzy dni zabezpieczał ją opatrunkiem.

– A jak Szawczak? – spytał Grabski.

– Byłem u niego przez chwilę. Bez zmian. Złe rokowania.

– Cholerny świat.

Szczękniętą zamek i otworzyły się drzwi do prosektorium. Doktor Jan Musiał był niewielkiego wzrostu, miał pomarszczoną twarz i siwe włosy. Popatrzył na nich zmęczonym wzrokiem i pchnął łokciem drzwi, które zamknęły się z trzaskiem. Odgłos poniósł się echem po korytarzu. Marcin dałby głowę, że przez chwilę czuł zimny powiew powietrza od strony chłodni na końcu prosektorium.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Nie chcą panowie zajrzeć do środka? – zapytał Musiał.

– Raczej nie – odpowiedział Marcin.

Lekarz westchnął.

– Wszystkie cztery ofiary zginęły w ten sam sposób. Uduszone. Prawdopodobnie podczas gwałtu. Napastnik ma wielkiego kutasa i jest bardzo silny. Wszystkie mają zdruzgotane kręgi szyjne. Zabezpieczyłem sporo śladów, ale na razie nic więcej nie mogę powiedzieć. Potwierdzam ustaloną przez was kolejność zgonów.

– Wracal? – zapytał szybko Marcin.

– Tylko do ostatniej ofiary. Na wcześniejszych nie odkryłem żadnych śladów powstałych post mortem. Ofiary zginęły na miejscu, pewnie w dniu porwania. Nie znalazłem nic, co mogłoby wam pomóc.

Rozdział 40

Szósta tego dnia kawa nie smakowała już tak jak poprzednie. W ustach miał coraz bardziej kwaśny posmak, ale do tego można było się przyzwyczaić. Tym bardziej że wreszcie coś się ruszyło. Zabójca nie był duchem, okazał się człowiekiem z krwi i kości i zostawiał ślady. Nie tylko te na miejscu zbrodni. Także inne, kto wie, czy nie ważniejsze. Mężczyzna odjeżdżający czerwonym samochodem z okolic grobli Pilczycko-Prackiej dzień lub dwa po zabójstwie Wiktorii Nowak, zgubiony telefon Joanny Budny, pasujący do profilu antropologicznego mężczyzna, który korzystał z siłowni pod fałszywym nazwiskiem.

Każdy z tropów był sprawdzany. Marcin ściągnął Długiego z terenu, żeby przejrzał zapis ze wszystkich zlokalizowanych kamer monitoringu miejskiego i prywatnego na drogach dojazdowych do miejsca na grobli, gdzie Natalia Krosny widziała czerwony samochód. Adam drążył trop z siłowni, Ilona zajęła się zgubionym telefonem. Technicy ponownie szukali na nim śladów, a Ilona jeszcze raz analizowała zapisy ze stacji bazowych. Z pomocą Grabskiego załatwiła billingi z telefonu stacjonarnego rodziców Joanny, na który zadzwonił znalazca komórki.

Marcin wrócił z Zakładu Medycyny Sądowej i spróbował dodzwonić się do swojego przyjaciela, policyjnego psychologa, jednego z najlepszych profilerów w kraju. Niestety, na razie bezskutecznie. Podejrzał, że Krzysztof Pawlicki celowo nie odbiera od niego telefonu. Marcin zawsze próbował na nim wymusić coś więcej niż oficjalny profil sprawcy, na dodatek jeszcze przed

powstaniem dokumentu. Profiler mógł najzwyczajniej w świecie mieć tego dość.

Zakrzewski rozłożył przed sobą cztery fotografie czterech kartek znalezionych w ustach ofiar.

Za Żyletę

Brudna dziwka

Gnij w piekle

Kurwa

Nie wychodziło z tego żadne sensowne zdanie. Jedno słowo od razu rzucało się w oczy: Żyleta. Wielka litera sugerowała, że chodzi o konkretną osobę, która miała taką ksywkę. Instynkt gliniarza podpowiadał Marcinowi, że kartki odgrywają w tej sprawie bardzo ważną rolę. Prawdopodobnie są wskazówkami dotyczącymi motywu lub nawet konkretnej osoby. Trzeba tylko znaleźć klucz.

Najpierw sprawdził policyjną bazę danych. Natknął się na cztery osoby, które nosiły taki pseudonim w półświatku. Sami mężczyźni. Pierwszy działał na Pomorzu w latach 1978–1981. Dokonał czternastu gwałtów, z czego jeden zakończył się śmiercią ofiary. Zmarł w więzieniu w marcu 1986 roku.

Drugi był szefem grupy przestępczej wyludzającej haracze w Wielkopolsce na początku lat dziewięćdziesiątych. W 2001 został zastrzelony w porachunkach mafijnych. Dwóch pozostałych odsiadywało obecnie długoletnie wyroki w zakładach karnych. Jeden we Wrocławiu na Kleczkowskiej.

Zakrzewski dopił kawę. Niewykluczone, że obecne zabójstwa mają związek z którąś z tych osób. Na tym etapie śledztwa nie można było niczego wykluczyć. Wczytał się dokładniej w akta. Po godzinie przeciągnął się w fotelu. Z każdą minutą miał coraz większy mętlik pod czaszką i był coraz bardziej zniechęcony. Ślepa uliczka. Postanowił poszukać inaczej.

Wpisał hasło „Żyleta” w wyszukiwarce internetowej. Oczywiście kilka pierwszych rekordów dotyczyło trybuny na stadionie Legii Warszawa. Potem były informacje o filmie sensacyjnym, w którym

Pamela Anderson popisywała się swoimi przeciętnymi umiejętnościami aktorskimi i wyjątkowymi walorami wizualnymi. Znow Legia i Pamela. Wreszcie trafił na coś innego. Z tego, co zdążył przeczytać, znalazł link do artykułu zamieszczonego trzy lata wcześniej w „Dużym Formacie”. Coś o tragedii w domu dziecka pod Wrocławiem. Nie zdążył zagłębić się w tekst, ponieważ w tej chwili Led Zeppelin zagrali swój hit.

Na wyświetlaczu pojawiło się imię i nazwisko: Krzysiek Pawlicki. Zamknął przeglądarkę i odebrał. Głos po drugiej stronie był raczej rozbawiony niż poirytowany.

- Skąd wiedziałem, że będziesz do mnie dzwonił?
- Bo jesteś bardzo dobrym profilerem?

Pawlicki potraktował jego żart na poważnie.

– Osobowość psychopatyczna twojego typu jest bardzo prosta do zdiagnozowania. Prawdopodobnie nie masz poważnych zaburzeń, które mogłyby mieć wpływ na zmianę schematów działania. Bezwzględnie manipulujesz ludźmi dla osiągnięcia swoich celów. W tym zakresie nie przejawiasz nawet śladu empatii, pod maską zatroskania o to, że zajmujesz innym ich cenny czas, brutalnie dążysz do osiągnięcia własnych celów. Całe szczęście, że twoje prywatne cele są w zasadzie zbieżne z tymi zawodowymi. Kiedy brakuje celu, stajesz się poirytowany, rozdrażniony, zdezorientowany. Ratujesz się, przelewając negatywne uczucia na najbliższe otoczenie.

- J-jasne – mruknął Marcin i nagle zamilkł.

Gdzieś w głowie znowu usłyszał szept Satyra. „Chyba naprawdę jesteśmy podobni”.

- Jesteś tam jeszcze? – zapytał Krzysztof.
- Jestem – potwierdził Marcin. – Skoro już mnie tak doskonale zdiagnozowałaś, powiedz mi jeszcze, kim mógłbym zostać, gdybym nie był policjantem i nie uganiał się za innymi psychopatami.

– Wpływowym politykiem albo prezesem zarządu dużej spółki giełdowej.

– Nie kpij. Wiesz, o co pytam.

Pawlicki spoważniał.

– Wiele zależy od tego, co zawsze pomijasz, czytając opracowane przeze mnie profile. Osobowość kształtuje się w dzieciństwie. Gdybyś był wykorzystywany seksualnie, bity, traktowany jak zwierzę, trzymany w klatce, karmiony resztkami dla świń, utwierdzany w przekonaniu, że jesteś nikim, mógłbyś w dorosłym życiu zostać seryjnym zabójcą. Jeśli o tym myślałeś.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy, od czego ma się przyjaciół? – Pawlicki się roześmiał. – Szczególnie takich, do których dzwonicz, tylko aby zaspokoić swoje egoistyczne potrzeby.

– Sam powiedziałaś, że jestem psychopatą. Musisz mi to wybaczyć.

– Przy butelce dobrej whisky potrafię wybaczyć wiele.

– Masz to jak w banku. Ale do rzeczy. Muszę złapać sukinsyna.

– No to pytaj. – Marcin usłyszał głębokie westchnienie rezygnacji.

– Po co wracał na miejsce zabójstwa Wiktorii Nowak?

Drzwi do pokoju Marcina uchyliły się i Karina spojrzała na niego pytająco. Gestem dał jej znać, żeby weszła i poczekała. Usiadła na krześle przed jego biurkiem i słuchała.

– Poczucie winy – padła szybka odpowiedź.

– Żartujesz.

– Nie. Moim zdaniem zabójca wykazuje szereg sprzeczności wewnętrznych. Z jednej strony brutalnie gwałci i morduje swoje ofiary, a z drugiej zaraz potem przeprosza za to, że je krzywdził.

Marcin poruszył się na krześle.

– Nie bardzo rozumiem, o czym mówisz.

– Wraca na miejsce zbrodni nie dlatego, że czerpie z tego perwersyjną satysfakcję seksualną, tylko z poczucia winy. Te polne kwiaty wokoło, szminka, czesanie włosów. Moim zdaniem są to elementy prośby o wybaczenie. Zauważ, że jeden z najniebezpieczniejszych amerykańskich seryjnych zabójców, Ted

Bundy, też wracał w miejsce ukrycia zwłok. On jednak wykopywał je i gwałcił ponownie. U Wiktorii Nowak patolog nie wykrył śladów gwałtu *post mortem*.

– Tylko że takie postępowanie jest... sam nie wiem, jak je nazwać... abstrakcyjne?

– Masz rację. Dlatego mówiłem o sprzecznościach u sprawcy. Powiem więcej. On wykazuje poczucie winy, ale moim zdaniem zachowuje się tak, jakby nie rozumiał swojego czynu.

– Możesz mówić jak do zwykłego gliniarza, a nie doktora filozofii?

– Nie rozumie, co to jest śmierć. Nie potrafi pojąć jej ostateczności. Przeprasza ofiarę i prosi, żeby się obudziła. Zachowuje się jak dziecko.

Marcin wzdrygnął się mimowolnie. Znał Pawlickiego i wiedział, że Krzysiek nie wygłasza tez, których nie jest pewien w stu procentach.

– Czy to się już kiedyś zdarzyło? – zapytał.

Pawlicki zawahał się przez moment.

– Nie spotkałem się z takim przypadkiem w literaturze – powiedział wreszcie. – Nie wiem, czy napiszę o tym wprost w raporcie.

– Boisz się popełnić błąd? – zdziwił się Marcin.

– Chciałeś usłyszeć coś, co pomoże ci złapać gwałciciela i zabójcę.

Zakrzewski miał na końcu języka złośliwy komentarz, ale się powstrzymał. Nie wiedział jeszcze, czy hipoteza profilerka do czegoś się przyda, ale był mu wdzięczny za szczerość. Zadał pytanie, które nie dawało mu spokoju:

– Dlaczego wrócił dopiero do czwartej ofiary?

– Ja tego nie powiedziałem. Moim zdaniem wracał do każdej z nich. Tylko przy czwartej bardziej się starał.

– J-jasne. A kartki w ustach?

– Trzecia podstawowa sprzeczność – odparł Krzysztof. – Nie pasują do gwałtu, poczucia winy, niezrozumienia ostateczności śmierci. To usprawiedliwienie.

– Znowu nie rozumiem. Brutalny gwałt sugeruje raczej motyw seksualny.

– Teoretycznie masz rację. Myślę, że w dzieciństwie sprawca był ofiarą przemocy seksualnej. I ta przeszłość go prześladowa. Stara się z niej wyrwać, ale nie potrafi inaczej niż przez gwałt i śmierć. Potem przychodzi obezwładniające poczucie winy. Kartki są wskazówką. Być może dla policji.

– Coś na zasadzie wołania, żebyśmy to przzerwali.

– Niewykluczone.

– Kim jest Żyleta?

Pawlicki westchnął do słuchawki.

– Nie znam odpowiedzi. Kod do tych kartek musisz znaleźć sam.

– Dziękuję, że oddzwoniłeś.

– Pamiętaj, obiecałeś mi butelkę whisky!

– Będę pamiętał.

– Akurat!

Zakrzewski siedział, długo wpatrując się w wygasły ekran swojego aparatu. Rozmowa z profilerem miała cokolwiek uporządkować, a wprowadziła jeszcze większy zamęt w jego głowie.

Karina przypomniała o sobie chrząknięciem. Marcin streścił jej pokrótce treść rozmowy. Też wyglądała na skołowaną.

– Dobrze zrozumiałam? Facet o wzroście ponad dwa metry i nadludzkiej sile gwałci i zabija, ponieważ chce się zemścić za to, że w dzieciństwie był molestowany seksualnie? Do tego ma wyrzuty sumienia i nie rozumie, co to śmierć? Nie widzę w tym sensu.

– Ja też – przyznał Marcin. – Gdyby nie powiedział mi tego Pawlicki, wywaliłbym tę teorię do śmieci.

Karina rzuciła mu na biurko teczkę z aktami. Spojrzał na nią zdziwiony.

– Co to jest?

– Mówiłeś, że porozmawiasz z dziewczyną, która twierdzi, że ktoś zamordował jej przyjaciół, pozorując samobójstwa, jeśli znajdzie dowód potwierdzający jej słowa. To jest dowód.

– Musi poczekać. – Marcin próbował protestować.

– Nie może. Ona już tu jest. Nie miałam jej gdzie posadzić, więc siedzi w pokoju przesłuchań. Sam wiesz, jakie to przyjemne miejsce.

Marcin westchnął.

– No dobrze. O co chodzi?

Otworzyła teczkę i zaczęła opowiadać.

– To jest Oskar Berton. Pod koniec sierpnia popełnił samobójstwo. Skoczył z dachu dziesięciopiętrowego bloku na Popowicach.

Marcin niechętnie obejrzał kilka zdjęć zmasakrowanego ciała leżącego na asfalcie w kałuży krwi. Odwrócił wzrok.

– Dwa dni później na policję zgłosił się pilot śmigłowca medycznego – ciągnęła Karina. – Zeznał, że przelatował nad osiedlem i widział dwie osoby na dachu bloku. Z początku odniósł wrażenie, że się obejmują. Dopiero po chwili zrozumiał, że prawdopodobnie się biją. Samego upadku nie widział, ale zdarzenie nie dawało mu później spokoju. Do tego stopnia, że poszedł na policję. Czas i miejsce przelotu śmigłowca zgadzają się z czasem i miejscem śmierci Oskara Bertona.

Marcin zagryzł wargi.

– Potwierdzi te zeznania? – rzucił.

– Rozmawiałam z nim przed kwadransem. Podtrzymuje każde słowo.

– Dlaczego nikt się tym wcześniej nie zajął?

– Pewnie komuś zależało, żeby poprawić policyjne statystyki zakończonych spraw.

Marcin zmełł w ustach przekleństwo. Podniósł się ciężko z krzesła.

– W takim razie porozmawiajmy z tą dziewczyną.

Rozdział 41

W nocy prawie nie spała. Bała się, że znowu nikt jej nie uwierzy. Kiedy jednak na wielkich schodach prowadzących do głównego wejścia do budynku z czerwonej cegły przywitała ją policjantka o miłym spojrzeniu i szerokim uśmiechu, rozluźniła się. Karina, jak się przedstawiła Fiolce, była zupełnie inna niż tamta policjantka w ciąży. Kazała sobie mówić po imieniu.

Potem nerwy Anki zostały ponownie wystawione na poważną próbę. Siedziała sama w sali przesłuchań. Lustro w ścianie było pewnie lustrem weneckim. Czy w tej chwili ją obserwowano? Może ktoś oceniał jej wiarygodność?

Minęły długie minuty, zanim zjawiała się Karina w towarzystwie wysokiego policjanta. Miał przydługie włosy przyprószone przedwczesną siwizną, prosty nos i zaczerwienione oczy, jakby od wielu dni nie spał.

– Komisarz Zakrzewski – przywitał się i uściśnął jej dłoń.

Znała to nazwisko. Jacek Felman, który ją tu przywiózł, wspominał, że komisarz Zakrzewski jest najlepszym śledczym na Dolnym Śląsku.

– Anna Wiśniewska, nazywają mnie Fiolka. Chciałabym złożyć zawiadomienie o... – zawahała się – ...morderstwach.

– Kto został zamordowany? – Komisarz zajrzał jej w oczy.

Nie zmieszła się.

– Moi koledzy: Oskar Berton i Tymon Jagla. Od czego mam zacząć?

– Od początku. Mamy czas.

Fiolka zauważyła rozbawione spojrzenie, które posłała komisarzowi Karina. Pewnie nie mieli czasu. Nabrała powietrza w płuca i zaczęła mówić. Karina przyniosła sobie krzesło z korytarza, usiadła obok Zakrzewskiego, położyła na biurku notes i długopis. Na szczęście kamera pozostała wyłączona.

– Nie pamiętam już dokładnie, ale chyba pod koniec zeszłego roku założyliśmy Klub Samobójców – zaczęła Anka i zająknęła się zażenowana. – Nazwaliśmy go Suicide Club. Apacz, to znaczy Oskar Berton, twierdził, że to brzmi bardziej cool. Ja nie potrafię tego ocenić. Teraz brzmi po prostu słabo.

– Na czym to miało polegać? – zapytała Karina, zerkając znad swojego notesu.

– To była taka dziecinna zabawa. Apacz ją wymyślił. Zawsze miał setki zwariowanych pomysłów i zawsze chciał je szybko wcielić w życie. Kiedyś opowiadał, że widział taki klub w jakimś filmie i strasznie mu się to spodobało. Zrobiliśmy Koło Fortuny.

Opowiedziała dokładnie, jak wyglądało koło i co na nim było.

– Losowaliście, kto ma popełnić samobójstwo? – rzucił Zakrzewski.

– Tak. – Przygryzła wargi. – Ustaliliśmy, że losowanie będzie się odbywać raz na miesiąc. Tak naprawdę odbyło się chyba trzy razy, wypadły puste pola, a potem większość uznała, że to głupia zabawa, i więcej nie losowaliśmy.

– Anka, powiedz mi szczerze: któreś z was naprawdę mogło popełnić samobójstwo, gdyby zostało wylosowane? – Karina podniosła wzrok znad notesu.

– Nie wiem. – Fiolka bezradnie pokręciła głową. – Ja zawsze traktowałam to jako zabawę. Niezbyt mądrą, ale w sumie nic poważnego.

– A inni?

Najpierw chciała gwałtownie zaprzeczyć, lecz się zawahała.

– Rozmawialiśmy wtedy często i długo o sensie życia, o przyszłości, o problemach, o tym, czy warto się uczyć i co robić

dalej. Być może któreś z nas mogło wziąć tę zabawę na poważnie.

– Kto? – Marcin pochylił się w jej stronę. – Czy Oskar Berton mógłby wtedy popełnić samobójstwo?

Znowu się zawahała.

– Nie wiem... być może.

– Czy Tymon Jagła mógłby targnąć się na swoje życie?

Zrozumiała, do czego zmierza policjant. Zaprzeczyła gwałtownie.

– Nie! Tymon nie! On był najrozsądniejszy z całej naszej grupy. Nie chciał brać w tym udziału. Nawet przestał się z nami na kilka dni spotykać. Oskar go jakoś przekonał, mówił, że to tylko gra, takie nowe doświadczenie, test osobowości.

– Możesz rozwinąć tę myśl?

– Apacza interesowało, jak wylosowana osoba zachowa się później, jak zareaguje.

– Czy popełni samobójstwo?

Fiolka opuściła głowę. Pytania stawiały jej opowiadanie w zupełnie innym świetle.

– O to chyba też chodziło – przyznała.

– Co było dalej?

– Nic się nie działo do końca maja. Zapomnieliśmy o klubie i losowaniach. Myślę, że większości z nas trochę ulżyło. Daenerys kiedyś powiedziała, że cieszy się, że nikt nie został wylosowany.

– Dlaczego?

– Trudno byłoby mu się wymigać...

– Grupa wywierałaby presję, żeby wypełnił umowę?

Fiolka spojrzała Zakrzewskiemu w oczy i dopiero po chwili go zrozumiała.

– Nie, myślę, że nikt by nie naciskał. Chyba że w żartach – powiedziała szybko.

– Kto mógłby naciskać?

Upłynęło kilka sekund, zanim padła odpowiedź.

– Na pewno Oskar. Być może Michał Rudnik i... Weronika. Ale nie żeby chcieli... no wiadomo co.

– Czyli tematu nie było.

– Nie słyszałam, żeby ktoś wspominał nasz Suicide Club, aż do końca maja.

– Co się wtedy stało? – Karina stuknęła nerwowo długopisem o palec wskazujący drugiej ręki.

Anka sięgnęła do plecaka i wyjęła szarą wiązaną teczkę. Wyciągnęła z niej plik zadrukowanych kartek.

– Zaczęły przychodzić do nas maile z nieznanego adresu. Tak jakby losowania znowu ruszyły. Dostawaliśmy informacje o wynikach losowania w postaci takich głupich rymowanek. Te są z maja. Zachowały się tylko trzy: te, które przysły do mnie, do Dominiki i do Mateusza.

Podawała Marcinowi wydruki. Przeleciał wzrokiem tekst i podał kartki Karinie. Policjantka przeczytała głośno:

– *Raz, dwa, trzy – dziś to niestety nie będziesz ty. Śpiewa pieśń na gałęzi kos – w dłoni trzymasz pusty los.*

Zerknęła na Zakrzewskiego.

– Maile przysły z nieznanego adresu i nie wszyscy zwrócili na nie uwagę – kontynuowała Anka. – Ale później dostawaliśmy kolejne. Mam je tutaj. Adres jest inny, za każdym razem jest inny.

Podawała kolejne kartki. W skupieniu przeczytali rymowanki. Fiolka opowiedziała im o spotkaniu przy boisku szkolnym, o śmierci Apacza, o rozmowie z Tymonem. Z trudem panowała nad drżeniem głosu.

– Wtedy Tymon pokazał mi rymowankę, którą dostał. Zapamiętałam ją: *Niestety, stary, otrzyj łzy – w tej kolejce wygrasz TY. Dwa tygodnie później nie żył. A teraz nadchodzi koniec września. Wszyscy się boimy, że znowu dostaniemy maile. Prawdę mówiąc, jesteśmy przerażeni i nie wiemy, do kogo się zwrócić. Nikt nas nie chce słuchać. Proszę, pomóżcie nam.*

Popatrzyła Zakrzewskiemu błagalnie w oczy. Nie odwrócił wzroku.

– Uważasz, że Oskar Berton był zaskoczony tymi mailami? – zapytał.

– Był przestraszony – odpowiedziała szybko. – Tuż przed swoją śmiercią był... nie wiem, jak to nazwać... jednocześnie zaskoczony i przestraszony. Wziął na siebie te rymowanki, obiecał, że już nigdy tego nie zrobi, ale wyszło to nieszczerze. On nie miał nic wspólnego z tymi wiadomościami.

– Czy mógł wiedzieć, kto je wysłał?

– Tak. Wziął mnie wtedy na Białowieską przed ten blok. Powiedział, że musi załatwić ważną sprawę, miał wrócić za pięć minut. Czekałam na ławce pod blokiem i wtedy... spadł. – Zadrżała, jakby nagle owionęto ją arktyczne powietrze.

– Po co tam poszedł? – zapytała Karina.

– Chyba chciał nas chronić, ale mu się... nie udało.

– Chronić przed kim? – Zakrzewski otworzył szerzej oczy.

– Przed mordercą.

W pomieszczeniu zapanowała nagła cisza. Przerwał ją Marcin.

– J-jasne. Znałaś Oskara Bertona od wczesnej podstawówki. Jaki on był?

– Zwariowany, wesoły, pełen pozytywnej energii.

– Był twoim chłopakiem? – rzuciła nagle Karina.

Fiolka z trudem przełknęła ślinę.

– Chciałam, żeby był.

– Opowiedz nam o nim.

Zaczęła szczerze opowiadać, choć czuła lekkie zakłopotanie, że o większości tego, co teraz mówiła, dowiedziała się od innych. Mówiła o rodzicach alkoholikach, pokoju zamykanym na kłódkę, dziwnych znajomościach Oskara, jego problemach z pieniędzmi i próbach zarobienia, na czym tylko się dało.

– Słyszałam, że handluje marihuaną. Ale robił to, żeby przeżyć. Jego rodzice potrafili pić przez miesiąc i wtedy musiał sam się utrzymywać. Do tego jeszcze wynosili z domu i przepijali wszystkie jego rzeczy. Dlatego zamontował w drzwiach do swojego pokoju wielką kłódkę. Prawdopodobnie sprzedał komuś nasze Koło Fortuny i tak się to wszystko zaczęło.

– Komu mógł je sprzedać? – zapytał Zakrzewski.

– Tego nie wiemy. Mateusz twierdzi, że w długi majowy weekend widział koło u Oskara w szafie. Oskar miał różne dziwne pomysły, jak zarobić kasę. Na filmie też chciał zarobić.

– Na jakim filmie? – Karina zaciekawiona podniosła głowę znad notesu.

– Chodziło o Totentanz. – Anka opowiedziała ze szczegółami o wyprawie za miasto i o szalonych tańcach na cmentarzu, które odbyły się w ostatni weekend czerwca.

Karina wyjątkowo zainteresowała się filmem.

– Jak chciał zarobić na tym filmie? Chciał go sprzedać?

– Chciał go umieścić na YouTube. Przy odpowiednio dużej liczbie wyświetleń dostaje się kasę za reklamy, przynajmniej tak słyszałam.

– I co, jest na YouTube?

– Nigdy nie widzieliśmy tego wideo. – Fiolka pokręciła głową. – Najpierw Apacz mówił, że oddał je do montażu koledze, który akurat wyjechał do Londynu do pracy i wróci za kilka tygodni. Potem stwierdził, że nic z tego, bo było za ciemno i na filmie nic nie widać. Ale to nieprawda. Kwasu widział film na kamerze jeszcze tego samego wieczoru w samochodzie, kiedy wracaliśmy do Wrocławia. Mówił, że jakość była bardzo dobra. Rozstawiliśmy przecież oświetlenie. Uznaliśmy, że to trochę dziwne. Apacz był naprawdę napalony na ten film.

Karina zapisała coś w notesie.

– Mówiłaś, że spotykał się z podejrzanymi ludźmi – odezwał się Marcin. – Możesz to rozwinąć?

– Apacz znał pół miasta, a drugie pół znało jego. – Fiolka nieświadomie powtórzyła słowa Michała Rudnika. – Znał ludzi z gangu motocyklowego, skinów, punkowców, wszyscy kibole Śląska to byli jego kumple, kiedyś załatwiał sprzęt nagłośnieniowy na nielegalny koncert narodowców. Nie potrafię powiedzieć, z kim jeszcze się spotykał. Jagoda i Tymon widzieli go kiedyś z takim dziwnym typem, co ma ręce jak małpa. Podobno gość nosi protezy,

tylko że jakieś dziwne, prawie do kolan. Nazywają go Jasio Rączka, czy jakoś tak.

Zakrzewski zauważył, że Karina zastyga w bezruchu nad swoimi notatkami.

– Słyszałaś o nim coś jeszcze? – spytała policjantka.

– Daenerys śmiała się później kilka razy z Apacza, że ma znajomych jak z horroru albo ze szpitala psychiatrycznego. Oskar powiedział, że ten Jasio nie jest upośledzony, tylko ekscentryczny. Opowiada fantastyczne historie i lubi się wspinać.

– Alpinista? – rzucił Marcin.

– Nie. Ponoć wchodzi na wysokie budowle i stamtąd godzinami obserwuje świat. Sam nazwał się Obserwatorem.

– Musimy się naradzić. Poczekaj chwilę. – Karina wstała i pociągnęła Marcina w kierunku drzwi. Wyszli z pokoju przesłuchań, zostawiając zdziwioną dziewczynę samą.

Stanęli w drugim pomieszczeniu przy wielkim lustrze weneckim. Fiolka patrzyła prawie dokładnie na nich. Marcin wiedział, że dziewczyna obserwuje tylko swoje odbicie w lustrze, a jednak prawie poczuł na sobie jej wzrok. Głupie uczucie. Skupił się na słowach Kariny.

– Ten dziwny facet jest poszukiwany za napaść na policjanta i spowodowanie poważnego uszczerbku na zdrowiu – mówiła. – Dwa miesiące temu napadł na mojego kolegę z patrolu, Jacka Felmana. Zobaczyliśmy go na dachu budowanego właśnie biurowca na Granicznej. Jacek pobiegł go zatrzymać i wtedy został napadnięty. Do dzisiaj jest na zwolnieniu i ma ubytek słuchu. Lekarz powiedział, że to było bardzo dziwne uderzenie. Koledzy z techniki kryminalistycznej ustalili, że w taki sposób obezwładniają przeciwnika funkcjonariusze rosyjskiego specnazu. Rzadka umiejętność.

– Jesteś pewna, że to może być ten facet?

– W trakcie śledztwa koledzy z komendy miejskiej zgromadzili sporo materiału o tym dziwnym człowieku. Na mieście też nazywają

go Obserwator. Pojawia się od czasu do czasu w miejscach, których raczej nie odwiedzają porządni obywatele. Jeden z wywiadowców zeznał, że spotkał go na terenie jakichś zrujnowanych zakładów pod Wrocławiem. Próbował go zatrzymać, ale facet mu zwiął. Wcale nie zachowywał się jak kaleka.

Marcin patrzył na siedzącą samotnie Fiolkę. Nadal wodziła wzrokiem po lustrze, jakby starała się zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

– Obserwator lubi patrzeć na świat z wysokości, Oskar Berton wchodzi na dach budynku, pilot widzi dwie szarpiące się postacie, a potem...

– ...Oskar spada – dokończyła Karina Buczko.

– Cholera, w tej historii jest coś dziwnego. Ale to za mało, żeby prokuratura wznowiła śledztwo.

Wrócili do pokoju przesłuchań. Anka patrzyła na nich z nadzieją w oczach. Karina napisała coś na kartce wyrwanej z notesu. Marcin przesunął kartkę po blacie stolika w kierunku dziewczyny.

– Musimy mieć mocniejsze dowody, żeby prokurator wznowił śledztwo w sprawie samobójstw twoich kolegów – powiedział. – Obiecujemy, że postaramy się coś znaleźć, ale to może potrwać. Na tej kartce są numery telefonów do mnie i do Kariny. Porozmawiaj z przyjaciółmi z paczki. Gdyby któreś z was coś sobie przypomniało, zadzwoń. I jeszcze jedno. – Na chwilę zawiesił głos. – Sprawdzajcie skrzynki. Jeśli któreś z was dostanie dziwnego maila z rymowanką, dzwoń natychmiast. Zrozumiałaś?

Pokiwiała głową.

– Świetnie. Teraz Karina odwiezie cię do domu.

*

O osiemnastej miał dość. Nie potrafił wyrzucić spod powiek obrazów Satyra stojącego na moście, jego zachowania na chwilę przed skokiem do Odry. Próbował skupić się na czymś innym, lecz zaraz

przed oczami pojawiały się zmasakrowane zwłoki czterech ofiar, a kiedy starał się na nich skoncentrować, jego myśli przeskakiwały do opowieści Anki Wiśniewskiej. Błędne koło bez wyjścia. Najgorszy jednak był niepokój. Czy o czymś zapomniał? Przeoczył ważny szczegół? Nienawidził tego uczucia. Pojawiało się zawsze, gdy jego zaangażowanie w śledztwo zaczynało przesłaniać wszystko inne. Paulina Czerny nazywała to stanem „śledztwa non stop”. Nawet sen nie przynosił ulgi.

Nie potrafił ocenić, czy niepokój był uzasadniony. Zastanowił się. Przypominał sobie, kiedy ostatni raz miał takie poczucie i czy naprawdę okazało się trafne. W sprawie zabójcy ze zdjęcia przeoczył ważną sprawę i uświadomił sobie ten fakt dużo później. Z trudem otrząsnął się z tych nonsensownych rozważań.

Karina odwiozła Ankę Wiśniewską do domu i już się nie odezwała, pozostali członkowie grupy śledczej też milczeli. Marcin uznał, że najlepiej będzie, jak wróci do domu i zajmie się czymś innym.

Po drodze wstąpił do osiedlowej pizzerii i kupił dużą pepperoni. Jadł bez entuzjazmu przy kuchennym stole, wsłuchując się w dźwięki ostrej muzyki z jednej z ostatnich płyt zespołu Motörhead. Głośna muzyka miała przegonić niepotrzebne myśli.

Pizza nie była najlepsza. Już dawno obiecał sobie, że nie będzie nic kupował w osiedlowym lokalu, i po raz kolejny z lenistwa złamał postanowienie. Potem otworzył piwo i zasiadł przed komputerem.

Totentanz.

Słowo, które szczególnie utkwilo mu w pamięci. Wpisał je do wyszukiwarki. Na pierwszym miejscu wyświetliła się informacja z Wikipedii na temat polskiego zespołu rockowego z Tarnowa. Przy okazji wyszukiwarka zaproponowała mu inne warianty wpisania tego hasła. Kliknął na „Totentanz średniowiecze”.

Pierwsze trafienie – informacja o utworze muzycznym Totentanz skomponowanym przez Ferenc Liszta. Z ciekawości przebiegł wzrokiem krótki tekst. W oczy rzucała się zamieszczona z boku

grafika przedstawiająca pięć płasających kościotrupów. Podpis pod obrazem brzmiał: „Danse macabre – Michael Wolgemut”.

Kliknął podpowiedź na stronie Wikipedii: „taniec śmierci”. Zaczął czytać.

Przeszedł do galerii i wyświetliły mu się setki obrazów kościotrupów tańczących z przestraszonymi ludźmi z różnych okresów – od średniowiecza do czasów współczesnych. Musiał przyznać, że Oskar Berton wykazał się niesamowitą wyobraźnią i inwencją, organizując takie przedstawienie w realu, w środku nocy, na starym cmentarzu, z dala od ludzkich siedzib. Na YouTube na pewno zdobyłby popularność. Ludzie zamieszczają tam głupsze filmy, żeby tylko zebrać parę lajków. Dlaczego Oskar nie zakończył tematu filmu?

Sprawdził pocztę i zastygł w bezruchu. W jednej chwili zapomniał o średniowiecznym tańcu śmierci i o filmie.

Znowu wiadomość z nieznanego adresu, bez tytułu, z załącznikiem wielkości sześciu megabajtów. Palec zawahał się na myszce. Marcin miał wrażenie, że gdy otworzy wiadomość, zobaczy rymowankę: „Niestety, stary, otrzyj łzy – w tej kolejce wygrywasz TY”. Mimo to kliknął. Rymowanki nie było. Ktoś znowu napisał tylko dwa zdania: *Udało mi się dotrzeć do tajnych materiałów na temat Satyra. Mam nadzieję, że cię zainteresują.*

Zakrzewski nie chciał ich czytać. Niepokój, który na chwilę udało mu się stłumić, wybuchł z nową siłą. Przyjaciele Anki Wiśniewskiej dostawali rymowanki z nieznanego adresu, on dostaje informacje o Satyrze. Przypadek?

Po sekundzie namysłu musiał przyznać, że tak. To musiał być przypadek.

Otworzył załącznik i zaczął czytać. Skończył około północy. Przez ten czas nie zapalał światła, odtwarzacz bez przerwy grał tę samą płytę.

W tajnych materiałach ABW Zakrzewski znalazł pewien szczegół. Czuł się, jakby dostał w głowę młotem. Oszłołomienie zmieniło się

w podniecenie, a zaraz potem w niedowierzanie. Jeszcze raz przeczytał notatkę z przesłuchania. Była krótka, ale wszystkie elementy do siebie pasowały. Wydawała się wyrwana z kontekstu, jakby ktoś, wybierając najważniejsze kartki, zeskanował o jedną za dużo. Specjalnie czy przypadkowo?

Marcin z trudem uspokoił nerwy, lecz tętno nadal miał przyspieszone. Wreszcie powróciło zdroworozsądkowe myślenie. Zamknął komputer i poszedł do sypialni.

Przed snem myślał głównie o tym, kto może mieć dostęp do materiałów ABW z klauzulą „ściśle tajne” i dlaczego wysyła je akurat jemu. No i co on właściwie ma z nimi zrobić? Ściagać Satyra na własną rękę? Pomyślał o Szawczaku. Lekarz, który uratował mu życie, obiecał Marcinowi, że zadzwoni, gdy coś się zmieni. Na gorsze albo na lepsze.

Nie zadzwonił.

*

Dwie godziny wcześniej Grażyna Tomczyk tradycyjnie jak co wieczór paliła papierosa na tarasie domu na osiedlu Malowniczym i dzwoniła do męża. Tym razem odebrał po dwóch sygnałach, jakby czekał na jej telefon. Na początku jak zwykle wymienili się wrażeniami z kończącego się dnia i ich rozmowa z wolna dryfowała w kierunku najbliższej przyszłości. Grzegorz obiecał, że w następny weekend przyleci na całe cztery dni. Grażyna wcale nie poczuła się lepiej.

– Znowu palisz – powiedział z lekkim wyrzutem.

Musiał usłyszeć szczęk zapalniczki.

– Zabija mnie samotność – mruknęła.

– Niedługo przyjadę...

– Grzegorz, ja się boję – przerwała mu stanowczo. – Mieszkam tylko z dzieckiem w wielkim domu na skraju lasu. Codziennie wieczorem przed snem kilka razy sprawdzam, czy szczelnie zamknęłam na noc wszystkie drzwi i okna. Powiesz, że wpadam

w paranoję, może rzeczywiście tak jest, ale ostatnio mam ku temu powód.

– Co się stało? – W głosie męża usłyszała niepokój.

– Opowiadałam ci, że Lena wymyśliła sobie tego wyimaginowanego kolegę do zabawy.

– No tak...

– Grzesiu, ja jestem coraz mniej pewna, czy ten kolega jest zmyślony. Lenka opowiada o nim takie rzeczy... Nie potrafię tego powtórzyć, ale to są szczegóły, których czterolatka by nie wymyśliła.

– Kochanie...

– Nie! Wysłuchaj mnie do końca. Ktoś wygiął te pręty zbrojeniowe w płycie. Mój ojciec tego nie zrobił, pytałam go. Lena cały czas mówi, że to Dawidek, jej kolega. Ostatnio zaczęłam ją podsłuchiwać. Ona tam z kimś rozmawia. Jeszcze nie zwariowałam. Dwa razy wydawało mi się, że widzę za ogrodzeniem jakąś postać. Postać dorosłego, rozumiesz, Grzegorz? A jeśli to jakiś pedofil?

W słuchawce przez chwilę słyszała tylko jego oddech. Znowu odniosła wrażenie, że jest bardzo blisko, tuż za rogiem. Rozejrzała się po tarasie i po całym ogrodzie. Zapadła już ciemność. Światła z pobliskiej ulicy i domu sąsiadów rozświetlały tylko środek ogrodu. W kątach żywopłotu przyczał się mrok. Zadrżała.

– Nie puszczaj Lenki samej do ogrodu.

– Niby jak? Nie mogę jej zamknąć w domu. W ogrodzie ma swój plac zabaw. Staram się mieć ją na oku.

– Kochanie, jeśli tylko coś cię zaniepokoi, dzwoń na policję.

Grażyna zaciągnęła się dymem i milczała.

– Słyszysz mnie?

– Tak.

– Zadzwonisz na policję?

– Tak.

Rozdział 42

Justyna Kordas była pierwszą kobietą, wobec której Marcin Zakrzewski miał poważne zamiary. I jak dotąd jedyną, jeśli nie liczyć Pauliny Czerny. Z Justyną było jednak zupełnie inaczej.

Wytrzymali ze sobą kilkanaście miesięcy. Oficjalnie rozstali się, ponieważ Justyna wyjechała do stolicy robić karierę w telewizji, a Marcin nie miał zamiaru ruszać się z Wrocławia. Kiedy jednak teraz o tym myślał, taka wersja pasowała im obojgu. W ostatniej fazie ich związku Marcin zupełnie stracił zapał, Justyna też postępowała wbrew sobie. Zrozumiał to dopiero niedawno, kiedy podczas nocnej, szczerzej rozmowy po raz pierwszy powiedziała mu prawdę. Pewnie alkohol przyczynił się do nieoczekiwanego coming outu.

Teraz Marcin patrzył na Justynę i widział inną osobę. Może szczerze wyznania jej pomogły? Nie wyglądała na nieszczęśliwą i samotną.

Zarezerwowała stolik w Dworze Polskim, na wprost kompleksu ratuszowego w Rynku. Droga restauracja, ale ciesząca się renomą. Marcin tu nie bywał. Stolik stał w rogu jednej z sal, z dala od ciekawskich oczu. Justyna Kordas była dość znaną osobowością telewizyjną i dbała o prywatność.

Wyglądała prawie tak samo, jak na co dzień w telewizji. Czerwona szminka na ustach doskonale pasowała do jej blond włosów. Karina zjawiała się ostatnia. W pierwszej chwili Marcin jej nie poznał. Włożyła ciemnoniebieską sukienkę i buty na wysokim obcasie. Rozpuściła włosy, w uszach błyskały złote kolczyki.

Karina uścisnęła Justynie dłoń, a potem usiadła i spojrzała na Marcina z wyraźną drwiną w zielonych oczach.

– Co się tak gapisz? – zapytała.

– Pięknie wyglądasz – powiedział.

– Kolega z pracy okazał się kobietą?

Justyna roześmiała się głośno. Marcin też się uśmiechnął.

Złożyli zamówienie u kelnera, pili wino i rozmawiali. Okazało się, że gładko przeskakują z tematu na temat, a ich konwersacja przypomina rozmowę starych przyjaciół, którzy lata się nie widzieli.

– Nie miałaś kłopotów po tym materiale na YouTube? – zapytała Karina.

Justyna spoważniała.

– Na szczęście nie. Nagranie zniknęło, gdy tylko doszło do strzelaniny we Wrocławiu. Było to uzgodnione z moim szefem, więc nie obawiałam się problemów. Ale w pewnym momencie w redakcji było nerwowo. Baliśmy się, że ktoś nam to wyciągnie.

– Nie rozumiem, czego się obawialiście – zdziwiła się Karina Buczko.

Justyna nachyliła się w jej kierunku.

– Reputacja, moja droga – powiedziała przyciszonym głosem. – Zaufanie widza zdobywa się długo, a stracić je można w jeden dzień.

– Jak wszędzie – wtrącił Marcin.

– U nas jest wyjątkowo dużo hien czekających, aż się poślizgniesz. Poza tym mamy jeszcze Komitet Radiofonii i Telewizji. Ale gdyby nawet teraz ten materiał wypłynął, już wiemy, jak się bronić. Straty będą ograniczone do minimum. A jak twoje mieszkanie?

– Na razie bez zmian. – Karina się skrzywiła. – Mieszkam kątem u przyjaciół.

– Nie boisz się?

– Jasne, że się boję. Zawartość mojej torebki mocno by cię zdziwiła.

Marcin przyjrzał się niepozornej torebce wiszącej na oparciu krzesła Kariny. Serio zmieścił się tam służbowy pistolet?

Kelner przyniósł zamówione dania. Kobiety zadowolily się zestawem sałatek, których nazw Marcin nie zdążył zapamiętać. On nie musiał dbać o linię, więc zamówił bitki wołowe w sosie borowikowym. Musiał przyznać, że były znakomite.

– Jak myślisz? – odezwała się Justyna między kęsami. – Czy on zginął na moście? Ten terrorysta.

Zanim Karina zdążyła odpowiedzieć, Marcin chrząknął.

– Pamiętaj, że Justyna od wielu lat jest dziennikarką w mainstreamowej telewizji – ostrzegł Karinę. – Zanim powiesz jej cokolwiek o pracy, dwa razy się zastanów.

Policjantka wzruszyła ramionami, Justyna popiła swoją sałatkę winem.

– W takim razie tobie zadam pytanie, które nurtuje mnie od dawna – powiedziała, zerkając na Marcina.

Zrobił nonszalancki ruch ręką oznaczający: „pytaj, o co chcesz, i tak ci nie odpowiem na żadne pytanie dotyczące pracy”. Zapytała o coś innego.

– Dlaczego przesiadłeś się na motocykl?

– Po tamtej sprawie stałem się popularny. Potrzeba szybkiej ucieczki zmusiła mnie do zmiany środka transportu.

– Nie pasujesz do motocykla. – Uśmiechnęła się.

– Dlatego kupiłem taki, a nie inny kask. Po mieście jeździ nie Zakrzewski, ale komisarz Trupia Czaszka.

– Słyszałam już tę ksywkę. Niezwykle urocza i subtelna.

– Nie tylko ty jesteś otoczona w pracy przez hieny.

– Czy to prawda, że kupiłeś ten motocykl po wypadku? – wtrąciła Karina.

– Tak. Ale jeśli zaraz zapytasz, czy poprzedni właściciel zginął na tym motorze, chciałbym oficjalnie zdementować te plotki – odpowiedział.

– Właśnie chciałam o to zapytać.

Marcin westchnął.

– Nie możemy porozmawiać o czymś innym?

– Nigdy nie słyszałam tej historii. Nie daj się prosić.

– No dobrze. – Przewrócił oczami. – Poprzednim właścicielem hondy był młody chłopak, któremu bogaci rodzice zrobili taki prezent dlatego, że dostał się na studia. Kilka miesięcy później przy dużej prędkości przewrócił się na A4 przy zjeździe na Kąty Wrocławskie. Motor się tylko porysował. Za to chłopak wbił się pod barierki oddzielające pasy jezdni. Strażacy wyciągali go ze dwie godziny. Miał więcej szczęścia niż rozumu, właściwie nic mu się nie stało, ale stracił zapał do jazdy motorem. Ja zauważyłem hondę na policyjnym parkingu i to była miłość od pierwszego wejrzenia.

– Kiedyś zaproszę cię do studia, żebyś opowiedział tę historię dla przestrogi – oświadczyła Justyna.

Kelner zabrał brudne naczynia. Siedzieli przy drugiej butelce wina, Marcin rozkoszował się pełnym żołądkiem.

Przysłuchiwał się rozmowie kobiet i nagle pojął, że coś jest nie tak. Przeciągłe spojrzenia w oczy, przypadkowe muśnięcia palców, uśmiechy. One miały się bardzo ku sobie. Omal nie wybuchnął śmiechem. Setny raz skonstatował, że świat jest nieźle rąbnięty i nigdy nie wiadomo, co nam zorganizuje. Oby tylko same dobre rzeczy, jak ta.

Justyna przeprosiła ich i wyszła do łazienki. Karina spojrzała na Marcina prawie błagalnie.

– Marcin, mam do ciebie prośbę – szepnęła, zerkając na drzwi, za którymi zniknęła Justyna.

Domyślił się, o co chodzi.

– Podoba ci się? – zapytał.

Policjantka uśmiechnęła się rozmarzona.

– Jest cudowna. Coś dziwnego się ze mną dzieje.

– Aż tak?

– Proszę cię, Marcin.

– Oczywiście, bawcie się dobrze.

- Jesteś supergość – powiedziała. – Zaslugujesz na superkobietę.
- J-jasne.

Dziesięć minut później wymówił się jakąś błahostką i wyszedł z restauracji.

Było zimno. Wiał ostry wiatr, niosąc ze sobą kropelki deszczu. Zakrzewski zapiął szczelnie wiatrówkę, wcisnął ręce do kieszeni i ruszył w kierunku placu Solnego. Mimo nieprzyjemnej pogody po Rynku jak zwykle kręciło się mnóstwo osób. Niektórzy siedzieli na zewnątrz pod parasolami i raczyli się piwem. Pogoda zupełnie im nie przeszkadzała. Marcin poczuł nawet coś na kształt zazdrości. Kiedy był młodszy, też niewiele mu było trzeba, żeby się dobrze bawić. Dzisiaj miał prawie czterdzieści pięć lat i zaczął cenić wygodę.

Przeszedł przez plac Solny i znalazł się na Ruskiej. Mijał kolejne lokale pełne bawiących się ludzi. Nawet poczuł przelotną pokusę, żeby wstąpić na drinka. Wino w restauracji niespecjalnie mu smakowało, choć pewnie kosztowało więcej niż butelka markowej whisky. Zrezygnował jednak i poszedł na przystanek tramwajowy. Akurat podjechała dziesiątka. Usiadł z tyłu w drugim wagonie i się zamyślił.

Miał ewidentny problem z kobietami. Zawsze pociągały go te niewłaściwe. Najlepszym przykładem były ostatnie miesiące. Wdał się w fatalny romans z sąsiadką, zakochała się w nim uciekinierka z zakładu psychiatrycznego i, o zgrozo, dzięki niej jeszcze żył. Poszedł do łóżka z dużo starszą doktor Ireną Korcz, której mąż o tym wiedział. Piękna motocyklistka próbowała go uwieść i wykorzystać do prywatnej wendety, a na koniec najważniejsza kobieta w jego życiu, z którą prawie dwa lata wcześniej definitywnie się rozstał, przyszła do niego i zaproponowała mu seks bez zobowiązań. Czy to normalne?

Z wolna jego myśli zaczęły dryfować w innym kierunku. Tajne dokumenty ABW z teczki Satyra. Najemnego mordercy bez twarzy i imienia, który pojawił się nie wiadomo skąd, często znikał, żeby za jakiś czas znaleźć się w innym miejscu. W ostatnich latach dokonał

w Polsce co najmniej siedmiu zabójstw. Zazwyczaj był wynajmowany do porachunków między grupami przestępczymi. Prawdopodobnie działał na terenie całej Unii Europejskiej, gdzie podejrzewano go o pięć innych zbrodni. Możliwe, że działał też w Rosji, ale stamtąd nie było żadnych danych.

Z materiałów wynikało, że lubił zabijać, używając pistoletu z tłumikiem, z bliska, być może patrząc ofierze w oczy. Dwa strzały w pierś i na koniec w twarz. To był jego specyficzny podpis. W ten sposób połączono go z zabójstwami. Na miejscach zbrodni zabezpieczono ślady genetyczne, były nawet szczątkowe odciski palców, ale sprawca nie figurował w żadnych policyjnych kartotekach.

Najwięcej udało się śledczym dowiedzieć o Satyrze, kiedy podjął się zabicia jednego z ministrów w polskim rządzie. Wtedy wszystkie służby w kraju wpadły w szal. Rozbito jedną z największych grup handlujących narkotykami w centralnej Europie. Jej szef wynajął Satyra do zabicia ministra spraw wewnętrznych. Satyr szybko się wycofał i zniknął, ale przesłuchiwanie bossowie grupy przekazali o nim sporo informacji. ABW potraktowała je wyjątkowo poważnie, chociaż Marcin w większości uznał te rewelacje za plotki. Jedno było pewne: facet przedstawiał się jako Satyr, chociaż we Francji, gdzie zabił szanowanego biznesmena w Lyonie, policja ochrzciła go Fantomasem. Zakrzewskiego wyjątkowo rozbawiła ta informacja. Nieuchwytny geniusz zbrodni rodem z komiksów – tyle o nim wiedzieli. Były jeszcze pogłoski o służbie w rosyjskim specnazie, o wojnie w Czeczenii, o gościnnych występach na Bliskim Wschodzie i o powiązaniach Satyra z jednym ze znanych ukraińskich oligarchów.

No i ta cholerna notatka niepasująca do innych. Ta, przez którą Zakrzewski nie spał przez pół nocy.

Jeden z policyjnych wywiadowców ochraniających Ministerstwo Spraw Wewnętrznych na Rakowieckiej w Warszawie zauważył dziwnego człowieka. Funkcjonariusz opisał mężczyznę około lat

czterdziestu, ubranego w stary prochowiec sięgający kolan. Mężczyzna wyglądał na bezdomnego, a jego ręce wydawały się nieproporcjonalnie długie. Przez kilka dni widywano go w pobliżu gmachu ministerstwa. Stał w bezruchu, obserwując otoczenie. Wreszcie któregoś dnia funkcjonariusz próbował go wylegitymować. Wywiązała się szamotanina, podejrzany zbiegł. Wywiadowca nie potrafił opisać twarzy mężczyzny, ale spostrzegł, że miał on protezy zamiast rąk. Jedną pozostawił na miejscu szarpaniny i znajdowała się teraz gdzieś w archiwum ABW. Funkcjonariusz nie umiał rozsądnie wytłumaczyć, jak to się stało, że powalił go człowiek bez rąk.

Marcin intensywnie myślał. Major Sochacki nic nie wiedział o bliznach na rękach Satyra. W śledztwie nie zwrócili uwagi na notatkę wywiadowcy. Spotkanie z człowiekiem z protezami wydało im się przypadkowym zdarzeniem, bez znaczenia dla sprawy.

Natarczywie krążyło mu po głowie jeszcze jedno skojarzenie. Anka Wiśniewska opowiadała, że Oskar spotykał się z dziwnym typem, którego nazywali Jasio Rączka albo Obserwator.

Westchnął i pokręcił głową. Kobieta siedząca dwa siedzenia dalej patrzyła na niego badawczo. Udał, że jej nie widzi.

Niezwykle niebezpieczny najemny zabójca poszukiwany międzynarodowym listem gończym, dziwny znajomy Oskara Bertona i osobnik na dachu nowo budowanego biurowca przy Granicznej, który zaatakował policjanta. Czy mogli mieć ze sobą coś wspólnego? Mało prawdopodobne, sam musiał to przed sobą przyznać. Może wchodził w kolejne stadium paranoi, którą diagnozowała mu Paulina Czerny, kiedy nazbyt angażował się w śledztwo?

Paulina Czerny...

Prawie przegapił przystanek przy zajezdni na Legnickiej. W ostatniej chwili zerwał się z siedzenia i wyskoczył na peron, gdy już zamykały się drzwi. Na przystanku autobusowym po drugiej stronie ulicy poczekał na 119 i pojechał na Muchobór Wielki. Wsiadł

na Mińskiej przy Biedronce, ale nie poszedł do domu, tylko w kierunku ronda w starej części osiedla przy kościele.

*

– Słucham?

– Jesteś sama?

– Tak, a o co chodzi?

– Mogę cię odwiedzić?

Zaśmiała się perliście.

– Pewnie.

– No to otwórz.

Zabrział brzęczek w drzwiach i zamek puścił. Wchodził wolno po schodach na pierwsze piętro. Drzwi były uchylone. Zupełnie jak cztery lata temu, kiedy przyszedł tu po raz pierwszy. Zatrzymał się w przedpokoju, ściągnął wiatrówkę i buty.

– Wejdz! – usłyszał okrzyk z kuchni. – Tylko zamknij drzwi.

Pierwszy poziom mieszkania Pauliny to było praktycznie jedno wielkie pomieszczenie. Salon oddzielony od kuchni tylko czarnym blatem, przy którym po dwóch przeciwnych stronach stały barowe stołki. W dobrych czasach spędzili wiele godzin, siedząc na tych stołkach przy kawie albo przy drinku i rozmawiając o wszystkim. Zażęsknił za tymi chwilami. Tuż obok kuchni stało łóżko Pauliny. Na tym łóżku kochali się po raz pierwszy i jeszcze wiele razy później. Tutaj razem spali, w czasach gdy Marcin z nią mieszkał. Na ścianach wciąż wisiały fotografie w formacie XXL. Kolorowe kulki rozrzucone na ponurym, ciemnoszarym poddaszu starego domu, akt kobiety o jasnej karnacji, dziewczyna z długimi włosami, która wydawała się zaskoczona nagłą ulewą na środku łąki. Zdjęć było więcej, ale te uważał za genialne.

Paulina siedziała na jednym z barowych stołków i piła wino. Ubrana była w czerwony szlafrok, jakby niedawno wyszła spod

prysznic. Uśmiechnęła się ironicznie, kiedy podszedł i zwałił się ciężko na stołek naprzeciw.

– Co taki elegancki? Brałeś ślub czy dopiero były oświadczyzny?
Uwielbiał jej cięty dowcip.

– Byłem na kolacji z dwiema kobietami. – Wzruszył ramionami.

– No to chyba coś poszło nie tak, skoro jesteś u mnie.

– Justyna Kordas zrobiła wielką przysługę mnie i mojej nowej partnerce Karinie Buczko, więc obiecaliśmy jej kolację.

– I były bardziej zainteresowane sobą niż tobą? – Paulina się roześmiała. – Napijesz się czegoś? Jedzenia nie proponuję, bo jak zwykle niewiele mam w lodówce, a ty jesteś po kolacji.

– Marzę o whisky. Skąd wiesz?

Paulina sięgnęła do szafki, nalała do szklanki sporą porcję alkoholu i wrzuciła kilka kostek lodu.

– Kobiety wiedzą czasem o swoich koleżankach z pracy więcej niż faceci o kolegach – powiedziała, stawiając przed nim szklankę.

Skinął głową z wdzięcznością i pociągnął spory łyk.

– Cholernie seksownie wyglądasz w tej koszuli i marynarce. – Uśmiechnęła się do niego.

Znowu łyknął ze szklanki.

– Paulina, czy ja naprawdę wpadam w paranoję, kiedy zbyt mocno angażuję się w śledztwo? – zapytał.

– Masz coś konkretnego na myśli?

– Chyba widzę podobieństwa w dwóch sprawach, kompletnie od siebie różnych. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Zacząłem wątpić, czy nadal pozostaję przy zdrowych zmysłach.

Paulina wypita resztkę wina z kieliszka i mocniej ścisnęła się paskiem od szlafroka.

– Jesteś cholernie dobrym śledczym. – Popatrzyła na niego poważnie. – Masz niezwykłą umiejętność łączenia elementów pozornie ze sobą niezwiązanych. Do tego masz coś, czego brakuje prawie wszystkim policjantom: instynkt psa tropiącego i wielkie doświadczenie.

– Nie wiem, czy usłyszałem kiedyś od ciebie tyle komplementów.
– Więc przestań zastanawiać się nad głupotami, tylko zajmij się robotą.

Zeskoczyła ze swojego stołka, obeszła kuchenny blat i stanęła przed nim.

– Mam nadzieję, że nie będziesz mnie cały wieczór zanudzał – szepnęła.

Pocałowali się. Najpierw delikatnie, potem bardziej łapczywie i namiętnie. Paulina ściągnęła z niego marynarkę i rzuciła na podłogę, potem, patrząc mu prosto w oczy z jednym ze swoich lekko kpiących uśmiechów na ustach, rozpięła mu koszulę. Językiem musnęła jego szyję, sutki i brzuch. Zadrżał. Rozwiązał pasek i jednym ruchem zdarł z niej szlafrok.

Kochali się inaczej niż dotąd, bardziej intensywnie. Wchodził w nią głęboko, miażdżył jej piersi w dłoniach, całował po szyi, pieścił sutki. Była w tym siła i równocześnie delikatność, która jeszcze bardziej ją rozpalała.

Potem leżeli obok siebie i palili w milczeniu, mierząc się z własnymi myślami. Paulina zgasiła światło i przytuliła się do niego jak dawniej, kiedy byli ze sobą. Tylko mała lampka świeciła się w kuchni nad blatem. Ogarnął go spokój. Ona zasnęła pierwsza, on jeszcze długo gładził ją po plecach, wreszcie też zasnął, nawet nie wiedząc kiedy.

Obudził go niepokój. Otworzył oczy. Nic się nie zmieniło, tylko oboje leżeli teraz na boku, Paulina tyłem do niego. Lampka w kuchni nadal jarzyła się ledowym światłem, ledwie rozjaśniając panujące w mieszkaniu ciemności.

Co go obudziło? Zastanowił się. O czymś zapomniał. Nienawidził tego uczucia. Jeszcze długie minuty leżał w bezruchu, próbując zasnąć. Wreszcie się poddał. Wstał ostrożnie, żeby nie obudzić Pauliny, i poszedł do łazienki. Przemył twarz zimną wodą i spojrzał sobie w oczy w lustrze. Dwie różne, niezwiązane ze sobą sprawy. Czy na pewno?

Wrócił do łóżka, ale się nie położył. Przykrył tylko Paulinę kocem. Powiedziała coś przez sen i przewróciła się na drugi bok. Marcin włożył jej szlafrok i usiadł przy stoliku przy oknie, gdzie stał laptop. Włączył. Czekał, aż załaduje się system operacyjny, dopijał whisky. Jak dotąd starał się unikać informacji związanych ze strzelaniną na Roosevelta. Nie był jeszcze gotowy, żeby się z tym zmierzyć. Poza tym pisano tylko o pierwszym zamachu terrorystycznym w Polsce, o powiązaniach domniemanego terrorysty i o zagrożeniu innymi zamachami. On znał prawdę, więc nie chciał się irytować.

Była pierwsza dwanaście, kiedy zaczął przeglądać artykuły opublikowane zaraz po strzelaninie. Czytał tylko kilka pierwszych linijek tekstów – w większości takich samych. Marcin skupił się na zdjęciach. Z ulgą zauważył, że na żadnym z nich nie było jego ani Kariny. Na szczęście media pojawiły się tam później.

W Onecie natknął się na informację o pogrzebach zabitych policjantów. Krótkie notki biograficzne wychwalające ich zasługi pod zdjęciami z legitymacji służbowych, informacja o tym, że Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej nadał im pośmiertnie jakieś tam odznaczenia. Ale wśród tych policjantów nie było majora Kamila Sochackiego. Dziennikarze cały czas pisali o trzech rannych i trzech zabitych, nie o czterech. Marcin bardzo dobrze pamiętał cztery czarne worki leżące na ulicy. Bezimienny funkcjonariusz ABW też mówił o śmierci Sochackiego i czterech ofiarach. Co się nie zgadzało? Doszedł do wniosku, że z jakiejś bliżej mu nieznannej przyczyny śmierć Sochackiego została zatajona.

Wrócił do łóżka i położył się koło Pauliny. Przebudziła się.

– Gdzie ty łazisz? – wymamrotała, wstała i poszła do łazienki.

Marcin zasnął, zanim zdążyła wrócić.

29 lat wcześniej

W całym budynku jest jeden balkon. Chłopiec, który nie myśli, nie ma żadnych uczuć i jest ludzkim śmieciem poniewieranym przez rówieśników mieszkających razem z nim w tym domu na krańcu świata, lubi patrzeć wieczorami w gwiazdy. Staje z zadartą głową przy barierce na balkonie i patrzy w rozgwieżdżone niebo. Czasem spowijają je chmury, ale jemu to nie przeszkadza. Wtedy wyobraża sobie gwiazdy. Uwielbia obserwować. Może to robić godzinami.

Tego wieczoru gwiazdy świecą prześlicznie. Do tego widać tylko niewielką część księżyca. Wygląda jak nadgryziony i fascynuje go. Pod wpływem impulsu chłopiec się wspina. Stoi na barierce balkonu na drugim piętrze, kilka metrów nad wybetonowanym wejściem do budynku, z głową zadartą do góry. Obserwuje i czuje się wspaniale. Zupełnie jak wtedy, kiedy stał na szczycie dachu domu Prokopów, obserwował leżącą w dole wioskę i nadchodzącą burzę.

– Śmiecior!

Głos jednego z chłopców mieszkających z nim w tym domu wyrywa go ze świata marzeń. Wydaje mu się, że w głosie tamtego słyszy strach. Może dlatego zeskakuje z poręczy balkonu i patrzy na niego nieruchomo, pustymi oczami. To jeden z nielicznych chłopców, którzy go nie prześladują i nie traktują jak dziwoląga. Może dlatego, że boi się go bardziej niż inni. Chociaż teraz już boją się go chyba wszyscy.

– Ona cię wzywa – mówi tamten chłopiec i tym razem w jego głosie brzmi autentyczne przerażenie.

On się nie boi. Idzie prosto do jej gabinetu, otwiera drzwi, wchodzi do środka i staje przed jej biurkiem. Nie słyszy, żeby drzwi się za nim zamknęły, lecz nie zwraca na to uwagi. Ona siedzi za biurkiem i wypełnia jakieś papiery. To trwa i trwa. Mija minuta, dwie, pięć, wreszcie ona unosi głowę i patrzy mu prosto w twarz. Po jej zarumienionych policzkach i dziwnym błysku w oczach poznaje, dlaczego go wezwała. Znowu będzie boleć. On jednak nie boi się bólu. Przecież jest martwy, a martwi go nie czują.

Nie reaguje więc, kiedy ona do niego podchodzi, zdejmuje bluzkę, obnaża swój wielki biust, potem liże go po bliznach na przedramieniu. Dyszy przy tym podniecona. Widzi nawet kropelkę potu, która spływa jej po policzku. Potem jest tak jak zwykle. Drapie go po ramionach, a kiedy krew zaczyna spływać ze świeżych ran, smaruje nią swoje piersi. Wreszcie popycha go na dywan i opuszcza mu spodnie, a potem ujeżdża go, aż wreszcie nieruchomieje zdyszana.

Znienacka podnosi wzrok i spogląda w kierunku niedomkniętych drzwi. Na jej twarzy wykwita grymas wściekłości. W jednej chwili kobieta staje się dziką bestią, która nie zawaha się zabić.

– Ty pierdolony skurwysynu!!! – wrzeszczy na całe gardło.

Chłopiec stojący w drzwiach drga gwałtownie. Jego wielkie, szeroko otwarte oczy przesłania mgła śmiertelnego przerażenia. Zatrzaszkuje drzwi i słysząc tupot jego kroków na korytarzu. Ucieka w popłochu.

Ona podnosi się na nogi blada jak papier. Ubiera się bez słowa, potem sięga pod biurko, gdzie trzyma gruby kij, przed którym drżą wszyscy w całym domu. Potrafi nim naprawdę mocno uderzyć. Niejeden z chłopców dostał już tak mocno, że przez dwa tygodnie widać było sińce na plecach czy rękach. Tylko że teraz ona bierze ten kij do ręki tak, jakby miała zamiar zabić. Mamrocze pod nosem:

– Zabiję cię, ty mały skurwysynu, podglądaczu! Teraz naprawdę cię zabiję, pierdolony gnojku.

On wie, że ona mówi tak na poważnie.

– Nic mu nie zrobisz – oznajmia spokojnie chłopiec.

Ona zatrzymuje się w pół kroku. Wściekłość na jej twarzy miesza się z wyrazem totalnego zaskoczenia. Nigdy dotąd nie słyszała jego głosu. Nigdy nic nie powiedział. Aż do tej chwili.

– Nic mu nie zrobisz – powtarza chłopiec beznamiętnie.

Jej gniew obraca się przeciw niemu. Kobieta podnosi kij jak do ciosu.

– Ty! Ty...

Cios jednak nie pada. On jednym skokiem jest przy niej, wyszarpuje jej kij, uderza ją po rękach, w głowę, następnie skacze za jej plecy i z całej siły wymierza cios, celując pod kolana. Jej nogi się załamują. Pada z jękiem do tyłu. Jej głowa odbija się od dywanu, a on jest już na niej. Zaczyna ją dusić, przyciskając kij do szyi. Oczy wyłażą jej z orbit, czerwienieje, nie może złapać oddechu, z nosa cieknie strużka krwi.

– Nic mu nie zrobisz – mówi on po raz trzeci z niezwykłym spokojem w głosie. – Zrozumiałaś?

Ona potwierdza.

Chłopiec ją puszcza. Obserwuje, jak kobieta chwyta się rękami za gardło i ze świstem wciąga ustami powietrze. W odruchu, który zaskakuje nawet jego, on nachyla się nad jej twarzą i oblizuje krew płynącą jej z nosa. Jest słodka i mdła. On jednak czuje jakiś nieznany dreszcz podniecenia przebiegający mu po plecach. Choć przecież jest martwy i nie ma żadnych uczuć.

Zrywa się i wybiega z gabinetu dyrektorskiego, zatraskując za sobą drzwi. Trzask niesie się jeszcze długo echem po korytarzu.

Rozdział 43

28 września, poniedziałek

Okolo dziesiątej zaświeciło słońce. Pierwsze promienie, które przebiły się przez chmury, padły w okno domu Wysockich i trafiły Bożenę w twarz. Siedziała z podkurczonymi nogami na ulubionej sofie, segregując zdjęcia. Przez kilka chwil z przymrużonymi oczami cieszyła się z ciepłego, pieszczotliwego dotyku. To dziwne. Najpierw ludzie przez całe lato przeklinali słońce, które urządziło sobie z miasta gigantyczny grill i przypiekało każdego, kto nieopatrznie opuścił bezpieczny cień. Potem się ochłodziło, przez kilka dni było ponuro, padał deszcz i ludzie znowu zatęsknili za słońcem. Teraz cieszyli się, gdy niespodziewanie wychynęło zza szarych obłoków.

Bożena lubiła rodzinne zdjęcia. Prawie nikt już nie wywoływał zdjęć u fotografa, cyfrowe fotki były zgrywane na twarde dyski komputerów i tam zazwyczaj zostawały, zapomniane na zawsze. Bożena Wysocka poświęcała dużo czasu na selekcję zdjęć w komputerze i wybranie tych najlepszych, które trafią do rodzinnego albumu.

Właśnie kilka dni temu odebrała z laboratorium kilkadziesiąt zdjęć dokumentujących ich życie codzienne i rodzinne imprezy. Od rana przy kawie selekcjonowała je chronologicznie i układała w albumach. Jej mąż pojechał do pracy po krótkim weekendzie w domu, córki wróciły na uczelnię, zajęte swoimi sprawami, o których Bożena miała coraz mniejsze pojęcie. Już się z tym pogodziła. Normalna kolej rzeczy. Jak to w życiu.

Miała dużo czasu i święty spokój. I swoje myśli.

*

Prokurator Marek Grabski sięgnął po filiżankę i spróbował się napić. Kawa była gorąca i tylko poparzył sobie usta i przętyk. Strasznie nieprzyjemne uczucie.

- Nie mam teraz czasu – rzucił. – Mam ważne spotkanie.
- Musimy porozmawiać – upierała się Paulina Czerny.
- Po czternastej.
- To nie może czekać.

Marek znał swoją najlepszą śledczą na tyle, by zrozumieć, że ona nie odpuści. Widocznie sprawa była poważna. Inaczej Paulina nie marnowałaby jego czasu. Zawahał się.

- No dobrze – westchnął. – O co chodzi?
- Prokurator Wysocki.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem. Wreszcie mężczyzna skapitulował. Wskazał jej krzesło. Sam usiadł za biurkiem i znowu sięgnął po kawę. Tym razem była chłodniejsza.

Paulina zaczęła opowiadać.

*

Zapełniła album ze zdjęciami do połowy i zatrzymała się na urodzinach starszej córki sprzed ponad roku. Była wtedy piękna pogoda, zjechała się cała najbliższa rodzina Wysockich i co najważniejsze, przyjechał ojciec Bożeny. Rzadko ich odwiedzał, więc tamte chwile pamiętała doskonale. Nie zamienił z Darkiem ani słowa, przez cały wieczór się omijali. Doceniała takie zachowanie. Animozje animozjami, ale tu chodziło o córkę i wnuczkę – nie można było zepsuć jej tego wyjątkowego dnia.

Bożena wstała, przeciągnęła się i podeszła do drzwi balkonowych. Od dłuższego czasu były otwarte. Do salonu wpadał orzeźwiający podmuch wilgotnego powietrza. Wyszła bosy na taras

i stanęła w kałuży wody. W nocy musiało pokropić. Spojrzała na swoją rabatkę z kwiatami i zmarszczyła czoło. Coś było nie tak, tylko nie mogła zrozumieć co. Zdjęcia! Jeszcze kilka minut temu na jednym ze zdjęć przyglądała się dużej róży.

Wróciła do pokoju i odnalazła je. Znowu wyszła na taras i porównała fotografię z obecnym stanem rabatki. Już rozumiała. Krzak róży. Na zdjęciu był po lewej, a teraz rósł nieco bliżej prawej strony grządki z kwiatami.

Jeszcze raz spojrzała na fotografię. Nie było najmniejszych wątpliwości. Krzak róży znajdował się gdzie indziej. Ktoś musiał go wykopać i przesadzić kawałek dalej, przecież sam się nie przemieścił. Tylko po co? No i kto?

Nie zważając na zimną rosę wciąż utrzymującą się na trawie, podeszła do grządki i przykucnęła. Przyjrzała się ziemi i kwiatom.

*

– Mam teorię, co się stało z Anną Kowal. Wiesz, kto to jest Włodzimierz Bednarek?

– Masz na myśli tego krzykliwego wiceprzewodniczącego partii?

Paulina Czerny skinęła głową.

– I tego, który ma załatwić twojemu koledze z prokuratury błyskotliwą karierę polityczną. – Posłała mu jeden ze swoich złośliwych uśmiechów.

Grabski znowu ostrożnie napił się kawy.

– Nie popieram takich działań. Prokurator powinien zostać apolityczny. Jeśli jest inaczej, nie może być prokuratorem – powiedział.

– Nieważne. Urodziny u Włodka. Wiesz, że Bednarek mieszka przy Ziemiaczanej? Anna Kowal była na grillu u koleżanki, a dwa domy dalej przewodniczący Bednarek urządzał popijawkę dla swoich partyjnych kolegów oraz ich potencjalnych przydupasów. Urodziny

ma w czerwcu, ale jest zajęтым człowiekiem, więc czas znalazł dopiero w lipcu. Jednym z zaproszonych gości był Dariusz Wysocki.

Grabski zmarszczył brwi i ostrożnie odstawił filiżankę na biurko. Nagle zainteresował się słowami Pauliny.

– Czy to jego goście pomagali później w pierwszych poszukiwaniach Anny Kowal?

– Dokładnie tak. Ale Wysockiego już nie było na imprezie. Mój nowy kolega, redaktor Krzysztof Salitra, dotarł do jednego z gości, który bardzo chętnie opowiedział mu o urodzinach u Bednarka. Wysocki przyjechał tam swoją hondą crv rocznik dwa tysiące dwanaście. Do dwunastej dużo wypił i ledwo trzymał się na nogach. Gospodarz chciał go położyć spać, ale Wysocki się uparł, że wróci do domu. Wsiadł do auta i pojechał.

Grabski patrzył na nią w milczeniu.

– Dom prokuratora Wysockiego znajduje się niedaleko. Na Irackiej, po drugiej stronie ogródków działkowych, niecałe pół kilometra od domu Anny Kowal. Między Ziemniaczaną a Aleją Róż przez ogródki przebiega polna droga, którą wszyscy wykorzystują jako skrót. W tym czasie, kiedy Wysocki wsiadał pijany za kierownicę swojej hondy, Anna wyszła już z imprezy u koleżanki i szła właśnie tym skrótem przez ogródki do domu. Kompletnie pijany Wysocki też pojechał tamtędy. Za zakrętem doszło do tragedii. Nie utrzymał rozpędzonego auta na piaszczystej drodze, wyniosło go na łuku, nieważne. Chodzi o to, że potracił idącą poboczem dziewczynę.

Marek zrobił taki ruch, jakby chciał sięgnąć po kawę, ale zrezygnował.

– Paulina... – zaczął.

– Wysłuchaj mnie do końca – przerwała mu. – Wysocki wpadł w panikę. Zapakował ofiarę do bagażnika, posprzątał pobocze. Jeśli była tam jakaś krew, przysypał ją piaskiem. Technicy, którzy zjawili się tam już po dwóch tygodniach, mogli co najwyżej podrapać się po dupie. Nie zauważył tylko okularów przeciwsłonecznych, które wypadły z torebki dziewczyny i leżały na poboczu w trawie. Potem

pojechał do domu. Auto zaparkował w jednym ze swoich garaży i poszedł spać. Nie wiem, czy dziewczyna mogła jeszcze wtedy żyć. Być może patolog będzie mógł to ustalić, gdy znajdziemy ciało.

– Masz na to dowody? – zapytał Grabski.

*

Szpadel stał w składziku na narzędzia. Tam znalazła też zwój czarnej grubej folii, którą kiedyś, jeszcze w czasie budowy domu, robotnicy przykrywali piasek, żeby nie rozmyły go ulewne deszcze.

W domu przebrała się w robocze ubranie i sprawdziła, czy brama jest dobrze zamknięta. Zatelefonowała do męża, potem do córek, i kiedy już się dostatecznie upewniła, że przez najbliższe kilka godzin będzie w domu sama, przystąpiła do działania. Obok rabatki z kwiatami rozłożyła na trawie folię, obłożyła kilkoma kamieniami, żeby wiatr jej nie porwał, i zabrała się do wykopywania kwiatów. Po chwili wszystkie trafiły do pojemnika na odpady zielone. Oszczędziła tylko wędrujący krzak róży, chciała przesadzić go na poprzednie miejsce. Ziemia była mokra tylko z wierzchu i lekka. Kopało się z łatwością.

Bożena Wysocka oparła się na wbitym w ziemię szpadlu i przyjrzała się swojej pracy. Wykopała już spory dół i nic nie znalazła. Jednak narastało w niej pełne podniecenia drżenie. Miała przeczucie. Przeczucie graniczące z pewnością.

Wróciła do pracy. Wyrzuciła na folię jeszcze kilka porcji ziemi, podniosła szpadel, żeby znowu wbić ostrze, i zawahała się. Odstawiła narzędzie na bok, uklękła i zaczęła rozgarniać ziemię rękami. Po chwili rękawice natrafiły na jakiś kształt.

*

– Kiedy Wysocki wytrzeźwiał i zaczął znowu racjonalnie myśleć, dotarło do niego, co zrobić. Wtedy na zimno opracował plan – kontynuowała Paulina Czerny. – Najważniejsze były dwie sprawy. Ukrycie ciała i pozbycie się narzędzia zbrodni. Z ciałem poszło łatwo. Można było je wywieźć i zakopać gdzieś w lesie, z dala od ludzkich siedzib.

Grabski poczuł nieprzyjemny posmak w ustach, który spotęgował się, kiedy spojrzał na filiżankę z niedopitą kawą. Papieros dobrze by mu zrobił.

– Niemożliwe. – Pokręcił głową.

– Ale logiczne. No i jeszcze narzędzie zbrodni. Nie mógł samochodu oddać po prostu do warsztatu. Każdy mechanik rozpoznałby uszkodzenia. Wysocki wiedział, że jego jedyną szansą jest brak świadków. Takie małe zabójstwo doskonałe.

– To nie było zabójstwo, tylko wypadek.

– Myślę, że w świetle tego, co powiedziałam o ukryciu zwłok, to dość pobłażliwa klasyfikacja czynu. – Policjantka nie starała się nawet ukryć ironii w głosie. – Pamiętasz, że w lipcu zeszłego roku Wysockiemu ktoś ukradł sprzed domu auto?

– Zrobił się z tego niezły szum – przyznał Marek.

– Już on o to zadbał. Naciskał na policję, opowiadał wszędzie, jakiego ma pecha i co robi temu złodziejowi, jak go złapie. Tyle że nie było żadnej kradzieży. Wysocki schował samochód do jednego z garaży, wymienił zamki i nikogo tam nie wpuszczał. Szum z kradzieżą umilkł, a on spokojnie zaczął pozbywać się narzędzia zbrodni.

– W jaki sposób?

– Rozebrał auto na części, których się sukcesywnie pozbywał. Trochę sam wywiózł na złom. Oczywiście swoim nowym nissanem. Resztę oddawał złomiarzom.

Paulina rzuciła na biurko Grabskiego plik fotografii.

– Co to jest?

– Auto jest duże, trudno je szybko rozebrać i po cichu pozbyć się części. Tyle z hondy zostało do dzisiaj.

Marek obejrzał sceptycznie zdjęcia złomu i części.

– Po tym można poznać, że to części samochodu? Do tego ustalić markę?

– Salitra oddał mi wielką przysługę. Jego znajomy z serwisu Hondy zrobił nieoficjalną ekspertyzę. Części mogą pochodzić z samochodu marki Honda. Dokładniejsze badanie prokuratura mogłaby zamówić w niemieckiej centrali producenta.

– Z czego zrobili ekspertyzę, z tych zdjęć?

– Mam sporo części, których pozbywał się Wysocki.

Prokurator Grabski uważnie przyjrzał się Paulinie.

– Muszę wiedzieć, jak weszłaś w ich posiadanie.

*

Bożena Wysocka zdziwiona odgarniała rękami ziemię. Na głębokości około metra znalazła czarny plastikowy worek. Wyglądał jak napompowany. Kiedy go nacisnęła, usłyszała ze środka dziwne dźwięki. Jakby bulgotanie. Nacisnęła mocniej i poczuła pod palcami coś miękkiego.

Poszła do składziku na narzędzia i wróciła z nożem. Wahala się kilka sekund, wreszcie przecięła worek. Rozległo się syczenie jak z przebitego balonu i w twarz buchnął jej nieprawdopodobny smród. Coś jakby zgniłe, sfermentowane mięso. Oczy natychmiast zasły jej łzami. Nic nie widząc, odpełzła dwa metry w bok i zwymiotowała. Wymiotowała długo, myślała, że wypluje żołądek razem z płucami. Potem leżała na boku na trawie, dygocząc. Zrobiło jej się przerażająco zimno. I co najgorsze, nadal czuła ten piekielny odór.

Wreszcie zebrała się w sobie, wyjęła z kieszeni chusteczkę i zatkała nią nos. Wstała, ostrożnie podeszła do wykopu, zmrużyła oczy i zajrzała na dno, mocno przyciskając chusteczkę do ust. Zakręciło jej się w głowie. Ktoś na nią patrzył. Ale w oczodołach nie

było już oczu, tylko galaretowata szara maź. Zgniłe ciało z twarzy spłynęło w dół, odstaniając szczęki, a w nich białe zęby. Trup uwolniony z worka zdawał się uśmiechać upiornie do słońca.

*

Paulina położyła przed Grabskim teczkę.

– To są zeznania dwóch złomiarzy i szefa skupu złomu na Ostrowskiego. Zeznali, że regularnie dostawali od Wysockiego złom.

Grabski wstał zza biurka i stanął przy oknie. Podrapał się po głowie. Strasznie chciało mu się palić.

– Paulina, to są tylko twoje domysły. Musimy mieć twarde dowody – powiedział stanowczo. – Inaczej nikt nie zaryzykuje postępowania.

– Zdobądź nakaz przeszukania domu Wysockiego. Znajdziemy resztki samochodu.

– To żaden dowód. Każdy może sobie pociąć auto, jeśli ma taką fantazję. Kto bogatemu zabroni? Co najwyżej moglibyśmy go oskarżyć o oszustwo ubezpieczeniowe.

– Marek, na tych częściach, które mam, nasi technicy znaleźli ślady krwi. Jeśli to będzie grupa krwi Anny Kowal, dostaniesz swój twarde dowód. To układa się w logiczną całość. Wysocki zrobił wszystko, żeby przejąć to śledztwo, a od tego momentu nie zrobił nic, by znaleźć dziewczynę. I wcale nie jest tak, że kogoś chroni. On chroni własną dupę.

Grabski się odwrócił. Znowu mierzyli się wzrokiem, jakby oceniając, które z nich jest bardziej zdeterminowane. Znowu wygrała Paulina. Marek popatrzył na zdjęcia na biurku, potem zgarnął wszystkie dokumenty i oznajmił:

– Idę porozmawiać z naczelnikiem. Sprawa jest bardzo delikatna. Jeśli zaczniemy ją za szybko i nieprzygotowani, Wysocki może się wywinąć.

Rozdział 44

– Poratuj, Cichy...

Głos z trudem przedarł się przez dudniącą muzykę. W klubie był komplet, ale najwyraźniej nie wszyscy dobrze się bawili. Mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce odstawił drinka na bar i wolno się obejrzał. Stał przed nim chudy, blady chłopak, wpatrując się w niego błagalnie mętnymi oczami.

– Spadaj, Gintek! – odpowiedział krótko.

– Na jeden strzał. Jutro oddam... – Ćpun nie ustępował.

Barman zobaczył, że Gintek zaczepia gościa, i zareagował szybko. Nachylił się do chłopaka i krzyknął:

– Spierdalaj stąd, brudasie, bo zaraz wylecisz przez tylne drzwi na kopach!

Ćpun odwrócił się na pięcie i zaczął się przepychać przez tłum na parkiecie. Barman chciał coś jeszcze za nim zawołać, ale Cichy powstrzymał go gestem.

– Zostaw. Ma dość własnych problemów.

– Mówiłem na bramce, żeby go nie wpuszczali.

Cichy dopił drinka i pokazał barmanowi, by nalał jeszcze raz to samo. Zachręściły kostki lodu, po czym szklanka napelniła się ginem.

– Co dzisiaj słysząc? – zapytał Cichy.

– Stara bieda. – Barman wzruszył ramionami.

Na imię miał Robert i pracował za barem bez przerwy od prawie pięciu lat. Miało to swoje zalety. Znał wszystkich stałych bywalców klubu.

– Przyszedł ktoś ciekawy?

Robert obsłużył klienta i znowu zbliżył się do Cichego.

– Ktoś pcha się do gipsu – stwierdził.

– Będzie ubaw? Kto?

Barman wskazał mu łysego gościa, który siedział w kącie przy dwuosobowym stoliku.

– Widziałem go gdzieś? – zainteresował się Cichy.

– To ten znany dziennikarz, Salitra.

Cichy popatrzył na siedzącego jeszcze raz, tym razem z wyraźnym błyskiem w oczach.

– Szuka dilerą? – zapytał.

– Lepiej. Szuka Dziwoląga.

Cichy przestał ukrywać swoje zainteresowanie. Odwrócił się na stołku i patrzył wprost na gościa. Salitra rozparł się wygodnie na swoim krześle i popijał piwo, obserwując tańczących. Zagadnęła go skąpo ubrana dziewczyna, ale najwyraźniej ją spławił, bo odeszła, mrużąc coś pod nosem.

W pewnej chwili dziennikarz wstał i ruszył w kierunku wyjścia. Cichy bez wahania podążył za nim. Klub znajdował się w podwórzu. Zaraz po wyjściu Cichy stanął, mrużąc oczy, żeby przyzwyczyły się do innego oświetlenia. Widział, że Salitra poszedł w prawo. Innego wyjścia nie było. Wąskie przejście między kamienicami prowadziło do głównego deptaka.

Dziennikarz chyba nie miał planów na wieczór, bo snuł się ulicami bez celu. Zaglądał do mijanych po drodze pubów i restauracji, przystawał przed witrynami sklepowymi, wreszcie ulicą Wita Stwosza poszedł w kierunku Rynku. Na placu przy katedrze Świętej Marii Magdaleny przysiadł na wolnej ławce, zaciągając się elektronicznym papierosem. Cichy opadł na drugi koniec ławki. Mimo późnej pory i niezbyt przyjaznej pogody kręciło się tu kilka osób. Gotycka katedra, efektownie oświetlona od dołu, majestatycznie górowała nad placem.

– Po co palić takie świństwo? – W kierunku Salitry przesunęła się paczka Im-ów.

– Właściwie nie palę.

Cichy wzruszył ramionami i sam zapalił.

– Szukasz towarzystwa? – zagał.

– Nie jestem gejem – odparł dziennikarz.

– Do diabła! Czy ja wyglądam na geja? Myślałem raczej o miłym damskim towarzystwie.

– Nie szukam laski na wieczór.

– Kurwa, jaki z ciebie wymagający klient. – Cichy parsknął teatralnie. – Mam inne rozrywki. Cudowna podróż na Jamajkę albo szybki transport autostradą prosto do nieba.

– Szukam kogoś. – Salitra po raz pierwszy spojrzał mu prosto w twarz.

– Wszyscy kogoś szukają. Wydaje mi się, że więcej jest szukających niż szukanych.

– Pomożesz mi? Zapłacę.

Cichy pstryknął niedopałkiem na kamienne płyty placu.

– W dupie mam twoje srebrniki. Nie zapłacisz mi tyle, żebym mógł się przenieść na stałe na Karaiby, a ja zbyt cenię swoje zdrowie i święty spokój, żeby chcieć ci pomóc.

Wstał i już zamierzał odejść, gdy Salitra zatrzymał go ruchem dłoni.

– Siadaj. Ja też nie szukam kłopotów. Słyszałeś o Obserwatorze?

Cichy usiadł i wysilił się na nonszalancki uśmiech.

– O czym ty gadasz? Jaki Obserwator? – zapytał.

– Pojawia się tu i tam – rzucił Salitra. – Ściąga na ludzi kłopoty.

– Nie zadaję się z kapusiami.

– Nie jest psem. Na mieście nazywają go też Dziwołag.

Salitra podał mu fotografię. Cichy obejrzał ją z obojętnym wyrazem twarzy. Na zdjęciu był szkic zgarbionego faceta w połatanym prochowcu, z rękami sięgającymi prawie do kolan.

– Dziwnych masz znajomych – mruknął.

– On ma dziwniejszych. Słyszałeś może ksywkę Śmierciór?

Cichy z trudem nad sobą zapanował. Ciekawość przykrył kpina.

– Śmierciór, przyjaciel Dziwołaga – wycedził. – Brzmi jak z głupiej bajki dla niegrzecznych dzieci.

– Nie wiem, czy są przyjaciółmi. Wiem tylko, że Śmierciór zjawia się zawsze tam gdzie Obserwator, jakby byli współnikami.

– Co robią?

– Długo by opowiadać.

Salitra sięgnął po fotografię, ale Cichy cofnął rękę. Kilka sekund się wahał. Zapalił drugiego papierosa i wreszcie nachylił się do Salitry. Starał się złowić wzrokiem jego spojrzenie.

– Posłuchaj mnie, redaktorku – zaczął cicho i dobitnie. – Wiesz, dlaczego ludzie się ukrywają? Bo nie chcą być znalezieni. Znam takich, którzy się wściekają, kiedy ktoś ich szuka. Stają się nieobliczalni i... bardzo niebezpieczni. Po co ci to? Chcesz źle skończyć? Zajmij się swoimi skorumpowanymi prokuratorami, poszukiwaniami zaginionych dziewczynek czy czym tam chcesz. Ale nikogo więcej nie szukaj.

Zaciągnął się papierosem i dmuchnął Salitrze w twarz. Nawet jeśli Krzysztof był zaskoczony jego słowami, nie dał tego po sobie poznać. Wytrzymał spojrzenie. Znowu wyciągnął rękę po zdjęcie, ale Cichy złożył je na pół i schował do kieszeni kurtki.

– Lubię cię, Salitra – dodał. – Nie chciałbym, żeby stało ci się coś złego.

Znowu pstryknął papierosem na płyty placu, wstał i spojrzał na dziennikarza z góry.

– I jeszcze jedna rada na koniec. Nie idź za mną. Po co mielibyśmy się na siebie niepotrzebnie denerwować? Cześć!

Odwrócił się i odszedł wolno w kierunku wejścia do katedry od strony Szewskiej.

– Do zobaczenia! – usłyszał, kiedy był już kilka kroków od ławki.

Uśmiechnął się pod nosem. Salitry nie dało się tak łatwo zastraszyć. I bardzo dobrze. Obejrzał się jeszcze raz. Salitra siedział

w tym samym miejscu. Wokół jego głowy unosił się biały obłok dymu z e-papierosa i zaraz znikał. W półmroku ledwo było go widać.

Rozdział 45

Marcin spodziewał się większego optymizmu. W końcu był poniedziałek po weekendzie, kiedy mogli się zrelaksować. Tymczasem spoczęły na nim ponure, jakby zniechęcone spojrzenia. Tylko Karina wyglądała na bardzo zadowoloną. Szybko i bez zbędnych komentarzy omówili postępy w śledztwie. Były niewielkie, ale pamiętając o radzie Grabskiego, Marcin pochwalił każdego z osobna za zaangażowanie i dotychczasową pracę. Potem ustalili, co dalej. Wysłuchał jeszcze opinii i odnosząc się do nich, odpowiednio zmodyfikował plan działania. Miał wrażenie, że kiedy wychodzili, nastroje były lepsze. Ilona i Adam popatrzyli nawet na siebie, ale nie zdążył dostrzec, w jaki sposób. Długi ze słuchawkami w uszach, wpatrzony w ekran swojego smartfona, stanął w drzwiach, żeby wszystkich przepuścić. Marcin zatrzymał gestem Karinę.

– Jesteś dzisiaj w wyjątkowo dobrym humorze – odezwał się, kiedy za Długim zamknęły się drzwi.

– Naprawdę to widać?

– Był seks?

– Dużo seksu! – Karina uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Całą sobotę nie wychodziłyśmy z łóżka.

Zanim Marcin skomentował, odezwała się jego komórka.

– Zakrzewski, słucham?

– Cześć, mówi Jarek Parkitny z narkotyków – odezwał się męski głos.

Marcin musiał chwilę pomyśleć, zanim skojarzył. Wysoki, łysy gość z nadwagą, który potrafił wypić beczkę wódki i nie było po nim

widać, że cokolwiek pił. Prawdziwy policjant – śmiali się z Parkitnego koledzy na firmowych imprezach. Marcin właśnie sobie uświadomił, że dawno już nie było takiego spotkania. A może po prostu nikt go nie informował?

– Cześć, Jarek, co słychać?

– Przyjedź na Oporów, na Mikulskiego. Tylko się pospiesz. Mam cynk, że za godzinę będzie tu CBS ze stolicy, żeby przejąć nasze śledztwo.

– Posłuchaj, ja...

– Marcin, nie pożałujesz. Przyjeżdżaj.

– Zaraz będę.

Zakrzewski zakończył połączenie i spoglądał jeszcze chwilę na gasnący ekran telefonu. Karina patrzyła na niego pytającym wzrokiem.

– Muszę coś pilnie załatwić – powiedział.

Pokiwała głową i nic nie mówiąc, wyszła. Pewnie zrozumiała, o co może chodzić.

Motorem dojechał na miejsce w kwadrans. Uliczka była spokojna, po obu stronach wznosiły się domy jednorodzinne. Przed jednym stały dwa policyjne radiowozy, trzy nieoznakowane auta i ford transit techników. Marcin zaparkował przed taśmą z napisem „Policja”, przy której stał mundurowy. Zgasił silnik, zdjął kask i zsiadł z motocykla. Policjant od razu go poznał i podniósł taśmę, przepuszczając dalej. Brama była otwarta, na podjeździe roło się od funkcjonariuszy. Parkitny zobaczył go z daleka, klepnął w ramię młodego policjanta, z którym rozmawiał, i ruszył w stronę Marcina. Z każdym krokiem potężny brzuch zdawał się falować, Zakrzewski miał wrażenie, że Jarek jeszcze przybrał na wadze. Jak on zdaje testy sprawnościowe?

Przywitali się mocnym uściskiem dłoni.

– Dobrze, że jesteś. Czuję, że zaraz nas stąd usuną – rzucił Jarek.

– Co się dzieje?

– Opowiem ci w krótkich żołnierskich słowach. Po strzelaninie w klubie Tester na rynku narkotyków zapanowała panika. Główni gracze pochowali się w norach i węszyli, kto mógł załatwić Tinky’ego Winky’ego. Wiesz, gość był śmieciem, ale w środowisku nietykalny. Organizował duże przerzuty białego proszku kanałem ukraińskim. Nie będę cię zanudzał, ale wojna w Donbasie kosztuje. Trzeba płacić ruskim najemnikom i wierchuszka zarządzająca Nową Rosją też chciałaby coś ekstra zarobić. Więc od jakiegoś czasu pchają narkotyki na zachód przez Polskę.

– No dobra, i co ja mam z tym wspólnego?

– Ty nic, ale dalej będzie coś, co cię zainteresuje – ciągnął Parkitny niezrażony marsową miną Zakrzewskiego. – Ostatnio kapusie zaczęli nas zasypywać bardzo ciekawymi informacjami. Podobno Tinky Winky przekręcił tych z Donbasu na kasę. Oni się wściekli i przysłali tu takiego ponurego typu, którego nazywają Mykoła. Facet z przeszłością w Afganistanie, Czeczenii, a teraz w Donbasie. Ten Mykoła wynajął zawodowca, żeby zlikwidować Tinky’ego. Być może Mykoła miał jeszcze jakieś plany, ale niespodziewanie zniknął.

– Jak to zniknął? Wyjechał?

– Niezupełnie. Rozpłynął się. Może nie dogadał się z tym zawodowym zabójcą i ten go stuknął. Dlatego tu jesteśmy.

Marcin nie mógł już udawać, że opowieść Parkitnego go nie interesuje.

– Skąd wiecie, że tu? – zapytał.

– Zniknął także jeden z mniejszych handlarzy, który donosił Ukraińcom. Nazywali go Jordan. Wiesz, jak ten koszykarz z Chicago Bulls. Kolega Jordana twierdzi, że ostatni raz widział go tutaj. Przywiózł go na spotkanie z jakimś Ukraińcem. Jordan wszedł do tego domu i już się nie pojawił. Około dwóch godzin później z domu wyszedł dziwny facet, wsiadł do auta i odjechał. Ten kolega dzwonił do drzwi, ale nikt nie otworzył. To mógł być ten zabójca ze szpitala i z Roosevelta, dlatego zaraz będzie tu CBS i nas stąd wypierdoli.

– Kiedy to było?
– Na początku września.
– I dopiero teraz puścił parę?
– Zwinęliśmy go za handel i stał się wyjątkowo rozmowny. Dobra, ruszaj się, Zakrzewski, bo masz mało czasu.

Jarek chciał odejść, lecz Marcin przytrzymał go za ramię.

– Nie zajmuję się tą sprawą – rzucił.

Parkitny odprowadził go na bok, z dala od świadków.

– Zakrzewski, cała policja jest wkurwiona za śmierć gliniarzy na Roosevelta. I wiesz, co większość z nas myśli? Że warszawka nie znajdzie tego sukinsyna. Już zaczęli gierki, żeby chronić swoje tłuste tyłki na stołkach. Terrorysta z ISIS? Takiego newsa kupi tylko naiwniak oglądający wiadomości na Jedynce. Jak dla mnie tylko ty możesz go złapać. Sporo kolegów myśli podobnie. Niby cię odsunęli, ale przecież wszyscy wiedzą, że ty nie odpuszczasz.

Marcin spojrzał mu w oczy.

– Stąd te maile? – mruknął.

– O czym ty bredzisz?

– Nieważne.

– No dobra. Masz mało czasu. Rozejrzyj się. Moi ludzie nigdy cię tu nie widzieli. Tylko nie pchaj się przed fotografa. – Jarek zaśmiał się chrapliwie, jakby powiedział bardzo śmieszny dowcip, i odszedł do swoich.

Marcin powoli zaczynał rozumieć. Parkitny nie miał nic wspólnego z tajemniczymi mailami z informacjami o Satyrze, wysyłał je ktoś inny. I to usytuowany bardzo wysoko w hierarchii, z dostępem do tajnych archiwów.

Czy naprawdę nigdy nie odpuszcza?

– Cholera jasna! – zaklął i ruszył w kierunku domu.

Wszedł do środka. Znajdujący się tu policjanci rzeczywiście raczej nie zwracali na niego uwagi. Obrzucali go ciekawymi spojrzeniami, ale odwracali głowy i schodzili mu z drogi. Nawet Robert Rajcza, któremu zazwyczaj usta się nie zamykały, teraz milczał. Jego młoda

asystentka w kombinezonie astronauty obdarzyła Zakrzewskiego uśmiechem.

Obszedł wszystkie pomieszczenia, rozglądając się ciekawie. Dom wyglądał na niezamieszkały. Pokoje pozbawione mebli, kuchnia wyglądająca na nieużywaną, pusta łazienka na piętrze. Tylko w salonie na dole stał stół, obok trzy krzesła i łóżko. Po pokojach kręcili się inni technicy, szukając odcisków palców.

– Znaleźliście coś? – zapytał jednego z nich.

Odpowiedział mu niechętny grymas i machnięcie ręką. Marcin odnalazł Parkitnego.

– Do kogo należy ten dom?

Jarek zajrzał do notesu.

– Zbigniew Rudzki – odczytał. – Wynajmował go od pół roku. Właśnie na początku września najemca wysłał mu SMS-a, że musi wyjechać i wypowieda umowę. Potem jego telefon komórkowy zamilkł.

Jarek wyrwał kartkę z notesu i podał ją Zakrzewskiemu.

– Tu jest nazwisko i adres, jakbyś był zainteresowany.

Marcin schował kartkę do tylnej kieszeni spodni, nawet na nią nie patrząc.

– Jak się nazywał ten najemca?

– Moi ludzie to sprawdzają, ale nie spodziewaj się fajerwerków.

Zawołała ich technik Marta Mickiewicz. Przez ostatnie kilka minut sprawdzała łazienkę znajdującą się na dole. Stanęli w drzwiach. Uśmiechnęła się do nich triumfująco.

– Spryskałam kafelki w kabinie prysznicowej luminolem i bingo! – powiedziała.

Poświeciła lampką i wyraźnie zobaczyli fosforyzujące plamy. Kiedy krew styka się z luminolem, następuje reakcja chemiczna utleniania i przez jakiś czas plamki krwi fosforyzują.

– Może ktoś się zaciął przy goleniu – uśmiechnął się Parkitny.

– To wygląda raczej jak rozbryzg krwi po strzale w głowę z bliskiej odległości – zaproponował Marcin.

– Może powinieneś zostać technikiem kryminalistyki? – rozległ się z tyłu znajomy głos.

Krok za nimi stał Robert Rajcza z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Spojrzał na Martę.

– Spróbuj zabezpieczyć DNA, jeśli nie spryskałaś jeszcze wszystkiego luminolem. Może nasz znajomy komisarz ma rację. Postaraj się znaleźć inne ślady. Na przykład odłamki kości czaszki, bo na fragmenty mózgu chyba nie ma co liczyć.

Parkitny pobiadł i wycofał się na korytarz, a po chwili gdzieś zniknął. Rajcza skinął na Zakrzewskiego. Marcin bez słowa poszedł za nim. Z tyłu domu stał mały drewniany budynek gospodarczy. Rajcza otworzył drzwi, z boku na ścianie wymacał włącznik. Nieosłonięta żarówka rozjarzyła się żółtym światłem.

– Nie wydaje ci się to dziwne? – zapytał Rajcza.

Budynek miał dwa okna, oba były jednak szczelnie zasłonięte workami z ziemią. Ktoś też usunął stąd wszystkie zbędne sprzęty. Tylko przy słupie na środku pomieszczenia, na którym wspierał się strop, stał szpadel z zaschniętymi śladami ziemi na ostrzu. Zamiast podłogi była nieudeptana ziemia, sprawiająca wrażenie świeżo przekopanej. Kiedy Marcin lepiej się przyjrzał, zobaczył ślady stóp. Ktoś chodził dookoła centralnego słupa.

– Wiesz, z czym mi się to kojarzy?

– Wiem – odparł Marcin.

Poczuł zniechęcenie. Fala mdłości nadciągnęła gdzieś ze środka i z trudem przełknął ślinę. Może łatwiej by było, gdyby widział zwłoki. Teraz skrzywiona pracą wyobraźnia podsunęła mu szereg makabrycznych obrazów.

– Kiedy będziesz kopał? – mruknął.

– Poczekam, aż Marta skończy z tą krwią w łazience. Najpierw zrobimy odlew butów. Powinny wyjść idealnie.

– Parkitny mówi, że lada moment sprawę przejmie centrala.

– No to może nic nie będę robił? Jak przywiezą swoich techników, będę miał wolne.

Marcin spojrzał na niego znacząco.

– Zgaduję, że jesteś zainteresowany, co jest ukryte przed światem pod warstwą ziemi – domyślił się Rajcza. – Nie bój się. Nie mają swoich techników. To my będziemy kopać. Powiem ci, co znaleźliśmy.

Marcin wyszedł na ulicę, przez nikogo niezatrzymywany doszedł do swojej hondy, włożył kask, odpalił i odjechał. Kiedy wyjeżdżał na główną ulicę, minął się z trzema cywilnymi autami z piskiem opon skręcającymi w senną uliczkę na spokojnym osiedlu.

*

Robert Rajcza zadzwonił kilka godzin później. Zakrzewski siedział już wtedy na fotelu pasażera starego służbowego fiata brava, zaparkowanego na skraju osiedla Malowniczego.

– Słucham cię – rzucił krótko.

Rajcza też nie był rozmowny. Marcin po raz pierwszy słyszał w jego głosie tyle zniechęcenia i zmęczenia.

– W domku gospodarczym znaleźliśmy pięć trupów. Na razie rozpoznaliśmy tylko tego Ukraińca, Mykołę, i młodego dilera, który z nim trzymał. Zginęli od strzału w głowę z bliskiej odległości. Obaj leżeli w tym samym dole. Reszta ofiar na razie nieznana. Przyczyna śmierci ta sama, tylko niektórzy są bardziej nafaszerowani ołowiem. Leżeli tam dłużej, ale nie więcej niż kilka miesięcy, dwa do trzech.

– Kto się tym zajął?

– Warszawa przysłała całą ekipę. Naszych od razu wyrzucili za bramę. Parkitny się trochę awanturował, chyba dla zasady. To musi być coś bardzo poważnego, bo ci z CBŚ na kolanach, ze szkłem powiększającym w ręku przeczesują jeszcze raz willę i ogród. A warczą przy tym jak wściekłe dobermany.

– Dzięki, Robert, za informację.

– Mam nadzieję, że trochę ci pomogłem.

Marcin milczał ułamek sekundy.

– W czym? – zapytał.

– Ja tam nic nie chcę wiedzieć. – Rajcza zaraz się wycofał. – Ale jakbyś chciał jeszcze ze mną pogadać, zadzwoń. Najlepiej wieczorem.

– Może zadzwonię.

Karina patrzyła na niego z fotela kierowcy. Domyślała się, w jakiej sprawie Marcin zniknął na pół dnia w trakcie bardzo ważnego śledztwa. Zakrzewski schował telefon do kieszeni i zerknął na nią.

– Powinam coś wiedzieć? – Chrząknęła.

– A chcesz?

– Nie – stwierdziła po namyśle.

– No to nie mam nic do powiedzenia.

*

Zbigniew Rudzki mieszkał w Radwanicach, miejscowości graniczącej z Wrocławiem. Dom wyglądał na zaniedbany. Trawy w ogródku dawno nikt nie kosił, gałęzie rosnących przy furtce krzewów zwieszały się nad ścieżką. Marcin musiał się schylić, żeby pod nimi przejść.

Właściciel był po siedemdziesiątce. Poruszał się na wózku inwalidzkim, co tłumaczyło stan ogródka przed domem. Marcin przedstawił się niewyraźnie, migając mężczyźnie przed oczami legitymacją służbową. Był pewien, że zaskoczony Rudzki nie zapamięta jego nazwiska. Swoją hondę zostawił za rogiem na Mickiewicza. Zbyttno rzucała się w oczy.

Rudzki już wiedział o akcji w wynajmowanym domu, więc spodziewał się tych odwiedzin. Zaprosił Zakrzewskiego do salonu. Był zdenerwowany. Ręce mu drżały, kiedy poruszał kołami wózka.

– Ja tylko na moment – powiedział szybko Marcin.

– Co tam się stało, na miłość boską?! – wykrzyknął Rudzki drżącym głosem.

– Proszę się nie denerwować. Pana dom stoi cały i nienaruszony. Po prostu wynajął go pan osobie poszukiwanej przez policję.

Gospodarz chwilę trawił te słowa, zanim się odezwał:

– Miałem złe przeczucia. Mówiłem córce, ale mnie nie słuchała.

– Dlaczego miał pan złe przeczucia?

Rudzki opowiedział, jak doszło do transakcji wynajęcia. Marcin nie przerywał. Z doświadczenia wiedział, że próby skracania opowieści przyniosłyby odwrotny skutek. Dowiedział się więc, że Rudzki kupił córce dom we Wrocławiu, ale po kilku latach córka rozwiodła się z mężem i ciężko jej było ten dom utrzymać. Dwa lata stał więc pusty, zanim zdecydowali się go wynająć, ale jakoś nie trafiał się nikt chętny. Wreszcie odezwał się pewien mężczyzna. Właśnie wrócił z zagranicy i chciał coś wynająć na szybko. Zbigniew Rudzki z zasady był nieufny, a ten gość wydał mu się szczególnie podejrzany. Zapłacił gotówką za pół roku z góry. Tłumaczył się tym, że nie ma jeszcze konta w polskim banku. Poza tym wyglądał dziwnie. Kamienna twarz bez żadnych emocji, wysoki, wysportowany, w czapce z daszkiem i czarnych rękawiczkach, których nie zdjął nawet podczas podpisywania umowy i liczenia pieniędzy. Rudzki więcej go nie widział.

– Może kontaktował się z córką – zakończył. – Ja jestem stary i schorowany, ze mną niczego nie można załatwić.

– Rozumiem.

– Potem, będzie ze dwa tygodnie temu, napisał SMS-a, że znowu wyjeżdża za granicę i klucze zostawia w skrzynce na listy. Powiem panu, że nawet się ucieszyłem.

– Był pan w tamtym domu po jego wyjeździe?

– Panie, ja się stąd nie ruszam. Czekam, aż córka wróci z Niemiec. Wtedy ona pojedzie. To znaczy tak myślałem, a tu nagle dzisiaj rano zadzwoniła do mnie policja.

– Mogę zobaczyć umowę wynajmu? – zapytał Zakrzewski.

– Oczywiście.

Umowa i ksero dowodu osobistego były w papierowej, wiązanej teczce. Ze zdjęcia patrzyła na niego obca twarz, której nie kojarzył. Stanisław Pachecki, lat czterdzieści pięć, twarz o prostych rysach, krótko ścięte włosy. Dowód osobisty był pewnie podrobiony.

– Może mi pan coś jeszcze o nim powiedzieć? – zapytał Marcin.

– Nie wiem... Najbardziej pamiętam te jego ręce. Wie pan, ja jestem lekarzem. On nie zdejmował rękawiczek, ale był w koszuli, i w rozcięciu na nadgarstku dostrzegłem te blizny. Ktoś inny mógłby nie wiedzieć, co to jest, ale ja wiedziałem. Blizny.

– Po oparzeniach?

– Nie. – Gospodarz pokręcił głową. – Po ranach zszytych amatorskim sposobem. To musiały być paskudne rany.

Rozdział 46

Autobus linii 144 wolno, ale skutecznie przebijał się przez codzienne korki. Anka Wiśniewska jechała ze wzrokiem wbitym w okno, lecz nic nie widziała. Łzy rozmazywały jej obraz przed oczami. Kobieta siedząca obok zapytała z troską, czy wszystko w porządku. Anka odpowiedziała, że tak. Ale, do diabła, nic nie było w porządku! Do nieszczęść, jakie spadły na nią w ostatnich miesiącach, doszło jeszcze jedno. Najgorsze. Mama dostała udaru. W piątek nagle zaczęła się dziwnie zachowywać. Na szczęście Anka szybko się zorientowała i wezwała pogotowie. Matka trafiła do szpitala w odpowiednim czasie, tak przynajmniej powiedział lekarz.

Udar nie był rozległy, mama wracała do zdrowia, ale Anka nie miała siły iść do szkoły. Zresztą nie wiedziała, kiedy będzie mogła. Było jej wszystko jedno. Musiała się zająć mamą po jej powrocie do domu. Zrobiła w myślach przegląd rodziny i jakoś nie znalazła nikogo, kto mógłby im pomóc. Bliscy z obu stron w ostatnich latach się od nich odsunęli. Depresja matki najwidoczniej ich odstraszyła. Nawet telefony ze świątecznymi życzeniami zdarzały się coraz rzadziej.

Na placu Jana Pawła II przesiadła się do tramwaju. Stała z tyłu drugiego wagonu i patrzyła, jak centrum miasta zostaje za rozpędzającym się pojazdem.

Wtedy poczuła, że telefon zawibrował jej w kieszeni. Najpierw nie chciała odbierać, w końcu pomyślała, że to może wiadomość ze szpitala, i wyciągnęła aparat. Dostała maila. Odruchowo weszła do skrzynki pocztowej i przeczytała:

Porzuć nadzieję, to taka gra – wygrywasz ty, przegrałem ja.

*

Karina Buczko jadła właśnie kanapkę w McDonalddie w Rynku, popijając ją drugą kawą, kiedy przez szum ludzkich głosów przebił się sygnał jej komórki. Gorączkowo zaczęła przetrząsać kieszenie kurtki w poszukiwaniu aparatu. Odebrała w ostatniej chwili. Telefon z nieznanego numeru.

– Karina Buczko, słucham? – rzuciła, przełykając resztkę bułki.

Poznała głos w słuchawce, zanim padło nazwisko. Słuchała chwilę, czując, jak serce jej gwałtownie przyspiesza, a gęsia skórka wpełza wolno na ramiona.

– Gdzie teraz jesteś?

– W tramwaju, dziesiątce, na Legnickiej przy Magnolii.

– Ile osób jest w tramwaju?

– Prawie pełen.

– Dobrze. W takim razie posłuchaj mnie uważnie...

Mówiła chwilę, ale zanim skończyła, w słuchawce rozległo się piknięcie, a następnie miły kobiecy głos poinformował, że abonent ma wyłączony telefon lub znajduje się w miejscu, gdzie nie ma sieci. Zaklęła i wyszła z restauracji, zostawiając niezjedzonego Big Maca i niedopitą kawę. Samochód zostawiła na Purkyniego, to było dobrych kilkaset metrów piechotą. Pobiegła. Po drodze zadzwoniła do dyżurnego i poprosiła o wóz patrolowy na Kuźniki przed dom, w którym mieszkała Anka. Przez chwilę chciała zatelefonować do Zakrzewskiego, ale zrezygnowała i pobiegła dalej.

*

Anka ze złością schowała aparat do kieszeni kurtki. Niech to szlag! Przez zamieszanie z matką nie ładowała telefonu i w końcu bateria

padła.

Odwróciła się przodem do wagonu i przypomniała sobie słowa policjantki. Ani na moment nie może zostać sama z dala od innych ludzi. W tłumie powinna być bezpieczna. Ma się trzymać blisko kobiet, musi unikać samotnych mężczyzn w średnim wieku. Przyjrzała się uważnie pasażerom. Szybko wyłowiła wzrokiem podejrzanych.

Dobrze zbudowany facet po czterdziestce w skórzanej kurtce i czapce z daszkiem w przejściu, przy środkowych drzwiach. Jedną ręką trzymał się uchwyty, był zwrócony do niej bokiem. Wydawało jej się tylko, czy odwrócił wzrok, kiedy na niego spojrzała? Ewidentnie przyglądał jej się facet stojący dużo bliżej. Zaledwie trzy kroki od niej. Miał nieruchome spojrzenie, twarz bez wyrazu, siwe włosy. Ubrany był w granatową wiatrówkę. Nie odwrócił wzroku, gdy na niego popatrzyła. W jednej chwili oblała się zimnym potem, a serce jeszcze szybciej zaczęło pompować krew. Czy to był właśnie ten człowiek? Ich niewidzialny prześladowca? Zaraz dostrzegła jeszcze dwóch, którzy też sprawiali wrażenie dziwnych.

Opanowała się z trudem. Czy tak właśnie wygląda paranoja? Maila dostała kilka minut temu. On nie może być aż tak blisko. Omal nie przegapiła przystanku na Pilczycach. Wyskoczyła w ostatniej chwili, gdy zabrzmiał już sygnał zamykanych drzwi. Kątem oka zobaczyła, że mężczyzna w czapce z daszkiem też wyskakuje środkowymi drzwiami. Strach na moment ją sparaliżował. Co mówiła policjantka? Ma się trzymać jak najbliżej ludzi. Na szczęście kilka osób ruszyło chodnikiem wzdłuż Metalowców. Poszła za nimi. Co chwilę się oglądała. Szła ostatnia, podejrzany w czapce zniknął.

Zanim doszła do przejazdu kolejowego przy dworcu kolejowym Wrocław Kuźniki, opanowała nerwy. Cały czas powtarzała sobie, że musi być twarda. Wyplącze się z tych kłopotów, pomoże matce wyzdrowieć i dojść do pełnej sprawności. Odwdzięczy się za te lata, kiedy to matka się nią opiekowała.

Rozmowa z Kariną urwała się akurat w momencie, gdy policjantka zaczęła mówić o jakimś patrolu. Rozejrzała się, ale nie zauważyła żadnego policyjnego auta. Blisko domu strach minął. Przypomniała sobie nawet, że nie ma nic do jedzenia. Zaszła do sklepu, kupiła chleb, masło, kilka plastrów żółtego sera, kawałek kielbasy i dużą butelkę coca-coli. Zapłaciła i szybko ruszyła do wyjścia. W drzwiach z kimś się zderzyła.

– Cześć! Nie powinnaś być w szkole?

Spojrzała w górę przestraszona i zaraz odetchnęła z ulgą.

– To pan! Mama jest w szpitalu.

Mężczyzna wziął ją pod ramię i odprowadził na bok. Usiedli na ławce na skraju małej łączki usytuowanej między blokami.

– Opowiadaj, co się stało.

Opowiedziała mu o matce i o niespodziewanych kłopotach, jakie na nią spadły. Po jego minie widziała, że się przejął. Wstał z ławki i pociągnął ją za sobą.

– Nie możesz wrócić teraz sama do mieszkania – powiedział.

– Dokąd mnie pan prowadzi? – zapytała zdziwiona.

– W bezpieczne miejsce.

Obejrzała się jeszcze za siebie, ale nie opierała się i poszła za nim.

*

Był już na schodach, gdy usłyszał swoje imię. Odwrócił się.

– Dyżurny cię szuka – oznajmił znany mu z widzenia policjant z patrolu i poszedł dalej.

Najwyraźniej bardzo mu się spieszyło, ponieważ nie zatrzymał się ani na moment i nie powiedział ani słowa więcej. Młodszy aspirant Adam Wiliczkowski niechętnie zawrócił. Ruszył korytarzem do biura oficera dyżurnego. Ten rozmawiał akurat przez telefon, więc Adam musiał poczekać. Z trudem panował nad irytacją. Śledztwo było w proszku, cała ich grupa latała bez ładu i składu po mieście,

sprawdzając każdy, nawet najbardziej idiotyczny pomysł, który akurat przychodził im do głowy. Ciągłe bez rezultatu. Zakrzewski kilka razy podkreślił, że muszą być cierpliwi. Tylko jak być cierpliwym ze świadomością, że być może ktoś gwałci i morduje kolejną niewinną dziewczynę? Narastała w nim wściekłość. Wiedział, że w końcu eksploduje. Miał tylko nadzieję, że tym razem uda mu się zachować kontrolę nad emocjami do końca pracy. Na wieczór umówił się już do klubu. Kilkanaście minut okładania pięściami worka treningowego powinno zadziałać jak zawór bezpieczeństwa. Może uda się obniżyć napięcie i odwlec moment, w którym nie wytrzyma i znowu narobi sobie kłopotów.

Dyżurny odłożył wreszcie telefon i spojrzał na niego.

– Słyszałem, że szukacie z Zakrzewskim ogromnego faceta z wielkimi łapami – zaczął.

W jednej chwili irytacja i złość zmieniły się w podniecenie. Starał się jednak zachować kamienną twarz.

– Szukamy – potwierdził krótko.

– Dostaliśmy zgłoszenie z osiedla Malowniczego w Leśnicy, z ulicy Czaplńskiego. – Podał Wiliczkowskiemu złożoną we czworo kartkę z notesu. – Tu masz namiary na zgłaszającego.

Adam wziął kartkę i wyszedł bez słowa, zamykając za sobą drzwi. Dyżurny popatrzył za nim zniesmaczony.

– Wypadaloby powiedzieć „dziękuję”.

*

Karina Buczko zaparkowała na środku osiedla Kuźniki, pod wielkim krzyżem z figurą Jezusa Chrystusa. Wyskoczyła z samochodu i pobiegła w kierunku bloku, w którym mieszkały Anka Wiśniewska z matką. Po stu metrach skręciła w prawo. Dostrzegła policyjny radiowóz i jednego z mundurowych opartego o maskę i palącego papierosa. Ruszyła w ich kierunku.

Po drodze zerknęła na zegarek. Cholerne korki! Jechała tutaj równe pięćdziesiąt cztery minuty.

Na jej widok policjant rzucił niedopałek i postąpił krok do przodu. Znała go z niedawnych czasów, kiedy jeździła w patrolu, lecz pamiętała tylko imię. Rafał.

– Cześć! – powiedziała. – Dziewczyna wróciła do domu?

Rafał spojrzał na kolegę, który akurat wysiadał z samochodu po stronie kierowcy, jakby u niego szukał pomocy.

– Jesteśmy tu ponad godzinę – stwierdził. – Żadna nastolatka nie wchodziła w tym czasie do bramy.

– Jesteś pewien?

– Oka z drzwi nie spuszczaaliśmy – dorzucił drugi.

– A rozglądaliście się wokoło?

– Karina, nie przyszła żadna nastolatka – powtórzył dobitniej Rafał.

Znowu złapała się na tym, że próbuje wyładować na kimsz złość. Opanowała się i rzuciła pojednawczo:

– W porządku. Ale postójcie tu jeszcze przez kilka minut.

– Nie ma sprawy.

Na domofonie przy wejściu przycisnęła od razu kilka guzików.

– Ulotki! – rzuciła, kiedy odezwało się kilka osób naraz.

Zawsze znajduje się ktoś, kto w takich sytuacjach otwiera drzwi i wpuszcza nieznanego. Tym razem też zadziałało. Wbiegła po schodach na trzecie piętro i nacisnęła dzwonek do drzwi mieszkania numer 9. Słyszała delikatny sygnał po drugiej stronie, ale nikt nie otworzył. Nacisnęła jeszcze raz i jeszcze. Odczekała dłuższą chwilę, lecz po drugiej stronie panowała niczym niezmacona cisza. Przyłożyła ucho do drzwi. Najwidoczniej nikogo nie było w domu.

Na swoim telefonie sprawdziła, o której ze sobą rozmawiały. Od tego czasu upłynęła godzina i czternaście minut. Anka powinna już dawno wrócić do domu. Poczwała narastający niepokój.

Zadzwoiła do sąsiadów, ale tego dnia nikt dziewczyny nie widział.

Zbiegła na dół i spróbowała jeszcze raz do niej zatelefonować. Anka wciąż była poza zasięgiem sieci. Co robić? Zajrzała do pobliskich sklepów, po czym wróciła do radiowozu.

Rafał pokręcił tylko głową.

– Ciągłe jej nie ma.

– Podrzucicie mnie dwie ulice dalej.

Jacek Felman mieszkał na początku Hermanowskiej, w jednym z pierwszych postawionych tu bloków z wielkiej płyty. Kiedyś był stary i odrapany, teraz go ocieplono i wyglądał jak nowy. Nawet się zawahała, czy to na pewno tutaj. Radiowóz odjechał kontynuować patrol, a Karina zadzwoniła domofonem.

– Cześć, Jacek. Szukam Anki Wiśniewskiej, gdzieś zniknęła. Pomożesz mi?

– Wejdź.

Zastanowiła się chwilę, wreszcie weszła. Felman już stał w drzwiach i wpuścił ją do mieszkania. Starannie zamknął za nimi drzwi na dwa zamki. Zdziwiło ją, dlaczego klucz wrzucił sobie do kieszeni.

– Anka do mnie dzwoniła, a teraz nie mogę jej znaleźć – powiedziała.

W tej chwili dopiero zobaczyła, że Felman dziwnie jej się przypatruje. Był blady, a oczy mu nienaturalnie błyszcząły.

– Źle się czujesz? – zapytała.

Milczał. Zaniepokoiła się nie na żarty.

– Co się stało?!

Rozdział 47

Bożena Wysocka piła, odkąd rozkopała rabatkę z kwiatami.

Córki zajęte swoimi sprawami spędzały weekend poza domem, więc o niczym nie wiedziały. Dariusz próbował z nią porozmawiać, wypytywał nawet, co robiła w ogrodzie, więc udała głupią. Nie musiała się szczególnie wysilać, Wysocki nie miał najlepszego zdania o jej intelekcie. Na wszelki wypadek zrobiła mu dziką awanturę o nic, obraził się, przestał się odzywać i nie zwracał uwagi na to, co robi żona. A na tym zależało jej najbardziej.

Tego dnia już od rana piła koniak. Najpierw czysty, ale szybko zrobiło jej się niedobrze, dlatego rozcieńczyła go coca-colą. Bardzo drogi koniak. Gdyby jej mąż zobaczył, że marnuje w ten sposób taki trunek, nie byłby zachwycony. Ta myśl niespodziewanie ją ubawiła. Gównu ją obchodzi, co Dariusz by pomyślał i zrobił.

Nalewała sobie akurat trzeciego drinka, gdy rozległ się sygnał wideodomofonu. Poszła do panelu, ale od jakiegoś czasu coś było nie tak z kamerą – obraz był rozmyty i nieczytelny. Uchyliła więc drzwi i wyjrzała. Przed bramą stał przystojny mężczyzna po czterdziestce. Był elegancko ubrany i uśmiechał się do niej od ucha do ucha. Na pierwszy rzut oka wzbudzał zaufanie i sympatię. Jego hiszpańska bródka trochę Bożenę ubawiła. Pieprzony d'Artagnan – pomyślała i z trudem stłumiła wybuch śmiechu.

- Słucham pana?! – krzyknęła.
- Czy pani Wysocka?
- Tak, o co chodzi?
- Jestem znajomym pani męża, mam coś dla pani.

Bożena się zawahała. W końcu nie bacząc na to, że jest tylko w szlafroku, nieuczesana i nieumalowana, podeszła do bramy, szurając kapciami. Kogo teraz obchodził jej wygląd? Na pewno nie ją. Dzielnie zniosła krytyczne spojrzenie, jakim obrzucił ją nieznajomy.

– Słucham? – odezwała się niezbyt miło.

Uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Nawet się rozszerzył.

– Chciałbym coś pani pokazać – powiedział i podał jej przez kraty szarą kopertę A4.

Wzięła ją z wahaniem. Popatrzyła na niego pytająco, lecz nadal tylko się uśmiechał. Sięgnęła do środka i wyjęła zdjęcie. W pierwszej chwili myślała, że to scena z jakiegoś filmu pornograficznego dla miłośników BDSM. Trzy kobiety ubrane tylko w czapki i górne części mundurów SS biczowały skrępowanego mężczyznę siedzącego w fotelu. Był zakneblowany, ale i tak od razu rozpoznała swojego męża. Zakręciło jej się w głowie. Jeszcze to! Cholerny, zakłamany skurwysyn! Zaschło jej w gardle, pomyślała o drinku stojącym na kuchennym stole.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Dzisiaj wieczorem wyjeżdżam na stałe z tego chorego kraju. To proste, potrzebuję pieniędzy.

– A jeśli ich nie dostaniesz?

– No cóż, tych fotografii jest dużo więcej. Pewnie ucieszy się z nich jakiś brukowiec nastawiony na sensację, trafią też na biurko szefa twojego męża.

– Nie obchodzi mnie to.

Mężczyzna uniósł wysoko brwi w udawanym zdziwieniu.

– Naprawdę? Prokurator Wysocki w ogóle cię nie interesuje? To dlaczego jeszcze z nim jesteś? Może dla wygody i pieniędzy? Uwierz mi, po takiej kompromitacji jego kariera będzie skończona. Urwą się przywileje.

Patrzył na nią uważnie.

– Pomyśl sobie, jak tę aferę przeżyją wasze córki.

Bożena drgnęła. Trafił w jej najczulszy punkt i zauważył to od razu.

– To będzie prawdziwa tragedia – powiedział sarkastycznie. – Ich idealny ojciec okaże się zwykłym zbrodźcą zdradzającym żonę z dziewczynkami.

– Dostaniesz pieniądze – obiecała.

– Nie wpuścisz mnie do środka? Lepiej nam się będzie rozmawiać.

Zawahała się, ale nacisnęła klamkę w furtce i go wpuściła. Poszedł za nią do kuchni, usiadł na kuchennym krześle pod oknem. Bożena sięgnęła po drinka i dopiła go jednym haustem.

– Jaką mam gwarancję? – zapytała.

– Żadnej – odpowiedział rozbrajająco szczerze. – Ale pocieszę cię. Mam już dość Polski, nie zamierzam tu wracać.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął kilka kolejnych fotografii.

– Oddam ci wszystkie, co do jednej. Zrobisz z nimi, co będziesz chciała. Dostanę kasę i nie będę ich już potrzebował.

Patrzyła to na niego, to na zdjęcia.

– Nie mam w domu dużo – powiedziała niepewnie.

Odkąd weszli do środka, twarz mężczyzny się zmieniła. Nie był już roześmianym przystojniakiem o hiszpańskiej urodzie. Na jego twarz wypełzał jakiś diabelski grymas.

– Radzę ci dobrze poszukać. – W jego głosie pojawiła się dziwna nuta.

Bożena Wysocka zaczęła się bać.

*

Aspirant Gotard „Parol” Szawczak sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał się rozplątać. W bladym świetle sali intensywnej opieki medycznej jego skóra była biała jak papier i prawie przezroczysta. Potężna aparatura medyczna stojąca obok łóżka wydawała jednostajne odgłosy.

Marcin Zakrzewski zastanawiał się, ile to już dni. Liczył, lecz za każdym razem wychodził mu inny wynik. Jedno i tak było niezmiennie. Ten stan trwał już bardzo długo. Gdyby pielęgniarka go nie pokierowała, pewnie by Szawczaka nie poznał. Jego twarz jakby się zapadła, wychudła, rysy się wydłużyły, po czerwonych plamach pojawiających się na policzkach w chwilach podekscytowania nie został nawet ślad. Marcin czuł ogromne wyrzuty sumienia. Gdyby wtedy pojechał inną drogą albo się bardziej pospieszył, albo sam zadzwonił wcześniej... Albo... Na wszystkie „albo” było już za późno. Minęło tyle dni, a on był tutaj po raz pierwszy.

Usłyszał kroki za plecami i się odwrócił. Stała przed nim kobieta uderzająco podobna do Parola. Nawet czerwone plamy na policzkach miały ten sam kształt. Nie była ani ładna, ani brzydka.

– Pan jest jego kolegą z pracy? – zapytała cicho i nie czekając na odpowiedź, kontynuowała: – Mam na imię Gabriela, jestem jego siostrą bliźniaczką, starszą o całe sześć minut.

Marcin zacisnął mocno szczęki. On też miał kiedyś brata bliźniaka. Byli identyczni.

– Marcin Zakrzewski – przedstawił się.

– Wspominał o panu, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

Stwierdzenie zawisło niezręcznie w powietrzu. Siostra Szawczaka nie sprecyzowała, co Parol mówił, a Marcin nie podjął tematu.

– Jest pan pierwszą osobą, która go odwiedziła – zauważyła. – Ja od wielu lat mieszkam w Hamburgu. Myślałam, że Goti ma jakichś znajomych, przyjaciół, tymczasem...

Nie dokończyła.

– Goti? – zapytał odruchowo i zaraz pożałował, że tak głupio się odezwał.

– Tak go nazywałam w dzieciństwie. – Uśmiechnęła się. – Matka zaszła w ciążę w wieku szesnastu lat, była naćpana i nawet nie wiedziała, z kim. Potem też nie mieliśmy dzieciństwa, ona wiecznie była na haju. Nie pomagały kolejne odwyki. To był ciągły koszmar. Wreszcie kiedy mieliśmy po siedemnaście lat, uciekliśmy z domu. Ja

wylądowałam w Niemczech, a Gotard postanowił zostać policjantem. I został. Podziwiałam go za to.

– Jest dobrym gliną. – Marcin musiał uważać, żeby nie powiedzieć „był”, ale siostra Parola nie miała z tym problemu. Jakby już się pogodziła.

– On w ogóle był dobrym człowiekiem. Kiedy znalazł sobie stałe dochody, zaopiekował się matką. Po tych wszystkich latach koszmaru z dzieciństwa wziął ją do siebie i jeszcze kupował jej narkotyki. Wielokrotnie obiecywał mi, że w końcu umieści ją w jakimś ośrodku, ale nigdy tego nie zrobił. Jakby był współuzależniony.

Marcin wiedział, że często między ofiarą a prześladowcą albo między rodzicami nadużywającymi przemocy a bitymi dziećmi tworzy się chora więź, którą trudno przerwać.

– Rozmawiała pani z lekarzem? – zmienił temat.

– Jest źle – rzuciła. – Ciągłe nie wiadomo, jak poważne są obrażenia głowy. Jest w śpiączce farmakologicznej. Lekarze próbowali go wybudzić, bezskutecznie. Mówią, że jutro albo pojutrze spróbują znowu. Jeśli się nie uda, to...

Nie dokończyła. Oboje doskonale wiedzieli, co oznacza niedopowiedzenie. Milczeli.

– Cieszę się, że pan przyszedł – odezwała się, zerkając na niego z ukosa.

– Mam na imię Marcin.

– Gabriela.

Nie uścisnęli sobie dłoni. Po prostu stali, patrzyli na cień człowieka leżący na łóżku i wsłuchiwali się w monotonne odgłosy aparatury medycznej.

– Przyjdiesz jeszcze?

– Tak.

Wyszli razem na korytarz.

W tym momencie telefon zawibrował mu w kieszeni i zagrali Led Zeppelin. Odszedł kilka kroków w kierunku windy i dopiero wtedy odebrał.

– Mówi Wilczkowski. Jestem na osiedlu Malowniczym w Leśnicy. Marcin czekał w milczeniu na dalszą część.

– Dyżurny dostał zgłoszenie od zaniepokojonej matki. Kobieta twierdzi, że jej córce może zagrażać niebezpieczeństwo. Wydaje jej się, że czasem od strony lasu do ich płotu zakrada się wielki mężczyzna i bawi się z jej córką.

– Co to znaczy „wielki mężczyzna”?

– Kobieta widziała tylko wielką postać za krzakami. – W głosie Adama usłyszał zniecierpliwienie. – Ze dwa metry wzrostu i podobno bardzo silny.

– Skąd to wie?

Marcin poszedł w kierunku windy i wcisnął przycisk przywołujący kabinę. Nad drzwiami zaświeciła się zielona strzałka skierowana w dół.

– Długo by opowiadać. Szefie, ta kobieta nie kłamie. Jest mocno przestraszona. Mieszka sama na skraju osiedla, po drugiej stronie płotu ma las, mąż wyjechał do Londynu zarobić na spłatę kredytu. Odwiedziłem jej sąsiadów. Oni też widzieli potężnie zbudowanego faceta kręcącego się po polnej drodze zaraz za ogrodzeniami domów. Do tej pory sprawdziliśmy kilkadziesiąt mężczyzn o wzroście ponad dwa metry i nic. Uznałem, że warto pójść tym tropem.

Wilczkowski nie mógł widzieć, że Marcin pokiwał głową. Trzeci plus w punktacji na dobrego gliniarza? Trzeci czy czwarty?

– Dobrze. Wracaj do firmy. Musimy się naradzić.

Zakończyli rozmowę. Marcin wszedł do windy, która ruszyła w dół. Dopiero kiedy wychodził ze szpitala, zdał sobie sprawę, że nie pożegnał się z siostrą Parola.

*

Przeliczył pieniądze na kuchennym stole. Przez ostatni kwadrans Bożena Wysocka przetrząsnęła wszystkie domowe skrytki.

Mężczyzna z hiszpańską bródką wszędzie za nią chodził, nic nie mówiąc. Jego zachowanie coraz bardziej ją niepokoiło. Właściwie była mocno przestraszona. Być może już dawno wpadłaby w panikę, gdyby alkohol nie przytępił jej zmysłów.

Wiedziała, że mąż ma euro i dolary ukryte w gabinecie. Nie był zbyt pomysłowy, jeśli chodzi o skrytki, więc szybko znalazła dwa tysiące zielonych w biurku i prawie pięć tysięcy euro między książkami w bibliotece. Resztę musiała dołożyć z pieniędzy, które zbierała w tajemnicy przed mężem, na wypadek gdyby ją zostawił. Musiała mieć pieniądze na rozpoczęcie nowego etapu w życiu, a potem na dobrych prawników w sprawie o podział majątku. Oczywiście pewnie ojciec by jej pomógł i nie pożądał pieniędzy. Być może nawet sprawę prowadziliby jego prawnicy, ale ona wstydziłaby się poprosić o pomoc. Sama była zdziwiona, kiedy okazało się, że zebrała ponad sześćdziesiąt tysięcy złotych.

Spojrzał na nią znad pieniędzy i wykrzywił wargi.

– Trochę mało – ocenił. – Ale rozumiem, że zaskoczyłem cię niespodziewaną wizytą. Przyda się na start nowego życia w ciepłych krajach.

– A zdjęcia?

Zważył kopertę w dłoni, jakby się jeszcze zastanawiał. W końcu położył ją obok kupki banknotów i pchnął po blacie. Wzięła kopertę i zajrzała do środka. Nic nie czuła, przeglądając fotografie. Nie wiedziała, że Dariusz lubił takie zabawy. Pierwsze zdjęcie, które pokazał jej szantażysta, było jednym z łagodniejszych, następne były dużo gorsze. Wyuzdany seks ze wszystkimi szczegółami anatomicznymi, jak na filmie pornograficznym. Zrobiło jej się niedobrze. Nie znała swojego męża. Do zdrad, podejrzanych interesów z dziwnymi facetami, dużych ambicji politycznych i worka zakopanego w ogródku doszło to. Czego jeszcze się o nim dowie?

– Jaką mam gwarancję? – zapytała.

– Żadnej – powtórzył.

Nie wiedziała, co robić. Po raz pierwszy znalazła się w takiej sytuacji. Obiecała sobie, że ostatni.

Mężczyzna wstał i skierował się do wyjścia.

– Sam trafię – mruknął, widząc, że Bożena rusza za nim.

Została w kuchni. Czuła narastające wewnętrzne drżenie. Nie ubrała się po porannym prysznicu i przez pół dnia chodziła w samym szlafroku, pijąc drinki. Teraz poczuła przenikliwe zimno. Nie poszła się od razu ubrać. Usiadła przy stole i zaczęła przeglądać zdjęcia. Mdłości narastały. Co ona teraz ma robić? Córki! Musi ochronić córki. Nie mogą się o niczym dowiedzieć, dopóki się nie usamodzielnią. Drżącymi palcami zebrała fotografie i włożyła je z powrotem do koperty. Wstała, poszła nalać sobie kolejnego drinka i znieruchomiła.

Drzwi wejściowe!

Nie słyszała, jak zamykają się za mężczyzną z hiszpańską bródką. Strach chwycił ją za gardło. Spróbowała nad sobą zapanować. Na pewno wyszedł. Pogrążona w ponurych myślach po prostu nie zarejestrowała dźwięku zamykanych drzwi.

Ostrożnie zerknęła na korytarz, spojrzała w kierunku wejścia i odetchnęła z ulgą. Drzwi nie były zamknięte. Zanim zasunęła zasuwę, wyjrzała jeszcze na wszelki wypadek przed dom. Pusto. Bramka zamknięta. Na szczęście sobie poszedł.

Odwróciła się i aż krzyknęła przestraszona. Stał dwa kroki przed nią. Miał ten niepokojący, nieodgadniony wyraz twarzy.

– Niestety, cena poszła w górę – powiedział cicho.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, dostała w twarz otwartą dłoń. Zakręciło jej się w głowie i upadła. Policzek palił żywym ogniem, oczy natychmiast zaszyły łzami. Nie zdążyła się bardziej przerazić.

Mężczyzna schylił się, chwycił ją za włosy i dźwignął do góry. Rozpaczliwie próbowała oderwać jego dłoń od swoich włosów, tymczasem on drugą ręką zdarł z niej szlafrok. Stała przed nim

naga. Szarpnął ją i pociągnął za sobą. Szła posłusznie, oszołomiona bólem.

– Błagam cię... puść – wychrypiała. – Nie rób mi krzywdy. Zapłacę więcej.

Zaśmiał się jej złośliwie do ucha.

– Postanowiłem zrobić z żony prokuratora Wysockiego dziwkę – wycedził. – To taki specjalny prezent dla niego.

Jeszcze raz próbowała się wyrwać. Prawie jej się udało, ale był silniejszy. Szybko unieruchomił jej dłonie w stalowym uścisku i znowu pociągnął za sobą. Upadła na kolana i nie mogła wstać. Płakała przerażona. Zaciągnął ją do salonu, gdzie znowu dostała w twarz. Przewróciła się na dywan. Przygniótł ją swoim ciałem i odwrócił na brzuch. Czuła, jak rozchyła jej nogi kolanami. Przyciśnięta do podłogi z trudem mogła oddychać.

– Nie szarp się, suko! Po wszystkim jeszcze mi podziękujesz, prokuratorska kurwo!

Wszedł w nią gwałtownie. Jęknęła i zaszlochała z rozpaczą. Potem był już tylko ból i coraz większe upokorzenie. W pewnej chwili przestała się nawet bronić. Gwałcił ją brutalnie, ona leżała nieruchomo z policzkiem przytulonym do miękkiego dywanu. Z oczu płynęły jej łzy. Przez drzwi balkonowe widziała swoją rabatkę z kwiatami. Krzak róży znajdował się już w tym miejscu, w którym go kiedyś posadziła. Wszystko wróciło na swoje miejsce. Było tak samo jak kiedyś.

Jego oddech na jej karku przyspieszył. Ruchy stały się bardziej szarpane i jeszcze mocniejsze. Wraz z nimi ból narastał.

Zadała sobie pytanie, do czego jest zdolna. Jakie są jej granice? W którym momencie popełni czyny, o jakie nigdy by się nie podejrzewała? Te ostateczne i nieodwracalne. Być może teraz z każdym upokarzającym pchnięciem gwałciciela przekracza właśnie taką granicę. Musiała tylko sprawdzić.

Wreszcie koszmar się skończył. Napastnik zsunął się z niej, ciężko dysząc.

– I co? Przyjemnie było, prawda?

Nie odpowiedziała. Zaczęła się czołgać w kierunku szafki pod parapetem okna. Twarz ją piekła, w ustach czuła posmak krwi płynącej z rozbitego nosa. Najgorszy był jednak ból w podbrzuszu i poczucie zbrukania. Czuła się brudna, brzydziła się samej siebie. Tak, na pewno przekroczyła swoją granicę.

Poczuła między pośladkami jego dłoń. Omal nie zwymiotowała.

– Masz szczęście, że wieczorem wyjeżdżam. Wpadałbym częściej.

W milczeniu przesuwiała się po dywanie. Jeszcze tylko dwa metry. Potem wystarczy sięgnąć ręką.

*

– Co się stało?! – powtórzyła Karina i dopiero wtedy Jacek Felman się ocknął. Jego spojrzenie zrobiło się bardziej przytomne.

– Ania jest u mnie – odpowiedział.

Karina wypuściła z ulgą powietrze z płuc.

– O rany, myślałam, że stało jej się coś złego. Nieźle mnie przestraszyliście.

– Spotkałem ją, kiedy wracała do domu – wyjaśnił. – Opowiedziała mi, co zaszło, i uznałem, że nie może być sama w domu. Zabrałem ją do siebie.

– Dlaczego sama?

Jacek zbliżył usta do jej ucha.

– Jej matka miała wylew i leży w szpitalu na Kamieńskiego – szepnął.

– Przykro mi...

Felman zaprowadził Karinę do pokoju. Fiolka siedziała na obrotowym fotelu przy niskiej ławie i piła kawę z filiżanki. Była blada i przestraszona. Na widok Kariny na jej wargach pojawił się nikły uśmiech.

– Cześć – powiedziała Karina, siadając na drugim takim samym fotelu. – W porządku?

– Na razie tak. – Anka pokiwała głową.

– Bardzo mnie przestraszyłaś. Nie rób tego więcej.

– Pan Jacek powiedział, że nie mogę wrócić sama do domu. Właśnie mieliśmy do ciebie dzwonić.

– W porządku. Najważniejsze, że jesteś cała.

Do pokoju wszedł gospodarz i postawił przed Kariną taką samą filiżankę z czarną kawą, a potem przysiadł na sofie w rogu pokoju.

– W zaistniałej sytuacji postanowiliśmy, że Ania nie wróci do domu – powiedział. – Rozmawiałem z żoną i ustaliliśmy, że na razie zamieszka u nas.

– Uważam, że to świetny pomysł. – Karina odstawiła filiżankę – A co ze szkołą?

– Teraz i tak nie chodzę do szkoły – mruknęła Anka. – Po powrocie do domu mama będzie potrzebowała mojej pomocy przez całą dobę. Nie wiem, jak to będzie...

Karina westchnęła, dopiła kawę i wstała.

– Muszę lecieć. Anka, pamiętaj, żeby mieć zawsze naładowany telefon. Masz do mnie dzwonić dwa razy dziennie.

– Dobrze.

– Jacek, wy też musicie być bardzo ostrożni.

– Jestem gliniarzem dobrych kilka lat dłużej niż ty – odpowiedział.

– Dobrze, dobrze.

Rozmowę kontynuowali w cztery oczy, na klatce schodowej przed drzwiami do mieszkania Felmanów. Ściszyli głosy, ponieważ echo niosło się po pustych korytarzach. Na twarzy starszego kolegi Kariny znowu pojawił się ten wyraz rozkojarzenia albo raczej podekscytowania.

– Wiesz, że cała miejska policja szukała tego pomyleńca, który mnie zaatakował.

Karina spojrzała na niego uważniej.

– No wiem. I nic z tego nie wyszło.

Felman pokiwał głową.

– Ale wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie mój stary przyjaciel, jeszcze ze szkoły policyjnej. Cichocki, opowiadałem ci o nim.

– Nazywają go Cichy. Ten wywiadowca, przypominam sobie.

– Wyobraź sobie, że o tego gościa rozpytuje redaktor Krzysztof Salitra.

– Ten od skorumpowanego prokuratora i od zaginionej dziewczyny na Brochowie? – upewniła się Karina.

Felman skinął głową i kontynuował:

– Dziennikarz poszukuje Obserwatora. Ma nawet jego portret. Cichy z nim rozmawiał. Oczywiście nie przyznał się, że jest policjantem. Dziennikarz wie chyba dużo więcej niż policja. Ma bardzo dobry portret pamięciowy tego Dziwoląga. Wspomniał jeszcze o przyjacielu Obserwatora, którego nazywają Śmierciór.

– Co z tym portretem?

– Cichy go ma.

Karina myślała chwilę. Nie wspomniała Jackowi, że postać Obserwatora pojawiła się nie tylko w jego sprawie, ale też w sprawie Anki Wiśniewskiej i jej przyjaciół.

– Cichy zachęcił Salitrę do poszukiwań.

– W jaki sposób?

Felman uśmiechnął się pod nosem.

– Próbował go zastraszyć. Wiesz, że to zazwyczaj działa na odwrót.

– Porozmawiam o tym z Zakrzewskim – stwierdziła. – Musimy szybko mieć ten portret.

– Przesłałem ci na maila. – Jacek uśmiechnął się zadowolony.

– Jesteś wielki. Muszę lecieć.

– Z tego, co powiedziała mi Anka, jej przyjaciele postanowili powiedzieć rodzicom o tym Klubie Samobójców. Możecie spodziewać się nalotu zdenerwowanych rodziców, żądających podjęcia zdecydowanych działań.

Karina pokiwała tylko głową. Nie powiedziała Jackowi, że bardzo na to liczy. Jeśli wpłyną zgłoszenia od kilku osób, ani prokuratura, ani policja nie będą mogły ich zlekceważyć.

*

Po powrocie do firmy Marcin spotkał się z Wiliczkowskim. Byli ze śledztwem tak głęboko w czarnej dupie, że trzeba było sprawdzić każdy, nawet najmniej prawdopodobny trop. Dlatego postanowił, że po południu razem z Kariną pojedzie poobserwować dom Grażyny Tomczyk. Na rano następnego dnia zwołał naradę.

Pogoda była ładna. Ulica Modelskiego kończyła się szlabanem prowadzącym do Lasu Mokrzańskiego. Udało im się podnieść szlaban i nieoznakowanego fiata bravę zaparkowali na początku leśnej ścieżki za tablicami informującymi o lasach Wrocławia oraz ich faunie i florze. Z tego miejsca mieli dobry widok na ścieżkę biegnącą za ogrodzeniami skrajnych domów na osiedlu. Za nią znajdował się szeroki rów, dalej rozciągał się las. Karina wcześniej sprawdziła, że dziewczynka jak prawie każdego popołudnia bawi się w ogrodzie.

Po telefonie od Roberta Rajczy Karina opowiedziała Marcinowi o tym, że Anka dostała maila i że teraz na kilka dni zamieszka z Felmanami. Poczekała, aż Marcin przetrawi tę informację, po czym podała mu wydruk podobizny Obserwatora, którą przesłał jej Jacek. Zakrzewski z zaskoczeniem wpatrywał się w pokraczną postać.

– Skąd to masz? – zapytał w końcu.

– Redaktor Krzysztof Salitra kręci się po mieście i poszukuje Obserwatora. Ma ten szkic. Wygląda na to, że wie więcej od nas.

– Cholera, jak to?

– Twierdzi, że ta pokraka ma przyjaciela, opiekuna, nie wiem, jak go nazwać. Dość, że tamtego nazywają Śmierciór. Tam, gdzie się pojawiają, zaraz dochodzi do jakiegoś nieszczęścia.

– Jak powiedziałaś? Śmierciór?

– O kogoś takiego wypytuje Salitra.

– J-jasne.

Podnieśli głowy, kiedy z naprzeciwka nadjechało czarne bmw z przyciemnionymi szybami. Zatrzymało się przed szlabanem, po czym wycofało tyłem i zniknęło w osiedlowej uliczce.

– A jeśli jednak chciałabym wiedzieć, czym się dzisiaj zajmowałaś? – spytała.

Odpowiedział po chwili namysłu.

– Kilku osobom wydaje się, że nie odpuszczę i na własną rękę będę ścigał Satyra – mruknął. – Zacząłem dostawać anonimowe maile z tajnymi dokumentami dotyczącymi śledztwa ABW i CBŚP. Nie wiem, jak mam reagować.

– Naprawdę odpuściłeś sobie Satyra? – zapytała.

Uśmiechnął się samymi wargami.

– Kiedy pierwszy raz spotkałem go na Nowym Dworze, powiedział mi, że jestem taki jak on. Dwie takie same jednostki o skłonnościach psychopatycznych, tylko stoimy po dwóch różnych stronach. Wiesz, co to oznacza?

– Nie.

– Konfrontacja jest nieunikniona. Jeśli Satyr żyje, prędzej czy później do mnie przyjdzie. Muszę być na to przygotowany. Dlatego nie chcę go szukać.

– Ale teraz nie jesteś tego taki pewien? – Pokiwała głową.

– Czy ja wiem? – Wzruszył ramionami. – Ty i ja nie ponieśliśmy żadnych konsekwencji strzelaniny pod twoją kamienicą. Mieliśmy dużo szczęścia. Odpuścili sobie nas, ponieważ byliśmy za mali na kozła ofiarnego i nie pasowaliśmy do teorii terrorystycznej.

– Kozłem został Sochacki.

– Tak. Dlatego nie chciałem nic robić na własną rękę.

– Coś się zmieniło? – Karina jak zwykle trafiła w sedno.

Długo wahał się, czy jej powiedzieć. W końcu się zdecydował. Jeśli nie jej, to komu?

– Myślałem przez chwilę, że wpadam w paranoję, ale Paulina Czerny trochę mnie naprostowała. Może te dwie sprawy naprawdę się łączą i istnieje sposób, żeby inaczej dotrzeć do Satyra.

– O czym ty mówisz? – Karina spojrzała na niego uważnie.

– Dostałem od kogoś mailem tajne materiały dotyczące śledztwa w sprawie zlecenia zabójstwa ministra spraw wewnętrznych. Podobno Satyr przyjął takie zlecenie, lecz ostatecznie się wycofał. Jeden z agentów ABW widział w pobliżu budynku ministerstwa dziwnego człowieka, którego opis idealnie pasuje do tego szkicu.

Karina Buczko nic nie powiedziała. Zerknęła tylko to na szkic, to na Zakrzewskiego.

– A jeśli Satyr nie działa sam? – podsunął Marcin.

– To niemożliwe. – Przełknęła głośno ślinę i pokręciła głową.

– W dwóch miejscach, w których pojawił się Satyr, zjawiał się również dziwoląg z protezami zamiast rąk. Nie ma takich przypadków.

Nadal bez przekonania kręciła głową.

– Zastanowiłaś się przez moment, jak ten facet żyje z protezami zamiast rąk? – ciągnął Marcin.

– Jest zdziwaczalym kaleką.

– Jeśli ktoś jest kaleką, nie ma rąk i nosi protezy, one muszą do czegoś służyć. Nikt normalny nie nosiłby takich długich protez. One jeszcze bardziej utrudniają życie.

Niechętnie przyznała mu rację.

– Więc po co? – rzuciła.

– Dla kamuflażu?

– Taki dziwoląg od razu rzuca się w oczy. Wszyscy go zapamiętują.

Zakrzewski znowu uśmiechnął się bez cienia wesołości w oczach.

– A jeśli to ma tak działać? – zapytał retorycznie. – Skupiasz uwagę na wyglądzie tego osobnika i już nie dostrzegasz niczego innego. Może on właśnie ma od czegoś odwracać uwagę?

– Od Satyra?

– Jeszcze nie wiem.

Sygnał SMS-a przerwał ciszę, która zapadła w aucie. Karina odczytała wiadomość.

– Od Grażyny Tomczyk – poinformowała. – Jej córka jest już w domu. Dzisiaj nikt się nie pojawił.

– No to wracamy – zdecydował Marcin.

Po drodze Karina zadała jeszcze jedno pytanie:

– Powiesz o tym reszcie?

– Jutro powiem tylko, że zajmujemy się też zleconymi przez prokuraturę czynnościami sprawdzającymi w sprawie samobójstw wśród młodzieży.

*

Cały poniedziałkowy wieczór Zakrzewski spędził przed ekranem komputera. Słuchał muzyki, przeglądał jeszcze raz tajne akta z ABW, a potem oglądał film z mostu Warszawskiego. Po dwudziestej drugiej zadzwonił do Pauliny.

– Znowu jesteś pod bramą? – zapytała z rozbawieniem.

Też uśmiechnął się mimowolnie.

– Tym razem nie.

– Szkoda.

– Czyżbym słyszał rozczarowanie w twoim głosie? – zażartował.

– Chciałbyś! No dobra, o co chodzi?

– Słyszałaś, żeby ktoś przy tobie mówił coś o Obserwatorze albo Śmierciorku?

– Nie – odpowiedziała odruchowo, ale zaraz się poprawiła: – Zaraz! Salitra ostatnio zadał mi takie pytanie.

– Dzięki! – rzucił i się rozłączył.

Na filmie z mostu Warszawskiego Satyr akurat znieruchomiał, żeby zaraz potem skoczyć do rzeki.

Rozdział 48

Poranna narada grupy śledczej Zakrzewskiego przebiegała tym razem w o wiele lepszej atmosferze. Do czasu.

Ilona i Karina nadal próbowały ustalić, kim był nieznajomy, z którym w okresie od tygodnia do dwóch przed śmiercią spotkała się każda z ofiar. Oczywiście nie musiało chodzić o tego samego mężczyznę, jednak trop wyglądał na obiecujący.

Długi nie miał takich dobrych informacji. Wykonał gigantyczną pracę. Przeanalizował zdjęcia z monitoringu na skrzyżowaniach ulic, którymi można było wrócić z okolic grobli Pilczycko-Prackiej, z godziny, kiedy spacerująca tam Natalia Krosny widziała czerwony samochód. Dotarł nawet do zapisów kamer z monitoringów prywatnych oraz kamer ochrony kilku firm znajdujących się w tamtej okolicy. Marcin nie spodziewał się po nim takiej skuteczności i pracowitości. Najwidoczniej na ekranie swojego smartfona nie oglądał bzdur, a dźwięk w słuchawkach nie był relaksującą muzyką. Długi wyselekcjonował kilka aut pasujących do opisu. Koledzy z techniki kryminalistycznej pomagali mu teraz odczytać numery tablic rejestracyjnych na filmach o niezbyt dobrej rozdzielczości. Marcin kazał mu dalej się tym zajmować.

Wilczkowski odwiedził kilka klubów fitness i sprawdził kilkanaście osób pasujących do opisu sprawcy. Większość miała alibi na czas zabójstw, trzech mężczyzn wydało mu się podejrzanych, pięciu nie zastał w domach i nie potrafił ich na razie zlokalizować.

Pozostało jeszcze zgłoszenie od Grażyny Tomczyk. Ustalili, że mimo wątpliwości sprawdzą, kto zakrada się pod dom do córki

Tomczyków. Postanowili dyżurować w czasie, kiedy mała bawi się w ogrodzie. Grażyna Tomczyk miała ich informować, którego dnia i w jakich godzinach dziewczynka tam będzie. Oczywiście miała też dzwonić, gdyby coś podejrzanego zdarzyło się poza godzinami policyjnego nadzoru. Na razie nie mogli wysłać tam mundurowych patroli – za bardzo rzucałyby się w oczy, dlatego ustalili dyżury. Tego dnia dyżurować miały Ilona i Karina, następnego Długi z Adamem.

Mieli się już rozejść, ale Marcin ich zatrzymał. Przedstawił im w skrócie historię Suicide Clubu.

– Prokuratura zdecyduje o podjęciu czynności sprawdzających, czy samobójstwa nie były inspirowane przez osoby trzecie lub nie odbyły się przy współudziale osób trzecich – oznajmił. – Karina i ja odebraliśmy to zgłoszenie jako pierwsi, dlatego chciałbym, żebyśmy zajęli się też tym tematem. Grabski obiecał, że gdy tylko zdobędziemy jakieś dowody, dostaniemy wsparcie.

Patrzyli na niego ponuro i niechętnie – wszyscy z wyjątkiem Kariny. „Wiedziałam, że tak będzie” – zdawał się mówić jej wzrok.

– Jest nas za mało – zaprotestował Adam. – Nie jesteśmy w stanie prowadzić dwóch spraw jednocześnie.

– Szefie, to chyba nie jest dobry pomysł – poparła go Ilona.

Tylko Długi nic nie powiedział. Marcin spojrzał na każde z nich z osobna.

– Już zdecydowane – rzucił krótko. – Ja uważam, że nasza grupa ma wielki potencjał, należy go rozwinąć i wykorzystać.

– To nie jest rozsądne. Powinniśmy się skupić na szukaniu realnego mordercy. Nie złapiemy go, jeśli będziemy się rozdrabniać.

– Wilczkowski postanowił być rzecznikiem grupy.

– W odpowiednim momencie dostaniemy wsparcie.

– Mówisz tak od paru dni.

– Posłuchajcie. – Marcin na chwilę zawiesił głos. – Ktoś na górze zdecydował, że działamy po cichu. Dopóki trwa afera z terrorystami, nikt nie zwraca na nas uwagi, ale niedługo to się skończy. Im więcej ludzi będzie nam pomagać, tym większe prawdopodobieństwo

przecieku. Myślicie, że informacja o nowym psychopacie w mieście nam pomoże? Będziemy działać pod presją, wszyscy zaczną nam patrzeć na ręce. Wiercie mi, media nas zajadą, jeśli śledztwo się przedłuży.

Utkwili w nim poważne spojrzenia. Nikt się nie odezwał.

– Dostaniemy pomoc, jeżeli jeszcze przez kilka dni nie ustalimy motywu ani podejrzanego – zakończył. – A teraz do roboty.

Rozchodzili się w milczeniu, z ponurymi minami.

*

Zakrzewski przez pół dnia próbował się dodzwonić do prokuratora Grabskiego, ale ciągle włączała się poczta głosowa.

Odezwał się za to inspektor Godlecki.

– Zgłosiło się do nas kilkoro rodziców. Uważają, że ich nastoletnim dzieciom może grozić niebezpieczeństwo – zaczął. – Trwa narada u naczelnika prokuratury. Pewnie zadecydują o podjęciu czynności sprawdzających. Prokurator Grabski poinformował mnie, że pierwsza poszkodowana zgłosiła się do ciebie. Dlatego kiedy tylko zapadnie oficjalna decyzja prokuratury, zajmiesz się tą sprawą.

– Oczywiście, inspektorze. – Marcin z trudem zapanował nad szerokim uśmiechem na twarzy.

– Dobierz sobie zespół.

– Tak jest.

Kiedy chował telefon do kieszeni, zauważył, że Adam siedzący po drugiej stronie biurka przygląda mu się z zainteresowaniem.

– Wiedziałaś, że tak będzie – stwierdził Wiliczkowski.

– Miałem nadzieję, że Grabski będzie o mnie pamiętał.

Wiliczkowski poskrobał się po karku, westchnął, po czym zapytał:

– Dlaczego koniecznie chcesz się zająć tymi samobójstwami? Masz jakieś podejrzenia? Czy one mogą łączyć się z zabójstwami dziewczyn?

Marcin spojrział na niego z ukosa. Kolejny punkt. Dobrze kombinuje. Nie, musi przestać go oceniać.

– Co masz na myśli? – zaczął ostrożnie.

– W firmie po cichu mówi się różne rzeczy. Razem z komuną skończyły się czasy głupich milicjantów. Wynajęty zabójca ma zlecenie na twojego partnera, Szawczaka, potem w strzelaninie w szpitalu uczestniczy Karina. Chodzą plotki, że widziano was razem w czasie akcji na Roosevelta. Do tego panuje opinia, że komisarz Trupia Czaszka nigdy nie odpuszcza. Łatwo powiązać fakty.

Marcin milczał.

– Naprawdę tak uważasz? – rzucił wreszcie.

– Ty mi powiedz, jak jest.

Przerwał im gitarowy riff standardu Led Zeppelin. Marcin spojrział na wyświetlacz. Nieznany numer. Odebrał. Spokojny głos powiedział:

– Cichocki z tej strony.

– Cześć, Cichy! Masz dobre wieści?

– Wyłącznie dobre. – Cichy zaśmiał się po drugiej stronie. – Szeff zdecydował, że możemy dać Salitrze ogon na kilka dni. Może nas do czegoś doprowadzi.

– Odezwiesz się, jak będzie coś ciekawego?

– Oczywiście oczywiście. Ciągle jestem twoim dłużnikiem.

– Nie masz żadnych długów.

– Dobra, dobra. Cześć!

Adam przypatrywał się Marcinowi z coraz większym zainteresowaniem. W ciszy panującej w biurze musiał usłyszeć głos rozmówcy w słuchawce.

– Salitra to ten dziennikarz? – zapytał. – Nasi za nim chodzą?

Zakrzewski powstrzymał gestem ewentualne dalsze pytania.

– Posłuchaj, Salitra wie coś na temat faceta, który napadł na kolegę Kariny z patrolu dwa miesiące temu. Policja jak dotąd go nie znalazła. Uważam, że te dzieciaki są w niebezpieczeństwie, i dlatego chciałem koniecznie zająć się ich sprawą. Nadal twierdzę,

że nasza grupa ma potencjał, żeby prowadzić równolegle dwa śledztwa bez wpadek i opóźnień.

Wilczkowski milczał.

– Czy nie mówi się po cichu w firmie, że odpuściłem sobie najemnego zabójcę? Wpieprzanie się w kompetencje warszawki byłoby nie tylko lekkomyślne, ale i głupie. Mam dość własnych kłopotów. Zrozumiałeś?

– Tak. – Adam skinął głową.

Rozdział 49

Środa, 30 września

Paulina Czerny zrezygnowała z wieczornego treningu. Nie dała rady się zmobilizować. Nie spodziewała się, że zareaguje aż tak emocjonalnie. Była przekonana, że tamten związek to pieśń przeszłości. Nic ich nie łączy, przejrzała na oczy, zmądrzała, może nawet dojrzała emocjonalnie – jeśli w tym wieku można jeszcze wydorosnąć. A jednak...

Wolno weszła na piętro swojego mieszkania i stanęła na środku pokoju, który kiedyś traktowała jak atelier fotograficzne. Teraz sprzęt stał pod ścianami lekko zakurzony i zaniedbany. Jak dawno już nie fotografowała? Bardzo dawno. Fotografia była dla niej odskocznią od pracy, od nieudanego życia osobistego. Teraz nie potrafiła znaleźć w sobie tej siły, lekkości i ciekawości pchających ją do działania. Co się stało? Nie wiedziała.

Wyszła na balkon i zapaliła papierosa. U sąsiadów jak zwykle grał głośno telewizor, na szyby padały różnokolorowe cienie. Cholera, szczęśliwi ludzie. Wystarczyło włączyć kanał z bezsensowną strzelanką i życie stawało się prostsze i piękniejsze. Może ona też powinna tak spróbować?

– Nie, szlag by mnie trafił po kwadransie – mruknęła do siebie.

Kiedyś miała mały odbiornik telewizyjny, ale się zepsuł. Nie znalazła czasu, by szukać specjalisty od napraw, dlatego wyłądownął w piwnicy.

Papieros wyjątkowo jej nie smakował. Kiedy już łuski opadły Paulinie z oczu, zobaczyła prokuratora Dariusza Wysockiego

takiego, jakim był naprawdę. Lubił kobiety, pewnie nie tylko z nią miał romans. Oszukiwał kochanki i okłamywał żonę. Nigdy by się jednak nie spodziewała, że posunie się aż tak daleko.

Kiedy przedstawiała swoją teorię Grabskiemu, robiła to na zimno, jakby Wysocki był pierwszym z brzegu potencjalnym przestępcą. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Paulina była wstrząśnięta. Nie dlatego, że czuła coś do Wysockiego. Bardziej miała do siebie pretensje, że kiedyś się w nim durzyła.

Zgasiła niedopalek w popielniczce i zeszła na dół. W kuchennej szafce znalazła butelkę whisky, tę samą, z której pił Zakrzewski, kiedy odwiedził ją w piątek. Już za nim tęskniła.

– Weź się w garść, kobieto – wymamrotała i naląła sobie do szklanki.

Nie lubiła whisky i chyba nic nie mogło tego zmienić. Skrzywiła się z niesmakiem, kiedy ciepły alkohol rozlał się po kubkach smakowych. Potem jednak zrobiło się przyjemniej. Tego jej było trzeba.

Sięgnęła po telefon i wybrała numer Marka Grabskiego. Zgłosił się po kilku sekundach.

– Mam nadzieję, że to coś ważnego – powiedział na wstępie. – Sprzątam ogródek po lecie.

– Ważne – stwierdziła krótko. – Dostałam dzisiaj dokument z laboratorium kryminalistycznego.

Czekał w milczeniu na ciąg dalszy.

– Udało się ustalić grupę krwi ze śladów na blachach pochodzących prawdopodobnie z auta Wysockiego. Jest zgodna z grupą krwi zaginionej Anny Kowal. Rozumiem, że to dla prokuratury twardy dowód.

– Tak. – Grabski zmełł w ustach przekleństwo.

– I co z tym zrobimy?

Prokurator nie zastanawiał się długo.

– Jutro porozmawiam z szefem. Z jednej strony nie możemy go spłoszyć, z drugiej niepotrzebny nam kolejny skandal medialny.

Wysocki ma wielu znajomych na wysokich szczeblach.

- Dzisiaj ich ma, jutro będzie sam. Nikt dla niego nie zaryzykuje.
- Mimo wszystko musimy być ostrożni.
- Marek, tylko pamiętaj, że przesłuchujemy go razem.

Zawahał się.

- Jak chcesz – powiedział wreszcie.

*

Tina biegła po podwórku, co chwilę przynosząc do stóp Marcina niebieską piłeczkę. Potem patrzyła na niego zaczepnie. Jej wzrok mówił: „No, baw się ze mną”. Marcin od czasu do czasu kopał piłkę, która toczyła się po podwórku, objając się o różne przeszkody. Suczka radośnie ją ścigała, po czym kładła przed Marcinem.

Stali w tym samym miejscu z tyłu domu co ostatnio i rozmawiali, paląc papierosy. Zakrzewski senior zaproponował nawet coś mocniejszego. Był taki moment, że Marcin chciał się napić, ale szybko zmienił zdanie. Musiałby zostać u rodziców na noc, a nie mógł sobie na to pozwolić w środku tygodnia. Prowadził poważne śledztwo. Musiał być dostępny w każdej chwili.

– Z Zośką bez zmian – poinformował go ojciec. – Raz lepiej, raz gorzej. Przynajmniej nie gada już na okrągło o twoim bracie. W niedzielę nawet wstała i pierogi na obiad zrobiła.

Marcin z zazdrością przełknął ślinę. Pierogi Zofii Zakrzewskiej były najlepsze na świecie. Przed oczami stanęło mu wspomnienie z dzieciństwa: siedzą przy kuchennym stole i jedzą pierogi mamy, maczając je w gęstej śmietanie. On i jego brat bliźniak Rysiek. Skrzywił się nagle, jakby rozboleły go wszystkie plomby w zębach. Był z nimi ktoś jeszcze.

- Co się stało? – Ojciec zmarszczył brwi, widząc jego minę.
- Przypomniałem sobie scenę z dzieciństwa – wyjaśnił. – We trzech jedliśmy pierogi mamy. Ja, Rysiek i... tamten.

Michał Zakrzewski pokiwał tylko głową i poszedł do komórki. Po chwili wrócił z butelką wódki i wielkim kieliszkiem. Nalał sobie.

– Kto wtedy wiedział, że życie się tak potoczy? – zapytał retorycznie.

Marcin obserwował, jak ojciec wypija wódkę do dna, krzywi się i zaraz nalewa sobie nową porcję. Chyba jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie. Michał Zakrzewski wyglądał, jakby podążał za swoją żoną, pograżając się w mętnej wodzie coraz czarniejszych myśli.

Marcin nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

– Porozmawiam z mamą. – Oderwał się od parapetu.

Ojciec wzruszył ramionami.

– Potem wiesz, gdzie mnie szukać – powiedział tylko.

Zanim jednak Marcin zdążył się ruszyć, rozległ się sygnał jego telefonu. Odebrał i słuchał przez moment. Michał Zakrzewski obserwował, jak twarz syna tężeje.

– Muszę jechać – rzucił Marcin i dodał, idąc w kierunku furtki, za którą stała jego sportowa honda: – Zadzwoń!

Ojciec pokiwał głową, nalał sobie kolejną porcję wódki i wypił jednym haustem. Silnik motocykla na ulicy po drugiej stronie domu zaryczał na wysokich obrotach.

– Z kim rozmawiałeś, Michał? – zapytała Zofia Zakrzewska, stając w drzwiach.

– Z nikim.

– Wydawało mi się, że słyszałam motor Marcina.

– Nie, to ktoś inny przejeżdżał drogą.

*

Dyżur na osiedlu Malowniczym przypadł tego dnia Karinie i Ilonie. Grażyna Tomczyk wysłała do Kariny SMS-a, że Lenka będzie w ogrodzie od osiemnastej.

Zaparkowały w tym samym miejscu na końcu ulicy Modelskiego, za szlabanem zagradzającym drogę w głąb lasu. Dodatkowo auto zasłaniały dwie tablice informacyjne.

Na początku milczały, każda pogrążona we własnych myślach. Pierwszy raz były same ze sobą, kiedy nie trzeba było rozmawiać o pracy. Dopiero kiedy Ilona wyciągnęła paczkę papierosów, coś drgnęło.

– Zapalisz? – zapytała.

– Rzuciłam pięć lat temu. Moja... – Karina się zająknęła. – Mój partner, z którym wtedy mieszkałam, nie lubił palenia.

Ilona nie zwróciła na to uwagi. Otworzyła drzwi od strony pasażera i zapaliła.

– Nie ciągnie cię? – mruknęła.

Karina najpierw pokręciła przecząco głową, a potem nagle poczuła ssanie, jakby była na poważnym głodzie nikotynowym. Może papieros na nerwy dobrze jej zrobi?

– Ciągnie jak diabli – powiedziała. – Możesz mnie jednym poczęstować.

Ilona posłała jej zdziwione spojrzenie, ale się nie odezwała, tylko rzuciła jej pudełko, a potem zapalniczkę. Karina zaciągała się papierosem głęboko, jakby nigdy nie przestała palić. Najgorsze było to, że smakował. Cholernie smakował. Przez moment zakręciło jej się w głowie.

– A teraz masz kogoś? – rzuciła Ilona.

Karina się zawahała. Może pytanie nie było zbyt fortunne, ale nie wyczuła złych intencji.

– Cóż, tanto się niespodziewanie skończyło, ale ostatnio poznałam kogoś. – Uśmiechnęła się do własnych myśli. – Cudowna osoba. Mam nadzieję, że coś z tego wyjdzie.

– Życzę powodzenia.

– A jak u ciebie?

– Zawsze byłam zatwardziałą singielką. – Ilona wyrzuciła niedopałek. – Ale samotność zaczyna mnie męczyć.

Karina wolała nie kontynuować tego tematu, jednak po chwili milczenia zdecydowała się zadać pytanie, które chodziło jej po głowie od dłuższego czasu.

– Coś cię łączyło z Wiliczkovskim? Między wami jest takie napięcie, że telefony komórkowe same się ładują.

Ilona Marzec osunęła się w fotelu do pozycji na wprost leżącej.

– Mieliliśmy epizod jeszcze w szkole policyjnej – zaczęła. – Łaził za mną, a ja nie zwracałam na niego uwagi. Nie jest w moim typie. Ale zdarzyło się, że po bardziej zakrapianej imprezie wylądowałam z nim w łóżku. Byłam pijana i nawet nie całkiem pamiętam, jak do tego doszło. Podejrzewam, że wykorzystał mój stan. Kiedy mu potem powiedziałam, że to był tylko jednorazowy wyskok, wpadł w szal.

– Czy on nie ma przypadkiem problemów emocjonalnych?

– Ma. W szkole nazywali go Hulk. Potrafił w sekundę wpaść w gniew, a wtedy...

– ...robił się zielony? – Karina wpadła jej w słowo.

– Nie! – Ilona zaśmiała się szczerze. – Tak źle nie było. Po prostu nad sobą nie panował. Dobrze, że trenował karate. To był dla niego wentyl bezpieczeństwa i trochę się wtedy uspokoił.

– Jak przeszedł testy psychologiczne do szkoły policyjnej?

– To żadna przeszkoda dla kogoś, kto ma ojca w komendzie głównej.

– Rozumiem. A jak jest między wami teraz?

– Chcesz jeszcze jednego? – Ilona sięgnęła po papierosa.

Kontynuowały, paląc. Karina już czuła, że ta chwila słabości źle się dla niej skończy.

– Pracujemy razem. On chyba ciągle na coś liczy, no i... uspokoił się jakby ostatecznie. Może w końcu wydorósł.

Karina już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, gdy spojrzała na dom Tomczyków i zastygła w bezruchu. Ilona, widząc jej minę, rzuciła papierosa i też popatrzyła w tamtym kierunku.

– Cholera! – syknęła.

Na skraju lasu dostrzegły postać. Widać było tylko niebieskie dżinsy i jasną koszulkę. Linia drzew skutecznie zasłaniała widok. Zastygły w oczekiwaniu. Mężczyzna stał dokładnie naprzeciw ogrodzenia Tomczyków. Po chwili usłyszały, jak Lena wykrzykuje coś radośnie. Przez kraty ogrodzenia widziały jej małą rączkę machającą zachęcająco w kierunku mężczyzny. Lecz on się nie poruszył, jakby przeczuwając pułapkę.

Karina szturchnęła Ilonę i pokazała jej na migi, żeby wysiadła z auta. Stały ukryte za samochodem.

– Czekamy, aż podejdzie do płotu – szepnęła jej do ucha Karina.

W tym samym momencie mężczyzna się poruszył, przeskoczył przez rów, podszedł do płotu i przykucnął. Słysząc było rozmowę prowadzoną przyciszonymi głosami.

– Niech to szlag – jęknęła Ilona.

Mężczyzna był niespotykanej budowy ciała. Na pewno miał grubo ponad dwa metry wzrostu, do tego zbudowany jak kulturysta. Głowa zdawała się wyrastać pomiędzy potężnych ramion, jakby natura zapomniała w tym przypadku, że istnieje coś takiego jak szyja. Miał bardzo krótko ścięte włosy nieokreślonego koloru.

– Co robimy?

Karina wyciągnęła z kabury pistolet, sprawdziła, czy jest naładowany, i wcisnęła sobie z tyłu za pasek spodni.

– Podejdę do niego od strony lasu, a ty mnie ubezpieczaj.

Zanim Ilona zdążyła coś powiedzieć, Kariny już nie było. Zniknęła pomiędzy drzewami. Musiała poruszać się bardzo ostrożnie, ponieważ nie było słychać nawet trzaśnięcia gałązki. Ilona zaklęła pod nosem, wydobyla pistolet, odbezpieczyła, poczekała, aż Karina znajdzie się na miejscu, po czym ruszyła ścieżką wzdłuż płotów. Nie miała gdzie się schować, ale na szczęście olbrzym jej nie zauważył. Kilka metrów przed nim zatrzymała się. Karina stała teraz za jego plecami. Porozumiały się wzrokiem. Ilona przykucnęła i wycelowała pistolet.

– Policja! Żadnych gwałtownych ruchów!

Głos Kariny brzmiał pewnie i stanowczo. Postać przy ogrodzeniu zeszywniała.

– Powoli wstań i odwróć się!

Brak reakcji.

Po drugiej stronie ogrodzenia Lena zaczęła nagle płakać i słychać było uspokajający głos jej matki, która zabierała ją do domu. Potem wszystko ucichło. Wielki mężczyzna nadal ani drgnął.

– Policja! – powtórzyła Karina ostrzejszym głosem. – Wstań i podnieś ręce w górę.

Dopiero teraz jej słowa odniosły właściwy skutek. Olbrzym się wyprostował. Nie podniósł jednak rąk, tylko wolno odwrócił się twarzą do Kariny. Zerknęła na niego i już wiedziała, że trafili w dziesiątkę. Kiedy teraz na niego patrzyła, zrozumiała, że portret pamięciowy, który na podstawie słów Natalii Krosny sporządził policyjny grafik, był wyjątkowo celny. Może robił z mężczyzny potwora na miarę dzwonnika z katedry Notre Dame z kart powieści Wiktora Hugo, ale zawierał wiele podobieństw.

– Cholera jasna! – wyrwało się Karinie.

Czasem osobę niepełnosprawną intelektualnie poznaje się już po rysach twarzy. Jest w nich coś nienaturalnego. Twarz wielkiego mężczyzny była właśnie taka. Miał małe oczy zapadnięte w głąb czaszki, trochę krzywy nos i potężne szczęki z wielkimi, pożółkłymi zębami, które sprawiały wrażenie, że wyrosło ich za dużo. Na tej twarzy malowało się przerażenie i Karina od razu zrozumiała, że będą kłopoty. Naraz mężczyzna rzucił się do ucieczki. Zrobił dwa wielkie kroki w jej stronę i przeskoczył przez rów, kierując się wprost na nią. Niczym dzikie zwierzę, które zapędzone w pułapkę, desperacko rzuca się do ucieczki wprost pod lufy strzelb myśliwych.

Żadna z policjantek nie była przygotowana na taki rozwój sytuacji. Ilona nie zdążyła pomyśleć, że powinna strzelić, a zaskoczonej Karinie palec niespodziewanie zdrętwiał na spuście. Rozpędzona góra mięśni uderzyła prosto w nią. Karina poczuła się jak przy czołowym zderzeniu z rozpędzoną lokomotywą. Poleciała

bezwładnie w bok i leżała oszołomiona, z trudem łapiąc oddech po uderzeniu w klatkę piersiową. Otworzyła oczy i spojrzała wprost na pochylającą się nad nią Ilonę.

– Nic mi nie jest... – wychrypiła. – Goń go!

Ilona ruszyła w pogoń. Napastnik zniknął już w lesie, więc na początku biegła na oślep mniej więcej w tym samym kierunku. Po kilkudziesięciu metrach dostrzegła ruch z prawej. Skręciła w tamtą stronę i dostrzegła uciekającego. Może i był bardzo silny, ale co innego dźwigać ciężary, co innego biegać. Wielkie mięśnie w bieganiu nie pomagają.

Nagle las się skończył i wybiegli na polanę porośniętą nielicznymi drzewami i krzakami. Tempo ucieczki i pogoni znacznie spadło. Trudno było biec, gdy nogi raz po raz grzęzły w zaroślach. Tym razem ważniejsza była siła. Plecy uciekającego znacznie się oddaliły. Miała jeszcze około dwudziestu metrów łąki do pokonania, kiedy jego sylwetka zniknęła znów w gęstym lesie. Kilka sekund później Ilona przystanęła.

Nie wiedziała, w którą stronę biec. Słońce wychynęło właśnie zza chmur, ale wcale nie zrobiło się jaśniej. Uderzyła ją nienaturalna cisza.

Ilona ruszyła ostrożnie przed siebie z bronią gotową do strzału. Przedarła się przez pierwszą zasłonę krzewów i zrozumiała, że popełniła błąd. Gdzieś z boku dostrzegła ruch i coś zważyło ją z nóg. Upadła na twarz, chciała się zerwać, lecz on był już na jej plecach. Przygniótł ją tak, że straciła oddech. Był przerażająco silny. Bez trudu wykręcił jej rękę, aż wrzasnęła z bólu. Następnie przewrócił ją na plecy i spojrzała prosto w jego zdeformowaną twarz. W nozdrzach poczuła przykry zapach wydobywający mu się z ust. Patrzył na nią małymi oczami, twarz miał spoconą po biegu. Nie wiedziała, co znaczy ten wzrok.

Nagle poczuła jego kolano wdzierające się brutalnie między jej uda i robiące sobie miejsce. Jedną ręką ją przytrzymał, drugą

zaczął boleśnie ugniatać jej piersi. Jednym szarpnięciem rozerwał jej bluzkę. Guziki poleciały między rzadką trawę.

Ilona wpadła w panikę. Gdzie jest pistolet? Nie mogła się ruszyć. Już wiedziała, co się za chwilę stanie. Czy będzie tak jak z poprzednimi ofiarami? Najpierw ją zgwałci, potem udusi? Czy kolejność będzie odwrotna? Wielka dłoń zacisnęła się na jej szyi. Zaczęła się dusić.

Ostry dźwięk przetoczył się echem po lesie. Potem usłyszała krzyk:

– Puść ją!

Wystrzał z pistoletu. W tym samym momencie napastnik drgnął, jakby kula ugodziła go gdzieś w okolice pleców. Kolejne dwa wystrzały spowodowały podobne drgawki. Uchwyt zelżał na tyle, że Ilona zaczęła walczyć i częściowo uwolniła się spod niego. Widziała na jego twarzy przerażenie. Zerwał się i znowu zaczął uciekać na oślep w las.

– Kurwa! – krzyknęła Karina i kucnęła przy leżącej koleżance. – W porządku? – zapytała.

Ilona z trudem przełknęła ślinę i pokiwała głową.

– Wezwałam pomoc! – zawołała jeszcze Karina i ruszyła w dalszy pościg.

Przedzierała się przez krzaki, przeklinając. Pieprzona amatorszczyzna! Jeśli facet ucieknie, Zakrzewski im nie daruje. Bolały ją stłuczone żebra w lewym boku, oddychała ciężko, ale wciąż utrzymywała dobre tempo. Strzelała w powietrze. Mogła próbować go trafić, ale drżała jej ręka i bała się trafić Ilonę.

Wybiegła na jakąś ścieżkę. Słońce zaszło już za drzewa i zrobiło się szaro. Mężczyzna nagle skręcił w prawo i zniknął. Podbiegła jeszcze kawałek i zwolniła. Zobaczyła zarośnięte bluszczem ogrodzenie. Przez urwaną furtkę, przez którą przed sekundą wbiegł tu uciekinier, weszła na podwórko zrujnowanego domu. Pośród trawy leżały pogruchothane cegły i kawałki tynku. Dom był kompletnie zdewastowany. Boczna ściana popękała i częściowo runęła, nie było

okien ani drzwi, tylko nieregularne otwory. Ściany pokrywało bezładne graffiti.

Z pistoletem wyciągniętym przed siebie weszła do środka. Na podłodze wały się potłuczone butelki, puszki po piwie i śmieci. Czuć było zapach moczu. Skrzywiła się i wolno ruszyła przed siebie. Obeszła wszystkie pomieszczenia. Pusto. Czyżby jednak nie schował się tutaj, tylko pobiegł dalej? Stała, nasłuchując. Już wcześniej słyszała ten odgłos, lecz myślała, że to podmuchy wiatru w szczelinach ruiny. A jednak nie. Odgłos dochodził z góry. Znalazła zjedzone przez pleśń spróchniałe drewniane schody na piętro i zaczęła się wspinać.

Dostrzegła go, gdy postawiła stopę na ostatnim stopniu. Siedział w najdalszym kącie, ukrył twarz między podkurczonymi kolanami i obejmował je rękami. Jego plecy podskakiwały dziwnie. Karina zrozumiała. Ten odgłos, który słyszała na dole, to był szloch.

Kawałki szkła zachręściły jej pod butem. Podniósł na nią mokrą od łez twarz i posłał jej przerażone spojrzenie. Już nie wyglądał jak szarżująca bestia, raczej jak... przestraszone dziecko.

Nie wiedziała, co robić. Nie spuszczać go z oczu, wyciągnęła krótkofalówkę i ponownie połączyła się z dyżurnym.

– Tu zero cztery – powiedziała, kiedy się zgłosił. – Mam ściganego. Jesteśmy w zrujnowanym domu przy jakiejś ścieżce w lesie. Nie wiem dokładnie gdzie.

– Wsparcie w drodze.

Schowała aparat do kieszeni. Wtedy usłyszała, że facet coś niewyraźnie mówi. Trudno go było zrozumieć, musiała się skoncentrować.

– Dawidek... się zgubił... cheee... do... oomu.

– Co mówisz? – zapytała odruchowo.

– Do oomu... – Gwałtownie potrząsnął głową.

– Musisz poczekać. Zaraz weźmiemy cię do domu.

Z tyłu zaskrzypiały schody. Ilona wchodziła na górę. Była zasapana, na szyi miała czerwone odciski palców, spod rozdartej

bluzki wystawał biały biustonosz. Stała obok Kariny i wpatrywała się w mężczyznę z wściekłością na twarzy.

– Ty skurwysynu, chciałeś mnie zgwałcić i udusić jak tamte – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Karina położyła jej rękę na ramieniu.

– Uspokój się.

– Uspokój?! Gdyby nie ty, byłabym już martwa!

Karina potrząsnęła nią. Ilona oddychała ciężko, ale się trochę uspokoiła. Wtedy znowu usłyszały słaby głos pomiędzy szlochem:

– Dawidek nie... chaał... pani zrobić krzywdy. Potem prze... przeprosiłem... Przep... rzaszałem. Nie chciał... nie chaał...

Karina poczuła, że robi jej się niedobrze.

Rozdział 50

Mówił na siebie Dawidek. Jego rozrośnięte ponad miarę ciało wyglądało na nieproporcjonalne i mogło być wynikiem choroby genetycznej. Po drodze do budynku policji zakuty w kajdanki płakał i zachowywał się normalnie. Nawet udało się od niego pobrać odciski palców. Kiedy został sam w pokoju przesłuchań, nagle wpadł w szał. Rzucił się na ściany i drzwi, przewrócił stół i kamerę, połamał statyw. Obezwładniło go dopiero sześciu mundurowych policjantów, choć ręce miał wciąż skute na plecach. Kiedy się uspokoił, stanął w kącie tyłem do pomieszczenia i mamrotał coś do siebie niezrozumiale. Nikt nie wiedział, co z nim zrobić. W końcu Karina zadzwoniła po wsparcie psychologiczne. Lidia Nowicka, która współpracowała z policją podczas przesłuchań dzieci, zjawiała się po niecałej godzinie.

Technicy zdążyli w tym czasie porównać odciski palców Dawidka z tymi znalezionymi w miejscach zbrodni. Nie było żadnych wątpliwości.

Nowicka przemawiała do Dawidka przez ponad godzinę, zanim na nią spojrział i pierwszy raz się odezwał. Dalej poszło szybciej. Dał się namówić na wyjście z kąta i usiadł przy stoliku. Po kolejnych kilku minutach policjanci przełożyli mu ręce do przodu. Wciąż był skuty, ale mógł operować dłońmi. Dostał kilka czystych kartek papieru do drukarki. Dał je na małe kawałki, z których grubymi palcami formował malutkie podobizny zwierząt. On zajmował się figurkami z papieru, a psycholog zadawała mu pytania. Wszystko to trwało

i trwało. Na stoliku stało już stado papierowych zwierząt, a policja jeszcze niewiele wiedziała.

Ilona trafiła do szpitala na badania, więc kiedy wreszcie zjawił się Zakrzewski, to Karina mu wszystko opowiedziała.

Koło dwudziestej pierwszej Dawidek zgłosił, że musi pójść do toalety. Zrobiło się nerwowo, kiedy zobaczył na korytarzu policjantów. Przestraszył się i znowu niemal wpadł w szal. Psycholog zareagowała w porę, proponując mu puszkę coca-coli z automatu. Tak przekupiony, poszedł z nią do toalety. Kiedy wrócili, stracił zainteresowanie figurkami. Zajął się puszką z napojem i batonem, który dorzuciła mu do zestawu Nowicka. Potem znowu były pytania, zwierzęta z papieru, niejasne odpowiedzi.

W tym czasie policja próbowała zidentyfikować Dawidka. Zdjęcie niepełnosprawnego mężczyzny trafiło do domów opieki, fundacji i stowarzyszeń wspierających rodziców dzieci z niepełnosprawnością. Nikt go nie rozpoznał.

Przed dwunastą w nocy przesłuchanie musiało się zakończyć. Dawidek został sam w pokoju pilnowanym przez kilku policjantów stojących na zewnątrz. Dostał jeszcze kilka kartek i zapełnił blat stołu, powołując do życia kolejne zwierzątka. Mamrotał coś przy tym niewyraźnie do siebie.

Lidia Nowicka była już po sześćdziesiątce i do złudzenia przypominała Marcinowi Irenę Santor. Dopiero kiedy usiadła z policjantami w salce konferencyjnej z kubkiem kawy, zobaczyli, ile ją kosztowało to przesłuchanie. Piła kawę, patrzyła kolejno na każde z nich i opowiadała. Oprócz Kariny i Marcina był jeszcze Adam Wilickowski, w ostatniej chwili dotarł też prokurator Marek Grabski. Nawet nie zdążyli zamienić z nim słowa.

– Proszę państwa, sytuacja jest bardziej złożona, niż mi się na początku zdawało. Dawidek – pozwolicie, że tak będę go nazywać – jest znacznie upośledzony. Intelktualnie zatrzymał się na poziomie kilkuletniego dziecka. Jego wygląd wskazuje, że cierpi też na nieznaną mi chorobę genetyczną, która spowodowała nadmierny

rozrost ciała. Jakiś rodzaj gigantyzmu, ale powinni go zdiagnozować specjaliści.

– Czy to możliwe, żeby zamordował? – zapytał Zakrzewski.

– Jak najbardziej. Ma umysł dziecka i ciało dorosłego mężczyzny z wszelkimi tego konsekwencjami. Czuje popęd seksualny, równocześnie go nie rozumie i nie potrafi nad nim zapanować. Dowiedział się już, do czego służą kobiety i w jaki sposób pomagają rozładować napięcie.

Karina jęknęła i pokręciła głową.

– Przepraszam, że mówię o tym w takich dosadnych słowach – kontynuowała Nowicka – ale w ten sposób lepiej zrozumieją państwo motywy jego postępowania. On tak myśli. A raczej nie myśli. Działa instynktownie, zgodnie z prawami natury obowiązującymi od tysięcy lat.

– Nie każdy stosunek seksualny kończy się zabiciem partnerki – zaprotestował Marcin.

– Problem w tym, że Dawidek nie rozumie tego, co robi, nie rozumie istoty śmierci. Moim zdaniem zabijał, ponieważ nie panuje nad swoją siłą i nie jest jej świadomy. W trakcie gwałtu przytrzymywał swoje ofiary. Niestety, zbyt mocno.

Zapadła cisza.

– Czasem dopada go poczucie winy i wtedy strasznie żałuje tego, co zrobił – ciągnęła psycholog. – Ma świadomość, że wyrządził tym kobietom krzywdę. Chce je przeprosić. Mówi, że jednej przyniósł nawet szminkę i grzebień, ale była na niego zła i się nie odzywała. Jednak nie oszukujmy się. Poczucie winy jest chwilowe. On doskonale pamięta bardzo przyjemne doznania w trakcie gwałtu i kiedy napięcie seksualne wzrośnie, może zabić znowu. Poczucie winy go nie powstrzyma.

Zakrzewski spojrzał przelotnie na Karinę Buczko i od razu odgadł, że ona czuje się w tym momencie podobnie. Niedowierzenie i obrzydzenie – nie wiedział, które uczucie przeważa.

– Czy mógł działać sam? – zapytał.

Lidia Nowicka ze znużeniem odstawiła kubek na stół i oświadczyła:

– Wykluczone.

– Co pani ma na myśli? – Grabski poruszył się nagle nerwowo.

– Dawidek nie jest w stanie nic zrobić sam – wyjaśniła. – Wykluczone, żeby niepostrzeżenie porywał swoje ofiary, wywoził w odludne miejsce, zabijał, a potem ukrywał zwłoki. On ma mózg małego dziecka. Nie jest w stanie myśleć, a co dopiero działać abstrakcyjnie. Sam może skorzystać z toalety, być może wziąć prysznic, znaleźć sobie coś do jedzenia, ugasić pragnienie. Nic poza tym.

Atmosfera w salce konferencyjnej gęstniała z każdą minutą.

– Czyli ktoś te dziewczyny mu podsuwał? – odezwał się Marcin.

– Dawidek mówi o tym człowieku „on”. Proszę zwrócić uwagę, że nie nazywa go „tato” czy „wujek”, prawdopodobnie nie zna jego imienia. Pewne jest tylko to, że straszy się go boi. Wspomina o nim niechętnie i jest wtedy naprawdę przerażony.

– Ten człowiek się nim opiekuje?

– Prawdopodobnie tak. Dawidek sam nie jest w stanie pójść do sklepu po jedzenie, pewnie trzeba mu przypominać o toalecie, prać jego rzeczy, sprzątać. Musi mieć opiekuna.

– Teraz jest zaniedbany – stwierdził Grabski.

– Tak, jest, wyrażę się kolokwialnie, zapuszczony – mruknęła psycholog. – Po prostu brudny. Ktoś go nie przypilnował z prysznicem. Proszę jednak zauważyć, że nie był specjalnie głodny.

– Jak on się nazywa? – zapytała Karina.

– Nie zna swojego nazwiska.

– Gdzie mieszka?

– Nie wiadomo. – Lidia pokręciła głową. – Podczas ucieczki się zgubił i nie wie, jak trafić do domu. Wspomniał tylko, że mieszka niedaleko od tej dziewczynki, do której się wymykał. Powiedział, że wychodził przez okno, kiedy „on” był poza domem.

Marek Grabski bezwiednie wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zaraz ją schował.

– Przecież to jakiś horror – rzucił. – Mam rozumieć, że ktoś wykorzystywał niepełnosprawnego, żeby mordować?

– Wielce prawdopodobne – potwierdziła Lidia Nowicka.

Zakrzewski spojrzał na Grabskiego.

– Tak naprawdę nie znaleźliśmy sprawcy, tylko nieświadome niczego narzędzie zbrodni – zauważył.

– Czy jest szansa, żeby... Dawidek... – to imię z trudem przeszło prokuratorowi przez gardło – ...pokazał nam, gdzie mieszka?

– Pracuję nad tym – odparła. – Kiedy coś powie, dam znać. Teraz przepraszam, on nie może spędzić całej nocy w tym pokoju. Muszę go namówić, żeby przeszedł do aresztu. Tam jest przynajmniej łóżko.

Kiedy za Nowicką zamknęły się drzwi, milczeli jeszcze przez kilka chwil. Pierwsza odezwała się Karina:

– Świadek Natalia Krosny widziała Dawidka i jeszcze jednego mężczyznę. Długo próbował namierzyć jego samochód na monitoringu, ale się nie udało. Ilona ustaliła, że każda z ofiar jakiś czas przed śmiercią widziała się z nieznanym mężczyzną.

– Czyli ktoś wybierał ofiary, porywał je i podstawiał Dawidkowi. On je gwałcił i dusił bez świadomości konsekwencji swoich czynów. Potem nieznanymi ukrywał ciała – analizował Marcin.

– Ewentualnie przywoził Dawidka w miejsce ukrycia zwłok.

– W życiu nie słyszałem bardziej makabrycznej opowieści. – Grabski znowu pokręcił głową.

Zakrzewski był już myślami dużo dalej.

– Osiedle Malownicze jest ze wszystkich stron otoczone lasami i polami – zastanawiał się głośno. – Dawidek mówił, że mieszka niedaleko domu Tomczyków. Moim zdaniem to musi być gdzieś na osiedlu Malowniczym.

– Co proponujesz? – Grabski zerknął na niego.

– Załatw u Godleckiego, żeby kilku policjantów po cywilnemu rozejrzało się tam jutro. Może coś wywąchają. Niech nasza grupa antyterrorystyczna będzie w pogotowiu. Może Dawidek przypomni sobie, gdzie mieszka.

*

Przełom nastąpił następnego dnia koło południa. Był pierwszy dzień października. Pogoda dopasowała się do trwającej od kilku dni jesieni. Od rana niebo pokrywała sina warstwa chmur, siąpił drobny deszczyk. Może nie byłby zbyt uciążliwy, gdyby nie silne porywy wiatru, które potrafiły rzucić nim niespodziewanie w twarz. W takiej scenerii osiedle Malownicze nie było zbyt malownicze.

Po trzech kanapkach z McDonalda na śniadanie Dawidek nieoczekiwanie oświadczył Lidii Nowickiej, że chce już wracać do domu i pokaże, gdzie mieszka. Policjanci byli gotowi w kilka minut.

Psycholog i niepełnosprawny umysłowo mężczyzna pojechali przodem nieoznakowanym policyjnym autem. Za nimi jechała furgonetka z antyterrorystami, dalej ekipa śledcza w jednym samochodzie prowadzonym przez Karinę. Ilona wróciła już do pracy. Spotkanie z Dawidkiem szczęśliwie skończyło się dla niej tylko sińcami na szyi. Technicy kryminalistyki z Rajczą na czele byli w pogotowiu.

Na osiedle Malownicze wjechało tylko auto z Dawidkiem. Pozostałe dwa samochody zaparkowały przy Marszowickiej, głównej ulicy. Czekali na sygnał. Sekundy wolno zamieniały się w minuty, nic się nie działo. Karina, Ilona i Marcin, nie zważając na deszcz, wysiedli z auta i palili papierosy. Adam siedział w otwartych drzwiach, milcząc, a obok niego Długi ze słuchawkami w uszach wpatrywał się w obrazy poruszające się na ekranie telefonu.

Wreszcie rozdzwonił się telefon Zakrzewskiego.

– Dom w południowej części osiedla – powiedział policjant kierujący autem z Dawidkiem i Lidią Nowicką. – Bliźniak przy ulicy

Bąka, na łuku.

– Zrozumiałem.

Dom wskazany przez Dawidka stał w odległości kilkuset metrów od nich. Przejechali wolno obok. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się mała łączka, a za nią zaczynał się las. Połną drogą nieopodal można było dojść do domu Tomczyków.

Kapitan Rafalski i jeden z jego ludzi ukryli się na skraju lasu. Byli z nimi Marcin i Karina. Dwóch innych antyterrorystów obstawiało tył domu, reszta została w furgonetce zaparkowanej w bocznej ulicy. Ekipa Marcina parkowała gdzieś na osiedlu.

Miejsce było dobre, mogli niezauważeni obserwować posesję zza drzew. Na początku na zmianę patrzyli przez lornetkę. Dom wyglądał na opuszczony. Firanki w oknach skutecznie uniemożliwiały zajrzenie do środka. Na podjeździe przed garażem stał kilkuletni fiat punto.

– Wygląda, jakby nikogo nie było – stwierdziła Karina Buczko, oddając lornetkę Rafalskiemu.

– Musimy mieć pewność, że to ten dom – odparł Rafalski. – Nie mam zamiaru dostać znowu po głowie, jak wejdziemy z butami do sąsiadów.

– A zdarzało się? – zapytała Karina z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Wiesz, prokuratorom czasem obojętne, jak ktoś ma na imię i czy mieszka pod siódemką, czy siedemnastką, więc się domyśl.

– Potem oczywiście jest na nas – dodał podwładny Rafalskiego.

Karina nie zapamiętała jego nazwiska. A może się nie przedstawił? Wolno mijały minuty. Niebo robiło się coraz bardziej szare. Przez chwilę nawet zaczęło padać mocniej, ale zaraz się uspokoiło. Telefon Marcina zawibrował.

Długi mówił beznamiętnie, jakby opowiadał o nieudanych wakacjach sprzed dwóch lat:

– Dom należy do Tadeusza Lipnickiego, który obecnie przebywa z całą rodziną na stałe w Londynie. Od czerwca wynajmuje budynek

niejakemu Janowi Lucowi, zamieszkałemu w Bolesławcu przy ulicy Armii Krajowej 125. Już sprawdziłem. Taki adres nie istnieje, podobnie jak osoba o nazwisku Jan Luc. Najprawdopodobniej dowód osobisty, którym się legitymował, jest podrobiony.

– J-jasne. Coś jeszcze?

– Spotkali się w Londynie. Lucowi tak zależało na wynajmie, że zapłacił gotówką trzymiesięczną kaucję i czynsz na pół roku z góry.

Marcin milczał, przetrawiając informacje. Może znowu dała o sobie znać jego wewnętrzna paranoja, ale informacje od Długiego niebezpiecznie skojarzyły mu się z okolicznościami wynajęcia innego domu.

– Przed chwilą rozmawiałem z Lipnickim – ciągnął Długi. – W jego odczuciu ten Luc był dziwny. Ani razu się nie uśmiechnął i podczas podpisywania umowy nie zdejmował rękawiczek.

– Dzięki!

Rozłączyli się. Minęło kolejne kilkanaście minut. Osiedlową drogą przejechało w tym czasie kilka samochodów, przeszła kobieta z dzieckiem w wózku. Trójka nastolatków zatrzymała się prawie naprzeciw wejścia i o coś się kłóciła.

Znowu zawibrował wyciszony aparat Zakrzewskiego. Tym razem zgłosił się Wiliczkowski.

– Razem z Iloną obeszliliśmy sąsiadów – relacjonował. – Zgodnie twierdzą, że od dawna nikogo w naszym obiekcie nie widzieli. Część z nich była zdziwiona, że ktoś tam w ogóle mieszka.

– Dzięki – zakończył Zakrzewski i natychmiast wybrał numer Długiego. – Co z tym fiatem?

– Numery rejestracyjne zostały skradzione w styczniu tego roku w Małopolsce. Pewnie samochód też zajumany.

– Dobra robota.

Dowódca oddziału specjalnego skontaktował się ze swoimi ludźmi przez system wewnętrznej łączności.

– Dawajcie listonosza – rzucił krótko.

Po kilku minutach chodnikiem z prawej strony nadszedł jeden z antyterrorystów przebrany za listonosza z wielką torbą na ramieniu. Stał przed bramką i zadzwonił. Słuchawka krótkofalówki Rafalskiego zaszumiała i rozległ się jego głos:

– Dom wygląda na opuszczony. Spróbuję wejść dalej.

Obserwowali w napięciu, jak fałszywy listonosz majstruje przy furtce i po chwili wchodzi do środka. Antyterrorysta wolno przeszedł do drzwi wejściowych i zapukał energicznie. Upłynęły długie sekundy, nic się nie działo. Listonosz zrobił krok w bok i zajrzał w okno.

– W środku brak jakiegokolwiek ruchu.

– Dobra, wycofaj się – polecił Rafalski.

Listonosz wyszedł, poszedł dalej chodnikiem i zniknął za rogiem.

– Dwójka, sprawdź mi tył domu – mruknął Rafalski do mikrofonu.

– Zrozumiałem – zaskrzeczał głośnik głosem innego funkcjonariusza.

– Tylko ostrożnie, do cholery!

W milczeniu czekali na meldunek. Wreszcie po długich minutach ponownie odezwała się krótkofalówka Rafalskiego. Jego człowiek złożył zwięzłą relację z rekonesansu.

– Tył domu zaniedbany, z tarasu zaglądałem do środka. Wydaje mi się, że w środku nie ma żadnych mebli. Jakby nikt tam nie mieszkał. Za to z boku znalazłem otwarte okno do piwnicznego pomieszczenia. Strasznie stamtąd śmierdzi, ale na pewno ktoś tam mieszka. Widziałem łóżko, stolik, lodówkę, otwarte drzwi do łazienki. Wszędzie stoją tysiące takich małych zwierzątek skręconych z papieru.

Karina i Marcin spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– To ten dom – powiedziała.

– Co robimy?

Dopiero po kilku chwilach Zakrzewski zrozumiał, że Rafalski skierował pytanie do niego i wszyscy czekają na jego decyzję.

– Wchodzimy – zakomenderował bez namysłu.

Karina pokręciła z niedowierzaniem głową. Zanim zdążyła się odezwać, Marcin odciągnął ją na bok, żeby nikt nie mógł ich usłyszeć.

– Co się dzieje? – Spojrzała na niego zdziwiona. – Możemy na tego Luca poczekać.

– On już się nie pojawi – odpowiedział.

– Skąd wiesz?

– Pomyśl. Minęło więcej niż dwa tygodnie od ostatniej ofiary i nic się nie stało. Dawidek od dawna wychodzi na zewnątrz, a do tej pory pewnie siedział zamknięty w tym pomieszczeniu w piwnicy. Zbieg okoliczności?

– Mógł przypadkowo otworzyć to okno.

– A jego opiekun by się o tym nie dowiedział? Poza tym Dawidek jest od wielu dni zaniedbany. Jakby ktoś przestał się nim interesować...

– Ale nie był głodny.

– Może ma pełną lodówkę?

– Marcin...

Ścisnął jej ramię i nie pozwolił dokończyć.

– Zaufaj mi, wchodzimy.

Grupa Rafalskiego dostała się do środka od tyłu, cicho i bez żadnych problemów. Po kilku minutach przyszła informacja, że dom jest pusty i policjanci mogą wejść do środka. Na progu Rafalski poinformował ich, że w domu nie ma żadnych mebli, z wyjątkiem kuchni. W lodówce znaleźli trochę produktów spożywczych z popularnego marketu, w łazience ręcznik, papier toaletowy i pastę do zębów. Za to w salonie odkryli laptopa. Stał na stole, przy którym było tylko jedno krzesło, tuż przy łóżku. Na łóżku leżał niezłożony śpiwór.

Marcin zawołał Ilonę Marzec.

– Możesz sprawdzić, co jest w komputerze?

– Jasne.

Włożyła lateksowe rękawiczki i usiadła przy stole.

– Musisz to zobaczyć! – zawołała Karina.

Zaprowadziła Marcina do piwnicy. Właściwie to nie była piwnica, tylko mikroapartament. Obite blachą drzwi były otwarte. Antyterrorysty zerwali kłódkę na stalowej sztabie zabezpieczającej wejście do piwnicy przed otwarciem od wewnątrz. W pomieszczeniu rzeczywiście panował smród długo nieczyszczonej toalety i zgniłych resztek jedzenia. Był tak intensywny, że Zakrzewski musiał zatkać nos chusteczką. Marcin obszedł całe pomieszczenie. Mała łazienka z prysznicem i toaletą była koszmarne brudna. Po chwili wahania zamknął drzwi, które do niej prowadziły. Pościel na łóżku Dawidka miała szary odcień. W kilku miejscach widać było paskudne plamy. Marcin wolał się nie zastanawiać, skąd się tam wzięły. Po podłodze walały się plastikowe opakowania po jedzeniu. Zajrzał do lodówki – żółty ser w plastrach, kabanosy, kiełbasa zapakowana próżniowo, konserwy, pasztety. Zapasy były mocno przetrzebione, lecz na tym, co zostało, Dawidek mógł przeżyć jeszcze dobrych kilka dni. W pomieszczeniu znajdowało się małe biurko, na którym leżał spory zapas papieru do drukarki, i obrotowe krzesło. W każdym wolnym miejscu stały figurki z papieru. Całe stada zwierzątek, tysiące.

Marcin wrócił na górę i z ulgą wciągnął nieskażone żadnym przykrym zapachem powietrze. Poszedł do salonu i stanął obok Ilony.

– Coś ciekawego? – zapytał.

– Dysk jest prawie czysty – odpowiedziała znad laptopa. – Żadnych danych oprócz małego folderu na pulpicie. Jest zabezpieczony hasłem, ale w dość prymitywny sposób. Zaraz powinnam się do niego dostać.

Jej palce poruszały się po klawiaturze tak sprawnie, że Marcin poczuł się przy niej staro. On musiał się nieźle namęczyć, żeby napisać maila albo raport. Palce miał drewniane i stukając w klawiaturę, robił masę błędów.

– Naprawdę nic nie ma? – zapytał z niedowierzaniem.

– Jest przeglądarka Tor, więc pewnie logował się w Darknecie. Rozmawialiśmy kiedyś o tym, pamiętasz?

Przytaknął, a Ilona kontynuowała:

– Takie oprogramowanie nie zostawia śladów. Nie dowiemy się, co robił w Darknecie i jakie strony odwiedzał. O, już mam hasło.

Szybko wstukała ciąg cyfr i liter. W folderze był tylko jeden plik tekstowy. Otworzyła go i Marcin poczuł, jakby temperatura w pomieszczeniu spadła nagle o kilkanaście stopni. Ilona aż otworzyła usta. Popatrzyła na niego błyszczącymi z podekscytowania oczami.

– To są dane na twój temat – szepnęła. – Bardzo szczegółowy research.

Marcin sprawdził, czy nikt na nich w tej chwili nie patrzy.

– Możesz mi to zgrać?

Wyciągnęła z kieszeni pendrive'a i się zawahała.

– Jeśli komputer pójdzie do analizy, średnio rozbarnięty informatyk zobaczy, że zgrywaliśmy dzisiaj dane.

– Nie możesz jakoś usunąć takich informacji?

– To jest złamanie regulaminu, będę miała kłopoty.

– Biorę to na siebie. – Spojrzał jej w oczy. – Ty nawet nie siedziałas przy tym komputerze.

Zgrała plik, ale nie dała Marcinowi pendrive'a, tylko schowała go z powrotem do kieszeni.

– Co jest? – zapytał.

– Zanim ci go dam, chcę wiedzieć, co jest grane.

Mierzyli się chwilę wzrokiem.

– Dobrze, później – obiecał.

Ilona zamknęła komputer, wyszli na zewnątrz. Czekając na techników, stali przed furką i we trójkę znowu palili papierosy. Ilona patrzyła podejrzliwie na Marcina. Karina była tak wstrząśnięta odkryciem w piwnicy, że nie zauważyła napięcia między nimi.

– To wygląda, jakby ktoś hodował śmiercionośną bestię tylko do jednego celu: żeby zabić – powiedziała. – Kto jest do tego zdolny?

Ilona milczała, wpatrując się w Zakrzewskiego.

– Ktoś, kto chce się zemścić „za Żyletę” – odpowiedział po chwili Marcin.

Rozdział 51

Prokurator Dariusz Wysocki skończył pracę punktualnie o szesnastej. Chciał wcześniej wrócić do domu, ponieważ coraz bardziej niepokoił się o żonę. W ostatnich tygodniach zachowywała się dziwnie, lecz to, co się z nią działo od kilku dni, mocno go martwiło. Bożena stała się rozdrażniona, obca, na wszystkie próby rozmowy reagowała agresją. Zaczęła też pić. Kiedy wracał do domu, wszelkie próby nawiązania z nią kontaktu zawodziły. Miał nadzieję, że dzisiaj wróci na tyle wcześnie, żeby zdążyć z nią porozmawiać. Po drodze chciał kupić duży bukiet czerwonych róż – Bożena uwielbiała róże – potem może uda mu się zaprosić ją na kolację. Od dłuższego czasu nie układało się między nimi najlepiej, teraz jednak czuł coś na kształt wyrzutów sumienia.

Wyszedł z budynku prokuratury okręgowej na Podwalu tylnym wyjściem. Samochód zostawił na małym wewnętrznym parkingu. Popatrzył w niebo i się skrzywił. Nie lubił jesieni, a ona nadchodziła nieubłaganie wielkimi krokami. Było szaro i siąpił drobny deszczyk.

Zaabsorbowany własnymi myślami w pierwszej chwili nie dostrzegł Pauliny Czerny. Musiała stać gdzieś z boku i dopiero gdy się do niego zbliżyła, podniósł głowę. Była ubrana w dżinsy, szarą bluzę z kapturem i dżinsową kurtkę. Złapał się na tym, że patrzy na nią z zazdrością. Wciąż mu się podobała. Miał wiele kobiet, lecz Paulina była jedyną, dla której mógłby zostawić rodzinę i zacząć wszystko od nowa. Zaraz jednak takie myśli zgasły jak zdmuchnięty płomień świecy. Pojawił się niepokój.

Trzasnęły drzwiczki zaparkowanego nieopodal auta i wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Wysocki znał ich z wydziału kryminalnego. Rozejrzał się i zobaczył trzeciego. Stał trochę z tyłu, jak gdyby zabezpieczał odwrót. Niepokój przerodził się w strach. Ale Wysocki nie zwykł okazywać słabości.

– Czego, do diabła, chcesz? – warknął.

Paulina stanęła krok przed nim. Patrzyła mu prosto w oczy, rękę nadal trzymała wciśniętą głęboko w kieszenie kurtki. Musiała na niego czekać dłuższy czas. Niesforny kosmyk włosów, który zawsze opadał jej na oczy, był mokry od deszczu.

– Prokurator Dariusz Wysocki? Mam nakaz doprowadzenia pana na przesłuchanie. – Głos miała spokojny i zdecydowany.

Wysocki nagle poczerwieniał na twarzy.

– Co ty pierdolisz?! To jakiś żart?

Wyciągnęła z kieszeni dokument w foliowej koszulce i pomachała mu przed oczami.

– To jest nakaz doprowadzenia wystawiony przez prokuratora Grabskiego i zatwierdzony przez naczelnika prokuratury okręgowej.

Wyrwał jej dokument z ręki i przebiegł go wzrokiem.

– Nie wiem, w co wy gracie – wycedził przez zęby – ale ostrzegam cię, że ty i Grabski jesteście skończeni. Gwarantuję wam to.

Jednym ruchem zabrała mu dokument i znowu schowała do kieszeni.

– Pójdiesz sam czy mamy cię skuć? – zapytała. – Sporo okien wychodzi na tę stronę. Będzie niezły skandal, jeśli ktoś zobaczy prokuratora Wysockiego w kajdankach.

Gdyby jego wzrok zabijał, byłaby martwa.

*

Bożena Wysocka nie bardzo rozumiała, co się dzieje. Na podjeździe jacyś ludzie wypakowywali z furgonetki sprzęt, a przed nią stał

starszy mężczyzna. Wcześniej wylegitymował się jako funkcjonariusz wydziału kryminalnego policji. Nazwisko brzmiało jakoś z niemiecka – nie zapamiętała.

– Mam nakaz przeprowadzenia rewizji w pani domu, wystawiony przez Prokuraturę Okręgową we Wrocławiu – poinformował ją.

Bożena była trochę wstawiona, nie na tyle jednak, by nie zaprotestować.

– To pomyłka – powiedziała słabym głosem. – Mój mąż jest prokuratorem.

– Wiem, proszę pani. Nakaz wystawiony jest na pani męża.

W Bożenę wstąpił bojowy duch.

– Nie macie prawa tu wchodzić! – podniosła głos. – To jest mój dom.

– Proszę mnie wpuścić, radzę po dobroci.

– Bo co mi zrobicie? – Zaśmiała mu się prosto w twarz.

Skrzywił się, czując w jej oddechu alkohol.

– I tak wejdziemy. – Głos policjanta nadal był spokojny i opanowany. – Pani zostanie oskarżona o utrudnianie policji przeprowadzenia czynności służbowych.

– Chcę zadzwonić do męża!

– Obawiam się, że nie będzie mógł teraz odebrać telefonu.

Bożena popatrzyła mu w oczy i nagle zaczęła rozumieć. Ciąg sprzecznych uczuć przeleciał przez jej głowę i wstrząsnął ciałem. Pora zapłacić rachunki – pomyślała. Trzeba wypić beczkę kwasu, którą zgromadziła przez wszystkie lata swoich błędnych życiowych decyzji i nieudanego małżeństwa.

Wpuściła policjantów. Miało być przeszukanie, a oni poszli prosto do garażu, jakby wiedzieli, gdzie szukać, i jakby byli pewni, że znajdą. Jeden z funkcjonariuszy stanął przed niedostępnymi dla niej od długich miesięcy drzwiami do drugiego garażu. Sprawnie podważył je łomem i zamek puścił. Zdażyła tylko zobaczyć ciemne wnętrze i jakieś blachy na podłodze.

– Bardzo proszę opuścić to pomieszczenie. – Młody policjant zagroził jej drogę.

– Ja tylko chciałam...

– Nalegam.

Wysocka wróciła do kuchni. Nalała sobie koniaku do szklanki i piła oparta o kuchenny blat. Ogarnął ją śmiech. Nie była w stanie nad nim zapanować. Prokurator Wysocki o wielkich ambicjach politycznych resztę życia spędzi w pierdlu. Miłośnik kobiecych wdzięków będzie przez najbliższe lata bał się schylić po mydło pod prysznicem. Wybuchnęła jeszcze głośniejszym śmiechem. Jedyna w ekipie policjantka zajrzała do kuchni zaniepokojona i zaraz się wycofała. Ciągle jednak miała Wysocką w zasięgu wzroku.

Bożena podeszła do okna, spojrzała na uschnięty krzak róży znajdujący się teraz na właściwym miejscu i śmiała się, aż łzy popłynęły jej po policzkach.

*

Wysocki czekał na przesłuchanie prawie dwie godziny. Przez ten czas targwały nim sprzeczne uczucia. Raz dopadały go czarne myśli i powtarzał sobie, że to już jego koniec, by zaraz potem na spokojnie przeanalizować okoliczności i dojść do wniosku, że nie mogą mieć na niego dowodów, które pozwoliłyby go skazać. Powtarzał sobie, że musi walczyć. Siedząc na krześle naprzeciw tego, które zajmował przez całą swoją karierę prokuratora, starał się myśleć chłodno. Doskonale wiedział, dlaczego przesłuchanie się przeciąga. W tym czasie ekipa robi przeszukanie w jego domu. Od wyników tego przeszukania zależało wszystko. Mogli znaleźć drobiazgi lub coś, przez co będzie skończony.

Drgnął, kiedy drzwi się otworzyły i weszła Paulina Czerny. A więc skończyli w jego domu. Nie trwało to długo – ocenił. Nie wiedział tylko, co ma o tym sądzić.

Paulina włączyła kamerę i wyrecytowała znaną mu doskonale formułkę. Pouczyła go o prawie do odmowy odpowiedzi, prawie do adwokata i tak dalej. Ble, ble, ble. Sam mówił to setki razy.

I nagle zapadła cisza. Paulina położyła przed sobą teczkę z jakimiś dokumentami i patrzyła mu w twarz. Nie wiedział, czy to pogarda, lekceważenie, czy może triumf. Wiedział, że to tylko zabieg socjotechniczny, żeby go zmiękczyć, jednak po kilkudziesięciu sekundach wbrew sobie poczuł się nieswojo. Co ona wie? Co jest w tej cholernej teście? Paulina wolnym ruchem wyciągnęła z kieszeni chusteczkę higieniczną i przesunęła po stole w jego kierunku.

– Pan się poci, panie prokuratorze – powiedziała.

Prychnął z pogardą.

– Co to ma być? – Postarał się, żeby jego głos zabrzmiał odpowiednio lekceważąco. – Chcesz na mnie zastosować technikę przesłuchań FBI? Żartujesz sobie?

– To będzie wariacja na temat tej metody. – Wbiła w niego nieruchome spojrzenie.

– Długo tak będę siedział? – zniecierpliwził się Wysocki. – Nie mam czasu na gierki, jestem poważnym człowiekiem.

Paulina milczała. Prokurator zerknął w kierunku szyby i krzyknął:

– Przyślijcie tu kogoś, kto ma coś do powiedzenia!

– Co pan robił w nocy z dziesiątego na jedenastego lipca zeszłego roku?

Pytanie wywołało właściwy efekt. Wysocki znieruchomiał zaskoczony.

– Nie pamiętam, co robiłem ponad rok temu – odpowiedział. – Ty pamiętasz, co wtedy robiłaś?

– Przypomnę panu. Był pan na spóźnionych urodzinach jednego z przyjaciół na ulicy Ziemniaczanej.

Wysocki z trudem ukrył zdenerwowanie.

– U Włodzimierza, tak, teraz sobie przypominam – rzucił.

– Czy zna pan Annę Kowal?

Prokurator poczerwieniał na twarzy.

– Co to za szopki? – warknął. – Nie znam Anny Kowal i nigdy nie znałem. Prowadzę śledztwo w sprawie jej zaginięcia.

– Uczestnicy tej samej imprezy, na której pan się bawił, zeznali, że wyszedł pan do domu około pierwszej w nocy.

– Być może. O co chodzi?

– Wsiadł pan do auta pod wpływem alkoholu.

– Odmawiam odpowiedzi!

– Czy tej nocy spotkał pan Annę Kowal?

Wysocki odruchowo sięgnął po leżącą przed nim chusteczkę i zaraz zrozumiał, że popełnił błąd. Rzucił ją ze złością na stół.

– Odmawiam składania wyjaśnień – powiedział, z trudem panując nad nerwami. – Proszę mnie stąd wypuścić. Przesłuchanie jest skończone.

Chciał wstać, lecz Paulina po raz pierwszy podniosła głos:

– Nie skończyłam! – Jej ton sprawił, że Wysocki się nie poruszył.

Wolno otworzyła teczkę. Kładła przed nim po kolei kserokopie dokumentów.

– Tu mam zeznania dwóch bezdomnych, którzy od sierpnia zeszłego roku dostawali od pana złom i różne części, które później sprzedawali w skupie surowców wtórnych. To jest zeznanie właściciela punktu skupu, który potwierdził, że w zeszłym roku przywoził pan złom osobiście. Rozpoznał pana na fotografii. Zapamiętał pana, ponieważ chodzicie w niedzielę na mszę do tego samego kościoła.

Kolejny dokument.

– To wstępna analiza pochodzących od pana blach leżących ciągle w skupie złomu, przeprowadzona przez autoryzowany serwis. Wstępnie potwierdzono, że pochodzą z samochodu marki Honda. Pan zgłosił kradzież hondy crv następnego dnia po imprezie urodzinowej, dzień po zaginięciu Anny Kowal.

Z każdym słowem Wysocki pocił się coraz bardziej. Już nie potrafił ukryć drżenia rąk.

– A to jest raport z naszego laboratorium kryminalistycznego. Na blachach znaleziono ślady krwi. Udało się zidentyfikować jej grupę. Jest taka sama jak grupa krwi zaginionej Anny Kowal. Analiza DNA będzie gotowa za kilka dni. Takie same blachy znaleźliśmy w pana garażu podczas przeszukania zakończonego przed kilkunastoma minutami.

Wysocki oddychał ciężko. Paulina Czerny była wyjątkowo spokojna. Wyciągnęła z teczki ostatnie dwa dokumenty.

– To jest nakaz aresztowania na trzy miesiące oraz pouczenie o uprawnieniach tymczasowo aresztowanego w postępowaniu karnym.

Położyła przed Wysockim długopis.

– Na dole jest miejsce na podpis – zakończyła, wstała i wyszła.

Prokurator Marek Grabski czekał na nią na korytarzu.

– Damy mu kilka minut na zapoznanie się z dokumentami i na refleksję – mruknęła.

– Stawiam kawę. – Spojrzał na nią.

Zatrzymali się na chwilę przy automacie, popijając gorącą kawę z jednorazowych kubków.

– Jak się z tym czujesz? – zapytał Marek.

– Normalnie, tak jakbym zamykała kolejnego zabójcę – odpowiedziała krótko.

– Jeszcze nic mu nie udowodniliśmy.

– A co uważasz?

Marek dopił kawę i pokiwał głową.

– Zrobił to.

Milczeli pogrążeni we własnych myślach. Paulina co chwilę zerknęła na zegarek. Wreszcie zmięła kubek i wyrzuciła go do śmieci.

– Dziesięć minut powinno mu wystarczyć – stwierdziła.

Wolnym krokiem wracała korytarzem do pokoju przesłuchań. Zaniepokoiła się, kiedy zobaczyła uchylone drzwi i pilnujących ich dwóch mundurowych. Stali z boku i rozmawiali, nawet nie patrząc w tamtym kierunku. Poczowała ukłucie niepokoju. Zajrzała do środka.

Papiery leżały na stoliku tak, jak je zostawiła, po Wysockim nie było śladu. Niepokój zamienił się we wściekłość.

– Gdzie jest przesłuchiwany?! – ryknęła na mundurowych.

Dwaj młodzi funkcjonariusze, pewnie świeżo po szkole, spojrzeli na nią zdezorientowani.

– Wyszedł do toalety – wyjaśnił jeden z nich niepewnie.

Myślała, że się przesłyszała.

– Jak to do toalety?! Mielicie go pilnować!

– Ale to był prokurator... – odezwał się drugi.

– Kurwa mać! Choćby to był papież, mieliście go pilnować i nie wypuszczać z tego pokoju! Nie stójcie jak cioty! Szukać go! Zablokować wszystkie wyjścia z budynku!

Minutę później cały budynek policji na Podwalu został postawiony na nogi. Zablokowano wszystkie wyjścia, sprawdzano po kolei wszystkie pomieszczenia. Paulina zbiegła na dół na portiernię przy głównym wejściu.

– Widziałeś prokuratora Wysockiego? – zapytała dyżurnego. – Wychodził z budynku?

– Cholera, nie zauważyłem. – Dyżurny skrzywił się, jakby zjadł coś kwaśnego.

– Co się z wami dzisiaj dzieje, do kurwy nędzy!?! – wrzasnęła wściekła Paulina. – To jakiś zbiorowy pokaz nieudolności?!

– Możemy sprawdzić monitoring – podpowiedział dyżurny.

Pochylili się nad ekranem odtwarzającym obraz z kamery nad samym wyjściem.

– Zatrzymaj!

Sześć i pół minuty wcześniej prokurator Dariusz Wysocki w rozpiętym płaszczu zbiegł po schodach, w drzwiach zerknął jeszcze w samo oko kamery i wyszedł na ulicę. Paulina westchnęła ciężko. Nic gorszego nigdy jej się nie przytrafiło. Bez słowa wyszła z dyżurki, zeszła tymi samymi schodami i stanęła na chodniku. Kilka metrów od niej z hukiem przetoczył się tramwaj. Spojrzała w jedną stronę, potem w drugą. Ani śladu Wysockiego.

Rozdział 52

Odkąd zobaczył na zdjęciu ze stodoły tajemniczą postać, zrobił się wyjątkowo ostrożny. Mimo to nie od razu zorientował się, że ma ogon. Poważnie się zaniepokoił. Doszedł do wniosku, że musi to mieć związek z rozmową na ławce pod katedrą. Czy ten dziwny facet mu wtedy groził? Raczej tak. Groźba została wypowiedziana w formie ostrzeżenia, ale pozostała groźbą.

Salitra nigdy jeszcze nie był w takiej sytuacji. Na początku wydawało mu się, że to nic nadzwyczajnego. Będzie ostrożny, spróbuje się dowiedzieć, kto za nim chodzi, a jeśli się nie uda, zgłosi się na policję. Dał sobie trzy dni. Już pierwszego dnia okazało się, że świadomość bycia obserwowanym jest trudna do zniesienia. Szybko zaczął wpadać w paranoję. Wszyscy wydawali mu się podejrzani, wszędzie widział potencjalne zagrożenie. Wieczorem był tak wykończony psychicznie, że przed zaśnięciem wypił dwie setki wódki.

Następnego dnia zadzwonił do znajomych w policji. Otrzymał informację, że nie ma na niego oficjalnego zlecenia i musi szukać gdzie indziej. Dał znać w redakcji „Gazety Wrocławskiej”, a oni skontaktowali go z prywatnym detektywem – byłym gliną, specjalistą od takich spraw. Ale detektyw był akurat w Warszawie i wracał za dwa dni. Salitra porozmawiał z nim telefonicznie. Dostał kilka cennych rad, jak sprawdzić, czy nie ma się ogona, jak zgubić śledzących, jak sprawdzić, czy w domu nie ma podsłuchów, co zrobić, żeby nikt nie mógł podsłuchać jego rozmów przez telefon

komórkowy. Wreszcie – w jaki sposób zabezpieczyć mieszkanie przed wizytą nieproszonych gości.

Sprawdził dokładnie mieszkanie. W miejscach wskazanych przez specjalistę niczego nie znalazł. Trochę mu ulżyło. Potem pochodził po sklepach z akcesoriami do telefonów komórkowych i do południa miał telefon zabezpieczony przed przejęciem sygnału przez osoby znajdujące się w pobliżu. Znalazł się w świecie, którego jeszcze nie poznał – świecie śledzących i śledzonych, podsłuchujących i podsłuchiwanym. Dopisał taki pomysł do swojej listy tematów na przyszłość.

Trzeciego dnia go zobaczył. Faceta z ławki. Tamten jechał za nim samochodem, a potem tak jak Salitra krążył po Centrum Handlowym „Borek”. Dziennikarz wypróbował wszystkie metody na zgubienie śledzącego, za każdym razem jednak już po kilku minutach facet wracał.

Jakbyśmy byli połączeni gumką od majtek – wściekał się Krzysztof i pomyślał, że musi po prostu odpuścić.

Tego dnia do Wrocławia przyjechali jego dobrzy znajomi z Poznania. Zjedli obiad w restauracji browaru Spiż mieszczącego się pod budynkami Ratusza, długo gawędzili przy kawie, potem mimo brzydkiej pogody Salitra pokazał im kilka ciekawych miejsc w centrum miasta, a na koniec trafili do pubu przy Legnickiej. Wreszcie przed dwudziestą odwiózł ich na dworzec Mikołajów, skąd mieli InterCity do Poznania.

Salitra wracał wolno do samochodu zaparkowanego na ulicy Stacyjnej, tuż przy nasypie kolejowym. Miło spędzony czas sprawił, że na kilka godzin zapomniał o swoich problemach. Teraz spróbował zlokalizować śledzącego. Pomyślał z ponurą satysfakcją, że dochodzi do perfekcji. Mężczyznę z ławki zobaczył już po kilkunastu sekundach – facet siedział w aucie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy. Jadł kanapkę i popijał wodą z butelki.

– Przepraszam, mógłby mi pan pomóc? – Głos z boku zaskoczył Salitrę.

Dziennikarz tak się skupił na śledzącym go mężczyźnie, że nie zwracał uwagi na to, co dzieje się wokół niego.

– Słucham? – rzucił zdziwiony.

Dwa samochody za jego ffordem stało zaparkowane auto z otwartym bagażnikiem. Kierowca stał obok i uśmiechał się do niego przepaszając. Ubrany był w czapkę z daszkiem i dżinsową bluzę. Był wysoki i dobrze zbudowany.

– Zupełnie nie mogę sobie z tym poradzić – powiedział. – Może pan coś wymyśli...

– A co się stało? – zainteresował się Salitra.

– No właśnie nie wiem...

Dziennikarz podszedł zaciekawiony do auta. Bagażnik był pusty. Spojrzał na kierowcę.

– Nie rozumiem...

Zdażył powiedzieć tylko te dwa słowa. Nieznajomy mężczyzna przyłożył mu paralizator do piersi i uwolnił impuls elektryczny. Salitra drgnął konwulsyjnie i w ułamku sekundy stracił kontakt z rzeczywistością. Nie czuł, że został wrzucony do bagażnika, i nie słyszał, kiedy kłapa zatrzasnęła mu się nad głową.

*

Cichocki był głodny jak jasna cholera. Uświadomił to sobie, gdy dobiegł go przeraźliwy jęk zatrzymującego się na dworcu kolejowym Mikołajów pociągu. Chwilę się jeszcze wahał, lecz głód zwyciężył. Sięgnął do leżącej na siedzeniu pasażera torby i wyjął ostatnią kanapkę. Rozpakował ją ze srebrnej folii i obejrzał nieufnie. Zajrzał do środka i powąchał. Nie pamiętał, żeby robił sobie dzisiaj kanapkę z żółtym serem. Może była z wczoraj? Wyglądała na jadalną, więc zatopił w niej zęby. Był w połowie, kiedy zobaczył Salitrę. Dziennikarz wyszedł z budynku dworca kolejowego jako jeden z ostatnich. Rozejrzał się po zaparkowanych po obu stronach ulicy samochodach i jego wzrok spoczął na Cichym. Ten nie przestawał

jeść kanapki, chociaż przeklinał w duchu. Któryś z jego poprzedników spaprał sprawę i zdekonspirował obserwację.

Cóż, teraz już za późno. Jadł więc kanapkę i popijał wodą z butelki. Przez moment miał wrażenie, że Salitra podejdzie do jego samochodu i zapuka w szybę. Był przygotowany na taką sytuację. Po prostu wyciągnie wówczas policyjną blachę i powie Salitrze, że mimowolnie został przynęta.

Dziennikarz jednak poszedł do swojego auta. Naraz umazany masłem kawałek sera w sobie tylko znany sposób wypadł z kanapki i upadł Cichockiemu na spodnie.

– Jasna cholera! – zaklął i zaczął czyścić spodnie chusteczką.

Podniósł wzrok i zamarł. Dziennikarza nie było. Wytrzeszczył oczy, nie bardzo wierząc w to, co widzi. Auto Salitry stało na swoim miejscu, w środku nikogo nie było, a Salitra wyparował jak kamfora. Coś się Cichemu nie spodobało. Widział, jak wysoki mężczyzna w czapce z daszkiem dwa auta dalej zatrzaskuje bagażnik, rozgląda się, po czym wolno wsiada do granatowego passata. Nagle policjant zrozumiał. Bagażnik!

Wyrzucił kanapkę przez uchylone okno, włączył silnik swojej skody i czekał. Tamten wrzucił kierunkowskaz i wolno włączył się do ruchu. Cichy odczekał dwie sekundy i ruszył za nim. Przyjrzał się uważnie jadącemu z przodu pojazdowi. W środku siedziała jedna osoba, facet w czapce z daszkiem. Gdzie był Salitra? Przez chwilę Cichy pomyślał, że w taki sposób dziennikarz chce zgubić ogon. Porozumiał się ze znajomym i ten próbuje go wywieźć niezauważonego. Nie, bez sensu. W bagażniku?

*

Zakrzewski przerwał połączenie i wstał z krzesła. Nie wyszedł jednak z pokoju, ponieważ Ilona stanęła w drzwiach. Zdał sobie sprawę, że oni wszyscy słyszeli jego rozmowę z Cichym. Salitra, bagażnik, porwanie?

– Szefie, nie mówisz nam wszystkiego – stwierdziła Ilona, patrząc mu prosto w oczy.

Marcin się rozejrzył. Karina pokazała mu krótkim skrzywieniem ust, że teraz nie wymiga się od wyjaśnień. Marcin przypomniał sobie obietnicę złożoną Grabskiemu. Miał nie grać solo, tylko być szefem grupy i motywować ich do zespołowego działania. Tyle że jak dotąd pracował sam, ewentualnie współpracował z jedną osobą – najdłużej ze Stefanem Sroką, potem z Pauliną, niedawno z Parolem Szawczakiem.

– Nie mogę was w to mieszać – spróbował się jeszcze wykręcić.

– Ale my tego chcemy. – Ilona nie ustępowała. – Skąd na komputerze na osiedlu Malowniczym wziął się ten plik z researchem dotyczącym twojej osoby?

– Nie mogę teraz. – Próbował ominąć Ilonę, ale mu nie pozwoliła.

– Powiedz nam w dwóch słowach.

– W dwóch słowach się nie da. Słuchajcie, ktoś wpakował redaktora Salitrę do bagażnika auta i wywozi go w nieznane. Śledzi go policja miejska. Albo jedziecie ze mną, albo nie. Decyzja.

– Jedziemy – rzucił Adam, wstając z krzesła.

Po chwili zbiegali na parking do samochodu.

*

Granatowy passat skręcił ze Stacyjnej w lewo w Legnicką. Jechał na tyle wolno, że skoda Cichego natychmiast zwróciłaby uwagę kierowcy. Na szczęście między nimi znalazł się autobus linii 122. Na wysokości centrum handlowego Magnolia passat przyspieszył i zmienił pas na środkowy. Cichocki jechał jeszcze jakiś czas prawym i zmienił na środkowy dopiero po kilku sekundach, przed samymi światłami przy Magnolii. Był dwa auta za passatem.

Przez krótkofalówkę połączył się z dyżurnym w komendzie miejskiej i powiadomił o prawdopodobnym porwaniu. Policja szykowała blokady, a nieoznakowane samochody z policjantami

wyruszyły za nimi. Cichy wiedział, że może minąć dobrych kilkanaście minut, zanim jego koledzy będą gotowi wkroczyć do akcji. Przez ten czas nie mógł zgubić passata.

Na skrzyżowaniu z obwodnicą śródmiejską skręcili w lewo na ulicę Na Ostatnim Groszu i pojechali w kierunku estakady. Zrobiło się już naprawdę ciemno. Dobrze, że przynajmniej przestało padać. Zjechali z Gądowianki.

Cichy przez cały czas informował policję, którędy jadą. Zakrzewski był już blisko. Na razie trudno było określić, dokąd kieruje się mężczyzna w passacie. Może krążył po mieście, żeby upewnić się, że nikt go nie śledzi?

Strzegomska przeszła w Robotniczą. Po prawej stronie mijali tereny przemysłowe należące kiedyś do Pafawagu, największej fabryki wagonów kolejowych w Polsce. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku większość budynków pofabrycznych przeszła w prywatne ręce. Po remontach i przebudowach mieściły się tutaj dziesiątki firm produkcyjnych, hurtowni i magazynów, a nawet szkoła bankowa. Mimo to zostały jeszcze miejsca, które zarastały trawą i krzakami, część budynków niszczała, nie znalazłszy nowych właścicieli.

Cichy w ostatniej chwili zorientował się, że passat kieruje się w takie właśnie miejsce. Przed przejazdem kolejowym na Robotniczej kierowca nieoczekiwanie skręcił w prawo i pojechał drogą okalającą tereny przemysłowe wzdłuż torów kolejowych. Droga była wąska, na jedno auto, asfalt w pewnym momencie się kończył. O tej porze nikt tędy nie jeździł. Cichy zaklął pod nosem, zgasił światła w swojej skodzie i dopiero po kilku długich sekundach zdecydował się ruszyć za śledzonym autem.

*

Było już zupełnie ciemno. Jechali bez świateł ulicą między torami kolejowymi a terenami po Pafawagu. Droga robiła się coraz gorsza,

w pewnej chwili skręcała w prawo i kończyła się na szlabanie. Prowadzący auto Wiliczkowski zwolnił i spojrzał pytająco na siedzącego obok Zakrzewskiego.

– Jedź prosto – nakazał Marcin. – Tu jest utwardzona droga, tylko zarosła trawą.

Adam z wahaniem wrzucił bieg. Zakrzewski się nie mylił. Trawa szorowała o podwozie, ale jechali bez przeszkód. Zresztą niedługo przed nimi musiały jeździć tędy inne auta. Po chwili zatrzymali się za blokującą przejazd skodą Cichockiego. Zanim wysiedli, Marcin wstrzymał ich ruchem ręki.

– Wszyscy mają broń? – upewnił się. – Pamiętajcie, żadnych nieprzemyślanych decyzji – ostrzegł. – Facet, którego ścigamy, może być bardzo niebezpieczny. Jeśli coś pójdzie nie tak, natychmiast się wycofujemy. Czy to jest jasne?

– Tak, szefie.

Marcin poszedł przodem. Prowadził ich zgodnie z instrukcjami, które przez telefon przekazał mu Cichy. Na razie wszystko się zgadzało. Minęli skodę, potem skręcili w prawo i przez dziurę w ogrodzeniu weszli na teren przemysłowy. Tu było jaśniej. Drogi w oddali, hale produkcyjne i magazynowe oraz przylegające do nich parkingi były oświetlone. Trafili na wielki magazyn i przeszli gęsiego wzdłuż jego ściany ścieżką wydeptaną przez pracowników. Nieco dalej, na parkingu ze szlabanem, stało kilka firmowych samochodów. Z budki przy szlabanie wyszedł przestraszony dozorca po sześćdziesiątce.

– Co tu robicie? – zapytał niepewnie.

W zaciśniętej dłoni trzymał pojemnik z gazem do samoobrony. Marcin obrzucił go krytycznym spojrzeniem i pokazał mu odznakę.

– Policja! Proszę wrócić do stróżówki, zgasić światło i nie wychodzić stamtąd pod żadnym pozorem – nakazał. – Proszę do nikogo nie dzwonić.

Dozorca pokiwał głową z przejęciem, wrócił do siebie i zgasił światło.

Przeszli pod szlabanem i znaleźli się na drodze wyłożonej betonowymi płytami. Tutaj już nie docierały światła. Po obu stronach rosły krzaki i drzewa. Dopiero jakieś dwieście metrów dalej widać było jasno oświetlony nowy budynek biurowy. Ruszyli skrajem drogi w tamtym kierunku. Betonowe płyty zmieniły się w dziurawy asfalt. Z lewej strony dochodził ich monotony dźwięk maszyn, któraś z firm produkcyjnych musiała pracować na nocną zmianę. Dolatywały ich od czasu do czasu ludzkie głosy, między krzakami widać było światła.

Padający cały dzień deszcz przestał siąpić, chmury rozstały się i wyrzął blady księżyc. Temperatura spadła, przy każdym oddechu z ust wydobywała się mgiełka pary wodnej.

Doszli do małego, pomalowanego na biało budynku z wybitymi i częściowo zamurowanymi oknami. Marcin w ciemnościach dostrzegł ognik papierosa. Po chwili otoczyli Cichego półkolem.

– Jak sytuacja? – rzucił Zakrzewski.

Cichocki wskazał ciemną bryłę dawnej kotłowni. Budowla z czerwonej cegły miała około trzech pięter wysokości. Wąskie, podłużne okna zaczynały się gdzieś ponad pierwszym piętrem i ciągnęły pod sam dach. Budynek wyglądał na nieużywany od lat.

– Chyba są w środku – wyjaśnił Cichy. – Nie mam pewności, czy Salitra został porwany, czy poszedł tam z własnej i nieprzymuszonej woli. Wszystko zdarzyło się bardzo szybko. Zanim tu przyjechali, kluczyli trochę po mieście, jakby chcieli zgubić ogon.

– Podejrzewasz ustawkę?

Cichy zapalił kolejnego papierosa. Stali z drugiej strony białego budynku, nie było ich widać nawet od strony kotłowni.

– Nie wykluczam. Salitra mógł się umówić na spotkanie z tym Obserwatorem, a szopka z bagażnikiem byłaby tylko zasłoną dymną.

– Jest ktoś jeszcze oprócz nas?

– Mamy kilka samochodów policyjnych. Kazałem zabezpieczyć wszystkie ulice, które odchodzą z tego miejsca, ale nie ma nas zbyt

dużo – wyjaśnił Cichy.

– J-jasne. Jak można wejść do środka?

– Obszedłem budynek. Od północnej strony jest drabinka na ścianie, ale nie wykluczam, że można się dostać do środka w innym miejscu. Jest ciemno.

– Od jak dawna tam są?

– Od trzydziestu, może czterdziestu minut. To co robimy?

Zakrzewski natychmiast podjął decyzję.

– Wejdę do środka, a wy zabezpieczycie budynek ze wszystkich stron – zarządził.

– Idę z tobą – powiedziała Karina.

Spojrzał jej w oczy i skinął głową.

– Dobrze, ale nic bez mojego rozkazu.

Metalowa drabinka wmurowana w ścianę i zabezpieczona metalowymi obręczami zaczynała się trzy metry nad ziemią. Długi z Wiliczkowskim najpierw podsadzili Marcina, potem Karinę.

Wejście znajdowało się na wysokości drugiego piętra. Na szczęście drzwi były zniszczone i trzymały się tylko na jednym zawiasie. Marcin wcisnął się do środka i podał dłoń Karinie. Znieruchomieli po obu stronach wejścia. Przez podłużne okna wpadało trochę światła, więc zaraz zorientowali się, że wewnątrz jest pusto. Być może kiedyś były tu jakieś maszyny albo piece wysokie na dwa piętra. Wokół ścian biegło kilka pomostów połączonych ze sobą skomplikowaną siecią wąskich betonowych schodów.

Oboje jak na komendę wyciągnęli i odbezpieczyli broń. Wsłuchiwali się w panującą wewnątrz ciszę. Zaraz jednak do uszu Marcina dobiegł głos. Ktoś powiedział coś niezrozumiale, a potem rozległ się stłumiony krzyk. Być może było to wołanie o pomoc, jednak odbiło się w pustym wnętrzu wielokrotnym echem i nie dało się zrozumieć słów.

Marcin nachylił się do Kariny.

– Zostań tu i ubezpieczaj wyjście – nakazał.

– A ty? – zapytała, ale on już zniknął w ciemnościach.

*

Ilona drgnęła. Wydawało jej się, że ze środka dobiegł krzyk człowieka.

Przyczajona pod krzakiem leszczyny, wpatrywała się w ścianę i podłużne, nieoświetlone okna. Z tej strony szyby były nienaruszone. Próbowwała liczyć sekundy, wsłuchując się w bicie swojego serca. Trzy uderzenia to były dwie sekundy.

Dostrzegła ruch przy ścianie. Nie wiadomo skąd pojawiła się ciemna postać. Widocznie w tym miejscu musiało być zamaskowane wyjście z budynku. Wysoki mężczyzna stał nieruchomo, jakby nasłuchiwał. Albo... węszył. Ilonie skojarzył się z Nazgulami z Władcy pierścieni. Z trudem przegoniła tę wizję. Uspokoila oddech i zacisnęła dłonie na rękojeści pistoletu.

W tym samym momencie księżyc zaszedł za chmury i zrobiło się ciemniej. Postać skryła się w mroku. Ilona spojrzała z nadzieją w niebo i jej niema prośba została przez kogoś wysłuchana. Znowu wyszedł księżyc. W srebrnej poświacie postać nie wydawała się już tak wysoka jak poprzednio.

Nagle mężczyzna zaczął się przesuwac wzdłuż ściany. Ilona wyszła z ukrycia, zachodząc go od tyłu. Był teraz niecałe pięć metrów od niej.

– Policja! – krzyknęła. – Nie ruszaj się! Ręce nad głowę!

Mężczyzna zatrzymał się, ale nie wykonał jej polecenia. Zamienił się w słup soli.

– Policja! Ręce nad głowę! – powtórzyła.

Znowu żadnej reakcji.

– Długi, mam go! – wrzasnęła. – Pomóż!

Mężczyzna drgnął i podniósł głowę, jak gdyby dopiero teraz się zaniepokoił.

– Długi, uważaj, on jest jakiś dziwny!

Od południowej strony budynku nadchodził Mariusz Krawiec. Nastąpiła w nim trudna do zidentyfikowania zmiana. Kiedy się

zbliżył, zrozumiała, że chyba nie miał w uszach słuchawek, a w dłoni zamiast telefonu ścisnął walthera.

Szedł dokładnie naprzeciw niej i zdała sobie sprawę, że popełnił zasadniczy błąd. Oboje stali teraz na linii swojego strzału. Niech to szlag – pomyślała Ilona. Jak nowicjusze.

Zaczęła wolno przesuwać się w bok, żeby znaleźć się jak najdalej od ściany.

Zrobiła jeden krok, potem drugi, przy trzecim zahaczyła o coś butem. Na chwilę straciła równowagę. W tym samym momencie księżyc schował się za chmurami i znowu zrobiło się ciemniej. Dziwny facet jakby czekał na ten znak. Nagle wystartował w stronę Długiego, wprost pod lufę jego pistoletu. Manewr wyglądał na kompletnie zwariowany, wręcz samobójczy. W rzeczywistości taki nie był. Widząc szarżę napastnika, Mariusz zaklął i nacisnął spust. Dwa strzały, jeden po drugim, przerwały nocną ciszę i poniosły się echem po okolicy. Ilona nadal nie była pewna, czy nie znajduje się na linii strzału, więc w ułamku sekundy rozłożyła się na ziemi, klnąc pod nosem.

Domyśliła się, że Długi spanikował i zerwał oba strzały. Zobaczyła za to, że napastnik rzucił się w bok, przetoczył po ziemi i sekundę później skoczył na młodego policjanta. Zdążyła zauważyć, że Długi, pchnięty z wielkim impetem, leci na ścianę, odbija się od niej, pada w trawę i nieruchomieje. Napastnik pobiegł dalej, przedzierając się przez zarośla. Poderwała się i strzeliła za nim bez większej nadziei, że trafi. Bardziej chodziło jej o to, żeby ponowić alarm. Policję obstawiającą teren już wcześniej zaalarmowały strzały Długiego i teraz Ilona Marzec słyszała samochody zatrzymujące się gwałtownie przy budynku, trzask drzwiczek i nerwowe nawoływania.

– Od zachodniej strony! – krzyknęła. – Ucieka na zachód!

Pobiegła za mężczyzną, który już zniknął między krzakami. Widziała kilku innych policjantów nadbiegających ze wszystkich stron. Tamten nie mógł uciec, był otoczony. Stojący w pobliżu Ilony

Cichocki pokazał wszystkim na migi, żeby stopniowo zacieśniali krąg.

Ilona nie poszła jednak z nimi. Przypomniała sobie, że pod murem zostawiła Długiego.

Znalazła go w tym samym miejscu. Siedział w trawie i rękami ścisnął głowę. Całą twarz miał we krwi. Przypadła do niego.

– Co z tobą?!

– Chyba rozbiłem głowę o ten pieprzony mur. – Głos miał słaby i niewyraźny.

– Na szczęście tylko tyle. – Odetchnęła z ulgą.

Wyciągnęła telefon i zadzwoniła do dyżurnego, żeby wezwał pogotowie.

– Trafiłem go? – zapytał Długi, kiedy skończyła rozmawiać.

– Kurwa, prędzej mnie byś ustrzełił niż jego – warknęła.

Naraz uświadomiła sobie, że w obławie nie widziała Wiliczковского. Szybko przeszła na południową stronę budynku, gdzie swoje stanowisko miał Adam.

Zawołała go półgłosem, nikt nie odpowiedział.

Księżyc znowu wyszedł zza chmury i wtedy zobaczyła, co się dzieje. Nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od niej, już bardzo blisko drogi, przesuwała się szybko pokraczna postać uciekającego. Nagle z boku wyskoczył na niego Wiliczkowski. Zwarli się na chwilę, widziała, że Adam próbuje tamtego obezwładnić. Ale mimo że od lat uprawiał sztuki walki i był w tym naprawdę dobry, nie mógł sobie poradzić. Jego ciosy trafiały w próżnię albo były skutecznie parowane. Ilona widziała, że Wiliczkowski przegrywa. Rzuciła mu się na pomoc.

Była już niedaleko, gdy w świetle księżyca coś błysnęło i Adam upadł na kolana. Napastnik uwolnił się od niego, rzucił się do ucieczki i zniknął w ciemnościach.

– Adam?

Wiliczkowski dźwignął się i jak nieprzytomny ruszył przed siebie na uginających się nogach.

– Adam! – krzyknęła głośniej.

Nie słyszał jej albo nie chciał słyszeć. Szedł dalej, był już prawie pod lampą przed policyjnymi autami.

Ilona zatrzymała się na chwilę w miejscu walki. Na ziemi leżały dwie plastikowe protezy przedramion. Przyjrzała im się zaskoczona. To nawet nie były protezy. Przypominały raczej ręce manekinów z wystaw sklepów z odzieżą. Były pożółkłe i brudne. Miejscami pokrywały je czarne plamy – Ilona domyśliła się, czym są.

Popędziła za Wiliczkowskim.

– Adam! – krzyknęła, a w jej głosie zabrzmiał już tylko strach.

Ten błysk w świetle księżyca...

Zanim go dogoniła, upadł na kolana, a potem na twarz. Uklęka przy nim i odwróciła go na plecy. Przyciskał obie dłonie do piersi. Był przeraźliwie blady i zalany krwią.

– Adam, wytrzymaj! Niedługo przyjedzie pomoc.

Jęknął, kiedy położyła jego głowę na swoich kolanach. Oczy zaczęły mu się zamykać.

– Zostań ze mną, Adam, nie zasypiaj!

Spojrzał na nią, a później jego powieki zamknęły się niczym stalowe wrota.

*

Salitrę obudził ból. Przy każdym oddechu płuca piekły go żywym ogniem, serce biło dziwnie nieregularnie, co chwilę inną partię mięśni łapały skurcze. Wtedy jęczał i zwijał się w kłębek. Wreszcie otworzył oczy. Widział tylko białe plamy, więc szybko zacisnął powieki. Po kilku próbach wzrok wyostrzył mu się na tyle, żeby rozpoznać szczegóły wokół. Może jednak nie warto było otwierać oczu? Jego sytuacja przedstawia się raczej tragicznie.

Leżał na boku z policzkiem przyciśniętym do chłodnej betonowej podłogi. Musiała mieć już swoje lata, beton kruszył się, zmieniając w kurz. Salitra wciągał ten kurz przez usta do płuc, stąd ten

nieprzyjemny ból. Z wysiłkiem przewrócił się na plecy i nad głową zobaczył żółtą żarówkę. Po jego mięśniach znowu przeszły fale bolesnych skurczów.

Spróbował wyciągnąć dłonie spod pleców, szarpnął się kilka razy, zanim zrozumiał, że ręce ma skrępowane. Kurwa, co się stało? – pomyślał, rozpaczliwie wyężdżając pamięć. Bezskutecznie. Nic nie potrafił sobie przypomnieć. Ostatnie jego wspomnienia były z peronu dworca Mikołajów. Pamiętał odjeżdżający pociąg i kamienne strome schody prowadzące do tunelu. Zaraz, zaraz. Jakiś mężczyzna w czapce o coś go zapytał. I jeszcze coś! Coś słyszał. Skoncentrował się na tym dźwięku. Silnik samochodu. Jakby jechał taksówką przez pół miasta. Przynajmniej tak mu się śniło. Wnioskując ze swojego obecnego położenia, stwierdził, że to jednak nie była taksówka.

Ciemna postać nachyliła się nad nim.

– Obudziłeś się.

Stanowczy, lekko zachrypnięty głos. Raczej stwierdzenie niż pytanie. Nie odpowiedział, miał dziwne przeświadczenie, że jeśli się odezwie, tylko pogorszy swoją sytuację.

– Obudziłeś się. – Tym razem słowa zabrzmiały jak warknięcie.

Silne dłonie chwyciły Salitrę, podniosły z ziemi i rzuciły pod ścianę. Z trudem stłumił okrzyk. Uderzył głową o mur, z rozcięcia natychmiast popłynęła krew i zalała mu oczy. Stłuczone przy upadku mięśnie skurczyły się boleśnie. Uplęły długie sekundy, zanim odzyskał świadomość i ostrość widzenia. Siedział przy ścianie. Wysoki mężczyzna krążył przed nim nerwowo, za jego plecami był tylko mrok, ale Salitra czuł, że znajdują się w wielkim pomieszczeniu. Każdy odgłos rozchodził się echem.

Nie widział dokładnie twarzy napastnika. Lampa wisiała tuż nad jego głową i rzucała niespokojne cienie, kiedy on ciągle chodził tam i z powrotem.

– Każdy popełnia w życiu błędy. – Cztery kroki w jedną stronę, pięć w drugą i znowu zachrypnięty głos, przesiąknięty jakimś

niedobrym uczuciem. Nienawiścią? – Niektóre błędy popełnione przez kogoś są dla innych zbawienne. Dla mnie zbawienne są twoje błędy. Nie wiem, dlaczego mnie szukałeś, ale nawet dobrze się złożyło. Ja nie musiałem szukać ciebie.

Znowu nachylił się nad Salitrą, podniósł go i cisnął na drugą stronę. Krzysztof upadł twarzą na beton. Leżał oszołomiony. Patrzył, jak krew z rozbitego nosa i warg kapie na posadzkę i wsiąka w pokruszoną wierzchnią warstwę. Z trudem przekręcił się na plecy.

Teraz rytm kroków się zmienił – cztery w jedną stronę, cztery w drugą, a potem kółko. Pierdolnięty psychopata z ADHD. I nagle napastnik stanął w miejscu.

– Kiedy szuka się Obserwatora, można przez przypadek spotkać Śmierciora.

Salitra drgnął przestraszony. Śmiercior! Im dłużej przyglądał się dziwnej kreaturze, tym bardziej był przekonany, że rozpoznaje tę postać. Już kiedyś ją widział. Umysł owładnięty strachem pracował na spowolnionych obrotach, skojarzenie przyszło jednak natychmiast.

– Wiem, do kogo jesteś podobny – wyszeptał dziennikarz trochę bez sensu.

Śmiercior znieruchomiał, jakby zaskoczony. Jednym skokiem znalazł się przy Salitrze. Krzysztof zmrużył oczy, lecz pod światło znowu nie udało mu się zobaczyć jego twarzy.

– Wiesz, co jest najgorsze? – syknął mu do ucha głos wywołujący ciarki na plecach. – Robaki. Kiedy jest się martwym, najgorsze są robaki, które chodzą ci pod skórą i wyjadają ciało.

Odwrócił się, odszedł kilka kroków i zaraz wrócił.

– Od dawna jestem martwy i dzisiaj pokażę ci swoje prawdziwe oblicze. Będziesz miał szansę pomóc mi na chwilę uśmierzyć mój ból i zabić robaki, które zżerają mnie od środka.

Salitra z przerażeniem poznał te słowa.

Śmiercior zdarł z siebie koszulę i pokazał Salitrze swoje ciało. Dziennikarz poczuł nagle, jak ślina wypełnia mu usta. Omal nie

zwymiotował.

Śmierciór dźwignął go na nogi i poprowadził w kąt pomieszczenia. Zanim Krzysztof zdążył się zorientować, na szyi miał już pętlę. Spojrzał w górę. Lina była przerzucona przez hak wbity w sufit. Śmierciór podsunął mu pod nogi zdezelowaną drewnianą skrzynkę.

– Wchodź!

Salitra próbował protestować. Tamten jednak naciągnął linę i dziennikarz stracił na sekundę oddech. Pociemniało mu w oczach. Posłusznie wszedł na skrzynkę. Cienkie sklejki zaskrzypiały ostrzegawczo.

Śmierciór przywiązał koniec liny do rury wychodzącej ze ściany. Podeszedł do niego i znowu zajrzał mu w twarz. Tym razem Salitra mógł się jej dokładnie przyjrzeć. Pozbawiona wyrazu woskowa maska. Oczy nieruchome i puste w środku.

– Pora się pożegnać. – Sięgnął Krzysztofowi do policzka, stał dwoma palcami strużkę krwi i oblizął z mlaśnięciem. Potem nagle zniknął.

Salitra stał na skrzypiącej skrzynce, która mogła się załamać w każdej chwili, ręce miał związane na plecach, lina zaciskała mu się na szyi. W panice zastanawiał się, co robić. Skrzynka trzeszczała mu pod stopami i stawała się coraz mniej stabilna. Próbował stanąć bliżej rogów, ale wtedy jedna listewka pękła. Myślał, że już po nim, ale na szczęście reszta utrzymała jego ciężar. Postanowił się nie ruszać. Nie wiedział, ile czasu upłynęło. Sekundy, może minuty. Cały zdrętwiał w niewygodnej pozycji. Długo tak nie wytrzymam – ocenił. Mięśnie ciągle miał napięte po impulsie elektrycznym z paralizatora.

– Ratunku!!! – wrzasnął najgłośniej, jak potrafił. – Niech ktoś mi pomoże! Jest tu ktoś? Ratunku!

Krzyczał przez chwilę, potem nasłuchiwał. Za każdym razem, gdy echo cichło, odpowiadała mu cisza. Pozostało tylko czekać i liczyć na cud.

Mówią, że w takich chwilach przed oczami przelatuje całe życie. Krzysztof nie widział nic. Nie potrafił sobie nawet przypomnieć, jak

wyglądała jego ukochana siostra Kasia. Był niewierzący, lecz teraz miał nadzieję, że być może już za chwilę się z nią spotka. Górę nad obojętnością wzięła złość. Nie może tak skończyć, nie tu i nie w taki sposób. Nabrał do płuc powietrza, żeby znowu zawołać o pomoc.

Wtedy skrzynka załamała się pod nim z trzaskiem.

29 lat wcześniej

Kościół jest pełen ludzi. Wszyscy ubrani na czarno, z poważnymi minami. W pierwszych rzędach przed otwartą trumną siedzi zapłakana rodzina, dalej koleżanki i koledzy ze szkoły. Z tyłu tłoczą się mieszkańcy i przypadkowi ludzie, którzy przyjechali z okolicznych miejscowości wiedzeni ciekawością.

Śmierć Dorotki wstrząsnęła senną podwrocławską gminą Miękinia. O niczym innym nie rozmawiało się od ponad tygodnia.

On zapamiętuje, że najczęstszym słowem, jakie słyszy z ust dorosłych, jest określenie „bezsensowna” odmieniane we wszystkich przypadkach. Śmierć dziewczynki jest aktem bezsensownej przemocy, nie ma sensu, graniczy z bezsensem i w ogóle jest największym bezsensownym bezsensem pod słońcem. Przecież była taka ładna, inteligentna, miła, wszyscy ją lubili, kłaniała się na ulicy starszym, dobrze się uczyła, należała do harcerstwa, udzielała się w kościele parafialnym, była zawsze naj.

– Podobno ją zgwałcili i potem zabili, żeby na nich nie doniosła. – Gruba baba mówi tak do ekspedientki konspiracyjnym szeptem.

– Ale kto niby ją zgwałcił? – pyta ekspedientka naiwnie.

– Jak to kto?! – wykrzykuje gruba baba i zaraz zasłania usta dłonią. – Te diabły z domu dziecka! Nigdy nie dostali porządnie w skórę od rodziców, a te komunisty chowają ich na bezbożników! Pewnie do tego diabłu oddają cześć.

– Chryste Panie! W imię Ojca i Syna! – Ekspedientka żegna się szybko i wtedy w drzwiach dostrzega jego. – A ty czego tu szukasz?

– warczy jak wściekła wilczyca, pokazując w grymasie żółte zęby, wśród których błyska srebrna koronka na dolnej trójce.

– Oranżadę.

Płaci i wychodzi, czując na sobie ich nieprzyjazne spojrzenia. Pewnie i jego podejrzewają o współudział. A przecież jest niewinny.

Nie rozpacza po śmierci Dorotki. Przeciwnie – jest szczęśliwy, wesół, wprost nie może usiedzieć w miejscu z radości. Dorotka jest martwa tak jak on! Teraz nareszcie będą mogli być razem. Teraz ona zrozumie wszystko i spojrzy na niego z innej perspektywy. Będą do siebie idealnie pasować.

Pierwszy raz w życiu czuje się szczęśliwy.

W kościele stoi razem z młodzieżą szkolną, ale trochę z tyłu. Patrzy z daleka na otwartą trumnę i nie może się powstrzymać od uśmiechu. Pochyla twarz, żeby tylko nikt nie zobaczył, że tak naprawdę nie płacze, ale się śmieje jak obłąkany.

Potem do trumny ustawia się kolejka ludzi. Chcą ostatni raz spojrzeć na Dorotkę, dotknąć jej zimnej skóry, pocałować ją w czoło, pożegnać i zapamiętać jak najlepiej. Kiedy wreszcie przychodzi kolej na niego, zatrzymuje się chwilę onieśmielony.

Dorotka wygląda cudownie. Oczy ma przymknięte, rozkosznie blade policzki i czarne, krótkie włosy ładnie zaczesane na bok. Specjaliści z domu pogrzebowego posmarowali jej usta szminką, chcąc zamaskować siność warg, a szyję mocno przypudrowali, ale spod grubej warstwy talku widać szarą obwódkę w miejscu, gdzie zacisnął się pasek do spodni.

„Do zobaczenia wieczorem” – szepce bezgłośnie i znowu wpycha sobie pięść do ust, żeby się głośno nie roześmiać. Z daleka wygląda, jakby płakał.

Potem kondukt pogrzebowy udaje się na cmentarz. To niedaleko, trzeba tylko przejść na drugą stronę ulicy, pójść drogą prosto obok urzędu gminy i sali, w której odbywają się cotygodniowe dyskoteki. Sto metrów dalej po prawej mija się gminną szkołę podstawową, potem droga się zwęża, skręca w prawo i wzdłuż szkolnego

ogrodzenia pnie się pod górkę. Na jej szczycie, wśród drzew, znajduje się cmentarz.

Kondukt pogrzebowy prowadzi kościelny. Trzyma nad głową drewniany krzyż z białą tabliczką. Przyjrzał się jej wcześniej w kościele. Litery *Ś* i *P* otoczone wieńcem, pod nimi imię i nazwisko: Dorota Gubała, data urodzenia: 12.03.1972, data śmierci: 12.06.1988 i pod spodem napis: Spoczywaj w pokoju.

Za krzyżem idzie ksiądz z ministrantami, za nim jedzie powóz zaprzężony w karego konia, na powozie trumna spowita grubym płaszczem wieńców i kwiatów. Z tyłu rodzina i inni żałobnicy.

Przed szczytem górki zrywa się wiatr, szarpiąc poły czarnych płaszczy, marynarek i spódnic, atakując kapelusze i damskie nakrycia głowy. Idąc na końcu długiego konduktu żałobników, widzi, jak nakrycie głowy jednej z kobiet frunie wysoko i ku rozpaczyci właścicielki znika gdzieś w zaroślach po drugiej stronie drogi.

Na początku idzie razem z młodzieżą szkolną, ale z każdym metrem zwalnia i zostaje w tyle. Tu na szczęście ledwo dochodzą ponure melodie żałobnych pieśni.

Znowu myśli o Dorotce. Nareszcie będą razem. To już tego wieczoru. Musi być cierpliwy.

Na cmentarz wchodzi jako ostatni. Nie widzi, jak grabarze w czarnych płaszczach i śmiesznych cylindrach kładą trumnę na dwóch belkach nad wykopanym grobem, nie słyszy ostatnich słów księdza, nie wzrusza go głośny płacz, kiedy grabarze opuszczają trumnę do grobu. Nie słyszy chrzęstu łopat o kamienie i głuchych odgłosów, kiedy pierwsze sztychy lądują na sosnowym wieku trumny. Nawet nie wie, kiedy świeżo uformowany grób przykrywają wieńce i kwiaty.

Potem jest tylko cisza.

Kiedy gwałtownie budzi się z marzeń o Dorotce, jest już prawie pusto. Jedna z ostatnich osób, które opuszczają cmentarz przez zardzewiałą furtkę, to starsza kobieta w chustce. Zna go z widzenia. Nachyla się nad nim i mówi:

– Nie płacz, synku. Dorotka jest teraz w niebie i tam jej dobrze.

Gówno prawda! Dorotka będzie teraz ze mną! Nareszcie jest ktoś tak martwy jak ja!

Chciałby jej wykrzyczeć te słowa w twarz, ale milczy. Musi być cierpliwy. Jeszcze tylko kilka godzin.

Kobieta zostawia go i odchodzi. Kwadrans później zostaje na cmentarzu sam. Cudownie szumią korony wysokich drzew targanych porywistym wiatrem. Symfonia radości i nadziei.

Czeka na nadejście zmroku, po czym idzie do baraku w rogu cmentarza, gdzie grabarze trzymają swój sprzęt. Wybija szybę w oknie, dostaje się do środka, znajduje szpadel i łopatę. Wraca do grobu i na wszelki wypadek jeszcze raz rozgląda się na wszystkie strony. Nikogo nie ma. Tylko wiatr śpiewa swoją pieśń. Ale nie jest to pieśń żałobna.

Nie musi się obawiać, że ktoś go zobaczy. Wzdłuż ogrodzenia rosną gęste krzaki, a o tej porze raczej nikt tu nie przyjdzie.

Zdejmuje marynarkę, pod spodem ma czarną koszulkę. Doskonale.

Najpierw odrzuca z grobu wieńce i kwiaty, potem z pewnym trudem wyrywa z miękkiej jeszcze ziemi krzyż i ciska go na bok. Wreszcie zaczyna kopać.

Jest raczej drobnej budowy, na chudych ramionach ledwo widać mięśnie, ale może wytrzymać naprawdę dużo. Zresztą teraz stać go na wiele.

Kopie wytrwale. Najpierw łopata odrzuca ziemię tworzącą wzgórek mogiły, potem zmienia narzędzie na szpadel. Pot zalewa mu oczy, bąble na dłoniach krwawią, kręgosłup trzeszczy, mięśnie ramion palą go żywym ogniem. Ale on się nie przejmuje. Ktoś, kto jest martwy, nie może odczuwać bólu.

Wolno mija czas. Wiatr trochę ustaje i teraz tylko z rzadka czuć jego chłodzące podmuchy. Na długo przed północą ostrze szpadla uderza w wieko trumny.

– Poczekaj, Dorotko, zaraz cię uwolnię – szepce i odkręca cztery śruby z wielkimi złotymi motylkami. Ma trochę problemów z wiekiem. Jest bardzo ciężkie, a on bardzo zmęczony. Pomaga sobie szpadlem jak dźwignią i wreszcie wieko drga. Sapie, kiedy unosi je i podpira trzonkiem.

Wtedy chmury się rozstępują i na bladą twarz Dorotki pada zimna poświata. Przygląda się jej w zachwycie. Jest piękna. Sińce na szyi wcale mu nie przeszkadzają. Do sinych warg też można się przyzwyczaić. Trupi zapach, który uderza go w nozdrza, dodaje mu sił.

Wyciąga ją z trumny, potem podnosi i sadza na brzegu rozkopanego grobu.

Staje nad ciałem. Ona leży na boku z rękami przy ciele i nogami zwisającymi nad dołem.

Bierze ją i na rękach niesie w kierunku gęstych krzaków przy ogrodzeniu. Tam siada na ziemi, opierając się o pień drzewa, jej głowę kładzie sobie na kolanach. Wyciera ręce z ziemi o spodnie i z zachwytem wodzi palcami po jej ślicznych, czarnych włosach. Poprawia zmierzwioną grzywkę. Całuje ją. Dorotka ma suche usta, a policzek lodowaty jak biały marmur.

– Nie bój się – szepce do niej w uniesieniu. – Nic ci już nie grozi. Uratowałem cię. Pewnie nie wiedziałaś, co się z tobą dzieje. Teraz będziesz już tylko moja, bo tylko ja potrafię cię zrozumieć. Też jestem martwy.

Znowu ją całuje i delikatnie szarpie za ramię.

– Dorotko! Możesz już otworzyć oczy.

Nic.

– Pewnie jesteś śpiąca – zgaduje. – Dobrze, pośpij jeszcze trochę.

Czuwa nad nią z dłonią zanurzoną w jej czarnych włosach. Nawet nie wie, kiedy zmęczony zasypia.

Budzi go przeraźliwy strach. Rozgląda się wokół. Nic się nie zmieniło. Wciąż jest noc, gwiazdy na niebie i wiatr szumiący

w koronach drzew. Może spał tylko kilka minut?

Dorotka leży na jego kolanach, jej skóra nadal jest zimna, blada twarz przypomina woskową maskę. Coś ewidentnie poszło nie tak. Mimo że dziewczynka jest martwa tak samo jak on, nie potrafi się z nią porozumieć.

Coś się w nim budzi. Złość, pragnienie, siła, zdecydowanie, upór. Potworna moc, jakiej wcześniej nie doświadczył.

Wstaje. Ze składziku wyciąga taczkę grabarzy. Wkłada do niej ciało. Może nawet na początku nie wie, dokąd idzie. Zaraz jednak jakiś głos podpowiada mu, jak skończy się dzisiejsza noc. Myślał, że to będzie najbardziej wyjątkowa noc w jego krótkim życiu. Teraz głos szepce mu do ucha dziwne słowa. Doskonale rozumie ich znaczenie, ponieważ już je kiedyś słyszał.

Budynek domu dziecka jest oddalony od cmentarza o jakieś sześć kilometrów. Tyle że on nie idzie główną drogą.

Krótko przed świtem taczka, trochę skrzypiąc, wtacza się na podwórze Państwowego Domu Dziecka w Miękini, gdzie aktualnie mieszka siedemnastu chłopców.

On korzysta z niezwyklej siły, która w niego niedawno wstąpiła, dźwiga ciało Dorotki, zarzuca je sobie na plecy i wchodzi do budynku. Oczywiście główne wejście jest na noc zamykane, ale on przecież zna przejście przez piwnicę. Po chwili idzie schodami na pierwsze piętro, gdzie znajdują się kuchnia, stołówka i kilka pokoi mieszkalnych. Po drodze wchodzi do kuchni. Z szuflady wyjmuje duży nóż, którym kucharka kroi chleb. Idzie dalej. Budynek sprawia wrażenie wymarłego. O tej porze wszyscy śpią najgłębszym snem.

Po drodze mija wielkie lustro wiszące na ścianie przed wejściem do sypialni. Nie poznaje siebie. Twarz i włosy ma uwalane ziemią.

Wchodzi do pokoju. Dorotkę kładzie w swoim łóżku i starannie przykrywa kocem. Całuje ją w czoło na pożegnanie.

– Śmieciór, to ty? – Zaspany głos kolegi z łóżka obok dociera do niego jakby z zaświatów. – Gdzie ty, kurwa, łaziłeś po nocy, głupku? Co ci się stało?

Blask księżycyca wpadający przez okno odbija się przez ułamek sekundy w srebrnej stali. Ostrze aż po samą rękojeść zagłębia się w gardle tego drugiego chłopca. Żeby mieć pewność, że tamten nie wyda już żadnego dźwięku, klęka mu jeszcze na piersiach i obraca kilkakrotnie ostrzem. Krew tryska na ściany, na białą pościel, na niego, nawet na Dorotkę. Ale przecież nie to się w tej chwili liczy. Wyciąga nóż i cieszy się, że ten drugi też jest już martwy. Niech wie, jak to jest. Chwilę jeszcze czeka w złudnej nadziei, że może przynajmniej on otworzy oczy. W końcu rezygnuje. Oni są martwi zupełnie inaczej.

Wychodzi na korytarz i rusza tą samą drogą, którą tu przyszedł. Nie ma chwili do stracenia, świt tuż-tuż.

Jest już prawie przy schodach, kiedy słyszy skrzypnięcie drzwi do toalety. Wyrasta przed nim tłusty chłopiec w za dużej pasiastej piżamie, która niejedno widziała, zanim trafiła do Grubego. Gruby – tak go nazywają.

Widzi, jak oczy Grubego stają się wielkie i czarne ze strachu. Widzi, jak usta otwierają się, żeby wydać z gardła wycie śmiertelnie przerażonego nastolatka. Gruby go nie poznaje. Pewnie bierze go za jednego z diabłów z samego dna piekieł, o których opowiadał im ksiądz, kiedy trafili przypadkowo do kościoła. Diabły bardzo mu się podobają. Są bezdennie złe, mogą robić straszne rzeczy i nigdy nie poniosą konsekwencji swoich czynów. On chce być takim diabłem. I teraz jest.

Przyskakuje do Grubego i tnie nożem przez jego gardło. Głęboko, dokładnie i pewnie. Gruby już nie krzyczy, przecięte struny głosowe nie funkcjonują, z odsłoniętej tchawicy wydobywa się krwawa piana. Gruby upada. Czołga się jeszcze po podłodze jak rozdeptany czerw i wreszcie martwy nieruchomieje.

On już biegnie na dół. Z pomieszczenia gospodarczego wyciąga linę i kanister z benzyną. Niesie wszystko do góry. Wiąże klamki od pokoi, żeby nie można było się z nich wydostać, potem rozlewa

benzynę na korytarzu. Blokuje drzwi na klatkę schodową i zapala zapałkę.

Później z pewnego oddalenia obserwuje, jak budynek domu dziecka płonie.

Na początku słyszy przeraźliwe krzyki i wołanie o pomoc, widzi ręce rozpaczliwie uderzające o kraty w oknach. Z wolna jednak krzyki cichną i słychać już tylko huk ognia łapczywie trawiącego budynek.

On upaja się pożarem i swoją mocą. Czuje się jak wąż, który rośnie i zrzuca zbyt ciasną skórę. On też zrzuca skórę i zostawia stare życie.

Rodzi się na nowo. Inny. Jeszcze straszniejszy. Jak wtedy, gdy urwała się lina, a on wyczołgał się na świat ze stodoły pełnej śmierci i przerażenia.

Na wschodzie jaśniejże świt, kiedy słyszy syrenę wozu strażaków. Nie czeka, aż przyjadą.

Część trzecia

TOTENTANZ

29 lat wcześniej

Słońce podnosi się coraz wyżej. Ciemność zalegająca las cofa się i ukrywa w zakamarkach, żeby przeczekać kolejny słoneczny dzień. Ptaki budzą się do porannych treli. Cudowna symfonia oznaczająca narodziny nowego dnia. Albo narodziny do nowego życia.

Chłopiec, który nie myśli, biegnie przez las. Przedziera się przez zarośla, przeskakuje wykroty i zapadliska, omija zwalone, zmurszałe pnie. Trzeszczą gałęzie, szeleszczą liście. Zrzucił skórę, narodził się w ogniu na nowo, śpiew ptaków jest ukoronowaniem tego cudownego poranka.

Nie wie, dokąd biegnie. W tej chwili go to nie interesuje. Nie jest już śmieciem, Śmieciorem. Jest kimś o wiele groźniejszym, więc gna przed siebie, na spotkanie z przeznaczeniem.

Przeskakuje płytki rów i zaczyna biec po czymś twardym. Zamyka oczy, rozkłada ręce jak ptak startujący do lotu albo jak śmierć zapraszająca w swoje ramiona utrudzonych życiem wędrowców.

Ekstazę przerywa pisk hamulców, potem gwałtowne uderzenie i słabość. Czuje, że leży na asfalcie, nie widzi, dobiegają go głosy w obcym języku. Mężczyźni mówią trochę bełkotliwie, ale miękko i śpiewnie. Niektóre słowa nawet rozumie. Przecież tak gadał dziad Prokop.

– Kurwa, jak ty jechał!? Job twoja mat' sobacza!

– Było pusto! Nie wiem, skąd on wybiegł...

– Żywy?

Obmacują go silne dłonie.

– Żywy. Do szpitala go trzeba...

– Durny jesteś! Zaraz się z tego afera zrobi i odeślą nas do karnego komanda na Syberię!

Szczęka zapalniczka, w nozdrza chłopca, który nie myśli, uderza ostry zapach tytoniu. Czy on umiera? Gdzieś w tle ptaki ciągle grają symfonię radości. Nie, to nie jest śmierć. On się przecież dopiero rodzi.

– Mówiłem, Saszka – mówi bełkotliwie ten drugi głos. – Jak się wierchuszka bawi, to ty, szofer, nie pij.

– To co teraz robić?

– Dowódcę budź. Dowódca jest od tego, żeby myśleć, bo ty, Saszka, durny jesteś.

Trzaskają drzwiczki samochodu. Po chwili słychać jakieś słowa, szuranie, przekleństwa i uderzenia podkutych podeszew wojskowych butów o asfalt. I znowu ciąg przekleństw.

– Saszka, nogi ci z dupy powyrywam, jak niepotrzebnie mnie obudziłeś! – Głos trzeciego mężczyzny jest mocny i stanowczy. – Kurwa, całej kompanii będziesz buty lizał przez miesiąc, ty durniu!

– Tak jest, towarzyszu generale!

– Co „tak jest”? Ty mi tu nie pierdol, tylko gadaj, dlaczego mnie obudziłeś.

– Dlatego.

Podkute oficerki chrzęszczą o asfalt. Zatrzymują się tuż przy głowie leżącego chłopca.

– Żyje?

– Tak jest!

– A mówiłem temu durniowi, żeby nie pił – odzywa się drugi głos.

Znowu szczęka zapalniczka.

– Muszę się odlać – mówi generał, kroki się oddalają, potem wracają. – Pakujcie go do gazika. Zawieziemy go do naszego lekarza. A potem się zobaczy.

– Tak jest!

Dwie pary rąk podrywają w górę chude ciało. Ląduje na czymś miękkim, potem warczy silnik i pojazd podskakuje na dziurach

w asfalcie, pokonując kilometry do jego nowego życia.

Rozdział 53

Piątek, 2 października

Co się tak naprawdę stało?

Aspirant Ilona Marzec objęła się ramionami i zadrżała. Spojrzała w górę na sufit. Ktoś włączył jakąś cholerną klimatyzację czy co? Niemożliwe – nikt rozsądny nie włącza chłodzenia, kiedy na zewnątrz jest środek nocy, osiem stopni i od kilku godzin pada deszcz. A w tym budynku powinni znajdować się sami rozsądni ludzie.

A więc co tak naprawdę się wczoraj wydarzyło? Zakrzewski wiedział więcej, niż im zdradził. W kieszeni nadal miała pendrive'a z plikiem zgranym w domu, w którym jakiś potwór hodował niepełnosprawnego chłopca na gwałciciela i zbrodniarza. Mogła bardziej Zakrzewskiego przycisnąć. Tylko czy coś by to zmieniło?

Pytanie przychodziło i odchodziło wraz z każdym mroźnym powiewem.

– Gównno – wyszeptała.

Nic by się nie zmieniło. Przecież i tak poszliby na teren dawnego Pafawagu i koniec byłby tak samo tragiczny. Byli policjantami. Nie mogli powiedzieć „nie”, kiedy po mieście grasuje potwór i sieje śmierć. Poszliby za Zakrzewskim i tak samo zlekceważyliby jego ostrzeżenie. Jako policjanci spotykali się z wieloma niebezpiecznymi osobami. Czy to cokolwiek zmieniło? Nic.

Dlaczego tu jest tak zimno? Do tego ten zapach, który bez przerwy czuła w nozdrzach. Kojarzył jej się z jednym. Ze śmiercią.

W podwojach tego budynku gościła śmierć. Dlatego było tutaj tak zimno. Znowu zadrżała.

Drzwi się otworzyły i zaraz zamknęły. W półmroku zobaczyła na ich tle postać w bieli. Anioł lodowej krainy śmierci pokryty szronem.

– Powinna pani już pójść do domu – powiedział miękki głos. – Na korytarzu czekają koledzy.

Nie zareagowała, dopóki nie poczuła ciepłej dłoni na ramieniu. Anioły w krainie wiecznego mrozu są ciepłe?

– Proszę iść. Na razie nie może mu pani pomóc.

Wyszła na szpitalny korytarz i zmrużyła oczy w białym świetle. Karina Buczko podniosła się z krzesła, podeszła i spojrzała jej prosto w twarz.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

– Chyba tak. – Zdziwiła się, że głos ma zupełnie inny.

Siedzący na drugim krześle Zakrzewski też wstał i zrobił krok w ich kierunku. Był blady jak ściana, białka oczu nabiegły mu krwią, brzegi powiek miał zaczerwienione jak przy zapaleniu spojówek.

– Musimy porozmawiać – rzucił.

– Jest pierwsza trzydzieści. – Karina popatrzyła na niego zdziwiona. – Ilona musi odpocząć.

– Nie! – Ilona pokręciła głową. – Chcę wiedzieć.

W kieszeni spodni wymacała pendrive'a. O co w tym wszystkim chodzi?

Pod szpitalem czekał na nich wóz patrolowy. Wsiedli we trójkę na tylne siedzenie. Policjant za kierownicą bez słowa uruchomił silnik i spod Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego wyjechali na ulicę Borowską. Marcin powiedział coś do prowadzącego policjanta. Ilona nie zrozumiała z tego ani słowa. Co się z nią dzieje, do licha? Jakby od rzeczywistości odgradzała ją szklana bariera. Policjant tylko skinął głową, włączył sygnalizację świetlną i pomknął pustymi o tej porze ulicami.

Zatrzymali się na ulicy Bogusławskiego przy jednym z pubów usytuowanych pod wiaduktem kolejowym. Nazwa była adekwatna do

miejsca – Pod Torami. Podziękowali patrolowi i wysiedli. Marcin podszedł do drzwi. Były zamknięte, choć w środku siedziało kilka osób. Kelnerka go zauważyła i otworzyła. Miała krótkie czarne włosy i wyglądała na trzydzieści kilka lat.

– Mój ulubiony policjant – powiedziała z szerokim uśmiechem na widok Zakrzewskiego. – Dawno do nas nie zaglądałeś.

– Byłem bardzo zajęty.

Uściskała go i pocałowała w policzek.

– To moje koleżanki z pracy. Mieliśmy ciężki dzień i jeszcze gorszy wieczór. Wiki, przyniesiesz nam coś mocniejszego?

– Miałam zamykać, ale dla ciebie wszystko. – Posłała mu szeroki uśmiech i poszła za bar.

Usiedli w kącie przy małym stoliku, z dala od mężczyzn grających w bilard i zajętej sobą pary. Zanim zdążyli się odezwać, kelnerka postawiła przed nimi trzy wielkie szklanki whisky z lodem. Napili się równocześnie. Ilona wypła od razu połowę. Zimny wiatr w jej głowie natychmiast przycichł, lodowa kraina zaś zaczęła się rozpuszczać.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytała.

Karina wyciągnęła z torby laptopa i położyła go na stoliku.

– Musimy zobaczyć, co masz na pendrivie.

– Zaraz, zaraz. – Ilona powstrzymała ją ruchem dłoni. – Najpierw muszę wiedzieć.

Marcin dopił swojego drinka i dał kelnerce znać, żeby przyniosła jeszcze raz to samo.

– Najemny zabójca, którego nazywają Satyr, próbował zabić mojego partnera, Parola Szawczaka. Nie udało mu się, ale postanowił dokończyć robotę i wrócił do niego do szpitala. Tam na szczęście Karinie udało się Szawczaka ochronić. Ale Karina go widziała i przez to sama znalazła się w niebezpieczeństwie. Plotki krążące wśród policjantów, które na pewno słyszałaś, są częściowo prawdziwe. Nie było żadnego islamskiego terrorysty, tylko do dupy zrobiona zasadzka. Karina została przynęta. Na Roosevelta Centralne Biuro Śledcze starło się z Satyrem. Wiesz, jak się

skończyło. Zabójca okazał się dużo bardziej niebezpieczny, niż ktokolwiek podejrzewał.

Ilona też dopiła swojego drinka. Czowała, że alkohol roztopia ostatnie lody. Zaraz stanęła przed nią następna whisky. Zakrzewski nie przerywał opowieści.

– CBS natychmiast zabrało nam tamto śledztwo. Teraz oficjalnie gonią za terrorystami, żeby uratować trochę stołków. Tak się jednak złożyło, że śledztwo w sprawie Satyra jest związane z naszym dochodzeniem w sprawie zabójstw dziewczyn. Wszystko wskazuje na to, że człowiekiem, który wynajmował dom na osiedlu Malowniczym i posłużył się upośledzonym umysłowo mężczyzną, był właśnie Satyr. Ostateczny dowód masz na pendrivie i chciałbym, żebyśmy go zobaczyli.

– To są dane na twój temat – zauważyła przytomnie Ilona. – Dlaczego?

Zakrzewski wyraźnie się zawahał.

– Spotkałem się z Satyrem twarzą w twarz – powiedział wreszcie.

Zapadła cisza. Od strony stołu bilardowego dobiegło ich uderzenie bili o bilę, a potem radosne okrzyki po udanym zagranium. Para po drugiej stronie sali nie zwracała uwagi na cały świat.

– Trudno to zrozumieć, ale mnie wtedy puścił.

– Jak to? Dlaczego?

Zakrzewski milczał. Sięgnął po chusteczkę i starannie wytarł wodę pod swoją szklanką.

– Też chciałbym się dowiedzieć – mruknął wreszcie.

Żadna z kobiet nie uwierzyła w szczerść jego słów, powiedział to jednak w taki sposób, że nie drażyły tematu.

– I co dalej?

– Podejrzewam, że kiedy tylko ci na górze zorientują się, że za zabójstwami dziewczyn też może stać Satyr, zabiorą nam i tę sprawę. Szef pewnie rozwiąże naszą małą grupę śledczą.

– Opuścimy to? – zdziwiła się Ilona. – Tak po prostu?

Popatrzył na nią z tajemniczym wyrazem twarzy.

– Tym razem nie odpuścimy – oznajmił. – CBS chyba nie wie, że wszędzie tam, gdzie jest Satyr, pojawia się jeszcze jeden dziwny osobnik: ten świr z rękami sklepowego manekina, którego wczoraj ścigaliśmy. Nazywają go Obserwator. Pójdziemy jego śladem. Bardzo nalegałem, żebyśmy wzięli to śledztwo w sprawie samobójstw wśród młodzieży, ponieważ w zeznaniach tych młodych ludzi przewija się ktoś bardzo podobny. Podejrzewam, że to ta sama osoba. Mam nadzieję, że w ten sposób uda nam się trafić na Satyra za plecami tych ze stolicy.

– Zrobiłeś to specjalnie, prawda? Wiedziałeś, że tak się może stać.

– Ilona, naprawdę przeceniasz moje możliwości. Nie jestem jasnowidzem. W grę wchodzi czysty przypadek. Tak się ostatnio dzieje, że cokolwiek zacznę robić, trafiam na Satyra lub kogoś z nim związanego.

– Skąd wiesz, że Obserwator jest związany z Satyrem? – Ilona też potrafiła zadawać celne pytania.

– Z bardzo wiarygodnego źródła – odpowiedział Marcin z wahaniem.

Zastanowił się, czy źródło na pewno jest wiarygodne. Może ktoś nim manipulował?

– Posłuchaj, Ilona, Długi jest w szpitalu ze wstrząśnieniem mózgu. Adam miał szczęście, że lekarzom udało się tak szybko zatamować krwotok wewnętrzny po uderzeniu nożem – odezwała się Karina. – Nie możemy odpuścić. Pokaż nam, co zgrałeś z komputera Satyra.

Ilona w milczeniu podała jej pendrive'a. Karina włożyła go do USB i otworzyła zapisany na nim plik. We troje pochylili się nad tekstem w języku angielskim. W zwięzłej notatce zawarto wszystkie dane o Marcynie, które można było znaleźć w Internecie, przebieg służby, wykształcenie, coś z przeszłości o zaginionym bracie bliźniaku, najważniejsze rozwiązane sprawy i dokładny adres zamieszkania. Zapisano nawet informację, że ma psa. Dalej były skany wycinków prasowych z gazet lokalnych i ogólnopolskich, linki do artykułów

w sieci, a na koniec seria zdjęć. Zdjęcia szczególnie Marcina zaniepokoiły. Nie były to ogólnodostępne fotografie, które można było znaleźć w wyszukiwarce Google. Ktoś zrobił te zdjęcia z ukrycia. Pytanie, czy były to nieudane fotki paparazzi z któregoś z brukowców, czy ktoś celowo go śledził.

– Dlaczego ty? – powtórzyła pytanie Ilona.

– Może uznał, że jestem dla niego zagrożeniem?

Pytanie zawisło w powietrzu bez odpowiedzi.

– Co teraz robimy? – zapytała Karina.

Marcin się zastanowił.

– Musimy ustalić wersję. Na terenie Pafawagu znaleźliśmy się przypadkowo. Dowiedzieliśmy się, że redaktor Salitra został porwany, byliśmy blisko i pomogliśmy policjantom z komisariatu miejskiego. Myślę, że na razie będziemy się trzymać tej wersji.

– A co z Salitrą?

Marcin w zamyśleniu obracał w dłoniach szklanę.

Gdy tylko zostawił Karinę przy wejściu na drugiej kondygnacji, ruszył w dół, w kierunku, z którego dobiegały krzyki. Zobaczył postać stojącą na skrzynce i wołającą o pomoc, ale dopiero kiedy ujrzał pętlę na szyi i linę przywiązaną do uchwyty w ścianie, wszystko zrozumiał. Zanim wyszedł z ukrycia, skrzynka pod Salitrą się załamała.

Dziennikarz zaczął się dusić, a Zakrzewski zadziałał instynktownie. Przestrzelił linę na węzle przy ścianie i Salitra spadł na betonową podłogę. Lekarz pogotowia ratunkowego ocenił jego stan jako dobry. Zakrzewski w ostatniej chwili uratował dziennikarzowi życie.

– Porozmawiam z nim, jak tylko będzie można – stwierdził Marcin.

– Z tego, co rozumiałem, zanim przyjechało pogotowie, mówił o Śmiercierze.

– A kto to jest, do cholery? Postać z kreskówki dla niegrzecznych dzieci? – zdziwiła się Ilona.

Zakrzewski wzruszył ramionami.

– Śmiercior to kolejna dziwna osoba, która pojawia się w pobliżu Obserwatora i Satyra – wyjaśniła Karina. – Na razie znamy go tylko ze szczątkowych opowieści. Nie wiemy, kim jest i jak się naprawdę nazywa.

*

Około dziesiątej rano w biurze panowało nerwowe milczenie.

– Nie ma nic? – zapytała ponownie Paulina Czerny, odsuwając włosy opadające jej na oczy. – Nie mówcie mi, że Wysocki rozplątał się bez śladu.

Jej wieloletni współpracownik, komisarz Andrzej Szmidt, jak zwykle był oazą spokoju i opanowania. Założył ręce na sporych rozmiarów brzuchu i powiedział uspokajająco:

– To tylko kwestia czasu, Paulino. Pewnie zaszył się w jakiejś dziurze, ale w końcu będzie musiał z niej wyjść. Skończą mu się pieniądze, użyje karty kredytowej, będzie chciał zatelefonować.

– Nie zapominaj, że to prokurator – burknęła. – Zna nasze metody operacyjne.

– Nawet prokurator musi coś jeść.

– Obyś miał rację. Wiktor?

Drugi z mężczyzn siedzących w biurze, szpakowaty, szczupły, z zębami poczerniałymi od nikotyny i ciemnymi workami pod oczami, poskrobał się po głowie. Wiktor Adamczyk podobnie jak Szmidt zachowywał stoicki spokój. Paulina nazywała to bardziej dosadnie: uważała, że Wiktor ma wszystko w głębokim poważaniu i niczym się nie przejmuje, odliczając dni do wcześniejszej emerytury. Nie lubiła go.

– W pierwszych godzinach zablokowaliśmy wszystkie drogi wyjazdowe z miasta – oznajmił. – Ale sami wiecie, że mogliśmy nie zdążyć. Taka akcja wymaga kilkunastu minut na organizację. Telefon Wysockiego zniknął z sieci dwie ulice od komendy i od tamtej pory się nie logował. Sprawdziliśmy monitoring miejski. Ostatni raz

kamery zarejestrowały Wysockiego w tramwaju, wysiadł na rogu Grabiszyńskiej i Zaporoskiej. Dalej ślad się urywa. Mamy pod stałą obserwacją jego dom, dom rodziców, teścia, dyskretnie monitorujemy połączenia telefoniczne jego znajomych, sprawdzamy karty kredytowe i Internet.

– Ale blokady na drogach już zdjęliśmy?

– Tak, uznałem, że dalsze blokady są bez sensu. Wydaliśmy oficjalny list gończy, każdy policjant ma w tej chwili jego fotografię. Wysłaliśmy informację do Interpolu, czekamy na zwrotkę. Andrzej ma rację, Wysocki musi wpaść.

Paulina poprawiła się na krześle i pokiwała głową.

– Znacie statystyki tak samo jak ja – powiedziała. – Z każdą upływającą godziną szanse na złapanie uciekiniera spadają. Jeśli udało mu się opuścić miasto, możemy go szukać całymi tygodniami. Jesteśmy w bardzo delikatnej sytuacji. Wysocki uciekł nam z tego gmachu. Cholera, on nawet nie uciekł, po prostu wypuściliśmy go jak ostatni frajerzy.

Adamczyk wzruszył ramionami. Andrzej, widząc nastrój Pauliny, postarał się o szybką zmianę tematu.

– Co dalej, szefowo? – zapytał.

– Adamczyk, skup się na miejscach, gdzie potencjalnie mógł się ukryć.

– Czyli?

– Użyj wyobraźni, do cholery! Gdzie ty byś się ukrył? Domek letniskowy nad jeziorem, agroturystyka, w której rok wcześniej był z żoną na wakacjach? Mam ci napisać listę?

– Dobrze, dobrze. – Wiktor skrzywił się i wstał z krzesła. – Widzę, że muszę się stąd ewakuować, bo stanowisz zagrożenie dla otoczenia.

– O wszystkim masz mnie informować na bieżąco! – krzyknęła za nim, kiedy był już w progu.

– Jak najbardziej! – Wyszedł, zamykając drzwi odrobinę zbyt głośno.

– Dupek – wycedziła przez zęby Paulina.
Szmidt pokręcił tylko głową z dezaprobatą.
– A co my robimy? – Spojrzał na Paulinę.
– Przypilnuj Adamczyka, żeby niczego nie spieprzył. A za pół godziny złożymy wizytę Bożenie Wysockiej.
– Jesteś pewna, że tego chcesz?
– Najzupełniej.
– Uważasz, że Wysocki będzie szukał pomocy w domu?
– W sytuacjach ekstremalnych ludzie zachowują się nieprzewidywalnie. Poza tym dom jest wysoko w statystykach miejsc, gdzie próbują się schronić zbiegowie.

Andrzej wyszedł, a Paulina spojrzała niechętnie na papiery rozrzucone po biurku. Raporty, meldunki, zdjęcia Wysockiego do listu gończego, fotografie z kamer. Pomyślała, że musi zapalić. Wyciągnęła z szuflady paczkę mentolowych i pewna myśl wpadła jej do głowy.

Co powiedział Adamczyk? Dariusz Wysocki wysiadł na skrzyżowaniu Grabiszyńskiej i Zaporoskiej. To by się zgadzało. Że też wcześniej na to nie wpadła. Sięgnęła po telefon i wykręciła do Adamczyka. Zgłosił się od razu.

– Potrzebuję, żeby twoi ludzie sprawdzili mi coś na za pięć minut.
– Co tylko chcesz.

Nie miała czasu zareagować na jego lekceważący ton.

– Teść Wysockiego jest właścicielem mieszkania na ulicy Żytniej. Potrzebuję dokładny adres na już i dwa auta z ludźmi za dziesięć minut na parkingu.

Odniosła wrażenie, że Adamczyk trochę zmienił ton, kiedy odpowiadał:

– Robi się!

Paulina przypomniała sobie, że kiedyś Dariusz zaprosił ją do knajpki w okolicach Rynku. Wypili po kilka drinków, a potem Wysocki zamówił taksówkę i pojechali na Żytnią, do kamienicy stojącej obok nasypu kolejowego. Pamiętała dokładnie, co powiedział, kiedy lekko

podchmielony otwierał drzwi do niewielkiego dwupokojowego mieszkania na pierwszym piętrze.

– Mój teść jest nieprzyzwoicie bogaty. Ma w mieście tyle mieszkań pod wynajem, że o tym jednym, najmniejszym, zapomniał.

Wtedy Paulinie wydało się to zabawne.

Uchyliły się drzwi i Adamczyk wsunął głowę do środka.

– Żytńia dwadzieścia cztery przez trzy – powiedział tylko.

Paulina wyciągnęła z szuflady służbowy pistolet, wsadziła go sobie z tyłu za pasek spodni i pobiegła na parking. Pierwszy samochód z ludźmi Adamczyka już odjechał. Poczekali chwilę na Andrzeja Szmidta, który nie ruszał się już tak szybko jak kiedyś. Pojechali bez żadnych sygnałów.

Budynek był tak naprawdę ciągiem połączonych ze sobą kamienic. Zajechali z dwóch stron: od Żytnej i od Pszennej. Zaparkowali pod bramą, w miejscu, które właśnie się zwolniło, i obserwowali bramę dwadzieścia cztery i okna na pierwszym piętrze.

– Skąd wiedziałaś o tym mieszkaniu? – zapytał Wiktor, odwracając się do niej z przedniego siedzenia.

Posłała mu jeden ze swoich drwiących uśmiechów.

– Kobieca intuicja – odpowiedziała, czując na sobie badawcze spojrzenie Szmidta.

On wiedział skąd, ale do niego miała zaufanie.

Adamczyk wzruszył ramionami, wyjął telefon i skontaktował się z ekipą w drugim aucie. Kazał im zabezpieczyć teren. Potem wskazał starszą kobietę zbliżającą się wolno do bramy.

– Wchodzimy za nią – rzucił.

Wysiedli we trójkę. Paulina złapała drzwi, zanim zdążyły się zamknąć. Weszli na pierwsze piętro i stanęli przed solidnymi drzwiami do mieszkania numer 3. Wiktor zmierzył je wzrokiem, jakby chciał sprawdzić, czy mógłby je wyważyć ramieniem.

Wszyscy wyciągnęli pistolety, Paulina nacisnęła klamkę. Ku ich zaskoczeniu zamek puścił. Paulina pchnęła lekko drzwi, które

otworzyły się bezszelestnie.

Weszła pierwsza. Pamiętała mniej więcej rozkład pokoi. Sprawdziła kuchnię, potem salon, sypialnię i łazienkę. Adamczyk zajrzał jeszcze do szafy i pod łóżko. Mieszkanie było puste.

Paulina rozglądała się uważnie. Na krześle wisiały garnitur, biała koszula i krawat. Nie miała wątpliwości, że ubranie należało do prokuratora. Musiał tu być.

– Spóźniliśmy się – syknęła.

Andrzej Szmidt zawołał ich do kuchni.

– W czajniku jest ciepła woda – powiedział zdziwiony.

Paulina skojarzyła fakty i natychmiast sięgnęła po swój telefon.

– Pamiętacie samochód, który odjeżdżał, gdy się zjawiliśmy? – rzuciła, wybierając numer do dyżurnego.

Adamczyk zaklął brzydko i wybiegł. Pół godziny zajęło im ustalenie, dokąd odjechał samochód marki Opel Vectra. Dzięki monitoringowi miejskiemu zdołali odczytać numery rejestracyjne. Po sprawdzeniu okazało się, że auto zostało skradzione. W miarę sprawnie udało się prześledzić trasę Wysockiego: pojechał Zaporoską, potem Powstańców Śląskich i tam ślad się urywał. Jeden z patroli miał jednak szczęście i wypatrzył opła zaparkowanego na parkingu przy parku Południowym.

Paulina natychmiast zarządziła blokadę parku. Teren był ogromny, ale musieli spróbować.

Po godzinie Paulina zatrzymała się na wysokości placu zabaw. Zrezygnowana zapaliła papierosa. Adamczyk podszedł do niej i też zapalił.

– Nie wiesz, po co tu przyjechał? – zapytał. – Twoja kobieca intuicja nie podpowiada nic o innym lokalu w pobliżu?

Spojrzała na niego niechętnie. Czyżby jednak wiedział o niej coś więcej? Nie skomentowała.

Wysocki mógł nie wejść do parku. Może pojechał dalej MPK, może złapał taksówkę na pobliskim postoju, poszedł piechotą, ktoś go stąd zabrał... Albo po prostu chciał zmylić pościg.

Prawdopodobnie widział ich na Żytniej. Było wiele możliwości, ale Paulinie nie chciało się o tym z Adamczykiem rozmawiać.

– To nie ma sensu – mruknęła. – Odwołaj ludzi. Kończymy.

Odszedł bez słowa. Po chwili usłyszała, że rozmawia przez telefon.

Czekała na Andrzeja Szmidta, paląc jeszcze jednego papierosa.

Prokurator Wysocki uciekł im prawie sprzed nosa. Miał bardzo dużo szczęścia albo... ktoś go ostrzegł. Po ponurej minie zbliżającego się wolno Andrzeja widziała, że on ma na ten temat podobny pogląd.

Rozdział 54

Ilona Marzec nie miała pomysłu na piątkowy wieczór. No, może jeden – odespać cały ten długi, niezwykle ciężki tydzień. Obezwładnił ją, odmóżdżył, upodlił, przeraził, zmęczył, przemielił i wypluł, mówiąc: „Jest piątek wieczór – dalej radź sobie sama”. Kiedy jakiś czas temu prokurator Marek Grabski mówił im, że praca ze słynnym komisarzem Marcinem Zakrzewskim nie należy do łatwych i przyjemnych, nikt z nich nie wziął jego słów na poważnie. Teraz do tego ostrzeżenia dołożyłaby jeszcze jedno. I to na pierwszym miejscu. Praca z Zakrzewskim jest niebezpieczna. Adam z Długim są w szpitalu i zostało ich tylko troje. A z tego, co powiedział im Zakrzewski, to mogła być dopiero przygrywka.

Pomysł na wieczór wyklarował się dopiero, kiedy zadzwonił jej telefon komórkowy. Zwlekła się z fotela i poszła do przedpokoju, gdzie zostawiła aparat. Nieznany numer. Zawahała się, ale odebrała. Przedstawił się imieniem i nazwiskiem, ale zupełnie nie kojarzyła, kim, do cholery, był Mirek Borek. Przypomniała sobie dopiero, gdy powiedział, że dała mu swój numer w Leśnicy.

Nie – jęknęła w duchu. Nie w tym momencie. Miała zadzwonić, kiedy będę skłonna do odrobiny szaleństwa i zapomnienia.

Chciała go spławić, ale o dziwo się nie dał. Wreszcie ustąpiła. Co ma być, to będzie. Czterdzieści pięć minut później zjawił się w jej mieszkaniu przy Olszewskiego na Biskupinie. Przyniósł pizzę i zgrzewkę piwa. Dopiero widząc kwadratowe opakowanie, poczuła, że jest głodna.

Popijali piwo z puszek. Ilona przypatrywała się Mirkowi spod oka. Był elegancko ubrany, tak jak przy pierwszym spotkaniu. Czuła od niego miły zapach wody po goleniu. Był cały czas trochę zmieszany, ciągle poprawiał ciemne włosy zaczesane na bok.

– Ciężki tydzień? – zapytał.

– Od razu widać? – roześmiała się i obserwowała z rozbawieniem, jak Mirek się czerwieni, rozumiejąc, że strzelił gafę.

– Raczej się domyśliłem. – Napił się piwa i popatrzył na nią. – Dlaczego dałaś mi swój numer?

– Liczyłam, że spędzimy sympatyczną noc. A na co liczyłeś, dzwoniąc?

Spuścił wzrok na blat stołu, lecz zaraz spojrzał jej śmieiej w twarz.

– Na to samo.

– To na co czekasz?

Przysunął się do niej. Jego dłoń powędrowała na jej kark. Poczowała miłe ciepło rozlewające się po całym ciele. Nachyliła się i odnalazła jego usta. Miał miękki i delikatny język, smakował piwem. Pocałowała go mocniej. Jego dłonie wślizgnęły się pod jej koszulkę. Też były miękkie i delikatne. Wciąż się całując, zaczęli się wzajemnie rozbierać. Nadzy upadli na łóżko.

Z pewnym zaskoczeniem Ilona zauważyła, że to on zaczął dominować. Był silny i stanowczy. Odwrócił ją na brzuch i wszedł w nią od tyłu, aż jęknęła. Było jej przyjemnie, zaskakująco dobrze. Leżała z twarzą wciśniętą w poduszkę, czuła na sobie ciężar męskiego ciała. I nagle przyszła panika. Przypomniała sobie scenę sprzed kilku dni. Leżała przyciśnięta przez wielkiego, niepełnosprawnego mężczyznę, nie mogła się ruszyć i przez chwilę myślała, że zaraz umrze.

Szarpnęła się tak gwałtownie, że Mirek odsunął się przestraszony. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, przewróciła go, usiadła na nim i zaczęła go gwałtownie ujeżdżać. Tym razem ona przycisnęła go do łóżka. Usta zatkała mu dłonią. Poczerwieniał na twarzy, lecz nie zaprotestował. Ilona odleciała. Jej ruchy stały się

jeszcze bardziej dzikie i tak skończyli, dysząc ciężko. Uwolniła go i opadła na łóżko.

Pożegnali się godzinę później.

Mirek zatrzymał się na progu, jakby nie chciał wychodzić.

– Mogę jeszcze do ciebie zadzwonić? – zapytał z nadzieją.

Ilona mocniej ściągnęła szlafrok w pasie.

– Ale po co? – westchnęła.

– Po to samo.

– Nie wiem. – Pokręciła głową. – Pewnie już nie będzie tak samo.

Może gorzej. Po co sobie psuć fajne wspomnienia?

– Dlaczego gorzej? – zdziwił się. – Może lepiej?

– Pozostawmy sobie pewne niedomówienie.

– To znaczy, że nie spotkamy się już więcej?

– Świat nie jest znowu taki duży. – Wzruszyła ramionami. – Może kiedyś.

– Ale ja cię lubię. – Nie dawał za wygraną.

– Bo od razu zaciągnęłam cię do łóżka? – przerwała mu.

– No nie. – Zmieszał się. – Nie tylko o to chodzi. Lubię z tobą rozmawiać.

– Dobrze – ustąpiła. – Zadzwoń do mnie jeszcze kiedyś.

Pocałowała go na pożegnanie i zamknęła za nim drzwi.

Zadzwonił następnego dnia koło południa.

*

Komisarz Marcin Zakrzewski zaparkował motor w tym samym miejscu co zwykle, pod drzewem naprzeciw bramy numer 1 bloku na ulicy Kossak-Szczuckiej. Nie poszedł do domu. Postał chwilę na parkingu, po czym wyjął komórkę i wybrał numer Pauliny Czerny. Zgłosiła się po dwóch sygnałach.

– Co robisz? – zapytał.

Odniósł wrażenie, że czekała na jego telefon.

– Przyjdź.

Schował aparat do kieszeni i poszedł piechotą z kaskiem pod pachą. Nie było daleko. Może taki orzeźwiający spacer dobrze mu zrobi? W ostatnich tygodniach czegokolwiek się tknął, zawsze trafiał na Satyra albo na tego dziwoląga z plastikowymi ramionami. Zlekceważyli Obserwatora. Okazał się groźniejszy, niż się spodziewali. Zranił nożem Wiliczковского. Faceta, który pół życia spędzał, ćwicząc sztuki walki z różnych stron świata.

I jeszcze te cholerne protezy, które okazały się nie być protezami. Technicy zidentyfikowali je jako ręce sklepowego manekina z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Na pytanie, po co ktoś miałby sobie przedłużać ręce, trzymając w nich plastikowe, wzruszyli ramionami i popukali się w czoło. Odciski palców zdjętych z protez nie pasowały do osób zarejestrowanych w policyjnej bazie danych. Pewna myśl nie dawała mu spokoju. Chętnie porównałby te odciski z tymi, o których wiedział, że zostały utajnione. Tylko jak do nich dotrzeć?

Nawet się nie spostrzegł, kiedy znalazł się na Buczackiej pod domem Pauliny. Był cholernie zmarnięty po tym wieczornym spacerze.

Rozmawiali, siedząc na stołkach barowych przy kuchennym blacie. Paulina zrobiła mu dużego drinka na rozgrzewkę, a potem postawiła na środku talerz z czterema kanapkami z żółtym serem i uśmiechnęła się przepaszająco.

– Jak zwykle mam pustą lodówkę.

– Przyzwyczailem się.

Przegryzając kanapkę, opowiedziała mu o oskarżeniach wobec Wysockiego i o jego ucieczce. Potem o obławie. Zakrzewski kręcił głową, zadowolając się na razie drinkiem.

– Zawsze wiedziałem, że Wysocki to szuja. Nie przypuszczałem jednak, że jest zdolny do takich rzeczy.

– Zachował się jak tchórz. Nie miał odwagi przyznać się do wypadku.

– Za dużo by stracił. Wiesz, przywileje, kariera i świetlana przyszłość w polityce.

– Kurwa, wiem.

Widząc jej minę, Marcin przez chwilę się nie odzywał. Paulina nie skończyła kanapki. Odłożyła połowę na talerz i też milczała. Zakrzewski przypomniał sobie, że kiedyś potrafili przegadać całą noc. Kładli się spać razem ze wschodzącym słońcem. Po raz nie wiadomo który uświadamiał sobie, że stracił coś bardzo ważnego. Coś, co nie wróci. Dopił drinka jednym haustem. Dopiero teraz poczuł się lepiej. Ciepło wracało.

– Byliście odpowiedzialni za aresztowanego – powiedział. – Będziesz miała nieprzyjemności. Ucieczka prokuratora oskarżonego o wypadek ze skutkiem śmiertelnym, ukrycie zwłok i mataczenie to będzie gruba sprawa. Nawet jeśli teraz jeszcze tak nie wygląda.

– Cholera, wiem! – warknęła. – Wcale nie czuję się dobrze ze świadomością, że po latach nienagannej służby wypierdolą mnie z policji przez Wysockiego.

– Jak go szybko złapiecie, może rozejdzie się po kościach.

– To też wiem.

Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale jej palce znalazły się na jego ustach. Takiej jej jeszcze nie widział. Patrzyła na niego jakoś dziwnie. W sposób, jakiego jeszcze nie znał.

– Powiedz mi, jak go znaleźć – poprosiła. – Mam pustkę w głowie. Nie wiem, co robić. Żadnych pomysłów.

Ujął jej dłoń i odsunął od swoich ust. Mocno ścisnęła jego palce. Zastanowił się.

– Wysocki wróci do domu – rzucił. – Nie wiem, czy jest w stanie samodzielnie zorganizować sobie ucieczkę i jakieś miejsce, gdzie mógłby się ukryć. Będzie szukał pomocy. Gdzie, jak nie w domu?

Paulina prychnęła z powątpiewaniem, choć sama wcześniej myślała o podobnym tropie.

– Marcin, Wysocki jest prokuratorem. Zna metody działania policji. Będzie omijał dom szerokim łukiem.

– Wróci, właśnie dlatego, że jest prokuratorem. Zna procedury i myśli, że dzięki temu jest w stanie was przechytrzyć.

Puściła jego dłoń i sięgnęła po nadgryzioną kanapkę. Znowu była Pauliną, jaką znał.

– W co wpakował się Salitra? – zapytała.

– Dokładnie jeszcze nie wiem.

– Słyszałam, że uratowałeś mu życie.

– Tak się, cholera, złożyło.

– Tak czy inaczej, ja też powinnam ci za to podziękować.

– Niby dlaczego?

Odpowiedziała dopiero po chwili.

– Pomógł mi w sprawie Wysockiego. To bardzo rozsądny facet.

– W takim razie miał chwilowy zanik zdrowego rozsądku – mruknął Marcin. – Prawdopodobnie ma ważne informacje, które mogą pomóc w sprawie Satyra, i z nikim się nimi nie podzielił. Najchętniej zadołowałbym go u nas na kilka dni. Może wróciłby mu rozum.

– Jak zaczniesz go straszyć, gównu zyskasz. Pogadaj z nim po prostu jak człowiek. – Paulina sięgnęła po stojącą koło zlewozmywaka popielniczkę i zgasiła swojego papierosa. – Odkąd parę lat temu jego siostra popełniła samobójstwo, zamknął się trochę w sobie.

Marcin znieruchomiał z papierosem przy ustach.

– Popełniła samobójstwo?

Paulina pokiwała głową.

– W takim razie tym bardziej muszę z nim szybko porozmawiać.

Rozdział 55

– Cześć! To ja.

– Jaki ja?

Głos w słuchawce zawahał się na moment.

– Mirek Borek.

– Już cię poznaję.

– Powiedziałaś, że mogę kiedyś zadzwonić.

– Ale skąd pomysł, że dzisiaj?

Usłyszał wyraźnie jej stłumione ziewanie i jeszcze bardziej się zmieszał.

– Obudziłem cię? Jest za kwadrans dwunasta...

– Miałam ciężki tydzień.

– To... mogę wejść? Jestem na dole.

– Wejdz. Tylko poczekaj pod drzwiami, muszę się ogarnąć.

Nacisnęła przycisk domofonu, po czym poszła do łazienki. Wzięła długi prysznic, potem włożyła koszulkę i świeże dżinsy z wytartymi kolanami. Wróciła jeszcze do łazienki i zrobiła lekki makijaż. Dopiero potem podeszła do drzwi, przekręciła zamki i otworzyła.

Mirek przysiadł na schodach prowadzących na wyższe piętro i czekał cierpliwie.

– Cześć – powiedział, wstał i pokazał jej pełną reklamówkę z jakiegoś marketu. – Pomyślałem, że zrobię ci śniadanie – wyjaśnił.

Wpuściła go do środka, nic nie mówiąc. Poszedł od razu do kuchni i zaczął wypakowywać zakupy. Usiadła na krześle i obserwowała go z uwagą. Pokazał jej długą bułkę i żółty ser.

– Zrobię ci pyszne grzanki.

Bez skrępowania przeszukiwał jej szafki kuchenne. Wyciągnął patelnię, talerze i sztucce. Wszystkie składniki grzank przyniósł ze sobą. Po chwili rozpuszczał klarowane masło na patelni, kroił bułkę, odpowiednio okraszone serem kawałki przypiekał na patelni. Zaparzył kawę, którą też przyniósł. Po kuchni rozeszły się dwa przyjemne aromaty, mieszając się ze sobą. Po chwili kawa zwyciężyła.

Wtedy grzanki były już gotowe. Ilona jadła je ze smakiem przy kuchennym stole, a Mirek stał z boku i dopytywał się, czy jej smakuje.

– Uhm – mruknęła tylko z pełnymi ustami.

Dawno nie jadła tak dobrego śniadania.

Kiedy już nasyciła pierwszy głód, kawa była gotowa. Zamoczyła w niej usta, zerkając na Mirka spod oka. Był dziwny i pełen sprzeczności. Wyglądał na nieśmiałego, a wpakował jej się do kuchni i rządził się jak u siebie. Poprzedniego wieczoru wydawał się zagubiony i zmieszany, a potem w łóżku stał się zdecydowany, dał się nawet wciągnąć w seks z elementami przemocy. Ilona od dłuższej chwili czuła pewien niepokój. Może niepotrzebnie go wpuściła? Nie, on nie jest niebezpieczny – przemknęło jej przez głowę. Prawda musi być inna.

– Nie pijesz kawy? – zapytała.

Zanim skończyła jeść, zdążył pozmywać naczynia, powycierać i pochować. Kuchnia wyglądała nawet lepiej niż przed śniadaniem.

– Nie – padła szybka odpowiedź.

Znowu milczeli kilkanaście sekund. Wreszcie Ilona odstawiła kubek i spojrzała mu prosto w oczy. Znowu trochę się zawstydził.

– Człowieku, co jest z tobą nie tak?

Odniosła wrażenie, że czekał na podobne pytanie.

– Aż tak widać? – Uśmiechnął się.

Zaczął nerwowo drapać się po policzku, jakby siedział przed komisją egzaminacyjną na studiach.

– Mam defekt – powiedział wreszcie. – Nie radzę sobie w relacjach międzyludzkich. Mam problemy komunikacyjne. Nigdy nie wiem, co mówić, potrzebuję bodźca.

Ilona patrzyła na jego twarz. Nie oszukiwał. Najpierw poczuła rozczarowanie. Czy każdy facet, którego spotyka, musi być sfiksowany? Przypomniała sobie poprzednich dwóch, z którymi zdarzyło jej się dawno temu pójść do łóżka. Jeden był notorycznym kłamcą, drugi przepuszczał każdy grosz na jednorękim bandycie. Nawet próbował ją okraść, ale skończył z rozbitym nosem i paskudnym sińcem pod okiem.

Coś przyszło jej do głowy.

– Słuchaj, czy ty chcesz mi o czymś powiedzieć?

Pokiwał głową, jakby z ulgą.

– Ale muszę to z ciebie jakoś wyciągnąć?

– Tak.

Nie wahala się ani chwili. Przesunęła mały stolik pod drzwi, postawiła przy nim stółek. Jemu kazała usiąść na krześle pod oknem. Wyciągnęła z torby policyjną odznakę. Po chwili wahania wzięła też pistolet, który wsadziła sobie z tyłu za pasek. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, gdy siadała za stołem i rzucała na blat odznakę.

– W takim razie to będzie oficjalne przesłuchanie – oświadczyła.

Siedział dwa metry od niej jak sparaliżowany. Zrobiło jej się go szkoda. W sumie to był miły gość. Podobał jej się.

– Czy bodźce są wystarczające?

Otworzył usta i zaraz je zamknął. Nie odpowiedział. Ilona wyciągnęła zza paska służbowego walthera i położyła obok odznaki.

– A teraz?

Wyraźnie zbladł i energicznie pokiwał głową.

– Co jest z tobą nie tak? – zapytała twardym głosem.

– W dzieciństwie miałem zdiagnozowany zespół Aspergera – mówił wolno, w skupieniu, i się zawahał.

– No dobrze, a co teraz jest z tobą nie tak? – sprecyzowała pytanie.

– Jestem na odwyku.

– Narkotyki?

– Nie.

– Alkohol?

Po raz pierwszy na nią spojrzął.

– No nie... komputer i Internet.

Teraz Ilona musiała przetrawić tę informację.

– Przecież masz telefon.

– Mam, ale trochę inny... – Pokazał jej aparat starego typu, z małym wyświetlaczem i dużymi klawiszami wyboru numeru. Tak zwany telefon dla emerytów. Na pewno nie było opcji, żeby połączyć się z Internetem.

Ilona szybko przeanalizowała jego odpowiedź.

– Jesteś hakerem? – zapytała, i to był strzał w dziesiątkę.

– Byłem.

– Jaką miałeś ksywkę?

– Mrok.

Zastanowiła się przez chwilę. Wielokrotnie słyszała o hakerze o tym pseudonimie. To była jedna z bardziej znanych postaci w środowisku, nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Naprawdę siedział przed nią słynny Mrok? Jeśli miał aspergera, nie potrafił kłamać.

– Jakieś kłopoty z prawem?

– Liczne. Mam wyrok w zawiasach za włam do dużego banku.

– Zrobiłeś taką głupotę?

– Byłem młody.

Ilona Marzec domyśliła się, co słynny haker Mrok, będący aktualnie na odwyku, chce jej powiedzieć. Coś, czego nigdy nikomu nie opowiedział. O co pewnie nikt go nie zapytał. Odruchowo przesunęła pistolet bliżej siebie. Mirek głośno przełknął ślinę. Był zdenerwowany. Być może nawet się jej w tym momencie bał.

Najwyraźniej takie bodźce były dla niego wystarczające.

– Co cię łączyło z Wiktoria Nowak? – Pytanie było celne, chociaż ewidentnie spodziewał się innego.

Powoli, przyjdzie na to czas.

– Nie wiem, była moją koleżanką – odparł niepewnie.

– Czy ona również była hakerką? Byłeś jej nauczycielem?

– Nie, nie. Wiktoria miała dar od Boga. Była samoukiem, ale potrafiła włamać się wszędzie, gdzie tylko chciała. Pisała takie oprogramowania hakerskie, o jakich wielu bardziej znanych w środowisku mogło tylko pomarzyć.

– Pomogłeś jej wejść w środowisko – domyśliła się Ilona.

– Była młodsza ode mnie, ale znaliśmy się od dzieciństwa – mówił, nie patrząc jej w oczy. – Mieszkała koło mnie. Nie chciała się kontaktować z innymi hakerami, wołała działać na własną rękę. Ale gdy pokazała mi swoje programy, pomyślałem, że można na nich trochę zarobić na czarnym rynku. Potrzebowała kasy, więc puściliśmy trochę. Wszyscy myśleli, że ja to napisałem. Jestem znany.

– Rozumiem. I co dalej?

– Właściwie nic. Tak by się to skończyło, gdyby Wiktoria nie przyszła do mnie z patentem na zarobienie grubej kasy.

– Co to było? – Ilona poczuła szybsze bicie serca.

– Wpuściliśmy oprogramowanie Wiktorii do zarządu pewnej znanej firmy. Prosta sprawa. Wystaliśmy kilkanaście zawirusowanych maili, któryś zadziałał. W niecałe dwa tygodnie mieliśmy u mnie na serwerze lustra trzech najważniejszych komputerów w firmie. Wszystko, co zapisywali na dyskach, zapisywało się też u nas. Szybko się zorientowaliśmy, że przelewają sporo lewej kasy przez spółkę na Cyprze. Wystarczyło poczekać na dobry moment.

– Skoro jesteś na odwyku od komputera, to znaczy, że coś nie poszło według planu. – To było raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Byliśmy na ostatniej prostej. Ściągnęliśmy już nawet bankowe kody na telefon Wiktorii, gdy ktoś ukradł jej ten telefon. Wiktoria

wpadła w panikę. Myślała, że nas odkryli. Przez dwa dni była w strasznym stanie. Chciała uciekać z kraju.

– A ty?

Mirek przetarł dłonią czoło.

– W pierwszej chwili też myślałem, że to wpadka i lada moment przyjdą po nas jakieś zbiry. Ale przyszło otrzeźwienie. Nikt nie mógł nas odkryć. Zbyt dobrze się kamuflowaliśmy. Wyjaśniłem to Wiktorii i trochę się uspokoiła.

– A potem?

– Potem zadzwonił ten dziwny facet. Zdecydowaliśmy, że Wiktoria się z nim spotka i odbierze zgubę. Ja byłem wtedy na czatach i obserwowałem. To było w miejscu publicznym, gdyby coś się zaczęło dziać, podniósłbym alarm.

Ilona znowu poczuła dreszcz.

– I co z tym facetem?

– Wiktoria odebrała telefon i się rozstali. Ja dla pewności poszedłem za nim.

W kuchni zapadła pełna napięcia cisza. Sekundy wlekły się jak godziny, lecz policjantka milczała. Wreszcie chłopak zaczął mówić dalej, bez naprowadzających pytań. Widać było, że kosztuje go to masę wysiłku.

– Facet poszedł do tramwaju. Miałem go zostawić na przystanku, ale był na tyle dziwny, że wsiadłem z nim do jednego wagonu. Bardzo dobrze zbudowany, jakby wiele godzin spędził na siłce. Ale wyglądał normalnie, tylko ubrał się nieadekwatnie do pogody. Panował upał, a on miał sweter z długimi rękawami. Był w czapce z daszkiem.

Ilona Marzec przysłoniła usta, żeby nie dostrzegł jej mimowolnego uśmiechu triumfu. Bingo!

– Pojechałem za nim na plac Grunwaldzki. Tam przesiadł się w inny tramwaj, a ja znowu pojechałem z nim, nie wiem dlaczego. Wysiadł przed mostami Jagiellońskimi. Przeszedł przez mosty, skręcił na wał i ruszył wzdłuż Kanału Żeglugowego Odry. Obszedł

zimowisko barek i skierował się do starych hal fabrycznych. Przeszedł przez dziurę w ogrodzeniu i zniknął w jednej z nich. Dalej nie miałem odwagi za nim iść.

– Dobrze. Pamiętasz, gdzie wszedł?

– Niewiele rzeczy zapominam.

– A jego twarz? Pamiętasz jego twarz na tyle, żeby policyjny grafik sporządził portret?

– Oczywiście.

Ilona wstała zza stołu, na szyi powiesiła sobie odznakę, włożyła pistolet do kabury i umocowała na szelkach pod ramieniem.

– Na co jeszcze czekasz? – rzuciła do nieruchomego Mirka. – Pokażesz mi, gdzie to było.

Stał na schodach kilka stopni niżej, kiedy zamykała drzwi na klucz.

– Wtedy przy mostach Jagiellońskich chyba mnie widział – stwierdził cicho.

Ilona popatrzyła mu głęboko w oczy.

– Gdyby cię widział, już dawno byś nie żył – odpowiedziała. – Możesz być tego pewien.

Rozdział 56

Na widok Krzysztofa Salitry opuszczającego szpital jak na komendę wysiedli i ruszyli w jego stronę, kuląc się przed deszczem. Zakrzewski postawił kołnierz dżinsowej kurtki i pochylił się, jakby chciał schować głowę między ramionami. Karina szła krok z tyłu.

Salitra od razu ich zauważył. Stanął na szczycie schodów i poczekał, aż się zbliżą. Wyglądał fatalnie, był blady i nieogolony. Na szyi miał kołnierz ortopedyczny.

– Komisarz Zakrzewski, komenda wojewódzka policji.

– Aspirant Karina Buczko. – Policjantka też pokazała swoją blachę.

– Przecież was poznaję – mruknął.

– Takie mamy procedury – oznajmił oschle Zakrzewski i zaraz dodał: – Pojedziemy do nas. Masz nam pewnie masę do opowiedzenia.

Salitra tylko się skrzywił.

– Nie ma mowy – odpowiedział zachrypniętym głosem.

– Salitra, zastanawiałem się, czy cię u nas nie zadołować na jakiś czas. – Zakrzewski nawet nie próbował ukryć irytacji. – Jak będziesz się stawiał, źle się to dla ciebie skończy.

– Pojedziemy do mnie. – Dziennikarz jakby nie słyszał ostatniego zdania. – W domu mam ważne materiały. Pewnie wam pomogą.

Marcin zajrzał mu w oczy, oceniając szczerą. Test musiał wypaść pozytywnie.

– Podrzucimy cię naszym autem – stwierdził.

Przez całą drogę milczeli. Dopiero gdy byli już na Nowowiejskiej, w pobliżu kamienicy, na której poddaszu mieszkał Salitra, Marcin się odezwał. Był to ciąg przekleństw. Musieli kilka razy objechać cały kwartał kamienic, zanim udało mu się znaleźć miejsce między znakiem drogowym oznaczającym koniec strefy parkowania a dostawczym busem.

Mieszkanie Salitry nie było duże. Sypialnia, garderoba, salon, łazienka i kuchnia sprawiająca wrażenie doklejonej do reszty pomieszczeń. W salonie pod oknem stało biurko, na jednej połowie zobaczyli zamkniętego laptopa, druga była zavalona stosem papierów. Dziennikarz najpierw zrobił im kawę w ekspresie, czym od razu przełamał nieufność Zakrzewskiego, po czym usiadł na obrotowym krześle przy biurku.

– Jak to się stało, że tam byliście? – zapytał, mierząc ich wzrokiem znad kubka.

– Trafiłeś na jednego z policyjnych wywiadowców – wyjaśnił Zakrzewski. – Cichy to porządny gliniarz, nie dał ci zrobić krzywdy.

– Ale to ty uratowałeś mnie od stryczka.

– Nie musisz dziękować – przerwał mu Marcin. – Najlepiej będzie, jeśli powiesz, co wiesz.

Salitra przymknął oczy i zaraz je otworzył. Jak gdyby za zamkniętymi powiekami pojawiły się wspomnienia, do których nie chciał jeszcze wracać.

– Nigdy nie spotkałem takiego dziwnego człowieka – zaczął. – Przedstawił się jako Śmierciór. Wyglądał przerażająco.

– W jakim sensie? – Karina nieco się wyprostowała.

– Kiedy do mnie mówił, miał twarz szaleńca, ale jego oczy pozostawały zimne, pozbawione ludzkich uczuć. Nieruchome, przerażające.

Zakrzewski zacisnął dłonie na kubku z kawą. Widział już takie pozbawione emocji oczy.

– Ale najbardziej przerażające było jego ciało – ciągnął Salitra. – Zdjął koszulę, żeby pokazać mi swoje prawdziwe oblicze, jak to

określił. Piersi, ramiona i plecy miał w bliznach.

Policjanci spojrzeli na siebie znacząco.

– Były jak po ranach zadanych ostrym narzędziem. Wydaje mi się, że nie miał na ciele żadnego miejsca pozbawionego tych blizn. Najgorsze były jednak ramiona. Straszne zgrubienia po długich rozcięciach wyglądających, jakby były zszyte po amatorsku.

– Dlaczego go szukałeś? – rzucił Zakrzewski.

Salitra podał im segregator z opowiadaniem o Śmierciorku i wycinkami. Przeglądali wydruki w foliowych koszulkach, a on opowiadał. Mówił o samobójstwie siostry, zrelacjonował też, jak wpadł na trop Śmierciorka. Historia była tak nieprawdopodobna, że Zakrzewski zapomniał o kawie. Salitra skończył i dał im chwilę do namysłu.

– Opowiadanie o śmierci Oskara Bertona też tu jest. – Karina popatrzyła badawczo na Zakrzewskiego.

– Wydrukowałem je jako ostatnie – wtrącił gospodarz. – Chyba nie mam niczego nowszego.

Marcin pocierał dłonią czoło, jakby chciał rozmasować sobie mózg i pobudzić go do sprawniejszego działania.

– Ktoś od lat morduje, pozorując samobójstwa? – szepnął jakby do siebie.

– Anka Wiśniewska miała rację. – Karina pokiwała głową. – Apacz i Tymon Jagła – to nie były przypadki.

– Musimy jeszcze raz ich wszystkich przesłuchać.

– Widziałam w szpitalu kogoś, kto miał takie blizny na przedramionach. – Karina powiedziała głośno to, co nie dawało Zakrzewskiemu spokoju.

– To nie ma sensu – westchnął Marcin.

Rozmawiali jeszcze ponad godzinę, aż przerwał im hardrockowy sygnał telefonu. Marcin odebrał, słuchał chwilę, odpowiedział krótko, po czym rozłączył się i powiedział do Salitry:

– Pożyczmy ten segregator. Jak się lepiej poczujesz, przyjedziesz do nas na oficjalne przesłuchanie.

– Mam jeszcze fotografię, którą zrobiłem w opuszczonym domu za Wrocławiem – wyznał Salitra. – Nie wiem, kto na niej jest. Może wam się przyda.

Karina rzuciła okiem na odbitkę i spojrzała zdziwiona na Marcina.

– Co się stało? – zapytała, kiedy schodzili po skrzypiących schodach na parter.

– Być może mamy szczęście – padła krótka odpowiedź.

Wsiedli do samochodu i ruszyli ostro. Koła ślizgały się przez chwilę po mokrym asfalcie. Do mostów Jagiellońskich nie mieli daleko.

*

Ilona Marzec zadzwoniła do Zakrzewskiego, gdy tylko Mirek Borek pokazał jej zasłoniętą krzakami dziurę w siatce ogrodzenia. Popatrzyła na opuszczony budynek magazynowy znajdujący się na placu i od razu sięgnęła po telefon.

Zakrzewski z Kariną przyjechali kilka minut później. Zaparkowali na początku ulicy Folwarcznej. Właściwie to nie była ulica, tylko wyłożona płytami ścieżka prowadząca po wale między kanałami Odry. Mirek Borek jeszcze raz opowiedział o człowieku, który oddał telefon Wiktorii Nowak, potem o tym, jak go śledził i przestraszył się, że zostanie odkryty, kiedy tamten przechodził przez zniszczone ogrodzenie. Poprosili chłopaka, żeby poczekał w aucie, a sami przystanęli pod drzewem i zaczęli się naradzać. Karina poczęstowała ich papierosami i teraz palili nerwowo.

– Ten Mirek jest wiarygodny? – zapytała Karina.

– Nie umie kłamać – odparła Ilona.

Zakrzewski zerknął na nią, ale nie skomentował dziwnej odpowiedzi.

– Być może to zupełny przypadek, że wtedy tutaj wszedł – powiedział, mocniej naciągając kołnierz kurtki, żeby uchronić się przed deszczem niesionym przez wiatr. – Ale musimy to sprawdzić.

– Dzwonimy po wsparcie? – spytała Ilona.

– Nie.

– Jak to? – Spojrzała na niego zdziwiona.

– Posłuchaj, to może być pomyłka. Poza tym jeśli zadzwonimy po wsparcie, za kwadrans będą tu nasi koledzy z CBS i każą nam się wynosić. Mamy zakaz ruszania sprawy Satyra.

Wszyscy jak na komendę cisnęli niedopałki na mokrą ścieżkę.

– To może być niebezpieczne, dlatego pójdę sam.

– Nawet nie próbuj – zaprotestowała Karina. – Idziemy wszyscy.

– Nie mogę was narażać. Spotkałem już osobiście Satyra i wiem, jak bardzo jest niebezpieczny.

Ale dziewczyny go nie słuchały. Sprawdzały, czy mają pełne magazynki. Marcin spojrzał tylko na ich zacięte miny i zrezygnował z dalszej perswazji.

– Dobra, idziecie za mną i żadnej prywatnej inicjatywy. Mirek zostanie w aucie.

Ilona podeszła do swojego samochodu i zajrzała do środka.

– Zostań tu – powiedziała do Mirka. – Jeśli za pół godziny nie wrócimy, zadzwoń do mnie. Gdybym nie odebrała, dzwoń na policję i powiedz, że policjanci potrzebują pomocy.

Spojrzał na nią poważnie i skinął głową.

Odetchnął głęboko i popatrzył na swoje dłonie. Drżały. Brakowało mu sieci, kontaktu ze światem, kodów, pisania programów do łamania zabezpieczeń. Normalnie sięgnąłby po telefon i połączył się z Internetem. Ale miał tylko ten cholerny telefon, który do niczego się nie nadawał.

Wyciągnął go z kieszeni. Na niewielkim wyświetlaczu było tylko tyle miejsca, żeby zobaczyć, która godzina i kto dzwoni. Właśnie minęły dwadzieścia dwie minuty, od kiedy policjanci poszli do tamtego budynku. Za osiem minut zadzwoni. Równy za osiem. Ani wcześniej, ani później.

Coś zamajaczyło przed maską auta. Podniósł głowę i przez zaparowaną szybę zobaczył biegnącego człowieka. Już miał spuścić

wzrok, gdy nagle zauważył, że mężczyzna zwalnia, przechodzi w marsz, a potem zatrzymuje się tuż przed maską. Był ubrany w nieprzemakalną kurtkę do biegania i czapkę z daszkiem.

Mirek dopiero teraz naprawdę się przestraszył. Ogarnął go pierwotny strach. Dokładnie taki, jaki pamiętał z dzieciństwa. Strach paraliżujący na długie minuty i uniemożliwiający jakiegokolwiek działanie.

Nawet nie drgnął, gdy mężczyzna ruszył wzdłuż samochodu. Nie wydobył głosu, kiedy tamten zapukał w boczną szybę pistoletem z długim tłumikiem. Drgnął dopiero, gdy pierwszy pocisk roztrzaskał szkło na drobne kawałki. Potem drgał jeszcze przy każdym kolejnym wystrzale.

*

Na wysokości śluzy Zacisze musieli obejść sztuczny basen, gdzie zimowały barki. Szli brzegiem, aż wreszcie dotarli do miejsca, o którym mówił Mirek Borek. Siatka ogrodzeniowa najprawdopodobniej przerdzewiała i oczka puściły. Za ogrodzeniem znajdował się opuszczony budynek magazynowo-biurowy. Ukryci za krzakami, przystanęli i wypatrywali innego wejścia na ogrodzony teren. Nic nie znaleźli, więc musieli zaryzykować przedostanie się przez dziurę.

Zakrzewski poszedł pierwszy wyraźnie wydeptaną w trawie ścieżką. Karina pobiegła w prawo, Ilona w lewo. Kiedy Zakrzewski stanął przed zardzewiałymi drzwiami w wysokiej bramie, były już obok niego. Bez słów odbezpieczyli broń. Marcin pchnął niezamknięte drzwi. Otworzyły się z cichym jękiem. Pod stopy upadła mu niedawno ułamana gałązka.

– Cholera! – szepnął.

– Co się stało? – zapytała Karina.

Wskazał jej gałązkę, ale chyba nie rozumiała, o co chodzi.

– Zabezpieczenie – wyjaśniła Ilona.

Zakrzewski wślizgnął się do środka i poczekał, aż oczy przyzwyczają się do półmroku. Krótki korytarz prowadził do większego pomieszczenia magazynowego. Po prawej stronie znajdował się rząd drzwi. Hala była pusta, pokryta kurzem i odrapana. Stalowe elementy konstrukcyjne pokryła ruda warstwa rdzy. Przez dziury w dachu do środka wpadało światło dzienne i kapąły grube krople wody. Na betonowej posadzce utworzyły się kałuże.

Marcin przez rękaw kurtki chwycił klamkę pierwszych drzwi. Zamknięte. Ilona spróbowała drzwi najbliżej wejścia. To samo. Niespodziewanie drzwi pośrodku ustąpiły lekko. Marcin pchnął je nogą i czekał. Nic się nie stało. Sięgnął dłonią do środka, wymacał włącznik światła i przekręcił. O dziwo, pomieszczenie zostało zalane żółtym światłem. Pierwszym, co rzucało się w oczy, były okna zasłonięte kawałkiem grubego czarnego materiału. Potem Zakrzewski zwrócił uwagę na biurko z wypaczonym przez wilgoć blatem i zdezelowane krzesło. Leżała na nim klawiatura do komputera, z całą pewnością nowa.

Ostrożnie obeszlili wszystkie pomieszczenia. Wszędzie okna były zasłonięte. W jednej z sal znaleźli leżankę z poduszkami i śpiworem oraz całą szafkę nierozpieczętowanych jeszcze przyborów do mycia i golenia. W drugiej szafce były konserwy i starannie zapakowany w folię chleb, całkiem świeży.

– Ktoś tu mieszka – stwierdziła Karina.

– Tylko poszedł na zakupy – uzupełniła ironicznie Ilona Marzec.

– Może zadzwonimy po wsparcie i zrobimy kocioł? – zaproponowała Karina.

– Nie ma sensu. – Zakrzewski pokręcił głową. – Jeśli to był Satyr, już tu nie wróci.

– Ale który z nich tu mieszkał? Satyr, Obserwator czy Śmierciór?

Nikt nie odpowiedział na jej pytanie. Ilona spojrzała nagle na zegarek.

– Minęło dwadzieścia sześć minut – powiedziała. – Muszę zadzwonić do Mirka.

Wyciągnęła telefon, wybrała numer. Po kilku sygnałach włączyła się skrzynka. Spojrzała na nich zaniepokojona.

– Nie odbiera – rzuciła.

– Może zaraz oddzwoni. – Karina wzruszyła ramionami.

– On nie może nie odebrać telefonu! Taką ma wadę! Coś musiało się stać!

Ilona skoczyła do drzwi i wybiegła z budynku.

Zakrzewski i Karina popędzili za nią. Dogonili ją dopiero na moście. Gdy skręcili w lewo w Folwarczną i zobaczyli zaparkowane auta, zrozumieli, że coś jest nie tak. Karina została z tyłu i ich ubezpieczała. Marcin z Iloną zbliżyli się do pierwszego samochodu z bronią gotową do strzału. Ilona jęknęła, widząc odłamki zbitej szyby.

– Kurwa mać! – krzyknęła, szarpiąc gwałtownie drzwi.

Mirek siedział nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami. Szarpnęła go za ramię. Chłopak gwałtownie nabrał powietrza do płuc, jakby przez ten cały czas w ogóle nie oddychał, skłonił się w jej stronę i wypadł na ścieżkę. Zakrzewski pochylił się nad nim.

– Jesteś ranny?!

Mirek odtrącił go, przeczołgał się na trawę i zwymiotował. Ilona podniosła go, objęła i przytrzymała.

– Chyba nic mu nie jest – powiedziała z ulgą. – To tylko szok.

– Ktoś unieruchomił nam auto – rzucił Marcin. – Wygląda, jakby kilka kul utkwilo w desce rozdzielczej.

Rozglądał się wokoło. Folwarczna była pusta. Przez most normalnie jeździły samochody, przejechał jakiś rowerzysta. Z powodu padającego deszczu pieszych nie było. Szybko podjął decyzję.

– Ilona, zabieraj go stąd. Nigdy was tu nie było! Karina, dzwoń po wsparcie!

*

Dwie godziny później ubrana w biały kombinezon młoda technik kryminalistyki z niebieskimi włosami wyszła z budynku na deszcz i się rozejrzała. Bez wahania ruszyła w kierunku skrytych pod drzewem Marcina i Kariny. Oboje palili w milczeniu.

– Trochę śladów jest – odezwała się Marta Mickiewicz bez żadnego wstępu. – Sporo starych odcisków palców, ale też kilka całkiem nowych. Do tego włosy i ślady krwi.

– Prześlesz mi mailem te odciski? – zapytał komisarz.

– To niezgodne z...

– Proszę.

Marta spojrzała na milczącą, przemokniętą Karinę i skinęła głową.

– A teraz idź już – powiedział Zakrzewski. – Lepiej, żeby cię z nami nie widzieli.

Odeszła bez słowa i wróciła do swoich zajęć.

Kilka minut później przed budynkiem pojawił się naczelnik wydziału kryminalnego w towarzystwie nieznanego im policjanta. Inspektor Godlecki nie przedstawił obcego, za to od razu przystąpił do ataku.

– Komisarzu Zakrzewski! Co tu wyrabiacie, do jasnej cholery?!

– Będzie w raporcie. – Marcin wzruszył ramionami.

– A może kilka słów wyjaśnienia?

– Dostaliśmy anonimową informację, że w pobliżu tego budynku widziany był mężczyzna podejrzany o współudział w uprowadzeniu i zamordowaniu Wiktorii Nowak. Musieliśmy to sprawdzić. Tymczasem on wpakował nam całą serię w samochód.

– Sprawę przejmuje Centralne Biuro Śledcze – odezwał się nieznanomy policjant.

– J-jasne – zgodził się Zakrzewski.

Skinął na Karinę Buczko i razem odeszli w kierunku dziury w płocie.

Rozdział 57

– Kogo my właściwie ścigamy?

Na koniec fatalnego dnia wylądowali na Bogusławskiego. Wiki bez słowa przyniosła dwie wielkie szklanki whisky z lodem, obdarzyła ich miłym uśmiechem i poszła obsługiwać pozostałych klientów. Siedzieli w kącie, z dala od innych gości.

– Nie wiem. – Pokręcił głową.

– Nie chcesz rozmawiać o pracy?

– Nie.

Chwilę milczeli.

– Jak się ma Szawczak? – zapytała.

Zakrzewski się skrzywił. To też nie było dobre pytanie. Nie myślał ostatnio o Parolu. Nie miał wieści ze szpitala.

– Nie wiem – powtórzył i zmienił temat. – Co słyszać u Justyny?

Na twarzy Kariny natychmiast pojawił się szeroki uśmiech.

– Jesteśmy w kontakcie. Może w najbliższy weekend uda jej się wyrwać z pracy.

Marcin pociągnął łyk ze swojej szklanki.

– W sumie to dość niecodzienna sytuacja – podsumował. – Rozmawiać o swojej byłej dziewczynie z jej obecną dziewczyną.

Szybko znowu zeszli na temat, którego chcieli uniknąć.

– Dlaczego Satyr nie zabił Mirka?

– On nie zabija bez powodu – odparł Zakrzewski. – Mirek nic dla niego nie znaczy. To było bardziej ostrzeżenie dla mnie. Znalazłem się za blisko.

– Za blisko niego?

– Być może.

Dopili whisky i zamówili po jeszcze jednej szklance.

– Kim jest dla Ilony ten Mirek? – zainteresował się Zakrzewski.

– Też to zauważyłeś? – Karina spojrzała na niego z ukosa. – Podobno to tylko znajomy, ale coś mi na to nie wygląda.

– J-jasne. Jak on się czuje?

– Jest w szoku, trafił do szpitala. Podobno już mu lepiej. Co robimy?

Marcin zastanowił się przez chwilę.

– CBŚ zablokuje nas natychmiast, jak tylko ruszymy sprawę zamordowanych dziewczyn albo zaczniemy grzebać w przeszłości Dawidka. Ale jest chyba coś, o czym jeszcze nie wiedzą.

– Seria samobójstw z papierów Salitry i koleżdy Anki Wiśniewskiej – domyśliła się. – Spróbujemy dotrzeć do Satyra, znajdując Śmierciora?

– Jutro od rana wracamy do tej sprawy. Chciałbym jeszcze raz posłuchać o Kole Fortuny i o tych dziwnych mailach.

*

Bożena Wysocka była trzeźwa.

Straciła ochotę na picie koniaku w chwili, gdy policja przeszukiwała dom. Kiedy alkohol przestał działać, zaczęła prawie namacalnie odczuwać czyjąś obecność. Obecność tamtej osoby pod krzakiem róż na rabatce. Ciężko było z nią przebywać na co dzień. Jeszcze gorzej było w nocy. Dotąd, zamroczona alkoholem, Bożena spała całkiem dobrze. Ale odkąd wytrzeźwiała, znowu przestała sypiać.

Policję interesował nie tylko drugi garaż i znajdujące się w nim blachy. Wyciągnęli wszystko z szaf, z szuflad, zrzucili książki z półek, opróżnili kuchenne szafki, zwinęli dywany, zaglądali pod tapety, w jednym miejscu odłupali kawał tynku. Próbowano nie zwracać na nich uwagi. Kiedy wreszcie zamknęła za nimi drzwi,

powlokła się do kuchni. Chciała się napić, lecz kiedy zobaczyła, w jakim stanie jest dom, straciła ochotę. Z łazienki wyciągnęła miotłę i rozgarnęła po kątach kuchenne rzeczy leżące na podłodze. Tylko tyle, żeby można było przejść.

Tak samo zrobiła na górze. Poprzesuwała tylko na boki rzeczy zalegające na podłodze i usiadła na sofie. Nawet nie zauważyła, kiedy zapadł zmierzch. W pokoju zrobiło się szaro i nieprzyjemnie, ale nie chciało jej się zapalać światła. Wiedziała, że na ulicy stoi policyjny samochód, z którego ktoś obserwuje dom. Niech myślą, że poszła spać. Narzuciła tylko na nogi koc i trwała tak w bezruchu.

Przyszedł kilka minut po dwudziestej trzeciej. Najpierw zaskrzypiały schody, potem usłyszała znajome kroki i ktoś usiadł obok niej. Nawet nie popatrzyła w bok.

Długo milczeli. Wreszcie prokurator Dariusz Wysocki się odezwał:

– Wiem, że obserwują dom. Znam policyjne procedury. Nie bój się, nikt nie zauważył.

Wcale się nie bała. Milczała.

– Wiesz, oni się nie spodziewają, że wrócę do domu, dlatego obserwację traktują rutynowo. Nie chce im się dokładniej sprawdzać. Wiesz, nawet... – Zamilkł, nie widząc reakcji na swoje słowa. – Chciałem cię przeprosić – podjął po chwili. – Nie doceniałem cię. A przecież dzięki tobie robiłem karierę. Ty poświęciłaś się dla domu, dla dzieci... dla mnie. Nie doceniałem tego i teraz jest mi przykro. Na myśl o tym, że cię zdradzałem, zbiera mi się na wymioty. Czuję się jak kupa gówna.

Nadal na niego nie patrzyła. Odwróciła twarz w kierunku okna i obserwowała pierwsze krople deszczu bębniące o szyby.

– Bożena, kochanie, nie wiem, czy mogę cię prosić o przebaczenie.

Po raz pierwszy na niego spojrzała. Miał zmierzwiłone włosy, kilkudniowy zarost na policzkach, był blady i przestraszony. Nawet przez chwilę zrobiło jej się go żal. Zaraz jednak to uczucie zastąpiła

radość. Dobrze ci tak, sukinsynu. Za wszystkie lata moich upokorzeń.

– Nie – odpowiedziała twardo. – Nie możesz prosić.

– Rozumiem, oczywiście, jeszcze jest za wcześnie. – Potrząsnął głową.

Milczeli, wsłuchując się w bębnienie deszczu o parapet.

– To był przypadek – odezwał się znowu Wysocki. – Wraciałem pijany autem z imprezy i po prostu jej nie zauważyłem. Nie jechałem szybko. Nie wiem, jak to się stało, że zginęła. Byłem pijany i spanikowałem. Wrzuciłem ciało do bagażnika i odjechałem. To zrujnowałoby mi karierę. Zniszczyłoby nam życie, nasze córki przeżyłyby koszmar.

– A teraz? Teraz wszystko będzie w porządku? – Bożena Wysocka sama się zdziwiła, że jej głos brzmi tak spokojnie.

– Nic się nie bój – rzucił żarliwie. – Mam już dokładny plan. Wyjedziemy za granicę. Nikt nigdy nas nie znajdzie. Mam kontakty. Bożena?

Uśmiechnęła się pod nosem.

– No, słucham cię – powiedziała z wyraźną kpiną.

– Nie wiem, jak policja dowiedziała się, że to ja. – W jego głosie nagle zabrzmiała nuta rezygnacji. – Zatarłem wszystkie ślady. To ja prowadziłem śledztwo w sprawie zaginięcia tej dziewczyny. Nie było takiej opcji, żeby ktoś mnie powiązał z tą sprawą.

Zamilkł. W pogrążonym w ciemnościach domu robiło się jakby chłodniej. Mijały minuty.

– Nie mam się gdzie ukryć – odezwał się wreszcie Wysocki. – Pomożesz mi? Proszę...

Spojrzała na niego, jakby nagle zrozumiała, że wcale go nie zna. Wyciągnęła rękę i przyglądała mu włosy na skroni. Chwytał jej dłoń i przycisnął sobie do ust.

– Wybacz mi – wyszeptał.

Powoli wyswobodziła rękę z jego uścisku. Kiedyś naprawdę go kochała. W czasach, gdy nie zepsuły go jeszcze pieniądze i kariera.

Kiedy to było? Nie potrafiła nawet w przybliżeniu określić daty. Bardzo dawno temu.

– Pomożesz mi?

– Oczywiście. Jestem przecież twoją żoną.

Podniósł głowę i spojrzał na nią z nadzieją.

– Pomogę ci – powtórzyła.

Wstała i podeszła do parapetu. Potem owinęła sobie dłoń grubym kocem i wróciła na sofę.

– Co robisz? – zapytał jeszcze.

– Nie bój się – odpowiedziała uspokajająco. – Pomogę ci.

Dobrze, że na zewnątrz huczał deszcz, rozbijając się o blaszane dachy, maskę auta policjantów i chodniki.

*

Znajomy policyjny patrol wysadził Marcina pod blokiem na Kossak-Szczuckiej kilka minut po północy. Było zimno, ale deszcz od dawna nie padał.

Zakrzewski przekręcił klucz w zamku i powlókł się na górę. Rano zapomniał zamknąć okna w pokoju i teraz w mieszkaniu było przenikliwie zimno. Usiadł na fotelu, nie zdejmując kurtki. Wcale nie czuł się, jakby wrócił do domu. Ostatnio swoje mieszkanie traktował jak hotel. Wracał tylko, żeby wziąć prysznic, położyć się spać, rano wypić kawę i wyjść.

Może matka miała rację, powtarzając mu, żeby sobie kogoś znalazł. Nie chciał się do tego sam przed sobą przyznać, ale samotność stawała się dla niego problemem. Powroty do pustego domu były coraz bardziej frustrujące. Dziwny układ, jaki miał z Pauliną Czerny, niczego nie załatwiał, może nawet pogłębiał jego udrękę.

Otrząsnął się z ponurych myśli, zdjął wreszcie kurtkę i zastanowił się, czy ma ochotę na jeszcze jednego drinka. Szybko doszedł do wniosku, że nie.

Sięgnął po laptopa i sprawdził pocztę. Wśród spamu zobaczył znajome nazwisko i prywatny adres. Marta Mickiewicz – tak jak obiecała – złamała regulamin i wysłała mu zebrane odciski palców. Tylko trzy, ale za to bardzo wyraźne. Marcin obejrzał je na ekranie i już miał zamknąć komputer, gdy coś wpadło mu do głowy. Odszukał adres nieznajomego, od którego dostał tajne dokumenty z centrali ABW, skopiował go do nowej wiadomości, dołączył odciski palców, napisał: Pomożesz? i wysłał. Siedział jeszcze kilka minut, czekając na odpowiedź, ale oczywiście nic nie przyszło. Nawet komunikat, że adres odbiorcy nie istnieje. Ilona sprawdzała adres, z którego dostał filmik z mostu. Został natychmiast wykasowany. Czyżby z tym było inaczej?

Wreszcie kilka minut po pierwszej zamknął laptopa i powlókł się do łazienki. Ciepła woda z prysznicą uspiła go jeszcze bardziej. W tej chwili chciał się tylko walnąć do łóżka, zawinąć w kołdrę i przespać co najmniej osiem godzin.

Zanim jednak się położył, ciekawość i jakaś złudna nadzieja kazały mu jeszcze raz sprawdzić pocztę. Była tylko jedna wiadomość. Właśnie z tego adresu. Dwa słowa:

Odciski zgodne.

Marcin poczuł zimny dreszcz na plecach. Położył się do łóżka i długo nie mógł zasnąć. Gdzieś w jego głowie luźno dotąd powiązane fakty łączyły się wolno w przerażającą mozaikę.

Rozdział 58

Otworzyła im kobieta w zniszczonym szlafroku i z potarganymi siwymi włosami. Owionął ich zapach przetrawionego alkoholu. Trudno było ocenić, ile kobieta ma lat. Na pierwszy rzut oka wyglądała na siedemdziesiąt, ale Marcin podejrzewał, że jej prawdziwy wiek ukrywał się za niejedną wanną wódki, którą wlała sobie do gardła.

– Katarzyna Berton?

– Tak, a co?

Głos miała tak zdarty, że mogłaby przyprawić Janis Joplin o kompleksy.

– Komenda wojewódzka policji, wydział kryminalny. – Zakrzewski pokazał jej swoją blachę.

Stojąca za nim Ilona Marzec nawet nie wyciągnęła odznaki z kieszeni.

– Czego chcecie? Mój znowu coś przeszkrobał po pijaku?

Nie sprecyzowała, o kogo chodzi. Domyślili się, że miała na myśli męża.

– Chcielibyśmy przejrzeć rzeczy należące do pani syna Oskara.

Jakby dostała obuchem w głowę. Zamrugła, zachwiała się, lecz, o dziwo, w jednej chwili wytrzeźwiała i stała się bardziej rozmowna. Była wykształconą kobietą, która po prostu przegrała wojnę z butelką. Zaprosiła ich gestem do środka.

Krótki korytarz, trzy pokoje z kuchnią i łazienka. Zapach alkoholu i stęchlizny uderzył ich w nozdrza. Bałagan był taki sam jak w innych

melinach. W salonie, na łóżku pod oknem, spał w brudnej pościeli mężczyzna. Nawet się nie poruszył, kiedy rozmawiali.

– Ja wiem, dlaczego Oskar to zrobił – powiedziała Katarzyna Berton. – To przez nas, nie mógł już patrzeć na nasze picie. A teraz jest za późno... – Głos jej się na chwilę załamał. Po chwili podniosła na nich załzawione oczy. – Ale po co policja się tym interesuje?

– To rutynowa kontrola – odpowiedział krótko Zakrzewski.

– Rozumiem. – Pokiwała głową. – To dziwne, że po tylu miesiącach...

– Możemy zobaczyć jego pokój? – wtrąciła Ilona.

Pokręciła głową.

– Nikt nie widział jego pokoju.

Zdziwieni podążyli za jej wzrokiem. Na drzwiach zainstalowana była metalowa sztaba i duża kłódka.

– Nikt tam nie wchodził od jego śmierci – wyjaśniła.

Marcin stanął przy drzwiach i szarpnął za kłódkę. Była mocna, a sztaba ani drgnęła. Spojrzał na Ilonę, a ona bez słowa wyszła z mieszkania.

– Nie macie prawa – zaprotestowała matka Oskara. – To jego osobiste rzeczy. Nie pozwolę.

Zakrzewski wyjął z kieszeni złożoną w czworo kartkę.

– Tu mam nakaz przeszukania pokoju Oskara Bertona wystawiony przez prokuratora Marka Grabskiego z prokuratury rejonowej. Proszę przeczytać.

Nie wzięła dokumentu.

– Róbcie, co chcecie – burknęła i poszła do kuchni.

Ilona wróciła z mundurowym funkcjonariuszem, który miał ze sobą łom. Dwa mocne szarpnięcia wystarczyły, żeby sztaba upadła na podłogę. Śpiący mężczyzna poruszył się, mamrocząc niewyraźnie jakieś słowa, z których większość mogła być przekleństwami. Marcin nie zwrócił na niego uwagi. Włożył lateksowe rękawiczki i pchnął drzwi.

Wnętrze wyglądało, jakby Apacz wyszedł rano do szkoły i niedługo miał wrócić. Nieposłane łóżko, papiery i książki na biurku, ubrania wiszące na oparciu krzesła, buty pod biurkiem, używane skarpety na dywanie. Tylko lekka mgiełka zalegającego wszędzie kurzu uświadomiła im, że obraz jest złudny.

Ilona zajęła się stojącym na biurku komputerem. Włączyła go i czekała, aż wystartuje system. Zakrzewski zajrzał do uchylonej szafy. Kilka koszul na wieszakach, zimowa kurtka, na dole pudełko z butami i jakieś papiery. Ani śladu Koła Fortuny. Wycofał się i jeszcze raz omiół wzrokiem pokój. Starał się nie myśleć o niczym specjalnym. Czym innym było przeszukanie pomieszczenia w celu odnalezienia konkretnego przedmiotu, a czym innym szukanie bez jasnych wytycznych. To drugie było o wiele trudniejsze. Marcin zawsze starał się zwracać uwagę na przypadkowe przedmioty i analizować, czy na pewno powinny w tym miejscu leżeć. A jeśli nie, to dlaczego tu leżą. Taka metoda nieraz przyniosła mu nadspodziewanie dobre rezultaty.

Teraz nic nie zwróciło jego uwagi. Skarpetki, ubrania, nieporządek na biurku to nie było nic szczególnego w pokoju zbuntowanego nastolatka.

Stał więc przy biurku, żeby przejrzeć papiery i zeszyty. Kątem oka obserwował przez chwilę, co robi Ilona. Sprawdzała pliki w komputerze Oskara. Wrócił do papierów. Nie mógł się teraz rozpraszać. Już kiedyś w podobnych okolicznościach przeglądał szkolne zeszyty. Tamte należały do jego zaginionego brata bliźniaka.

– Coś znalazłam – rzuciła Ilona znad klawiatury.

Marcin odłożył szkic, który właśnie trzymał w ręku, i ciekawie spojrzął na ekran.

– Są wyraźne ślady po filmie zatytułowanym *Totentanz*.

– Dlaczego tylko ślady?

– Film został wykasowany.

– Przecież z dysku nic się nie kasuje. System zaznacza tylko pliki jako skasowane.

Ilona popatrzyła na niego z półuśmiechem na ustach.

– W tym, co mówisz, coś jest – przyznała. – Tyle że jak ktoś chce coś naprawdę skasować, są do tego odpowiednie programy.

– J-jasne. Tylko dlaczego Oskar pozbył się filmu, który miał być dla niego źródłem dochodu?

– Mnie nie pytaj. Mogę jeszcze tylko dodać, że film został skasowany jedenastego lipca około dwudziestej drugiej.

Zakrzewski w zamyśleniu podrapał się po głowie.

– Sprawdź, czy w poczcie jest e-mail z rymowanką – polecił.

Po dwóch minutach Ilona pokręciła głową.

– Hasło. Nie złamię go tak szybko. Zabieram do nas twarde dyski – powiedziała i zaczęła rozkręcać obudowę stacjonarnego komputera.

*

Narada odbyła się późnym popołudniem z inicjatywy prokuratora Grabskiego. Spotkali się we czwórkę w sali narad komendy wojewódzkiej.

Po minie Kariny Marcin od razu poznał, że sprawa jest poważna. Bez zbędnych wstępów pokazała im wydruki zdjęć z policyjnej bazy danych.

– Ofiara to niejaki Jan Kamiński – zaczęła. – Sprawca zadał mu dwadzieścia siedem ciosów nożem w klatkę piersiową i brzuch.

Zrobiła pauzę, jakby czekała na pytanie, co to ma wspólnego z ich sprawą. Nie padło.

– Sprawcy nie udało się ustalić – kontynuowała. – Ślady wskazują, że Kamiński został zamordowany na drodze, a następnie zaciągnięty kilkanaście metrów w głąb pola ze zbożem. Dla nas najważniejszy jest jednak fakt, że został zamordowany obok cmentarza, na którym nasi znajomi kręcili film. Dzień też się zgadza. I godzina. Według medyka sądowego śmierć nastąpiła po północy.

Marcin poczuł nieprzyjemne uczucie. Czy to było rozczarowanie? Nie, to przecież nie mogło być takie banalne.

– Świadkowie z pobliskiej wsi, w której zresztą mieszkał Kamiński, zeznali, że w nocy widać było dziwne światła na starym cmentarzu. Nikt jednak nie odważył się tam pójść. Policja znalazła ślady kilku osób, wydeptaną trawę, odciski butów w piasku. Mamy nawet odlewy opon dwóch samochodów. Wszystko się zgadza.

– Musimy przeanalizować zupełnie inny przebieg wydarzeń – odezwał się Grabski. – Być może nie powinniśmy z tym łączyć Satyra.

Karina czekała, aż Zakrzewski coś powie, lecz on milczał zamyślony.

– Młodzi ludzie złożyli spójne zeznania – mówiła dalej Karina. – Twierdzili, że tej nocy na cmentarzu była tylko ich ósemka, nikogo nie widzieli, wypalili skręta, wypili piwo, pobawili się i odjechali. Potem zaczęli dostawać dziwne maile. Oskar Berton, a po nim Tymon Jagła popełnili samobójstwo.

– Maile dostawali już wcześniej – wtrąciła Ilona.

– Ale tych wcześniejszych się spodziewali, zresztą te późniejsze to może być głupi dowcip. Musimy rozpatrzyć następującą hipotezę: Jana Kamińskiego zamordowało któreś z nich. Być może klucz do rozwiązania tej zagadki jest na filmie kręconym w trakcie zabawy. Być może Oskar Berton zauważył coś istotnego i dlatego go usunął. Potem zabójca... ktoś z nich... zwabił go na dach i zepchnął. Jagła był najlepszym przyjacielem Oskara, może ten coś mu powiedział i dlatego Tymon też zginął. Być może sprawca jest wśród nich. Wszystkie elementy do siebie pasują.

Przy stole konferencyjnym zapadła cisza. Wpatrywali się w Zakrzewskiego, który wciąż się nie odzywał.

– Marcin, powiedz coś – nie wytrzymała Karina.

– Wiecie, że z zasady... – zaczął, lecz Karina mu przerwała:

– Znamy podstawowe zasady Zakrzewskiego na pamięć. Nie lubisz prostych rozwiązań.

Marcin pokręcił głową.

– Nie pasuje mi takie rozwiązanie. Nie ma większego sensu.

– Dobrze wiesz, że dziewięćdziesiąt pięć procent morderstw jest popełnianych bez większego sensu – powiedział Grabski. – Musimy rozpatrzyć taką opcję.

– J-jasne – zgodził się Marcin po chwili milczenia. – Trzeba znaleźć ten film.

– Jeszcze raz sprowadzimy wszystkich na przesłuchanie – zarządził Grabski. – Policja zabezpieczy ich komputery, nasi informatycy przeszukają dyski w poszukiwaniu śladów po filmie. Równocześnie postaramy się zlokalizować, z jakiego numeru IP były wysyłane rymowanki. Wracamy do punktu wyjścia.

– Filmu nie ma na dysku – oznajmiła Ilona. – Został skasowany bezpowrotnie. Nie wiem, czy jest jakaś kopia.

– Bez filmu mamy problem.

Karina popatrzyła na Marcina z błyskiem w oku.

– Mam pomysł.

*

Po naradzie Zakrzewski dogonił Grabskiego na korytarzu.

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

– Myślisz o materiałach zgromadzonych przez Salitrę? – Prokurator się zawahał. – Posłuchaj, Marcin, każdą z tych spraw badał prokurator i policja. W żadnym przypadku nie dopatrzono się działań osób trzecich. Może jakiś świr pisze te opowiadania na podstawie tego, co przeczyta w Internecie albo zobaczy w telewizji.

– Marek, nie zbywaj mnie w taki sposób – westchnął Marcin. – Jestem gliną od wielu lat i widzę, że tu jest coś nie tak. Rozumiem, że to prawie dwadzieścia spraw prowadzonych przez różnych prokuratorów. Macie opór, żeby wznowić te postępowania, bo to byłoby przyznanie się do poważnych zaniedbań.

– Nie przesadzaj z tymi zaniedbaniami.

– Znamy się nie od dziś, nie musisz mi mydlić oczu.

Wyszli na wewnętrzny dziedziniec, Grabski rozejrzał się, po czym wyjął paczkę papierosów i poczęstował Marcina.

– Jest mniej więcej tak, jak mówisz – przyznał prokurator. – Rozmawiałem z naczelnikiem, nie będziemy nic wznawiać. Zajmujecie się próbą zabójstwa znanego dziennikarza Krzysztofa Salitry, sprawca sam siebie nazywał Śmierciorem. Złapcie go, wtedy spróbujemy połączyć go z resztą samobójstw, jeśli to będzie zasadne.

– Przydałoby się więcej ludzi – mruknął Zakrzewski. – Mariusz Krawiec jest na zwolnieniu, a Wilczkowski jeszcze długo będzie się rehabilitował.

– Dostaniesz, kogo będziesz chciał. Właśnie idę rozmawiać z Godleckim. A jak Szawczak?

Marcin się skrzywił. Zapomniał o Parolu, lekarz nie zadzwonił, nic nie wiedział. Cholerna robota, nawet nie czuł wielkich wyrzutów sumienia.

– Nie wiem – odpowiedział, nie patrząc na Grabskiego.

– Rozumiem. – Marek pokiwał głową, lecz w tonie jego głosu pojawiło się coś, co upewniło Zakrzewskiego w przekonaniu, że nie rozumiał.

Rozdział 59

Pomysł Kariny okazał się strzałem w dziesiątkę. W swoich zeznaniach Anka Wiśniewska wspominała, że Apacz miał problemy z montażem wideo z cmentarza. Zwrócił się o pomoc do kolegi, który profesjonalnie zajmował się filmem. Był to zresztą ten sam chłopak, od którego Apacz pożyczył sprzęt na tamten wieczór. Szybko udało się go namierzyć – w rozmowie telefonicznej stwierdził, że Oskar nigdy nie prosił go o pomoc przy montażu, ale film ma, ponieważ został na karcie pamięci, a on niczego nie kasuje.

Po godzinie Zakrzewski, Karina i Ilona zasiedli przed ekranem komputera w sali techników kryminalistyki.

Marta Mickiewicz zaproponowała, że sama zajmie się odtworzeniem i ewentualną obróbką materiału. Skopiowała film z karty pamięci kamery, a potem włączyła odtwarzanie.

– Da się zrobić głośniej? – zapytał Marcin.

Pierwsza scena. Oskar Berton poprawia kamerę na statywie. W obiektywie widać dokładnie jego twarz. Uśmiecha się i mówi:

– Totentanz czas zacząć.

Naciąga maskę kościotrupa, wygląda identycznie jak trzech jego kolegów na drugim planie. Wołają poprzebierane dziewczyny i chwilę się naradzają. Słychać niewyraźnie głosy i śmiechy.

– Nie chcę iść w parze z Kwasmem...

– Co za różnica? Wszyscy wyglądają tak samo.

– Ale ja nie chcę...

– Oskar, za kobietami nie nadążysz, niech idzie ze mną.

– Z tobą też nie chcę!

Ogólny wybuch śmiechu. Potem już mniej wyraźne dialogi.

Marcin patrzył na upływający czas w prawym górnym rogu ekranu. Cztery minuty i czterdzieści pięć sekund. Jeszcze przez kolejne dwie minuty nie udało się połączyć tancerzy w pary, ponieważ w grupie ciągle wybuchały sprzeczki i przepychanki. Wreszcie koło siódmej minuty filmu jeden z kościotrupów, najwyraźniej Oskar, podniósł ręce i uciszył rozbawione towarzystwo.

– Przerwa na papierosa!

Dominika Skrucha wyciągnęła paczkę i po chwili towarzystwo zaciągało się dymem. Światła rozstawione z czterech stron poza kadrem sprawiały, że z każdym ich poruszeniem gdzieś na granicy ciemności przeskakiwały zwielokrotnione cienie. Wyglądało to niepokojąco i rozpraszało Marcina.

Mijała dziesiąta minuta filmu, gdy do kamery podeszły dwa kościotrupy. Oba miały podniesione maski – poznali Tymona i Oskara. Karina zacisnęła szczękę. Chyba wszyscy oglądający oczekiwali, że z ich ust padną ważne słowa, ale nic takiego się nie stało. Chłopcy popatrzyli w oko kamery z bliskiej odległości.

– Nie wyłączyłeś? – rzucił Tymon Jagła.

– Po co? Potem się zmontuje – odpowiedział Apacz.

– Po co nagrywać nasze idiotyczne zachowanie?

Po obu widać było działanie marihuany połączonej z alkoholem. Tymon się zachwiał.

– Nie bój się, nie powiem twojemu ojcu, że paliłeś trawę.

– Tylko spróbuj, nogi bym ci z dupy powyrywał.

Wrócili do reszty i znowu zaczęli ustawiać się w pary. W końcu się udało. Około trzynastej minuty filmu przez cmentarz ruszył prawdziwy Totentanz.

Zakrzewski zdał sobie nagle sprawę, że technik Marta Mickiewicz wciąż na niego zerka. Ich głowy znajdowały się blisko siebie. Mimowolnie też skierował na nią wzrok i ich oczy się spotkały. Bez kombinezonu, w którym ją dotąd widywał, była bardzo atrakcyjna.

I dużo młodsza od niego. Skup się na robocie, człowieku – jęknął w duchu i wpatrzył się w monitor.

W pierwszej parze kościotrup wiódł za rękę biskupa, pozostałe prowadziły kolejno: królową, rycerza i mniszkę. Pomysł był może i efektowny, lecz już po kilku krokach kościotrup w pierwszej parze potknął się i upadł, pociągając za sobą biskupa. Ułynęło dobrych kilkanaście sekund, zanim pochód uformował się na nowo. Kolejna katastrofa wydarzyła się przed szesnastą minutą nagrania. Rycerzowi spadła na oczy przyłbica i rozciągnął się jak długi na ścieżce. Potem młodzi ludzie nakręceny alkoholem i skrętem zapomnieli o Totentanzu. Zaczęły się gonitwy po całym cmentarzu. Królowa zgubiła koronę, jej szal został na jakimś krzaku, biskupowi złamał się pastorał.

Minęła dwudziesta druga minuta nagrania, kiedy postacie znowu połączyły się w pary i próbowały tańca bez muzyki. Jedni podskakiwali, inni improwizowali nowoczesne dyskotekowe tańce.

Zabawa została przerwana, gdy licznik czasu wskazywał dwadzieścia osiem minut i dwanaście sekund. Rozległ się męski okrzyk:

– Ktoś idzie!

Wszystkie postacie zastygły w bezruchu, żeby w kolejnej sekundzie rzucić się do ucieczki. W jednej chwili cmentarz opustoszał. Wolno mijały sekundy. Jedna, druga, szósta, jedenasta. Wreszcie ktoś przypomniał sobie o sprzęcie. W kadr wbiegły dwa kościotrupy i rycerz. Jeden ze szkieletów, prawdopodobnie Oskar Berton, zbliżył się do kamery i nagranie gwałtownie się skończyło.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Rozczarowani? – zapytała Marta Mickiewicz, patrząc na ich miny.

– Mamy wyraźną wskazówkę, dlaczego Oskar Berton skasował film i nie zamierzał nikomu go pokazywać – odezwała się Ilona.

– Niby jaką? – Karina uniosła brwi.

– Spłoszył ich Jan Kamiński. Przejeżdżał tamtędy rowerem i zobaczył, że coś się dzieje na cmentarzu. Doszło do ostrej wymiany zdań, może postraszył ich policją, potem ktoś z młodych ludzi sięgnął po nóż.

– I zadał mu prawie trzydzieści ciosów? – rzuciła z powątpiewaniem Karina.

– W sytuacjach stresowych ludzie zachowują się nieracjonalnie.

– Tam było osiem osób. Nie można było zabić Kamińskiego tak, żeby nikt nie zauważył.

– A jeżeli wszyscy widzieli?

W pokoju techników zapanowała cisza. Marta cały czas wpatrywała się w milczącego Zakrzewskiego. Cholera, jest naprawdę ładna – myślał po raz nie wiadomo który, nie mogąc się skupić.

– Myślisz, że mamy do czynienia ze zmową milczenia? – zaczęła ostrożnie Karina.

– Zgaduję. – Ilona wzruszyła ramionami. – Oskar umówił się z mordercą na dachu budynku na Białowieskiej, bo miał wyrzuty sumienia. Chciał iść na policję, więc tamten zrzucił go z dachu. Potem dręczony przez wyrzuty sumienia popełnił samobójstwo.

– Myślisz, że to był Tymon Jagła? – zapytała Karina.

– Zgaduję – powtórzyła Ilona.

– A rymowanki?

– To może być przypadek.

– Przecież Anka Wiśniewska sama do nas przyszła. Z własnej nieprzymuszonej woli.

– Może ją też dręczą wyrzuty sumienia związane z tamtą nocą?

– Dlaczego nie powiedziała prawdy?

– Nie zadaliśmy jej odpowiednich pytań?

Karina pokręciła głową.

– W twojej teorii nic się nie trzyma kupy – stwierdziła.

– Ale przynajmniej jakąś mam – odcięła się Ilona.

Karina popatrzyła z wyczekiwaniem na Zakrzewskiego. Spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem.

– W tym filmie jest coś nie tak – orzekł. – Oglądamy jeszcze raz.

Nagranie ruszyło od początku. Tym razem podzielili się rolami. Ilona i Karina zwracały uwagę na postacie na pierwszym planie, Marta patrzyła na tło, a Marcin założył słuchawki i próbował rozszyfrować sens w większości nieczytelnych dialogów. Kilka razy kazał cofać nagranie, żeby wyłapać niewyraźne słowa. Ponad pół godziny później, gdy film się skończył, nie byli mądrzejsi.

Karina wstała z krzesła i rozmasowała zdrętwiały kark. Marcin odchylił się i założył ręce za głowę. Ilona drapała się nerwowo po policzku. Tylko niebieskowłosa technik obserwowała ich spokojnie, czekając na dalsze decyzje. Wyglądała, jakby była gotowa oglądać film po raz trzeci, czwarty, a nawet dziesiąty.

– Puść jeszcze raz – odezwał się wreszcie Zakrzewski.

– Nie – jęknęła Ilona. – Jaki to ma sens?

– Coś tu jest nie tak – powtórzyła za Marcinem Marta Mickiewicz.

– Możemy zacząć w okolicach piętnastej minuty?

– J-jasne.

Na ekranie kościotrup w pierwszej parze akurat się potknął i runął jak długi, pociągając za sobą biskupa. Wybuch śmiechu pozostałych zabrzmiał prawie równocześnie. Po chwili pochód ruszył dalej, zaliczając kolejne wpadki. Wreszcie pary na ekranie się rozpadły i zaczęła się zabawa. Ktoś co chwilę specjalnie szturchał rycerza, żeby przyłbica opadała mu na twarz. Ktoś przypadkowo złamał pastorał. Jeden ze szkieletów obtańcowywał po kolei wszystkie dziewczyny i wtedy...

– Zatrzymaj!

Okrzyk Marcina sprawił, że zapatrzona w ekran kobiety aż podskoczyły.

– Co się stało? – Karina nachyliła się bliżej monitora.

– Jeszcze nie widzicie?

– O kurwa! – W ustach młodej technik te słowa zabrzmiały drażniąco, jak zgrzyt zardzewiałych hamulców pociągu towarowego zatrzymującego się przed opuszczonym semaforem.

Ilona i Karina wciąż niczego nie widziały.

– Policzcie kościotrupy – podsunął Marcin.

– Szlag by to trafił! – jęknęła wreszcie Ilona.

Zakrzewski miał rację. Na stopklatce jeden z przebranych za kościotrupy nastolatków tańczył na środku z mniszką, a w tle stali inni uczestnicy zabawy. Od lewej wyraźnie widać było dwa szkielety, rycerza, mniszkę, trzeci szkielet, królową i jeszcze jednego kościotrupa na samym skraju obrazu.

– Pięć! – Karina pokręciła głową z niedowierzaniem. – Ktoś do nich dołączył!

– Tylko kto?

Pytanie zawisło bez odpowiedzi.

– Marta, cofnij.

Zakrzewski zbliżył twarz do ekranu. W jego nozdrza uderzył przyjemny zapach perfum. Skup się na robocie, do cholery! – warknął na siebie w duchu.

Obraz bardzo wolno przesuwiał się do tyłu. Dwie i pół minuty wcześniej Marta znowu zrobiła stopklatkę.

– Teraz – rzuciła.

Towarzystwo biegało po cmentarzu, dobrze się bawiąc, i nagle zza kadru wyszedł piąty kościotrup. Był ubrany tak samo jak inne, dlatego wcześniej nie zwrócili na niego uwagi. Poza tym co rusz ktoś wychodził lub wypadał z kadru, żeby za moment pojawić się w innym miejscu.

– Chyba mamy mordercę Kamińskiego – mruknął Zakrzewski.

Piąty kościotrup przyłączył się do zabawy. O dziwo, to on był tym, który tańczył ze wszystkimi dziewczynami. Zniknął gdzieś na moment przed tym, jak towarzystwo się spłoszyło.

– Już wiemy, dlaczego Oskar nie chciał nikomu pokazać filmu. – Ilona wyprostowała z jękiem plecy i stanęła z boku. – Wiedział

o dziewiątym uczestniku zabawy? Według zeznań pozostałych Oskar organizował im przebrania. Może od razu pożyczył więcej?

– Bardzo dobry trop – zgodził się Zakrzewski. – Jutro sprawdzisz wszystkie wypożyczalnie przebrań karnawałowych. Może mają jeszcze Bertona w kartotece. Zobacz, ile przebrań pożyczył.

– Jak to możliwe, że się nie zorientowali? – zdziwiła się Karina.

– Byli najarani, pili alkohol, dobrze się bawili – niespodziewanie odezwała się Marta. – Czego więcej trzeba?

– Być może Apacz przyniósł skręty z rozmysłem – dorzuciła Ilona.

– Musimy sobie odpowiedzieć na podstawowe pytanie – oznajmił Marcin. – Jaki był tego cel? Czy wiedział o zabójstwie?

Odpowiedziało mu milczenie.

– Karina, jutro rano prześwietlisz tego Kamińskiego. Chcę wiedzieć, czy nie miał czegoś wspólnego z Oskarem albo z resztą. Długi, śmiertelni wrogowie, wiesz, o co mi chodzi.

Karina pokiwała głową.

– Ja sprawdzę, czy policja czegoś nie znalazła w rzeczach Bertona – wtrąciła Marta.

Zakrzewski zdziwiony spojrzał jej w oczy, lecz pokiwał głową.

– Dobrze, to będzie twoje zadanie.

*

Wyszedł z komendy około dwudziestej drugiej trzydzieści. Stał na chodniku, zastanawiając się, w którą stronę iść. Zanim jednak zdążył podjąć decyzję, usłyszał wołanie:

– Zakrzewski!

Odwrócił się. Marta Mickiewicz zbiegła po schodach, stanęła przy nim i spojrzała mu prosto w oczy. Była drobna, sporo od niego niższa. Na głowę wcisnęła kolorową czapkę, spod której wystawały niebieskie włosy. Reszty stroju dopełniały ramoneska, podziurawione džinsy i trampki, kiedyś białe, obecnie mocno zużyte. Musiał

przyznać, że wyglądała oryginalnie. Na pewno obejrzałyby się za nią na ulicy.

– Wisisz mi piwo – oświadczyła krótko. – Przez ciebie zламаłam regulamin.

Deszcz co prawda nie padał, ale było zimno i wilgotno. Na myśl o piwie zrobiło mu się jeszcze zimniej. Podniósł wyżej kołnierz kurtki i wcisnął ręce głęboko w kieszenie.

– Teraz?

– Ostatnio nie mogę spać.

Machnęła ręką i ruszyli ramię w ramię w kierunku Krupniczej. Marcin był trochę zaskoczony takim obrotem sprawy i nie wiedział, co powiedzieć. Milczeli, stojąc na światłach, a potem mijając budynek Narodowego Forum Muzyki. Dopiero kiedy skręcili we Włodkowica, Marta spojrzała na niego.

– CBS zabrało nam wszystkie ślady zabezpieczone w magazynie w pobliżu mostów Jagiellońskich. Te odciski palców udało mi się zachować przez przypadek.

Marcin poczuł, jak robi mu się jeszcze zimniej. Za dużo negatywnych emocji. Za dużo niepewności.

– Jestem ci wdzięczny.

– Nie chrzań, Zakrzewski! Chcesz wiedzieć, co tam jeszcze było?

– Tak.

Wciągnęła go do pierwszego lepszego czynnego jeszcze baru. Usiedli przy stoliku, po chwili kelner przyniósł im piwo w stylowych szklankach na stopce. Marta natychmiast wypila prawie połowę, Marcin tylko upił łyk. Od razu poczuł mdłości.

– Facet musiał tam mieszkać od kilku miesięcy – zaczęła mówić, patrząc mu prosto w twarz. – Nie przebywał tam przez cały czas, raczej wpadał co kilka, kilkanaście dni. Zabezpieczyliśmy odciski palców, włosy, fragmenty naskórka i krew sprzed kilku tygodni. Nie wiem, czy mogła należeć do niego. Całkiem niezłe się tam urządził. Toaleta, prysznic i piecyk elektryczny. Pewnie przez telefon łączył się z Internetem. Nie zdążyłam sprawdzić numerów IP. – Jednym

haustem wypła resztę piwa i spojrzała pożądlwie na jego szklankę.

– Będiesz pił?

– Nie mam ochoty. – Przesunął szklankę w jej stronę.

– Wiesz, czego nie zauważyli ci z CBS? Na tym odkształconym przez wilgoć biurku były ślady po laptopie.

Zakrzewski pomyślał nagle o opowiadaniach o Śmierciorze, które ktoś zamieszczał w sieci. Czyżby znaleźli miejsce, w którym powstawały i skąd były publikowane? Czy to było mieszkanie tego dziwnego człowieka, który nazywał siebie Śmierciorem? W takim razie kto strzelał do ich samochodu? Śmiercior czy Satyr? Mdłości narastały.

– Przydadzą ci się te informacje? – zapytała, przypatrując mu się uważnie. – Zbladłeś.

– Tak, to wszystko jest bardzo istotne – potwierdził.

Dopiła jego piwo. Skinęła na kelnera i zaraz miała przed sobą trzecią szklankę. Marcin poczuł przemożną potrzebę szybkiej zmiany tematu.

– Trafiłaś do nas po szkole?

Uśmiech, który wykwitł na jej twarzy, sprawił, że Zakrzewski zaczął się zastanawiać, czy tym pytaniem nie strzelił gąfy.

– Niezupełnie – odparła. – Przez osiem lat pracowałam w wydziale techniki kryminalistycznej w komendzie wojewódzkiej w Łodzi. Rozstałam się z facetem, chciałam zmienić coś w życiu i wujek ściągnął mnie do Wrocławia.

– Wujek?

– Robert Rajcza jest moim wujkiem – wyjaśniła. – Sztandarowy przykład nepotyzmu, prawda?

– To ile masz lat? – Kolejne niezręczne pytanie popłynęło z ust Marcina zupełnie naturalnie.

– Trzydzieści pięć. – Napiła się piwa i spojrzała na niego prawie zalotnie. – Nie wyglądam?

– No cóż, nie.

Przy stoliku w kącie zgrzytnęły krzesła, potem trzasnęły drzwi za ostatnimi gośćmi. Zostali sami i barman patrzył na nich z wyraźnym zniecierpliwieniem. Co jakiś czas brzęczał szkłem, jakby chciał zwrócić na siebie ich uwagę. Ale nie spojrzeli na niego.

– Przepraszam cię, Marta, ale kiedy się pierwszy raz widzieliśmy, Rajcza cię pouczał, jakbyś była nowa.

– Zawsze mnie poucza – wyjaśniła, oblizując wargi. – A ja czuję się przy nim jak nowicjuszka. I kłopoty gotowe. – Dopła piwo. – To co, idziemy?

Marcin zapłacił barmanowi. Nawet nie zwrócił uwagi na cenę złotego trunku, która w innych okolicznościach na pewno wydałaby mu się co najmniej wygórowana.

– Będę lecieć – rzuciła Marta. – Odezwę się jutro, jak coś znajdę.

Klepnęła go w ramię, odwróciła się i odeszła. Ani razu się za siebie nie obejrzała, jakby nagle przestał ją interesować. Była dziwna. Obserwował, jak znika w oddali, a potem zaczął się zastanawiać, czym teraz wróci do domu. Była dwudziesta trzecia dwadzieścia.

Rozdział 60

– To nie jest dobry pomysł – powtórzył po raz trzeci komisarz Andrzej Szmidt, prowadząc samochód. Wreszcie zaparkowali na Irackiej, kilkadziesiąt metrów od domu Wysockich.

– Masz lepszy? – rzuciła Paulina Czerny i wysiadła, nie czekając na odpowiedź.

Nie miał i oboje dobrze o tym wiedzieli. Dlatego Szmidt westchnął tylko przeciągle. Został w samochodzie, patrząc, jak Paulina się oddala.

Przeszła na drugą stronę ulicy i zajrzała do zaparkowanego tam auta.

– Jak sytuacja? – zapytała.

Dwaj policjanci siedzący w środku spojrzeli na nią z wyrazem śmiertelnego znudzenia na twarzach.

– Nic się nie dzieje – odpowiedział pierwszy. – Nikt jej nie odwiedza. Ona nigdzie nie wychodzi. Czasem, jak jest lepsza pogoda, grzebie przy kwiatkach w ogródku.

Drugi postukał się w słuchawkę w uchu.

– Było kilka telefonów, ale nic ciekawego – wyjaśnił. – Kilkanaście razy dzwonił do niej zaniepokojony tatuś, ale ona cały czas powtarza, że nic się nie dzieje, mąż jest w delegacji, córki wyjechały na studia i na razie nie wracają do domu. Ten stary kilka razy chciał przyjechać, ale ona za każdym razem stanowczo mówi „nie”. O dziwo, on nie przyjeżdża.

– A mógłby – dorzucił pierwszy.

– To jest ten gość od przekrętów na chwilówkach? – upewniła się Paulina.

– Ten sam. Ma kasy jak lodu na biegunie.

– Poza tym innych telefonów nie było – kontynuował drugi. – Córki, jakieś koleżanki.

– Okej. Wchodzę tam teraz.

– Jak ci otworzy – prychnął pierwszy funkcjonariusz.

Paulina odwróciła się na pięcie i poszła w kierunku bramy domu Wysockich. Nacisnęła dzwonek domofonu i czekała. Spojrzała w niebo. Wiatr gonił ciemne chmury, choć od rana nie spadła ani kropla deszczu. Sekundy wlokły się niemiłosiernie długo. Paulina zadzwoniła jeszcze raz. Wiedziała, że jest obserwowana. Kiedy już miała odejść, drzwi do domu się otworzyły i stanęła w nich Bożena Wysocka. Powoli zeszła po czterech schodkach i podeszła do furtki. Patrzyły na siebie w milczeniu przez kraty.

– Chciałam porozmawiać. Mogę wejść? – odezwała się Paulina.

– O czym? – Na twarzy Wysockiej nie drgnął ani jeden mięsień.

– O twoim mężu i...

– ...twoim kochanku? – Bożena wpadła Paulinie w słowo.

– Jeśli odpowiada ci takie określenie.

Wysocka nacisnęła guzik przy furtce i zamek puścił z delikatnym brzęczeniem. Policjantka poczuła się dziwnie. Wysocka była dobrze ubrana, umalowana, pewna siebie i przede wszystkim nie było od niej czuć alkoholu. Na przeszukaniu Paulina nawet jej współczuła. Teraz w Bożenie zaszła jakaś przemiana. Paulina jeszcze nie wiedziała, czy pozytywna. Wydawało jej się, że raczej nie. Zaniepokojona szła dwa kroki za nią. Odruchowo sprawdziła, czy pistolet jest na swoim miejscu.

Wysocka weszła do domu, Paulina znalazła się tam chwilę po niej. Trzymając dłoń na rozpiętej kaburze z bronią, przeszła kilka kroków i zajrzała do kuchni.

Bożena siedziała przy kuchennym stole i piła kawę ze stylowej filiżanki. Wyglądało to dość dziwnie. Po podłodze walały się rzeczy

po policyjnym przeszukaniu, ktoś tylko odgarnął je na boki, w zlewie piętrzyły się brudne naczynia, a gospodyni piła kawę w pozie angielskiej królowej. Paulina się uspokoiła. Usiadła po drugiej stronie stołu.

– Po co przyszłaś? – Pierwsza odezwała się Wysocka.

W jej głosie nie było wrogości, tylko jakaś inna nuta, której Paulina nie rozpoznała. Drwina?

– Żeby cię ostrzec.

– Przed czym? – Wysocka uniosła brwi.

– Pomoc osobie ściganej wystawionym przez prokuraturę listem gończym jest zagrożona karą pozbawienia wolności do lat pięciu.

– Nie musisz mnie pouczać – zachnęła się Bożena. – Studiowałam prawo.

Paulina kontynuowała:

– Nie próbuj mu pomagać, kiedy do ciebie przyjdzie. Rok temu zabił dziewczynę, prowadząc samochód po pijanemu, i ukrył ciało. Ma poważne problemy.

W oczach Bożeny znowu dostrzegła jakby drwinę.

– Jego problemy już mnie nie obchodzą. – Wysocka wzruszyła ramionami. – Zresztą spóźniłaś się – powiedziała przeciągle. – On już tu był.

– Kiedy? – zapytała Paulina tonem ostrzejszym, niż zamierzała.

– Wczoraj, dwa dni temu, może trzy. Co za różnica? Pogoniłam go.

– Co zrobiłaś?

– Kazałam mu spierdalać. Teraz lepiej rozumiesz?

Policjantka zmierzyła ją zimnym spojrzeniem.

– Gdzie on teraz może być?

– Nie mam pojęcia. Przyszedł przed północą. Lał wtedy deszcz, więc możesz sprawdzić dokładną datę. Tych dwóch idiotów, których postawiłaś pod bramą, oczywiście nic nie widziało. Rozmawialiśmy na górze, nie dłużej niż godzinę. Prosił o przebaczenie, ale na nie nie zasłużył. Wyrzuciłam go i wierz mi, na pewno już tu nie wróci.

Nie wiem, gdzie może być. – Filiżanka z kawą zadrżała, kiedy Wysocka odstawiała ją na spodek i spojrzała Paulinie w oczy. – Jak widzisz, nie udzieliłam mu pomocy, co jest czynem zagrożonym karą bezwzględnego więzienia do lat pięciu. Nie zadzwoniłam też na policję, na co także jest paragraf. I co teraz? Aresztujesz mnie?

Paulina wstała i skierowała się do drzwi. Na progu odwróciła się ostatni raz.

– Nie oskarżę cię – odezwała się cicho. – Szkoda mi ciebie.

Wysocka poczerwieniała na twarzy i w ułamku sekundy straciła panowanie nad sobą. Machnęła ręką i strącona ze stołu filiżanka roztrzaskała się na podłodze.

– Ty się nade mną litujesz?! – krzyknęła. – Jak śmiesz?! Nie masz prawa, ty dziwko! To wszystko przez ciebie!

– Oszukujesz się! – Teraz Paulina podniosła głos. – Darek zdradzał cię przede mną i pewnie robił to później.

– Ale tylko w tobie się zakochał!

W kuchni zapanowała nagła cisza. Napięcie wisiało przez chwilę w powietrzu, a potem Bożena oklapła, jakby uszło z niej powietrze.

– Tamte kobiety jakoś znosiłam. Darek zawsze wracał do domu i było normalnie. W tobie się zakochał i wszystko zaczęło się sypać. – Bożena podniosła wzrok na milczącą policjantkę. – Dlatego cię nienawidzę. Mam nadzieję, że kiedyś będziesz cierpieć tak samo jak ja!

– Jeśli Darek tu wróci, a ty nas nie zawiadomisz, już ci nie daruję.

– Precz z mojego domu! Wypierdalaj! Won!

Krzyki gospodyni goniły Paulinę aż do samych drzwi. Zamknęła je z hukiem. Słyszała, jak ponure echo rozeszło się po wewnętrznych korytarzach.

Telefon zadzwonił, kiedy była już na chodniku. Odebrała tak rozkojarzona, że nie spojrzała nawet na wyświetlacz.

– Paulina, słucham?

– Stefan Rak z komisariatu Krzyki.

– A, cześć, Stefan.

– Paulina, mam do ciebie nietypową prośbę. Masz kontakt do swojego byłego męża?

Znieruchomiła z telefonem przy uchu. Mimowolnie spojrzała na dom za wysokim ogrodzeniem. Miała wrażenie, że Wysocka obserwuje ją, ukryta za firaną.

– Teoretycznie mam, a co się dzieje? – zapytała ostrożnie.

– Nic wielkiego – uspokoił ją Rak. – Patrol natknął się na jego samochód. Nie dość, że stoi na trawniku, to jeszcze jacyś wandalę go uszkodzili. Chcemy się z nim skontaktować.

– Zadzwoń do niego.

Paulina się rozłączyła. Wybrała z książki telefonicznej w aparacie numer Cezarego i natychmiast usłyszała, że abonent ma wyłączony telefon. Oddzwoniła. Rak zgłosił się od razu.

– Nie odbiera. Kiedyś mi mówił, że zamierza wyjechać z Polski. Mam nadzieję, że w końcu spełnił swoje obietnice i więcej go nie zobaczę. Ale zapisz sobie jego numer. – Zaczęła dyktować.

Paulina ruszyła w kierunku auta, w którym cierpliwie czekał na nią Szmidt. Po drodze zatelefonowała do byłego męża jeszcze raz. Ten sam komunikat. Napisała więc SMS-a i schowała aparat do kieszeni.

Rozdział 61

Siedzieli obok siebie na drewnianych, niewygodnych krzesłach już kwadrans, świadomi, że przez lustro weneckie w ścianie ktoś ich obserwuje. Milczeli. Nawet na siebie nie popatrzyli. Anka Wiśniewska nerwowo ścisnęła palce pod stolikiem, a Mateusz Jastrzębski wpatrywał się nieruchomo w blat. Czy mogli wiedzieć o zabójstwie Jana Kamińskiego? Karina powoli zaczynała w to wierzyć. Wyglądali na sparaliżowanych strachem.

– Jak matka Anki? – zapytała.

Jacek Felman, który dziewczynę tu przywiózł, stanął obok niej.

– Na szczęście dużo lepiej. Teraz czeka ją długotrwała rehabilitacja.

– Anka dostała maila z rymowanką. – Karina spojrzała Felmanowi w oczy. – Moim zdaniem zagrożenie nie minęło. Nie powinieneś pozwolić jej wrócić do domu.

– Co mogłem zrobić? – Jacek rozłożył ręce. – Matka jest po udarze, wypisali ją ze szpitala. Anka musi się nią zająć.

– Ale pilnujesz jej jakoś?

– Pod bramą ciągle jest dwóch policjantów. Anka ma do nich telefon. Ja też wpadam tam jak najczęściej.

Korytarzem zbliżał się do nich Zakrzewski w towarzystwie Ilony Marzec. Felman odsunął się dyskretnie na bok.

– Chłopaki z wydziału przeanalizowali opowiadania Śmierciora i doszli do wniosku, że zawierają za dużo szczegółów. Nie można było ich napisać na podstawie wiadomości w mediach – powiedziała Ilona. – Słuchajcie, wszyscy są poruszeni. Właśnie będą

przesłuchiwać Salitrę. Zaczynają grzebać w aktach tych samobójstw. Wytypują trzy, cztery najbardziej obiecujące i jeszcze raz je zbadają. Może trafią na coś ciekawego. To jest duża rzecz.

– Trzymaj rękę na pulsie – rzucił Zakrzewski. – Chcę wiedzieć o wszystkich ważnych ustaleniach.

Ilona wyświetliła fotografię na swoim telefonie i pokazała pozostałym.

– Co to jest? – Zakrzewski zmrużył oczy jak dalekowiedz.

– Kwit z wypożyczalni strojów karnawałowych – wyjaśniła. – Wystawiony na Oskara Bertona. Zamówił pięć przebrań szkieletów.

– Robi się ciekawie. – Karina gwizdnęła cicho.

– Jak ich przesłuchujemy? – zapytała Ilona.

– Wejdziemy we trójkę, ale będziemy mówić tylko ja i Karina – zarządził Marcin. – Ty staniesz przy drzwiach i będziesz obserwować. Zobaczymy, czy ich zeznania będą spójne i czy gdzieś się nie posypią. Do roboty.

Gdy wchodzili do pokoju przesłuchań, Anka Wiśniewska spojrzała na Karinę, jakby szukała u niej ratunku, zaraz jednak jeszcze bardziej pobladła. Twarz policjantki nawet nie drgnęła. Mateusz Jastrzębski patrzył ponuro na Zakrzewskiego. Poruszył się dopiero, kiedy Marcin usiadł na krześle. Oboje przesłuchiwanym rzucali zaniepokojone spojrzenia w kierunku Ilony opartej o ścianę przy drzwiach. Chyba zrobiła na nich największe wrażenie. Jakby była strażniczką w więziennej celi.

– Mamy problem z waszymi zeznaniami dotyczącymi tamtej nocy, kiedy kręciliście film na cmentarzu – zaczął Zakrzewski bez zbędnych wstępów.

– Któreś z was kłamie albo wszyscy nie mówicie policji całej prawdy – dodała Karina.

Mateusz spojrzał na Fiolkę i rozłożył ręce w geście bezradności.

– Mówimy prawdę... – odezwał się, lecz Zakrzewski mu przerwał:

– Tak? No to popatrz na tę fotografię.

Położył przed nim powiększone zdjęcie Jana Kamińskiego zrobione na miejscu zbrodni. Mateusz pobladł, a jego koleżanka odwróciła głowę. Widok zakrwawionego ciała ze śladami po pchnięciach nożem tylko na policjantach nie robił wrażenia.

– Ten człowiek został zamordowany tuż obok cmentarza – mówił dalej Marcin. – Na miejscu zbrodni zabezpieczyliśmy wasze niedopałki papierosów, resztki skręta, puszki po piwie i masę waszych odcisków stóp. Mieliście kolosalne szczęście, że policja wcześniej nie wpadła na wasz ślad. Gdyby po drodze zarejestrowała was chociaż jedna kamera monitoringu miejskiego, już dawno siedzielibyście w tym miejscu.

Anka patrzyła na niego przerażona. Mateusz kręcił głową, powtarzając ciągle:

– To niemożliwe, jakieś nieporozumienie, absurd...

– Więc w jaki sposób to wytłumaczycie? – wtrąciła Karina Buczko.

Po jej głosie Marcin poznał, że trochę zmiękła. Reakcja młodych ludzi wyglądała na szczerą. Anka otwierała i zamykała usta. Głos wydobył się z jej gardła dopiero kilka sekund po pierwszych próbach:

– My nic nie zrobiliśmy... Dobrze się bawiliśmy na tym cmentarzu, to jakaś pomyłka...

Mateusz wybałuszył na nich oczy, jakby dopiero teraz zrozumiał, w jakim położeniu się znaleźli.

– Myślicie, że to my?! – wykrzyknął i odchylił się na krześle, aż zaskrzypiało. – Zwariowaliście?

– Znaleźliśmy film z waszej zabawy. – Zakrzewski ciągle mówił tym samym wypranym z emocji głosem. – To nie było bardzo trudne. Co powiecie na przykład na takie zdjęcie?

Podsunał im wydrukowany kadr z filmu z pięcioma kościotrupami. Na początku nie bardzo rozumieli, o co mu chodzi. Pierwsza zorientowała się Anka i pokazała Mateuszowi. Wyglądali na zszokowanych.

– Niemożliwe... – wyszeptała dziewczyna.

– To jakiś fotomontaż – stwierdził Mateusz.

– Zdjęcie jest oryginalne – powiedziała Karina. – Przez kilka minut w waszej zabawie uczestniczył ktoś jeszcze.

– Morderca? – Jedno słowo rzucone przez Fiolkę uciszyło wszystkie głosy w pomieszczeniu.

Marcin wykorzystał okazję, żeby spojrzeć na Ilonę. Ona też nie wierzyła, że młodzi ludzie mają coś wspólnego z morderstwem.

– Dobrze. Opowiedzcie wszystko jeszcze raz – poprosił.

Mateusz Jastrzębski zaczął relacjonować, jak Apacz wpadł na pomysł nakręcenia filmu, jak wymyślali scenariusz, jak próbowali przekonać do tej idei dziewczyny. Anka wielokrotnie mu przerywała, dodając szczegóły, które pominął albo zapomniał. Potem razem opowiedzieli o tym, jak dojechali na miejsce, rozpakowali się, zapalili skręta, i już o samym kręceniu filmu, z którego tak naprawdę nic nie wyszło. Wreszcie o tym, że ktoś ich spłoszył.

– Jak to możliwe, że nikt nie zauważył piątego kościotrupa? – zapytał ich na koniec Marcin.

Spojrzeli na siebie bezradnie.

– Nie wiem – odparł szczerze Jastrzębski. – Kiedy teraz o tym myślę, nie mieści mi się to w głowie.

– Jakbyśmy oglądali zdjęcie nie z naszego filmu. – Anka nerwowo splatała ręce. – Może piwo i ten skręt... No wiecie...

– Kto mógł być tym piątym? – zapytała Karina.

Odpowiedziały jej bezradne spojrzenia. Pokazała im zdjęcie kwitu z wypożyczalni.

– Oskar Berton wypożyczył pięć strojów kościotrupa – wyjaśniła. – Musiał wiedzieć, że będzie ktoś jeszcze.

Mateusz podrapał się po bujnej czuprynie.

– Może dlatego przyniósł trawę. Żebyśmy byli trochę zamroczeni.

– I dlatego nie pokazał nikomu tego filmu. Bał się, że odkryjemy prawdę – dorzuciła Anka.

– Jak dobrze go znaliście? – Marcin powtórzył pytanie, które zadawał im już poprzednio.

– Od zawsze, wychowywaliśmy się razem od piaskownicy – odpowiedział natychmiast Mateusz.

– Nie pytałem od kiedy, tylko jak dobrze.

– Bardzo dobrze. – Głos chłopaka trochę stracił na pewności.

Fiolka się nie odezwała. Patrzyła tylko na policjantów szeroko otwartymi oczami. Może już wiedziała, że za chwilę dowie się o czymś, co zburzy jej wyidealizowany obraz Apacza.

– Z kim się przyjaźnił?

– Z nami. – Jastrzębski zaczął powtarzać to, co już słyszeli. – Oskar był takim typem, który znał wszystkich i wszyscy znali jego.

– Kogo konkretnie? Potrafisz wymienić?

– No... znał dobrze środowisko kiboli Śląska, jeździł na koncerty, więc pewnie w grę wchodzi też metalowcy oraz jeszcze wiele innych osób.

– Widywaliście go z kimś podejrzanym?

– Nie wiem... – Mateusz spojrzał niepewnie na Ankę. – Nie potrafię...

– A z tym gościem? – weszła mu w słowo Karina, kładąc na biurku wizerunek Obserwatora, który Cichy zabrał Salitrze.

– Ktoś wspominał, że widywał Oskara z dziwnym gościem z długimi rękami.

– Wy go widzieliście?

– Nie.

Przy stole zapanowała pełna napięcia cisza. Po długich kilku sekundach przerwał ją komisarz:

– No dobrze. Wiecie, że Oskar Berton był dilerem? Handlował w klubach, na koncertach i w szkole. Nasi koledzy z wydziału narkotyków mieli go bardzo dobrze rozpracowanego. Nie zamknęli go tylko dlatego, że przez niego chcieli trafić do jego dostawców. Gdyby siatka wpadła, on też zostałby natychmiast aresztowany.

Anka Wiśniewska słuchała, wstrzymując oddech. Cały czas jej się wydawało, że policjant mówi o kimś zupełnie innym, kogo nie znała.

– Oskar Berton był mocno zadłużony u mafii narkotykowej. Praktycznie mieli go w garści. Niedługo po jego śmierci w świecie przemytników wybuchła wojna, było parę trupów. Śmierć Oskara mogła być jedną z pierwszych. Podejrzewamy, że wasz kolega był powiązany z osobą zamieszaną w tamte zabójstwa. Być może właśnie od niej otrzymywaliście maile z rymowankami. Znacie tego faceta?

Zakrzewski podsunął im fotografię chłopaka w czapce i koszulce Chicago Bulls.

– Widywałem go z Oskarem – potwierdził Mateusz. – Miał ksywkę Jordan.

– On też został znaleziony martwy na jednej z posesji we Wrocławiu. – Marcin nadal mówił twardym głosem, nie pomijając drastycznych szczegółów. – Mamy nadzieję przez osobę Bertona dotrzeć do zabójcy. Dlatego teraz jeszcze raz opowiecie nam o Kole Fortuny, mailach i kolegach Oskara.

Przez następne cztery godziny Mateusz Jastrzębski i Anka Wiśniewska opowiadali tę historię trzy razy od nowa.

*

Około dwudziestej pierwszej piętnaście Marcin wolno wdrapał się po schodach, wszedł do mieszkania i powiesił jesienną kurtkę na wieszaku. Od razu poszedł do kuchni, odpinając po drodze kaburę z bronią. Zajrzał do lodówki. Znowu zapomniał zrobić zakupy i wewnątrz świeciło pustkami. Pogrzebał w szafce i znalazł ostatnią zupkę chińską. Ważył przez chwilę opakowanie w dłoni, zastanawiając się, czy nie zadzwonić do Pauliny Czerny. Może ona miała w lodówce coś więcej niż tylko światło. Nie zdecydował się jednak. Począł, aż woda się zagotuje, zalał zupkę i przykrył talerzem, żeby makaron szybciej zmiękł.

Znowu naszło go zniechęcenie, że przeoczył coś bardzo ważnego. Tylko w tej chwili nie miał pojęcia co.

*

– Ja też za tobą tęsknię. – Karina uśmiechnęła się, wypowiadając te słowa do znajdującej się teraz w Warszawie Justyny Kordas. Justyna przylatywała w piątek do Wrocławia i próbowały się umówić. – Ale nie wiem, czy uda mi się w ten weekend wyrwać do ciebie chociaż na kilka godzin. Praca i cholernie wymagający Zakrzewski. Przecież go znasz.

– Znam go lepiej, niż mu się wydaje – zaśmiała się w słuchawce Justyna. – Może chociaż wpadniesz do mnie na noc do hotelu.

– Wiesz, że bardzo bym chciała.

– No to przyjedź, ten sam co ostatnio. Przecież musisz się kilka godzin przespać.

Karina przymknęła oczy, puszczając wodze wyobraźni. Siedziała w pustym biurze. Odchyliła się w fotelu, nogi położyła na blacie biurka.

– Marzę o kąpieli i porządnym masażu – mruknęła do słuchawki.

– Masz to u mnie.

– W takim razie wpadnę, ale teraz muszę kończyć.

Karina z uśmiechem na ustach wpatrywała się w gasnący ekran aparatu. Ktoś stanął w drzwiach i drgnęła przestraszona.

– Nie przeszkadzam? – Głos Ilony Marzec nieco ją uspokoił, ale pozostała spięta.

Szybko odtworzyła w pamięci rozmowę z Justyną. Chyba nie padło w niej nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia Ilony.

– Nie, wchodź. – Przeciągnęła się, udając bardziej znużoną, niż była. Ktoś jej kiedyś powiedział, że powoływanie się na zmęczenie pracą może usprawiedliwić każdą gafę.

Ilona usiadła naprzeciw.

– Czułam, że cię tu jeszcze znajdę.

– Właśnie miałam iść do domu, ale jak coś masz, to mów.

– Zakrzewski ma ciągle zajęty telefon. Chłopaki z dochodzeniówki przeanalizowali akta większości spraw samobójstw z listy Salitry

i w pięciu przypadkach natrafili na interesujące fakty, pominięte podczas czynności prokuratorskich.

Karina nadstawiła uszu.

– Zazwyczaj świadkowie wspominali – ciągnęła Ilona – że od kilku tygodni w otoczeniu przyszłego samobójcy pojawiały się dziwne osoby. Wyglądały jak...

– Obserwator!

Ilona uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Zeznania są bardzo nieścisłe, ale z grubsza można powiedzieć, że może chodzić o tego typu z długimi rękami. Jutro koledzy będą dalej drążyć temat.

– Mam nadzieję, że coś z tego będzie – powiedziała Karina. – Z przyjaciół Oskara chyba już nic więcej nie wyciągniemy. Zaskakująco mało o nim wiedzieli.

– Tak bywa. – Ilona wzruszyła ramionami. – Jak my o swoich szefach.

– Co masz na myśli? – Karina przyjrzała jej się bacznie.

– Nie uważasz, że przez ostatnie kilka dni Zakrzewski zachowuje się jakoś dziwnie? Zrobił się zamknięty w sobie, małomówny. Jakby był gdzieś obok.

– On zawsze się tak zachowuje – roześmiała się Karina.

– Ostatnio jest gorzej. A jeśli on coś przed nami ukrywa?

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Karina uświadomiła sobie, że koleżanka może mieć rację.

*

Podły smak zupki chińskiej próbował zatrzeć dużą whisky z lodem. Zakręcił szklanką i wypił łyk. Lód sympatycznie zabrzączał w szkle. Robert Rajcza odebrał po trzech sygnałach.

– Prędzej bym się diabła spodziewał – rzucił do słuchawki.

Zakrzewskiemu nie spodobało się takie porównanie. Diabeł już kiedyś dał mu się we znaki.

- Nie przeszkadzam?
 - Nie pracuję już w psiarni, jestem wolnym człowiekiem, możesz do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy.
 - Opowiedz mi coś o Marcie Mickiewicz.
 - Już ci się naraziła? – Rajcza westchnął do słuchawki.
 - Nie, wprost przeciwnie – zaprzeczył Marcin. – Naciągnęła mnie na piwo, ale nie mam jej tego za złe. Tylko że ona ma dość specyficzny sposób bycia. Chciałbym wiedzieć, z kim pracuję.
- Robert milczał chwilę, jakby zbierał myśli.
- Czuję, że prędzej czy później zadzwonisz z tym pytaniem. Jestem jej wujkiem. Marta to jeden z najlepszych techników kryminalistyki w kraju. Do tego ma problem z pamięcią. Pamięta wszystkie ślady, z którymi pracowała.
 - Więc co jest nie tak? – zapytał ostrożnie Zakrzewski.
 - Powiedzmy, że ma zmienne nastroje.
 - Mówiła, że ostatnio rozstała się z facetem. To dlatego?
 - Jak by to powiedzieć? – Rajcza się zawahał. – Z facetem rozstała się ponad pięć lat temu. Od tego czasu nie może się pozbierać. Miała trzy próby samobójcze. Dlatego musiała odejść z zakładu techniki kryminalistycznej z Łodzi.
 - J-jasne.
 - Zakrzewski, żebyś dobrze mnie zrozumiał. Była na terapii i chce tu zacząć nowe życie. Zaufaj jej, to bardzo dobry fachowiec. Jak cię polubi, będziesz miał wszystkie analizy na pstryknięcie palców.
 - Na razie nie mam powodów, żeby jej nie ufać.
 - I nie bądź zbyt rozmowny.
 - Nikomu nie powiem. Cześć!

*

Palili, nie zważając na zakaz obowiązujący w całym budynku.

- Dlaczego tak uważasz?

– Taki research o Zakrzewskim, jaki znalazłam w tym komputerze na osiedlu Malowniczym, można zamówić tylko w Darknecie. Zajmują się tym specjaliści z półświatka, głównie hakerzy. Zakrzewski nie wyglądał na zdziwionego jego zawartością.

Karina strzepnęła popiół do kubka po kawie.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – stwierdziła. – Marcin spotkał się z Satyrem zaraz po tym, jak Parol został ranny. Satyr zebrał o nim dane, żeby go wyeliminować.

– I co, próbował go zabić? Ciebie próbował, ale do Zakrzewskiego się nie zbliżył. Słuchaj, Centralne Biuro Śledcze zabiera nam wszystkie śledztwa, w których zbliżamy się do Satyra albo jego dwóch dziwnych koleś, ale naczelnik nie przesuwają nas do innych zadań, dalej możemy zajmować się wątkami pobocznymi. Nie wydaje ci się to trochę dziwne?

Karina zaciągnęła się ostatni raz i wrzuciła niedopałek do kubka. Żar zgasł w resztkę kawy.

– Może.

– Mam w CBS dobrego kolegę. Oddział we Wrocławiu jest od tego tematu odcięty. Stolica przejęła wszystko. Wojnę gangów narkotykowych, zamach na Parola w szpitalu, strzelaninę na Roosevelta, ofiary Dawidka i naszą akcję przy mostach Jagiellońskich. Wrocławski oddział nic nie wie o tych śledztwach. Jeden nadgorliwy policjant próbował przy tym węszyć i został na pół roku przesunięty do Białegostoku, do rozpracowywania kiboli i dopalaczy. A tymczasem my i Zakrzewski dalej gonimy za Satyrem, tylko trochę dookoła. Myślisz, że oni nic nie wiedzą? To jest za gruba sprawa, żeby ci z CBS pozwolili nam działać samodzielnie. Marcin nam o czymś nie mówi.

Karina poczuła, że naprawdę jest śmiertelnie znużona. Przetarła twarz dłonią.

– Masz rację, coś w tym jest – powiedziała. – Tylko co my możemy? Dopóki prowadzimy to śledztwo, róbmy to najlepiej, jak się da.

– Będziemy – zgodziła się Ilona. – Ale gdzieś tu jest drugie dno i Zakrzewski o nim wie.

Kilka minut później schodziły razem po schodach do głównego wyjścia.

– Podwieźć cię?

Karina pokręciła głową.

– Mam auto na parkingu.

Ilona spojrzała jej w oczy z jakimś dziwnym błyskiem.

– Kim jest ten szczęściarz? – zapytała niespodziewanie.

Karina Buczko przystanęła zaskoczona pytaniem. Długo miała pustkę w głowie.

– Poznałam go... niedawno. Pracuje w Warszawie. Co dwa, trzy tygodnie przylatuje do Wrocławia na weekend i wtedy mieszka w hotelu – wyjaśniła, uznając, że najlepsze kłamstwo leży najbliżej prawdy.

Nie myliła się. Ilona pokiwała głową ze zrozumieniem.

– To do jutra!

*

Najważniejszą rozmowę, do której przygotowywał się psychicznie już od kilku dni, zaczął, gdy alkohol rozgrzewał mu żołądek i pobudzał do jaśniejszego myślenia. Ojciec odebrał telefon po kilku długich sygnałach. Po głosie słychać było, że i on nie spędza tego wieczoru na trzeźwo. Tyle że Zakrzewski senior sprawiał wrażenie, jakby nie zaczynał butelki, lecz właśnie ją kończył.

– Dobrze, że dzwonicz, synu – powiedział zamiast przywitania.

Szczęknęła zapalniczka i Marcin wyobraził sobie, jak ojciec stoi w tym samym miejscu, w którym rozmawiali ostatnio, pije i pali.

– Jak się czuje mama? – zapytał.

– Mógłbyś nas kiedyś odwiedzić. Na pewno by się ucieszyła.

– Odwiedzę was... wkrótce.

Cały plan rozmowy posypał się w jednej sekundzie. Michał Zakrzewski odkaslnął i nagle jego głos stał się zachrypnięty i obcy.

– Właściwie nawet ci się nie dziwię, że nie chcesz tu przyjeżdżać – powiedział. – Bo właściwie do czego masz wracać?

– Tato, to nie tak... – Marcin próbował się wytłumaczyć, ale ojciec jakby go nie słyszał.

– Twój brat zaginął. Dziadkowie, z którymi miałeś dobry kontakt, już nie żyją. Szczepanów kojarzy ci się tylko z zaginięciem brata, zwłokami dzieci w sadzie u księdza i popierdolonym kolegą z podstawówki. Do kogo masz przyjeżdżać? Do ojca, który przegapił twoje dzieciństwo, albo do matki, z którą nie ma kontaktu?

W słuchawce zapanowała cisza. Marcin też milczał. Od dawna miał zadzwonić do rodziców i teraz żałował, że tak długo zwlekał. Zaczął się zastanawiać, czy ojciec przypadkiem też nie cierpi na depresję. Wystarczyła jedna chwila w przeszłości, by całe ich życie rozpadło się na kawałki, z których ciągle próbowali ułożyć namiastkę tego, co było przedtem. Im dłużej im nie wychodziło, tym bardziej zamykali się w swoim bólu.

– Nie powiedziałaś, jak się czuje mama – odezwał się wreszcie.

– Raz lepiej, raz gorzej. Bez zmian.

– A pies?

Po raz pierwszy podczas tej rozmowy w głosie ojca Marcina pojawiły się cieplejsze nuty.

– Zaprzyjaźniliśmy się. Chodzimy na długie spacery. To jedyna istota, która słucha biadolenia starego dziada i nic sobie z niego nie robi.

– Tato, przesadzasz.

– Może trochę. Ostatnio jakoś nie mam dobrych dni.

Marcin odczekał chwilę, żeby poruszyć temat najbardziej go interesujący.

– Mama wspomina jeszcze Ryśka?

– Tak, często o nim mówi – padła szybka odpowiedź. – Jest przekonana, że on żyje. Przez te wszystkie lata albo w ogóle go nie

wspominała, albo mówiła o nim jak o zmarłym, a przecież...

Marcin poczuł na plecach zimny dreszcz niepokoju.

– Czy mama nadal myśli, że Rysiek odwiedza ją w nocy? – przerwał ojcu.

Tym razem Zakrzewski senior milczał przez chwilę. Jakby trochę otrzeźwiał i analizował słowa syna.

– Powtarza, że był u niej. Ale tylko raz – odpowiedział wreszcie niepewnie. – O co chodzi, Marcin?

– Nie wiem, tato – wyznał szczerze Marcin. – Niepokoję się o was.

Michał Zakrzewski znów myślał długo, zanim zapytał:

– To co mam robić?

– Rozglądaj się, patrz, kto się kręci blisko domu. Nie zostawiaj mamy samej. Rozmawiaj z nią. Pytaj o Ryśka. Zamykaj na noc dom i bądź ostrożny.

– Zrozumiałem.

Jeszcze przez kilka minut po zakończeniu połączenia Zakrzewski senior siedział na parapecie okna od strony podwórza. Miejsce było osłonięte od wiatru, który szarpał krzakami za płotem. Zapalił jeszcze jednego papierosa, nalał sobie do szklanki resztę wódki z butelki i pograżył się w ponurych myślach. Od przeszłości nie ma ucieczki. Jej cienie dopadają człowieka nawet po wielu latach.

Gwizdnął na psa. Tina przybiegła z głębi podwórza, machając radośnie ogonem i oblizując się, jakby przed chwilą jadła coś pysznego. Pogłaskał sukę po zmierzwionym futrze na głowie i spojrzał tam, skąd przybiegła. Zamarł.

Wydawało mu się, że przy drewnutni ktoś stoi. Ciemna, wysoka, nieruchoma postać. Powoli się wyprostował. Miał wrażenie, że patrzą sobie w oczy poprzez mrok.

Pies polizał go po dłoniach. Zakrzewski odruchowo spojrzał w dół. Kiedy znowu podniósł wzrok, przy drewnutni nikogo nie było. Może mu się tylko zdawało? Wódka pewnie zrobiła swoje.

Wszedł do domu. Drzwi zaryglował od wewnątrz na wszystkie zamki i sprawdził, czy okna są szczelnie zamknięte.

Rozdział 62

Piątek, 16 października

Paulina Czerny wyszła od naczelnika wściekła jak wszyscy diabli. Z trudem powstrzymała chęć trzaśnięcia drzwiami. Na parkingu na wewnętrznym dziedzińcu zapaliła papierosa, nie bacząc na zakazy.

Redaktor Krzysztof Salitra – tak jak się umówili – opublikował tekst o tym, jak prokurator Dariusz Wysocki potrącił Annę Kowal, a potem ukrył zwłoki i mataczył w śledztwie. Artykuł cytowały wszystkie media w kraju. Tylko że miało być zupełnie inaczej. Do tego czasu Wysocki powinien siedzieć w areszcie, czekając na zakończenie śledztwa i akt oskarżenia. Tymczasem rozplynął się bez śladu. Już nie tylko media pytały, dlaczego jeszcze nie został ujęty. Kampania wyborcza wchodziła na ostatnią prostą, sprawa Wysockiego robiła się dla niektórych coraz bardziej niewygodna. Naczelnik Godlecki wezwał Paulinę i najzwyczajniej w świecie opieprzył ją za brak postępów.

Strzeliła niedopałkiem na środek dziedzińca i poszła do swojego biura. Papieros jej nie uspokoił. Gdyby to nie był Wysocki, może nie denerwowałyby się tak bardzo. A on jak na złość zagrał jej na nosie.

Andrzej Szmidt na jej widok wstrzymał się ze wszystkim, co chyba zamierzał powiedzieć. Chwilę potem Wiktor Adamczyk zajrzał przez drzwi, lecz widząc jej minę, też się wycofał. Paulina poprawiła grzywkę i zajrzała jeszcze raz do swoich notatek. Sprawdzili wszystko. Znajomych Wysockiego, miejsca, gdzie w ostatnich latach jeździł na konferencje i krótki wypoczynek, dworce, lotniska, rozesłali listy gończe po całej Europie. Wysocki nigdzie nie użył karty

kredytowej, jego telefon zniknął z sieci i przepadł razem z właścicielem.

Naraz przypomniała sobie o porzuconym samochodzie eksmęża. Odkąd próbowała się bezskutecznie dodzwonić do Cezarego, nie opuszczała jej niepokój. Potarła palcami skronie. Zaraz, zaraz.

– Do jasnej cholery! – Walnęła dłonią w stół, aż jej starszy kolega podskoczył przestraszony.

– Czy ty się dobrze czujesz? – Obrzucił ją zaniepokojonym spojrzeniem.

Paulina nie odpowiedziała. Myślami była już gdzieś indziej. Przecież Wysocki prowadził postępowanie o oszustwa w sprawach majątkowych jej byłego męża. Cezary mógł pójść do więzienia na kilka lat. Zdjęcia! Wysocki zaproponował Cezaremu Czernemu, żeby wydobył od Pauliny kompromitujące zdjęcia w zamian za złagodzenie zarzutów. A ona w przyływie... no właśnie, czego? Litości dla eksa czy chęci zemsty na Wysockim? Dała mu te fotografie i jeszcze zasugerowała, żeby to Cezary zaszantażował prokuratora. Cholera, co on zrobił z tymi zdjęciami?

Jeszcze raz zadzwoniła do byłego męża. Podobnie jak przed kilkoma dniami włączyła się skrzynka. Czując na sobie badawcze spojrzenie Szmida, wybierała już inne numery. Najpierw do eksteściowej. Krystyna Czerny była spokojną starszą panią, która mocno przeżyła ich rozwód, lecz ostatecznie nie miała do Pauliny żalu. Zawsze powtarzała, że jej syn jest cwaniakiem i egoistą. Ona też nie wiedziała, co się dzieje z Cezarym. Powtórzyła tylko, że planował wyjechać z kraju. Wyjechać czy uciec? – pomyślała Paulina.

Andrzej Szmidt patrzył na nią pytająco. Machnęła ręką, żeby jej nie przeszkadzał, i dzwoniła dalej. W ciągu następnego kwadransa obdzwoniła kilku znajomych. Nikt od dawna nie widział Cezarego Czernego. Potem zadzwoniła do firmy, której był prezesem. Odebrała sekretarka, która szczerze powiedziała, że prezesa nie ma

od dwóch tygodni, ona nie dostała wynagrodzenia i właśnie rzuca posadę.

Dopiero teraz Paulina spojrzała na czekającego cierpliwie Szmidta.

– Szukamy Wysockiego czy twojego byłego? – zapytał.

– Andrzej, podejrzewam, że on mógł pomóc Wysockiemu w ucieczce.

– Żartujesz? Przecież Wysocki postawił mu zarzuty! – Szmidt patrzył na nią zdziwiony.

Zdjęcia. Paulina nie mogła powiedzieć o nich nikomu. Tym bardziej że przecież zachęciła Cezarego do szantażu. Jasna cholera! Jeśli to wyjdzie, będzie miała megaproblemy. Z drugiej strony, dlaczego miałyby wyjść? Czy ktokolwiek uwierzy w słowa jej byłego męża, faceta z zarzutami prokuratorskimi? Uspokoila się trochę, ale wciąż czuła wyrzuty sumienia. Nie, to nie były wyrzuty, raczej wewnętrzny niepokój.

– To długa historia – rzuciła trochę opryskliwie, żeby uciąć ewentualne dalsze pytania. – Wysocki prowadził różne dziwne interesy.

– No to co robimy?

– Zawołaj Adamczyka.

Po chwili rozmawiali we trójkę. Paulina cały czas była rozdrażniona. Szczególnie denerwowały ją poczerńiałe od papierosów zęby Adamczyka. Nie mogła się skupić.

– Z tego, co wiem, Cezary planował wyjazd z kraju – mówiła. – Wiktor, sprawdź, czy jego nazwisko nie figuruje na listach pasażerów samolotów. Skupiamy się na ostatnich dwóch tygodniach. Szczególną uwagę zwróć na loty do Hiszpanii. To samo bilety autobusowe. Andrzej, skontaktuj się z drogówką w sprawie auta Cezarego. Spróbujcie dotrzeć do monitoringu miejskiego. Jak to auto znalazło się na Krzykach? Ja sprawdzę znajomych, u których Cezary mógłby się ukryć, i spróbuję ustalić, gdzie ostatnio logowała się jego komórka. Do roboty!

- Ale może powiedz coś więcej – odezwał się Adamczyk.
- Paulina nie popatrzyła mu w twarz, żeby nie widzieć jego zębów.
- Może mieć związek ze zniknięciem prokuratora – zbyła go.
- Ale jaki związek? – drążył Wiktor. – Paulina, jak ja mam zmotywować ludzi?
- Do cholery, Wiktor! – nie wytrzymała. – Wszyscy są w pracy, niech robią, co do nich należy, dodatkowa motywacja nikomu nie powinna być potrzebna!
- Jak uważasz – skrzywił się Adamczyk.

*

Zakrzewski wyszedł z mieszkania dopiero około jedenastej. Musiał się nareszcie wyspać, a poza tym potrzebował kilku godzin na spokojne przemyślenia. Dręczyła go natrętna idea. Pomysł na tyle abstrakcyjny, że na początku traktował go jako zupełnie nieprawdopodobny. Nawet wtedy, kiedy zapytał mailem swoje tajemnicze źródło informacji niejawnych i dostał odpowiedź: Odciski zgodne, pomyślał, że to przypadek. Teraz jednak postanowił zweryfikować swój pomysł u fachowca. To była najbardziej szalona teoria, jaka do tej pory przyszła mu do głowy, dlatego musiał ją sprawdzić.

Zadzwoił do policyjnego profiler. Tym razem Krzysztof Pawlicki odebrał od razu. Rozmawiali czterdzieści pięć minut. W miarę upływu czasu zainteresowanie Pawlickiego rosło. Pożegnali się bez zwykłych żartów i złościwości – profiler obiecał, że pomyśli i się odezwie.

Marcin zszedł wolno po schodach, przeglądając listę nieodebranych połączeń. Pięć – Grabski, dwa razy Karina Buczko i dwa nieznane. Wyszedł na chodnik i natychmiast owiał go chłodny wiatr. Mimo to było nawet przyjemnie. Wystawił twarz na promienie słoneczne i zastanawiał się, do kogo oddzwonić najpierw. Zanim podjął decyzję, zabrzmiało Led Zeppelin. Nieznany numer. Odebrał.

– Komisarz Zakrzewski.

– Cześć! Nie przeszkadzam w pracy?

Poznał głos, ale nie skojarzył go z twarzą i nazwiskiem.

– Nie – odpowiedział z lekkim wahaniem w głosie.

– Krzysztof Salitra z tej strony.

– Poznaję – skłamał.

– Długo się zastanawiałem, czy do ciebie zadzwonić – powiedział dziennikarz. – Ale jest coś, co nie daje mi spokoju.

– Mogłeś to powiedzieć na przesłuchaniu. – Marcin nie zamierzał niczego Salitrze ułatwiać.

– Oczywiście, że mogłem. Trzy przesłuchania po sześć godzin to w sumie osiemnaście godzin gadania ze znudzonym gliniarzem. Cholera, powinienem za to dostać Order Uśmiechu bez picia soku z cytryny.

– Trzeba było wcześniej zgłosić się do nas z tymi opowiadaniem – burknął Marcin. – No dobra, o co chodzi?

– Nie mogłem tego powiedzieć na przesłuchaniu. To nie ma nic wspólnego z faktami. Prędzej chodzi o odczucie, przeświadczenie... Nie wiem, jak to nazwać.

Zakrzewski nie ruszał się z miejsca. Na plecy wpełzł mu wolno niepokój.

– Musiałem zadzwonić – kontynuował Salitra. – Muszę ci o tym powiedzieć bez względu na to, jak głupio zabrzmiały moje słowa. On... był do ciebie podobny.

Marcin milczał.

– Śmierciór przypominał mi ciebie. Z wyglądu też, ale jest tak pokiereszowany, że trudno coś przesądzać. On był podobny do ciebie z zachowania. Chodził tak samo jak ty, miał takie samo przenikliwe spojrzenie jak ty, tak samo gestykulował.

– No i co? – W głosie Marcina wyraźnie zabrzmiały złość i zniecierpliwienie.

Już kiedyś wszyscy mówili, że morderca jest do niego bardzo podobny.

– Jak tam stałem z pętlą na szyi, pomyślałem nawet, że pewnie byś się tak samo zachowywał, gdybyś nagle oszalał. Ciągłe się nad tym zastanawiam. Musiałem ci to powiedzieć.

– Nie musiałeś – rzucił Marcin i się rozłączył.

Wpatrywał się w gasnący ekran telefonu i nagle niepokój przemienił się w strach. „Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”. Znowu usłyszał słowa, które prześladowały go przez ostatnie lata. Wróciły, kiedy był już pewien, że na zawsze o nich zapomni. Cholerny Salitra.

Z wolna się uspokajał. Właściwie dlaczego był zły na dziennikarza? Facet po prostu zadzwonił, żeby podzielić się swoim spostrzeżeniem. Pewnie chciał pomóc.

W spisie nieodebranych połączeń znalazł drugi nieznanany numer i zadzwonił. Mężczyzna odebrał po kilku sygnałach.

– Komisarz Zakrzewski, ktoś do mnie telefonował z tego numeru.

– Dzień dobry. Jestem lekarzem, który operował pana kolegę postrzelonego w głowę.

Marcin jęknął w duchu. Co za cholerny dzień! Cały się spiął.

– Nie żyje? – zapytał.

– Na szczęście żyje – odrzekł zaraz lekarz. – Zgubiłem numer telefonu do pana i zajęło mi ze dwa tygodnie, zanim dostałem namiary z innego źródła. Wybudziliśmy pana kolegę ze śpiączki farmakologicznej około trzech tygodni temu. Tomograf pokazał uszkodzenia mózgu, ale pacjent reaguje na bodźce. Nawet rozumiał, co do niego mówimy.

Zakrzewski poczuł ulgę.

– I co dalej? Rehabilitacja?

– Tak, ale już nie u nas. Siostra zabrała go do szpitala w Hamburgu. Więcej nie wiem. Proszę się z nią kontaktować.

– Rozumiem. No cóż, dziękuję za dobre wieści, doktorze.

– Złapaliście mordercę?

– Jeszcze nie.

– Złapcie go. Dla niego.

Rozdział 63

Była sobota. Marcin siedział sam w biurze, czuł się śmiertelnie zmęczony. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy zjadł normalny ciepły posiłek. Hektolitry kawy i drinki na dobranoc nie poprawiały sytuacji.

Do tego ciągle czekał na chwilę, kiedy do jego drzwi zapuka ktoś z CBS i powie, że zabierają mu i to śledztwo.

W każdym wątku, który sprawdzali, natykali się prędzej czy później na ścianę nie do sforsowania. Potrzebował punktu zaczepienia. Iskry, impulsu, tego czegoś, co pozwoliłoby odzyskać równowagę i podążać dalej we właściwym kierunku.

Wreszcie zamknął laptopa, włożył skórzaną kurtkę i wyszedł z biura, trzaskając drzwiami. Echo poniosło się korytarzem. Skinął głową dyżurnemu na dole, wyszedł na Podwale i skierował się do służbowego auta zaparkowanego kilkaset metrów dalej.

– Komisarz Zakrzewski?

Marcin zatrzymał się i spojrzał na wysokiego młodego mężczyznę w ciemnym prochowcu zarzuconym na drogi garnitur. Na twarzy tamtego zastygł przyjazny, acz lekko niepewny uśmiech.

– Tak, o co chodzi? – rzucił.

– Mecenas Stefan Jagła zaprasza pana na obiad.

Marcin przez chwilę nie kojarzył tego nazwiska. Wbił w nieznanomego nieruchome spojrzenie. Prawnik. Tak mógł wyglądać tylko prawnik z renomowanej kancelarii. Stefan Jagła. No tak, przypomniał sobie.

– Nie jestem głodny.

Mężczyzna stracił trochę pewności siebie. Mimo to uśmiech nie zniknął z jego warg.

– Mecenas Jagła ma panu do przekazania ważne i poufne informacje na temat śmierci swojego syna.

Marcin zmierzył go wzrokiem. Czy to właśnie był ten moment? Zrządzenie losu?

– Może mógłbym jednak coś zjeść – mruknął.

– Nie będzie pan zawiedziony, komisarzu. Stek na gorącym kamieniu wulkanicznym jest naprawdę godny polecenia.

– Mam nadzieję.

– Proszę za mną. Pojedziemy do Brzegu Dolnego.

Nieznajomy wskazał zaparkowanego kilka kroków dalej czarnego mercedesa.

– Do Brzegu? – zdziwił się Zakrzewski.

– Naprawdę warto poświęcić dwie godziny. Gwarantuję. – Mężczyzna otworzył tylne drzwi mercedesa i zrobił zapraszający ruch dłonią. Marcin jeszcze przez moment się wahał. Wreszcie stwierdził, że nie ma nic do stracenia, i wszedł do środka. Trzasnęły drzwi, ruszyli.

Kierowca zatrzymał auto na parkingu pod hotelem Rokita, gdzie mieściła się restauracja o tej samej nazwie.

– Proszę o pana telefon komórkowy – powiedział, odwracając się do Zakrzewskiego. – Mecenasowi bardzo zależy, żeby spotkanie odbyło się w absolutnej tajemnicy.

Marcin bez słowa oddał aparat. Dopiero wtedy mężczyzna otworzył tylne drzwi.

– Mecenas Jagła czeka na pana w restauracji.

Marcin wszedł po schodach do hotelu, rozejrzał się i podążył za strzałkami kierującymi gości do restauracji. W środku, przy stolikach rozrzuconych po przestronnej sali, siedziało kilkanaście osób. Najdalszy kąt był zasłonięty parawanami. Zakrzewski poszedł w tamtym kierunku. Mecenas Stefan Jagła czekał na niego, sącząc whisky. Na widok Marcina zrobił zapraszający ruch ręką.

– Proszę siadać, komisarzu – powiedział zachrypniętym głosem. – Cieszę się, że pan przyjął moje zaproszenie.

Siedzieli naprzeciw siebie przy dużym stole, mierząc się ciekawie wzrokiem. Jagła był otyłym mężczyzną z krótko ściętymi siwymi włosami. Obwisłe policzki, grube wargi i małe, głęboko osadzone oczy sprawiały, że kojarzył się Zakrzewskiemu z negatywnym bohaterem z dziecięcych kreskówek. Ale Jagła był o wiele bardziej niebezpieczny. Prawnik mafii – tak nazywała go policja. Złoty łańcuch widoczny spod rozpiętego kołnierzyka białej koszuli i drogi zegarek na ręce świadczyły o bogactwie oraz o tym, że lubił się z nim obnosić.

Natychmiast zjawiała się przy nich kelnerka. Jagła poprosił o to, co zawsze, i chciał zamówić drinka dla Marcina, ale ten odmówił.

– Mam nadzieję, że nie będę żałował – powiedział Zakrzewski, gdy kelnerka zniknęła za parawanem.

– Jedzenie jest niezłe. – Jagła pokiwał głową. – A co do reszty... nie będzie pan żałował.

W tonie jego głosu wyraźnie dało się wyczuć rezygnację. Kontrastowało to tak wyraźnie z wizerunkiem twardego prawnika, że Zakrzewski drgnął zaskoczony.

Zanim cokolwiek zdążyli powiedzieć, kelnerki przyniosły steki na rozgrzanym wulkanicznym kamieniu, talerze z ziemniaczanymi talarkami i surówki. Jagła jakby się ożywił.

– Spróbuj, Zakrzewski, dla tego dania często tu przyjeżdżam.

Marcin pokroił stek i dosmażał kawałki mięsa na kamieniu. Naprawdę smakowało wybornie.

– To jednorazowe spotkanie – odezwał się Jagła, kiedy przełknęli pierwsze kęsy. – Nie jestem informatorem glin. Nigdy byśmy się nie spotkali, gdyby ten skurwysyn nie zabił mi syna.

Marcin odłożył sztucce i patrzył na skwierczące na kamieniu kawałki wołowiny.

– Kto?

– W Polsce każe się nazywać Satyr – wycedził Jagła. – Na Wschodzie różnie go nazywają. W Rosji Miertwyj, na Ukrainie Trup. Może dlatego, że naprawdę nazywa się Bezsmiertnych, Georg Bezsmiertnych.

Marcin patrzył prawnikowi w oczy.

– Skąd to wiesz? – zapytał, starając się ukryć buzujące w nim emocje.

– Trochę o nim wiem, gliniarzu. Nawet widziałem go raz czy dwa. Bardzo nieprzyjemny człowiek. Tak jakbyś naprawdę patrzył na chodzącego trupa. – Jagła pochylił się nad talerzem i zjadł trochę ziemniaków i surówki. Marcin stracił apetyt. – Nie zdradzę ci nic nowego, jeśli powiem, że ten rynek zaopatrują w narkotyki Rosjanie i Ukraińcy z Donbasu. Towar płynie szerokim strumieniem do takiego dziwnego kraju, którego tak naprawdę nie ma, a nazywają go Nowa Rosja. Tam spokojnie czeka na przerzut. Część trafia na Dolny Śląsk. Niewielka część. Rosjanie utrzymują ten rynek tylko po to, żeby kontrolować szlaki przerzutowe. Ostatnio jeden z tutejszych dilerów, Tomasz Wiktorski zwany Tinky Winky, zaczął działać na własną rękę. Myślał, że jest sprytny. Ale nie dla tych na Wschodzie. Oni mają człowieka do wynajęcia, który takie sprawy rozwiązuje szybko i ostatecznie.

– Satyr – domyślił się Marcin.

– Tak. Georg Bezsmiertnych jest mordercą do wynajęcia. Bardzo dobrym fachowcem. Ścigają go wszystkie służby specjalne w Europie i jak dotąd nic mu nie zrobili. – Jagła uznał, że część wołowiny jest już dość wysmażona. Włożył sobie do ust większą porcję i zamilkł na chwilę. Zakrzewski też sięgnął po widelec i nóż. – Tylko że tym razem Satyr zadziałał niezgodnie z umową. Zgarnął towar Wiktorskiego, potem zabił wschodniego łącznika Mykołę i rozpułnął się bez śladu.

– Dlaczego?

– Tego nikt nie wie na pewno. – Jagła popił stek dużą ilością whisky. – Od dawna wiadomo, że Bezsmiertnych jest, powiedzmy...

niestabilny. Uwielbia zabijać i czasem robi to tylko dla samej przyjemności zabijania. Pewnie teraz jest właśnie w takiej fazie. Ale sytuacja się zmieniła. Rosjanie stracili do niego zaufanie i wysłali tutaj swego rodzaju grupę interwencyjną, która ma go odnaleźć, ustalić, gdzie jest towar, i zlikwidować. Dzisiaj rano przyjechali do Wrocławia z Ukrainy. Trzy osoby.

Zakrzewski grzebał widelcem w talerzu, próbując ocenić, na ile przydatne są te informacje.

– Co to ma wspólnego z twoim synem? – zapytał.

Przez twarz Jagli przebiegł trudny do odgadnięcia grymas. Prawnik zacisnął szczęki, przymknął powieki i odpowiedział dopiero po dłuższej chwili:

– Wszyscy na Wschodzie wiedzą, że Satyr zabija dla przyjemności, pozorując samobójstwa. Mój syn nie popełniłby samobójstwa, ani ten jego kolega Oskar. Zabił ich Satyr.

Zakrzewski odchylił się w fotelu.

– Chcesz, żebym uwierzył w twoją opowieść bez żadnego dowodu? – odezwał się z nutą powątpiewania w głosie.

Jagla odłożył z brzękiem widelec na talerz.

– Bez dowodu, mówisz? – Popatrzył na komisarza zmęczonym wzrokiem. – Bezsmiertnych ma na całym ciele blizny. To nie są zwykłe blizny. Kiedyś spiłem Mykołę i zaczął mi o nim opowiadać. Od dzieciństwa Satyr się okaleczał. Czy nie szukacie właśnie jego w związku z samobójstwami wśród znajomych mojego syna?

– Być może. Co jeszcze o nim wiesz?

– Jest Polakiem. Mykoła powiedział mi tylko tyle, że Satyr wyjechał z Polski jako nastolatek wraz z armią sowiecką. Jednym ze znaczących dowódców w sztabie armii sowieckiej w Legnicy był generał Wiktor Bezsmiertnych. Mówi ci coś to nazwisko?

Marcin powoli żuł kawałek mięsa.

– Twoja opowieść brzmi trochę nieprawdopodobnie – stwierdził. – Porwany z kraju nastolatek staje się zawodowym zabójcą, do tego zabija dla przyjemności i jest jak widmo. To jakiś żart?

Stefan Jagla patrzył na niego ponuro. Wreszcie wzruszył ramionami.

– Posłuchaj, Zakrzewski. Masz teraz jedyną i niepowtarzalną okazję złapać Satyra. Jeśli mi nie wierzysz, nie było tej rozmowy. Załatwię to inaczej.

Patrzyli sobie w oczy, jakby testowali, który z nich jest twardszy.

– Zwróciłem się do ciebie, ponieważ słyszałem o tobie bardzo dobre opinie. – Jagla pierwszy przerwał milczenie. – Nie tylko wśród policjantów i prawników. Poza tym... – zawiesił głos.

– Co? – rzucił szybko Marcin.

– Jesteś do niego podobny. Macie tak samo przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu.

Zakrzewski znowu poczuł zimny dreszcz na plecach. Druga osoba dzisiaj mówiła mu to samo. Wzdrygnął się. Dlaczego akurat teraz? Z trudem przełknął ślinę i spytał przez zaciśnięte gardło:

– Dobrze, jak go znaleźć?

– Dzisiaj rano do miasta przyjechało trzech Ukraińców. Wiedzą, jak znaleźć Satyra. Jeden z nich to Andriej Dmitrenko. Znajdź go i obserwuj. Zaprowadzą cię do tego skurwysyna.

– Sprawdzę twoje informacje.

Jagla pochylił się nagle nad stołem. Marcin odruchowo się cofnął. W oczach prawnika wyraźnie malowała się nienawiść.

– Jak go złapiesz, potrafię się odwdzińczyć – wyszeptał przez zaciśnięte zęby. – Co powiesz na jedynekę i sześć zer?

Zakrzewski nie odpowiedział. Rozkroił na pół ostatni kawałek steku i przycisnął widelcem do kamienia. Zaskwierczało.

– Próbujesz mnie przekupić? – odezwał się wreszcie z drwiącym uśmiechem na ustach. – Zapomniałeś się, Jagla. Jestem gliniarzem. To moja praca.

– Nie graj twardziela. Wiem, ile ci płacą.

– Może robię teraz błąd, ale złapię Satyra bez twoich pieniędzy. Jak zwykle, dla idei.

– Coraz więcej szlachetnych gliniarzy. Co za czasy...

– Coraz bardziej normalne?

Przez następne kilka chwil kończyli jeść w milczeniu. Wreszcie Marcin odłożył sztućce, wytarł usta serwetką i powiedział:

– Rozumiem, że byłem zaproszony.

– Oczywiście, mam nadzieję, że ci smakowało.

– Owszem. Twój goryl mnie odwiezie?

– Jacek? Tak, ale to nie jest mój goryl, tylko bardzo zdolny prawnik.

– J-jasne.

Komisarz Marcin Zakrzewski wstał i wolno poszedł przez salę w kierunku wyjścia z restauracji. Czarny mercedes cały czas na niego czekał. Marcin wsiadł bez słowa i sięgnął po swój telefon komórkowy leżący na tylnym siedzeniu.

*

– Było mało czasu – powiedziała aspirant Ilona Marzec, kiedy usiedli przy biurku Zakrzewskiego.

– Masz coś?

– Poruszyłam wszystkie swoje kontakty i udało się wygrzebać co nieco z systemu komputerowego służby celnej. Tylko nie pytaj, ile mnie to będzie kosztowało.

– Nie pytam.

– I tak ci powiem. Obiecałam kawę koledze, którego nie cierpię.

Marcin założył ręce za głowę, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– To chyba nie jest wygórowana cena – zauważył.

Ilona tylko się skrzywiła i od razu przeszła do rzeczy.

– Ten twój Andriej Dmitrenko przekroczył granicę dwa dni temu około południa na przejściu w Medyce razem z dwoma innymi mężczyznami. – Położyła przed nim wydruki zeskanowanych zdjęć paszportowych. – Juri Sewczuk i Walery Grebow. Poruszali się

samochodem marki Audi A4 na ukraińskich numerach zarejestrowanym na Grebowa. Pewnie są już we Wrocławiu.

Marcin w milczeniu przypatrywał się zdjęciom.

– Co dalej? – zapytała Ilona.

– Muszę wiedzieć o nich wszystko. Zlokalizuj, gdzie się zatrzymali, i nie spuszczaście ich z oka.

– Mają już te fotografie we wszystkich komendach w mieście. Wywiadowcy ruszyli w teren. Szefie, skąd masz te informacje?

Zakrzewski spojrzał na nią uważnie. Odkąd znaleźli komputer z informacjami na jego temat, wyraźnie czuł dystans, który zaczął ich dzielić. Dlatego postanowił powiedzieć prawdę. Oczy wyraźnie się jej zaświeciły.

– Jeśli Satyr naprawdę zabił mu syna, źródło wydaje się bardzo wiarygodne – oceniła.

– Tak jest. Wierz mi, Stefan Jagla spotyka się z gliniarzami tylko w pokojach przesłuchań, w salach sądowych, ewentualnie w ciemnych miejscach, gdzie wręcza im łapówki.

Ilona wstała i ruszyła do wyjścia, ale w połowie drogi się zatrzymała.

– Martwię się o Karinę – powiedziała. – Nigdzie nie mogę jej znaleźć, a teraz szczególnie by się przydała. Pomożesz?

– Tak.

*

Była dwudziesta druga trzydzieści, kiedy komisarz Zakrzewski wszedł do pubu Pod Torami. Stracił godzinę, zanim ustalił, gdzie może być Karina. Siedziała przy stoliku pod ścianą przy szklance piwa. Obok jej krzesła stały dwie duże walizki na kółkach. Marcin skinął głową Wiktorii za barem i usiadł naprzeciw Kariny.

– Cześć! Nie odbierasz telefonów.

Spojrzał jej w oczy. Nie była pijana. Podkrążone oczy i mętny wzrok wskazywały raczej na brak snu i zmęczenie.

– Chciałam się na chwilę ukryć. – Pociągnęła duży łyk piwa.

Wiktoria postawiła przed Marcinem whisky z lodem, uśmiechnęła się i odeszła za bar. Napił się i skrzywił.

– Czasem trzeba, żeby nie zwariować. Taka robota.

Karina kręciła głową, patrząc w szklanke.

– Jakim trzeba być potworem, żeby użyć niepełnosprawnego intelektualnie chłopca do zabijania? – wyartykułowała myśl, która najwyraźniej od dłuższego czasu nie dawała jej spokoju.

– Nie wiem – odparł. – Społeczeństwo roi się od potworów. My musimy wyeliminować tych najgroźniejszych.

– Tylko jak go znaleźć? – Podniosła na niego oczy.

Z całym tym smutkiem na twarzy wyglądała bardzo ładnie.

– Satyr posługuje się nazwiskiem Georg Bezsmiertnych, ale tak naprawdę jest Polakiem – powiedział Marcin. – Plotki mówią, że wyjechał do Rosji razem z ostatnimi żołnierzami Armii Radzieckiej, którzy stacjonowali w Polsce. Jeszcze nie wiem, w jakich okolicznościach. Mam cynk, że trzech Ukraińców dostało na niego zlecenie. Właśnie ich namierzamy. Jeśli się uda, zaprowadzą nas wprost do niego.

W oczach Kariny błysnęło zainteresowanie.

– Skąd to wiesz? – zapytała.

– Miałem fart. – Zanim zdążyła coś wtrącić, wskazał wzrokiem jej walizki. – Wyjeżdżasz gdzieś?

– Nie mogę dłużej mieszkać u znajomych. – Pokręciła głową. – Myślałam, że weekend spędzę z Justyną w hotelu, ale coś jej wypadło i nie przyleciała. Do domu nie chcę wracać.

– Jesteś bezdomna? Świetnie się składa, mam wolną kanapę. – Zakrzewski jednym haustem dopił drinka, wstał i chwycił jej bagaż. – Po drodze ci wszystko opowiem.

Rozdział 64

Trzech Ukraińców zameldowało się w hotelu Bacero na ulicy Ołtaszyńskiej. Zajęli trzyosobowy pokój na drugim piętrze. Już pierwszego dnia Marta Mickiewicz zainstalowała w ich pokoju podsłuch. Akcja była nie do końca legalna, dlatego nie mieli żadnego wsparcia. Jediną osobą, którą Marcin mógł poprosić o pomoc, był Cichocki. Inspektor Godlecki i prokurator Grabski wiedzieli tylko tyle, że grupa Zakrzewskiego zajmuje się samobójstwami wśród młodzieży. Gdyby ich akcja kiedyś wypłynęła, mieliby spore nieprzyjemności. Ale nie mogli odpuścić. Szczególnie teraz, kiedy byli już naprawdę blisko Satyra.

Pierwszego dnia gości ze Wschodu obserwowali na przemian Karina i Cichy. Ukraińcy najpierw jeździli swoim czarnym audi po mieście. Nietrudno było się domyślić, że szukają kontaktu z Satyrem według z góry ustalonego schematu. Byli między innymi w parku Południowym, na stacji benzynowej, w trzech pustostanach na obrzeżach miasta, wreszcie pojechali w okolice Rynku na obiad. Po jedzeniu wrócili na chwilę do hotelu, a potem powtórzyli trasę, odwiedzając na krótko te same miejsca. Policjantom nie udało się rozszyfrować tego schematu. Zakrzewski podejrzewał, że w każdym z miejsc Ukraińcy zostawiają jakąś wiadomość, lecz postanowił nie ingerować, żeby nie spłoszyć Satyra. Po powrocie do hotelu Ukraińcy do późnej nocy pili wódkę i głośno rozmawiali, rano długo spali, a po śniadaniu znowu ruszyli w miasto. Odwiedzali te same miejsca w odwrotnej kolejności, potem był obiad w restauracji w centrum i znowu objazd.

Po powrocie do pokoju pili. Cichocki pojechał do domu, obserwację i nasłuch przed hotelem przejęła Ilona Marzec. Marcin miał ją zmienić około północy.

Kilka minut po dwudziestej Zakrzewski odebrał od niej telefon. Była bardzo zdenerwowana.

– Marcin, urwali mi się – powiedziała bez żadnych wstępów. W jej głosie brzmiały też inne nuty, jakby wstyd pomieszany z poczuciem winy. Zakrzewski w jednej chwili był gotowy do działania.

– Opowiadaj! – rzucił, potrząsając ramieniem Kariny śpiącej w ubraniu na sofie.

Usiadła, przecierając palcami zaczerwienione oczy. Marcin włączył tryb głośnomówiący, żeby i ona usłyszała słowa Ilony.

– Oni wcale dzisiaj nie pili wódki w pokoju! Słuchaj, musieli nagrać swoją imprezę z wczoraj. Teraz puścili nagranie i wyszli przez okno.

– Jasna cholera! – jęknął Marcin.

– Trwało z godzinę, zanim się zorientowałam, że coś jest nie tak – kontynuowała Ilona. – Pewnie odkryli, że mają podsłuch. Wysłałam tam obsługę i okazało się, że pokój jest pusty. Chyba odjechali taksówką, bo ich auto dalej stoi na parkingu. Co robimy?

– Nie ruszaj się – polecił jej Marcin. – Zaraz tam będziemy.

Pojechali z Kariną służbową kią przez Avicenny, a potem Kwiatkowskiego i Czekoladową. Ruch o tej porze był niewielki, więc zajęło im to tylko kilka minut.

Zaparkowali obok auta Ilony, która nie bacząc na siąpiący deszcz, czekała na nich oparta o maskę swojego samochodu i nerwowo paliła papierosa. Ręka jej drżała i na pewno nie było to spowodowane spadającą temperaturą.

– Co teraz, szefie? – zapytała. – Nie mamy szans ich namierzyć, chyba że postawimy na nogi całą policję w mieście.

Obie policjantki patrzyły na Zakrzewskiego, czekając na jego decyzję. A on się wahał. Karina niespodziewanie szturchnęła go w ramię.

– Myśl tak jak on – powiedziała. – Skup się i pomyśl, co byś zrobił na jego miejscu.

– To nie takie proste...

– Gówno prawda! – Tym razem walnęła go mocniej w to samo miejsce. – Pamiętasz, co powiedział ci Satyr na ogródkach działkowych? Jesteście tacy sami. Dwie takie same jednostki psychopatyczne, tylko stojące po dwóch stronach barykady. Do jasnej cholery, pomyśl tak jak Satyr!

Zakrzewski wzdrygnął się na te słowa, lecz pod ich wpływem jakby nagle coś otworzyło mu się w głowie. Jakieś niedostępne na co dzień pomieszczenie, w którym kryła się najmroczniejsza strona jego duszy. Dlaczego Karina powiedziała, że jest do niego podobny? Nie była pierwsza. Czy nieprawdziwa informacja powtarzana wielokrotnie zaczyna mieć cechy prawdy?

Jeśli on i Satyr są podobni, musi się z tym zmierzyć.

– Przypomnij mi, gdzie dzisiaj byli, po kolei – zwrócił się do Ilony.

Wyciągnęła notes z tylnej kieszeni dżinsów i zaczęła wymieniać.

– Gdzie byli najkrócej? – przerwał jej wyliczankę.

– Przy tym pustym magazynie na Bielanych, nawet nie wysiedli z auta.

– A wcześniej?

– W zrujnowanym domu na Rakietowej.

Zakrzewski spojrzał na Karinę, potem na Ilonę.

– Macie kamizelki?

Poważnie skinęły głowami.

– Jedziemy na Rakietową.

Dom na Rakietowej został opuszczony przez właścicieli wiele lat wcześniej i zaniedbany chylił się ku upadkowi. Drzewa, krzaki i trawy porastające działkę rozrosły się, tworząc trudny do przebycia gąszcz. Ogrodzenia nie było. Nie dostrzegli żadnego auta stojącego w pobliżu.

Przejechali, nie zwalniając, zaparkowali sto metrów dalej na parkingu hotelu Terminal. Naradzili się szybko, po czym ruszyli.

Karina szła jedną stroną drogi, Ilona i Marcin drugą. Oświetlenie parkingu nie sięgało daleko i po kilku krokach weszli w mrok. Trochę światła dawała autostrada na wysokim wiadukcie, po której z szumem mknęły auta.

Zatrzymali się przy pierwszych drzewach. Nie zapalając jeszcze latarek, z bronią gotową do strzału, przedarli się przez krzaki. Ich uszu nie dochodziły żadne dźwięki, tylko szum kropel deszczu i odgłosy A8. Czarne, wybite okna domu patrzyły na nich złowrogo.

– Tu nikogo nie było od lat – szepnęła Ilona. – Chyba nie trafiłeś.

Zakrzewski zlustrował okolicę, jeszcze raz spojrzął na dom i nachylił się do policjantek.

– Sam wchodzę – syknął. – Wy zostajecie tutaj.

– Nie ma mowy, idę z tobą – zaperzyła się Karina.

Wiedział, że z nią nie wygra, więc odpuścił.

– Ilona, gdybyśmy długo nie wracali, wezwij naszych.

Ubezpieczając się wzajemnie, ruszyli w kierunku wejścia. Zatrzymali się w krótkim korytarzyku. Przykucnęli po obu jego stronach i nasłuchiwali. W górze usłyszeli jakiś szelest, ale zaraz znowu zapadła cisza. Marcin pokazał na migi, że rusza. Karina poszła w przeciwnym kierunku. Obeszli pomieszczenia na dole i spotkali się przy zniszczonych i zasypanych odłamkami szkła schodach.

Tu znaleźli pierwszego z Ukraińców.

*

Ilona Marzec stała schowana za pniem brzozy, wpatrując się w ciemne wejście domu. Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości.

Wyraźnie usłyszała kroki gdzieś za plecami. Odwróciła się, przywarła plecami do pnia i uważnie lustrowała teren, wodząc wyciągniętym przed siebie, odbezpieczonym waltherem. Nic. Cisza, szum deszczu. Musiała się przesłyszeć.

Naraz znowu zdrętwiała. Do jej uszu dobiegły jeszcze inne dźwięki. Szelest? Jakby coś sunęło po ziemi, miażdżąc trawy. Ponownie omiotła wzrokiem porastającą posesję zarośla. Nie, zdawało jej się.

Wróciła do obserwacji domu. Sekundy bardzo wolno zmieniały się w minuty, jakby czas zwolnił i dopasował się do padającego leniwie deszczu. Zaczęła się niecierpliwić. Co oni robią tak długo? Wbrew poleceniu Zakrzewskiego postanowiła sprawdzić, co tam się dzieje.

Zrobiła krok i wówczas bardzo wyraźnie usłyszała szelest trawy. Poczowała na karku dreszcz strachu.

*

Ciało leżało w nienaturalnej pozycji niedaleko schodów. Ręka wykrzywiona pod dziwnym kątem, nogi zgięte w kolanach, skręcony korpus. Karina została z tyłu, a Marcin ostrożnie zbliżył się do leżącego i lufą pistoletu przewrócił go na plecy. Twarz była zakrwawiona, w skroni ziała dziura po pocisku. I tak go poznał. Walery Grebow, obywatel Ukrainy, na którego zarejestrowane było audi. Musiał dostać na górze schodów, stoczył się na dół i tak już pozostał. Karina przykucnęła obok.

– Jasna cholera – szepnął Marcin. – Nie udało im się dopaść Satyra.

– Wygląda na to, że nie oni byli tu myśliwymi – dodała policjantka i spojrzała na niego pytająco.

Pokazał jej na migi, że wchodzi na górę, a ona ma go osłaniać.

Zajęła pozycję za framugą drzwi tak, żeby mieć dobry widok na pogrążony w mroku szczyt schodów. Marcin przyklejony plecami do ściany ruszył w górę. Jeden stopień, drugi i trzeci. Pod jego stopą zachrzęściło pokruszone szkło. W ciszy dźwięk zabrzmiał ostro i wyraźnie.

*

Ilona kątem oka zarejestrowała ruch. Wydawało jej się, że pośród drzew przesunęła się ciemna postać. Ilona uniosła pistolet i zastygła w bezruchu. Przestała nawet oddychać. I nic, tylko mrok i liście poruszające się na deszczu. Złudzenie? Jeśli tak, skąd dobiegał ten dziwny szelest? Z przeciwnej strony. Kiedy wreszcie zdecydowała się tam pójść, szelest ustał. Czas jeszcze zwolnił. Coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że nie ulega złudzeniu. Usłyszała cichy jęk i coś jakby rżenie. Ktoś pełził przez trawę. Ruszyła w jego kierunku. Najpierw pięć kroków, dziesięć, potem jeszcze kilka. I wtedy zobaczyła.

Ktoś czołgał się po ziemi, ciągnąc za sobą bezwładne nogi. Pomagał sobie jedną ręką, druga bezwładnie układała się wzdłuż ciała. Usłyszała przekleństwa w obcym języku. W dwóch susach znalazła się przy rannym. Odwróciła go na plecy. Wydał z siebie bolesny jęk. Jeden rzut oka wystarczył, żeby ocenić, że Andriej Dmitrenko jest w beznadziejnym stanie. Cały tułów podziurawiony miał kulami. Tylko cudem można było nazwać to, że miał siłę się czołgać i był w miarę przytomny.

– Co się stało? – wyszeptała.

Z trudem skupił na niej wzrok. Wraz z krwią popłynął mu z ust potok przekleństw. Powtórzyła pytanie. Jakimś ostatnim przebłyskiem świadomości zdołał jej odpowiedzieć:

– Notes... weź notes... w kieszeni... – Mówił po polsku ze śpiewnym wschodnim akcentem.

Ilona sięgnęła do kieszeni jego kurtki i wyjęła mały notesik z zakrwawionymi okładkami.

– On biega...

– Kto biega, Satyr?

Nie doczekała się odpowiedzi. Tylko krople deszczu rozbijały się na szeroko otwartych, martwych oczach wpatrzonych w niebo. Znowu wydawało jej się, że jakaś postać porusza się między

drzewami. Ilona zerwała się i stała w bezruchu z wyciągniętą przed siebie bronią.

*

Marcin zbliżył się do drzwi niewielkiego pokoju. Przez dziurę w dachu do środka padało. Stał schowany za framugą i powoli wyjrzał. Właściwie nie widział nic. Wślizgnął się do pokoju i przywarł do ściany. Wtedy zobaczył.

Drugi Ukrainiec leżał w kącie pomieszczenia. Na ścianie nad ciałem widniała czarna plama o nieregularnych, ostrych kształtach.

Nie mógł mu już pomóc. Zapalił latarkę i sprawdził inne pokoje na piętrze, trzymając ją tuż przy lufie pistoletu. Tu też pusto. Na końcu korytarza znajdowały się strome wąskie schody. Zszedł po nich ostrożnie. Po chwili znalazł się na tyłach domu. Zgasił latarkę i ruszył tam, gdzie Ilona stała ukryta za pniem brzozy. Widział wyraźnie jej postać mającą w mroku.

Podszedł do niej i znieruchomiał. Pomylił się. Patrzył wprost w pozbawione wyrazu oczy Satyra, które w ciemnościach jarzyły się nienaturalnym blaskiem. Uniósł broń, ale nie pociągnął za spust. Może te oczy zahipnotyzowały go na moment. Z niewiadomych powodów Satyr też nie wystrzelił. Mierzyli do siebie z broni, a ponad lufami patrzyli sobie w oczy, jakby to pojedynek na spojrzenia miał wskazać zwycięzcę. Gdzieś w oddali paliły się światła hotelu, ulicą przejechał samochód, autostrada szumiała, a oni stali tu w enklawie ciszy i ciemności.

Słyszeć było, jak Satyr pociąga kilka razy nosem.

– Nie śmierdzisz strachem jak inni – rzucił jakby z podziwem. – Wiedziałem, że jesteś łowcą.

Marcin milczał.

– Drapieżniki muszą się w końcu spotkać, żeby stoczyć ostateczną walkę – mówił dalej Satyr. – Tylko my dwaj i nikt więcej. Inni i tak nie są w stanie zrozumieć.

Kątem oka Zakrzewski zobaczył, że z domu wychodzi Karina i rusza w ich stronę. Chyba jeszcze nie dostrzegła ich sylwetek w ciemnościach. Z drugiej strony usłyszał szelest krzaków, przez które pewnie przedzierała się Ilona. Musiał działać. Zaciśnął mocniej palce na pistolecie i niespodziewanie odpuścił. Satyr w drugiej ręce też trzymał pistolet. Celował w stronę, z której nadchodziła Ilona. Marcin bał się zaryzykować.

– Nie czujesz tego podniecenia? – ciągnął Satyr. – Jesteśmy tacy sami, więc na pewno to czujesz. Podniecenie na myśl o ostatecznej rozgrywce.

Marcin już otwierał usta, ale znowu nic nie powiedział. Rzeczywiście poczuł to podniecenie, o którym mówił Satyr. Staną twarzą w twarz do walki na śmierć i życie. Nikt im nie przeszkodzi. Jeden zabije drugiego i ogłosi się zwycięzcą, drapieżnikiem pośród ludzi. To właśnie były obrazy, które wydostały się dzisiaj z najmroczniejszego miejsca w jego umyśle. Czy tak właśnie rodziło się szaleństwo? W bezgranicznej nienawiści i niepoahamowanej żądzy zemsty?

Nagle się wzdrygnął. O czym on w ogóle myślał?

Obie policjantki były coraz bliżej. Jeszcze chwila i ich zobaczą. Satyr spojrzał Marcinowi głęboko w oczy, opuścił broń, odwrócił się i zniknął w ciemnościach.

– On tu jest! – rozległ się bardzo blisko okrzyk Ilony.

Nie zastanawiając się, podniosła broń i posłała za Satyrem trzy strzały. Ruszyła biegiem. Na moment zatrzymała się przy Marcinie i pociągnęła go za ramię.

– Trzeba go gonić.

Zakrzewski ani drgnął. Karina znalazła się już przy nich.

– Dokąd uciekł? – zapytała zdezorientowana.

Ilona Marzec popatrzyła na Marcina i chyba zrozumiała, co zaszło. W jej oczach najpierw pojawiło się zdumienie, a zaraz potem wściekłość.

– Puściłeś go. – Pokręciła głową. – Kurwa, puściłeś Satyra! Widziałam, jak staliście naprzeciw siebie! – Odsunęła się dwa kroki do tyłu. – W co ty grasz, Zakrzewski? Jakie masz z nim układy? Zrewanżowałeś się za to, że cię nie zabił wtedy na ogródkach działkowych?

– Ilona, to nie jest tak... – zaczął, ale nie dała mu skończyć.

– A może ty go znasz? Jasne! Macie jakieś nieformalne układy. Chronisz najemnego zabójcę, mordercę policjantów?!

Podniosła broń i wycelowała w Marcina. Patrzył na nią z kamienną twarzą i milczał.

– Ilona, przestań! – krzyknęła Karina.

– Nie, on ma w tej chwili powiedzieć, co tu jest grane! Chodzi o zaufanie, nie rozumiesz?

Karina podeszła do niej, chwyciła za lufę pistoletu, a potem stanowczo wyrwała broń z jej ręki.

– Jeszcze nie rozumiesz? – zapytała. – On chce nas chronić przed Satyrem. Postanowił, że tę sprawę załatwi sam i nie będzie nas narażał. Zgadza się, Marcin?

Odpowiedziały jej tylko szum deszczu i odgłosy dużych kropel spadających z drzew. Zakrzewski stał jak skamieniały, wpatrując się w ciemność.

– Marcin?!

– J-jasne, masz rację.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał. Wreszcie ciszę przerwała Ilona:

– I tak ci nie ufam! Rozumiesz? Nie ufam ci!

– Zadzwońcie po ekipę. Trzeba zabezpieczyć teren – rzucił, okręcił się na pięcie i sztywno poszedł w kierunku drogi. Po chwili wyszedł na mokry asfalt i stanął na jego skraju.

Rozdział 65

Paulina Czerny zaparkowała swoją toyotę przed bramą domu przy Irackiej. Specjalnie stanęła tak, żeby jej auto zablokowało wyjazd. Gdyby ktoś chciał wyjechać ze środka, musiałby staranować jej samochód. Oczywiście nie zakładała takiej ewentualności, ale licho nie śpi.

Nie wysiadła od razu. Najpierw otworzyła drzwi, pchnęła je kolanem i siedziała chwilę, paląc papierosa. Nikt nie wiedział, że tu przyjechała, nawet Andrzej Szmidt. Przynajmniej nie marudził, że to nie ma sensu, że nie powinna kontaktować się ze świadkiem sam na sam, a szczególnie nachodzić go w domu po zmroku. Paulina miała dość tego zrzędzenia. Nie wiedzieli, gdzie jest Wysocki, i nie mieli już pomysłu, gdzie go szukać. Dlatego teraz tu była. Po ostatniej wizycie w tym domu nabrała pewności, że Wysocka wie, gdzie znajduje się jej mąż, i że go kryje. Właśnie z powodu Pauliny. Z zemsty – dlatego że ona prowadzi śledztwo i to ona poniesie konsekwencje, kiedy sprawa zakończy się fiaskiem. Paulina widziała tylko jedną szansę, żeby cokolwiek z niej wyciągnąć. Musi ją sprowokować. Doprowadzić do takiego stanu, żeby tamta straciła panowanie nad sobą. W furii, zaślepiona przez nienawiść, Wysocka mogła się wygadać.

Paulina rzuciła niedopałek na mokry asfalt, wysiadła i rozejrzała się po pustej ulicy. Godzinę temu odwołała stojących tu funkcjonariuszy. Nie potrzebowała świadków. Podeszła do furki i zanim zadzwoniła, spojrzała jeszcze na dom. Światła paliły się na całym pierwszym piętrze, jakby odbywało się właśnie przyjęcie

urodzinowe i gospodyni sprosiła całą gromadę gości. Tak naprawdę była sama. Takie informacje przekazali jej policjanci prowadzący obserwację.

Nacisnęła dzwonek i czekała. Minęło kilkadziesiąt sekund i nie było reakcji. Nacisnęła jeszcze raz, znowu bezskutecznie.

– Tak łatwo mnie nie zniechęcisz – mruknęła pod nosem, wspięła się po ogrodzeniu i zeskoczyła po drugiej stronie.

Pewnym krokiem podeszła do drzwi i uderzyła w nie pięścią. Kiedy i to nie przyniosło rezultatu, kopnęła je kilka razy. Głuchy odgłos poniósł się po całym domu.

Dopiero wtedy Paulina usłyszała jakiś dźwięk. Coś jakby brzęk szkła albo naczyń. Uplynęła jeszcze długa chwila, zanim drzwi się wreszcie uchyliły. Wysocka spojrzała jej prosto w oczy.

– Nie wpuścisz mnie? – zapytała Paulina.

– A masz nakaz? – warknęła Bożena.

– Przychodzę tu prywatnie. Chciałam z tobą pogadać.

– Nie chcę z tobą rozmawiać! – Wysocka próbowała zatrzaskać drzwi, ale Paulina zdążyła zablokować je butem. Siłowały się, wreszcie gospodyni odpuściła. – Takie macie teraz ubeckie metody? Siłą wchodzicie ludziom do domów? A jeśli wezwę twoich kolegów i oskarżę cię o naruszenie miru domowego?

– Bożena, poświęć mi dziesięć minut. – Paulina złagodziła ton. – Potem sobie pójdę i więcej mnie nie zobaczysz.

Wysocka odwróciła się i poszła bez słowa do salonu. Usiadła na sofie obok wielkich drzwi balkonowych prowadzących na taras i do ogrodu. Policjantka zadowolona się krzesłem przy stole, na którym stał wazon pełen róż. Czerwone kwiaty nie pasowały do tego pokoju urządzonego w odcieniach szarości i niebieskiego.

– Słucham. – Wysocka założyła nogę na nogę, dłonie splotła na kolanie.

Była ubrana po domowemu, trzeźwa, miała starannie ułożone włosy i delikatny makijaż. Wydawała się opanowana, ale Paulina zauważyła, że nerwowo porusza ustami.

– Posłuchaj, twój mąż zabił dziewczynę, ukrył ciało, a potem mataczył w śledztwie – zaczęła. – Studiowałaś prawo, wiesz, jak poważne to zarzuty i jakie poniesie konsekwencje.

Zawiesiła głos, czekając na reakcję Bożeny. Nie doczekała się.

– Jako kobieta nie mogę zrozumieć jednej rzeczy – kontynuowała, zmieniając ton głosu. – Dlaczego go kryjesz i mu pomagasz? Po tym wszystkim, co ci zrobił? Zdradzał cię z wieloma kobietami, nie szanował cię, cierpiałaś i po tym wszystkim jeszcze mu pomagasz?

Gospodyni ciągle milczała, ale Paulina nie zamierzała odpuszczać.

– Czy ty jeszcze możesz patrzeć sobie w oczy w lustrze? Zostały w tobie jakieś resztki godności? Czy już nie wiesz, co te słowa znaczą?

– Zamknij się! – warknęła w końcu Bożena. – Przyszłaś tu, żeby mnie obrażać?

– Nie. – Paulina pokręciła głową i odgarnęła grzywkę. – Przyszłam sprawdzić, czy potrafisz stawić czoło sytuacji i powiedzieć: tak, mój mąż jest skurwysynem, ranił mnie, ale mam w sobie tyle siły i odwagi, żeby się podnieść i zacząć wszystko od nowa. Bez niego.

Wysocka spojrzała na nią z nienawiścią, poprawiła się na sofie i wyjątkowo spokojnym głosem powiedziała:

– Już sprawdziłaś? I co?

– Widzę kobietę złamaną. Nie masz siły, żeby się wyzwolić. Nawet mi ciebie żal. Robisz sobie krzywdę, pomagając Dariuszowi.

Wysocka wstała i założyła ręce na piersiach. Wyglądała, jakby miała zaraz eksplodować gorącą lawą, niczym wulkan budzący się z uśpienia. I w jednej chwili wszystkie emocje zniknęły.

– Masz czelność przychodzić tu i mówić takie rzeczy? – Głos miała spokojny i opanowany. – Czy jak się z nim pieprzyłaś, to myślałaś, że właśnie niszczysz życie moje i moich córek? Czy kiedykolwiek przeszło ci to przez głowę, czy liczyły się tylko twoje przyjemności?

Wysocka spojrzała Paulinie w oczy i policjantka spuściła wzrok. Cholera, wszystko poszło nie tak. Wysocka nie dała się sprowokować.

– Przyszłam, bo mam wyrzuty sumienia – powiedziała cicho Paulina. – Gdybym mogła cofnąć czas, nigdy bym nie powtórzyła tego romansu.

Wysocka patrzyła na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Teraz już za późno – wyszeptała. – I chciałam ci powiedzieć, że odeszłam od męża. Miałam w sobie tyle siły, żeby to zrobić. On już nie wróci, rozumiesz? Uwolniłam się od niego raz na zawsze. – Powiedziała to w taki sposób, że Paulina mimowolnie drgnęła. – Był tu ostatnio i kazałam mu się wynosić. Wszystkie inne sprawy też sobie poukładałam w głowie. Dojrzałam do tego, żeby wybaczyć jemu i tym wszystkim kobietom, z którymi mnie zdradzał. Tak jak mówiłaś, czas zacząć nowe życie.

Wysocka sięgnęła do czerwonych róż i zaczęła gładzić ich płatki. Stała bardzo blisko Pauliny.

– Została tylko jedna osoba, której nigdy nie wybaczę – ciągnęła. – Ty.

Paulina już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale wtedy Wysocka szybkim ruchem podniosła wazon i stłukła go na głowie policjantki.

*

Paulina Czerny leżała na dywanie zamroczone, nie pamiętając, co się właściwie stało. Obraz przed oczami się rozmył, w uszach jej przeraźliwie dzwoniło. Z trudem wyostrzyła wzrok. Widziała przed sobą gładką powierzchnię dywanu, kawałki szkła, rozrzucone róże i warstwę kurzu na podłodze pod sofą. Wreszcie sobie przypomniała. Wysocka ją zaatakowała. Jak mogła dać się tak podejść?

Zobaczyła stopy Wysockiej. Kobieta pochyliła się nad nią, wyjęła jej telefon z kieszeni i broń z kabury na plecach. Jej głos brzmiał, jakby dobiegał z zaświatów:

– Dobrze, że przyszłaś sama. Ta historia się tutaj zakończy.

Paulina na moment odpłynęła.

Do świadomości przywrócił ją jakiś dźwięk. Otworzyła oczy. Dywan, skorupy, róże. Nic się nie zmieniło. To było skrzypnięcie stopnia schodów. Bożena poszła na górę. Paulina po raz pierwszy poczuła strach. Musi natychmiast coś zrobić... Jej powieki znowu zaczęły opadać, jakby były z ołowiu. Nie, nie może stracić przytomności, nie teraz. Z wysiłkiem otworzyła oczy i spróbowała przemóc słabość. Napięła się i prawa dłoń nieznacznie się poruszyła. Cholera, to za mało!

*

Wysocka patrzyła z góry na policjantkę i znowu czuła przyjemne ciepło w podbrzuszu. Odetchnęła jakby z ulgą, potem zbliżyła się do zakrwawionej Pauliny, pochyliła się i opróżniła jej kieszenie. Wyjęła pistolet z kabury i wcisnęła go sobie za pasek.

– Dobrze, że przyszłaś sama. Ta historia się tutaj zakończy.

Potem poszła schodami na górę. Skrzypiały jak zwykle, lecz teraz ten irytujący dźwięk brzmiał jak najprzyjemniejsza muzyka. Symfonia zwycięstwa, uwertura do nowego, lepszego życia. Na piętrze podeszła prosto do okna. Tutaj w skrytce pod parapetem trzymała pistolet. Nikt go nie znalazł, nawet policja podczas długiego przeszukania. CZ 75 kaliber 9 milimetrów. Wyciągnęła go, zważyła w dłoni, sprawdziła naboje w magazynku. Wystarczy.

– Idę do ciebie – rzuciła w przestrzeń. Po drodze odbezpieczyła broń.

Na dole stanęła zaskoczona. Policjantki nie było. Została tylko krwawa plama na dywanie. Drzwi na taras były otwarte, firanka lekko falowała w przeciągu. Dziwne, ale Wysocka się nie zdenerwowała.

Była teraz mistrzynią ceremonii i panowała nad wszystkim. Zaraz znajdzie tę kurwę i wszystko wróci do normy. Miała co do tego absolutną pewność.

Podeszła do drzwi na taras. Na klamce wyraźnie widać było ślady krwi. Otworzyła je szerzej lufą pistoletu i wyszła na zewnątrz. Deszcz ciągle padał, było wilgotno i nieprzyjemnie. Nad trawnikami unosiła się blada mgiełka. Rozejrzała się i ruszyła w kierunku frontu domu.

– Gdzie jesteś? – zapytała słodkim głosem. – Nie ma sensu uciekać, znajdę cię. Tylko pogarszasz sytuację.

Przystanęła i chwilę nasłuchiwała. Nikt jej nie odpowiedział. Czowała się cudownie. Ciepło w podbrzuszu zmieniło się w rozkoszne mrowienie. Przed domem wciąż nie widziała Pauliny. Przyjrzała się jej toyocie zaparkowanej za ogrodzeniem na podjeździe, ale auto było puste. Ta dziwka nie zdążyłaby dojść aż tam. Nie było takiej opcji. Bożena weszła do domu głównymi drzwiami.

– Wróciłam – powiedziała głośno. – Nie bądź głupia, i tak cię znajdę.

Rozejrzała się z cezetką gotową do strzału. Podeszła do plamy krwi na dywanie i przystanęła. No właśnie, krew. Policjantka krwawi, musi zostawiać ślady. Bożena patrzyła uważnie. Wyraźne plamy krwi znalazła na schodach. Krwawe odciski palców i dłoni świadczyły o tym, że Paulina wczołgała się na górę. Na progu pokoju ślady się urywały. Wysocka obesła cały duży pokój na górze, zajrzała do szafy, pod łóżko, na balkon. Pusto. Powoli sprawdzała wszystkie pomieszczenia, zaglądając metodycznie we wszystkie miejsca, gdzie mógł zmieścić się człowiek.

Sypialnię zostawiła na koniec. Cicho wślizgnęła się do środka. Obrzuciła pomieszczenie wzrokiem w poszukiwaniu krwawych śladów i żadnych nie zauważyła. Zajrzała w każdy kąt i na koniec lufą pistoletu ostrożnie otworzyła dużą szafę na ubrania. Skrzydło drzwi przesunęło się lekko po prowadnicy. Koszule jej męża na wieszakach, marynarki, sukienki, wszystko dokładnie tak jak odwiesiła po policyjnym przeszukaniu. Pchnęła drugie skrzydło. Z tej

strony szafy było gorzej. Nie chciało jej się układać ubrań, więc większość upchnęła do trzech czarnych worków. Po raz pierwszy się zaniepokoiła.

– Gdzie jesteś, suko?

Odwróciła się do wyjścia.

*

Paulina nadludzkim wysiłkiem dźwignęła się na nogi. Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, zanim odzyskała minimalną kontrolę nad własnym ciałem, a mięśnie zaczęły jej słuchać. Nasłuchiwała kroków na schodach. Miała nadzieję, że usłyszy coś przez natarczywe brzęczenie w uszach. Zatoczyła się w kierunku drzwi balkonowych i pewnie by upadła, gdyby nie zdołała chwycić się klamki. Świat wirował jak na diabelskim młynie, głowa pulsowała bólem, czuła mdłości. Otworzyła drzwi i wtedy przez huk wodospadu w głowie usłyszała skrzypienie schodów. Nie zdąży już wyjść z domu. Puściła drzwi, zrobiła dwa niepewne kroki i upadła na podłogę za sofą. Znieruchomiła z policzkiem przyciśniętym do parkietu. Przez szparę między sofą a podłogą widziała, jak Wysocka przystaje przy śladach krwi, jak wychodzi na zewnątrz. Coś mówiła, ale Paulina nie rozumiała ani słowa.

Nie mogła tu zostać. Znowu spróbowała wstać, tym razem jednak nie pozwoliły jej na to zawroty głowy i mdłości. Musiała zyskać jak najwięcej czasu, żeby trochę dojść do siebie po uderzeniu w głowę. Na czworakach podpełzła do schodów. Znowu próbowała wstać, opierając się o barierkę, i znowu się nie udało. Wspinając się po schodach, podciągając się na rękach. Udało jej się wstać dopiero na górze. Rozejrzała się po pokoju. Tu nie było gdzie się schować.

Trzasnęły główne drzwi.

– Wróciłam – usłyszała. – Nie bądź głupia, i tak cię znajdę.

Powlekła się do sypialni. Pamiętała, że jest tam wielka szafa. Z jednej strony szafy leżały czarne worki z ubraniami. Z trudem

wyciągnęła jeden, weszła do środka i spróbowała się nim przykryć. To nie było takie proste. Czuła się tak słabo, że nie mogła wciągnąć worka z powrotem, a każda próba szarpnięcia powodowała kolejne paroksyzmy bólu pod czaszką. Kiedy wreszcie udało jej się przykryć, nie mogła zamknąć szafy. Skrzydło przesunęło się w momencie, gdy Wysocka weszła do sypialni. Paulina wstrzymała oddech. Przez głowę przeleciała jej myśl, że byłaby ostatnią frajerką, gdyby dała się zabić w takich okolicznościach.

Usłyszała, jak przesuwają się drzwi szafy, najpierw jedno skrzydło, po chwili drugie. Nie oddychała. Wysocka jej nie dostrzegła i odwróciła się.

– Gdzie jesteś, suko? – Do uszu Pauliny doleciał jej przytłumiony głos.

Wyszła z szafy, na uginających się nogach przeszła trzy kroki i skoczyła Bożenie na plecy. Wysocka odruchowo nacisnęła spust broni. Huk wystrzału rozlał się po całym domu. Bożena potknęła się i obie runęły na korytarz. Paulina próbowała sięgnąć do pistoletu, ale Bożena wyrwała dłoń, starając się strącić policjantkę z pleców. Paulina traciła siły w zastraszającym tempie, ale uchwytu nie rozluźniała.

Wysocka z jękiem szarpnęła się jeszcze raz, udało jej się wstać. Policjantka upadła na plecy, ale zaraz przekręciła się na brzuch i uniosła się na rękach gotowa do kolejnego ataku. Wtedy Wysocka podniosła broń. Pociągnęła za spust ułamek sekundy za późno – kula przemknęła tuż nad głową Pauliny. Policjantka skoczyła, zwalając Wysocką z nóg. Obie poleciały na schody, a potem stoczyły się na sam dół. Bożena uderzyła plecami o podłogę i znieruchomiła. Paulina upadła na nią, przesunęła się na bok i oddychała ciężko, z trudem łapiąc oddech. Sprawdziła, czy nic sobie nie złamała, po czym przysunęła się do Bożeny. Zza paska jej spodni wyciągnęła swojego walthera P99, z kieszeni wyjęła telefon komórkowy, a leżącą nieopodal cezetkę odepchnęła jak najdalej.

Potem na uginających się nogach stanęła nad nieprzytomną Wysocką, wytarła sobie rękawem krew z twarzy i powiedziała chrapliwym głosem:

– Wydaje mi się, że to była czynna napaść na policjanta. Za to, kurwa, jesteś aresztowana.

Z trudem wybrała numer do Andrzeja Szmidta, a potem osunęła się na podłogę obok Wysockiej.

Rozdział 66

Gonił śmierć i zawsze był krok z tyłu. Najgorsze uczucie, jakiego może doświadczyć śledczy. Być o krok za mordercą i za każdym razem widzieć tylko jego cień znikający w oddali. Narastały w nim wściekłość, frustracja i... szaleństwo. Zaczynał myśleć nieracjonalnie, nie jak policjant. Przestały go obchodzić procedury, przepisy, prawo. Myślał tylko, jak dopaść i wyeliminować Satyra. Wygrać rywalizację i przeżyć.

Może jednak Ilona miała rację? Mógł po prostu posłać Georgowi Bezsmiernychowi kulę między oczy i zakończyć wszystko. Tylko że nie był w stanie pociągnąć za spust.

Wrócił do domu i nawet nie zdjął przemoczonej kurtki. Usiadł w fotelu. Pochylił się, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Musiał pomyśleć. Poukładać sobie wszystko w głowie, żeby nie zwariować. Karina próbowała z nim rozmawiać, wreszcie poszła pod prysznic. Szum wody dobiegający zza drzwi go rozpraszał.

Nie – pomyślał – nie mogłem strzelić. Ilona tego nie zrozumie, zanim kiedyś sama nie znajdzie się w takiej sytuacji. Kiedy Karina stanęła oko w oko z Satyrem w szpitalu i widziała zamykające się nieubłaganie drzwi, też myślała, że musi nacisnąć spust, wystrzelić, żeby chociaż zranić i unieszkodliwić napastnika. Mimo że na szali leżało jej życie, palec jej nie posłuchał. Nie strzeliła. Potem Marcin mówił jej, że nie jest łatwo strzelić, patrząc komuś w twarz. Wtedy wydawało mu się, że mija się z prawdą. Przecież on kiedyś w takiej

samej sytuacji strzelił. Ale teraz nie był pewien, czy miałby w sobie tyle mocy, żeby to zrobić jeszcze raz.

Poza tym Karina się nie myliła. Jakkolwiek to wyglądało, starał się je chronić. Przecież Satyr celował w nadchodzącą Ilonę. To była szybka niepisana umowa między nimi. Jeśli Marcin nie wykona żadnego ruchu, Satyr nie zastrzeli Ilony. Nie mógł nic zrobić.

Nie zauważył Kariny, dopóki nie poczuł jej dłoni. Stała nad nim, w szlafroku narzuconym na piżamę, i rozgrzaną dłonią masowała mu kark.

– Marcin, musisz odpocząć.

Pokręcił głową.

– Ilona miała rację. Mogłem strzelić.

– Nie mogłeś, dobrze o tym wiesz. To nie jest takie proste.

Popatrzył na nią. Z wilgotnymi włosami wyglądała bardzo ładnie. Dlaczego zawsze podobają mu się kobiety, których nie może mieć albo z którymi nie potrafi ułożyć sobie życia? Ma defekt czy tylko pecha?

– To takie proste, pociągnąć za spust – szepnął.

Trybiki w jego głowie zaczęły się obracać i coraz więcej elementów porzrzucanych bez ładu i składu po zakamarkach umysłu zaczęło wskakiwać na swoje miejsca.

Klik, klik.

Przypomniał sobie artykuł, który widział w „Dużym Formacie”, kiedy przeglądał strony w poszukiwaniu hasła „Żyleta”.

KLIK.

– Cholera jasna! – rzucił nieoczekiwanie, aż Karina spojrzała na niego z niepokojem w oczach. – Muszę coś sprawdzić!

Poszedł po laptopa, włączył go, wpisał w wyszukiwarce hasło: „Żyleta”, tak jak wtedy, i przeglądał gorączkowo wyniki. Znowu sporo o filmie z Pamelą Anderson, znowu legendarna trybuna. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Artykuł o tragedii w domu dziecka w Miękini pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia.

Karina przysiadła obok na poręczy i wbiła wzrok w ekran. Potem przeczytali tekst jeszcze raz.

– Myślisz, że trafiliśmy na Żyletę? – zapytała, gdy tylko skończyła.

– Nie wiem. – Marcin podrapał się po policzku. – Ale historia jest niepokojąca. Znęcająca się nad wychowankami opiekunka, którą nazywają Żyleta. Idealny powód, żeby znienawidzić kobiety.

Zanim Karina zdążyła się odezwać, rozległ się dzwonek komórki Marcina. Był kwadrans po drugiej w nocy, telefonował Andrzej Szmidt, a jego głos brzmiał zupełnie inaczej niż zwykle – twardy i zdecydowany.

– Marcin, chcę, żebyś przyjechał teraz na Iracką do domu prokuratora Wysockiego.

Zakrzewski poczuł niepokojący dreszcz.

– Co się stało? – zapytał ostrożnie.

– Powiem ci na miejscu. Przyjedź... – Szmidt jakby się zawahał. – Paulina bardzo cię teraz potrzebuje – dodał i się rozłączył.

Marcin spojrzał na Karinę, która siedziała obok i wyraźnie słyszała ich krótką wymianę zdań. Nie mógł teraz jechać, nie teraz, kiedy dokonali tak istotnego przełomu w śledztwie. Co tam się, do diabła, dzieje? Karina patrzyła na niego z powagą.

– Marcin, jedź – powiedziała.

– Nie mogę teraz – zaproponował. – Nareszcie mamy jakiś ślad. Musimy to przeanalizować.

– Marcin, jedź do niej. Słyszałeś? Coś się stało.

– Musimy sprawdzić ten trop... – próbował jeszcze protestować, ale Karina niespodziewanie mocno potrząsnęła go za ramiona.

– Marcin, ocknij się, do cholery! – powiedziała ostrzejszym tonem.

– Są rzeczy ważniejsze od pracy! Rodzina i najbliższe ci osoby zawsze powinny być na pierwszym miejscu. Najpierw musisz zadbać o nich. Dopiero potem praca.

Odetchnął i wolno pokiwał głową. Miała rację, tak powinno być. Pewnie tak właśnie było u większości normalnych ludzi. Ale nie u niego. U niego praca zawsze była na pierwszym miejscu i dlatego

tracił bliskich. Nie pamiętał, kiedy ostatnio wychodził ze znajomymi do knajpy, jedyną osobą, którą odwiedził tego lata, był prokurator Grabski. Co się z nim stało?

Ścisnął rękami skronie. Szaleństwo, tak właśnie wygląda szaleństwo.

– Marcin? – odezwała się Karina miękko, jej ciepła dłoń znowu znalazła się na jego karku. – Kochasz ją, prawda?

Nie chciał usłyszeć tego pytania. Zaciśnął mocno powieki. Czy kochał Paulinę? Jeszcze cztery lata temu odpowiedziałby twierdząco, teraz sam już nie wiedział, co do niej czuje.

Podniósł się z fotela i spojrzał na nią z góry.

– Dziękuję – rzucił, wychodząc z mieszkania.

*

Na Irackiej był dwa kwadransy później. Zaparkował daleko, ponieważ ulicę tarasowały policyjne auta. Dwa radiowozy migają niebieskimi światłami, mundurowi funkcjonariusze stali za taśmami zagradzającymi wejście na posesję Wysockich i pilnowali, żeby liczni gapie nie zbliżali się do bramy. Cały tył domu był jasno oświetlony, coś się tam działo.

Zakrzewski powiesił sobie na szyi odznakę i przecisnął się przez ludzi stojących przed taśmami. Policjanci przepuścili go bez słowa. Za bramą natknął się na Andrzeja Szmidta, który sprawiał wrażenie, jakby czekał właśnie na niego. Bez słowa uścisnęli sobie dłonie.

– Co się stało? – zapytał Marcin zaniepokojony.

Komisarz Szmidt był zmęczony. Energia, jaka biła z jego głosu podczas rozmowy telefonicznej, gdzieś się ulotniła.

– Czuliśmy od samego początku, że Bożena Wysocka kręci, ale myśleliśmy, że po prostu pomaga mężowi w ucieczce. Przeszukaliśmy dom, przesłuchaliśmy ją, ale niczym się nie zdradziła. Dzisiejszego wieczoru Paulina znowu ją odwiedziła.

To była samowolka. Pewnie chciała sprowokować Wysocką. Wiesz, jakie były między nimi relacje. Niezbyt przyjacielskie.

– Delikatnie mówiąc – przyznał Marcin.

– No i Wysocka próbowała dzisiaj Paulinę zabić.

– Co z nią? – zapytał szybko Zakrzewski.

– Dostała w głowę wazonem. Ma kilka szwów i podejrzenie wstrząśnienia mózgu.

Marcin odetchnął.

– Gdzie ona jest?

– Siedzi tu w domu na dole. Chcieli ją zabrać do szpitala na badanie, ale się uparła i nie pojechała.

Marcin zrobił taki gest, jakby chciał tam iść, lecz Szmidt złapał go za rękę i zatrzymał.

– Nie tylko dlatego po ciebie dzwoniłem.

Marcin zatrzymał się i popatrzył na niego badawczo.

– Posłuchaj... – Andrzej skrzywił się, jakby zjadł cytrynę. – Wysocka przyznała się do zabicia swojego męża Dariusza Wysockiego. Jego ciało znaleźliśmy zakopane w ogrodzie. Pod nim leżały inne zwłoki. To prawdopodobnie poszukiwana Anna Kowal.

Marcin zmełł w ustach przekleństwo. Cały czas czuł narastający niepokój.

– Ale to nie wszystko? – zapytał.

– Wysocka wskazała jeszcze jedno miejsce, gdzie ukryła inne ciało. Odkopaliśmy zwłoki mężczyzny. Podobnie jak Wysocki zginął od strzału w głowę z bliskiej odległości. W domu zabezpieczyliśmy pistolet marki CZ 75. Nielegalny, z zeszlifowanymi numerami fabrycznymi.

Zakrzewski czekał na ciąg dalszy, patrząc w kierunku jasno oświetlonej ściany domu. Widział Martę Mickiewicz w białym kombinezonie i fragment czarnego worka na zwłoki.

– Nie ma wątpliwości, że zastrzeliła ich Wysocka. Zresztą przyznała się do tego. Ten drugi facet to Cezary Czerny, eksmąż Pauliny.

– Co on tu robił? – Marcin z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Jeszcze nie wiemy. Przepadł niedawno. Policjanci z Krzyków znaleźli jego samochód, ale Czernego nie udało się namierzyć. No i właśnie go znaleźliśmy. – Andrzej znowu przytrzymał Marcina. – Odkąd Paulina go zobaczyła, nie powiedziała ani słowa. Siedzi na sofie w salonie, pali papierosy i się nie odzywa. Jest w szoku. Może tobie się uda...

– J-jasne – przerwał mu Marcin i odszedł szybkim krokiem.

Za rogiem przystanął. Ogród oświetlały mocne lampy rozstawione przez techników. Czterech mundurowych policjantów opartych o szpadle i łopaty paliło w milczeniu papierosy. Na środku trawnika leżały obok siebie trzy czarne worki na zwłoki. Dwóch techników stało obok, trzeci fotografował, a nad jednym z worków pochylał się patolog. Do ust przyciskał chusteczkę i Marcin teraz też to poczuł. Mdlący, słodkawy odór zgniłego ciała. Zaginiona dziewczyna leżała tu zakopana od roku.

Marta Mickiewicz skinęła mu głową i palcem wskazała drzwi na taras. Odchylił firanę i wszedł do środka.

Paulina siedziała na sofie. Świeżo zabandażowaną głowę pochylała nisko, nie ruszała się, jakby zapadła w letarg. Zapomniała o papierosie w dłoni, który wypalił się do filtra i zgasł. Marcin odetchnął głęboko.

– Paulina?

Nie zareagowała, nawet się nie poruszyła. Usiadł przy niej, wyjął jej niedopałek z palców i odrzucił w kierunku drzwi.

– Paulina...

Położył jej dłoń na ramieniu i dopiero wtedy na niego spojrzała. Krew przesiąkała przez opatrunek. Wyglądała strasznie. Była blada, miała podkrążone i zaczerwienione oczy. Ktoś stał jej z twarzy krew, ale w okolicach ucha zostały resztki.

Z drugiej dłoni wyciągnął jej paczkę papierosów, odpalił dwa i jednego włożył jej do ust. Pokiwała głową z wdzięcznością

i zaciągnęła się dymem. Dłoń jej drżała. Marcin czekał. Niepokój przerodził się w strach. Miał cholernie złe przeczucia.

– To moja wina – powiedziała wreszcie prawie szeptem. Zrobiła pauzę na dwa mocne pociągnięcia papierosa. – Dałam mu te zdjęcia...

Marcin zastygł z papierosem przy ustach. Wszystko ułożyło się w jedną całość. Przypomniał sobie zdjęcia trzech zgrabnych dziewczyn ubranych tylko w górne części mundurów SS, które pochylały się nad leżącym na łóżku prawie nagim mężczyzną. Tym facetem był Wysocki.

– Kurwa mać – jęknął.

– Wysocki zaszantażował Cezarego. W zamian za zdjęcia obiecał mu łagodniejsze traktowanie w sądzie. Cezary się do mnie włamał, ale miał pecha, bo go nakryłam. Nie wiem, co we mnie wtedy wstąpiło... – Zawahała się. – Dałam mu te zdjęcia i jeszcze zasugerowałam, żeby poszedł z nimi do Wysockiej, bo ona lepiej zapłaci. A ona go zastrzeliła.

Marcin wolno uświadamiał sobie konsekwencje jej słów. Przychodziło mu to z trudem, ale nie dlatego, że miał nagły spadek formy intelektualnej. Raczej dlatego, że nie chciał znać tych konsekwencji. Niestety, rzeczywistości nie dało się zaczarować.

– Może nikt tego nie odkryje – rzucił, ale słowa zabrzmiały nieszczerze.

– Daj spokój! – prychnęła Paulina. – Grabski nie jest idiotą. Zresztą on coś słyszał o tych zdjęciach. Pewnie jak przeszukają dom, gdzieś je znajdą.

– Kurwa mać – powtórzył, myśląc gorączkowo. Ale sytuacja była z rodzaju tych bez wyjścia.

– Będę miała postępowanie – ciągnęła cicho Paulina. – Wiesz, to nawet nie chodzi o to, że wyrzucą mnie z policji. Czuję się jak kupa gówna, ponieważ zawiodłam Grabskiego.

Zakrzewski milczał. Musiał pozwolić jej mówić.

– Cezary nic dla mnie nie znaczył, to był egoista i kawał skurwysyna, dla pieniędzy oszukałby własną matkę... ale śmierci mu nie życzyłam i nie chciałam, żeby zginął przeze mnie. Gdybym nie dała mu tych zdjęć... – Głos jej się na chwilę załamał.

Takiej Pauliny Czerny nie znał. Położył jej dłoń na plecach, a potem niezgrabnie przyciągnął do siebie. Nie opierała się. Wtuliła twarz w jego szyję.

Firana się poruszyła i pojawił się Andrzej Szmidt. Spojrzał pytająco. Marcin pokazał mu gestem, żeby zostawił ich jeszcze w spokoju. Po chwili Paulina się wyprostowała.

– Zawiozę cię do domu – oznajmił Marcin.

Pokiwiała tylko głową, wstała i poszła do wyjścia. Marcin po drodze znalazł Szmidta i oddał mu kluczyki do służbowego auta. Pojechali toyotą Pauliny.

Przez całą drogę nie odezwali się ani słowem. W środku nocy ulice były puste, Marcin prowadził wolno i ostrożnie. On też czuł zmęczenie i z trudem panował nad powiekami, które ciążyły mu, jakby były z ołowiu.

Na Buczackiej znalazł wolne miejsce pod domem. Pomógł wysiąść Paulinie, a później podtrzymał ją, kiedy szli do bramy. Zabrał jej klucze z drżącej dłoni i sam otworzył drzwi. Weszła pierwsza, poszła prosto do kuchni. Usiadła na barowym stołku i ukryła twarz w dłoniach. Marcin zajął miejsce naprzeciwko. Popatrzyła na niego zmęczonym wzrokiem.

– Marcin, to był zły pomysł – powiedziała cicho, jakby słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. – My nie możemy być razem, to się nie uda. Nie powinnam do ciebie wtedy przychodzić.

Spojrzał na nią w milczeniu, potem wstał i bez słowa skierował się do wyjścia.

– Marcin... – usłyszał jeszcze. – Przepraszam...

Na ulicy zatrzymał się. W kieszeni miał papierosy Pauliny. Wyciągnął jednego, zapalił i ruszył pustym chodnikiem przed siebie.

Deszcz przestał padać, chmury się przerzedziły, na wschodzie pojawiła się blada poświata nadchodzącego świtu.

Rozdział 67

Poniedziałek, 26 października

Spał cztery godziny. Właściwie to nie był sen, tylko letarg na granicy świadomości z męczącymi, bezsensownymi, czasem strasznymi obrazami i fantazjami, w których główną rolę odgrywał Satyr. Wstał, zanim Karina wyszła z łazienki. Zrobił kawę, a potem siedzieli przy kuchennym stole, pijąc w milczeniu. Nie zapytała, co się stało w nocy, Marcin sam zaczął opowiadać. Zwierzał jej się zupełnie nieoczekiwanie dla samego siebie. Może wypowiedzenie pewnych rzeczy na głos naprawdę było terapią i przynosiło ulgę?

– Można powiedzieć, że to ja jestem praprzyczyną tej sytuacji – mówił. – Paulina zaszantażowała Wysockiego tymi zdjęciami, żebym mógł wrócić do policji. Przez zdjęcia zginął jej eksmaż, a teraz ona może wylecieć.

– Nie możesz się za to winić – powiedziała Karina. – Paulina mogła mu nie dawać tych zdjęć.

– I tak czuję się winny.

– A co będzie z wami?

– Z nami? – Uśmiechnął się cierpko pod nosem. – Nic. Już dawno nas nie było. Oszukiwaliśmy się przez jakiś czas, ale iluzja prysła.

*

Do firmy dotarli godzinę później. Koło dziesiątej spotkali się we trójkę na naradę. Ilona Marzec patrzyła na Zakrzewskiego z widoczną

wrogością, jakby naprawdę wierzyła, że Marcin jest w zмовie z Satyrem. Grabski popełnił błąd. Marcin nie nadawał się do kierowania zespołem. Długi trafił do szpitala z urazem czaszki, Wiliczkowski miał dużo szczęścia, że przeżył pchnięcie nożem, a teraz Ilona przestała mu ufać i dalsza współpraca nie miała większego sensu. Może razem skończą to śledztwo, ale potem ich drogi na pewno się rozejdą. Zakrzewski nadawał się wyłącznie do pracy w parze.

Ilona pokazała im zakrwawiony notatnik Andrieja Dmitrenki, w którym miał listę wszystkich klubów fitness w mieście. Podkreślone były kluby czynne przez całą dobę. Powtórzyła im też ostatnie słowa Ukraińca o bieganiu. Marcin był nastawiony sceptycznie do tego pomysłu, ale ustalili, że wszystkie te kluby będą dyskretnie monitorowane. Oficjalnym uzasadnieniem tej akcji będzie poszukiwanie osoby podejrzanej o zabójstwa nastolatków. Prokurator Grabski szybko zatwierdził ich plan, a Godlecki dał im ludzi. Skorzystali na tym, że obaj byli mocno zajęci gaszeniem pożaru po nocnych wydarzeniach w domu Wysockich. Biuro Spraw Wewnętrznych Policji pewnie już pukało do drzwi gabinetu inspektora.

Ilona zajęła się koordynacją obserwacji klubów fitness, a Marcin z Kariną postanowili sprawdzić wątek, o którym przeczytali w nocy w „Dużym Formacie”.

*

Redaktor Renatę Wieczorek znaleźli dzięki pomocy Krzysztofa Salitry. Mieszkała w nowym bloku przy Wiejskiej. Szlaban prowadzący na parking był opuszczony, więc zaparkowali na chodniku. Weszli do budynku z jednym z mieszkańców i wspięli się na ostatnie piętro.

Najpierw usłyszeli wściekłe ujadanie. Pies szczekał i szczekał, ale nic się nie działo. Zadzwonili jeszcze raz. Karina spojrzała

pytając na Zakrzewskiego, lecz ten tylko wzruszył ramionami. W tym momencie po drugiej stronie drzwi usłyszeli mocny kobiecy głos odwołujący psa, potem coś stłumiło hałas.

Drzwi się uchyliły. Renata Wieczorek, zadbana kobieta wyglądająca na nie więcej niż czterdzieści lat, spojrzała na nich z szerokim uśmiechem, odsłaniając równe, białe zęby.

– Przepraszam, że czekaliście. Jak piszę, to potrafię się zupełnie wyłączyć i nic wtedy do mnie nie dociera – wyjaśniła.

Weszli do przedpokoju. Gospodyni uściśnęła rękę Karinie, potem spojrzała na Marcina z błyskiem rozbawienia w oczach. Nieco dłużej przytrzymała jego dłoń. Zakrzewski rozpaczliwie starał się przypomnieć sobie, skąd się znają. Doskonale pamiętał to zaczepne spojrzenie.

– Pan komisarz Zakrzewski, no proszę! – powiedziała Renata. – Znowu się spotykamy.

W jego pamięci pojawiły się nie tak odległe obrazy. Hanna Duciak, motory, upał, parking przed Środą Śląską.

– Dzisiaj jesteś Renatą czy Ritą?

Roześmiała się szczerze.

– Miło, że pamiętasz! W domu zazwyczaj prezentuję tę nudniejszą stronę swojego charakteru i jestem Renatą. Wejdźcie!

Karina obrzuciła Marcina pytającym spojrzeniem.

– Spotkaliśmy się kiedyś – mruknął wymijająco.

Renata posadziła ich w salonie, poczęstowała ciastkami i poszła do kuchni przygotować kawę. Pies zamknięty w łazience cały czas ujadał, co zaczynało Marcina drażnić.

– No dobrze, co chcecie wiedzieć? – zapytała wreszcie Renata.

Marcin akurat przeżuwał, więc odezwała się Karina:

– Dwa lata temu napisałaś artykuł o tragedii w domu dziecka w Miękini. Chcielibyśmy, żebyś nam coś o tym opowiedziała.

– Ktoś się tym jeszcze interesuje? – szczerze zdziwiła się Renata.

– Nie możemy zdradzić szczegółów. – Marcin nareszcie przełknął ciastko.

– Oczywiście, komisarzu. – Renata obdarzyła go szerokim uśmiechem i popatrzyła mu prosto w oczy.

Marcin opuścił wzrok, jakby dostrzegł coś interesującego na dnie prawie opróżnionej filiżanki z kawą. Czy ona go prowokuje tak samo, jak wtedy na parkingu?

Renata przeprosiła ich na chwilę i wyszła do drugiego pokoju, skąd wróciła z czerwonym segregatorem wypełnionym dokumentami.

– Zamknij się, paskudo! – rzuciła, przechodząc obok drzwi do łazienki. – To są moje notatki do tego artykułu – oznajmiła.

Przestała przypominać sobie sprzed kilkudziesięciu sekund. Jej wzrok stał się poważny, usta zmieniły się w poziomą kreskę, ciemne oczy przybladły.

– To był dla mnie bardzo trudny temat – zaczęła. – Sama wychowałam się w bidulu i doświadczyłam tam różnych rzeczy, o których chciałabym zapomnieć. Niestety, praca nad tym artykułem przypomniła mi wszystko ze szczegółami. Wiecie, że potem jeszcze przez wiele miesięcy miałam koszmary?

– Przykro mi, że do tego wracamy – wtrąciła Karina.

– Spokojnie, mam to już za sobą. – Renata posłała jej słaby uśmiech. – Historia jest dokładnie taka, jak opisałam w artykule. W nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziestego czwartego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku w budynku domu dziecka wybuchł pożar. Ogień szybko się rozprzestrzenił. Drzwi były zamknięte, w oknach kraty. To był środek nocy, wszyscy spali. Nie mieli szans na ratunek. Z późniejszych ustaleń wynika, że to było podpalenie. Na korytarzu przed sypialniami chłopców ktoś rozlał benzynę.

– To miała być zemsta? – zapytał Zakrzewski.

– Wtedy wszyscy tak myśleli. Wcześniej zgwałcono i zamordowano Dorotę Gubałę. Dziewczyna miała szesnaście lat, wracała po zmroku do domu. Milicja nie znalazła sprawców, ale wszyscy w wiosce oskarżali chłopców z domu dziecka. Pewnie się

domyślacie, że mieszkańcy biduła nie mieli najlepszej opinii, zawsze, gdy zdarzało się coś złego, byli pierwszymi podejrzanymi.

– A w tym wypadku?

– Dotarłam do materiałów ze śledztwa w sprawie morderstwa tej dziewczyny, rozmawiałam z byłymi milicjantami, prokuratorem, mieszkańcami Miękini pamiętającymi tamte wydarzenia i na tej podstawie twierdę, że chłopcy z biduła nie mieli z tą zbrodnią nic wspólnego. Już po dwóch dniach śledztwo poszło w zupełnie innym kierunku.

Zakrzewski dopił swoją kawę.

– Ale mieszkańcy mieli własne zdanie – mruknął.

– Zgadza się. – Renata pokiwała głową i spojrzała na niego przeciągle. – Ktoś z zemsty podpalił dom dziecka w nocy zaraz po pogrzebie. Władze szybko ukręciły sprawie łeb. O podpalenie został posądzony miejscowy menel. Odsiedział swoje, wreszcie wyszedł na wolność i zniknął. Nie znalazłam go, może nie żyje. Całe to milicyjne śledztwo to była farsa. Chaos, brak pomysłów i kompetencji, ręczne sterowanie z góry. Do dzisiaj nie wiadomo, kto zabił Dorotę Gubałę i kto podpalił dom dziecka.

– A Żyleta? – zapytała Karina.

Redaktor Wieczorek się skrzywiła.

– Naprawdę nazywała się Teresa Skotnicka – odezwała się po pauzie. – Była dyrektorką domu dziecka w Miękini od marca siedemdziesiątego dziewiątego roku aż do pożaru. W tym segregatorze są moje wywiady z mieszkańcami biduła, którzy odeszli stamtąd przed pożarem. Skotnicka dręczyła wychowanków psychicznie, stosowała przemoc fizyczną, a nawet wykorzystywała ich seksualnie. Dzisiaj takie zachowanie nie utrzymałoby się długo w tajemnicy, ale wtedy... No cóż, należała do PZPR i miała wielu bliskich znajomych. Stąd przyłgnęła do niej ksywa Żyleta.

Renata spojrzała na Zakrzewskiego walczącego z narastającym zmęczeniem.

– Zrobię wam jeszcze kawy. – Pchnęła w ich kierunku segregator.
– Tu macie wspomnienia wszystkich, do których dotarłam. Ci ludzie szeroko opisują swoje przeżycia związane z Żyletą. Czasem te opowieści są wstrząsające.

– Dzięki! – powiedział Marcin.

Kiedy przechodziła obok drzwi do łazienki, pies znowu zaczął ujadać jak wściekły.

Przez następną godzinę policjanci czytali wywiady. Teresa Skotnicka wyłaniała się z nich jako prawdziwy potwór. W gabinecie trzymała gruby kij, którego używała do karania za najmniejsze nawet przejawy niesubordynacji. Praktycznie każda wizyta w jej gabinecie kończyła się karami cielesnymi. Podobno zawsze biła z uśmiechem na twarzy. Szczuła na siebie chłopców. Jeśli któryś okazał słabość, natychmiast to wykorzystywała. Na porządku dziennym było zamykanie w piwnicy, pozbawianie snu, zimne prysznice, głodówki, trwające wiele godzin prace fizyczne. Stosunki panujące w domu dziecka zarządzanym przez Skotnicką niewiele odbiegały od tych panujących w zakładach karnych o zaostrowym rygorze. Wychowawcy byli przez nią zdominowani i albo rezygnowali z pracy, albo się dostosowywali i przymykali oczy.

We wspomnieniach trzech z byłych wychowanków przewijał się również motyw wykorzystywania seksualnego, jednak Marcin zwrócił uwagę na coś zupełnie innego. Odstawił niedopitą kawę na stół i jeszcze raz przeczytał ostatni fragment. Poczł dreszcz podekscytowania. Czuł, że Renata Wieczorek uważnie go obserwuje, więc nie dał niczego po sobie poznać. Pokazał kartkę Karinie. Ona zareagowała bardziej impulsywnie. Przebiegła tekst wzrokiem i jej usta poruszyły się, tak jakby wypowiadała najpopularniejsze w kraju przekleństwo. Marcin wyprostował się na krześle.

– W niektórych wspomnieniach przewija się informacja, że Skotnicka wykorzystywała seksualnie jednego z chłopców.

– Niestety, moi rozmówcy nie zapamiętali go dobrze – odparła Renata, patrząc mu w oczy. – Zapamiętali tylko jego przezwisko i cechy charakterystyczne. Miał blizny na przedramionach i skłonność do samookaleczania. Wspominali, że kiedyś pociął się bez powodu przy kolacji. Rany były na tyle poważne, że Żyleta wiozła go do szpitala w Środzie Śląskiej, gdzie był ostry dyżur. Nazywali go Śmiecior.

Karina patrzyła na gospodynię, zagryzając wargi.

– Jesteś pewna, że Śmiecior, a nie Śmiercior? – zapytał ostrożnie Marcin.

– No nie wiem... – Zawahała się. – Wszystkie rozmowy nagrywałam na dyktafon, potem wielokrotnie odsłuchiwałam i robiłam z nich te notatki. Z tego, co zrozumiałam, ksywka tego chłopca wzięła się stąd, że był traktowany przez kolegów jak śmieć. Stąd Śmiecior. Ale jeśli chcecie mieć pewność, udostępnię wam te nagrania.

Zakrzewski dopił kawę i odstawił filiżankę.

– Nie trzeba. Nie mamy powodu, żeby kwestionować twoje ustalenia.

– Masz listę wszystkich wychowanków? Nie domyślasz się, jak on się nazywał? – wtrąciła Karina.

Renata sięgnęła po laptopa i otworzyła go.

– Nikt nie powiedział tego wprost – wyjaśniła. – Kiedyś próbowałam ustalić, o którego chodziło. Teraz nie pamiętam. Sprawdzę w komputerze.

– Co się stało z Żyletą? – zapytał Marcin. – Nie zginęła w pożarze?

– Akurat tej nocy była u rodziny we Wrocławiu. Po pożarze nigdy już nie zajmowała tak eksponowanego stanowiska. Próbowала pracy w szkole, ale się nie sprawdziła. Wreszcie na początku lat dziewięćdziesiątych trafiła do szpitala psychiatrycznego. Zdiagnozowano u niej tak poważne zaburzenia psychiczne, że nigdy stamtąd nie wyszła. Zdaje się, że dalej przebywa na Kraszewskiego.

Renata pokazała im zdjęcie na ekranie laptopa. Zobaczyli starą kobietę z rzadkimi siwymi włosami sterczącymi na wszystkie strony. Policjanci nie skomentowali. Redaktor Wieczorek nadal szukała czegoś w komputerze i cały czas mówiła, zerkając na nich znad ekranu:

– Nie wiem, czy was to zainteresuje, ale w nocy, kiedy spłonął budynek bidula, w Miękini wydarzyło się jeszcze coś, czego nie wyjaśniono i co pewnie jest komentowane do dzisiejszego dnia. – Marcin spojrzał na Karinę i oboje nadstawili uszu. – Grób tej zamordowanej dziewczyny, Doroty Gubały, został rozkopany, a ciało zniknęło. Nie pisałam o tym, bo jej rodzina mnie poprosiła. Już dla własnej ciekawości próbowałam dotrzeć do policyjnych akt, ale mi się nie udało. Ludzie, z którymi rozmawiałam, nabierali wody w usta i milczeli. Możecie w tym pogrzebać, może wam uda się ustalić coś ciekawego.

Marcin poczuł suchość w gardle. Rozkopane groby, znikające zwłoki, zmumifikowana kobieta znaleziona niedawno na poddaszu jednej z wrocławskich kamienic. Zamrugął gwałtownie, odchrząknął i zapytał:

– Jak to, ciało zniknęło? Możesz powiedzieć coś więcej?

Renata odsunęła komputer i odchyliła się na krześle.

– Wiem, że to brzmi makabrycznie, ale tak właśnie było. – Pokiwała głową. – Zaraz po pogrzebie, kiedy ziemia była jeszcze miękka, ktoś włamał się do komórki, w której grabarze trzymali narzędzia, rozkopał grób, otworzył trumnę i wywiózł ciało na taczce w niewiadomym kierunku. Zamieszanie z pożarem było tak wielkie, że zbezczeszczony grób odkryto dopiero następnego dnia po południu.

– Makabra – jęknęła Karina.

– Znalazłam to nazwisko. – Gospodyni popatrzyła uważnie na Marcina, jakby chciała sprawdzić jego reakcję na to, co za chwilę powie. – Moim zdaniem to był Grzegorz Tomczyk.

Zakrzewski zastanawiał się tylko sekundę. Znowu poczuł na plecach ten rozkoszny dreszcz. Znał to nazwisko. Po minie Kariny widział, że ona też już o tym myśli. Tylko czy to nie było za proste?

– Przeżył pożar? – zapytał.

– Tak, miał szczęście. – Renata zamknęła laptopa i znowu patrzyła prosto na Marcina. – Jakaś rodzina chciała go adoptować i akurat wyjechał do nich na weekend do Legnicy.

Kiedy kwadrans później wychodzili, dziennikarka znowu przytrzymała dłużej rękę Marcina w swojej dłoni.

– Może jednak kiedyś zadzwonisz?

Nie wytrzymał jej spojrzenia i spuścił wzrok. Czuł, że znaleźli się bardzo blisko Satyra. Wystarczyło tylko poskładać pewne elementy w całość. To nie był dobry moment na takie deklaracje.

– Zadzwonię – rzucił przez ramię, ruszając w kierunku schodów.

Odprowadzały ich głośnie ujadanie psa i wzrok Renaty patrzącej z wyraźnie zawiedzioną miną na plecy Zakrzewskiego.

Rozdział 68

Kilka minut przed siedemnastą spotkali się na szybkiej naradzie w biurze. Przez ostatnie godziny cała trójka rozpracowywała Grzegorza Tomczyka. Na biurku Marcina jak zwykle panował bałagan: rozrzucone papiery, długopisy i kilka pustych kubków po kawie z automatu. Zanim usiedli, Karina poskładała papiery i przesunęła je na jedną stronę blatu, a potem zebrała kubki i wyrzuciła je do kosza. Ilona siedziała nieruchomo, posyłając Zakrzewskiemu ponure spojrzenia.

Wcześniej Marcin próbował dodzwonić się do Pauliny, ale ciągle włączała się automatyczna sekretarka. Nigdy nie zostawiał wiadomości, nie zrobił tego i tym razem. Tak naprawdę nie spodziewał się, żeby chciała z nim rozmawiać. W nocy odrzuciła jego pomoc. Być może właśnie nastąpiło ich definitywne rozstanie. Czuł się z tym dziwnie, nie bolało jednak aż tak mocno. Był tym nawet zdziwiony.

Potem próbował złapać prokuratora Grabskiego, ale też się nie udało. Odnalezienie zwłok Wysockiego, aresztowanie jego żony i postawienie jej zarzutu dwóch zabójstw było sprawą takiego kalibru, że komendant wojewódzki policji osobiście odpowiadał na pytania dziennikarzy na konferencji prasowej, a wszyscy policjanci w komendzie mówili tylko o tym. Znowu miał szczęście. Nikt nie interesował się tym, co aktualnie robi komisarz Zakrzewski ze swoją grupą śledczą. Idealna sytuacja, żeby działać swobodnie.

Karina zajmowała się przeszłością Tomczyka.

– Niewiele udało mi się ustalić – zastrzegła na wstępie. – Tomczyk chodził do liceum ogólnokształcącego w Legnicy, więc informacja o adopcji jest prawdopodobna. Studiował we Wrocławiu, ale rzucił studia. Nie wiem, co robił potem. Pewnie pracował, być może za granicą. Żadnych konfliktów z prawem, nawet mandatów za złe parkowanie. Kilka lat temu ożenił się z Grażyną Walicką, mieszkali chwilę gdzieś w Śródmieściu, wreszcie kupili dom w Leśnicy. Mają córkę Lenę. Kredyt na dom spłacili, ale Tomczyk jakoś nie pali się do powrotu do domu.

– Z tą pracą na Wyspach jest coś nie tak – podkreśliła Ilona, która miała za zadanie ustalić, gdzie Tomczyk aktualnie przebywa. – Skontaktowałam się z tamtejszą policją. Sprawdzili go. Pracował trzy lata w biurze projektowym. Zarabiał naprawdę duże pieniądze, nawet jak na ich warunki. Dlatego tak szybko spłacili kredyt. Tyle że od półtora roku tam nie pracuje.

– Zaraz, zaraz – przerwała jej Karina. – W biurze projektowym bez wykształcenia? Nie skończył studiów w Polsce. Zresztą studiował na AWF-ie.

– Dziwne, ale takie mam informacje – potwierdziła Ilona.

– To by się zgadzało. – Marcin pokiwał głową. – Sprawdziłem pasażerów linii lotniczych do Anglii. Ostatni raz Tomczyk leciał Ryanaiem z Londynu do Wrocławia szesnaście miesięcy temu.

– Pod warunkiem że nie podróżuje pod innym nazwiskiem. Albo samochodem.

– Niewykluczone.

– Jeśli nie ma go w Anglii, nie ma go we Wrocławiu, to gdzie jest? – zapytała retorycznie Karina.

– W Polsce – odparła Ilona Marzec. – Poprosiłam kolegów. Namierzili jego telefon w okolicach Wołowa.

– Dlaczego nie wraca do domu?

Pytanie zawisło w powietrzu bez odpowiedzi.

Ilona pokazała im fotografię na ekranie swojego telefonu. Patrzyły na nich niesamowicie błękitne oczy należące do mężczyzny w wieku

Marcina. Miał ciemne włosy, jasną cerę i okrągłą twarz.

– To zdjęcie z jego Facebooka – wyjaśniła Ilona. – Dawno nie był aktywny, ale jest kilka zdjęć z wakacji z żoną. Trochę dziwne, że w ciepłych krajach zawsze nosi długie rękawy.

W milczeniu obejrzelili zdjęcia z plaży, z basenu, z wycieczki do Gizy pod Kairem. Rzeczywiście, nieodłącznymi atrybutami Tomczyka były koszula z długimi rękawami i czapka z daszkiem.

W biurze zapanowała cisza. Marcin jeszcze raz popatrzył na zdjęcia. Wiele poszlak wskazywało na Tomczyka, ale coś w tym wszystkim się nie zgadzało. To nie był facet, którego widział w mieszkaniu Szawczaka, ani ten, z którym spotkał się oko w oko w ruinie na Rakietowej. Nic mu nie pasowało.

– To nie jest Satyr. – Karina wypowiedziała na głos jego wątpliwości. – Pamiętam go. To nie ten facet.

– To nie musi być Satyr – zauważyła Ilona. – Może to Obserwator albo Śmierciór? Nikt nie widział twarzy żadnego z nich. On też ma cholernie niebieskie oczy. Jak Marcin.

Popatrzyła na Zakrzewskiego, jakby właśnie odkryła, że komisarz należy do gangu niebieskookich zabójców na zlecenie.

– Ile on ma lat? – zapytał.

– Czterdzieści dwa. Jest dużo starszy od żony – odpowiedziała szybko Karina. – Wiek pasuje, jeśli o to chciałeś spytać.

– J-jasne. Żona nic nie mówiła o jego bliźnach?

– Podczas naszych poprzednich rozmów nic – odpowiedziała Ilona. – Zresztą nie pytaliśmy o jej męża. Teraz nie mogę zdradzić, że się nim interesujemy, żeby go nie ostrzegła.

Karina spojrzała na Marcina.

– Co robimy?

– Musimy znaleźć Tomczyka.

*

Znowu uśmiechnęło się do nich szczęście. Znalezienie Grzegorza Tomczyka nie było wcale trudne. Skontaktowali się z komendą policji w Wołowie, prosząc o pomoc. Szybko okazało się, że jeden z policjantów zna Tomczyka osobiście. Z jego informacji wynikało, że poszukiwana przez nich osoba mieszka na tej samej ulicy co on, tylko po przeciwnej stronie. Miejscowość nazywała się Piotroniowice.

Od rana zastanawiali się nad planem działań. Ilona Marzec była za włączeniem policyjnej grupy interwencyjnej. Zakrzewski wątpił, czy Tomczyk to dobry trop. Stańto na tym, że zrezygnowali ze wsparcia i postanowili działać tylko we troje. Tomczyk mógł być niebezpieczny, więc mieli na sobie kamizelki kuloodporne.

O trzynastej z minutami zatrzymali służbową kię kilkanaście metrów przed domem, w którym według policjanta z Wołowa miał przebywać Tomczyk. Było to stare i zaniedbane gospodarstwo rolne. Obok odrapanego budynku mieszkalnego stała rozwalająca się szopa, przy budzie leżał wyliniały owczarek niemiecki, po podwórku chodziły kury. Przed szopą dogorywał stary volkswagen golf, kiedyś prawdopodobnie czerwony.

Czekali prawie godzinę. Około czternastej z domu wyszedł mężczyzna, otworzył skrzypiącą furtkę i ruszył w ich kierunku. Poznali go od razu. Marcin i Karina otworzyli przednie drzwi policyjnego auta i wysiedli. Ilona stanęła za tylnymi drzwiami.

Marcin z ręką na odpiętej kaburze z bronią podszedł do Grzegorza Tomczyka, ubezpieczony przez Karinę, która ukrywała za plecami gotowy do strzału pistolet.

– Grzegorz Tomczyk?

Mężczyzna zatrzymał się gwałtownie, w jego niesamowicie błękitnych oczach widać było strach.

– Tak – rzucił niepewnie.

Marcin pokazał mu swoją legitymację.

– Komisarz Marcin Zakrzewski, wydział kryminalny Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu.

Tomczyk spojrział ze strachem za jego plecy. Ilona stała przy aucie, Karina zbliżała się wolno. Popatrzył jeszcze na rękę Zakrzewskiego na kaburze i teraz naprawdę się przestraszył. Podniósł ręce i powiedział szybko:

– To jakaś pomyłka! Ja nic nie zrobiłem!

Marcin popatrzył mu w oczy. Facet naprawdę był przerażony. Zakrzewski skinął na Karinę. Policjantka zatrzymała się i wolnym ruchem schowała pistolet do kabury.

– Musimy z panem porozmawiać – oznajmił Zakrzewski.

– Bierzecie mnie za kogoś innego!

– Proszę opuścić ręce, chcemy tylko porozmawiać.

Tomczyk cały czas patrzył to na Karinę, to na Ilonę, jakby w nich widział największe zagrożenie. Upłynęło jeszcze kilka długich sekund, zanim zaczął rozsądnie myśleć.

– Porozmawiać, tak. Gdzie?

– Może u pana w domu?

Karina poszła przodem. Za nią w odległości kilku metrów ruszyli Tomczyk i Marcin. Karina zatrzymała się w korytarzu i poczekała, aż gospodarz i Zakrzewski ją wyminą. W domu czuć było starością i wilgocią. Być może nikt go nie remontował od dziesięcioleci.

– Grzesiu, zapomniałeś czegoś? – zapytał ktoś z pokoju w głębi.

Po chwili wyszła z niego kobieta w wieku około trzydziestu lat. Była idealnie przeciętna, trochę za chuda, z małymi piersiami, pospolitą twarzą i krótkimi szarymi włosami. Na widok policjantów stanęła jak wryta. W jej szeroko otwartych oczach pojawiła się panika.

– My tylko na chwilę. – Karina zbliżyła się do niej z legitymacją w dłoni. – Policja, proszę wrócić do pokoju.

– Basiu, spokojnie! To jakieś nieporozumienie! – krzyknął za nią Tomczyk.

Kobieta się wycofała. Tomczyk wskazał drzwi do kuchni.

– Może tu? – zaproponował słabym głosem.

Po chwili siedzieli przy kuchennym stole pokrytym odbarwioną przez upływ czasu ceratą. Tomczyk położył na niej dłonie. Lekko drżały. Marcin odsunął nieco krzesło, żeby dokładnie widzieć gospodarza.

– Ma pan blizny na przedramionach? – zapytał Marcin.

– Tak...

– Proszę pokazać.

Tomczyk niepewnie ściągnął kurtkę, po czym podwinął rękawy koszuli. Pokazał im poziome blizny po cięciach nożem na obu rękach powyżej nadgarstków. W kilku miejscach zobaczyli też nieładnie wyglądające plamy po nacieraniu skóry siarką z zapalniczki i ślady po gaszonych niedopałkach papierosów. Marcin rzucił okiem na Karinę. Po jej minie widział, że nie o takie blizny chodziło.

– A piersi?

Salitra dokładnie im opowiedział, jak wyglądały blizny na piersiach i brzuchu człowieka, który chciał go powiesić. Tomczyk rozpiął koszulę. Skóra na piersiach była gładka, bez żadnych śladów. Marcin się rozluźnił. Nietrafiony strzał.

– Dziękuję, więcej nie trzeba – odezwał się. – Mieszkał pan w domu dziecka w Miękini, prawda?

– Tak. – W oczach mężczyzny pojawił się jakiś cień. – O tym chcecie rozmawiać? Po tylu latach?

– Kiedy pan opuścił dom dziecka? – Marcin zignorował jego pytanie.

– Nie opuściłem go – westchnął Tomczyk. – Byłem akurat u ludzi, którzy chcieli mnie adoptować, dlatego przeżyłem pożar.

– Skąd te blizny na rękach?

Tomczyk jakby się skurczył. Ramiona mu opadły, pochylił głowę.

– Problemy w wieku dorastania. Moi przybrani rodzice nigdy by się nie zdecydowali na adopcję, gdyby nie pożar. Zrobili to chyba z litości. Potem długo nie mogliśmy się dogadać. Miałem traumę, że w pożarze zginęli wszyscy moi... – Urwał i nie dokończył. – Okaleczanie się było tylko jednym z przejawów buntu.

– W domu dziecka nazywali pana Śmieciór?

Grzegorz popatrzył na Marcina naprawdę zdziwiony. Pokręcił głową.

– Nie, mnie nazywali Tomuś. Śmieciór to był Stasiek Prokop, ale on zginął w pożarze.

Marcin znowu zerknął na stojącą w drzwiach Karinę.

– Proszę nam o nim opowiedzieć.

– Stasiek był, jak by to powiedzieć, lekko upośledzony. Na co dzień normalny, ale czasem coś mu odwalało. No i się nie odzywał. Do bidula w Miękini trafił jakieś dwa lata przed pożarem. W dzieciństwie musiał mieć poważny wypadek, bo miał straszne blizny na głowie. Widziałem pod prysznicem, gdy miał mokre włosy. Pytałem go, ale nie odpowiadał. Jakoś tak od razu przypadł mi do gustu. Wie pan, tak naprawdę nie przyjaźniłem się z nikim. Dlatego jak zjawił się u nas Stasiek, próbowałem się z nim zakolegować. Chyba nawet mnie lubił.

Marcin pamiętał, że nazwisko Stanisław Prokop było na liście ofiar pożaru.

– A jak pan zapamiętał Żyletę? – zapytał.

– O Jezu! – jęknął Tomczyk i przetarł dłonią twarz. – Kurwa, gorzej chyba być nie mogło. Biła nas i poniżała. Do dzisiaj mam koszmary.

– A co pan może jeszcze powiedzieć o Staśku?

– Pytał mnie pan o blizny. Nie wiem, ale to chyba Stasiek sprawił, że zacząłem się ciąć. On to dopiero miał blizny. Straszne ślady po cięciu i szyciu od łokci do nadgarstków. Przyszedł do nas z tymi bliznami. Potem ciął się jeszcze dwa albo trzy razy.

Marcin nadstawił uszu. Znowu ten dreszcz na plecach.

– Raz pociął się przy obiedzie – ciągnął Tomczyk. – Nagle wstał, chwycił nóż... To było okropne. Krew tryskała po stole, a on się kroił z kamienną twarzą. W ogóle nie czuł bólu, jak Terminator z tego filmu. Był inny, nie pasował do nas, więc starsi chłopacy ciągle się

z niego wyśmiewali i go szturchali. Znosił to ze spokojem, aż nie wytrzymał.

– Co się stało?

– We trzech chcieli go pobić na balkonie. Ale to on ich pobił. Wszystkich trzech. Dali mu wtedy spokój. Za to Żyleta nie dawała mu spokoju.

– To znaczy?

Mężczyzna sięgnął po leżące przy zlewie papierosy i zapalił jednego. Ręka mu drżała, kiedy się zaciągał. Powrót do wspomnień z dzieciństwa wciąż był traumatyczny.

– Żyleta wzywała Staśka do swojego gabinetu. Raz zostałem i patrzyłem przez szparę w drzwiach. Byłem ciekawy, po co go wzywa. Okazało się, że ona go... normalnie to wyglądało jak gwałt. Ujeżdżała go na dywanie. Kiedy skończyła, zobaczyła, że podglądam. Jezu, w życiu się tak nie bałem, jak się na mnie wydarła.

– Dłoń z papierosem jeszcze bardziej zadrżała. – Zlałem się wtedy w majtki ze strachu.

Popatrzył na Karinę.

– Myślałem, że mnie zabije, ale nic mi nie zrobiła. Od tamtej pory nawet nie patrzyła w moim kierunku. Jeszcze przez kilka dni na jej twarzy i szyi widać było sińce. Wyraźnie utykała na jedną nogę. Myślę, że Stasiek ją pobił, żeby mnie chronić. Tak samo jak pobił tamtych trzech na balkonie. Nic mi nie powiedział, bo nigdy się nie odzywał, ale był moim przyjacielem. Nie podziękowałem mu, bo... tak wyszło, cholera. Potem był pożar.

W kuchni starego, przesiąkniętego stęchlizną domu zapanowało milczenie. Marcin z trudem tłumił w sobie podekscytowanie. Czy mimo wszystko byli jednak na właściwym tropie? Gospodarz wstał i zgaślił papierosa w zlewie. Zakrzewski też się podniósł.

– Przepraszam, że pana przestraszyliśmy – powiedział.

– Nie ma sprawy. – Tomczyk wzruszył ramionami.

– Ma pan we Wrocławiu żonę i córkę – rzuciła niespodziewanie Karina.

- Tak.
- Może trzeba okazać więcej szacunku osobom, które panu ufają
- ciągnęła policjantka.
- Zarobiłem na spłatę kredytu za dom...
- I to wystarczy? – Na twarzy Kariny wykwitł pełen złościwości uśmiech.
- Ja... Nie mogę do nich wrócić. Nie chcę. Tu jest moje miejsce. – Po jego twarzy przebiegł nagły skurcz.

*

Kiedy wsiedli do samochodu, Zakrzewski popatrzył najpierw na Karinę Buczek, potem na siedzącą z tyłu Ilonę.

– Musimy zebrać jak najwięcej informacji o Stanisławie Prokopie – stwierdził.

– Po co? Przecież zginął w pożarze. – Karina spojrzała na niego zdziwiona.

Marcin przez chwilę wpatrywał się w deskę rozdzielczą.

– Pomyślcie chwilę – odezwał się wreszcie. – Tego samego wieczoru, kiedy spłonął dom dziecka, ktoś wykopał z cmentarza w Miękini zwłoki Doroty Gubały. Jak myślicie? Czy po pożarze, w którym wszystko doszczętnie spłonęło, ktoś tracił czas na identyfikację ofiar? A tym bardziej na sprawdzenie, czy zwęglone zwłoki są płci męskiej, czy żeńskiej? Nie sądzę.

Rozdział 69

Polna droga wspinała się lekko pod górę. Po obu stronach rosły krzaki, było za wąsko dla samochodu, dlatego ostatni odcinek pokonywali pieszo. Droga prowadziła do starej bramy oplecionej bluszczem. Na podwórzu porośniętym wybujałą trawą widać było zrujnowany dom, a obok zawaloną stodołę. Dom nie miał dachu. W niebo sterczało tylko kilka poczerniałych krokwi świadczących o tym, że jakiś czas temu wewnątrz budynku i dach zostały strawione przez ogień.

– Tu już nic nie znajdziecie – powiedział emerytowany milicjant Zenon Słowiński, który ich tam przyprowadził.

Pochodził z tej podwrocławskiej wsi. Na jego nazwisko natknęli się w archiwalnych aktach dotyczących rodzinnej tragedii Prokopów. Aspirant Karina Buczko postanowiła go odnaleźć – i to był bardzo dobry pomysł. Słowiński nadal tu mieszkał. Miał osiemdziesiąt cztery lata i był w znakomitej formie. Z trudem za nim nadażali, przedzierając się przez zarośniętą dziką roślinnością drogę do zagrody Prokopów.

– Przybył pan na miejsce jako pierwszy – zagała Karina. – Jak do tego doszło?

– Przypadek – wyjaśnił były milicjant. – Starszy syn Prokopów, Stanisław, dawno nie chodził do szkoły, podobno miał wypadek przy żniwach. Wiecie, kiedyś tu wszyscy się utrzymywali z roli. Szkoła zgłosiła, że nie ma z Prokopami kontaktu, więc postanowiłem tu przyjechać i się wywiedzieć.

– Jak to wtedy wyglądało? – spytała Karina, patrząc na Zakrzewskiego, który, odkąd wysiedli z samochodu, przestał się odzywać i wyglądał, jakby ich nie słuchał. Zbliżył się do bramy, lustrując wzrokiem podwórze i resztki zabudowań. Może znowu dopadły go wspomnienia – pomyślała. Opuszczone domostwa kojarzyły się Marcinowi z tylko jednym miejscem – domem Bogdańskiego w Szczepanowie.

– Pamiętam, że strasznie ujadł pies – wspominał Słowiński. – Mieli takiego wyliniałego owczarka. Zajechałem na podwórze i od razu ich zobaczyłem. Dwa strasznie okrwawione ciała. Dziad Prokop, wszyscy go tak nazywali, ojciec Wasyla, leżał z rozplataną czaszką pod ławką, na której zawsze pił wódkę. Jego syn Wasyl kilka kroków bliżej. Miał odrąbaną głowę. Koledzy znaleźli ją później w gnojowniku. Wiecie, dla mnie to był szok. Całe życie pracowałem na komisariacie w małej miejscowości, nie wiedziałem, co robić. Wysiadłem z samochodu i zwymiotowałem. Potem usłyszałem jęki. Ze stodoły wyczołgał się syn Wasyla, Stasiek. Podbiegłem do niego. Miał na szyi pętlę, był trochę podduszony, ale żył. W stodole znalazłem żonę Wasyla Nastię i ich córkę Marysię. Wisiały na belce. Już nie żyły.

Komisarz Zakrzewski zacisnął powieki. Chciał krzyczeć, przeklinać, wyrzucić z siebie napięcie ostatnich tygodni, żeby żadne złe myśli nie przeszkadzały mu w walce z wściekłością i nienawiścią, które powoli rozlewały się po zakamarkach jego umysłu. Od razu przypomniał sobie akta dotyczące rozszerzonego samobójstwa, do którego nawiązywał Śmierciór w jednym z opowiadań. Stodoła należąca do rodziny Jakubowskich, matka i córka wiszące na belce oraz chłopiec, który został odcięty i ułożony tak, jakby chciał z tej stodoły wypełznąć. Tylko że on już wtedy nie żył, a Stanisław Prokop ze stodoły wyszedł o własnych siłach. Marcin czuł niepokój w takim natężeniu, że powodowało to mdłości. Czy tu właśnie narodziła się bestia, którą teraz ścigają?

– Ustaliliście, że zrobiła to Nastia. Jak pan myśli, dlaczego?

Stary człowiek popatrzył na policjantkę smutnym wzrokiem.

– Nie wytrzymała – powiedział. – Znałem ją od dziecka. To była dobra dziewczyna, tylko zbyt zamknięta w sobie i nieśmiała. Nie wiadomo, jak to się stało, że zaszła z Wasylem w ciążę. On był dużo starszym wdowcem. A kiedyś jak na wiosce była ciąża, musiał być ślub. No i Nastia wyszła za męża za Wasyla i zamieszkała tutaj. Chodziły słuchy, że źle się jej działo, Wasyl ją gwałcił, bił dzieci. To tak, jakby wyszła za męża za diabła. Wszyscy się Wasyla bali, bo był wariat i furiat. I w końcu wydarzyło się nieszczęście.

– Co się stało ze Staśkiem? – odezwał się Zakrzewski, zanim Karina zdążyła sformułować następne pytanie. – Co to był za wypadek?

– Dokładnie nie wiadomo, bo nie chodzili z nim do ośrodka zdrowia. Lekarz przyjeżdżał tutaj i potem nic nie mówił. Ludzie tylko powtarzali, że Stasiek miał pogruchotaną czaszkę, cudem przeżył. Potem coś się z nim od tego porobiło. Przestał mówić, nikogo nie poznawał. Zresztą... – Stary milicjant zawiesił głos. – Jego też nikt nie poznawał. Jakiś po tym wypadku inny był. Nawet jakby niższy i włosy mu pojaśniały. Ale ludzie różnie gadają, wiadomo.

– J-jasne – mruknął Marcin. – Kiedy Stasiek miał wypadek?

– Do szkoły już nie poszedł, więc gdzieś pod koniec sierpnia osiemdziesiątego pierwszego roku. Rok pamiętam, bo Jaruzelski stan wojenny w grudniu wprowadził. Nastia zabiła wszystkich w marcu następnego roku. Staśka nikt z rodziny nie chciał wziąć do siebie, bo niedojda był. Wreszcie trafił do domu dziecka w Miękini. To niedaleko. No a potem zginął w tym pożarze.

– A jak znaleźliście te zwłoki? – dopytywał Zakrzewski.

– To było miesiąc po śmierci Prokopów. Dzieciaki się zakradły do piwniczki z tyłu stodoły, na polu pod lasem. Narobiły straszego krzyku. Zwłoki chłopca były w stanie zaawansowanego rozkładu. Nie udało się ustalić jego tożsamości.

Karina Buczko przypatrywała się Marcinowi. Był blady, kurczowo zaciskał dłonie w pięści i jakby zapadł się w sobie. Nawet głos mu

się zmienił.

– Wchodzimy do środka? – zapytała.

Spojrzał na nią nieprzytomnie.

– Nie trzeba.

– Dziękujemy, panie Słowiński, bardzo nam pan pomógł – powiedziała. – Odwieźć pana do domu?

– Nie, mam blisko, przejdę się.

Kiedy Słowiński odszedł, Karina chwyciła Marcina za ramię i spojrzała mu w oczy.

– Co się dzieje?

– Dopadły mnie demony przeszłości. – Uśmiechnął się blado w odpowiedzi. – We wrześniu osiemdziesiątego pierwszego roku zaginął mój brat bliźniak Ryszard. Niby po latach znalazłem zabójcę, niby wiem, co się stało z Ryśkiem, ale ciała nigdy nie odnaleziono. Tak sobie pomyślałem, że to miejsce też jest naznaczone straszną zbrodnią, której tajemnica pozostanie niewyjaśniona na zawsze.

– Masz na myśli te zwłoki w piwniczce? – zapytała. – Może Wasyl zabił tego chłopca w przyływie złości? Był przecież nieobliczalny w gniewie, sam słyszałeś, wszyscy się go bali. Potem ukrył zwłoki. Może częściej zabijał?

– I nikt tego chłopca nie szukał?

Milczeli, patrząc na zrujnowane zabudowania. Karina poczęstowała Marcina papierosem. Wrócili zarośniętą drogą do samochodu.

*

Ilona Marzec weszła do biura Marcina, bez słowa przysunęła sobie krzesło i rzuciła na blat jakieś dokumenty. Wyglądała na bardzo podekscytowaną i zadowoloną z siebie. Nawet jej nieufność wobec Zakrzewskiego w tym momencie zeszła na dalszy plan.

– Sprawdziłam przeszłość Teresy Skotnickiej – powiedziała i zamilkła na chwilę, jakby czekając na dodatkowe pytania z ich

strony. Kiedy się nie doczekała, kontynuowała: – Dotarłam do jej dawnych znajomych i sąsiadów. Do szpitala psychiatrycznego trafiła dopiero w dwa tysiące dziesiątym roku. Wcześniej się leczyła, ale nie była hospitalizowana.

– A jakie to ma dla nas znaczenie? – mruknęła Karina Buczko.

– Zasadnicze. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku nasza Żyleta urodziła syna. Niestety, dała o sobie znać choroba genetyczna, która dość często zdarzała się w rodzinie ojca Skotnickiej. Wada powodująca zaburzenia wzrostu i niedorozwój umysłowy. Pewnie się już domyślacie, że dała synowi na imię Dawid.

W pokoju zapanowała pełna napięcia cisza. Wreszcie Karina gwizdnęła, a Zakrzewski wycedził tylko przez zęby:

– Jasna cholera...

Ilona, zadowolona z wrażenia, jakie wywarły jej słowa, ciągnęła:

– Początkowo Skotnicka wychowywała syna sama, lecz w końcu jej problemy psychiczne stały się na tyle poważne, że musiała oddać go do ośrodka opieki. I tutaj mamy pierwszą zagadkę. Dawidek w wieku czterech lat trafił do prywatnego ośrodka opiekuńczego w Polanicy-Zdroju. Sprawdziłam, ile teraz kosztuje miesiąc pobytu niepełnosprawnego dziecka w tej placówce, i wierzcie mi, Skotnicka nie miała takich pieniędzy. – Pokazała im wydrukowane zdjęcia budynku i placu zabaw oraz cennik. – To z ich strony internetowej.

– Kto płacił? – rzucił Marcin, nerwowo poruszając nogą.

– Miałam za mało czasu, lecz nietrudno się domyślić, że ojciec dziecka.

– Kto był ojcem? – zapytała Karina.

– Za dużo byś chciała wiedzieć. – Ilona wzruszyła ramionami. – W urzędzie stanu cywilnego ojciec nie jest ujawniony. Rozmawiałam z sąsiadką Skotnickiej. Kobieta pomagała jej, kiedy Dawid był mały. Opowiedziała sporo o mężczyźnie, który mógłby być ojcem. Właściwie widziała go tylko dwa albo trzy razy. Zapamiętała, że był młodszy od Skotnickiej, miał błękitne oczy i twarz, która od razu zapada w pamięć.

Marcin siedział jak skamieniały, zapominając o kubku z kawą, który trzymał w palcach.

– Co to znaczy? – rzucił.

– Podobno jego twarz była dziwna, niedobra – wyjaśniła Ilona. – Tyle się dowiedziałam. Żyła niewiele o nim mówiła. Sąsiadka wspominała, że po tych wizytach Skotnicka miała sińce na twarzy i szyi, podrapane ramiona. Facet prawdopodobnie ją bił, może dochodziło też do gwałtów. Kiedy sąsiadka chciała zgłosić pobicie na policję, Skotnicka błagała ją, żeby tego nie robiła. Bała się, że jej prześladowca ją zabije. Powiedziała wprost, że byłby do tego zdolny. Wspomniała też, że jest jej koszmarem z przeszłości i pewnie nigdy się go nie pozbędzie.

– Koszmar z przeszłości? – Karina się wzdrygnęła. – W jakim sensie?

– Nie wiem – zniecierpliwiła się Ilona. – Może jeszcze z domu dziecka?

– No dobrze. – Zakrzewski znowu wyglądał, jakby się ocknął z długotrwałego letargu. – Skąd Dawidek znalazł się na osiedlu Malowniczym, skoro przebywał w Polanicy?

– W dwa tysiące dziesiątym ktoś go stamtąd zabrał.

– Jak, skoro matka trafiła do szpitala psychiatrycznego?

– Przez telefon niewiele można się dowiedzieć. – Ilona wzruszyła ramionami. – Żeby mieć wgląd do akt, musimy mieć zgodę sądu na uchylenie tajemnicy lekarskiej.

– Załatwię to z Grabskim – powiedział Marcin.

– Na szczęście rozmawiałam z miłą panią, która pamiętała naszego Dawidka. – Ilona wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu. – Mężczyzna, który go zabierał, mówił, że wyjeżdżają do Monachium. Musimy poprosić o pomoc niemiecką policję. To trochę potrwa.

– Szukaliśmy upośledzonego chłopca porwanego z ośrodka opiekuńczego, a on tymczasem został normalnie zabrany i wywieziony za granicę – jęknęła Karina.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Każdy układał sobie w głowie informacje, które sypnęły się szerokim strumieniem, jak gdyby któreś z nich wypowiedziało cudowne zaklęcie rozjaśniające mroki przeszłości.

Karina przeglądała papiery. Ilona robiła sobie kawę przy małym stoliku, gdzie stał elektryczny czajnik, który Marcin kupił na spółkę z Parolem Szawczakiem. Zakrzewski odchylił się w fotelu i przymknął oczy. Nareszcie nie miał poczucia, że o czymś zapomniał. Uwielbiał te chwile, kiedy z chaosu śledztwa zaczynały się wyłaniać konkretne kształty.

Miły aromat kawy rozszedł się w powietrzu. Policjantki popatrzyły na siebie z dziwnym wyrazem twarzy. Może triumfu, może podekscytowania.

– Znaleźliśmy potwora? – rzuciła Karina.

– Tylko czy nas to gdzieś zaprowadzi? Może powiedzmy to na głos, usłyszymy, jak brzmi. – Ilona nieświadomie zacytowała jedną z zasad Zakrzewskiego.

Marcin się nie odzywał. On też chciał usłyszeć, jak ta historia wybrzmi poskładana w jedną całość. Karina zaczęła mówić:

– Stanisław Prokop wychowuje się w domu pełnym przemocy i strachu. Ojciec bije jego, jego matkę, siostrę. Potem chłopiec ulega wypadkowi. Może to nie był wypadek, tylko Wasyl Prokop go pobił, uderzył w głowę. Po tym zdarzeniu Stasiek cierpi na bliżej nieokreślone zaburzenia osobowości. Następnie w rodzinie dochodzi do jeszcze jednej tragedii. Mógł widzieć, jak jego matka zabija siekierą ojca i dziadka, jak wiesza w stodole jego młodszą siostrę, jego i na końcu wiesza się sama. Cudem lina się urwała i przeżył.

Karina na chwilę zamilkła. Ilona piła kawę małymi łykami, Zakrzewski siedział odchyłony w fotelu i wpatrywał się w sufit. Był blady, a jego błękitne oczy świeciły nienaturalnym blaskiem.

– Prokop trafia do domu dziecka w Miękini – ciągnęła Karina. – Zachowuje się jak opóźniony w rozwoju, żyje we własnym świecie, jest inny. Każda odmienność w takim środowisku jest piętnowana.

Staje się obiektem prześladowań kolegów. Nazywają go... – lekko się zawahała – Śmiecior, prawdopodobnie od śmiecia. Ma głęboko zaburzoną osobowość, skłonności do samookaleczania, podobno nie czuje bólu, co może wynikać z uszkodzeń neurologicznych powstałych po urazie czaszki. Potrafi być agresywny i wtedy jest nieobliczalny. Dodatkowo dyrektorka domu wykorzystuje go seksualnie. Być może Prokop wcale nie jest opóźniony umysłowo. Po prostu żyje w swoim własnym świecie.

– Po takim dzieciństwie nikt nie pozostałby normalny – zauważyła Ilona.

– Dlatego dzisiaj ścigamy bestię. – Karina spojrzała na nią poważnie i kontynuowała: – Być może już wtedy coś planuje. Wykorzystuje pogrzeb Doroty Gubały. Nocą przewozi jej ciało do domu dziecka, barykaduje drzwi, rozlewa benzynę i podpala budynek. Wszyscy giną w płomieniach. Liczba zwłok zgadza się z liczbą mieszkańców domu. Stanisław Prokop zostaje uznany za zmarłego i znika na wiele lat. Jeśli prawdą jest, że zajął się nim radziecki generał i wywiózł go z kraju do Rosji, Prokop mógł potem zostać zawodowym zabójcą, Satyrem poszukiwanym w całej Unii Europejskiej. Być może w Rosji przeszedł gruntowne szkolenie w służbach specjalnych, był na wojnie w Czeczenii – tego raczej nigdy się nie dowiemy na pewno. Dość, że teraz to maszyna do zabijania. Mecenas Jagła potwierdza, że Satyr jest niestabilny psychicznie. Pewnie ciągle żyje we własnym świecie i działa tylko na własny rachunek. Być może ma w Rosji mocnego protektora, może jakiegoś oligarchę, i kiedy pali mu się grunt pod nogami, dostaje tam schronienie. Może współpracuje z rosyjskimi służbami. Putin potrzebuje też takich ludzi, żeby siać zamęt na Zachodzie i realizować swoje interesy. Sprawdziliśmy generała Wiktora Bezsmiertnycha, ciągle obraca się w najwyższych kręgach władzy.

– Czy ta historia nie robi się zbyt fantastyczna? – Po twarzy Ilony przeleciał grymas niezadowolenia. – Nie zaczynamy dryfować w niewłaściwą stronę? Rosja, władza, polityka?

– Nie wiem. – Karina pokręciła głową. – Ale może masz rację – przyznała po chwili. – Zostawmy te dywagacje i skupmy się na pewnikach. Kiedy Prokop pojawia się w Polsce, odwiedza Skotnicką. Nie wiem, czy czuje z nią jakąś patologiczną więź, czy po prostu się na niej mści. Dość, że Żyleta zachodzi w ciążę i rodzi upośledzonego chłopca. Stanisław Prokop przez wiele lat opłaca jego pobyt w zakładzie, wreszcie zabiera go i wywozi z kraju. Mniej więcej pół roku temu razem zjawiają się we Wrocławiu. Tylko że tym razem Prokop realizuje swoją zemstę rękami niepełnosprawnego umysłowo Dawidka. Podsuwa mu młode dziewczyny, a ten je gwałci i nieświadomie zabija. Wszystkie są podobne do młodej Teresy Skotnickiej. To ma być zemsta Prokopa za okropieństwa, których doznał w domu dziecka. Podrzuca przecież kartki: „Za Żyletę” i tak dalej. Równocześnie Stanisław Prokop realizuje zlecenie swoich mocodawców. Zabija Tinky’ego Winky’ego i zaczyna działać na własną rękę. Próbuje zlikwidować świadków, którzy mogliby go rozpoznać, zabija Ukraińców i... – Karina znów się zawahała. – No właśnie, i co teraz? Co dalej? Marcin?

Pytanie zawisło w powietrzu, nie doczekawszy się odpowiedzi. Wreszcie odezwała się Ilona:

– I do czego nas doprowadziła ta historia? Mamy potwora, tylko nie wiemy którego. Kim jest Stanisław Prokop? – zastanawiała się ze złością. – Najemnym zabójcą działającym na zlecenie i wykorzystującym Dawidka jako narzędzie zbrodni? Może Śmierciorem, który umieszcza w sieci durne opowiadania, zaprzyjaźnia się z młodymi ludźmi, zyskuje ich zaufanie, a potem dla zaspokojenia patologicznej żądzy morduje ich i pozoruje samobójstwa. Obaj mają na rękach nietypowe blizny po samookaleczeniach. Do tego Salitra mówił, że Śmierciorek ma całe ciało w bliznach. I nie zapominajcie jeszcze o tym dziwolągu z rękami manekina. Jest niepozorny, pojawia się zawsze, kiedy w pobliżu jest Śmierciorek, lecz kiedy próbujemy go zatrzymać, omal

nie zabija Adama Wiliczковского, faceta biegłego w sztukach walki. To kim on jest?

– Nie wiem. – Karina wzruszyła ramionami.

– Czy ta teoria o Prokopie coś nam daje, czy tylko jeszcze bardziej gmatwa i tak beznadziejnie zawią sprawę?

– Nie mamy innej teorii – stwierdziła Karina.

Ilona wypita resztę kawy i westchnęła.

– Może zbyt to uprościliśmy? – rzuciła. – Zrobiliśmy z tego historię Stanisława Prokopa, a tak naprawdę to historia nie jednego, ale trzech ludzi: Satyra, Obserwatora i Śmierciora. Może oni w jakiś sposób są powiązani? Może od lat są w zмовie? Może jeszcze od czasów domu dziecka w Miękini?

Niespodziewanie odpowiedź Kariny uprzedził Zakrzewski. Pochylił się nad stołem i spojrzał kolejno na obie policjantki. Oczy miał przekrwione, jak gdyby od wielu dni wieczorami pił wódkę. Nawet głos miał inny niż zwykle.

– Ilona ma trochę racji. Czegós nie rozumiemy. Coś przeoczyliśmy. W tej historii jest jakiś błąd logiczny, który w istotny sposób ją zmienia.

– Jaki? – zapytała Karina.

– Nie wiem. Musimy w tym pogrzebać. Wyciągnę od Grabskiego potrzebne papiery. – Chrząknął. – Zapomnieliśmy o jeszcze jednym ważnym szczególe. O zwłokach chłopca w piwniczce. Moim zdaniem to właśnie był Stanisław Prokop.

– Jak to? – zachnęła się Ilona.

– Wasyl Prokop zabił swojego syna Stanisława. Potem sprowadził do domu innego chłopca, żeby nikt się nie dowiedział. Być może ten chłopiec był już wtedy ranny.

– Ale kogo? – zapytała Karina. – Kto to mógł być?

Komisarz Zakrzewski oblizał zaschnięte wargi.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział, lecz jego głos zabrzmiał wyjątkowo nieszczerze.

Rozdział 70

Policyjny profiler Krzysztof Pawlicki odebrał telefon po dwóch sygnałach. Marcin się zdziwił, ponieważ ich ostatnie kontakty zawodowe nie należały do najłatwiejszych.

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić – rzucił Pawlicki bez niepotrzebnych wstępów. – Długo się nie odzywałeś.

– Jak wiesz, praca – mruknął niechętnie Marcin.

– Jesteś ciekawym przypadkiem psychopaty – zauważył Krzysztof w swoim stylu. – Muszę cię kiedyś pokazać studentom. Byłbyś genialnym przykładem obrazującym, jak u pewnych jednostek praca może destrukcyjnie wpływać na życie prywatne oraz funkcjonowanie osób z najbliższego kręgu. Myślę, że można by było napisać o tobie habilitację na temat procesu samoizolowania się społecznego i pogrążania w paranoi.

Pawlicki nie byłby sobą, gdyby nie spróbował sprowokować go do delikatnej psychoanalizy. Tym razem Marcin był twardy.

– Przepraszam, Krzysztof, nie mam nastroju – powiedział zmęczonym głosem.

– No dobrze – westchnął psycholog po chwili milczenia, lecz jeszcze spróbował. – Słyszę, że jesteś bez przerwy w pracy już od kilku dobrych dni. Masz czas na spanie? Jadłeś coś?

– Wystarczy rozmowa.

Pawlicki ostatecznie odpuścił.

– Dobrze, spotkajmy się na kawie w Rynku za pół godziny. Ty stawiasz.

*

Pół godziny później siedzieli w pubie PRL. Pawlicki pił latte, Marcin zadowolony się kawą z mlekiem. Oczywiście płacił Zakrzewski.

Przyjaciół popatrzył na niego krytycznie.

– Wyglądasz, jakbyś od kilku dni pił – stwierdził.

– Nie piję. – Marcin pokręcił głową. – Krzysiek, do rzeczy. To dla mnie bardzo ważne.

Pawlicki jeszcze się zawahał.

– Marcin, ale wiesz, to, co ci teraz powiem...

– Wiem – przerwał mu Zakrzewski. – To są tylko twoje osobiste przemyślenia, których nigdy nie napisałbyś w oficjalnej opinii.

– Może nawet nie przemyślenia, tylko coś w rodzaju hipotezy – wyjaśnił profiler. – Zadałeś mi pytanie, opowiedziałeś co nieco, przesłałeś trochę dokumentów i na tej podstawie pokusiłem się o sprawdzenie, czy twoja teoria jest możliwa, a przede wszystkim, na ile jest prawdopodobna.

– No i?...

– Marcin, ludzki umysł jest jak wielka księga, z której przeczytaliśmy dopiero wstęp i parę stron pierwszego rozdziału. Psychika działa czasem w szokujący sposób i wydawałoby się, sprzeczny z logiką. Twoja teoria jest możliwa, ale mało prawdopodobna.

Zakrzewski napił się kawy i odstawił filiżankę z brzękiem.

– Tylko tyle? – zapytał. – Przecież wszystko już dokładnie przemyślałeś. Znam cię tak samo jak ty mnie. Równie dobrze możemy się zamienić rolami i to ja tobie zrobię psychoanalizę. Jest tak: od mojego telefonu każdą wolną chwilę spędziłeś na przeglądaniu literatury przedmiotu i już masz wszystko poukładane w głowie. Wiesz, jak to może wyglądać i dlaczego stał się taki, jaki jest. Jesteś strasznie podekscytowany, ponieważ gdyby to okazało się prawdą, będziesz miał materiał do badań na najbliższe lata.

Pawlicki w zamyśleniu mieszał łyżeczką w szklance.

– Brawo, panie doktorze. – Uśmiechnął się krzywo. – Czasem myślę, że mógłbyś być lepszym psychologiem niż psychopata. No dobrze – westchnął i odchylił się na siedzeniu. – Twój Satyr może cierpieć na dysocjacyjne zaburzenie osobowości. Mówiąc bardziej zrozumiale, może mieć osobowość mnogą albo używając określenia potocznego, cierpieć na rozdwojenie osobowości.

– Na czym to mniej więcej polega?

– Kiedy ktoś mówi o rozdwojeniu osobowości, wydaje nam się, że intuicyjnie wiemy, o co chodzi. W jednym ciele są co najmniej dwie różne osoby. Tyle że dopiero gdy zaczynamy zastanawiać się nad konsekwencją tego stwierdzenia, uświadamiamy sobie pewne fakty. Na przykład: jedna osobowość jest kobietą, druga mężczyzną, jedna jest hetero, druga może mieć skłonności homoseksualne, jedna może być alkoholikiem, druga abstynentem. Osobowości mogą się też różnić wiekiem, ilorazem inteligencji, mają własne, niezależne od siebie poglądy, wspomnienia, preferencje, mogą cierpieć na różne choroby. Kiedy następuje przemiana osobowości, następują również zmiany w funkcjonowaniu całego ciała. Zaobserwowano różnice w ciśnieniu krwi, w pracy serca, metabolizmie, napięciu mięśniowym. Może to powodować zmiany w wyglądzie twarzy. Opadają policzki, wargi układają się inaczej, mogą pojawić się różnice w mówieniu i barwie głosu. Jedna z osobowości może seplenić, druga mówić płynnie. Najtrudniej zrozumieć fakt, że osobowości czasem wzajemnie nie wiedzą o swoim istnieniu. Oczywiście mogą też być świadome i nawet się ze sobą komunikować. Zostawiają sobie kartki na lodówce, piszą do siebie maile, listy.

Marcin poczuł, że powietrze wokół nich zgęstniało i stało się lepkie.

– Taka menażeria w jednym ciele, jak się domyślasz, nie ułatwia codziennego funkcjonowania. – Pawlicki próbował zażartować, lecz nawet on się nie uśmiechnął. – Dlatego najczęściej prędzej czy później takie osoby trafiają do zakładu zamkniętego.

– A co z Satyrem? – Marcin zapomniał o kawie, bardziej myślał teraz o papierosach.

– Tu mamy do czynienia z harmonijnym współżyciem co najmniej trzech osobowości. – W przeciwieństwie do Marcina Pawlicki popijał kawę z wyraźną przyjemnością. – Dla uproszczenia nazwijmy je tak, jak one siebie nazywają: Satyr, Obserwator i Śmierciór. Niewykluczone, że są jeszcze inni, którzy nie ujawniają się publicznie i których nikt nie poznał.

– Rozumiem. – Marcin głośno przełknął ślinę.

– Pokusiłem się o analizę ich wzajemnego funkcjonowania, opierając się na informacjach od ciebie. Moim zdaniem najważniejszą postacią jest Satyr. Ale to wcale nie znaczy, że jest osobowością dominującą. Po prostu spełnia najważniejszą rolę w funkcjonowaniu całości. On zapewnia im utrzymanie. Jest zabójcą, czerpie z tego zyski, które inwestuje w zapewnienie im przeżycia i bezpiecznego schronienia. Dominujący jest Obserwator.

– Dlaczego on? – Marcin uniósł brwi.

– A dlaczego nie? – Pawlicki się uśmiechnął. – Bardzo tajemnicza postać. Obserwuje z ukrycia. Ale to nie jest tylko obserwacja. Moim zdaniem on ocenia szanse i ryzyko, na podstawie których planuje działania dla Satyra. To on tak naprawdę decyduje, co osobowość mnoga będzie robić w bliższej i dalszej przyszłości. Satyr jest tylko wykonawcą jego poleceń i pomysłów.

– Czyli się komunikują.

– Jak najbardziej. – Krzysztof poruszył się niespokojnie. – Komunikacja i bezkonfliktowa współpraca zapewniają im sukces. Nikt jeszcze Satyra nie złapał, chociaż zapewne szukają go różne służby.

Psycholog zrobił pauzę na łyk kawy. Marcin słuchał jego słów i czuł się coraz bardziej nierealnie. Gdyby taką historię opowiadał mu ktoś inny, pewnie by nie uwierzył. Co innego Pawlicki. On nie rzucał słów na wiatr. No i jeszcze cała ta teoria doskonale pasowała do znanych faktów.

– Pozostaje Śmierciór – kontynuował Krzysztof. – Najbardziej niestabilna osobowość. Wydaje mi się, że Obserwator trzyma go pod ścisłą kontrolą, ponieważ Śmierciór mógłby im narobić kłopotów. Jest zły. O ile Satyr i Obserwator kierują się, powiedzmy, specyficznym rodzajem pragmatyzmu, o tyle Śmierciór jest przeżarty złem i szaleństwem do szpiku kości. On się bawi zabijaniem. Najwyraźniej pozorowanie samobójstw sprawia mu największą, perwersyjną przyjemność. Pewnie nie dałby się długo trzymać w ryzach, więc Obserwator zapewnia mu rozrywkę.

– Wybiera mu ofiary? – wtrącił Zakrzewski, czując dreszcz grozy na plecach.

– Coś w tym stylu. Sam mówiłeś, że bywał widziany w towarzystwie młodych ludzi. Być może potrafi być na swój sposób czarujący, pewnie jest inteligentny i potrafi łatwo nawiązywać kontakty. Kiedy wszystko ma już rozpoznane, pozwala działać Śmierciórowi. Z tym Śmierciórem zresztą jest coś dziwnego... – Psycholog się zawahał.

– Co takiego?

– Ciągle powtarza, że od dawna jest martwy. To samo wypisuje w swoich opowiadaniach. Mówi, że mordując, ucisza na chwilę robaki, które go zjadają od środka. To mnie naprowadziło na pewien trop. – Zamilkł i odsunął kawę, jakby przestała mu smakować. – On jest chory psychicznie – stwierdził wreszcie.

Marcin nie wytrzymał.

– Można być jeszcze bardziej chorym psychicznie?

– Nie słuchałeś mnie uważnie – prychnął Pawlicki. – Każdy z nich jest inny. Wyobraź sobie, że trzech różnych ludzi zamieszkuje jedno ciało. Każdy z nich może być chory na co innego, z chorobami psychicznymi włącznie.

– Na co cierpi Śmierciór?

– Podejrzewam, że to zespół Cotarda.

– Zaraz, zaraz. – Zakrzewski potarł czoło. – Wydaje mu się, że jest martwy?

– Upraszczasz – mruknął Pawlicki. – Takie zaburzenie towarzyszy ciężkiej depresji i zdarza się bardzo rzadko. Chory jest przekonany o własnej śmierci. Wydaje mu się, że jego narządy wewnętrzne zanikają albo, mówiąc wprost, gniją, rozpadają się, nie czuje bólu, nie przyjmuje pokarmów, nie pije. Aby udowodnić innym, że nie żyje, jest gotowy do samookaleczeń. W jednym z przypadków chory pociął sobie przedramiona nożem, żeby udowodnić, że jest martwy i nie będzie krwawił. Zespół Cotarda przyjmuje czasem tak drastyczne formy, że chorzy umierają z głodu. Nie jedzą, ponieważ martwi nie muszą jeść.

– W przypadku Śmierciora jest trochę inaczej – zauważył Marcin.

– Każdy chory może zachowywać się na swój specyficzny sposób – przyznał psycholog. – Twój Śmiercior powtarza wszystkim, że jest martwy, i próbuje to pokazać swoim ofiarom. Ma urojenia, że robaki jedzą go od środka. Zabija, żeby przedłużyć swoje istnienie. Mit o Świętym Graalu w skrajnej formie. Zabijam, przejmuję siły życiowe ofiar, żeby jeszcze trochę pożyć.

– J-jasne. Jak powstaje taka... osobowość mnoga?

– Ego pod wpływem czynników zewnętrznych ulega degradacji aż do całkowitego rozpadu i unicestwienia. Jako że mózg nie może istnieć bez poczucia własnego ja, tworzy w to miejsce inną osobowość. – Krzysztof dopił swoją kawę. – A że ludzki umysł pozbawiony barier ma nieograniczoną wyobraźnię, zwykle tworzy dwie lub więcej osobowości.

– O jakich czynnikach mówisz?

– O tych samych, o których ty nigdy nie chcesz słuchać, kiedy sporządzam profil sprawcy. Traumatyczne przeżycia z dzieciństwa związane z przemocą, śmiercią i seksem w ekstremalnej formie. Takie czynniki na zawsze zmieniają ludzi. Dochodzą do głosu nawet po wielu latach i zmieniają nam życie. Tylko nie wiadomo, kiedy objawią się skutki i jakie one będą. Andriej Czikałto, znasz to nazwisko?

– Rzeźnik z Rostowa – potwierdził Marcin. – Przyznał się do pięćdziesięciu sześciu zabójstw.

– Czikałło w czasie drugiej wojny światowej był świadkiem wymordowania przez hitlerowców całej wioski, w której mieszkał. Cudem przeżył. Schował się w szopie, do której żołnierze złożyli ciała pomordowanych. Podobno spędził w niej dwie doby. Do środka wszedł mały Andriej, a wyszedł z niej przyszyły Rzeźnik z Rostowa. Tak działa umysł. W gruncie rzeczy jest delikatny i traumatyczne przeżycia potrafią go nieodwracalnie uszkodzić. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Zakrzewski spojrzał z niesmakiem na stojącą przed nim niedopitą kawę. Czuł tylko mdłości. Przypomniał sobie film z mostu. Satyr nieruchomieje, zastyga w bezruchu, ramiona mu opadają.

– Co się stało z Satyrem na mostach Warszawskich? – zapytał.

– Nie wiem na pewno. – Pawlicki wzruszył ramionami. – Prawdopodobnie Satyr schwytyany w kleszcze nie potrafił podjąć decyzji, co dalej, musiał to za niego zrobić Obserwator. To on planuje i podejmuje strategiczne decyzje. Być może skakał już Satyr. Jeśli chcesz mnie zapytać o Salitrę, to porwał go Satyr, powiesić chciał Śmiercior, a z budynku wyszedł Obserwator. Zaskoczyliście go, musiał sam się bronić i okazało się, że jest tak samo niebezpieczny jak Satyr.

– Po co nosi te ręce sklepowego manekina?

– Ktoś musiał przejąć ból – odparł profiler.

– Nie rozumiem...

– Takie blizny muszą boleć jeszcze po wielu latach, prawda? Śmiercior nie czuje bólu, Satyr nie może czuć bólu, ponieważ nie mógłby swobodnie działać i zapewnić im bezpieczeństwa. Ból przejął więc Obserwator. Pewnie noszenie protez ten ból łagodzi. Obserwator oszukuje się, że nie ma rąk, więc go nie bolą.

– J-jasne. Ale ja rozmawiałem z Satyrem – powiedział Zakrzewski. – Był mną bardzo zainteresowany. Jak to możliwe, skoro nie ma uczuć i wykonuje tylko polecenia?

– Nie. – Pawlicki pokręcił głową. – Każdy z nich jest osobnym bytem, ma własne zainteresowania, coś lubi, czegoś nie lubi, ma wady, zalety, przemyślenia, ciekawość. Każdy z nich jest obciążony innym bagażem wspomnień. Przecież każdy żyje innym życiem. Może mieć nawet całą kolekcję fałszywych wspomnień. Na przykład wspomnienia z dzieciństwa mogą być zupełnie urojone. Albo być częścią wspomnień pierwotnego ego. Każdy z nich został przecież obdarowany częścią pierwotnej osobowości.

– Czy pierwotne ego może jeszcze istnieć?

– Myślę, że tak. Tylko jest schowane bardzo głęboko.

Marcin wyprostował plecy zdrętwiałe od siedzenia w niewygodnej pozycji.

– Który z nich był pierwszy? – zapytał.

– Śmierciór – odpowiedział bez wahania Krzysztof.

– Dlaczego?

– To osobowość głęboko zaburzona, do tego jest chory na zespół Cotarda. Sam nie przeżyłby tygodnia. Musiał stworzyć sobie inne osobowości, które pozwalają mu przetrwać.

– Nie bardzo rozumiem, czemu Śmierciór dołączył do młodych ludzi na cmentarzu. Po co wysyłał im rymowanki?

– Jak już ci wspominałem, jest zły. Zły w pewien prymitywny, pierwotny sposób. Bawi się tym, że krzywdzi innych. Myślę, że pomysł klubu i koła, którym losuje się, kto ma popełnić samobójstwo, bardzo mu się spodobał. Przecież on tak działał od lat. Zabijał, czasem pozorował samobójstwa. Teraz spotkał grupę młodych ludzi, która idealnie mu pasowała. Przecież oni sami deklarowali chęć popełnienia samobójstwa. Wszystkie informacje miał pewnie od Oskara Bertona. Był na tyle bezczelny, że pojawił się na cmentarzu jako piąty kościotrup, żeby zapoznać się osobiście z towarzystwem. Przy okazji przed cmentarzem zabił przypadkowego świadka, tego Kamińskiego. Potem kręcił kołem i wysyłał rymowanki.

Zakrzewski przesunął językiem po suchych wargach. Rozejrzał się wokół. Przy sąsiednich stolikach ludzie pili piwo, jedli,

rozmawiali. Dotąd ich nie dostrzegali. Pawlicki przyjrzał mu się z krzywym uśmiechem na wargach.

– Zbladłeś – stwierdził. – Dobrze się czujesz?

– Jestem po prostu zmęczony.

Pożegnali się przed drzwiami na zewnątrz. Psycholog uścisnął Marcinowi dłoń i spojrzał mu w oczy.

– Pamiętaj, że gdybym się mylił, nigdy ode mnie nie słyszałeś tej teorii. A jeśli jest inaczej, w dowód wdzięczności zapewnisz mi dostęp do wszystkich akt sprawy.

– J-jasne.

Rozdział 71

Cztery lata temu obiecał sobie, że nigdy już tu nie przyjdzie.

Za dużo negatywnych emocji, bolesnych wspomnień. I przede wszystkim niepewność. Przez trzydzieści lat nie myślał o swoim bracie bliźniaku tak często, jak po odkryciu tajemnicy domu Bogdańskiego. Dziewięciu porwanych i zamordowanych chłopców i tylko osiem znalezionych ciał. Ciało jego brata Ryśka spoczywało w jakimś innym miejscu i Marcin pogodził się już z myślą, że nigdy się nie dowie gdzie.

Obiecał sobie, że nigdy tu nie przyjdzie, a teraz jednak był.

Przyszedł tu, ponieważ w głowie kołatała mu się myśl, która znowu strąciła go na skraj szaleństwa. Najpierw próbował z nią walczyć. Wmawiał sobie, że to nieprawdopodobne, takie zbiegi okoliczności w przyrodzie nie występują. Ale on przecież nie dowierzał prostym rozwiązaniom. To rozwiązanie było najbardziej złożonym z możliwych. Zakrzewski musiał się upewnić, czy ma rację, a tylko jeden test odpowiadał na jego pytanie ze stuprocentową pewnością. Bał się prawdy, a jednak zadzwonił do doktor Ireny Korcz do Zakładu Techniki Kryminalistycznej. Teraz czekał na odpowiedź.

Siąpił drobny deszcz, szybko zapadał zmrok. Czuł nieprzyjemne mrowienie na karku. Mimo że to miejsce zostało odarte ze swoich tajemnic, wciąż panował tu nastrój grozy.

Dwaj bracia bliźniacy rzucają rowery w trawę i biegną w kierunku cmentarza.

– Nie zamykaj furtki, frajerze!

– Dlaczego?

– W razie czego łatwiej będzie zwać!

Marcin zatrzymał się i z trudem otrząsnął z tego wspomnienia. Dlaczego jego ojciec tu przychodził? Nikt z ich rodziny nie powinien się zbliżać do tego miejsca na krok.

Przez cztery lata wszystko się zmieniło. Część muru otaczającego kościół Świętego Szczepana się zawaliła, nie było już furtki prowadzącej na mały przykościelny cmentarzyk. Cały teren był sprzątnięty, groby zadbane, trawa skoszona. Przeszedł wolno kilkanaście kroków w kierunku łąki za cmentarzem. Ogrodzenie z tej strony zostało rozebrane.

Czarna ściana parku wyglądała dokładnie tak samo jak wtedy. Poczuł, że nagle zrobiło się o wiele chłodniej. Wcisnął ręce w kieszenie kurtki i zadrżał. Przy każdym oddechu z jego ust wydobywała się mgiełka. Czy miejsca pamiętają ból i cierpienie? Wierzył, że tak jest. Tak było w tym sadzie.

Tylko że sadu już nie było.

Gdy policja wykopała ciała zamordowanych chłopców ukryte w ziemi pod każdą z grusz, miejscowy ksiądz kazał ściąć stare drzewa. W tym miejscu postawiono krzyż upamiętniający zamordowanych. Miał ponad dwa metry wysokości, na cokole, z którego wyrastał, umieszczone zostały imiona i nazwiska ofiar mordercy. Ku wiecznej pamięci.

Ale dla Marcina nic się nie zmieniło.

„Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”. Szept we wspomnieniach nadal wzbudzał taki sam dreszcz jak przed laty. Może nawet większy. Teraz każde słowo wywoływało strach i ból.

Na dole przy krzyżu zobaczył ciemną postać. Przez chwilę wydawało mu się, że wzrostem przewyższa ona kamienny monument, unosi się w powietrzu, nie dotykając stopami ziemi.

Ruszył w dół i po chwili stanął przed krzyżem obok mężczyzny.

– Cześć, tato – powiedział.

Michał Zakrzewski pokiwał w milczeniu głową. Uścisnęli sobie mocno dłonie. Pod krzyżem leżały świeże kwiaty i paliły się znicze.

– Po co tu przychodzisz? – zapytał Marcin.

Ojciec długo milczał. Był zupełnie trzeźwy. Wolnym ruchem wyciągnął z kieszeni papierosa.

– Wiesz, Marcin, mogłeś nie szukać Ryśka – odezwał się zupełnie nieoczekiwanie. – Wcześniej było lepiej. Życie się jakoś poukładało i plotło. Potem się rozsypało.

– Musiałem złapać mordercę. Taką mam pracę – zawahał się Marcin. – Musiałem to zrobić bez względu na wszystko.

Ojciec pokiwał głową, ale nic nie powiedział.

– Naprawdę uważasz, że wcześniej było lepiej? – kontynuował Marcin. – Nikt o Ryśku nie wspominał, nikt o nim nie mówił. Oszukiwaliśmy się, że on nigdy nie istniał, i dlatego nie potrafiliśmy zbudować prawdziwego domu. Na kłamstwie nie można zbudować niczego dobrego. Każde z nas żyło swoim życiem i tylko mieszkaliśmy pod jednym dachem. Ty uciekałeś, mama zamykała się w sobie, a ja...

– Zostałeś gliniarzem na złość nam wszystkim – dokończył Zakrzewski senior.

Marcin się zastanowił.

– Być może tak właśnie było – przyznał.

Ciemność i chłód nadciągały szybko nad łąkę. Michał Zakrzewski rzucił papierosa w pokrytą rosą trawę.

– Masz rację. Nie da się uciec od nierozwiązanych problemów z przeszłości. Takie rany same się nie zablźniają, mogą tylko przyschnąć. Wystarczy drzazga, żeby znowu zaczęły krwawić.

Pochylił się nad cokołem krzyża, na którym na końcu listy widniało nazwisko i daty: „Ryszard Zakrzewski 1969–1981”. Przejechał palcami po złożonych literach i się wyprostował.

– Naszą rodzinę dopadły przerażające cienie przeszłości, których dotąd staraliśmy się nie widzieć. I wiesz co? One tak łatwo nie

odejdą. – Popatrzyl na Marcina. – Mam wrażenie, że opuszczą nas dopiero wtedy, kiedy znajdziemy Ryśka.

Marcin w pierwszej chwili odruchowo chciał powiedzieć, że to niemożliwe, lecz głos nie przeszedł mu przez ściśnięte gardło. Zakrzewski senior znowu wyjął paczkę papierosów i zajrzał do środka.

– Mam ostatniego, chcesz?

– Nie.

– Czasem tak sobie myślę, że skoro nie znaleźliście jego ciała, to może on jednak żyje? – powiedział spowity siwym całunem tytoniowego dymu. Marcin tylko zacisnął boleśnie szczęki. – Morderca mógł kłamać. Kiedy opowiadał ci, jak zabił Ryśka. Nie pomyślałeś o tym?

Był czas, kiedy to pytanie stało się obsesją Marcina. Zadawał je sobie setki razy w ciągu dnia i za każdy razem odpowiadał na to pytanie inaczej. Wtedy znalazł się o krok od szaleństwa. Z trudem się z tego wyrwał. Dlatego teraz nic nie odpowiedział.

Oczywiście z ust ojca padło też to drugie pytanie:

– A jeśli kłamał, co tak naprawdę stało się z Ryśkiem? Czy mógł przeżyć?

– Tato, nie ma już sensu zadawać takich pytań – odezwał się wreszcie Marcin drewnianym głosem. – Nie ma żadnych cieni, jest tylko trauma sprzed lat, od której nie ma co uciekać. Trzeba się z nią wreszcie zmierzyć.

– Pewnie masz rację – przyznał Zakrzewski senior.

Marcin wrócił myślami do pierwszego spotkania z Satyrem. Tego w domu Szawczaka, a potem na ogródkach działkowych. Dlaczego Satyr był tak zafascynowany Marcinem? Dlaczego uznał Marcina za równego sobie przeciwnika? Jak on to wtedy określił – superdrapieżnika?

Nie dawała mu też spokoju myśl o szaleństwie. Czy gdyby był szalony, mógłby stać się taki jak Satyr? Zabijać dla samej przyjemności zabijania, być pozbawiony empatii?

Ocknął się z rozmyślań i zaczął uważniej słuchać, co mówił ojciec:
– Odkąd powiedziałeś, żebym był ostrożny, zacząłem się rozglądać. I wiesz co? Dostrzegam rzeczy, które mnie niepokoją.

– O czym ty mówisz?

– E tam! – Ojciec machnął ręką. – Pewnie nic takiego. Za dużo alkoholu. Muszę przestać pić i tyle.

Marcin chwycił go za ramię, czując narastające zdenerwowanie. Cholerny sad u księdza. Czy już zawsze będzie na niego działał tak obsesyjnie?

– Chciałbym jednak to usłyszeć.

– Pewnie urojenie starego człowieka. Raz czy dwa zdawało mi się, że widziałem jakąś postać na podwórzu. Czasem, jak jest zupełnie ciemno, pies się inaczej zachowuje, a ostatnio okno od tyłu było uchylone. Dałbym głowę, że je zamykałem, ale ile jest warta głowa kogoś, kto wypił dwie setki na dobranoc.

Obawy Marcina narastały.

– A powiedz mi, czy mama ostatnio wspominała Ryśka? Tak jak wtedy, kiedy podobno do niej przyszedł.

– Nie. Ale ona teraz wyjątkowo mało mówi. Prawie się do siebie nie odzywamy.

Marcin starał się oddychać spokojnie, żeby przyhamować serce galopujące w klatce piersiowej. Nie pomogło.

– Gdyby coś powiedziała, zadzwoń – rzucił. – Muszę już jechać.

– Dobrze. Ja jeszcze chwilę tu postoję.

Obiecywał sobie, a jednak wiedział, że kiedyś będzie musiał tam pójść.

Nie oglądając się, Marcin ruszył w kierunku przykościelnego cmentarza. I wtedy zadzwonił telefon.

Rozdział 72

Starszy posterunkowy Robert Makowiecki wchodził wolno po schodach budynku przy Ślężnej, z gromadą niezbyt wesołych myśli pod czaszką. Trochę inaczej wyobrażał sobie pracę w policji. Na długo wylądował za biurkiem. Do tego nie miał imponującego startu w komisariacie Wrocław Grabiszyn. Można powiedzieć, że jego początki były tragiczne. Prawie postrzelił się na policyjnej strzelnicy, wylał kawę na laptopa, czym skazał sprzęt na przedterminowe złomowanie, a na koniec spektakularnie rozbił policyjny radiowóz tuż przed samym komisariatem. Zagapił się i wjechał w tył autobusu MPK. Nic dziwnego, że szybko dorobił się wśród kolegów ksywki Makówa. Zapewne ksywa była wypadkową nazwiska i synonimu pustej głowy. Pięknie, kurwa, pięknie – pomyślał, pchając drzwi do całodobowego klubu fitness mieszczącego się w budynku.

Teraz komendant wysłał go na tę beznadziejną akcję. Podobno była supertajna, w komisariacie wiedziało o niej tylko trzech ludzi. We trzech na zmianę odwiedzali nocami dwa kluby fitness czynne non stop i obserwowali ćwiczących klientów. Podobno gość, którego szukali, był bardzo niebezpieczny. W razie gdyby spotkali kogoś podejrzanego, mieli nic nie robić, tylko dzwonić do jednego ze śledczych z wojewódzkiej. Robert Makowiecki po czterech nocach miał już dość. Był zmęczony, niewyspany i wątpił, czy poszukiwany w ogóle istnieje.

Poszedł prosto do szatni, przebrał się, zatrzasnął szafkę i powlókł się na salę. Nie mógł po prostu sięść pod ścianą i przez kilka godzin

obserwować ćwiczących. Żeby nie rzucać się zbyt w oczy, sam musiał trenować. Nigdy nie lubił siłowni, poza tym uważał, że w godzinach wieczornych albo nocnych ćwiczą tylko ludzie nieźle stuknięci. W tym czasie normalni obywatele odpoczywają po pracy i kładą się spać.

Dzisiaj na sali było kilka osób. Dwie osoby ćwiczyły na ergowiosłach, trzech mężczyzn wyciskało ciężary, na bieżniach nie było nikogo. Jeden facet szykował się do przejażdżki na stacjonarnym rowerze. Tego akurat Robert znał ze swoich poprzednich wizyt w klubie. Podszedł, zamienili ze sobą kilka zdań, potem gość przeprosił go, założył słuchawki na uszy i po chwili jechał po bezludnych górskich ścieżkach, nie ruszając się z miejsca. Robert z ociąganiem poszedł w kierunku bieżni. Uruchomił program niezbyt szybkiego marszu, do uszu wcisnął słuchawki. Audiobook z dobrym kryminałem dawał mu przynajmniej namiastkę prawdziwej pracy w policji.

Akcja książki toczyła się wartko, lektor tworzył doskonały klimat i Robert na dobre kilkanaście minut zatopił się w innym świecie. Ocknął się, gdy uświadomił sobie, że w kącie pomieszczenia ktoś używa ostatniej bieżni w rzędzie. Mężczyzna w cienkim swetrze z długimi rękawami i w czapce z daszkiem opuszczonym na twarz biegł już od dobrych kilku minut. Starszy posterunkowy Makowiecki spojrzał na niego i od razu wiedział, że to ten facet. Powietrze wokół niego jakby zgęstniało, poczuł nieprzyjemne dreszcze na plecach, a mięśnie nóg natychmiast odmówiły posłuszeństwa. Głos lektora w słuchawkach odpłynął gdzieś w dal i stał się niezrozumiały. Robert skupił się tylko na człowieku na bieżni. Biło od niego coś takiego, że od razu nabrał pewności. Nie mógł się mylić.

*

Marcin Zakrzewski przeszedł jeszcze kilka kroków i dopiero wtedy odebrał. Oparł się o maskę służbowego auta i wstrzymał oddech.

Doktor Irena Korcz była konkretna i od razu przeszła do sedna.

– Zgodność dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć – oznajmiła.

Marcin poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Spojrzał w kierunku cmentarza i krzyża w dawnym sadzie. Ojciec na szczęście jeszcze nie wracał.

– Co to znaczy? – Głos z trudem wydobył się z jego zaciśniętego gardła.

– Jesteście ze sobą spokrewnieni. Nawet bardzo blisko.

Zakrzewskiemu pociemniało w oczach. Jego serce zerwało się do galopu. Nie potrafił nad tym zapanować. Żyły zaczęły pulsować mu w skroniach ćmiącym bólem.

– Jak blisko? – usłyszał swój przytłumiony głos, jakby pochodził z samego dna piekieł.

„Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”.

– Dawid Skotnicki jest synem twojego brata albo siostry.

„Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”.

Zakrzewski nie potrafił już wypowiedzieć nawet jednego słowa. Odsunął telefon od ucha. Słyszał jeszcze zaniepokojony głos Ireny, lecz nie zareagował. Kiedy przerwał połączenie, otaczająca go rzeczywistość zniknęła. Był w innym świecie. Serce cały czas pompowało wściekle krew, która płynęła systemem tętnic do mózgu, gdzie napędzała wielkie młoty pneumatyczne walące w jego czaszkę. Wreszcie na wszystko spłynęła krwawa czerwień. Wściekłość zmieniła się w szaleństwo i stracił nad tym panowanie. Nic już się nie liczyło.

Do końca nie wierzył w takie rozwiązanie. Oszukiwał samego siebie. Teraz czas przestał płynąć, wszechświat zniknął, a Marcin trwał w czerwonej pustce zalewającej jego umysł.

Czekało go najgorsze z możliwych starć. Walka z samym sobą.

Starszy posterunkowy Makówa wpadł w panikę. Nie wiedział, co robić. Bieżnia nadal sunęła do przodu, a on podążał wraz z nią równym, niezbyt szybkim krokiem. Co chwilę zerkał w lewo na ostatnią maszynę i na poszukiwanego. Wreszcie przełknął ślinę i się opanował. Nie może zwracać na siebie uwagi. Musi zachowywać się normalnie. Nie może ciągle zerkać, bo w końcu tamten zorientuje się, że jest obserwowany.

Szedł jeszcze równe cztery minuty i wreszcie wyłączył bieżnię. Wyciągnął z uszu słuchawki i wytarł pot z czoła. Musi zachowywać się normalnie. Właśnie kończy trening, wolno schodzi z maszyny, wykonuje kilka ćwiczeń rozciągających, macha do znajomego na rowerze i wolnym krokiem idzie w kierunku szatni. Perfekcyjnie. Nikt by się nie domyślił. Postępuje profesjonalnie, być może będzie z niego jeszcze kiedyś dobry gliniarz.

Szatnia na szczęście była pusta. Szybko otworzył szafkę, znalazł telefon i wybrał numer. Rozmówca po drugiej stronie zgłosił się po dwóch sygnałach. Robert zdziwił się, słysząc głos kobiety.

– Tak, słucham?

Makowiecki starał się mówić rzeczowo i profesjonalnie. Nic z tego nie wyszło. Kiedy się odezwał, brzmiał raczej jak spanikowany Kaczor Donald.

– Poszukiwany jest w tej chwili na siłowni przy Ślężnej... – Przerwał, słysząc odgłos otwieranych drzwi.

Natychmiast się rozłączył. Powietrze w szatni zrobiło się gęste i osiadło mu na skórze warstwą wilgoci. Już wiedział, że to tamten. Wszedł za nim do szatni, a jeszcze przed momentem biegł w drugim końcu sali. Musiał się zorientować. Do jasnej cholery, jaki popełniłem błąd? – myślał rozpaczliwie. Nogi ugięły się pod nim z przerażenia. Nic nie widział, zasłonięty drzwiczkami szafki, ale słyszał kroki. Tamten szedł wolno w jego kierunku.

Makowiecki stał sparaliżowany strachem.

Czy naprawdę los cały czas czekał, aż Marcin Zakrzewski straci na chwilę czujność, żeby zadać mu ostateczny cios?

Wszystko było nie tak. Trzydzieści kilka lat życia okazało się nic niewarte. Prawda okazała się tak okrutna, że kiedy się ją poznawało, nie można było pozostać normalnym.

Muzyka. Led Zeppelin zaczęli grać swój nieśmiertelny hit, po chwili urwali w pół dźwięku.

Znowu muzyka, gitarowy riff, Robert Plant, wibracje i młoty pod czaszką.

I tak kilka razy.

Deszcz go otrzeźwił. Usłyszał ciężkie kroki od strony kamiennego krzyża. Wracał ojciec.

Marcin wskoczył do samochodu, odpalił silnik i ruszył ostro. Kamienie zagrały w nadkolach, opony ślizgały się po mokrym asfalcie, zanim złapały przyczepność. Nawet nie wiedział, kiedy znalazł się przy znaku końca wioski. Zjechał na lewo i zaparkował na udekorowanym kałużami placu przy dawnej piaskowni.

W głowie nadal miał czerwień i szaleństwo. Na szczęście przez tę zasłonę odgradzającą go od świata zaczęły już przebijać się pojedyncze myśli. Znowu muzyka, znowu Led Zeppelin i wibracje. Nie odebrał. Włączył za to radio w aucie, nastawił odbiornik na częstotliwość policji i słuchał. Dochodziły do niego krótkie i zwięzłe komunikaty. Grupa specjalna, zasadzka, zatrzymanie.

Opuścił głowę i oparł się czołem o kierownicę. Deszcz zabębnił o karoserię ze zdwojoną siłą, świat za przednią szybą spłynął i się rozmył.

Nadszedł czas na wielki finał. Prawdziwy Totentanz. Najrealniejszy taniec śmierci, w którym w parze z Ponurą Panią zatańczy sam komisarz Marcin Zakrzewski. Nie będzie kamer, nikt nie wrzuci filmu na YouTube, nie będzie miliona wyświetleń.

Gitara, wokół, wibracje, młoty pod czaszką. Krwawa czerwień.

Jeszcze przez chwilę nasłuchiwał komunikatów, kilka razy pojawił się jego kryptonim. Potem wysiadł na chwilę z auta, sięgnął do

bagażnika i włożył pod kurtkę kamizelkę kuloodporną. Po chwili odpalił silnik, włączył wycieraczki i ruszył wąską drogą w kierunku Świętego i Komornik.

*

Kroki zatrzymały się, szczęknął zamek szafki tuż obok niego, a potem zapadła cisza. Makowiecki czekał jeszcze chwilę na drżących nogach, wreszcie się zdecydował. Zamknął swoją szafkę. Jeśli spodziewał się widoku lufy pistoletu wycelowanej w jego głowę, pomylił się. Tamten siedział trzy metry od niego na ławce, popijając wolno wodę z butelki. Ich spojrzenia na chwilę się skrzyżowały. Makowa zobaczył jego intensywnie niebieskie oczy. Skinął mu głową, jakby zobaczył znajomego z siłowni. Daszek czapki pochylił się na moment w odpowiedzi. Starszy posterunkowy nie zwracał już uwagi na poszukiwanego. Wolno, celebrując każdy ruch, przebrał się, spakował torbę, zamknął na klucz szafkę i wyszedł z szatni.

Zbiegł po kilku schodkach i znalazł się na parkingu. Usłyszał gwizdnięcie. Dwie policjantki stały ukryte za białym busem. Poszedł w tamtą stronę.

– Ty dzwoniłeś? – zapytała trochę niższa, z ciemnymi włosami związanymi z tyłu w koński ogon.

Skinął głową. Poczuł się dziwnie, widząc, że są ubrane w kamizelki kuloodporne, a w dłoniach trzymają odbezpieczoną broń skierowaną lufą do dołu. Naraz z tyłu pojawił się dowódca oddziału antyterrorystów w pełnym rynsztunku bojowym.

– Co on teraz robi? – rzucił.

– Jest w szatni – odpowiedział szybko Makowiecki. – Prawdopodobnie zaraz będzie wychodził.

– Okej. – Antyterrorysta okręcił się na pięcie i powiedział coś przez krótkofalówkę.

Druga policjantka położyła Robertowi dłoń na ramieniu.

– Dzięki! Dobra robota – powiedziała. – A teraz lepiej, żeby cię tu nie było.

Starszy posterunkowy Robert „Maków” Makowiecki ruszył chodnikiem w kierunku najbliższego przystanku tramwajowego. On też chciał już znaleźć się gdzie indziej.

Rozdział 73

Wszyscy byli na stanowiskach. Minuty wlekły się, jakby wszystkie zegary nagle się zbuntowały i postanowiły zrobić sobie wolny wieczór. Karina Buczko zdrętwiała, gdy na parking podjechało tuningowane bmw, z którego wysiadło trzech roześmianych gości o wielkich gabarytach. Rozmawiając głośno, wyciągali z bagażnika torby. Najwyraźniej też przyjechali do klubu poćwiczyć.

– Szybciej, szybciej – pogoniła ich szeptem.

Siedząca w samochodzie tuż obok nich Ilona Marzec odprowadziła ich ponurym wzrokiem.

Gdy tylko drzwi za trzema miłośnikami wyciskania ciężarów się zamknęły, pojawił się w nich wysoki mężczyzna w szarej kurtce i czapce z daszkiem.

– To on – powiedziała Karina do krótkofalówki.

Satyr zrobił kilka kroków i wtedy nie wiadomo skąd wyłoniło się przed nim trzech ludzi z karabinami gotowymi do strzału.

– Nie ruszaj się!

– Ręce na kark!

Satyr zatrzymał się. Antyterroryści byli coraz bliżej. Pięć metrów. Trzy.

– Na kolana!

– Ręce! Rzuć torbę!

Wypuszczona z dłoni torba wylądowała na schodach. Antyterroryści byli już dwa kroki od niego. Jeden zatrzymał się z tyłu, a dwóch chciało powalić go na ziemię. Wtedy stało się coś, czego Karina nie zdążyła zarejestrować. Satyr wykonał gwałtowny ruch,

jakby obracał się na pięcie w dziwnym piruecie. Funkcjonariusz, który był najbliżej niego, stracił równowagę i runął na bok. Satyr doskoczył do drugiego, zadał mu dwa błyskawiczne ciosy, potem chwycił go za rękę z karabinem, okręcił i zrobił sobie z niego żywą tarczę.

– Ognia! – wrzasnął z boku Rafalski.

Było za późno. Nikt nie otworzył ognia, bali się trafić kolegę. Tymczasem Satyr skierował karabin na tego, który został w tyle, żeby ich osłaniać.

– Kurwa! – wrzasnął ten trzeci, rzucając się w bok.

Długa seria z karabinu przecięła miejsce, w którym przed chwilą stał, ale i tak dwa pociski dosięgły jego kamizelki kuloodpornej. Jęknął, kiedy uderzenia pozbawiły go oddechu. Karina ukryta za samochodem zdała sobie sprawę, że spartaczyli zatrzymanie. Jak to się, do cholery, stało? Satyr znowu był górą. Widziała, jak kolejne czarne sylwetki przemykają w półmroku, żeby zająć lepsze pozycje do strzału.

– Poddaj się! – wrzasnął Rafalski. – Nie masz szans!

Wtedy Satyr ukryty za bezwładnym ciałem znowu nacisnął spust. Tym razem przejechał serią od prawej do lewej, celując w miejsca, gdzie kryli się policjanci. Przy okazji kule rozbiły szyby i włączyły alarmy w kilku samochodach zaparkowanych na parkingu przed klubem. Karina padła na ziemię, na jej głowę posypały się drobinki szkła. Spojrzała w kierunku samochodu Ilony. Zobaczyła tylko otwarte drzwi. Zanim jeszcze Satyr przestał strzelać, pobiegła w bok, potem na tyły budynku, w którym znajdowała się siłownia. Dalej było kilka bloków mieszkalnych, a jeszcze dalej park Skowroni. Domyśliła się, że jedyną drogą ucieczki dla Satyra będzie właśnie ta droga. Gdy była już po drugiej stronie budynku, odezwała się kanonada kilku karabinów. Pewnie Satyr puścił policjanta i spróbował ucieczki.

Biegła ulicą Brossa, po lewej stronie miała trzy bloki. Minęła pierwszy, skręciła, przebiegła między drugim a trzecim i popędziła dalej w kierunku parku. Chodniki były oświetlone tylko światłami

z okien domów, deszcz przestał trochę padać. Przed sobą zobaczyła biegnącego Satyra. Był prawie przy ciemnej linii parku. Już miała złożyć się do strzału, gdy zobaczyła, że ktoś wyłania się z boku i skacze na niego. Ilona! Satyr stracił równowagę i upadł, gubiąc karabin. Walka w parterze trwała tylko chwilę. Ilona wylądowała w rabatce z kwiatami pod balkonami pobliskiego bloku, a Satyr zerwał się, przebiegł jeszcze kilka kroków i trafił na ogrodzenie z siatki. Karina była już bardzo blisko. Wykonał ruch, jakby chciał ją przeskoczyć, kiedy nacisnęła spust. Rozległ się ostry huk wystrzału. Satyr znieruchomiał.

*

– Odwróć się i ręce na kark! – wychrypiąta, oddychając ciężko. Jej głos zabrzmiał zupełnie inaczej niż wtedy w szpitalu. Pewniej i bardziej zdecydowanie.

Satyr odwrócił się i spojrzał na nią błękitnymi oczami. Na jego twarzy nie było żadnego grymasu, ale dałaby sobie rękę obciąć, że w tych oczach przez chwilę błysnęło rozczarowanie.

– Tym razem się nie zawaham i strzelę!

Zrobił krok w jej kierunku. Znowu nacisnęła spust. Celowała o wiele bliżej. Tak blisko, że pewnie poczuł pęd pocisku mijającego jego głowę. Ciężkie buty zadudniły o bruk, zza pleców Kariny wyskoczyły cztery ciemne postacie i zwały się na Satyra. Nie miał szans. Po sekundzie leżał twarzą do ziemi, skuty wysoko na plecach kajdankami. Czapka spadła mu z głowy i widać było przydługie jasne włosy.

Karina poczuła ulgę. Westchnęła, zabezpieczyła pistolet i włożyła go do kabury. Obok niej stanęła Ilona Marzec. Z rany nad prawym uchem krew spływała stróżką na brudny policzek.

– W porządku? – zapytała Karina.

– Drobiazg. – Ilona wzruszyła ramionami.

Rafalski i jego ludzie dźwignęli Satyra na nogi i ruszyli z nim w kierunku Ślężnej. Trzymali go za kark, szedł pochylony prawie do samej ziemi. Policjantki poszły szybko za nimi. Karina wyciągnęła telefon i znowu próbowała dodzwonić się do Zakrzewskiego. Po kilku sygnałach po raz kolejny włączyła się skrzynka. Klnąc, schowała aparat do kieszeni.

– Cholera, gdzie on zniknął w takim momencie? – jęknęła.

Ilona pokazała odznakę ludziom, którzy wyszli na chodnik, by bliżej przyjrzeć się akcji.

– Policja! – krzyknęła z wyraźnym zniecierpliwieniem w głosie. – Proszę się rozejść i nie robić zbiegowiska!

Na parkingu przed klubem fitness stały już dwa radiowozy, migając niebieskimi światłami. Przed budynkiem właśnie zajechała karetka pogotowia. Z oddali słychać było syreny kolejnych wozów, które zjeżdżały się z całej dzielnicy.

Ilona poczęstowała Karinę papierosem i po chwili obie paliły, patrząc na grupę Rafalskiego. Satyr znowu leżał z twarzą wciśniętą w płyty parkingu. Dwóch ludzi klęczało mu na plecach. Rafalski wściekał się, ponieważ ich furgonetka miała przestrzelone opony. Czekali na inny radiowóz, żeby przewieźć Satyra do aresztu śledczego na Podwalu.

– Ale amatorszczyzna – westchnęła Ilona.

– Bekniemy za tę akcję – podsumowała Karina.

– My? Nam powinni postawić dobrą wódkę. To Rafalski spierdolił.

– Miałyśmy więcej szczęścia niż rozumu. Przecież to Satyr. Jeden z najbardziej poszukiwanych zabójców w Europie. – Karina spojrzała na Ilonę. – Skąd wiedziałaś?

– Domyśliłam się, że będzie uciekał w kierunku parku. I ty chyba też.

Satyr pakowali właśnie do transportera w barwach policji, z szybami zabezpieczonymi zewnętrzną kratą. Mundurowy policjant siedział za kierownicą, antyterrorysty wsiadali razem z zatrzymanym

na tył pojazdu. Ruszyli, auta na Ślężnej przyhamowały i płynnie włączyli się do ruchu.

– Jedziemy za nimi! – rzuciła Karina.

Ich samochód miał wybite boczne szyby, ale Karina usiadła za kierownicą i zaczęła jechać za transporterem. Musiały chwilę poczekać, zanim auta ustąpiły im miejsca, więc zostały nieco w tyle. Widziały z przodu, że policyjny wóz zatrzymuje się na światłach na pasie do skrętu w Wiśniową. Po chwili same przyhamowały.

Ilona wyciągnęła chusteczkę i starała się zatamować krew z rozcięcia nad uchem. Przy okazji starta sobie brud z policzka.

– Ciekawe, czy pod aresztem już na nas czekają – odezwała się, oglądając ranę we wstecznym lusterku.

– Kto?

– Ci ze stolicy, żeby przejąć Satyra. Cholera, my się narażaliśmy, a te dupki odtrąbią sukces, nie wspominając nawet o naszej ciężkiej pracy.

– Mam to gdzieś. – Karina wzruszyła ramionami. – Najważniejsze, że ten świr trafi za kraty.

Ruszyły, lecz zanim dojechały do skrzyżowania, światła się zmieniły. Karina musiała się zatrzymać. Widziały policyjne auto skręcające w Wiśniową.

– Odupść mu już – powiedziała Karina. – Marcinowi.

– Dla mnie najważniejsze jest zaufanie. – Ilona skrzywiła się, wycierając sobie krew z włosów. – Zakrzewski z nami pogrywał. Wiedział więcej, niż nam mówił. I jeszcze go puścił.

– Skąd wiesz, że go puścił?

– Przecież widziałam.

– Gówno widziałaś, było ciemno – burknęła Karina. – Chciał nas chronić.

Skręciły w Wiśniową i Karina przyspieszyła. Radiostacja w aucie zazgrzytała i odezwał się dyżurny:

– Wypadek policyjnego busa na skrzyżowaniu przy Sky Tower! Ulica zablokowana. Świadkowie słyszeli strzały!

– Jasny gwint! – Karina wystawiła na dach koguta i wcisnęła gaz do dechy.

Z piskiem opon skręciły w Sudecką i mknęły w kierunku ronda na placu Powstańców Śląskich. Ilona, klnąc pod nosem, wyjęła pistolet i sprawdziła liczbę naboji w magazynku. Przemknęły przez rondo, lawirując między autami. Kiedy dojeżdżały do Sky Tower, widziały już na skrzyżowaniu przewrócony samochód, którym Rafalski wiozł Satyra. Skrzydło tylnych drzwi było uchylone. Ze środka wyczołgiwał się jeden z antyterrorystów. Wokoło nie było nikogo, kto próbowałby mu pomóc. Po chwili zrozumiały dlaczego.

Postać z jasnymi włosami stała kilkanaście metrów dalej na pasie w przeciwnym kierunku i ostrzeliwała leżący pojazd. Do ich uszu dobiegł jednostajny warkot karabinku. Szyby w aucie eksplodowały, z silnika buchnął biały dym.

– Kurwa! – krzyknęła Ilona.

Stojące przed nimi na dwóch pasach auta zablokowały ruch. Mogły tylko obserwować z daleka.

– Dzwon po wsparcie! – wrzasnęła Karina i wyskoczyła z samochodu. Przebiegła kilkanaście metrów po krawężniku między jezdnią a siatką oddzielającą przystanek tramwajowy od ulicy. W tym czasie Satyr zaczął uciekać w przeciwną stronę, w kierunku ronda. Przystanęła, oparła się o ogrodzenie i wycelowała. Po chwili zakłęta i zrezygnowała ze strzału. Gdyby Satyr odpowiedział ogniem, mogliby zginać ludzie siedzący w autach za jej plecami. Przeskoczyła jedno ogrodzenie, przebiegła tory, wpadła na przeciwległy pas jezdni i ruszyła chodnikiem za szybko oddalającą się sylwetką. Znowu chciała strzelić, ale przed uciekającym zobaczyła dwie osoby.

Po dwustu metrach sprintu mięśnie nóg zaczęły ją palić ogniem. Zacisnęła zęby, starając się utrzymać stałe tempo. Miała dobrą kondycję, jednak dodatkowe osiem kilogramów kamizelki kuloodpornej robiło swoje. Coraz bliżej słyszała syreny policyjnych aut. Kilka sekund później jeden z radiowozów chciał zajęchać

Satyrowi drogę na rondzie. Ten, nie zatrzymując się, strzelił. Policjant za kierownicą odbił w lewo, radiowóz podskoczył na krawężniku, przejechał przez żywopłot i zatrzymał się na drzewie. Satyr biegł już w kierunku Sudeckiej. Karina widziała daleko przed sobą jego wyprostowaną wysoką sylwetkę i jasne włosy falujące przy każdym kroku. Kątem oka dostrzegła niebieskie światła kilku radiowozów wjeżdżających na skrzyżowanie z różnych kierunków. Za późno – jęknęła w duszy. Nie dam rady.

Zaczęła zwalniać. Na Sudeckiej została znacznie w tyle, już prawie nie widziała Satyra. Ze skrzyżowania z Wiśniową dojrzała światła dwóch radiowozów. Potem usłyszała krzyki i dwa wystrzały. Zaciśnęła szczęki i przyspieszyła.

Przy kościele Świętego Augustyna dogoniła ją Ilona. Razem zbliżyły się do policyjnych wozów. Policjanci przyczaili się za otwartymi drzwiami.

– Gdzie on jest?! – wrzasnęła Ilona, zatrzymując się i z trudem łapiąc oddech.

Policjant wskazał za jej plecy.

– Przeskoczył przez ogrodzenie szpitala.

– Trafiliście go? – zapytała Ilona.

– To były strzały ostrzegawcze – powiedział drugi.

– Kurwa mać! – zaklęła Ilona. – Zostańcie tu! Wezwijcie pomoc. Niech inne radiowozy okrążą teren ze wszystkich stron. I nie wchodźcie za nami. Chyba że przyjedzie wsparcie!

Pobiegły w kierunku bramy zlikwidowanego szpitala i sprawnie ją przeskoczyły. Stały przed uchylonymi drzwiami, z których ktoś zerwał dużą kłódkę. Popatrzyły sobie w oczy, skinęły głowami i osłaniając się wzajemnie, wślizgnęły się do środka.

Ogołoczone ze sprzętów wnętrze sprawiało upiorne wrażenie. Zwłaszcza że oświetlało je tylko światło ulicznych latarni wpadające tu przez duże okna, umieszczone wzdłuż korytarzy.

Stały po obu stronach drzwi, przyzwyczajając oczy do półmroku. Po kilkunastu sekundach Karina ruszyła w kierunku

schodów prowadzących na wysoki parter. Przeskoczyła kilka stopni i ukryła się za załomem muru. Prosto ciągnął się korytarz z szeregiem otwartych drzwi po prawej stronie. Po przeciwnej miała klatkę schodową. Zanim Ilona do niej dołączyła, usłyszała trzask, a zaraz potem seria z karabinu odłupała tynk nad jej głową. Karina schyliła się, potknęła i zjechała na plecach po kilku schodach. Zaraz się zerwała na nogi. Na pierwszym piętrze rozległo się echo oddalających się kroków.

Ilona już była przy niej.

– W porządku? – zapytała.

– Tak – rzuciła. – Ucieka.

Na piętrze światła było trochę więcej. Miały przed sobą długi korytarz z uchylonymi drzwiami, identyczny jak ten na dole. Ubezpieczając się wzajemnie, posuwały się wolno przed siebie, zaglądając do każdej sali. Nigdzie nie było ani śladu Satyra.

Zatrzymały się w pokoju wyłożonym zielonymi kafelkami. Z sufitu wciąż zwisały wielkie lampy, które mogły służyć do oświetlania stołu operacyjnego. Znajdowało się tu jeszcze dwoje drzwi prowadzących do innych sal, a jedna ze ścian była przeszklona. Pomieszczenie za szybą ginęło w zupełnych ciemnościach.

– To nie ma sensu. – Ilona pokręciła głową. – Satyr jest już daleko.

– Mam nadzieję, że obstawili szczelnie teren – mruknęła Karina.

– Sama nie wierzysz w to, co mówisz. – Przez twarz Ilony przemknął ironiczny uśmiezek. – Kto to niby miał zrobić? Ci mundurowi z patrolu?

Karina Buczko musiała przyznać jej rację. Pewnie była tu już połowa policji z miasta, ale brakowało kogoś, kto orientowałby się w sytuacji i wydałby odpowiednie polecenia. Może zrobiły błąd, że nie zostały przed budynkiem? Na złapanie Satyra i tak nie miały szans.

Już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale za plecami, w pokoju za szybą usłyszała trzask. Widziała, że Ilona patrzy ponad jej

ramieniem i jej oczy się rozszerzają. Odwróciła się. Na ułamek sekundy mignęła jej czarna, wysoka sylwetka mężczyzny.

Ilona odepchnęła Karinę, ta straciła równowagę i upadła na wykafelkowaną podłogę, upuszczając pistolet, który potoczył się w kąt. Zanim to jednak nastąpiło, Ilona dwa razy strzeliła. Walther huknął ostro, szyba rozprysła się z brzękiem i jej kawałki posypały się po całej podłodze. Ilona nie zdążyła wystrzelić trzeci raz, ponieważ odezwał się drugi pistolet. Kula rozbiła kafelki na ścianie tuż nad głową Ilony, która odruchowo schyliła się i skoczyła w bok, żeby zejść z linii drugiego strzału. Ale kolejnego strzału nie było. Na Ilonę zwałił się wielki kształt. Jęknęła. Dwa splecione w walce ciała potoczyły się po podłodze. Gwałtowne starcie w parterze zakończyło się bardzo szybko. Policjantka krzyknęła z bólu, a napastnik wykręcił jej rękę z pistoletem. Palce rozluźniły się, broń wypadła. Przeciwnik poderwał Ilonę w górę i pchnął na ścianę. Uderzyła w nią plecami i głową i osunęła się na podłogę. Nie wyglądała na ranną, tylko oszołomioną.

Karina czołgała się do pistoletu leżącego w kącie, ale znieruchomiła. Dlaczego strzelał z pistoletu, a nie z karabinu? Dlaczego był inaczej ubrany? To nie był Satyr!

– Marcin! – krzyknęła. – Co ty robisz?!

Znieruchomiał. Zobaczyła jego twarz w słabym świetle ulicznych latarni i się przestraszyła. Wyglądał przerażająco. Zaciśnięte usta, blada twarz, w której nienaturalnym blaskiem lśniły oczy. Nie wyglądały już na błękitne, jakby poszarzały.

Podniósł pistolet i wycelował w nią. Karina poczuła się nierealnie, jak gdyby to wszystko było tylko projekcją z koszmaru.

– Oddaj mi broń! – Nie poznała jego zachrypniętego głosu wydobywającego się z zaciśniętej krtani. Zobaczyła, że w drugiej ręce też ma pistolet i celuje w siedzącą na podłodze Ilonę.

– Marcin...

– Broń! – warknął. – Pchnij po podłodze.

Zrobiła, co kazał. Zatrzymał pistolet butem. Próbowwała coś powiedzieć, lecz uprzedziła ją Ilona. W jej oczach skierowanych na Zakrzewskiego nie było już niechęci, ale gorąca nienawiść.

– Ty cholerny skurwysynu! – krzyknęła. – Wiedziałam, że jesteś z nim w zмовie. Wiedziałam!

– Ilona, to nie jest tak – odpowiedział jej Marcin z takim spokojem, że Karina znowu drgnęła zaskoczona. – To nie jest wasza sprawa.

– Co ty pierdolisz?! A czyja?

Stał na środku, spoglądając to na jedną, to na drugą.

– To jest potwór – mówił cicho. – Ścigamy potwora. Nie mogę pozwolić, żeby wam się coś stało.

– Marcin, o czym ty gadasz? – nie wytrzymała Karina.

– Nie pozwolę wam się do tego mieszać. To sprawa między mną a nim.

– Marcin, kurwa, to nasza sprawa!

Ilona prychnęła ze złością.

– Nie widzisz, że mu zupełnie odwaliło? – I dodała złośliwie: – Chce nas bronić. Pierdolony rycerz na białym koniu.

Zakrzewski pokręcił głową.

– Nie – szepnął jakby sam do siebie. – To jest tylko i wyłącznie moja sprawa. Ten potwór jest w połowie mną.

– O czym ty mówisz?

Marcin jakby obudził się z letargu. Bez słowa dał Karinie znać, żeby wstała i usiadła obok Ilony. Karina z ociąganiem wykonała polecenie. Lada moment mogło tu dotrzeć wsparcie. A może lepiej, żeby nie spotkali się teraz z Zakrzewskim? W tym stanie mógłby zareagować nieprzewidywalnie. Rzucił im kajdanki.

– Skujcie się – rozkazał. – Przez rurkę kaloryfera.

Karina zatrzasnęła obrączki kajdanek.

– Jesteś skończony, Zakrzewski – wycedziła przez zęby Ilona Marzec.

Marcin sprawdził jeszcze, czy na pewno są dobrze unieruchomione. Nachylił się i popatrzył Karinie w twarz wzrokiem

szaleńca.

– Przepraszam – powiedział jeszcze. – To mój potwór. Połówka tego samego jabłka.

Aspirant Karina Buczko zrozumiała i poczuła dreszcz na plecach. Marcina już nie było. Słyszały jeszcze, jak biegnie korytarzem, i potem władzę nad szpitalnymi wnętrzami znowu przejęła nienaturalnie upiorna cisza.

Ilona szarpnęła kajdankami. Ciszę zburzył metaliczny odgłos.

– Nie rzucaj się – rozkazała Karina.

Wyjęła spinkę z włosów, odpowiednio zagięła końcówkę na kafelkach podłogi i wsadziła ją do zamka w kajdankach.

– Kajdanki nie powinny być wielkim problemem – uśmiechnęła się do Ilony.

Mimo przechwałki próbowała kilka razy i udało jej się dopiero po dobrych trzech minutach.

Na korytarzu natknęły się na grupę uzbrojonych policjantów przeszukujących szpital. Kiedy schodziły po schodach, Ilona wciąż była wściekła na Zakrzewskiego.

– To jego koniec w policji – warczała, kiedy były na półpiętrze.

Karina nagle chwyciła ją za ramię, przycisnęła do ściany i zajrzała w oczy.

– Jeszcze nic nie rozumiesz? – syknęła.

– Co mam rozumieć? Że niby chciał nas chronić? To jakaś bzdura! – Ilona wyszarpnęła się z uścisku. – Tobie też odwaliło?

– Ten potwór to jego brat.

Ilona wpatrywała się w nią z pobladłą twarzą.

– Jak to?

– Wasyl Prokop zabił swojego syna Stanisława i ukrył go w piwniczce. Potem przywiózł do domu innego chłopca. To był Ryszard Zakrzewski, brat bliźniak Marcina, który cudem przeżył spotkanie z mordercą ze Szczepanowa. Jego ciała przecież nigdy nie znaleziono.

Karina zbiegła szybko ze schodów. Ilona stała jeszcze długą chwilę, patrząc za nią.

Rozdział 74

Satyr w kilkanaście minut dotarł do samochodu stojącego na ulicy Dawida. Wysłużony passat nie rzucał się oczy. Kluczyki były ukryte w nieprzemakalnym woreczku przyklejonym do podwozia, pod drzwiami od strony kierowcy.

Wsiadł, przekręcił kluczyk w stacyjce, lecz nie odpalił silnika. Odetchnął głęboko i przymknął oczy. Jak to się stało, że policja czekała akurat w tym miejscu? Skąd dowiedzieli się, że korzysta z siłowni? Co przegapił? Przeanalizował ostatnie dni. Ukraińcy! Skrzywił się z niesmakiem. Tylko oni mogli mieć takie informacje.

Ulicą przemknął radiowóz na sygnale. W oddali słychać było wściekłe odgłosy innych policyjnych aut i karettek pogotowia. Spojrzał we wsteczne lusterko i starł kropki krwi z policzka. Wiedział, że musi szybko zniknąć, ale przecież nie on podejmował takie decyzje. Decydował zawsze ten drugi. Tamten wiedział, co należy zrobić w sytuacji zagrożenia. Przymknął oczy, odprężył się i po chwili opadły mu ramiona. W rękach pojawił się nieznośny ból. Bolały blizny po ranach, które zadawał sobie przez całe życie. Bolały szczególnie, gdy nie miał przy sobie protez. Obserwator otworzył oczy, oparł głowę o fotel i zastygł w bezruchu wpatrzony w przestrzeń.

*

Satyr ocknął się i spojrzął na zegarek. Minęły dopiero trzy minuty. Jakby zapadł w sen bez marzeń, na kilkadziesiąt sekund przestał

istnieć. Jak zwykle, kiedy zjawiali się oni. Na siedzeniu pasażera zobaczył kartkę wyrwaną z notesu leżącego w skrytce auta i obok długopis. Przeczytał i zrozumiał. „Czas zrzucić za ciasną skórę”.

Poczuł dreszcz podniecenia. Zrobił tak już dwa razy. Przed laty jako młody chłopak spalił swoje stare życie w tamtym domu, a później, już w Czeczenii, spalił swoje drugie życie wraz z kilkoma chatami wieśniaków, czeczeńskimi bojownikami i rannymi kolegami z oddziału, których nie mógł uratować. Za każdym razem zaczynały się dla niego lepsze czasy. Wiedział, co ma robić. Benzynę zawsze woził w bagażniku. Odpalił silnik i ruszył.

*

Marcin Zakrzewski minął Leśnicę. Wcisnął gaz do dechy, a podrasowany silnik służbowego auta ryczał na wysokich obrotach. Ruch był niewielki, mógł jechać naprawdę szybko. Po raz dziesiąty wybierał numer ojca. Za każdym razem operator informował go, że aparat jest wyłączony albo przeniósł się w taki zakamarek świata, gdzie nie docierają sieci telefonii komórkowej. Wreszcie Marcin zadzwonił w jeszcze jedno miejsce.

*

Michał Zakrzewski wrócił z ostatniego spaceru z psem około dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć. Zajrzał do żony. Leżała w ciemnościach z otwartymi oczami, więc nic nie powiedział. Tina poszła od razu na swoje posłanie i zwinęła się w kłębek. On powlókł się do łazienki i umył zęby. Położył się spać kilka minut po dwudziestej drugiej. Nie zdążył zasnąć. Dzwonek do drzwi był natrętny i brzmiał inaczej niż zwykle. Jak alarm. Pies warknął i pobiegł pod drzwi. Zakrzewski senior podniósł się z trudem, włożył kapcie i poszedł otworzyć.

– Ki diabeł? – mruknął pod nosem.

Spojrzał przez wizjer. Po drugiej stronie zobaczył niewyraźną sylwetkę ledwo majaczącą w słabym świetle pobliskiej latarni. Cholera, czujnik w lampie przy drzwiach się zepsuł, Zakrzewski senior już od kilku dni zbierał się, żeby kupić nową. Nie kupił.

Jeszcze chwilę się wahał, wreszcie otworzył drzwi.

*

Karina Buczko stała na uboczu i paliła papierosa. Nie interesowało jej zamieszanie pod bramą dawnego szpitala kolejowego. Kilka radiowozów, jeszcze więcej nieoznakowanych aut, technicy, karetka, brygada specjalna. Tak jak przypuszczała, zaraz zjawili się CBŚ i przejęło śledztwo. Za rozciągniętymi policyjnymi taśmami gromadził się wianuszek gapiów. Zjechali się przedstawiciele wszystkich najważniejszych mediów. Słyszała, że jedzie do nich nie tylko Godlecki, ale i sam komendant wojewódzki. Zrobił się niezły burdel.

Zgasiła jednego papierosa i zapaliła następnego. Musiała się uspokoić i pomyśleć, gdzie teraz może być Zakrzewski. Po kilku minutach była już pewna, dokąd pojechał.

Nie rzucając się specjalnie w oczy, przeszła między autami i odnalazła Ilonę Marzec.

– Daj mi kluczyki do auta – powiedziała.

Nie patrzyły na siebie. Ilona podała jej kluczyki, Karina odwróciła się na pięcie i poszła w kierunku znajomego policjanta, który stał przy swoim aucie patrolowym.

– Podwiesz mnie? – zapytała.

– Wskakuj.

Służbowy samochód z wybitymi bocznymi szybami ciągle stał zaparkowany na Powstańców Śląskich. Skrzyżowanie nadal było zamknięte, przy leżącym na boku transporterze kręcili się technicy i funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego.

*

Telefon zadzwonił, kiedy dojeżdżał do Komornik.

– U twoich rodziców wszystko w porządku – usłyszał w słuchawce głos znajomego policjanta z komendy w Środzie Śląskiej. – Rozmawiałem z twoim ojcem. Mama już śpi, a on właśnie się kładzie.

Marcin poczuł ulgę.

– Dziękuję ci, Rafał. Jestem twoim dłużnikiem – powiedział.

– Daj spokój, Marcin, jeździłem akurat z patrolem po okolicy, to zajechałem. Żaden problem.

– Jeszcze raz dziękuję.

Marcin Zakrzewski rzucił telefon na siedzenie pasażera i skupił się na prowadzeniu auta. Znacznie zwolnił. Do Komornik wjechał z przepisową prędkością, chociaż ruch na drodze był o tej porze niewielki. Po paskudnym deszczowym dniu nie pozostał nawet ślad. Nadchodząca noc niosła ze sobą zmianę pogody. Chmury się przeredziły, błysnęły gwiazdy i intensywnie zaświecił wielki księżyc w pełni. Komputer auta pokazywał tylko dziewięć stopni.

Marcin powinien już się uspokoić, jednak stres go nie opuszczał. I cholernie drażniące przeczucie, że wydarzy się coś niedobrego.

*

Michał Zakrzewski pożegnał policjanta, który zapukał do jego drzwi. Był trochę zdziwiony nieoczekiwaną wizytą. Bardziej nawet zaniepokojony niż zdziwiony. Patrzył jeszcze przez okno na odjeżdżający samochód w policyjnych barwach, po czym obszedł cały dom, sprawdzając stan wszystkich drzwi i okien. Trochę spokojniejszy wrócił do łóżka. Po chwili przyszła do niego Tina i położyła się obok na podłodze. Leżał chwilę i wreszcie zasnął.

Pierwszy sen jak zwykle miał bardzo mocny. Usłyszał brzęk, zarejestrował, że pies gwałtownie się zrywa, warczy, a potem milknie, lecz się nie obudził. Znowu odpłynął w głębszy sen. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niego, że te odgłosy nie były normalne.

Otworzył gwałtownie oczy. Ktoś nad nim stał. Wysoka ciemna postać z jaśniejszymi włosami.

– Marcin? – szepnął.

Minęło kilka sekund, zanim zrozumiał swoją pomyłkę. Dopiero szarpnięcie za piżamę na piersiach wywołało pierwszą falę strachu. To nie był Marcin. Jakiś inny, bardzo silny mężczyzna szarpnął nim, a potem przyłożył mu pistolet z tłumikiem do czoła. Nachylił się przy tym i wtedy poświata księżycy wpadająca przez okno oświetliła jego twarz. Zakrzewski senior zdrętwiał. Maską bez wyrazu i intensywnie błękitne oczy, na których dnie czaiła się pustka. Te oczy zrobiły na Michale największe wrażenie. Marcin też miał takie. Błękitne, przezrzyste... Takie same, tylko malowały się w nich normalne ludzkie uczucia.

– Wstawaj – syknął napastnik.

Zakrzewski z trudem dźwignął się na nogi. Zatoczył się i byłby upadł, gdyby nie przytrzymała go twarda jak skała dłoń.

– Idź. – Kolejne syknięcie i bolesne pchnięcie lufą pistoletu w żebra.

Michał poszedł posłusznie do kuchni, potem otworzył drzwi do pokoju, gdzie spała żona. Ale Zofia Zakrzewska nie spała. Patrzyła przed siebie błyszczącymi w półmroku oczami.

Michał pchnięty gwałtownie w plecy poleciał na nią, potem złapał równowagę i usiadł na łóżku. Mężczyzna został w kuchni. Nie widzieli jego twarzy, tylko blask księżycy odbijał się w długiej lufie pistoletu skierowanego w ich stronę. Tina zaczęła warczeć na Satyra, błyskając białymi kłami. Popatrzył na nią obojętnie i jego wzrok znowu powędrował w kierunku kobiety i mężczyzny. Czas zwolnił, jakby w klepsydrze zatkała się szczelina i piasek przestał się przesypywać.

– Po co tu wróciłeś, synu? – zapytała Zakrzewska cichym głosem. Pod wpływem tego głosu Satyr wyraźnie drgnął. Michał Zakrzewski wytrzeszczył na nią oczy ze zdziwienia.

– Powiedziałaś: synu? – szepnął i chwycił dłoń żony. – Zośka, kto to jest? Kto to, do diabła, jest? Mów!

– To Rysiek – powiedziała spokojnie. – Mówiłam ci, że żyje i wrócił.

Zakrzewski senior puścił jej dłoń. Wstał, wykonał nieokreślony gest, po czym znowu usiadł, bo zabrakło mu sił.

– Rysiek? – szepnął z niedowierzaniem. – Nasz Rysiek?

Nagromadzone przez lata emocje znalazły ujście. W betonowej tamie zbudowanej przez zrozpaczonego ojca po zaginięciu syna, która na zawsze miała odgradzić jego prawdziwe emocje od realnego świata, zrobiła się szczelina. Emocje trysnęły. Twarz mu poczerwieniała, ręce zaczęły się trząść, po policzkach potoczyły się łzy.

– Rysiek – powtórzył jeszcze słabym głosem i już nie mógł wykrztusić ani jednego słowa.

Satyr patrzył na tych starych ludzi, którzy nie powinni go wcale obchodzić, i znowu poczuł się dziwnie. Jak poprzednim razem. Dłoń na rękojeści pistoletu zaczęła się pocić, lufa opadła o kilka centymetrów.

Zakrzewska pogłaskała męża po plecach.

– Tak, to nasz Rysiek. – Pokiwała głową. – Ale on teraz jest zły i postanowił nas zabić.

Pies zawarczał głucho.

– Chce nas zabić? – Zakrzewski nie dowierzał. – Dlaczego?

Żona, nie przestając go głaskać po plecach, popatrzyła Satyrowi w oczy.

– On cały czas ucieka – wyjaśniła bardzo spokojnie, jakby pogodzona z losem. – Pali za sobą wszystkie mosty i znika. Już nie ma przeszłości. Jedynymi osobami z przeszłości jesteśmy my, dlatego musi nas zabić.

Zanim Michał zrozumiał sens tych słów, od strony tylnych drzwi do domu rozległ się ostry głos:

– On nikogo dzisiaj nie zabije!

Komisarz Marcin Zakrzewski stał w drzwiach i celował w Satyra. Ten natychmiast skierował pistolet w jego stronę. Po raz drugi mierzyli do siebie. Na nagły ruch Satyra zareagowała Tina, która jeszcze bardziej wyszczerzyła zęby i wyprężyła się jak do skoku, lecz tkwiła w miejscu.

– Marcin, uważaj! – zawołał ojciec. – On ma broń!

– Wiem! – odkrzyknął. – Nie ruszajcie się.

Marcin nie widział rodziców w sypialni matki, ale miał nadzieję, że nic im się jeszcze nie stało. Spojrzał Satyrowi w oczy. To nie były takie same martwe oczy jak poprzednio. Coś się w nich zmieniło. Milczeli.

– Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach – powiedział nieoczekiwanie Marcin.

Słowa podziały na Satyra jak smagnięcie biczem. Zachwiał się.

– Rysiek, jesteś tam, prawda? – zaczął szybko Marcin. – Drgnąłeś, widziałem, więc na pewno tam jesteś i pamiętasz. ONI nie mogą pamiętać i nie zrozumieliby tych słów. Rysiek, do jasnej cholery, wiem, że tam jesteś!

Satyr stał nieruchomo. W domu zapadła cisza, nawet pies przestał warczeć.

– Rysiek, jestem twoim bratem! Pamiętasz mnie? Dwie połówki tego samego jabłka. To ty tak o nas mówiłeś. Pamiętasz, jakie numery robiliśmy w szkole podstawowej? Zamienialiśmy się rolami. Ja byłem tobą, a ty byłeś mną. Byliśmy do siebie tak podobni, że nikt nie potrafił nas rozróżnić. – Marcin zrobił krok do przodu i ciągnął gorączkowo: – Pamiętasz, mieliśmy piętrowe łóżko. Na początku ty spałeś na górze, ale pewnej nocy spadłeś i wtedy ja poszedłem na górę, chociaż bałem się jak cholera. Ale zrobiłem to dla ciebie. Byłeś przecież moim bratem. – Znowu krok w stronę Satyra. – Nie wierzę, że nie pamiętasz. Jesteś tam, widzę to po twoich oczach. Jesteś tam

w środku i mnie teraz słuchasz. Pamiętasz, jak jesienią zgarnialiśmy liście na wielkie kupy na szkolnym podwórzu? Ty przysypałeś kamień i potem kopałeś te kupy liści. Więc wszyscy zaczęli kopać i Alek Kuriata kopnął tę, w której był kamień. Złamał wtedy nogę. Śmiałeś się z niego, pamiętasz?

Ręka z bronią nieznacznie opadła. Oczy Satyra płonęły nienaturalnym blaskiem, jak gdyby słowa Marcina naprawdę pobudziły w nim uśpione wspomnienia, które teraz płonęły piekielnym ogniem w jego głowie.

– Rysiek, widzę, że mnie słyszysz. Przegoń te potwory, które stworzyłeś, żeby odgrodzić się od świata. One tak naprawdę nie istnieją. Co ty tu w ogóle robisz? Przyjechałeś zabić swoich rodziców i spalić swój dom? Nie wierzę w to, rozumiesz? – Marcin spojrzał tamtemu głęboko w oczy. – Nie wierzę, że chciałeś zabić ojca i matkę. Takie rozwiązanie mogą podpowiadać ci potwory, które żyją za ciebie i za ciebie myślą. Ale przecież ty się z tym nie zgadzasz. Bądź wreszcie sobą i przyjdź do mnie tutaj!

Na czole Satyra zgromadziły się perełki potu. Jedna stoczyła się w dół i po policzku spłynęła na brodę. Dłoń z pistoletem drgała niespokojnie. Usta otworzyły się i zaraz zamknęły.

– Rysiek, przyjdź do mnie! – krzyknął Marcin. – Przyjdź do swojego brata. Dwie połówki tego samego jabłka! Pamiętasz? To ty tak mówiłeś!

Usta Satyra znowu się otworzyły. Tym razem z jego gardła wydobył się głos. Cichy, niepewny, jakby formułował słowa po raz pierwszy od wielu lat.

– Już za późno, Marcin... Nie dam rady...

Zofia Zakrzewska załkała na łóżku, jej mąż ukrył twarz w dłoniach, ale emocje już opanował. Wiedział, że w tej jednej chwili, kiedy Rysiek przemówił, waży się ich życie. Marcin też to rozumiał.

– Walcz, Rysiek! – rzucił gorączkowo. – Nie poddawaj się teraz. Nie teraz, kiedy jesteś tak blisko! Musisz z nimi wygrać.

Stojący przed nim mężczyzna wyprostował się, lufa pistoletu znowu się uniosła, spojrzały na niego błękitne oczy, w których odbijała się tylko pustka. Pies ponownie zawarczał głucho.

– Nie ma żadnego Ryśka – powiedział Satyr takim głosem, że Marcin poczuł tchnienie Arktyki na plecach.

*

Karina Buczko po raz kolejny dzwoniła do Marcina. I znowu włączyła się skrzynka. Dojeżdżała już do Środy Śląskiej. Połączyła się z dyżurnym i poprosiła go, żeby pilnie skontaktował się z kimś, kto ma dyżur w komisariacie w Środzie. Po dwóch minutach odezwał się jej telefon.

– Sierżant Rafał Doński – usłyszała męski, sympatyczny głos. – Chciałaś, żebym zadzwonił.

– Macie jakiś patrol w pobliżu Szczepanowa? – zapytała.

– Tak, ja się kręcę po okolicy.

– Jedź pod dom Zakrzewskich na ulicy Lipnickiej, nie znam numeru. Być może komisarz Marcin Zakrzewski potrzebuje pomocy.

– Byłem tam przed kwadransem – odparł zdziwiony Doński. – Nic się nie działo.

– Pojedź tam jeszcze raz. To bardzo ważne. Ja też zaraz tam będę!

– Dobrze. Powinienem tam być za około siedem minut.

Karina rzuciła telefon na siedzenie pasażera i skręciła w stronę Przedmościa i Świętego.

*

Michał Zakrzewski wstał i popatrzył na napastnika.

– Tak nie może być – powiedział.

– Tato, nie! – krzyknął Marcin.

Wtedy w jednej sekundzie padły trzy strzały. Satyr zrobił coś, co dla Marcina było w takiej sytuacji zupełnie irracjonalne. Szybkim ruchem skierował broń w kierunku jego ojca i nacisnął spust. Dwa strzały zlały się w jeden odgłos – Marcin też strzelił. Ale na moment przed wystrzałem Satyra zaatakował pies. Jednym skokiem znalazł się na jego plecach i ugryzł go w prawy bok. Satyr się zachwiał i zamiast trafić Michała w głowę, trafił go w obojczyk. Dlatego Marcin też spudłował. Wystrzelona przez niego kula, zamiast utkwąć w piersi, przeszła mięśnie prawej ręki poniżej łokcia.

Satyr natychmiast zwrócił broń w jego stronę i strzał rozdarł Marcinowi skórę na ramieniu. Kolejnych strzałów nie było. Satyr strząsnął Tinę i zaraz wpadł na niego szarżujący Michał. Razem upadli na podłogę. Być może ojciec zaatakował Satyra siłą rozpędu, ponieważ miał strzaskane ramię i to było wszystko, na co było go stać. Chwilę jeszcze szamotali się na podłodze. Marcin skoczył do nich i się zawahał. Bał się, że trafi ojca. Wahanie trwało jednak sekundę. Satyr już się uwolnił i znowu nacisnął spust. Marcin zareagował prawidłowo, rzucając się w bok. Zanim Satyr w pozycji leżącej wycelował i strzelił ponownie, pies znowu zaatakował. Tym razem zatopił kły w nadgarstku dłoni z pistoletem. Broń wypadła na podłogę. Satyr nie wydał z siebie ani jednego dźwięku. Tylko jego oddech stał się chrapliwy i urywany z wysiłku.

Marcin znowu nie mógł strzelić, ponieważ pies znalazł się na leżącym. Satyr był wyszkolony do walki wręcz z psami. Już trzymał pysk Tyny w jednej ręce, a tą zranioną szykował się do zadania śmiertelnego ciosu w szyję.

– Tylko nie pies! – wrzasnął Michał, przesunął się po podłodze i kopnął Satyra w twarz. Uwolniona Tina, skamłając, uciekła w kąt pokoju do leżącej na łóżku Zofii.

Marcin po raz kolejny podniósł pistolet i znowu nie wystrzelił. Nie mógł. Coś mu nie pozwoliło. Zaklął, odrzucił broń i skoczył na Satyra. Przeturlali się po podłodze, Satyr bez wysiłku zrzucił go z siebie, zanim jednak zrobił pół kroku w kierunku leżącej na

podłozie broni, Marcin znowu był na nim. Chwycił go za kurtkę na piersiach i szarpnął. Polecieli na stół stojący pod oknem.

Rozległ się strzał. Znieruchomieli. Michał Zakrzewski trzymał w zdrowej ręce walthera. Strzelił w sufit i teraz kierował lufę w bliżej nieokreślonym kierunku. Ręka wyraźnie mu drżała.

– Dość tego – wychrypiał. – Dość!

Usłyszeli, że przed domem zatrzymuje się samochód, za chwilę drugi. Trzasnęły drzwiczki, skrzypnęła furtka i ktoś zastukał do drzwi.

Satyr szarpnął Marcinem, uderzył go głową w twarz, a potem kolanem w podbrzusze. Policjant okręcił się w miejscu i upadł na podłogę.

*

Kiedy stukanie do drzwi nie przyniosło rezultatu, Karina spojrzała z niepokojem na Rafała.

– Co, do cholery? – szepnęła.

Oboje jak na komendę wyjęli broń. Światło w domu się świeciło, ale nikt nie otwierał.

– Jest tu drugie wyjście? – zapytała.

– Chyba z tyłu. – Doński wzruszył ramionami.

Poszła przodem z pistoletem wyciągniętym przed siebie. Okno od podwórza było otwarte. Zajrzała.

– Kurwa mać! – krzyknęła i jednym skokiem znalazła się w środku.

Kuchnia była częściowo zdemolowana. Starszy mężczyzna, pewnie ojciec Marcina, leżał w kałuży krwi obok szafki pod zlewozmywak. Marcin siedział pod ścianą po drugiej stronie i próbował chusteczką zatamować krwawienie z nosa. Miał też zranione ramię, krew przesiąkała przez kurtkę.

– Gdzie on jest? – zapytała.

– Już go tu nie ma – odpowiedział słabo Zakrzewski. – Dzwon po karetkę.

Rozdział 75

O dwudziestej trzeciej jedenaście spod domu Zakrzewskich w Szczepanowie na Lipnickiej odjechała druga karetka. Wcześniej Michał Zakrzewski został odwieziony do szpitala do Wrocławia, razem z nim pojechała jego żona. Marcina opatrzyli ratownicy medyczni z drugiej karetki i chociaż nalegali na wizytę w szpitalu, Marcin nie dał się przekonać. Wreszcie karetka odjechała. W domu został tylko pies, który na szczęście z walki z Satyrem wyszedł najmniej kontuzjowany.

Marcin siedział na krześle przy kuchennym stole i głaskał psa, Karina usiadła naprzeciw niego. Palili w milczeniu papierosy, strząsając popiół do potłuczonej szklanki. Policjantka zebrała ją z podłogi i postawiła na stole obok broni Marcina. Na zewnątrz stały dwa radiowozy ze Środy Śląskiej. Wszyscy czekali na ekipę CBS, która podobno już wyjechała z Wrocławia. Długo milczeli. Wreszcie odezwała się Karina:

- Będziesz miał kłopoty za ten szpital.
- Spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem.
- Doniesiesz na mnie? – rzucił ironicznie.
- Ja nie, ale Ilona jest na ciebie wściekła. Przestraszyłeś ją.
- Inaczej przyjechałybyście tu za mną.
- Próbowała spojrzeć mu w oczy.
- Zakrzewski, nie możesz działać sam – powiedziała stanowczo.
- Jesteś psem, nie możesz realizować swojej prywatnej wendety.
- To jest moja sprawa. Ja stworzyłem bestię i ja muszę ją złapać albo...

– Zabić? – dokończyła za niego. – Marcin, spójrz prawdzie w oczy. Satyr nie jest twoim bratem. Twój brat zaginął prawie trzydzieści pięć lat temu.

– Gówno prawda! To ciągle połowa mnie. Jesteśmy tacy sami.

– On jest pierdolniętym psychopata! – Karina podniosła głos.

– Jesteśmy tacy sami. – Pokręcił głową. – Różnimy się tylko metodami działania.

Wrzuciła niedopałek do rozbitej szklanki i patrzyła, jak Marcin zapala kolejnego papierosa.

– Nie rozumiem cię – mruknęła.

– J-jasne – burknął niechętnie.

Usłyszeli zegar na kościelnej wieży. Jedno uderzenie. Kwadrans po dwudziestej trzeciej.

– Będziesz miał kłopoty – powtórzyła.

– Gówno mnie to obchodzi.

Karina wzruszyła ramionami.

– Pożycz mi swój telefon – poprosił. – Zadzwonię do mamy.

– A gdzie jest twój?

– Nie wiem, gdzieś zgubiłem.

Przesunęła aparat po stole, potem wstała i wyszła przed dom, żeby się rozejrzeć i rozprostować kości. Najchętniej napiłaby się kawy.

Komisarz Marcin Zakrzewski wyszedł tylnym wyjściem na podwórze. Wybrał prywatny numer do dyżurnego. Zgłosił się starszy posterunkowy Jan Zadra. Pracował u nich od trzech lat. Marcin lubił tego wiecznie uśmiechniętego i pozytywnego faceta.

– Mówi Zakrzewski. Możesz zlokalizować mój telefon?

– Nie możesz z tym poczekać? – odpowiedział Zadra niechętnie.

– Wiesz, co tu się teraz dzieje?

– Najgorsza burza już przeszła. Janek, pomóż mi.

Zadra postękał jeszcze trochę, wreszcie się zgodził.

– A co z tym telefonem? – zapytał. – Zgubiłeś?

– Zostawiłem aparat w samochodzie brata, a on gdzieś pojechał i nie mogę się z nim skontaktować.

– Myślisz, że tak go znajdziesz?

– Przynajmniej będę wiedział, gdzie szukać.

– Oddzwonię.

Marcin stał na środku podwórza skąpany w świetle księżyca, który tak urósł na niebie, jakby zbliżył się do ziemi na minimalną dopuszczoną przez prawa fizyki odległość. Było jasno i bardzo zimno. Dopiero teraz to poczuł. Zapalił papierosa i czekał. Niepokoił się o ojca, ale lekarz pierwszej karetki powiedział, że życiu Michała Zakrzewskiego nie zagraża niebezpieczeństwo. Środki przeciwbólowe, które zaaplikował Marcinowi ratownik drugiej ekipy, zaczynały działać. Ramię bolało coraz mniej. Nawet rozbity nos jakby mniej szczypał. Obserwował, jak w kuchni Karina robi kawę i wynosi policjantom stojącym przed domem. Lubił ją. Była dobrym kumplem, świetnym policjantem, dlatego nie mógł jej narażać. Gdyby coś się stało, jak by się wytłumaczył Justynie? On to co innego. Na niego nikt nie czekał.

Odezwał się sygnał telefonu.

– Zadra z tej strony.

– Masz coś? – Marcin poczuł dreszcz emocji i wszedł do domu.

– Twój brat jest teraz w okolicach Ząbkowic Śląskich. Pewnie u rodziny?

– J-jasne. Dzięki, jestem twoim dłużnikiem – rzucił Marcin i się rozłączył.

Kiedy pięć minut później aspirant Karina Buczko wróciła do kuchni zapytać, czy i jemu zrobić kawy, zobaczyła tylko swój telefon leżący na stole. Zakrzewskiego nie było.

*

Mógł strzelić, a nie strzelił.

Spowita w księżycową poświatę droga wiła się przez pola i lasy, przecinała pogrążone we śnie wioski, wyglądające na opuszczone. W strefach zamieszkania Marcin nie zdejmował nogi z gazu. Jechał z maksymalną prędkością, jaką był w stanie wycisnąć w tych warunkach ze służbowej kii.

Dlaczego nie strzelił? Jeszcze w drodze do Szczepanowa powtarzał sobie w duchu, że broniąc rodziców, nie zawaha się przed niczym. Znajdzie w sobie tyle siły, żeby zabić Satyra i zakończyć tę trwającą ponad trzydzieści lat tragedię w miejscu, w którym się zaczęła. Potem jego własne słowa trochę nim wstrząsnęły i nie pociągnął za spust. Nie chciał, żeby brat został zabójcą własnych rodziców, ale nie chciał też zostać bratobójcą.

Przyhamował gwałtownie, gdy zza zakrętu wyjechała ciężarówka i oślepiła go światłami. Ledwo się minęli na łuku bardzo wąskiej drogi. Znowu przyspieszył. W takim razie po co dalej ściga Satyra, skoro znowu nie będzie mógł nacisnąć spustu? Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Ścigał go, ponieważ ktoś musiał położyć temu kres. Ścigał go, ponieważ ogarnęło go czerwone szaleństwo.

Do domu rodziców dostał się od tyłu. Zamiast skręcić z Wrocławskiej w Lipnicką, pojechał dalej i przed cmentarzem skręcił w lewo w Osiedlową. Samochód zaparkował w bocznej uliczce, zaraz przed domkami dla osób poszkodowanych w powodzi z 1997 roku. Nieco dalej zobaczył inny samochód, to był stary volkswagen passat. Coś kazało mu się zatrzymać. Silnik był jeszcze ciepły, na siedzeniu pasażera leżała kartka, na której ktoś napisał drukowanymi literami: „Czas zrzucić za ciasną skórę”. To wtedy wyciągnął swój telefon komórkowy, wyłączył wszystkie dźwięki i wibracje i włożył go do kieszeni z tyłu fotela pasażera. Potem pobiegł przez zarośniętą łąkę do domu rodziców.

Dzięki temu teraz wiedział, gdzie jest Satyr.

Ale dlaczego okolice Ząbkowic Śląskich?

We wsi Lutomierz, w opuszczonej stodole Jakubowskich, Krzysztof Salitra sfotografował przypadkowo ukrywającego się tam

mężczyznę. Teraz Zakrzewski był już pewien, kim jest ten mężczyzna.

Ze Szczepanowa do Lutomerza było niecałe sto kilometrów wąskimi lokalnymi drogami. GPS szacował czas przejazdu na półtorej godziny. On jednak gnał na złamanie karku i wiedział, że będzie tam sporo wcześniej.

Cały czas dręczyła go jedna myśl. Wtedy w domu mógł strzelić, a nie strzelił. Najdziwniejsze było jednak to, że Satyr też nie strzelił, chociaż miał taką możliwość.

Do Lutomerza dotarł około wpół do pierwszej w nocy. Zgasił światła i jechał wolno, rozglądając się. Skręt z głównej drogi w lewo, w polną dróżkę wyglądającą na dawno nieużywaną, dostrzegł od razu. Po chwili dojechał do zamkniętej bramy, na którą zaczęła się wspinać dzika roślinność. Zatrzymał się, sprawdził pistolet i wysiadł. W świetle księżyca od razu zauważył, że oba skrzydła wielkich wrót do stodoły są otwarte. Jakby ktoś zachęcał go do wejścia. Może tak właśnie było? Nie wahał się, przeszedł przez furtkę przy bramie z odbezpieczoną bronią.

*

Karina Buczko siedziała w kuchni, wpatrując się w swój telefon. Paliła kolejnego papierosa. Było wpół do pierwszej w nocy. Nikt z wrocławskiej policji jeszcze nie przyjechał. Pewnie zamieszanie na własnym podwórku uziemiło ich na dłużej. Co chwilę odzywał się jej telefon, ale sprawdzała tylko, kto dzwoni, i nie odbierała. Wreszcie wyłączyła dzwonek. Po raz kolejny skontrolowała połączenia wychodzące i nic nie znalazła. Nawet jeśli Zakrzewski gdzieś telefonował, usunął ślad po tym połączeniu. Do kogo dzwonił, do jasnej cholery? Miał jakiś plan. Wiedział, gdzie szukać Satyra, i oczywiście pojechał tam sam. Może nawet wcześniej się z nim umówił? Pieprzony Zakrzewski!

Coś wpadło jej do głowy. Wybrała prywatny numer do dyżurnego i przedstawiła się.

– Dzwoniłem do ciebie ze trzy razy – powiedział Zadra. – SzeF cię szukał. Gdzie ty jesteś?

– Nieważne – ucięła szybko. – Telefonował do ciebie Zakrzewski?

– Tak, on też jest pilnie poszukiwany...

– Kiedy? – przerwała mu zniecierpliwiona.

– Półtorej godziny temu.

– Czego chciał?

– Posłuchaj, Godlecki szuka komisarza Zakrzewskiego. Wiesz, co tu się dzieje? Armagedon. SzeF ma taką minę, że...

– Nie obchodzi mnie Godlecki – znowu z irytacją weszła mu w słowo. – Czego chciał Marcin?

– Żebym zlokalizował jego telefon. Podobno brat przez przypadek zabrał mu aparat.

Karina zdrętwiała.

– Zlokalizowałeś?

– Tak, okolice Ząbkowic Śląskich. Halo!...

Przerwała połączenie i zaczęła myśleć gorączkowo. Lutomierz! Stodoła, w której Salitra zrobił to zdjęcie. Najpierw chciała wszcząć alarm. Policjanci z Ząbkowic powinni dojechać w kilka minut. Zrezygnowała jednak. Nawet trochę rozumiała Zakrzewskiego. Po co wysyłać tam kilka samochodów mundurowych? Na Satyra? Zawodowego zabójcę, który poradził sobie z oddziałem specjalnym Rafalskiego? Skończyłoby się krwawą jatką, w której policjanci bez przygotowania mogliby mocno ucierpieć. To wojna Zakrzewskiego. On musi się z tym zmierzyć. Pozostawał pewien istotny szczegół. Jeśli z Satyrem nie poradziła sobie armia policjantów, czy poradzi sobie sam Zakrzewski? Pomyślała, że może Marcin ma jakiś plan.

– Kurwa mać – wyszeptała przez zaciśnięte gardło.

W paczce nie było już papierosów. Wyszła przed dom na ulicę Lipnicką, gdzie jeden z mundurowych ze Środy podsunął jej

papierosa. Paliła, patrząc w gwiazdy i świecący nad jej głową księżyc. Dopiero teraz poczuła, że jest naprawdę zimno. Czekwała.

*

Komisarz Marcin Zakrzewski nie miał żadnego planu. Ostrożnie przekroczył próg stodoły. Potknął się o coś. To był plastikowy kanister wypełniony benzyną. Marcin już wiedział, że dobrze trafił. Odbiegł trzy metry w bok i schował się za jednym z filarów podtrzymujących konstrukcję dachu. Zahaczył głową o wiszące na gwoździach stare druty i zardzewiałe części, które kiedyś miały się do czegoś przydać i się nie przydały. Nasłuchiwał, czekając, aż oczy przyzwyczajają się do ciemności. We wnętrzu budynku panowała nienaturalna cisza, jakby wszystkie żyjące tu nocą istoty zamarły w oczekiwaniu na rozwój wypadków. W dachu były dwa świetliki, przez które do środka wpadały smugi księżycowej poświaty. Było jaśniej, niż przypuszczał. Po prawej stronie miał otwarte wrota, a po lewej, niedaleko, stała zakurzona młockarnia pamiętająca jeszcze powojenne czasy. Wszystko pokryte pajęczyną i kurzem.

Przebiegł kolejne dwa metry i schował się za maszyną. Potem zajrzał na górę i sprawdził na dole. Nikogo nie było.

– Znowu uciekasz! – odezwał się głośno i wyraźnie. – Przecież od jakiegoś czasu zacierasz po sobie ślady, żeby zniknąć na dłużej. Teraz chcesz spalić swoją przeszłość, żeby zacząć wszystko od nowa. Ale nie atakujesz, tylko uciekasz. Co poszło nie tak?

Zbyt długo mówił, stojąc w jednym miejscu. Prześlizgnął się między ceglana ścianą a tyłem młockarni i schował się za stertą skrzynek. Odczekał chwilę, lecz nic się nie stało. Nadal panowała grobowa cisza.

– Dopadły cię cienie przeszłości – ciągnął Zakrzewski. – Myślałeś, że ciebie to nie dotyczy. A może powinienem mówić „was to nie dotyczy”?

Wyszedł zza skrzynek i przeskoczył do zaparkowanego na środku starego ciągnika marki Ursus. Zajrzał do zniszczonej szoferki. Tu też pusto. Dokładnie omiótł spojrzeniem tę część stodoły, z której przyszedł. Nic. Ostrożnie wyjrzał zza maski ciągnika i rzucił okiem na drugą część. Stosy starych worków, wielkie skrzynie na zboże, taczka, wózek, narzędzia rolnicze, zwoje lin i kabli zwisające z drewnianych słupów tworzących szkielet budynku. Nad wszystkim strych na słomę na zimę. Ciągłe stała tam drewniana drabina, po której można było się wspiąć.

– Trudno jest zmierzyć się z przeszłością, prawda? – znowu zaczął mówić. – Jak teraz zrzucisz za ciasną skórę? Nie wykonałeś planu. Wszystko się posypało. Nie masz już szesnastu lat, twój cały świat nie zawiera się w jednym budynku domu dziecka, który można spalić i zniknąć. Nie przewidziałeś, że teraz twój świat jest większy i trudno będzie go zniszczyć.

Wyszedł zza traktora i ruszył w kierunku drabiny. Kątem oka zarejestrował ruch, jednak zanim zdążył zareagować, dostał pałką po rękach. Pistolet wypadł mu z dłoni. Drugie uderzenie przyjął na ramię, ale nie zabolalo tak, jak powinno. Prawie nic nie poczuł. Przed następnym zdążył się uchylić. I przed kolejnym. Następne nie padły.

Stał przed nim Satyr. Ale to była tylko jego wierzchnia powłoka. W środku był ktoś inny. Poznał po wyrazie twarzy, na której malowało się szaleństwo. Oczy błyszczały obłędem, a szeroki uśmiech na wargach przypominał uśmiech śmierci. Marcin po raz pierwszy stanął twarzą w twarz z najgroźniejszą postacią kryjącą się w tym ciele. Ze Śmierciorem.

– Nic mi nie możesz zrobić – usłyszał szept dochodzący jakby zza grobu. – Ja od dawna jestem martwy. Martwych nie można zabić.

Marcin wzdrygnął się, widząc, co zostało z jego brata. Zaraz jednak wziął się w garść. Nie wolno okazywać słabości.

– To jest choroba psychiczna – powiedział, wolno cedząc słowa. – Zespół Cotarda. Wydaje ci się, że jesteś martwy. Nikt nie może być

martwy i jednocześnie żyć. Nie widzisz w tym sprzeczności?

– Co ty możesz wiedzieć? – prychnął Śmierciór. – Ja jestem jedyny i wyjątkowy. Widziałem wiele trupów i nikt nie otworzył po śmierci oczu tak jak ja.

– To jest choroba. Powinieneś się leczyć.

Śmierciór wykrzywił twarz w jeszcze bardziej szalonym uśmiechu.

– Wiesz? Dobrze, że tu jesteś – wyszeptał. – Pokażę ci swoje prawdziwe oblicze. Pomożesz mi zapanować nad robakami.

Nie spuszczać wzroku z Marcina, zaczął zdejmować kurtkę, potem jednym ruchem zerwał z siebie cienki sweter. W świetle księżycy Zakrzewski zobaczył ciało poprzecinane siecią straszliwych blizn po cięciu nożem. Z rany postrzałowej ciągle płynęła krew. Najgorsze były przedramiona. Na widok śladów po prymitywnym szyciu grubą nitką poczuł mdłości.

– Najgorsze są robaki. Widzisz, jak ruszają się pod skórą i wyjadają ciało? Musisz mi pomóc pozbyć się ich chociaż na chwilę.

Zaatakował Marcina trzymaną w dłoniach drewnianą pałką. Policjant odskoczył, ale nie zamierzał się tylko bronić. Skoczył na Śmiercióra z boku i zwałił na podłogę. W parterze walczyli na pięści. Marcin był skuteczniejszy. Kilka bolesnych ciosów trafiło napastnika w korpus i głowę. Jednak Śmierciór wywinął mu się i znowu stali naprzeciw siebie, dysząc.

– Martwi nie czują bólu. – Śmierciór uśmiechnął się szeroko.

Marcin znowu skoczył do przodu. Taka walka odpowiadała mu najbardziej i postanowił tego nie zmieniać. Sparował dwa ciosy skierowane w jego głowę i odpowiedział uderzeniami w korpus. Jakby uderzał w kowadło. Poczuł tylko silny ból w kostkach obu dłoni i zmienił strategię. Zadawał dwa, trzy szybkie uderzenia i odskakiwał. O dziwo, Śmierciór zaczął przegrywać. Na szczęście teoria profilera się sprawdziła – różne osobowości mieszkające w tym samym ciele charakteryzowały się innymi umiejętnościami. Może Satyr i Obserwator byli doskonale wyszkolonymi na wojnie osobnikami, jednak Śmierciór o tym nie wiedział. Bił się wściekle, ale

jak amator. Marcin musiał to skończyć, zanim na pomoc przyjdzie mu jeden z tamtych dwóch. Trzy potężne uderzenia trafiły Śmierciora w twarz. Głowa odskoczyła do tyłu, zatoczył się, przytrzymał słupa i spojrzał na Zakrzewskiego. Na ustach wciąż miał ten przerażający uśmiech. Z rozbitego nosa i warg płynęła krew, barwiąc zęby na czerwono.

Marcin znowu na niego ruszył. Śmiercior zrobił unik, przebiegł kilka kroków i zaczął wspinać się po drabinie na poddasze, gdzie leżały jeszcze resztki zgniłej słomy. Marcin pobiegł za nim. Śmiercior próbował odepchnąć drabinę, lecz Marcin był już na szczycie. Śmiercior zatoczył się do tyłu i upadł, ale po chwili zaatakował Zakrzewskiego widłami. Policjant zrobił unik i przeciwnik cofnął się o kilka kroków. Zbutwiałe deski, z których zrobiona była podłoga strychu, załamały się pod jego ciężarem. Runął w dół.

Zakrzewski zszedł po drabinie. Śmiercior leżał na klepisku i nie mógł się podnieść. Lewą nogę miał wykręconą pod dziwnym kątem. To musiało być bardzo poważne złamanie, ponieważ nie potrafił się ruszyć. Tylko że to już nie był Śmiercior. Patrzyła na niego twarz bez wyrazu, jakby była pośmiertną maską. Na dnie niebieskich oczu czaiła się pustka. To był Satyr.

Zakrzewski przykucnął trzy metry przed leżącym.

– Spóźniłeś się. Ja wygrałem – powiedział.

Satyr szarpnął się, ale przesunął się tylko o kilka centymetrów. Marcin poszukał swojego pistoletu, po czym stanął nad leżącym. Wycelował mu w głowę. Satyr patrzył nieruchomo w ciemny otwór lufy. Marcin ocenił swoje uczucia. Szaleństwo na moment odeszło, została tylko czerwień w jego umyśle. Nacisnął delikatnie spust. Sprężyna powoli zaczęła ustępować pod palcem. Odetchnął głęboko i opuścił pistolet. Nie, nie będzie bratobójcą. Nawet jeśli brata już nie ma, a został potwór. Czerwień, płomień, nowy początek.

Przy wrotach do stodoły znalazł kanister z benzyną. Postawił go przed Satyrem. Popatrzył mu w oczy.

– Jeśli chcesz zacząć wszystko od nowa, zacznij od siebie – powiedział. – Ty jesteś problemem.

Wyjął jeszcze papierosa z kieszeni, odpalił zapalniczką i położył ją obok kanistra. Ostatni raz spojrzął Satyrowi w oczy i wyszedł. Nie czuł do niego nic. Nawet litości.

Szedł w kierunku bramy i zaparkowanego przed nią samochodu. Oparł się o maskę, palił papierosa i czekał. Mijały długie sekundy. Wreszcie do jego uszu dotarł odgłos eksplodujących oparów benzyny i ze stodoły buchnęły płomienie.

Wyjechał tyłem na główną drogę i ruszył wolno. Widział, jak w niektórych oknach zapalają się światła. Kilkaset metrów dalej skręcił w polną drogę, którą kiedyś Salitra doszedł do gospodarstwa Jakubowskich od drugiej strony. Tu stał zaparkowany passat Satyra. Z kieszeni za siedzeniem pasażera wyciągnął swój telefon. W bagażniku znalazł kilka kanistrów z benzyną. Wziął trzy i wrócił do swojego samochodu.

Dwa wozy straży pożarnej minęły go na drodze w kierunku Ząbkowic Śląskich. Wtedy wybrał numer Kariny Buczko.

– Marcin? – Może mu się zdawało, ale w jej głosie usłyszał wielką ulgę. – Gdzie jesteś?

– Nieważne, posłuchaj. W wiosce Lutomierz płonie stodoła. Strażacy znajdują w środku jedno ciało.

Karina wstrzymała oddech.

– To Satyr?

– Tak.

– Zabiłeś go?

– Nie. Sam się podpalił.

– Marcin...

– Nie teraz, Karina – przerwał jej. – Muszę jeszcze załatwić dzisiejszej nocy dwie bardzo ważne sprawy.

Rozłączył się i jechał wolno w kierunku Wrocławia. Był zmęczony, ale po raz pierwszy od długich tygodni poczuł ulgę, a potem spłynął na niego spokój.

Rozdział 76

Równy o trzeciej dwadzieścia trzy wjechał do pogrążonej we śnie wioski położonej kilka kilometrów na północ od Miękini. Po kilkuset metrach skręcił w lewo w szutrową drogę, minął parking leśny i pojechał jeszcze kawałek dalej nieuczęszczanym traktem pnącym się trochę pod górę. Kilkadziesiąt metrów dalej nie można było jechać. Zatrzymał auto i wysiadł. Księżyc opadał już za zachodni horyzont, było rześko, nad położonymi w dole łąkami wstawały poranne mgły. Zapalił papierosa zapalniczką kupioną po drodze w nocnym sklepie na Orlenie. Palił oparty o maskę i rozmyślał.

Wciąż nie wiedział, co czuje. Kiedyś był już w dokładnie takiej samej pustce. Wtedy, gdy zaginął jego brat bliźniak Ryszard Zakrzewski, we wrześniu 1981 roku. Długo nie mógł się z tej pustki wyzwolić. Kiedy kładł się spać w pustym pokoju na piętrowym łóżku, którego dolna część pozostawała nieposłana – bolało. Gdy sięgał po komiksy w miesięczniku „Relax”, które czytali z bratem przed snem – cierpiał. Kiedy budził się w nocy w pustym pokoju – bał się. Teraz też czuł pustkę w duszy.

Pomyślał o Paulinie Czerny. Wiedział, że z nimi koniec. Nigdy nie mieli szans – próbowali, nie udało się, potem jeszcze trochę się oszukiwali, żeby mieć czyste sumienie, i wreszcie nastąpił nieuchronny finisz. Po Paulinie też została pustka, ale nie tak wielka, jak mu się wydawało jeszcze kilka miesięcy temu. Największą pustkę poczuł dzisiejszej nocy, gdy ze stodoły Jakubowskich buchnął ogień. Czy jeśli traci się brata bliźniaka, traci się połowę siebie? Czuł

się nierealnie. Jakby karząca ręka Pana Boga rzuciła go w lodowatą pustkę międzygalaktyczną. Musiał się od tego uwolnić.

Był tylko jeden sposób. Trzeba odciąć się od złych miejsc z przeszłości, w których narodziła się bestia. Ogień oczyszcza.

Wyciągnął z bagażnika dwa kanistry z benzyną i ruszył drogą między krzakami tarniny do bramy zarośniętej bluszczem. Wszedł na podwórze Prokopów i skierował się do zabudowań gospodarczych. Na stare deski wylał jeden kanister benzyny, potem poszedł do resztek spalonej chaty i rozlał tam drugi kanister. Najpierw podpalił dom, następnie zabudowania. Patrzył na buchające w niebo płomienie, wreszcie odwrócił się, zapalił jeszcze jednego papierosa i wrócił do auta. Kiedy mijał ostatnie zabudowania, ogień na pagórku nad wioską szalał w najlepsze, lecz wieś ciągle spała. Czy poczuł się lepiej? Nie. Było jeszcze jedno miejsce, które musiał wypalić ogniem.

*

O czwartej dwadzieścia trzy odezwał się telefon Kariny Buczko. Wciąż siedziała w kuchni domu Zakrzewskich, czekając na Marcina. Próbowała do niego dzwonić, ale miał wyłączony telefon. Wiedziała jednak, że jakiegokolwiek sprawy miał jeszcze załatwić, musiał wrócić. Jego rodzice byli w szpitalu, a tu został pies. Marcin by o nim nie zapomniał.

Zadzwoił policjant z komendy w Ząbkowicach Śląskich.

– Starszy posterunkowy Rataj z tej strony – odezwał się ostrożnie, jakby nie był pewny, czy dobrze się dodzwonił.

– Aspirant Buczko – rzuciła zachrypniętym głosem.

– To pani zgłaszała, że w zgliszczach tej stodoły, co się spaliła w Lutomerzu, znajdziemy zwłoki?

Karina poczuła dreszcz niepokoju. Niemożliwe!

– Strażacy nikogo nie znaleźli – poinformował Rataj.

– Może niedokładnie szukali – bąknęła, chociaż sama nie wierzyła w swoje słowa.

– Pożar był gwałtowny, ale cudem dach się nie zawalił – mówił z dużą pewnością siebie posterunkowy. – Strażacy ugasili stodołę wyjątkowo szybko. Kilka razy przeszukali wnętrze. Nie było nikogo.

Karina milczała, myśląc gorączkowo. Czuła, jak strach osłabia jej nogi.

– Halo? – rzucił Rataj.

– Dziękuję za informację – ocknęła się i zakończyła połączenie.

Wyszła przed dom. Na wschodzie wyraźnie było widać coraz jaśniejszą łunę poranka. Sprawdziła, ile jeszcze ma naboju w magazynku, i nie zastanawiając się długo, pobiegła. To przecież nie było daleko.

*

Zakrzewski zaparkował przy czerwonym kościele na głównym placu Szczepanowa. Wyciągnął z bagażnika ostatni kanister i wolno ruszył ulicą Długą. Do tamtego domu było niedaleko. Ulica była pusta, na wschodzie wstawał świt, ale uliczne lampy jeszcze świeciły. Szybko stanął przed zamkniętą na kłódkę bramą. Przeskoczył ją i poszedł zarośniętym trawą podwórzem w kierunku zrujnowanego domu, który morderca ze Szczepanowa na dziesiątki lat zmienił w miejsce kaźni i tortur. To tu wszystko się zaczęło. Całe zło, które położyło się cieniem na życiu ich rodziny, narodziło się tutaj w pewną wrześniową noc na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Zakrzewski postanowił, że tutaj zostanie na zawsze pokonane, zniszczone, wypalone ogniem.

Drzwi były zamknięte tylko na zasuwę; wchodząc do środka, zobaczył jeszcze resztki wyblakłych policyjnych taśm zaczepionych na krzaku w kącie podwórza. Nikt tu od lat nie zaglądał. Poszedł do kuchni i postawił kanister na parapecie okna. Rozejrzał się. Po podłodze walały się resztki połamanych krzesel. Przysunął stół do okna i wtedy usłyszał za sobą chrzęst szklanych odłamków na podłodze. Odwrócił się i zdrętwiał.

W drzwiach stał Satyr. Patrzyła na niego blada twarz bez żadnego wyrazu i oczy niewyrażające żadnych uczuć. Wyglądał jak zjawa zrodzona w piekielnym ogniu.

– Tym razem zdążyłem? – odezwał się.

Po raz pierwszy tego wieczoru komisarz Marcin Zakrzewski poczuł strach. Czy to jednak ma się skończyć nie tak, jak zaplanował? Ostatni akt tragedii, którego nawet ślepy los nie potrafił przewidzieć?

Satyr przesunął się do przodu. Złamaną nogę obłożył drewnianymi deseczkami i mocno okleił taśmą. Wszystko było czerwone od krwi. Podpierał się mocnym drewnianym kijem. W drugiej ręce ścisnął pistolet z tłumikiem.

Znowu przesunął się o metr, szurając nogami. Marcin odruchowo się cofał. W końcu oparł się plecami o ścianę. Spróbował ostatniej szansy.

– Rysiek, na pewno chcesz zostać bratobójcą?

Pytanie trafiło w sam środek lodowatej międzygalaktycznej próżni, w której dryfował od kilku godzin.

*

Karina Buczko przeskoczyła ogrodzenie i z pistoletem w obu dłoniach biegła w kierunku wejścia do domu. Z boku mignęła jej policyjna taśma na krzaku. Drzwi były otwarte. Wślizgnęła się do środka i znalazła się w sieni starego, cuchnącego stęchlizną i pleśnią domu. Na wprost była kuchnia. W półmroku widziała dwie stojące naprzeciw siebie postacie. Zakrzewski coś mówił, lecz nic nie rozumiała. Potem zapadła cisza. Zbliżyła się o dwa kroki. I wtedy padły strzały.

Satyr zdążył nacisnąć spust cztery razy. Zakrzewski dostał w pierś, rzuciło go na ścianę, po której zaczął wolno osuwać się na podłogę. A może tylko dla Kariny czas się nagle zatrzymał na tę krótką chwilę?

– NIEEEE! – krzyknęła.

Tym razem nie zawahała się strzelić. Nie było jak wtedy w szpitalu, kiedy po prostu stchórzyła. Teraz pistolet był w dłoni innej Kariny. Ta Karina nie wahała się ani sekundy.

Strzeliła.

Pierwsza kula trafiła Satyra w nadgarstek z pistoletem. Broń z długim tłumikiem upadła na podłogę. On już odwracał się w jej stronę. Nie zdążył. Drugi pocisk utkwiał w piersi. Kij wypadł Satyrowi z ręki, złamana noga straciła oparcie, runął twarzą na podłogę, wzniecając chmurę kurzu. Karina, ciągle w niego celując, stanęła na progu kuchni.

– Marcin? – zapytała nieswoim głosem.

Zakrzewski leżał tak, jak upadł. Na boku, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Ponad nim wirowały w powietrzu galaktyki drobinek kurzu.

– Marcin...

Dopadła ją obezwładniająca bezradność. Spóźniła się o kilka sekund. Po policzkach potoczyły się dwie wielkie łzy.

Nagle Satyr się poruszył. Najpierw podniósł głowę i spojrzał na nią z dziką wściekłością na twarzy. To nie był Satyr, tylko Śmierciór. Dłoń poszukała kija, mężczyzna zaczął wstawać.

– Głupia kurwa – wyszeptały okrwawione wargi. – Mnie nie można zabić. Ja już od dawna jestem martwy.

Wyglądał jak zombie. Żywy trup, który właśnie wstawał z grobu na żer. Mimowolnie cofnęła się kilka kroków.

– Głupia kurwa – powtórzył stwór nie z tego świata. – Od dawna jestem martwy.

Karina zacisnęła mocno szczęki.

– Nie – wycedziła. – Dopiero teraz będziesz martwy.

Kolejny pocisk trafił go w bok. Zachwiał się, lecz wciąż szedł w jej stronę, powłócząc złamaną nogą. W jego postawie coś się zmieniło. Ramiona jakby opadły, głowa się pochyliła, grymas spelzł z twarzy. Pojawił się Obserwator. Posłała mu następną kulę. Tym razem

w klatkę piersiową. Nadal przesuwiał się w jej stronę. Ani drgnęła. Tym razem to był Satyr. Patrzył jej w oczy z kamienną twarzą niewyrażającą niczego. Nawet w tej chwili.

Karina nagle zrozumiała. To był jej Totentanz. Taniec śmierci. To ona była kościotrupem wiodącym ich wszystkich na śmierć i do piekła, na wieczne męki. Nieoczekiwanie poczuła się bardzo dobrze w tej roli.

Kolejna kula trafiła w okolice serca. Śmierciór zatrzymał się, spojrzał na nią z wyrazem zdziwienia na twarzy, runął na podłogę i tym razem już się nie poruszył.

Karina ze wstrętem przeskoczyła leżące ciało i pobiegła do kuchni. Zakrzewski leżał cały czas tak samo, na jego twarzy zastygł grymas bólu. Szarpnęła nim, wzięła pod pachy i pociągnęła z trudem w kierunku wyjścia.

– Pomóż mi trochę – jęknęła.

Zostawiła go na podwórzu przy studni. Wróciła do domu i rozlała po całej kuchni benzynę z kanistra. Trzeba skończyć to, co zaczął Marcin.

Eksplodujące opary benzyny wybiły okna. W środku zaczął szaleć ogień. Karina patrzyła, jak trawi coraz większą część pomieszczeń i zbliża się do leżącego w sieni ciała Satyra. Westchnęła głęboko i się zawahała. Nie było czasu, więc szybko podjęła decyzję.

– Niech to szlag trafi – wycedziła przez wciąż zaciśnięte zęby.

Koniec

Trzy dni później

Naczelnik wydziału inspektor Godlecki długo wpatrywał się w krótki tekst na kartce. Kręcił głową, jakby ciągle nie dowierzał treści. Poprawiał się w fotelu, drapał po policzku, chusteczką ścierał pot gromadzący się na czole. Miał podkrążone ze zmęczenia oczy i ciągle zaciskał szczęki. Chyba pierwszy raz w karierze nie zapiał koszuli pod szyją.

– Nie mogę się na to zgodzić – oznajmił wreszcie.

– Nie masz wyboru, szefie. – Komisarz Paulina Czerny popatrzyła na niego smutnym wzrokiem. – Już zdecydowałam. Definitywnie odchodzę.

– Paulino, przemyśl to jeszcze, proszę – powiedział prawie błagalnie. – Tracę najlepszych śledczych, nie wiem, kto ich zastąpi.

– Przyjdą młodzi gniewni. – Wzruszyła ramionami.

– Ale niedoświadczeni. Kto ich nauczy fachu?

Na końcu języka miała uwagę, że nic jej to nie obchodzi, ale zmilczała.

– Ty. Jesteś dobrym szefem, poradzisz sobie.

Spojrzał jej w oczy, sprawdzając, czy sobie z niego drwi, i spróbował jeszcze raz.

– Rozmawiałem z Markiem Grabskim. Jeśli chodzi o sprawę prokuratora Wysockiego i twojego byłego męża, nie masz się czego obawiać. Prokuraturze zależy, żeby zamknąć sprawę jak najszybciej i ograniczyć straty wizerunkowe do minimum. Nie będziesz miała kłopotów.

– Szefie – westchnęła. – Tu chodzi o zasady.

Nie wytrzymał jej spojrzenia, spuścił wzrok i pokiwał głową.

– No tak – mruknął.

– Przyjdiesz do pubu na pożegnalną imprezę?

– Tak, oczywiście.

Paulina wyszła na korytarz. Czuła się lekko, jakby ktoś wypiął ją z zaprzęgu, w którym przez ostatnie lata ciągnęła pod górę wóz pełen kamieni. Cudowne uczucie. Czy naprawdę aż tak nie lubiła swojej dotychczasowej pracy? Nie, kochała ją. Tylko że nieodwzajemniana szalona i szczerą miłość zmieniła się w udrękę.

Nareszcie będzie mogła zająć się na nowo fotografią. Jej przyjaciel z Warszawy już do niej telefonował. Umówili się na spotkanie w przyszłym tygodniu

Zbiegła po schodach na parter, skinęła głową dyżurnemu przy bramkach i znalazła się na Podwalu. Było zimno, wiał przenikliwy wiatr. Nie przeszkadzało jej to. Zapaliła papierosa i ruszyła wolno w kierunku zaparkowanego nieopodal samochodu.

Po drodze ostatni raz obejrzała się na budynek z czerwonej cegły.

*

Karina Buczko wysiadła z auta na płatnym parkingu przy szpitalu imienia Marciniaka na Fieldorfa. Wzięła ze sobą bilet i poszła do głównego wejścia. Wiatr nieprzyjemnie wiał jej w twarz. Mocniej opatuliła się kurtką, ale i tak drżała z zimna. Wreszcie znalazła się w szpitalnym holu. Przez tłum chorych i odwiedzających przedarła się do wind.

Drogę na OIOM znała na pamięć. Przed jedną z sal siedziało teraz dwóch uzbrojonych po zęby policjantów. Podeszła do nich i się przywitała.

– Mogę do niego zajrzeć? – zapytała.

Jak na komendę skinęli głowami. Ostrożnie uchyliła drzwi i weszła do środka. Światła były przygaszone, skomplikowana aparatura

medyczna podtrzymująca przy życiu leżącego na łóżku pacjenta wydawała miarowe piknięcia. Mężczyzna wyglądał zupełnie tak samo jak kiedyś Parol Szawczak. Skóra na jego twarzy pobladła i zrobiła się prawie przezroczysta, rysy twarzy się wyostrzyły, oczy zapadły w czaszkę. Jasne włosy miał wygolone do samej skóry. Zupełnym zaskoczeniem dla niej samej była jej reakcja. Nie czuła nic. Jakby patrzyła na plastikową lalkę leżącą na sklepowej wystawie podczas zmiany dekoracji.

Odwróciła się na pięcie i wyszła. Na korytarzu zatrzymała się jeszcze przy policjantach.

– Słyszeliście może, co mówią lekarze? – zapytała.

– Pewnie, przychodzą tu cały czas. Szczególnie taki młody chirurg z brodą – odpowiedział ten po lewej stronie drzwi. – Ale on go nie leczy. Przychodzi chyba z ciekawości.

– Mówią, że stan jest beznadziejny – dodał ten po prawej. – Raczej się z tego nie wyliże, ale na razie nie stwierdzili śmierci mózgowej.

– Teraz uciekaj, bo nas opierdolą, że wpuszczamy nieuprawnionych.

– Dzięki! Na razie, cześć! – pożegnała się.

Wróciła do wind. Telefon zawibrował jej w kieszeni. Dostała SMS-a: *Jestem przy wejściu na SOR*. Zjechała na parter, wyszła na zewnątrz i ruszyła wzdłuż budynku w lewą stronę. Po chwili była przed Szpitalnym Oddziałem Ratunkowym. On stał przy kubie na śmieci z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Stała obok.

– Zapalisz? – rzuciła.

– J-jasne. Tylko nie mam papierosów, wiesz...

– Nie kupujesz, żeby się nie uzależnić. Wiem.

Podawała mu papierosa i palili w milczeniu. Było naprawdę zimno i nieprzyjemnie. Jesień już chyba na dobre przegoniła upalne lato i nienormalnie wysokie temperatury.

– Jak się czujesz? – zapytała, patrząc na niego z ukosa.

– Boli jak cholera. – Komisarz Marcin Zakrzewski popukał się w pancerz pokrywający pierś. – Jeszcze trochę z tym pochodzę.

Kamizelka kuloodporna przyjęła wszystkie cztery pociski wystrzelone tamtej nocy. Nie bez konsekwencji dla jego zdrowia. Miał złamane żebro i pęknięte dwa inne. Bardzo bolesny uraz.

– Miałeś zostać w szpitalu do końca tygodnia – stwierdziła.

– Nie mogłem już tu wytrzymać. – Zaciągnął się. – Znajomy chirurg będzie się mną opiekował poza szpitalnymi murami. – Wyraźnie się zawahał. – Byłaś u niego? – zapytał, patrząc w przestrzeń ponad jej głową.

– Tak. Ciągłe stan krytyczny.

Sumienie nie pozwoliło jej zostawić ciała Satyra w płonącym domu w Szczepanowie. Zanim płomienie ogarnęły wszystko, zdążyła go wyciągnąć. Wtedy myślała, że Satyr już nie żyje.

– Zawiesili nas za złamanie procedur i samowolę – mruknęła, gasząc papierosa. – Na szczęście podpalenia poszły na konto Satyra.

– To dobrze.

– Nie wiem, czy to dobrze. Ze strony Biura Spraw Wewnętrznych postępowanie prowadzi facet o nazwisku Tomaszewicz. Podobno nie przepadacie za sobą.

Na twarzy Zakrzewskiego pojawił się tajemniczy półuśmieszek.

– Damy sobie radę.

Oboje patrzyli na parking. Kilkanaście metrów od nich czarne, lśniące bmw zaparkowało na jedynym wolnym miejscu. Otworzyły się drzwiczki od strony pasażera i z auta wysiadł dobrze zbudowany mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce. Rozejrzał się i bez wahania skierował się prosto w ich stronę.

– O kurwa, jakie spotkanie! – wyrwało się Karinie.

Ze zdziwienia aż otworzyła na chwilę usta i zaraz je zamknęła. Marcin milczał z kamienną twarzą, wpatrując się w faceta, który zatrzymał się dwa kroki od nich. Miał blond włosy i równe białe zęby.

– Cześć! Już wyszedłeś? – zapytał Zakrzewskiego.

Karina dobrze oceniła sytuację i uznała, że lepiej będzie, jak się wycofa.

– Zaczekam w samochodzie – powiedziała i odeszła. Po drodze odwracała się dwa razy, jakby nie wierząc własnym oczom albo sprawdzając, czy Zakrzewski nie rzucił się jeszcze na faceta z pięściami. Wreszcie zniknęła za rogiem. Dopiero wtedy Marcin się odezwał:

– Kurwa, cały czas ze mną pogrywałeś.

Major Kamil Sochacki pokręcił głową.

– To nie tak, Zakrzewski – westchnął.

– A jak? Napuściłeś mnie na Satyra, podrzucałeś tropy, a sam czekałeś w cieniu na rozwój wypadków. Że też wcześniej się nie domyśliłem.

– Nie ukrywam, że tak było, ale jesteś dobrym psem, Zakrzewski, lubię cię i dlatego tu jestem. Gdyby moi szefowie wiedzieli, że z tobą rozmawiam, miałbym niezłe kłopoty. Ty pewnie też.

– A jeśli nie chcę wiedzieć?

– Gównu mnie to interesuje – wycedził Sochacki, twardo patrząc mu w oczy. – I tak ci powiem. Mieliśmy u siebie kreta. Donosił Rosjanom i prawdopodobnie Satyrowi też. Dlatego przez tyle lat nie mogliśmy go złapać. Kret też sprytnie się kamuflował. Po strzelaninie na moście mój szef wpadł na pomysł, żeby wykorzystać ciebie. Przecież ty nigdy nie odpuszczasz, Zakrzewski.

– A tamten facet na terenie Browaru Piastowskiego?

– Mój kolega.

– Ty wysyłałeś mi maile z tajnymi materiałami.

Sochacki pokiwał głową.

– Daliśmy ci wolną rękę. Nie zauważyłeś, że zawsze zjawialiśmy się na miejscu, kiedy ty już się dobrze rozejrzałeś? Dzięki temu odcięliśmy naszego kreta od bieżących informacji, nie wiedział nic o tobie i twoim śledztwie.

– I co się z nim stało? – zapytał jakby od niechcienia Marcin. – Z tym kretem?

– Facet od lat cierpiał na depresję. Popęłnił samobójstwo.
Komisarz się skrzywił.

– Mocne.

– Był bardzo wysoko przy korycie. Za dużo wiedział.

– J-jasne.

– Tak jak mówiłem, lubię cię, Zakrzewski. Dlatego czułem się w obowiązku wszystko wyjaśnić. Mam nadzieję, że pójdziemy kiedyś na wódkę.

– Raczej wątpię. – Marcin pokręcił głową i bez pożegnania ruszył w ślad za Kariną. Po chwili usłyszał wołanie:

– Zakrzewski!

Odwrócił się. Major patrzył na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

– Naprawdę nie wiedziałem, że to był twój brat.

– Ja nie mam brata – odpowiedział Marcin po chwili milczenia. – Mój brat nie żyje. Zginął ponad trzydzieści lat temu.

Patrzyli sobie w oczy, wreszcie komisarz Marcin Zakrzewski odwrócił się i odszedł, nie oglądając się za siebie. Po chwili zniknął za rogiem.

Czerwiec 2016–styczeń 2020



Dr. Paweł Ciesiński

MIECZYŚLAW GORZKA

urodził się w Środzie Śląskiej,
ale od trzydziestu lat mieszka we Wrocławiu.
Z wykształcenia ekonomista, prowadzi własną
firmę zajmującą się podatkami i księgowością.
Z zamiłowania piwowar i astronom amator,
interesuje się fizyką kwantową i kosmologią,
jak również średniowieczną historią Wrocławia
i Śląska. Jego największą pasją od zawsze
było i jest pisanie. Realizuje się w różnych
gatunkach, pisząc opowiadania fantastyczno-
naukowe, powieści fantasy, sensacyjne
i kryminalne oraz horrory. *Totentanz* kończy
cykl powieściowy *CIEŃ PRZESZŁOŚCI*,
jednak autor zapowiada, że to nie jest
jego ostatni kryminał z komisarzem
Marcinem Zakrzewskim w roli głównej.

 @Mieczyslaw.Gorzka

TOTENTANZ

NIE DA SIĘ UCIEC OD NIEROZWIĄZANYCH PROBLEMÓW
Z PRZESZŁOŚCI. TAKIE RANY SAME SIĘ NIE ZABLIŹNIAJĄ.
WYSTARCY DRZAŻGA, ŻEBY ZNOWU ZACZĘŁY KRWAWIĆ.

Śmierć objęła rządy w mieście. Wśród młodzieży mnożą się samobójstwa, wrocławska policja znajduje zwłoki zamordowanych młodych kobiet, płatny zabójca rozwiązuje problemy w światku handlarzy narkotyków. Kiedy spotyka się twarzą w twarz z komisarzem Marcinem Zakrzewskim, rzuca mu wyzwanie. Rozpoczyna się bezwzględna rywalizacja. Żeby złapać mordercę, Zakrzewski musi zmierzyć się z najmroczniejszą stroną swojej natury. Musi dokonać niemożliwego – zatańczyć ze śmiercią i przeżyć.

„Po raz kolejny Mieczysław Gorzka zabiera czytelników na jazdę rollercoasterem bez trzymania. Jednak nie damy mu się zrzucić aż do ostatniej strony!

Jego bohater, komisarz Marcin Zakrzewski powraca w swoim stylu, jak wilk bez watahy. Powracają też splątane wątki i brawurowe akcje, w których tempo nie zwalnia ani na jeden oddech. *Totentanz* to kryminal w najlepszym wydaniu”

Anna Fluder, dziennikarka Radia RAM

„Martwy sad i iluzja przyprawiły cię o gęsią skórę?”

Totentanz przyprawi cię o dreszcze! Ostatnia część cyklu *Cienie PRZESZŁOŚCI* wbija w fotel. Długo nie będziecie mogli podnieść się z wrażenia. Polecam”. *Robert Migdał, dziennikarz Gazety Wrocławskiej*

„Po kilku godzinach spędzonych z *Totentanzem* już nie jestem pewien samego siebie. Muszę sprawdzić, co łączy Zakrzewskiego, mnie, Śmierciora i Gorzkę.

A przecieć ja to tylko czytam... Czy się uwolnię od tej książki?

Ostrzegam: pochłania!”. *Tomek Wołodźko, dziennikarz Radia Eska*



www.bukowylos.pl

Połącz nas na Facebooku



RADIO WROCLAW KULTURA



Czytamy Kryminaly.pl



Gazeta WROCLAWSKA